

WILBUR SMITH

OSTATNIE POLOWANIE

Z angielskiego przełożył ARTUR LESZCZEWSKI

Siedziała nieruchomo od przeszło dwóch godzin. Potrzeba zmienienia pozycji stawała się wręcz nie do zniesienia. Każdy mięsień zdawał się drzeć, dokuczliwie domagając się ruchu. Pośladki miała całkowicie zdrętwiałe i mimo że doradzono jej, aby opróżniła pęcherz, nie zrobiła tego przed staniem na czatach, ponieważ czuła się zażenowana obecnością mężczyzn i zbyt wystraszona afrykańskim buszem, żeby pójść na stronę. Teraz nie mogła sobie darować tego nadmiaru wstydlivosti.

Patrzyła przez wąską szczelinę w trawiastej konstrukcji kryjówki - długim tunelu, który naganiacze zbudowali w gęstym buszu z wielką starannością, gdyż nawet najmniejsza gałązka mogła zmienić tor pocisku lecącego z szybkością dziewięciuset metrów na sekundę. Tunel miał długość pięćdziesięciu metrów i został wymierzony bardzo dokładnie, aby można było precyzyjnie ustawić teleskopową lunetę strzelby.

Nie poruszając głową, Claudia spojrzała kątem oka na siedzącego obok niej ojca. Jego strzelba była oparta o rozwidlenie znajdującej się przed nim gałęzi, a prawa ręka spoczywała lekko na kolbie. W tej pozycji wystarczyło jedynie unieść broń kilka centymetrów do policzka, żeby być gotowym do strzału.

Przy całym zmęczeniu fizycznym myśl o ojcu strzelającym z tej złowieszczo błyszczącej broni jeszcze bardziej ją rozdrażniła. Ojciec zawsze wywoływał w niej gwałtowne, krańcowo sprzeczne uczucia. Na nic, co robił lub mówił, nie umiała pozostać obojętna. Otwarcie zdominował jej życie, za co Claudia jednocześnie

kochała go i nienawidziła. Odkąd pamiętała, zawsze próbowała od niego uciec, jemu zaś zawsze udawało się ją łatwo przyciągnąć do siebie z powrotem. Wiedziała dobrze, że głównym powodem, dla którego w wieku dwudziestu sześciu lat była niezamężna - mimo swojej urody, mimo własnych osiągnięć, mimo niezliczonych propozycji, z których dwie wyszły od mężczyzn darzonych przez nią prawdziwym uczuciem - był człowiek siedzący obok niej. Nigdy nie spotkała drugiego mężczyzny, który mógłby się równać z ojcem.

Pułkownik Riccardo Monterro, żołnierz, inżynier, uczonek, smakosz, bajecznie bogaty przedsiębiorca, atleta, bon vivant, zdobywca kobiecych serc, sportowiec - mogła wymieniać wiele innych określeń i choć każde z nich pasowało do niego jak ulał, nie ujmowały go takim, jakiego znała. Żadne słowa nie oddawały jego czułości i siły, za które go kochała, ani okrucieństwa i szorstkości, które wzbudzały w niej odrazę. Nie sposób było wyrazić tego, co zrobił jej matce, która teraz była porzuconą, nieoczekującą niczego od życia alkoholiczką. Claudia zdawała sobie sprawę, że mógł równie łatwo zniszczyć i ją, jeśli kiedykolwiek pozwoliłaby mu sobą pokierować. W jego obecności czuła się niczym byk patrzący na uzbrojonego matadora. Ojciec był niebezpiecznym człowiekiem i właśnie dlatego tak pociągającym.

Ktoś jej kiedyś powiedział: "Niektóre kobiety potrafią się zakochać jedynie w prawdziwym draniu". Wtedy bez namysłu odrzuciła tę myśl, ale później, zastanowiwszy się, częściowo w to uwierzyła. Cokolwiek by powiedzieć, ojciec był właśnie człowiekiem tego pokroju. Potężnym, rubasznym draniem, który z właściwym sobie urokiem osobistym, z promiennymi, złocisto-brązowymi oczami i lśniąco białymi zębami potrafił śpiewać jak Caruso i zjeść nawet największą porcję spaghetti, jaką nałożyła mu na talerz. Mimo że urodził się w Mediolanie, jego osobowość została ukształtowana w Ameryce, do której dziadkowie Claudii wyemigrowali z Włoch Mussoliniego, kiedy Riccardo był jeszcze dzieckiem.

Claudia odziedziczyła po nim wiele cech fizycznych: oczy, zęby i oliwkowy kolor skóry, ale tym bardziej usiłowała odrzucić te cechy, które ją w nim raziły, i wybrać odmienną od jego drogę życia. Zdecydowała się na przykład na studia prawnicze, ponie-

waż ojciec miał skłonności do omijania prawa. Na długo zanim zrozumiała, czego dotyczy polityka, postanowiła zostać zwolenniczką demokratów, na złość ojcu, który był republikaninem. Ojciec dorobił się olbrzymiego majątku, więc Claudia po ukończeniu studiów z piątą lokatą na swoim roku odrzuciła ofertę pracy z rocznym wynagrodzeniem w wysokości dwustu tysięcy dolarów i zatrudniła się w agencji praw obywatelskich, która płaciła jej czterdzieści tysięcy rocznie. Ponieważ ojciec dowodził w Wietnamie batalionem saperów i jeszcze teraz nazywał wrogów "ciemniakami", praca z alaskimi Inuitami dawała jej satysfakcję tym większą, że spotykała się z jego dezaprobatą. Riccardo także w stosunku do Eskimosów używał słowa "ciemniaki". Mimo to przyłeciła na jego zaproszenie do Afryki, a już prawdziwym horrorem było dla niej to, że ojciec miał zabijać dzikie zwierzęta, przeciw czemu nawet nie zaprotestowała.

Claudia cały wolny czas poświęcała pracy społecznej dla Towarzystwa Ochrony Środowiska Naturalnego Alaski. Organizacja ta koncentrowała swoje wysiłki i środki na walce z kompaniami naftowymi, które rabunkowo eksploatowały złoża, ze szkodą dla otoczenia. Przedsiębiorstwo jej ojca - Systemy Kotwiczne i Inżynieryjne - było zaś głównym dostawcą sprzętu dla spółek wiertniczych. Każdy wybór w jej życiu był dokładnie rozważony i miał wyraźnie sprecyzowany cel.

A jednak przybyła do tego obcego kraju i czekała posłusznie, aż ojciec zabije jakieś piękne dzikie zwierzę. Własna dwulicowość przyprawiała ją o mdłości. Wyprawa, na którą została zaproszona, to safari. Nigdy w życiu nie zgodziłaby się na udział w tak ohydnych przedsięwzięciu - zawsze wcześniej odmawiała z oburzeniem, gdy ojciec składał jej taką propozycję - gdyby nie sekret, jaki odkryła kilka dni przed zaproszeniem. To mógł być ostatni raz, niemal na pewno ostatni raz, kiedy miała okazję przebywać z nim sam na sam. Ta myśl poruszała ją jeszcze bardziej niż świadomość uczestniczenia w polowaniu.

O Boże, przeraziła się. Co ja zrobię bez niego? Jak będzie wyglądało moje życie, gdy zabraknie go przy mnie?

Poraziło ją to z taką siłą, że odwróciła gwałtownie głowę, wykonując pierwszy ruch od dwóch godzin, i spojrzała za siebie przez ramię. Tuż za nią siedział obcy mężczyzna. Był zawodo-

wym myśliwym. Mimo że ojciec polował z nim na kilkunastu poprzednich safari, Claudia poznała go zaledwie cztery dni temu, gdy wysiadła z ojcem z samolotu Południowoafrykańskich Linii Lotniczych w Harare, stolicy Zimbabwe. Myśliwy zawiózł ich dwusilnikowym samolotem Beechcraft Baron na rozległy teren łowiecki niedaleko granicy z Mozambikiem. Obszar ten został wydzierżawiony od rządu Zimbabwe.

Myśliwy nazywał się Sean Courtney. To, że poznała go zaledwie cztery dni wcześniej, nie przeszkodziło jej obdarzyć go nienawiścią tak silną, jakby znali się całe życie. Nic dziwnego, że myśl o ojcu instynktownie zmusiła ją do spojrzenia na tego człowieka. Jeszcze jeden niebezpieczny mężczyzna w jej życiu. Twardy, bezlitosny i tak diabelnie przystojny, że instynkt ostrzegał ją przed nim bezgłośnym krzykiem.

Myśliwy zmarszczył brwi i spojrzał na nią jasnymi, zielonymi oczami, które zdawały się lśnić na mocno opalonej twarzy. W kąciach rozniewanych oczu pojawiły się kurze łapki i mężczyzna dotknął wskazującym palcem jej biodra, nakazując pozostanie w bezruchu. Dotknięcie było lekkie, ale Claudia poczuła w tym jednym palcu całą męską siłę. Już wcześniej zwróciła uwagę na dłonie Seana, usiłując odpędzić od siebie wrażenie, jakie wywołał w niej ich zgrabny kształt. To są ręce artysty, chirurga albo mordercy, pomyślała wtedy, a teraz dotknięcie niemal ją zmroziło. Poczula się, jakby zaatakował ją seksualnie. Patrzyła nieruchomo przez szczelinę w trawie, czując, jak gotuje się z oburzenia. Jak on śmie jej dotykać! Miejsce na biodrze, gdzie spoczął jego palec, paliło, jakby ją naznaczył rozpalonym żelazem.

Tego popołudnia, zanim opuścili obóz, Sean nalegał, aby każde z nich wzięło prysznic i umyło się specjalnym bezwonny mydłem, które im wręczył. Przestrzegł także Claudię, żeby nie używała perfum, a jeden z obozowych służących położył czystą, wyprasowaną koszulę w kolorze khaki i takie same spodni na jej łóżku.

- Przy sprzyjającym wietrze te wielkie koty potrafią zwietrzyć panią z odległości trzech kilometrów - powiedział Sean przed prysznicem. Lecz teraz, po dwóch godzinach spędzonych w nieznośnym upale wypełniającym dolinę Zambezi, czuła za

10

sobą lekki zapach świeżego, męskiego potu. Mężczyzna siedział tak blisko, że niemal jej dotykał i Claudia przeżywała wręcz katusze, opanowując pragnienie poruszenia się, zmienienia pozycji na składanym, płóciennym krzeselku. Bliskość mężczyzny drażniła ją i niepokoiła, mimo to zmusiła się do pozostania w bezruchu. Przyłapała się na tym, że wdycha głęboko powietrze, starając się lepiej uchwycić zwodniczy zapach. Pohamowała się ze złością, uświadomiwszy sobie, co robi.

Kilka centymetrów przed jej oczyma zawirował zielony liść wiszący czubkiem do dołu w szczelinie trawiastej ściany i w tej samej chwili poczuła lekki, wieczorny wiatr.

Powiew powietrza przyniósł ze sobą nowy zapach: stęchły smród mięsa. Przynętą była stara krowa, którą Sean wypatrzył w stadzie ponad dwustu potężnych, czarnych bawołów.

- Ta stara panna przestała się cieleć już dawno temu - powiedział, wskazując krowę palcem. - Namierz ją poniżej łopatki, w samo serce - pouczył Riccarda.

Było to pierwsze zwierzę, które zostało zabite z zimną krwią na jej oczach. Wystrzał z ciężkiej strzelby oszołomił ją w pierwszej chwili, ale nie tak bardzo jak purpurowy strumień krwi, błyszczący w jasnym afrykańskim słońcu, i żałosny, śmiertelny ryk starej krowy. Claudia sama wróciła do półciężarówki toyota i siedziała na przednim siedzeniu pokryta zimnym potem wywołanym przez mdłości, podczas gdy Sean i jego ludzie ćwier-towali bawołu.

Mężczyźni wywindowali cielsko zwierzęcia na niższe gałęzie potężnego drzewa figowego za pomocą małego dźwigu umocowanego na toyocie. Po dłuższej debacie przynęta została ułożona na wysokości, która pozwalała dorosłemu lwu stojącemu na tylnych łapach na częściowe zaspokojenie głodu, uniemożliwiając jednocześnie zjedzenie całego mięsa w czasie jednego posiedzenia i przeniesienie się gdzie indziej w poszukiwaniu nowej padliny.

To było cztery dni temu. Kiedy układali przynętę, metalicznie zielone muchy zlatywały się chmarami zwabione zapachem świeżej krwi. Teraz, gdy upał i muchy dokonały swojego dzieła, Claudia musiała zaciskać nozdrza i krzywiła się ze wstrętem, gdy wiatr owiewał ją smrodem padliny. Odór zdawał się pokrywać

11

jej język i przełyk śliskim mułem. Patrząc na wiszące na drzewie resztki, wyobrażała sobie, że może dostrzec, jak lekko się poruszają, gdy robaki zagłębiały się w ścierwo.

- Cudowny. - Sean wciągnął głęboko zapach, zanim weszli

do kryjówki. - Zupełnie jak dojrzały camembert. Żaden kot

w odległości piętnastu kilometrów nie będzie mógł się temu

oprzeć.

Kiedy czekali, słońce powoli zniżyło się po niebie, nadając kolorom buszu żywości, która kontrastowała z rozmazanymi barwami zalanego rażącem blaskiem południa.

Lekki chłód przyniesiony przez wiatr rozbudził otępiałe od upału ptaki. W poszyciu trawy na brzegu strumienia odezwał się jeden, śpiewając ochryple swoje "Kok! Kok! Kok!" - niczym papuga. W gałęziach bezpośrednio nad jej głową ożywiła się para lśniących metalicznie rajskich ptaków, trzepoczących szybko skrzydełkami i zawisających w powietrzu, żeby napić się nektaru z nabrzmiałych kwiatów. Claudia wolno podniosła głowę i obserwowała je z prawdziwą przyjemnością. Choć była tak blisko, że mogła dostrzec, jak ich cienkie, długie języczki wślizgują się do otwartych żółtych kielichów, ptaszki zupełnie ją ignorowały, jakby była częścią drzewa.

Kiedy tak obserwowała ptaki, zdała sobie sprawę, że w kryjówce zapanowało nagłe podniecenie. Jej ojciec siedział skupiony z ręką zaciśniętą mocniej na kolbie strzelby. Niemal czuła ogarniające go napięcie. Riccardo patrzył przez szczelinę w ścianie, ale mimo że Claudia wyteżyła wzrok, spoglądając w tym samym kierunku, nie potrafiła dostrzec przyczyny tej zmiany nastroju. Kątem oka zobaczyła,

jak ręka Seana Courtneya wysuwa się, poruszając się delikatnie, żeby wreszcie ostrzegawczo chwycić za łokieć ojca.

Usłyszała szept delikatniejszy od powiewu wiatru:

- Czekaj!

Wszyscy zamarli, wciąż nieruchomi, czas zaś mijał wolno; dziesięć minut, potem dwadzieścia.

- Po lewej - szepnął Sean i było to tak nieoczekiwane, że

Claudia cała drgnęła poruszona ledwo dosłyszalnym szeptem.

Spojrzała w lewo. Nie widziała nic szczególnego poza trawą,

drzewami i cieniami. Wyteżęła wzrok, aż oczy jej zaszyły łzami

12

i musiała zamrużyć. Kiedy zerknęła ponownie, zobaczyła coś przypominającego mgiełkę czy może dym - brązową smugę poruszającą się w wysokiej, spalonej słońcem trawie.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, na otwarty teren pod obciążonym padliną drzewem figowym wyszło duże zwierzę.

Claudia nie potrafiła się powstrzymać i sapnęła, a oddech ugrzązł jej w gardle. Było to najpiękniejsze zwierzę, jakie kiedykolwiek widziała. Olbrzymi kot, o wiele większy, niż oczekiwała, smukły, błyszczący i złoty. Zwierzę obróciło głowę i spojrzało prosto na nią. Jego szyja przypominała miękki krem, a od długich, białych wąsów odbił się promień słońca. Uszy były owalne i ozdobione na końcach czarnymi plamami, podniesione, nasłuchujące. Oczy - żółte, równie nieprzeniknione i świecące jak kamienie księżycowe, a tęczęwki zmniejszone niczym czarne strzałki, kiedy zwierzę spojrzało przez polanę na ścianę kryjówki.

Claudia wciąż nie mogła złapać tchu. Ogarnęło ją nagłe podniecenie i strach, gdy uświadomiła sobie, że zwierzę jej się przygląda. Dopiero kiedy kot odwrócił głowę i spojrzał na wiszącą na gałęzi przynętę, Claudia powoli wypuściła powietrze z pruć.

Nie zabijaj go. Proszę, nie zabijaj go, błagała w myślach intensywnie, aż odniosła wrażenie, iż ojciec musi usłyszeć jej słowa. Z ulgą spostrzegła, że nawet nie drgnął, a dłoń Seana wciąż spoczywała na jego łokciu, powstrzymując go od ruchu.

Dopiero w tej chwili uprzytomniła sobie, że lew nie ma grzywy i że jest to samica. Claudia nasłuchiwała się obozowych rozmów i wiedziała, że polują na dorosłego lwa, za zabicie lwicy zaś są przewidziane ciężkie kary: wysokie grzywny, a nawet więzienie. Rozluźniła się trochę i oddała całkowicie kontemplacji oszałamiającego piękna zwierzęcia. Lwica, rozejrzawszy się wokół siebie i upewniwszy, że miejsce jest bezpieczne, otworzyła pysk i wydała lekki, miaukliwy pomruk.

Niemal natychmiast z krzaków wybiegły trzy lwiątko, kłębiąc się wokół matki. Wyglądały niczym dziecięce przytulanki miękkie i ozdobione ciemnymi plamkami. Przewracały się przez tapy lwicy, które

były dla nich zbyt wysoką przeszkodą, a po kilku chwilach wahania, kiedy matka wydawała się nie zwracać na nie uwagi, zaczęły dziko baraszkować, siłując się i przewracając wzajemnie z groźnymi, kocimi pomrukami.

13

Lwica zignorowała je i podniosła się na tylne łapy ku zwisającej z drzewa padlinie. Wsadziła głowę w rozpruty brzuch, z którego zwisały wnętrzności, i zaczęła się pożywiać. Rząd ciemnych sutek na jej brzuchu był napęczniały od pokarmu, a futro naokoło nich lśniło od śliny lwiątek. Lwica nie odstawiła ich jeszcze od piersi, więc zajęte zabawą kociaki nie zwracały uwagi na pochłaniane przez nią mięso.

Po chwili na polankę wyszła druga lwica, a za nią podążały dwa podrośnięte lwiątko. Ta samica była znacznie ciemniejsza, niemal niebieska na grzbiecie, a jej skórę znaczyły stare blizny - świadectwa wielu polowań, ślady kopyt, rogów i kłów. Brakowało jej połowy jednego ucha, a przez poraną skórę wystawały żebra. Lwica była stara. Dwa na wpół wyrosnięte koty, które stały obok niej, były pewnie jej ostatnim miotem. Za rok, kiedy opuści ją potomstwo i będzie zbyt słaba, żeby nadążyć za stadem, padnie ofiarą hien, ale na razie utrzymywała się przy życiu dzięki olbrzymiemu doświadczeniu i sprytowi.

Pozwoliła młodej lwicy pierwszej wyjść do przynęty, bo wcześniej widziała już dwa lwy zabite w sytuacji, gdy zbliżyły się do soczystego mięsa zwisającego z drzewa, i węszyła w tym jakiś podstęp. Nie zaczęła się od razu pożywiać, lecz krążyła wokół polanki, z ogonem nieustannie kołyszającym się ze strony na stronę, zatrzymując się co kilka kroków i spoglądając nieufnie w stronę trawiastej ściany.

Jej małe spoglądały łakomie na padlinę, siedząc na ogonach i pomrukując z głodu i żalości, gdyż mięso było najwidoczniej poza ich zasięgiem. W końcu śmielszy z dwóch młodych lwów cofnął się o kilka kroków i wykonał skok na przynętę. Zaczepiwszy się przednimi łapami, gdy tylne dyndały w powietrzu, usiłował oderwać zębami jak największy kawałek, ale młoda lwica zwróciła się z wściekłością przeciw niemu, warcząc i spychając go, aż opadł na ziemię na plecy. Lwiątko podniosło się zgrabnie na nogi i niechętnie wycofało.

Stara lwica nie stanęła w obronie swoich małych. W stadzie obowiązywały żelazne reguły: dorośli myśliwi, najbardziej wartościowi członkowie stada, muszą się pożywić pierwsi. Stado mogło przetrwać tylko dzięki ich sile. Dopiero gdy dorosłe lwy się nasyciły, młode mogły się zbliżyć do upolowanej zdobyczy.

14

Kiedy zaś nastawały trudne czasy i brakowało pożywienia lub gdy teren był zbyt trudny do polowania, młode i słabe osobniki pierwsze padały ofiarą głodu, a dorosłe samice stawały się okresowo bezpłodne, póki nie zmieniły się warunki i stado znowu miało pożywienie. Tylko w ten sposób miały szansę przetrwania.

Odgonione lwiątko wycofało się do miejsca, gdzie siedział jego brat, i zaczęło z nim walczyć o kawałki mięsa, które podczas wyszarpywania z brzucha bawołu spadły na ziemię.

Gdy lwica wreszcie opadła na cztery łapy, widocznie zmęczona niewygodną pozycją, Claudia z obrzydzeniem zobaczyła, że cała jej głowa pokryta jest białymi robakami, które wypełzły z mięsa. Lwica potrząsnęła łbem, rozrzucając je niczym ziarna ryżu. Następnie zaczęła zawzięcie pocierać łapami futrzaste uszy, by je oczyścić z tłustych robaków, które usiłowały się tam dostać. Wreszcie wyciągnęła szyję i silnie wydmuchnęła pozostałe resztki z nosa.

Małe najwidoczniej przyjęły to jako zaproszenie do zabawy albo jedzenia. Dwa lwiątko podskoczyły, czepiając się jej uszu, podczas gdy trzecie pobiegło do brzucha i przyssało się do sutka niczym olbrzymia, brązowa pijawka. Lwica, nie zwracając na nie uwagi, ponownie stanęła na tylnych kończynach, żeby kontynuować posiłek. Przyczepiony do sutka kociak wisiał przez dwie, trzy sekundy, aż wreszcie opadł na ziemię, a lwica zdeptała jego malczą dumę, przesuwał się do tyłu i ciągnąc do siebie mięso. Lewek wyczołgał się spomiędzy jej łap, pobrudzony i potargany.

Claudia nie mogła się powstrzymać i zachichotała. Starła się jednocześnie zdusić śmiech, zasłaniając usta obiema dłońmi. Sean natychmiast dźgnął ją palcem w żebra.

Tylko stara lwica zareagowała na cichy odgłos śmiechu. W czasie kiedy reszta stada była zbyt zajęta pożywianiem się, ona przycupnęła, kładąc uszy po sobie i spoglądając z natężeniem na wejście do kryjówki. Patrząc na nią, Claudia straciła ochotę do śmiechu i wstrzymała oddech.

Nie może mnie widzieć, pomyślała bez przekonania. Chyba nie może mnie zobaczyć? Jednakże przez długie sekundy oczy lwicy obezwładniały ją nieruchomym spojrzeniem.

15

Po chwili lwica wstała i bezszelestnie znikła w wysokim poszyciu za drzewem z przynętą. Poruszała się niczym wąż, a jej gibkie ciało zdawało się płynąć pomiędzy gałęziami. Claudia wypuściła powietrze z płuc i odetchnęła głęboko z ulgą.

Podczas gdy pozostała część stada baraszkowała, siłowała się i ucztowała pod drzewem, słońce skryło się za koronami drzew i nastał krótki, afrykański zmierzch.

- Jeśli jest z nimi samiec, to teraz wyjdzie - wyszeptał Sean. Noc była porą dużych kotów, bo ciemność dodawała im odwagi i czyniła je nieustraszonymi. Światło dnia gasło i coraz szybciej zapadały ciemności.

Claudia usłyszała coś za ścianą z trawy, jakby jakieś zwierzę lekko ocierało się o wysokie źdźbła, ale busz był pełen takich szmerów, więc nie odwróciła nawet głowy. Po chwili dotarł do niej o wiele wyraźniejszy dźwięk, odgłos stąpania jakiegoś dużego zwierzęcia, uważne i pewne kroki niedaleko od kryjówki, i poczuła, jak skóra zaczyna jej cierpnąć ze strachu, a po plecach i karku przechodzą dreszcze. Szybko odwróciła głowę.

Opierała się lewym ramieniem o ścianę kryjówki, a na poziomie jej oczu w trawiastej ścianie była centymetrowa szczelina. Nagle dojrzała jakiś ruch. Przez chwilę nie rozpoznała, co to takiego, ale szybko zrozumiała, że patrzy na kawałek brązowej skóry, która wypełnia szczelinę, i oczy rozszerzyły się jej z przerażenia. Płowa sierść przesunęła się w otworze i Claudia usłyszała nowy odgłos, głośny

oddech zwierzęcia, które obwąchiwało kryjówkę zaledwie kilka centymetrów od niej po drugiej stronie ściany.

Claudia odruchowo sięgnęła za siebie, nie odrywając oczu od szczeliny. Jej ręka została szybko uwięziona w mocnym, chłodnym uścisku. Dotyk, który jakiś czas temu ją uraził, przyniósł teraz nieoczekiwaną ulgę. Nie przyszło jej nawet do głowy, że instynktownie sięgnęła po rękę Seana, a nie ojca.

Patrzyła w otwór i nagle pojawiło się w nim oko, olbrzymie, okrągłe i błyszczące jak żółty agat, przerażające, nieludzkie oko, nieruchome i palące ją spojrzeniem nie więcej niż kilka centymetrów od jej twarzy.

Chciała krzyknąć, ale gardło miała kurczowo ściśnięte. Pragnęła się podnieść, lecz czuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Przepętniony pęcherz przypominał ciężki kamień w pod-

16

brzuszu i zanim zdążyła się powstrzymać, kilka gorących kropeł spłynęło po nogach. To przywróciło jej przytomność, wstyd był silniejszy niż przeraźliwy strach, więc zacisnęła mocno pośladki i uda, kurczowo trzymając za rękę Seana i patrząc na okropne żółte oko.

Lwica wciągnęła głośno powietrze i Claudia zadrżała, ale natychmiast się opanowała.

Nie będę krzyczała, powiedziała sobie.

Lwica ponownie obwąchała trawę, a kiedy jej nozdrza wypełniły się zapachem ludzi, wydała z siebie potężny pomruk, który zdawał się wstrząsać lekką konstrukcją ściany. Claudii krzyk uwiązł w gardle, lecz powstrzymała go, zanim zdołał wydostać się na zewnątrz. Żółte oko zniknęło ze szczeliny i rozległ się odgłos potężnych łap, kiedy lwica okrążyła kryjówkę.

Claudia odwróciła głowę, podążając za dźwiękiem, i naraz jej wzrok padł na twarz Seana. Uśmiechał się. To był szok. Jego usta były wykrzywione w pogardliwym uśmiechu, a w zielonych oczach błyskały złośliwe ogniki. Śmiał się z niej. Jej przerażenie ulotniło się zastąpione wściekłością.

Świnia jedna, pomyślała. Arogancka, chamska świnia. Wiedziała, że jej twarz poblądła, a oczy pociemniały, rozszerzone ze strachu. Nienawidziła samej siebie i nienawidziła Seana za to, że jest świadkiem jej przerażenia.

Chciała wyrwać rękę z krępującego uścisku, ale wciąż słyszała kroki wielkiego kota, który krążył w pobliżu, i mimo że przepętniona była nienawiścią do trzymającego ją mężczyzny, wiedziała także, że bez jego dotyku straci nad sobą kontrolę. Ścisnęła więc silną dłoń, odwracając głowę i podążając za odgłosami wydawanymi przez zwierzę, tak żeby Sean nie mógł widzieć jej twarzy.

Lwica przeszła przed wejściem do kryjówki. Claudia zobaczyła przez otwór jej złote ciało, które szybko skryło się w trawie. Spozobregła także, że lwiatka i druga lwica znikły z polanki zaalarmowane pomrukiem starej samicy. Pole ostrzału pod drzewem było puste.

Światło dnia gasło z każdą chwilą. Za kilka minut zrobi się zupełnie ciemno, a myśl o dzikim zwierzęciu schowanym w pobliskim mroku była dla Claudii zbyt przerażająca. Sean sięgnął ponad jej ramieniem i przycisnął coś małego i twardego do jej

17

warg. Przez chwilę zaciskała je uporczywie, ale wreszcie je rozchyliła i pozwoliła mu włożyć to coś sobie do ust. Była to guma do żucia.

Ten człowiek oszalał. Była zupełnie oszołomiona. Guma do żucia w takiej chwili?

Kiedy jednak zaczęła żuć małą kostkę, uświadomiła sobie, że brakowało jej śliny i że przetyk ma wyschnięty tak, jakby zjadła niedojrzały owoc daktylowca. Na smak mięty ślina zaczęła napływać do ust, ale Claudia była tak rozeźlona, że nie poczuła dla Seana żadnej wdzięczności. To, iż wiedział, że jej usta są spierzchnięte z przerażenia, wzbudzało w niej jeszcze większą wściekłość.

Lwica pomrukiwała w półmroku, który panował na zewnątrz kryjówki, i Claudia z tęsknotą pomyślała o toyocie zaparkowanej kilometr dalej. Jakby czytając w jej myślach, ojciec cicho spytał:

— Kiedy naganiacze mają przyprowadzić wóz?

— Gdy nie będzie już światła nadającego się do strze

lania - odparł Sean. - Za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.

Lwica usłyszała ich głosy i zawarczała groźnie.

— Odważna suka - rzekł pogodnie Sean. - Warkliwa Sue

we własnej osobie.

— Zamknij się! - syknęła na niego Claudia. - Znajdzie

nas przez ciebie.

— Och, wie dobrze, że tu jesteśmy - odparł Sean i podnosząc

głos, zawołał: - Zjeżdżaj stąd, ty głupia, stara dziwko! Wracaj

do swoich małych.

Claudia wyrwała rękę z jego uścisku.

- Niech cię diabli! Pozabijasz nas wszystkich.

Jednakże głośny okrzyk wystraszył lwy i przez kilka minut

panowała cisza. Sean wziął do ręki krótką, brzydką strzelbę o podwójnej lufie, która stała oparta o ścianę kryjówki, i położył ją sobie na kolanach. Otworzył zamek strzelby i wyłuskał z komór grube naboje kalibru .577 nitro express, a na ich miejsce włożył dwa nowe, które wyjął z pętelek

przyszytych do lewej kieszeni koszuli. Wymiana naboju to był jego przesąd i powtarzał tę czynność zawsze przed rozpoczęciem polowania.

- Słuchaj mnie, Szefie - zwrócił się do Riccarda. - Jeśli zabijemy tę starą kurwę bez dostatecznego powodu, zarząd

18

polowań odbierze mi licencję. Dostateczny powód jest wtedy, gdy już odgryzie komuś rękę, ale nie wcześniej. Zrozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem. - Riccardo skinął głową.

— Dobra, nie strzelaj, póki ci nie powiem, albo, na Boga, sam cię zastrzelę.

Uśmiechnęli się do siebie w półmroku i Claudia uświadomiła sobie z niedowierzaniem, że obaj świetnie się bawią. Ci dwaj szaleńcy pozwalali sobie na dowcipy.

- Kiedy Job przyjedzie jeepem, będzie już zupełnie ciemno.

Nie może przyprowadzić wozu do samej kryjówki. Będziemy musieli podejść do niego, do strumienia. Idziesz pierwszy, Szefie, następnie Claudia między nami. Trzymajcie się razem i bez względu na to, co się będzie działo, nie biegnijcie! Niech, na miłość boską, nikt nie ucieka!

Usłyszeli ponownie starą samicę zbliżającą się do nich cicho. Warknęła głośno, a druga odpowiedziała jej z przeciwnej strony kryjówki. Młoda lwica przyłączyła się do polowania.

- Cała banda jest w pobliżu - skomentował Sean.

Odgłos ich rozmów i pomruki starej lwicy zaalarmowały stado

i myśliwi stali się zwierzyną łowną. Byli uwięzieni w kryjówce. Wokół panowały zupełne ciemności. Zachód słońca na horyzoncie przypominał przygasający czerwony żar ogniska.

- Gdzie jest wóz? - wyszeptała Claudia.

- Już nadjeżdża - odpowiedział Sean. Nagle jego głos się zmienił. - Padnijcie! - powiedział ostro. - Na ziemię! -

Mimo że nie słyszała żadnych dźwięków, Claudia zsunęła się

z brezentowego stołeczka i przykucnęła na ziemi.

Lwica podkradła się niemal bezszelestnie do samej ściany i teraz rzuciła się na nią z przeraźliwym rykiem, rozszarpując łapami delikatną konstrukcję. Claudia ze zgrozą zauważyła, że wszystko leci prosto na nią.

- Głowy przy ziemi! - krzyknął Sean i gdy ściana się już waliła, podniósł strzelbę.

Wystrzelił. Ogłuszający wybuch przetoczył się przez kryjówkę, a jej wnętrze zostało na chwilę rozjaśnione blaskiem jasnym niczym światło żarówki.

19

Zabił ją, pomyślała Claudia i mimo swojej nienawiści do polowania, poczuła ulgę. Jednakże nie na długo. Strzał jedynie wystraszył zwierzę i przepędził je na chwilę od kryjówki. Claudia usłyszała, jak lwica biegnie, warcząc z wściekłością.

— Spudłowałeś - powiedziała, czując smród prochu w nosie.

— Nie zamierzałem jej trafić. - Sean otworzył strzelbę

i ponownie ją załadował. - To tylko strzał ostrzegawczy nad głową.

— Nadjeżdża jeep. - Głos Riccarda wydawał się spokojny

i obojętny. Uszy Claudii były wypełnione hukiem wystrzału, ale także słyszała warkot silnika toyoty.

— Job usłyszał strzał. - Sean wstał. - Przyjechał wcześniej.

W porządku, szykujemy się do wyjścia.

Claudia ochoczo wyprostowała się i spojrzała przez niską, pozbawioną dachu ścianę na otaczający ją ciemny las. Przypomniała sobie, że dróżka prowadziła do wyschniętego łożyska rzeki, które służyło za drogę. Będą musieli przejść z pół kilometra, zanim dotrą do wozu. Poczuła, że opuszcza ją odwaga.

Pięćdziesiąt metrów dalej zaryczała lwica.

— Hałaśliwa bestia - zachichotał Sean i wziął Claudię za

łokieć, prowadząc ją do wyjścia. Tym razem nie próbowała się

uwolnić z uścisku, a nawet mocniej przywarła do jego ramienia.

— Złap się paska Szefa. - Delikatnie wyswobodził się

z uchwytu i nakierował jej rękę na pasek ojca. - Trzymaj się! -

rozkazał. - 1 pamiętaj, cokolwiek się stanie, nie biegnij. Od

razu rzuciłyby się na ciebie. Zupełnie jak kot z myszką. Nie

mogą się oprzeć takiej pokusie.

Sean zapalił latarkę. Była to wielka, czarna maglite, ale nawet jej silne światło wydawało się nikłe i niewyraźne w bezmiarze lasu, kiedy zatoczył nią koło. W strumieniu światła rozbłyskiwały oczy, jarząc się złowieszczo niczym okrutne gwiazdy. W ciemnym buszu widziała wiele par oczu, nie można było rozróżnić dorosłych lwów od wyrosniętych szczeniaków.

- Idziemy - zakomenderował cicho Sean i Riccardo ruszył

wzdłuż wąskiej dróżki, ciągnąc za sobą Claudię.

Szli bardzo wolno, blisko siebie. Riccardo osłaniał ich od przodu ze swoją lżejszą strzelbą, a Sean pilnował tyłów z ciężką bronią i latarką.

20

Za każdym razem gdy snop światła wyłaniał z ciemności oczy lwów, wydawały się coraz bliższe, aż wreszcie Claudia mogła rozpoznać kształty ich ciał. Ślepią zwierząt były wyblakłe, niczym schwyte w krąg światła ćmy, nieruchome, dzikie i niestrudzone. Obie lwice zbliżały się do nich nieustannie, krążąc w miękkim poszyciu, obserwując ich uważnie, ale odwracając łby, gdy potężne światło latarki raziło je w oczy.

Ścieżka była stroma, wyboista i nieskończenie długa. Dla Claudii każdy krok był agonią z niecierpliwości. Szła za swoim ojcem, nie patrząc pod nogi i potykając się, ale cały czas trzymając się wzrokiem niewyraźnych kształtów samic krążących wokół nich.

— Zbliża się Warkliwa Sue - ostrzegł ich szeptem Sean,

gdy stara lwica zebrała się na odwagę i rzuciła do nich. Sapała

jak parowa lokomotywa, wydając ogłuszający potok dźwięków

rodzących się w gardle i wydobywających przez otwarty pysk,

a jej długi ogon bił o boki niczym potężny bicz. Zatrzymali się.

Sean zamachnął się latarką i strzelbą na atakujące zwierzę.

— Zjeżdżaj stąd! - krzyknął na lwicę. - Zmykaj, stara! -

Lwica gnała prosto na nich z uszami rozpląszczonymi na głowie,

wysuwając długie, żółte kły i różowy język z otwartego pyska.

— Hej! Warkliwa Sue! - zawołał Sean. - Rozwalę ci ten

głupi łeb!

W ostatniej chwili lwica przerwała atak, wyhamowując na wyprostowanych nogach. W promieniu światła latarki widać było otaczający ją tuman kurzu.

— Spływasz! - rzucił ostrym głosem Sean. Lwica nastawiła uszu, odwróciła się i posłusznie wycofała do lasu. - Chciała nas tylko nastraszyć - zachichotał. - Myślała, że damy się nabrać.

— Skąd wiesz? - Claudia usłyszała, jak bardzo chropawy stał się jej głos.

— Po ogonie. Dopóty, dopóki nim merda na boki, to tylko żartuje. Kiedy trzyma wyprostowany, wtedy trzeba mieć się na baczności!

— Nadjeżdża wóz - zauważył Riccardo i wszyscy dostrzegli przez drzewa przednie światła toyoty, która podskakiwała na wybojach w wyschniętym korycie rzeki.

21

— Dzięki Bogu - szepnęła Claudia.

— Jeszcze nie jest po wszystkim - ostrzegł ją Sean, kiedy ruszyli ścieżką w dół. - Została Burkliwa Gerta.

Claudia zapomniała już o młodej lwicy i teraz rozejrzała się bojaźliwie wokoło, idąc krok w krok za ojcem, którego paska nie puściła ani na chwilę.

Wreszcie wyszli na brzeg koryta rzeki, w pełni oświetleni reflektorami samochodu stojącego z włączonym silnikiem jakieś trzydzieści metrów przed nimi. Claudia rozpoznała przez potok światła zarys głów naganiaczy, którzy siedzieli na przednich siedzeniach wozu. Wydawali się tak blisko, tak bardzo blisko. Nerwy ją zawiodły. Puściła pasek ojca i rzuciła się pędem ku półciężarówce, potykając się na suchym, głębokim piachu wypełniającym koryto rzeki.

Usłyszała za sobą krzyk Seana:

- Ty cholerna kretynko!

W tej samej chwili dobiegł ją mroźący krew w żyłach ryk atakującej lwicy. Claudia rzuciła spojrzenie w bok i zobaczyła, że potężna bestia wybiega pod kątem z wysokich trzciny znaczących linię brzegu i szybko się do niej zbliża. W świetle reflektorów toyoty zwierzę wydawało się olbrzymie i niesamowicie blade, szybkie niczym uderzający wąż, a jego ryk ścisnął serce Claudii i sparaliżował potykające się w białym piachu nogi.

Claudia widziała, że lwica atakuje z ogonem podniesionym i wyprostowanym niczym stalowy wycior. Poprzez paniczny lęk przedarła się do jej świadomości przestroga Seana. Tym razem się nie zatrzyma. Dopadnie mnie.

W decydującej chwili Sean się nie zorientował, że dziewczyna rzuciła się do ucieczki. Schodził stromą ścieżką odwrócony tyłem, z latarką w lewym ręku i strzelbą w prawym. Broń trzymał za kolbę, opierając podwójną lufę o ramię, a bezpiecznik przyciskał kciukiem. Idąc, nie spuszczał wzroku ze starej lwicy, która przypadła do ziemi na wysokości trzciny i czołgała się za grupą ludzi. Wiedział, że to czołganie się jest tylko na pokaz i lwica nie powtórzy ataku po pierwszej nieudanej próbie. W trawie za nią przysiadły dwa podrośnięte lwiątko, przyglądając się zafascynowanym wzrokiem temu pokazowi siły, ale zbyt wystraszone, żeby przyłączyć się do matki. W gęstych, wysokich trzcinach

22

Sean stracił z oczu młodszą lwicę, która stanowiła największe zagrożenie.

Nagle poczuł, jak Claudia odpycha się od jego biodra, ale był przekonany, że potknęła się na stromej ścieżce. Nie zdawał sobie sprawy, co się właściwie dzieje. W dalszym ciągu wypatrywał młodej lwicy, gdy usłyszał kroki Claudii na suchym piasku i kiedy obrócił się na pięcie, zobaczył ją biegnącą przez wyschnięte koryto rzeki.

- Ty cholerna kretynko! - wrzasnął z wściekłości.

Dziewczyna od początku go irytowała, sprzeciwiając się mu

nieustannie. Teraz bezmyślnie zlekceważyła jego rozkaz i Sean zorientował się w jednej chwili, że może już być stracona. Śmierć lub tylko zranienie klienta na safari było uznawane za największą hańbę, jaka mogła spotkać zawodowego myśliwego. To by oznaczało koniec jego kariery, zmarnowanie dwudziestu lat ciężkiej pracy i wyrzeczeń.

- Ty cholerna kretynko! - Sean wyładował rozgoryczenie

na biegnącej dziewczynie.

Odepchnął Riccarda, który stał sparaliżowany przerażeniem na ścieżce przed nim, i w tym samym momencie lwica wystrzeliła z przybrzeżnych trzciny, gdzie przyczaiła się w kryjówe.

Brzeg rzeki był doskonale oświetlony przez toyotę, więc Sean rzucił na ziemię latarkę i wycelował strzelbę. Ale nie mógł strzelać. Kąt strzału był zupełnie nieodpowiedni; Claudia znajdowała się między nim a lwicą. Dziewczyna biegła niezdarnie w grząskim piachu, z wykręconą głową, żeby móc widzieć atakujące zwierzę, i ramionami starającymi się nadać jakiś rytm nogom.

- Padnij! - ryknął Sean. - Na ziemię!

Jednakże dziewczyna biegła dalej, zasłaniając cel swoim ciałem. Lwica zbliżała się szybko w tumanie piachu wyrzucanego przez potężne łapy, z których wysunęły się już żółte pazury. Wydawała z siebie okropne pomruki przy każdym skoku, a długi płowy ogon trzymała wyprostowany i sztywny.

W świetle lamp czarne cienie dziewczyny i lwicy na jasnej łasze żwiru wydawały się dziwnie zniekształcone. Cienie zbliżały się do siebie i Sean widział przez celownik strzelby, jak lwica zbiera się do skoku, a on nie mógł strzelić, nie raniąc przy tym dziewczyny.

23

W ostatniej chwili Claudia się potknęła, spętane panicznym strachem nogi ugięły się pod nią i z rozpaczliwym jękiem dziewczyna poleciała na ziemię.

Sean błyskawicznie wycelował strzelbę w kremową pierś zwierzęcia. Z tej właśnie strzelby mógł trafić dwie jednopensowe monety wyrzucone w powietrze z odległości trzydziestu kroków. Zabił już za jej pomocą setki leopardów, lwów, nosorożców, byków i słoni, a także ludzi - może nawet więcej ludzi niż zwierząt - w czasie wojny rodezyjskiej. Nigdy też nie musiał uciekać się do drugiego strzału. Teraz miał przed sobą łatwy cel i wiedział, że wystrzelona przez niego czterdziestoosmiogramowa kula grzybująca o lekko spłaszczonym wierzchołku przeorałaby lwicę od piersi do końca ogona. W ten sposób byłoby po zwierzęciu, ale także po safari i prawdopodobnie po jego licencji. Gdyby zabił lwicę, nic nie potrafiłoby go uchronić przed gniewem rządu i departamentu łowieckiego.

Lwica już dopadała leżącej na ziemi dziewczyny, dzieliło je jeszcze od siebie tylko kilka metrów białego piachu. Sean w ostatniej chwili znalazł nowy cel. Wiedział, że okropnie ryzykuje, ale nie bał się ryzyka. To prawda, że narażał dziewczynę na śmierć, ale doprowadziła go do takiej wściekłości, że zasługiwała na szafowanie jej życiem.

Strzelił w ziemię pół metra przed otwartym pyskiem zwierzęcia. Ciężki pocisk przeorał ziemię, wyrzucając w powietrze fontannę suchego piasku, który na chwilę kompletnie przestonił bestię. Sypki miał wypełnić pysk zwierzęcia i dostał się głęboko do gardła. Ziarenka piasku wdarty się także do nozdrzy, zatykając je kompletnie, i smagnęły po żółtych oczach, dostając się pod powieki. Oślepiona, zdezorientowana lwica natychmiast przerwała atak.

Sean pobiegł ku dziewczynie, trzymając palec na spuście i drugi nabój w lufie, ale następny strzał nie był już potrzebny. Lwica się wycofała. Skierowała się ku wysokim trzcinom, usiłując oczyścić łapami zapiaszczone oczy, przewracając się i podskakując gwałtownie wśród dzikich pomruków, kiedy tarzała się po ziemi na brzegu i podrywała na nogi, by uciec dalej. Wkrótce przepełnione gniewnymi rykami odgłosy zmagania się z piachem ucichły.

24

Sean dobiegł do Claudii i podniósł ją z ziemi. Dziewczyna nie mogła ustać, więc musiał ją na wpół zanieść, na wpół zaciągnąć do toyoty, gdzie bezceremonialnie wrzucił ją na przednie siedzenie.

- Ruszaj! - krzyknął do Joba.

Kierowca z ludu Matabele wrzucił bieg i po chwili toczyli się szybko w stronę obozu, podskakując na wybojach. Przez minutę nikt się nie odzywał i dopiero gdy wyjechali z koryta rzeki na brzeg, gdzie rozpościerała się ścieżka, Claudia powiedziała zduszonym głosem:

— Jeśli natychmiast się nie załatwię, to pęknie mi pęcherz.

— Zawsze możemy cię użyć zamiast gaśnicy, żeby spłoszyć

Warkliwą Sue - rzekł chłodno Sean.

Siedzący na tylnym siedzeniu Riccardo parsknął rubasznym śmiechem. Claudia rozpoznała ulgę w głosie ojca, ale wcale nie poprawiło to jej samopoczucia. Czuła się okropnie poniżona i śmiech ojca dotknął ją do żywego.

Droga do obozu zajęła im ponad godzinę. Kiedy przybyli na miejsce, Moses, obozowy służący Claudii, przygotował już dla niej prysznic z gorącą wodą. Prysznic składał się z dziewięć-dziesięcilitrowej beczki po ropie zawieszanej pomiędzy gałęziami drzewa, uplecionej z trawy kolistej ściany otwartej u góry i wylanej betonem podłogi.

Claudia stała pod strumieniem wody i w miarę jak jej ciało stawało się coraz bardziej różowe, opuszczało ją uczucie wstydu i mdłości wywołanych nadmiarem adrenaliny, a ich miejsce wypełniło wyjątkowo dobre samopoczucie, jakie ogarnia ludzi, którym udało się wyjść z wyjątkowo groźnej sytuacji.

Rozprowadzając delikatną mydlaną pianę na rozgrzanym ciele, Claudia nasłuchiwała jednocześnie odgłosów wydawanych przez Seana. Znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej w urządzonej w namiocie przenośnej sali gimnastycznej i dziewczyna słyszała jego regularne głębokie oddechy, gdy ćwiczył z ciężarkami. Claudia zauważyła, że w ciągu czterech dni, jakie spędziła w obozie, ani razu nie zaniedbał wieczornych treningów, bez względu na to, jak trudny i męczący był dzień.

Rambo! Uśmiechnęła się pogardliwie na myśl o jego męskiej próżności. Nie potrafiła jednak ukryć przed sobą, że w ciągu

25

tych czterech dni kilka razy przytapała się na tym, jak przygląda się uważnie jego muskularnym ramionom, płaskiemu brzuchowi czy nawet okrągłym i twardym pośladkom, które przypominały jej parę strusich jaj złożonych w szortach koloru khaki.

Ubrana w jedwabny szlafroczek i ręcznik zawiązany niczym turban na głowie Claudia wróciła do namiotu odprowadzona przez Mosesa, który szedł przed nią z latarnią. Na łóżku leżało już jej ubranie: spodnie w kolorze khaki, koszulka z krótkim rękawem firmy Gucci i buty przeciw moskitom ze skóry strusia. Claudia sama nie mogłaby wybrać niczego lepszego. Moses codziennie prał i prasował jej brudne rzeczy. Wciągając spodnie, słyszała, jak trzeszczą delikatnie ze świeżości, co jeszcze bardziej poprawiło jej wyśmienite samopoczucie.

Nie spieszyła się z wysuszeniem i wyszczotkowaniem włosów. Nałożyła delikatnie tusz na rzęsy, uszmkowała usta i kiedy przyjrzała się w lustrze odbiciu swojej twarzy, była już zupełnie z siebie zadowolona.

No proszę, kto tu jest próżny? Uśmiechnęła się i wyszła do siedzących przy ognisku mężczyzn. Z satysfakcją zauważyła, że przerwali rozmowę i patrzyli, jak się do nich zbliża. Sean poderwał się z płóciennego krzesła, żeby jej usłużyć, i Claudia pomyślała, że jego grzeczne gesty wybitnie ją denerwują.

- Siadaj! - Postarała się nadać swojemu głosowi szorstkie

brzmienie. - Nie musisz skakać na mój widok jak marionetka.

Sean uśmiechnął się swobodnie.

Nie daj jej tylko poznać, jak bardzo działa ci na nerwy, przestrzegł sam siebie w myślach i przysunął jej krzesło, czekając, aż usiądzie, wyciągając nogi ku ognisku.

- Przynieś donnie Claudii drinka - polecił kelnerowi. -

Pamiętasz, jak ma być przyrządzony?

Kelner podał jej kieliszek na srebrnej tacy. Drink był wyśmienity. Odrobina whisky Chivas w kryształowej szklaneczce wypełnionej lodem zaledwie zabarwiła wodę Perrier. Kelner był ubrany w śnieżnobiałą szatę kanza, sięgającą poniżej kolan, przepasaną szkarłatną szarfą - znak, że jest głównym kelnerem. Na głowie zaś nosił szkarłatny fez w kształcie okrągłej, sztywnej czapeczki bez daszka. Jego dwóch pomocników ubranych w białe szaty i purpurowe fezy stało z szacunkiem z tyłu. Claudia od

26

początku pobytu w obozie czuła się lekko zaambarasowana liczbą służby - dwudziestu ludzi do obsługi ich trojga - i uważała to za sybarytyzm, kolonializm i w ogóle wyzysk. Mieli, na Boga, rok 1987 i imperium brytyjskie dawno temu się rozpadło. Za to whisky była wspaniała.

— Przypuszczam, że spodziewasz się podziękowań za uratowanie mi życia - powiedziała, sącząc wolno drinka.

— Nic podobnego, kotku. - Sean szybko wyczuł, że Claudia

nienawidzi tego zwrotu. - Nie oczekuję nawet, że przeprosisz

za swoją głupotę. A mówiąc szczerze, to najbardziej się bałem,

że będę musiał zabić lwicę. To by dopiero była prawdziwa

tragedia.

Rozpoczęli słowny pojedynek, który szybko przypadł Claudii do gustu. Każdy jej cios, który przeszedł przez gardę Seana, napawał ją satysfakcją, nawet większą niż wygrana w sądzie. Poczuła lekkie rozczarowanie, gdy kelner oznajmił:

- Mambo, kucharz mówi, że obiad już gotowy.

Sean poprowadził ich do namiotu stołowego, oświetlonego świecami powkładanymi do świeczników z miśnieńskiej porcelany. Na stole leżały srebrne sztucce - Claudia sprawdziła poprzednio ukradkiem wybite na nich próby. Na koronkowym obrusie z Madery lśniły kryształowe kieliszki od Waterforda, a za każdym składanym krzesłem stał ubrany w białą szatę kelner obsługujący jednego gościa.

- Szefie, masz jakieś specjalne życzenia na dzisiejszy wieczór? - spytał Sean.

- Może Wolfgang Amadeusz? - zasugerował Riccardo.

Sean, zanim zasiadł do stołu, włączył magnetofon. Z głośników

popłynęły nuty XVII koncertu fortepianowego, ożywiając migające światło świec.

Na pierwsze danie była zupa z zielonego groszku, kaszy perłowej i szpiku kostnego upolowanego bawołu, przyprawiona przeraźliwie ostrym sosem chili, który Sean nazywał Peli Peli Ho Ho.

Claudia odziedziczyła po ojcu upodobanie do chili, czosnku i czerwonego wina, ale nawet dla jej wyrobionego podniebienia drugie danie składające się z flaczków bawołu w białym sosie było niezjadliwe. Obaj mężczyźni lubili flaki w kolorze zielonym,

27

co było zwykłym eufemizmem wnętrzości niedokładnie oczyszczonych z pierwotnej zawartości.

- To tylko przeżuta trawa - zauważył jej ojciec, co omal nie odebrało jej apetytu.

Po chwili Claudia poczuła woń dania, które kucharz przygotował specjalnie dla niej. Spod upieczonej na złocisty kolor skórki uniósł się wspaniały zapach polędwicy z nerkami z antylopy. Kiedy w czasie przygotowywania obiadu Claudia zasugerowała dodanie dziesięciu ząbków czosnku, wysoka biała czapa aż zatrzęsa się na głowie kucharza.

— Książka kucharska mówi bez czosnku, donna Claudia.

— Moja książka mówi dużo czosnku, ona mówi bardzo głośno

dziesięć ząbków czosnku, w porządku, mistrzu?

Kucharz wiedział, że został pokonany i uśmiechnął się do niej szeroko. Claudia bardzo szybko podbiła cały obóz swoją swobodą i naturalnym wdziękiem.

Do obiadu podano południowoafrykański cabernet o bogatym bukiecie, który smakował Claudii niemal tak samo jak jej ulubione chianti. Z apetytem zabrała się do polędwicy i wina. Trudy dnia, silne słońce i świeże powietrze zaostriły jej apetyt, a Claudia, podobnie jak jej ojciec, potrafiła zjeść każdą ilość jedzenia, nie zwiększając ani o centymetr obwodu w biodrach. Jedynie prowadzona przy stole rozmowa szybko ją rozczarowała. Jak podczas wszystkich poprzednich wieczorów mężczyźni rozmawiali o strzelbach, polowaniu i zabijaniu dzikich zwierząt. Kiedy schodzili na temat broni, rozmowa wydawała się jej zwykłym bełkotem.

Ojciec na przykład mówił coś w następującym stylu:

- Kaliber trzysta weatherby może wystrzelić dwunastogromowy pocisk z szybkością dziewięciuset sześćdziesięciu metrów na sekundę, co daje ci siłę wystrzału przekraczającą dwa tysiące sześćset metrów na kilogram i niesamowite uderzenie.

Na co Sean odpowiadał:

- Wy, jankesi, jesteście zafascynowani szybkością. Roy Weatherby odpalił więcej pocisków na safari niż ty, Szefie, zjadłeś w swoim życiu spaghetti. Dla mnie wystarczy konstrukcja Nosiera i przeciętna szybkość...

Żadna normalna osoba nie mogła prowadzić takiej rozmowy

28

całymi godzinami, powiedziała sobie Claudia, a jednak każdego wieczoru wracała do swojego namiotu, zostawiając obu mężczyzn siedzących przy ognisku z koniakiem i cygarami, zatopionych w technicznych dyskusjach.

Kiedy podejmowali temat zwierząt, Claudia mogła zrozumieć znacznie więcej, a nawet wziąć udział w rozmowie, zazwyczaj wyrażając swój brak aprobaty wszystkiego. Mężczyźni najczęściej mówili o konkretnych zwierzętach, legendarnych samcach, dla których Sean wymyślał pieszczotliwe nazwy. Irytowały one Claudię tak samo jak przezwisko "Szeft nadane jej ojcu, jakby był jakimś przywódcą mafii. Lew, na którego obecnie polowali i dla którego zawiesili na drzewie upolowanego bawołu, otrzymał przydomek "Fryderyk Wielki" lub po prostu "Fred".

— Widziałem go dwa razy w tym sezonie, a jeden z moich klientów nawet do niego strzelał. Facet tak się trząsł z podniecenia, że spudłował o całe boisko piłkarskie.

— Opowiedz mi o tym lwie. - Riccardo pochylił się lekko

do przodu.

— Tato, opowiadał ci o nim zeszłego wieczoru - przypomniała mu słodkim głosem Claudia - i poprzedniego, i trzy dni temu...

— Małe dziewczynki nie mają głosu. - Riccardo zachichotał. - Myślałem, że nauczyłem cię nieco dobrych manier. Opowiedz mi o Fredzie.

— Ma chyba ze trzy metry długości, łeb olbrzymi jak u hipopotama i czarną grzywę jak stóg siana. Kiedy kroczy, grzywa faluje niczym gałęzie drzewa msasa na wietrze. - Sean rozpoczął pieśń pochwalną. - Spryt? Przebiegłość? Fred zna wszystkie sztuczki. Z tego, co wiem, strzelano do niego trzy razy. Trzy sezony temu ranił go hiszpański myśliwy na terenie Iana Piercy'ego, ale Fred wyzdrowiał. Nie wyrósłby na tak dużego lwa, gdyby był głupi.

— Jak go dostaniemy? - spytał Riccardo.

— Myślę, że jesteście okropni - weszła im w słowo Claudia, zanim Sean zdążył odpowiedzieć. - Nie mogę pojąć, jak możecie zabijać te piękne zwierzęta, a po tym, jak dzisiaj widzieliśmy te cudowne malutkie lwiątko, nigdy tego nie zrozumiem.

— Nie widziałem, żeby ktoś z nas strzelał do lwiątek - sprzeciwił się Riccardo, kiwając głową na kelnera, by podał mu

29

dokładkę flaków. - Tak naprawdę to podjęliśmy duże ryzyko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

— Poświęcasz czterdzieści pięć dni swojego życia tylko po to, żeby móc zabijać lwy i słonie?! - odcięła się Claudia. -

Nie próbuj ze mną tego szlachetnego tonu, Riccardzie Monterro.

— Zawsze mnie fascynowały pogmatwane procesy myślowe przeciętnego liberalnego krzykacza - wtrącił się Sean i Claudia zwróciła się ochoczo przeciw niemu.

— W moim umyśle nie ma żadnych pogmatwanych procesów. Jesteście tu po to, żeby zabijać zwierzęta.

— W ten sam sposób, w jaki robi to farmer - zgodził się z nią Sean. - Zabijam po to, żeby zapewnić stadu jak najlepszy rozwój i stworzyć miejsce, gdzie mogłoby żyć.

— Nie jesteś farmerem.

— Właśnie, że jestem - sprzeciwił się Sean. - Różnica polega na tym, że ja zabijam zwierzęta na otwartej przestrzeni, a nie w rzeźni. Poza tym chodzi nam dokładnie o to samo:

0 przetrwanie hodowanego stada.

— To nie są zwierzęta domowe - upierała się Claudia. -

Są piękne i dzikie.

— Piękne i dzikie? A co, do cholery, jedno z drugim ma wspólnego? Jak wszystko inne we współczesnym świecie dzikie zwierzęta Afryki muszą opłacić swoje istnienie, jeśli chcą przeżyć.

Nasz Szeff płaci kilkadziesiąt tysięcy dolarów, żeby móc zapoło wać na lwy i słonie. Nadaje im w ten sposób o wiele większą wartość, niż ma ją zwykłe bydło czy trzoda, i dlatego rząd Zimbabwe zgadza się na wydzielenie milionów akrów ziemi, na której żyją dzikie zwierzęta, i dostajemy koncesję. Mamjąrownież

1 zamierzam uchronić swój teren przed kłusownikami i hodowcami bydła, a także sprawić, żeby było tu pełno zwierzyny, która przyciągnie myśliwych. Nie, kotku, legalne safari jest jednym z najlepszych sposobów na zachowanie dzikiego życia w Afryce.

— Więc zamierzasz zachować te zwierzęta i dlatego zabijasz je z najskuteczniejszych strzelb? - zauważyła z pogardą Claudia.

— Najskuteczniejsze strzelby? - roześmiał się Sean. -

Kolejny bezsensowny zwrot powtarzany przez liberalne papugi.

Wolałabyś, żebym używał kiepskich strzelb? To tak jakby się domagać, żeby rzeźnik podrzynał krowom gardła tępym nożem.

30

jesteś inteligentną dziewczyną, więc spróbuj myśleć głową, a nie sercem. Pojedyncze zwierzę nie ma najmniejszego znaczenia. Jego całe życie zamyka się w kilku krótkich latach. W przypadku lwa, na którego polujemy, to jakieś dwanaście lat, nie więcej. Natomiast bezcenne jest zachowanie przy życiu gatunku. Nie pojedynczego zwierzęcia, ale całego gatunku. Nasz lew jest już starym zwierzęciem, którego życie i tak dobiega końca. Wcześniej zapewniał bezpieczeństwo samicom i młodym oraz przekazywał swoje geny następnym pokoleniom. Za rok czy dwa lata i tak musi umrzeć. O wiele lepiej będzie, jeśli jego śmierć przyniesie dziesięć tysięcy dolarów, które zostaną spożytkowane na stworzenie jego potomkom bezpiecznych warunków do życia, niż pozwolić, żeby to miejsce zapełniło się czarną tłuszczą ze swoimi chudymi kozami.

— Mój Boże, co ja słyszę? - Claudia pokiwała ze smutkiem głową. - "Czarna tłuszczą"... słowa rasisty i fanatyka. To przecież ich ziemia, czemu nie mogą sami wybrać, gdzie chcą mieszkać?

— Oto logika pomyłonego liberała - roześmiał się Sean. -

Zdecyduj się, po czyjej stronie stoisz: pięknych i dzikich zwierząt czy pięknych i dzikich Murzynów? Nie możesz mieć jednego i drugiego; kiedy rozpoczyna się współzawodnictwo o miejsce do życia, dzikie zwierzęta zawsze je przegrywają z Murzynami, chyba że my, myśliwi, zapłacimy za nie rachunek.

To nie jest człowiek, z którym można bezpiecznie się spierać, pomyślała Claudia i poczuła ulgę, gdy ojciec wtrącił się do rozmowy, pozwalając jej zebrać myśli.

- Nie ma żadnej wątpliwości, po której stronie stoi moja kochana córeczka. Musisz pamiętać, Sean, że mówisz do członka

komisji zajmującej się przesiedlaniem Inuitów na ich tradycyjne tereny.

Claudia uśmiechnęła się słodko do ojca.

- Nie Innuici, tatusiu. Jeszcze ludzie pomyślą, że zupełnie zmiękłeś. Nawet nie Eskimosi... zazwyczaj nazywasz ich ciemniakami, nieprawdaż?

Riccardo przygładził siwe włosy na skroniach.

- Sean, opowiedzieć ci, jak moja córeczka i jej komisja ustalają, która część Alaski należy do Eskimosów? - zapytał.

31

- I tak ci opowie. - Claudia nachyliła się, żeby pogłaskać ojca po rękę. - To jego najlepsza historia. Bardzo śmieszna, na pewno ci się spodoba.

Riccardo mówił dalej, jakby jego córka w ogóle się nie odezwała.

— Udają się na ulicę Fourth w Anchorage, gdzie znajdują się wszystkie najgorsze knajpy, i zbierają kilku Eskimosów, którzy jeszcze trzymają się na nogach. Pakują ich do samolotów i lecąc nad półwyspem, pytają: "Powiedz nam, gdzie żyli twoi przodkowie. Pokaż wasze tradycyjne tereny łowieckie. Na przykład tamto jezioro, czy twoi przodkowie łowili w nim kiedyś ryby?". - Riccardo, który był świetnym aktorem, zmienił głos. - "Oczywiście!!" - krzyczy Eskimos z tylnego siedzenia, a oczy mu wychodzą z orbit od nadmiaru jacka danielsa. - "Mój dziadziuś łowił tam ryby". - Zmienił głos, naśladując teraz Claudię. - "A co z tamtymi górami na horyzoncie, które my, żli biali ludzie, ukradliśmy wam i nazywamy Brooks Range?"

Czy twój dziadek polował kiedyś w tych górach?" - Riccardo znowu przybrał głos pijanego Eskimosa. - "Jasne, człowieku. Zastrzelił tam od cholery niedźwiedzi. Pamiętam, że babcia mi o tym opowiadała".

— Nie przerywaj, tatusiu. Masz dziś wspaniałą publiczność. Pan Courtney z pewnością docenia twój dowcip - zachęciła go Claudia.

— Powiedzieć ci coś? - Riccardo zwrócił się do Seana. - Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś Eskimos odmówił przyjęcia góry czy jeziora, które mu proponowała Claudia. Czy to nie prawdziwy sukces? Moja córeczka ma wspaniałe osiągnięcia: ani jednej przegranej sprawy.

— No to masz niesamowitego farta, Szefie - rzekł Sean. - Przynajmniej coś ci może zostawią, tutaj zabrali wszystko.

Claudia obudziła się na dźwięk lekkiego stukotu porcelanowej zastawy dochodzącego sprzed namiotu i grzecznego kasznięcia Moseśa. Nikt jej jeszcze nie podawał herbaty do łóżka. Był to luksus, który zapewniał wyjątkowo przyjemne poczucie dekadencji. W namiocie było jeszcze zupełnie ciemno i okropnie zimno. Kiedy

32

Moses podniósł klapę wejściową, Claudia usłyszała chrzęst szronu. Nigdy nie przypuszczała, że w Afryce może być tak chłodno.

Usiadła na łóżku z kołdrą zarzuconą na ramiona i objąwszy obiema dłońmi gorącą filiżankę, patrzyła, jak Moses krząta się po namiocie. Nalał dzban gorącej wody do miednicy i powiesił czysty ręcznik na krześle. Następnie napełnił kubeczek ciepłą wodą i nawet wycisnął pastę z tubki na szczoteczkę. Wreszcie przyniósł rozgrzany koksownik i ustawił go na środku namiotu.

— Dzisiaj zimno, donna Claudia.

— I zbyt wcześnie - zgodziła się z nim sennym głosem.

— Donna Claudia, czy słyszałaś, jak lwy ryczały w nocy?

— Nic nie słyszałam. - Ziewnęła. Nawet gdyby przy jej

łóżku orkiestra dęta grała Najpiękniejszą Amerykę, to i tak by

to jej nie obudziło.

Moses ułożył na zapasowym łóżku jej ubranie. Claudia zauważyła, że buty są wypolerowane do połysku.

- Donna Claudia, jeśli czegoś potrzebujesz, to mnie zawo

faj - powiedział przed wyjściem z namiotu.

Wyskoczyła z łóżka i stała przez chwilę przy koksowniku, ogrzewając nad żarem spodnie, zanim je wciągnęła na siebie.

Kiedy wyszła na dwór, zobaczyła na niebie gwiazdy. Zatrzymała się z podniesioną głową i pomyślała, że wciąż ją zdumiewa, jak bardzo rozgwieżdżony firmament przypomina jubilerską robotę. Z pewną dumą znalazła Krzyż Południa, a potem podeszła do ogniska, przy którym czekali już na nią mężczyźni. Wyciągnęła ręce ku jasnym płomieniom.

- Nic się nie zmieniłaś od dziecka. - Ojciec uśmiechnął

się do niej. - Pamiętasz, jak każdego ranka musiałem się

namęczyć, żeby zwlec cię z łóżka i wysłać do szkoły? - Kelner

podał jej filiżankę herbaty.

Sean gwizdnął i Claudia usłyszała, jak Job zapuszcza silnik toyoty i podjeżdża do przedniej bramy obozowiska. Zaczęli wkładać na siebie ciepłe ubrania: golfy i anoraki, czapki i wełniane szaliki.

Kiedy podeszli do wozu, strzelby były już poukładane na stojakach, a Job i Szadrach, obaj z ludu Matabele, czekali z tyłu wozu. Między nimi stał malutki naganiacz z plemienia Ndorobo który sięgał Claudii zaledwie do pachy, ale miał wyjątkowo

ujmujący uśmiech i jasne, złośliwe oczy. Claudia lubiła całą murzyńską załogę obozu, ale Matatu był jej faworytem. Przypominał jednego z krasnali z Królowny Śnieżki. Trzej Murzyni byli ubrani w długie wojskowe kurtki i zrobione na drutach czapki balaclava* i wszyscy odpowiedzieli śnieżnobiałymi uśmiechami na przywitanie Claudii. W obozie nie było osoby, która by jej nie polubiła od pierwszego wejrzenia.

Sean zajął miejsce za kierownicą. Claudia usiadła również na przednim siedzeniu między nim a Riccardem. Skuliła się na swoim miejscu i przytuliła mocno do ojca. W ciągu tych kilku dni jej pierwszego safari szybko polubiła taki początek dnia.

Jechali wolno po nierównej ścieżce, a kiedy noc zaczęła ustępować przed świtem, Sean zgasił światła.

Claudia spoglądała na gęsty las i zarośniętą trawą przecinki, które Sean nazywał vleis, i usiłowała pierwsza dostrzec jakieś nieznane sobie, piękne zwierzę. Zawsze jednak to Sean lub ojciec szeptali jej:

"Kudu po lewej". Albo "To jest antylopa trzcinowa". Także Matatu nachylał się z tylnego siedzenia i dotykając delikatnie jej ramienia, wskazywał malutką, różową dłońią jakiś rzadki widok.

Zakurzona droga była pokryta śladami zwierząt, które przechodziły tędy w nocy. W pewnej chwili natrafili na świeże odchody słonia, które jeszcze parowały w chłodzie poranka, i wszyscy wysiedli z wozu, żeby przyrzeć się sięgającej kolan kupie. Z początku Claudia miała pewne wątpliwości co do nieustannego zainteresowania odchodami, ale szybko się przyzwyczała.

— Staruszek - powiedział Sean. - To już jego ostatnie zęby.

— Skąd wiesz? - zapytała Claudia.

— Nie może przeżuć pokarmu - odparł. - Spójrz na te

gałązki i liście, są niemal nienaruszone.

Matatu uklęknął przy tropie, przyglądając się uważnie okrągłym śladom, wielkim jak pokrywy od pojemników na śmieci.

- Zobacz, jak gładkie są podeszwy - rzekł Sean. - Wytarte

jak zużyte opony. Jest stary i wielki.

Kominiarki.

34

— Czy to on? - spytał Riccardo i rzucił wzrokiem na .416

rigby, który stał w stojaku za przednim siedzeniem.

— Matatu nam powie. - Sean wzruszył lekko ramionami.

Mały Ndorobo splunął na ziemię i wstając, potrząsnął niechętnie głową. Następnie powiedział coś do Seana śpiewnym i wysokim suahili.

— To nie ten, którego szukamy. Matatu zna tego samca -

przetłumaczył Sean. - Widzieliśmy go w zeszłym roku nad

rzeką. Jeden z kłów ma złamany u nasady, a drugi jest starty do

połowy. Kiedyś musiały być wspaniałe, ale jest już daleko po

drugiej stronie wzgórza.

— Chcesz powiedzieć, że Matatu może rozpoznać poszczegół

nego słonia po śladach stóp? - spytała z niedowierzaniem

Claudia.

— Matatu może rozpoznać poszczególnego bawołu w stadzie złożonym z pięciuset zwierząt i dwa lata później pozna go po śladach kopyt. - Sean trochę przesadzał na jej użytek. - Matatu nie jest naganiaczem, ale czarownikiem.

Ruszyli dalej, a wokół nich zdarzały się różne cudowne rzeczy. Byk kudu, szary niczym duch i poznaczony białymi kredowymi prążkami, o gęstej grzywie i garbatym grzbiecie, z poskręcanyymi rogami błyszczącymi w porannym półmroku, schował się przed samochodem do lasu. W światłach reflektorów ujrzeli żenetę wracającą z nocnego polowania; nakrapiana i złocista niczym miniaturowy leopard wyglądała na nich ze zdziwieniem z brązowej trawy na krawędzi lasu. Stado krzyczących perliczek z woskowatymi hełmami na głowach przebiegło przez trawę przy trakcie i Claudia nie musiała już ciągle pytać: "Co to za ptak?". Albo "Jak się nazywa to zwierzę?". Zaczynała już rozpoznawać niektóre z nich, co zwiększało przyjemność porannej wyprawy.

Przed samym wschodem słońca Sean zaparkował toyotę u stóp skalistego wzgórza, które wyrastało nieoczekiwanie z lasu. Wysiedli zdrętwiali z wozu i pozdejmowali z siebie ciepłe kurtki. Zaczęli wspinać się na wzgórek stromą, nierówną ścieżką długości jakichś stu metrów. Zbliżając się do szczytu, Claudia musiała ukrywać urywany oddech. Okazało się, że Sean doskonale wymierzył czas, gdyż w chwili kiedy osiągnęli wierzchołek, zza

35

odległego lasu wyłoniło się słońce i oświetliło ziemię, malując ją jasnymi, czystymi kolorami.

Rozejrzeli się po otaczającym ich lesie i polankach porośniętych złocistą trawą, które prowadziły ku następnym wzgórzom przywodzącym na myśl baśniowe lasy ozdobione wieżyczkami i basztami. Niektóre pagórki były zastane czarnymi skałami i wyglądały jak pozostałości z dnia stworzenia.

Wspinaczka rozgrzała wszystkich. Zrzucili z siebie grube swetry. Pierwsze promienie słońca zapowiadały upalny dzień. Sean, Riccardo i Claudia usiedli na krawędzi wzgórza, oglądając przez lornetki rozciągającą się przed nimi panoramę. Za nimi Job rozłożył pudło z prowiantem i w ciągu dziesięciu minut rozpałił ognisko. Kiedy wyruszyli z obozu, było jeszcze za wcześnie na posiłek, ale teraz, czując zapach bekonu i jajek, Claudii napłynęła ślina do ust.

W oczekiwaniu na śniadanie Sean objaśniał im teren.

— Tam jest granica z Mozambikiem, zaraz za tym drugim wzgórzem; nie więcej niż dziesięć, dwanaście kilometrów stąd.

— Mozambik - wymruczała Claudia, przyglądając się lasowi przez lornetkę. - Ta nazwa ma w sobie coś romantycznego.

— Nie za bardzo. To kolejny triumf afrykańskiego socjaliz

mu... starannie wypracowanej polityki ekonomicznego chaosu

i zniszczenia - burknął Sean.

— Mój żołądek nie znosi rasizmu przed śniadaniem - od

powiedziała chłodno Claudia.

— W porządku. - Sean wyszczerzył wesoło zęby. - Wy

starczy powiedzieć, że za tą granicą jest dwanaście lat marksizmu,

korupcji, chciwości i niekompetencji, które właśnie przynoszą

pierwsze owoce. Trwa tam wojna domowa, nad którą nikt nie

panuje, doskwiera głód, który najpewniej zabije milion ludzi,

i szerzą się epidemie, w tym AIDS, które zabiją jakiś następny

milion w ciągu najbliższych pięciu lat.

— Wygląda na wspaniałe miejsce na wakacje - zażartował

Riccardo. - Job, co ze śniadaniem?

Job podał im talerze z jajecznicą na bekonie i tostami oraz po kubku mocnej kawy. Śniadanie jedli, trzymając talerze na kolanach i przyglądając się przez lornetki lasom.

- Job, jesteś świetnym kucharzem - pochwaliła go Claudia.

36

- Dziękuję, pani - odparł cicho Job.

Murzyn mówił po angielsku z ledwo wyczuwalnym akcentem. Był to trzydziestokilkuletni wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna z szeroko rozstawionymi, inteligentnymi oczami i przystojną, okrągłą twarzą świadczącą o powiązaniu ludu Matabele z Zulusami.

— Gdzie się nauczyłeś gotować? - spytała Claudia. Matabele

zawahał się przez chwilę i rzucił spojrzenie Seanowi, zanim

odpowiedział głębokim i miękkim głosem:

— W armii, proszę pani.

— Job był kapitanem w oddziale Ballantine Scouts, Zwiadow

ców Ballantyne'a. Służył razem ze mną.

— Kapitanem! - zdziwiła się głośno Claudia. - Nie wie

działam, że... - umilkła szybko, rzucając na Joba zawstydzone spojrzenie.

— Nie wiedziałaś, że w rodezyjskiej armii służyli czarni oficerowie - dokończył za nią Sean. - Afryka jest trochę inna, niż to pokazują w stacji CBS.

Szadrach, drugi naganiacz, siedział pięćdziesiąt metrów dalej na krawędzi wzgórza, skąd miał lepszy widok na północ i teraz zagwizdał cicho, i wskazał w tamtą stronę. Sean wytarł chlebem resztki jajka z talerza, włożył do ust, a talerz oddał Jobowi.

— Dzięki, Job, to było wspaniałe. - Następnie podszedł do Szadracha. Przez chwilę przyglądali się lasowi.

— O co chodzi? - spytał niecierpliwie Riccardo.

— Słoń - odpowiedział Sean.

Riccardo i Claudia poderwali się na nogi i podbiegli do krawędzi.

— Gdzie? Gdzie? - dopytywała się Claudia.

— Duży? - spytał Riccardo. - Możesz dostrzec jego kły?

Czy to on?

— Za daleko, żeby mieć pewność. Ponad trzy kilometry. -

Sean wskazał niewyraźny szary kształt pomiędzy drzewami.

Claudia była zdziwiona, że tak trudno dostrzec tak duże zwierzę.

Po kilku minutach słoń poruszył się lekko i dopiero wtedy go spostrzegła.

— Jak myślisz? - zapytał Riccardo. - Czy to może być

Tukutela?

— To może być on. - Sean skinął głową. - Ale stawiam tysiąc do jednego, że to inny słoń.

37

odległego lasu wyłoniło się słońce i oświetliło ziemię, malując ją jasnymi, czystymi kolorami.

Rozejrzeli się po otaczającym ich lesie i polankach porośniętych złocistą trawą, które prowadziły ku następnym wzgórzom przywodzącym na myśl baśniowe lasy ozdobione wieżyczkami i basztami. Niektóre pagórki były zastane czarnymi skałami i wyglądały jak pozostałości z dnia stworzenia.

Wspinaczka rozgrzała wszystkich. Zrucili z siebie grube swetry. Pierwsze promienie słońca zapowiadały upalny dzień. Sean, Riccardo i Claudia usiedli na krawędzi wzgórza, oglądając przez lornetki rozciągającą się przed nimi panoramę. Za nimi Job rozłożył pudło z prowiantem i w ciągu dziesięciu minut rozpałił ognisko. Kiedy wyruszali z obozu, było jeszcze za wcześnie na posiłek, ale teraz, czując zapach bekonu i jajek, Claudii napłynęła ślina do ust.

W oczekiwaniu na śniadanie Sean objaśniał im teren.

— Tam jest granica z Mozambikiem, zaraz za tym drugim wzgórzem; nie więcej niż dziesięć, dwanaście kilometrów stąd.

— Mozambik - wymruczała Claudia, przyglądając się lasowi przez lornetkę. - Ta nazwa ma w sobie coś romantycznego.

— Nie za bardzo. To kolejny triumf afrykańskiego socjalizmu... starannie wypracowanej polityki ekonomicznego chaosu i zniszczenia - burknął Sean.

— Mój żołądek nie znosi rasizmu przed śniadaniem - od powiedziała chłodno Claudia.

— W porządku. - Sean wyszczerzył wesoło zęby. - Wy starczy powiedzieć, że za tą granicą jest dwanaście lat marksizmu, korupcji, chciwości i niekompetencji, które właśnie przynoszą pierwsze owoce. Trwa tam wojna domowa, nad którą nikt nie panuje, doskwiera głód, który najpewniej zabije milion ludzi, i szerzą się epidemie, w tym AIDS, które zabiją jakiś następny milion w ciągu najbliższych pięciu lat.

— Wygląda na wspaniałe miejsce na wakacje - zażartował

Riccardo. - Job, co ze śniadaniem?

Job podał im talerze z jajecznicą na bekonie i tostami oraz po kubku mocnej kawy. Śniadanie jedli, trzymając talerze na kolanach i przyglądając się przez lornetki lasom.

- Job, jesteś świetnym kucharzem - pochwaliła go Claudia.

- Dziękuję, pani - odparł cicho Job.

Murzyn mówił po angielsku z ledwo wyczuwalnym akcentem. Był to trzydziestokilkuletni wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna z szeroko rozstawionymi, inteligentnymi oczami i przystojną, okrągłą twarzą świadcząca o powiązaniu ludu Matabele z Zulusami.

— Gdzie się nauczyłeś gotować? - spytała Claudia. Matabele

zawahał się przez chwilę i rzucił spojrzenie Seanowi, zanim

odpowiedział głębokim i miękkim głosem:

— W armii, proszę pani.

— Job był kapitanem w oddziale Ballantine Scouts, Zwiadow

ców Ballantyne'a. Służył razem ze mną.

— Kapitanem! - zdziwiła się głośno Claudia. - Nie wie

działam, że... - umilkła szybko, rzucając na Joba zawstydzone

spojrzenie.

— Nie wiedziałaś, że w rodezyjskiej armii służyli czarni

oficerowie - dokończył za nią Sean. - Afryka jest trochę inna,

niż to pokazują w stacji CBS.

Szadrach, drugi naganiacz, siedział pięćdziesiąt metrów dalej na krawędzi wzgórza, skąd miał lepszy widok na północ i teraz zagwizdał cicho, i wskazał w tamtą stronę. Sean wytarł chlebem resztki jajka z talerza, włożył do ust, a talerz oddał Jobowi.

— Dzięki, Job, to było wspaniałe. - Następnie podszedł do

Szadracha. Przez chwilę przyglądali się lasowi.

— O co chodzi? - spytał niecierpliwie Riccardo.

— Słoń - odpowiedział Sean.

Riccardo i Claudia poderwali się na nogi i podbiegli do krawędzi.

— Gdzie? Gdzie? - dopytywała się Claudia.

— Duży? - spytał Riccardo. - Możesz dostrzec jego kły?

Czy to on?

— Za daleko, żeby mieć pewność. Ponad trzy kilometry. -

Sean wskazał niewyraźny szary kształt pomiędzy drzewami.

Claudia była zdziwiona, że tak trudno dostrzec tak duże zwierzę.

Po kilku minutach słoń poruszył się lekko i dopiero wtedy go spostrzegła.

— Jak myślisz? - zapytał Riccardo. - Czy to może być

Tukutela?

— To może być on. - Sean skinął głową. - Ale stawiam

tysiąc do jednego, że to inny słoń.

37

Tukutela. Claudia słyszała, jak mężczyźni rozmawiali o tym słoniu przy ognisku. Tukutela, Rozłuszczony Słoń, to jedno z legendarnych zwierząt, których niewiele zostało już w całej Afryce. Był to olbrzymi samiec z wielkimi ciosami, z których każdy ważył prawie pięćdziesiąt kilogramów. To właśnie dla Tukuteli ojciec Claudii po raz ostatni przyjechał do Afryki. Riccardo widział już kiedyś tego słonia. Trzy lata wcześniej był na safari z Seanem Courtneyem i obaj podążali przez pięć dni za wspaniałym okazem, prowadzeni przez Matatu, który znalazł i śledził trop zwierzęcia przez ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, aż wreszcie zaprowadził ich do słonia. Udało im się podkraść na odległość dwudziestu kroków do Tukuteli zajętego zjadaniem owoców z drzewa marula. Z tej odległości mogli zobaczyć każdą zmarszczkę i załamanie na jego starej skórze. Byli tak blisko, że mogli policzyć kilka pozostałych w ogonie włosów, ale ich uwagę przyciągnęły niewiarygodnie duże siekacze.

Riccardo Monterro czuł, że zapłaciłby każdą cenę, żeby osiąść te siekacze jako trofeum. Zapytał Seana szeptem:

— Czy nie ma sposobu, żebym mógł na niego zapolować? -

I zobaczył, jak ten się przez chwilę waha, zanim potrząsnął przecząco głową.

— Nie, Szefie. Nie możemy go nawet tknąć. To by nas

kosztowało więcej niż tylko moją licencję i koncesję. - Z szyi

Tukuteli zwiisał kołnierz z nylonu, twardy i gruby jak opona, na którego końcu zawieszono nadajnik.

Kilka lat wcześniej członkowie rządowego programu badań nad słoniami uśpili słonia, strzelając z helikoptera, a kiedy leżał nieprzytomny na ziemi, zawiesili mu na szyi kołnierz z nadajnikiem. W ten

sposób Tukutela stał się oznakowanym zwierzęciem badawczym, co uczyniło go nietykalnym dla legalnych myśliwych na safari, choć oczywiście mógł zginąć z rąk kłusowników.

Podczas gdy zwierzę znajdowało się pod wpływem środków usypiających, doktor Glynn Jones, kierujący badaniami rządowy weterynarz, zmierzył siekacze słonia. Raport doktora nie miał być podany do wiadomości publicznej, ale sekretarka weterynarza, piękna i młoda blondynka, uznała, że Sean Courtney jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu. Przeczytała więc mu cały dokument.

38

- Z pomiarów Jonesa wynika, że jeden siekacz waży pięć dziesiąt osiem kilogramów, a drugi jest o kilka kilogramów lżejszy - wyszeptał Sean Riccardowi do ucha, gdy leżeli kilkanaście kroków od słonia i obaj z pożądaniem szacowali wartość ciosów.

U nasady były równie grube jak udo Seana i dopiero znacznie niżej zaczynały się zwężać. Były niemal czarne od soków rozgniatanych roślin, a ich końce lekko stępione. Według doktora Jonesa lewy siekacz miał dwieście pięćdziesiąt pięć centymetrów, a prawy dwieście sześćdziesiąt centymetrów długości.

Wreszcie obaj mężczyźni wycofali się i zostawili słonia jego samotnym wędrownikom. Pół roku temu sekretarka doktora, która właśnie przygotowywała śniadanie dla Seana w swoim małym mieszkaniu na Avenues w Harare, rzuciła zdawkowo:

- Wiesz, że Tukutela zrzucił kołnierz?

Sean, który leżał zupełnie nagi na jej łóżku, poderwał się na nogi.

— Co powiedziałaś?

— Jones strasznie się wściekł. Namierzyli go kierunkowym odbiornikiem radiowym, ale znaleźli jedynie sam kołnierz. Tu kutela zerwał jakoś tę obrozę i zarzucił na czubek drzewa msasa.

— Moja ty przebiegła, mała ślicznotko! - zawołał uszczęśliwiony Sean. - Chodź do mnie odebrać swoją nagrodę. -

Dziewczyna zsunęła z siebie szlafroczek i podbiegła do łóżka.

Od kiedy Tukutela pozbył się kołnierza, przestał być zwierzęciem wyznaczonym do celów badawczych i stał się legalnym celem dla myśliwych. Tego samego dnia Sean wysłał teleks do Riccarda na Alaskę, a już następnego popołudnia otrzymał odpowiedź:

PRZYJEŹDŹAM STOP ZAREZERWUJ MI SAFARI OD 1 LIPCA DO 15 SIERPNIA STOP CHCĘ TEGO JUMBO
STOP SZEŃ

Riccardo wpatrywał się ze szczytu wzgórza w niewyraźną szarą smugę pomiędzy drzewami i drżał z podniecenia.

Stojąca trochę z tyłu Claudia przyglądała mu się z nieukrywanym zdziwieniem. Przecież to jej ojciec, którego znała jako najbardziej przebiegłego człowieka interesu i prawdziwego znaw-

39

cc savoir-faire. Widziała, jak bez żadnych emocji negocjował warunki dziesięciomilionowego kontraktu lub rzucał książęce stawki na stół w Vegas. Teraz jednak drżał jak uczeń na pierwszej randce. Poczła nagły przypływ tkliwości.

Nie rozumiałam, ile to dla niego znaczy, pomyślała. Może jestem dla niego zbyt ostra? To przecież ostatnia rzecz, jakiej może jeszcze pożądać w życiu. Poczła potrzebę objęcia ojca i powiedzenia mu: "Przepraszam, tatusiu. Tak mi przykro, że usiłowałam cię pozbawić tej ostatniej przyjemności".

Riccardo nie był nawet świadom jej obecności.

- To może być Tukutela - powtórzył cichym głosem, mówiąc do siebie, jakby to przeświadczenie sprawiło, że ujrzy wymarzonego słonia.

Sean potrząsnął przecząco głową.

— Ustawiłem czterech dobrych tropicieli nad rzeką. Tukutela nie mógłby jej przekroczyć bez ich wiedzy. Poza tym jest jeszcze za wcześnie na niego. Nie przypuszczam, żeby opuścił dolinę, zanim wyschną ostatnie sadzawki wzdłuż skarpy; można się go spodziewać za jakiś tydzień czy dziesięć dni.

— Mógł się jakoś prześliznąć. - Riccardo zignorował rozumowanie Seana. - To nie jest niemożliwe.

— Oczywiście zejdziemy tam i przyjrzymy mu się z bliska. -

Sean skinął zgodnie głową.

Podniecenie Riccarda nie dziwiło go tak, jak zaskoczyło Claudię. Sean potrafił zrozumieć jego emocje, widział je już u pięćdziesięciu innych swoich klientów podobnych do Riccarda... silnych, agresywnych mężczyzn, którzy odnieśli sukces i nie usiłowali nawet ukrywać czy kontrolować swoich instynktów.

Żyłka myśliwska była częścią natury każdego mężczyzny; niektórzy się jej opierali lub zagłuszali ją w sobie, inni wyrażali tę skłonność w upodobaniu do golfa czy tenisa, zastępując w ten sposób białą piłką żywą ofiarę, jednakże mężczyźni w typie Riccarda Monterra oddawali się swojej pasji bez reszty i nic ich nie potrafiło usatysfakcjonować poza dreszczem emocji podczas pościgu i śmiertelnego strzału.

- Szadrach, przynieś banduki Bwany! - zawołał Sean. -

Job, nie zapomnij o manierkach z wodą. Matatu, akwendi, idziemy.

Ruszyli w dół zbocza, skacząc z kamienia na kamień. Dopiero

40

na dole ustawili się w ustalonym szyku: Matatu na czele szeregu, za nim Job i Sean doświadczonym wzrokiem wyszukujący niebezpieczeństwa, w środku klienci, a na końcu Szadrach ze strzelbą, którą w razie potrzeby mógł szybko podać Riccardowi. Biegli szybko, ale minęła prawie godzina, zanim Matatu znalazł ślady wielkich, okrągłych wgłębień w miękkiej ziemi i rozrzucone wokół, objedzone z liści gałązki, które - już bezużyteczne - słoń rzucał za siebie. Matatu zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do reszty grupy, wydając przenikliwe okrzyki zawodu.

- To nie Tukutela. To stary słoń z jednym kłem - prze

tłumaczył pozostałym Sean. - Ten sam, którego ślad widzieliśmy

dziś rano na drodze. Zatoczył koło.

Claudia przyglądała się ukradkiem ojcu i kiedy spostrzegła, jak bardzo rozczarowała go ta wiadomość, poczuła bolesne ukłucie w sercu.

Nikt się nie odzywał w czasie drogi powrotnej, ale gdy dotarli do toyoty, Sean zauważył cicho:

- Szefie, wiedziałeś, że nie pójdzie tak łatwo, co nie?

Uśmiechnęli się do siebie.

— Oczywiście masz rację. Tak naprawdę liczy się polowanie.

Jak już zabijesz zwierzę, masz do czynienia tylko z martwym mięsem - rzekł Riccardo.

— Tukutela przyjdzie - obiecał Sean. - To jego szlak.

Przyrzekam ci, że będzie tu przed nową fazą księżyca, a tym czasem mamy jeszcze lwa. Pojedziemy sprawdzić przynętę i zobaczymy, czy Fryderyk Wielki zaszczycił nas swoją obecnością.

Potrzebowali dwudziestu minut, żeby dotrzeć do koryta wyschniętej rzeki i wiszącej na drzewie przynęty. Zostawili toyotę zaparkowaną na łasze piachu. Na widok śladów łap lwicy przy kryjówce Claudia przypomniała sobie z biciem serca swój lęk poprzedniego wieczoru. Sean rozmawiał podnieconym głosem z naganiaczami, a Matatu wydawał krótkie okrzyki jak wystraszona perliczka.

— Co się dzieje? - spytała Claudia, ale nikt jej nie odpowiedział. Musiała bez słowa podążać za nimi przez tunel w trawie do zawieszonych na dzikiej fidze resztek bawołu.

— Może ktoś mi powie, co się dzieje. - Zniecierpliwiła się wreszcie, ale nie zbliżyła się do przynęty. Z tej odległości smród

41

wydawał się jej niemożliwy do zniesienia. Jednakże mężczyźni nie okazywali wstrętu, gdy oglądali z bliska gnijące ścierwo. Nawet ona potrafiła dostrzec, jak bardzo bawół zmienił się od zeszłego wieczoru.

Poprzedniego dnia na drzewie wisała prawie nienaruszona tusza, ale w ciągu nocy niemal połowa została pożarta. Z bawołu ostała się jedynie głowa i grzbiet. Sean musiał wręcz stanąć na palcach, żeby dosięgnąć przynęty. Kręgosłup i żebra zostały zgniecione potężnymi zębami na miazgę, a czarna skóra rozdarta pazurami zwisała jak porwana flaga żałobna.

Podczas gdy Sean i naganiacze oglądali resztki przynęty, Matatu badał ziemię wokół drzewa, wydając przy tym dźwięki jak pies gończy, który szuka śladu. Sean wyjął coś z rozprutego cielska i kiedy pokazał znalezisko Riccardowi, obaj mężczyźni roześmiali się z radości, podając to coś naganiaczom.

— Czy ktoś mi łaskawie wyjaśni sytuację? - spytała rozeźlonym głosem Claudia, na co Sean odwrócił się do niej.

— Musisz podejść bliżej.

Niechętnie, zatykając nos palcami, zbliżyła się do grupy. Sean wyciągnął do niej rękę. Na różowej dłoni leżał czarny, gruby włos niemal tak długi jak jej własne.

- Co to jest?

Riccardo ujął włos w dwa palce. Claudia kątem oka zauważyła, że przedramiona ojca są pokryte gęsią skórą, a ciemne oczy błyszczą jak rzadko kiedy.

- To włos z grzywy samca.

Wziął ją za rękę i podprowadził do pnia.

- Spójrz na to. Zobacz, co znalazł Matatu.

Wskazując na zdeptaną ziemię, mały tropiciel uśmiechał się dumny ze swojego odkrycia. Pięć lwiatek i dwie lwice stratowały dokładnie miękką ziemię pod drzewem, ale w plątaninie śladów jeden był bardzo wyraźny. Wydawał się dwa razy większy od pozostałych, niemal tak duży jak talerz do zupy. Przyglądając mu się, Claudia poczuła, jak ogarnia ją ponownie strach. Zwierzę, które zostawiło ten odcisk, musiało mieć monstrialne rozmiary.

- Przyszedł zeszłej nocy, gdy lwice nas odpędziły. Czekał, aż księżyc się schowa, i wyszedł w najciemniejszej godzinie -

42

wyjaśnił Sean. - Zniknął przed świtem. Zjadł w krótkim czasie prawie połowę cholernego bawołu i uciekł, zanim zrobiło się jasno. Mówiłem ci, że to stary chytrus.

— To był lew? - spytała Claudia.

— Nie jakiś tam zwykły lew. - Riccardo potrząsnął przecząco głową. - Sam Fryderyk Wielki przyszedł tu w nocy.

Sean odwrócił się i skinął na swoich ludzi, żeby się zbliżyli. Job, Szadrach i Matatu ukucnęli obok niego w kółku i zaczęli planować polowanie, omawiając taktykę i rozpracowując szczegóły. Minęła godzina, zanim Sean podniósł się z ziemi i podszedł do miejsca, gdzie Claudia i Riccardo zostawieni sami sobie przykucnęli w cieniu.

— Cały dowcip polega na tym, żeby go tu zwabić przed zachodem słońca - powiedział. - Zgodziliśmy się wszyscy, że aby się to udało, musimy powiesić następną przynętę i zbudować nową kryjówkę. Lwice zwąchały już tu niebezpieczeństwo, więc stary Fred będzie podejrzliwy jak jasna cholera. Jeśli nie uda nam się go jakoś zwabić, to nigdy nie wyjdzie przed wieczorem. - Sean usiadł między ojcem a córką i przez chwilę milczał. - Szefie, czasami dla dobrego przyjaciela, kogoś, komu ufam, jestem gotów nagiąć nieco przepisy - odezwał się powoli, rysując końcem patyka w piasku między nogami. Nie patrzył na Riccarda.

— Co masz na myśli? - spytał Riccardo.

— Możliwe, że jest tylko jeden sposób, żeby dostać tego

Lwa - wyjaśnił cicho Sean. - Oślepić go.

Przez chwilę panowała cisza. Claudia nie wiedziała, co to znaczy "oślepić lwa", ale zdawała sobie sprawę, że Sean zaproponował coś nieuczciwego, a nawet nieprzyzwoitego, i że jej ojciec walczy właśnie z pokusą przyjęcia tej propozycji. Poczuła złość na Seana, że kusi jej ojca, ale wiedziała, że nie powinna się wtrącać. Siedziała więc w milczeniu i w myślach starała się nakłonić ojca, żeby odmówił.

Riccardo wreszcie potrząsnął przecząco głową.

— Nie, zrobmy to jak trzeba.

— Możemy spróbować. - Sean wzruszył ramionami. - Ale strzelano już kiedyś do niego przy przynęcie i był ranny. To nie będzie łatwe. - Milczał przez pełną minutę. W końcu dodał: -

43

Lew jest zwierzęciem nocnym. Noc jest jego porą. Jeśli naprawdę chcesz dostać tego lwa, to chyba musisz wziąć go w ciemności. Riccardo westchnął ciężko i znowu potrząsnął głową.

- Chcę go, i to bardzo, ale nie aż tak, żeby zabić go bez szacunku.

Sean wstał.

— Szefie, to twoje safari - zgodził się cichym głosem. -

Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie ma wielu ludzi, którym złożyłbym taką propozycję. Tak naprawdę to nie znam nikogo innego, dla kogo bym to zrobił.

— Wiem - odparł Riccardo. - I dziękuję ci.

Sean podszedł do drzewa, żeby zawiesić padlinę tak, aby mogły jej dosięgnąć lwice. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu, Claudia spytała ojca:

— Oślepić? Co to znaczy?

— To polega na oślepieniu zwierzęcia snopem światła w głąbokich ciemnościach i zastrzeleniu go. To jest nielegalne, nawet bardzo nielegalne.

- A to drań - powiedziała z goryczą Claudia.

Riccardo nie zareagował na słowa potępiające przyjaciela,

mówił dalej tym samym spokojnym głosem:

— Sean był gotów zaryzykować dla mnie swoją karierę. To jedna z najlepszych rzeczy, jaką ktokolwiek dla mnie w życiu zrobił.

— Jestem dumna z ciebie, że odmówiłeś, a Sean to ostatni drań.

— Nic nie rozumiesz - odparł ojciec. - Nawet nie chcesz zrozumieć.

Kiedy wstał i odszedł, Claudia poczuła wyrzuty sumienia. Właśnie, że rozumiała. Zrozumiała, że to jego ostatni lew i że ona psuje mu przyjemność polowania na niego. Czuła się rozdarta między miłością do ojca a przekonaniem każącymi jej bronić tego pięknego zwierzęcia.

Przecież właściwe postępowanie powinno przychodzić z łatwością, pomyślała. A tak rzadko się to zdarza.

Przez następne dni polowali na lwa z zachowaniem etyki myśliwskiej. Musieli zdobyć mięso na przynętę dla samca i lwic, więc Riccardo zastrzelił następnego bawołu, którego wskazał mu

44

Sean. Była to najpierw kolejna stara bezpłodna krowa, a dwa dni później zniedołężniały byk z rogami, które starły się niemal do samych nasad, i żebrami, które można było policzyć przez upapraną zaschniętym mułem skórę.

Każdego dnia Sean przenosił przynętę lub przesuwiał wykonaną z trawy kryjówkę, starając się znaleźć miejsce, na które samiec odważyłby się wyjść w biały dzień. Wieczór w wieczór siedzieli w kryjówce aż do zapadnięcia zmroku, a potem wracali do obozu zrezygnowani i przygnębieni. Kiedy przychodzili rano, znajdowali ślady wielkiego lwa, który, pożarłszy w nocy część przynęty, zniknął przed świtem.

Klnąc zwierzę w żywy kamień, Sean zmienił taktykę. Zniżył zawieszony na łańcuchu resztki bawołu tak, żeby mogły go dosięgnąć lwice i wyrosnięte lwiątko. Ze zwierzęcia została już prawie tylko skóra i kości. Pół kilometra dalej w górę biegu rzeki powiesił świeżą padlinę na samotnym drzewie, które stało na małej polance otoczonej sięgającą ramion suchą trawą. Ta przynęta wisiała na takiej wysokości, że mógł jej dosięgnąć jedynie dorosły samiec. Sean miał nadzieję, że nieniekajony przez resztę stada lew odważy się wyjść na polankę w ciągu dnia.

By zmylić i uspokoić podejrzliwe zwierzę, Sean wybrał na kryjówkę miejsce na rozwidlonych konarach drzewa tekowego rosnącego po drugiej stronie koryta rzeki. Pięć metrów nad ziemią umieszczono osłoniętą trawą platformę, z której polujący mieli dobry widok przez piaszczyste koryto na drzewo.

Sean nie wyciął tym razem całej trawy rosnącej dookoła drzewa z przynętą. Miał nadzieję, że lew będzie w ten sposób czuł się dobrze osłonięty, wychodząc na żer. Na polecenie Seana wytyczono w trawie jedynie wąską ścieżkę, nie szerszą niż sam lew, która otwierała się na platformę po drugiej stronie rzeki.

- Szefie, jeśli Fred przyjdzie, to będziesz musiał poczekać,

aż stanie na tylnych łapach i dobierze się do mięsa - wyjaśnił

Sean, gdy o pierwszej po południu wspięli się na platformę. Było

gorące i leniwe popołudnie.

Sean pozwolił Claudii zabrać ze sobą Pożegnanie z Afryką Karen Blixen.

- Pod warunkiem że nie będziesz szeleścić kartkami -

przestrzegł ją.

45

Lwice z małymi przyszyły tego dnia wcześniej. Do tego stopnia przyzwyczały się już pożywiać podsuniętą im padliną, że nie okazywały żadnego strachu. Najpierw podeszły do świeżego mięsa zawieszono wysoko nad trawiastą przecinką i przez długą chwilę przyglądały się mu z tęsknotą. Obie lwice spróbowały dobrać się do niego, ale było o kilka centymetrów poza ich zasięgiem.

Oczy młodej lwicy były zainfekowane i czerwone od piachu po strzale Seana nad rzeką. Po policzkach ściekały jej łzy, a powieki miała opuchnięte i zaczerwienione. Ale dosyć szybko się zagoiły, opuchlizna ustąpiła i jedynie w kąciakach oczu pozostały ślady żółtego śluzu.

Po kilku próbach lwice się poddały i zaprowadziły młode do śmierdzącej już padliny.

Z platformy słyszeli pomruki, jakie wydawało stado przy rozdzieraniu resztek pięćset metrów dalej. Potem, w miarę jak popołudnie zaczęło przechodzić w wieczór, odgłosy ucichły. Lwice nasyciły się i udały na spoczynek w cieniu.

Pół godziny przed zachodem słońca ustał nagle delikatny, ciepły wiatr, który wiał przez całe popołudnie, i zaległa dziwna cisza, tak charakterystyczna dla zapadającej nad afrykańską równiną nocy. Rzadkie, zimowe liście wisały zupełnie nieruchomo, żadne źdźbło pożółkłej trawy na brzegu po drugiej stronie się nie poruszyło. Nawet postrzępione papirusy przestały się kiwać i stały w bezruchu, jakby czegoś nasłuchując. Zrobiło się tak cicho, że Claudia podniosła wzrok znad książki. Zamknęła ją i siedziała, wsłuchując się w ciszę.

W pewnej chwili dobiegło ją zza rzeki kaszlnięcie antylopy leśnej, tak wyraźne i głośne, że mimo woli podskoczyła. Natychmiast poczuła na biodrze ostrzegawcze dotknięcie ręki Seana. Jednocześnie usłyszała, że ojciec oddycha bardzo szybko i płytko, jakby przebiegł długi dystans.

Cisza nabrała teraz złowieszczonego wymiaru, jakby cały świat wstrzymał oddech. Ojciec wypuścił lekko powietrze z płuc i Claudia spojrzała na niego kątem oka. Na jego twarzy rysował się wyraz niemego

uniesienia, przypominający zachwyty wiernego chrześcijanina, klękającego, żeby przyjąć komunię. O Boże, jaki on jest przystojny, pomyślała. Był tak ładnie opalony, szczupły

46

i silny, że gdyby nie siwe włosy na skroniach, wcale nie wyglądałby na swoje lata. Zdradziecka choroba, która toczyła jego ciało, nie ujawniała się na zewnątrz.

Podniecenie okazało się zaraźliwe. Claudia poczuła, że i w jej żyłach krew szybciej krąży. Słyszała wręcz bicie własnego serca. Odwróciła głowę w stronę, w którą patrzył ojciec. Wzrok Ric-carda skierowany był lekko w prawo, tam gdzie las stykał się z wysoką trawą porastającą polankę.

Jedyną żywą istotą, jaką dostrzegła, był szary ptak podobny do papugi, siedzący na górnej gałęzi wierzby leśnej. Sean powiedział jej, że jest znany jako "ptak uciekaj" z racji swojego ostrzegawczego krzyku, którym prześladował myśliwych. Ptak krzyknął przeraźliwie G'way! G'way!* i zaczął się wiercić na gałęzi. Wykręcał szyję, żeby dostrzec coś przez gęstą, wysoką trawę, wśród której stała wierzba leśna.

- Nadchodzi. Ptak go dostrzegł - szepnął jej do ucha Sean

i Claudia wyteńczyła wzrok, żeby to coś zobaczyć. - Patrz na

trawę. - Sean wskazał jej kierunek.

Wtedy nagle dostrzegła ruch. Koniuszki trawy drżały rozsuwane na boki przez poruszające się ostrożnie zwierzę, które kierowało się w stronę brzegu. Wyglądało to jak ślad pstrąga płynącego w mętnej wodzie, gdy ryba jest niewidoczna i jedynie drobne fale na powierzchni pokazują jej drogę.

Co jakiś czas ruch zamierał na drugie minuty.

- Teraz nasłuchuje i węszy - wyjaśnił Sean.

Claudia nigdy nie przypuszczała, że Sean może okazywać takie emocje, ale jego głos stał się nierówny i chrapliwy. Czubki traw ponownie poruszyła fala kierująca się ku drzewu z przynętą. Nagle jej ojciec wciągnął głęboko powietrze. W tej samej chwili Sean znowu ostrzegł Claudię. Zapewne chciał dotknąć jej biodra jak poprzednio, ale jego palce zacisnęły się na udzie.

Dotyk męskiej dłoni kompletnie ją sparaliżował, a uczucie to wzmogło się, gdy w tej samej chwili zobaczyła olbrzymie zwierzę. Lew przeszedł przez wycinkę w trawie stratowanej przez lwice i Claudia dojrzała czubek jego głowy. Gęsta, czarna i po-

* G'way (go away) - uciekaj, odejdz.

47

gmatwana grzywa chwiała się przy każdym dumnym kroku bestii. Przez ułamek sekundy Claudia widziała nawet skryte pod nią żółte oko.

Nigdy jeszcze nie spotkała tak groźnego i jednocześnie majestatycznego zwierzęcia. Mogła przyglądać mu się tylko przez krótką chwilę, zanim lew zniknął w gęstwinie trawy, ale widok ten poruszył ją do głębi, tym bardziej że ręka Seana wciąż spoczywała na jej udzie.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że jest bardzo podniecona. Ucisk w dolnej części brzucha, napór pęczniejących sutków na koszulę i wilgoć, jaką czuła między nogami, zaskoczyły ją kompletnie. Wezbrało w niej dzikie pragnienie rozchylenia ud tak, by ręka Seana mogła wśliznąć się głębiej. Zdawała sobie jednocześnie sprawę, że byłoby to okropne głupstwo. Gdyby miała scharakteryzować człowieka, który denerwował ją i urażał jej uczucia bardziej niż ktokolwiek inny, opis ten musiałby pasować jak ulał właśnie do Seana. Wiedziała, że jeśli okaże najmniejszą słabość, mężczyzna wykorzysta ją bez skrpułów. Nawet go nie lubię, przekonywała sama siebie. Jej nogi drżały coraz silniej i Sean musiał to wyczuć, a ona nie miała siły się poruszyć.

Wreszcie cofnął rękę, ale sposób, w jaki to zrobił, odczuła jako obrazę. Nie zdjął zwyczajnie dłoni, tylko uczynił z tego gestu pieśczętę, przy której jego palce prześliznęły się po udzie i biodrach. Claudia nie była przygotowana na tak silne wrażenie. Poczwała, jak policzki i szyja palą ją z gniewu, lecz nie odrywała wzroku od przebiegającej trawę fali. Wreszcie zwierzę zatrzymało się przed drzewem.

W zapadłej ciszy Claudia usiłowała opanować wzburzone emocje. To wcale nie z jego powodu, przekonywała siebie. Nie zareagowałam na jego dotknięcie. Ten mężczyzna nic dla mnie nie znaczy. Byłam podekscytowana dramaturgią chwili. To nie miało z nim nic wspólnego. Nawet nie jest atrakcyjny. Zawsze ceniłam delikatność i subtelność, a on jest brutalny i lubi dominować.

Trawa po drugiej stronie rzeki zakotłosała się gwałtownie. Dobiegł ich odgłos potężnego ciała układającego się ciężko na ziemi.

48

Siedzący za Claudią Sean trząśniętym głosem śmiejąc się i przez jedną sekundę Claudia pomyślała nawet, że śmieje się z niej. Po chwili Sean wyszeptał:

- Położył się. To nie do wiary, odpoczywa sobie przy takiej przynęcie. A to bezczelna bestia.

Sean miał na myśli w równej mierze dziewczynę jak lwa. W pełni odwzajemniał antypatię, z którą dziewczyna się nawet nie kryła. To zaś nadawało pewnego smaczku docinkom i dowcipom, którymi ją prześladował. Oczywiście polowanie na lwa z zasiadki zawsze było idealną sytuacją pozwalającą zaskoczyć kobietę. Właśnie w takich okolicznościach Sean rozpoczął kilka bardzo ciekawych romansów. Czując w ukryciu, niczym nauczyciel pilnujący klasy miał możliwość panowania nad uczuciami swoich klientów. Był panem i wszyscy byli skłonni okazywać mu posłuszeństwo. Napięcie i nerwowa atmosfera czyniły kobiety bardziej bezbronnymi i posłusznymi, a zapowiedź niebezpieczeństwa i rozlewu krwi budziła ich najszybsze instynkty. Sean z satysfakcją pomyślał, że ta zarozumiała, zepsuta i obłudna amerykańska dziewczyna w niczym nie różni się od innych kobiet.

Pewnie w tej chwili nienawidziła siebie i jego za tę chwilę słabości. Uśmiechnął się leciutko i jeszcze bliżej przysunął się do niej. Z wprawą doświadczonego znawcy kobiet oceniał skutki swojego ataku. Wiedział, że jego zdolności są darem natury. Przeczytał uważnie pamiętniki Casanovy, w których stary

zbereźnik opisał dokładnie własne podboje. Kiedy kobieta jest gotowa na przyjęcie mężczyzny, wysyła ku niemu subtelne znaki, takie jak: zmiana oddechu, zaróżowienie się skóry, zmiana dotychczasowej pozycji, nieznaczne ruchy ciała, nawet inny zapach, które jedynie niewielu mężczyzn potrafi odebrać, a jeszcze mniej zrozumieć. Tylko bardzo wytrawni kochankowie mają ten dar. Sukces zależał od wyczucia chwili, w której można rozpocząć atak, a także od uświadomienia sobie, jak daleko można się posunąć w określonych sytuacjach.

Mimo że Claudia celowo odwracała od niego głowę, Sean ze swojego miejsca widział jej prawy policzek i długie rzęsy.

Kruczoczarne włosy miała splecione w gruby warkocz, który opadał na plecy, odsłaniając długą szyję zwieńczoną niedużą

49

i kształtną głowę. Kark i policzki dziewczyny, zaróżowione od silnego wzruszenia, były wyłoczone afrykańskim słońcem. Bez trudu mogłaby reklamować w magazynach dla kobiet najdroższe kremy opalające.

Przyglądając się uważnie, Sean dostrzegł, jak zarumienienie z wolna ustępuje, ale przez cienką, bawełnianą koszulkę wyraźnie widział sterczący sutek niemal dziewczęcej piersi. Sutek, wielkością i kolorem przypominający dojrzłą, ciemnofioletową morwę, wypychał bluzkę i dopiero po dłuższej chwili zaczął kurczyć się i cofać. Ten widok tak zaintrygował Seana, że roześmiał się bezgłośnie.

Napaliłeś się na nią jak nie wiem co, zachichotał w myślach, a przecież nawet nie możesz znieść tej małej czarownicy. Postanowił skoncentrować się na ukrytym w trawie samcu.

Było niemal zupełnie ciemno, gdy ponownie ujrzeli zwierzę. Na niebie pozostało już tylko wspomnienie zachodu słońca, ale Sean umieścił kryjówkę tak, żeby drzewo z przynętą znalazło się między nią a słońcem. Usłyszeli ostry szelest trawy, gdy lew podniósł się z ziemi, i wszyscy pochylili się do przodu, wypatrując zwierzęcia. Riccardo przyłożył kolbę strzelby do ramienia i oko do lunety.

Nagle lew wyskoczył z gęstwiny: wielki, ciemny i ledwo widoczny na tle szarzejącego nieba, po czym dobiegło ich dźwięczenie łańcucha, na którym powiesili bawołu. Potężny samiec rzucił się całym ciężarem na padlinę, rozrywając mięso na strzępy.

- Możesz go dostrzec? - spytał Sean, zwracając się do

Riccarda. Lew robił tyle hałasu, że mógł mówić normalnym

głosem, ale Riccardo nie odpowiedział. Zataczał wolno nieduże

kółka długą lufą, usiłując naprowadzić celownik na znikającą

w ciemnościach ciało drapieżnika.

- Nie! - przyznał się w końcu do porażki. - Jest za ciemno.

Claudia poczuła ulgę, że nie będzie świadkiem mordu tak

wspaniałego zwierzęcia, lecz Sean szepnął:

— W porządku, przeczekamy tutaj noc i spróbujemy dostać go o świcie.

— Całą noc! -jęknęła głośno Claudia, która była tak przez rażona perspektywą spędzenia nocy w kryjówce, że zapomniała o zakazie rozmowy.

50

— Zgodziłaś się nie narzekać, prawda? - Sean skomentował ironicznie jej przestraszoną minę.

— Ale, ale... czy Job nie przyjedzie po nas? - Szukała z rozpaczą jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Nie wcześniej niż usłyszysz strzał.

Claudia skurczyła się żałośnie na krzeselku.

Noc wydawała się nieskończenie długa i mroźna, a znad błotnistej, zielonej wody na dnie rzeki nadleciały moskity i bzy-czały nad ich głowami, ignorując specjalny płyn przeciw insektom, którym Claudia posmarowała twarz i ręce.

Po drugiej stronie koryta rzeki lew pożywiał się padliną, często odpoczywając. Niedługo po północy zaczął ryczeć. Przerażliwe, chrapliwe dźwięki obudziły Claudię z niespokojnej drzemki. Czuła, jak serce wali jej mocno w piersiach. Ryk zakończył się ciągiem gardłowych chrząknięć.

— Czemu on tak hałasuje? - spytała stłumionym głosem

Claudia.

— Żeby wszyscy wiedzieli, kto tu jest panem.

Niedługo później nadciągnęły hieny. Oszołomione zapachem krwi piszczwały i wyły jak potępieńcy. Lew odegnał je od padliny, ścigając stado z głuchym łoskotem wśród gęstej trawy. Warczał na nie i ryczał, ale hieny wróciły, gdy tylko zajął się rozrywaniem bawołu, chichocząc, odkrzykując mu i krążąc nieustannie wokół drzewa.

Godzinę przed świtem, skulona na krzeselku, z głową przechyloną pod dziwnym kątem, Claudia zapadła w mocny sen. Kiedy się obudziła, było dostatecznie jasno, żeby dostrzec łańcuch, na którym wisały resztki bawołu.

W pobliżu drzewa para nosorogów, groteskowych, czarnych ptaków rozmiarów dzikich indyków, z tysiami, czerwonymi głowami, witała rytualnym krzykiem świt. Siedzący obok Claudii ojciec właśnie się przeciągał, ziewając okropnie. Sean wstał z krzesła tak gwałtownie, aż cała platforma się zakołysała.

— Co się stało? - wymamrotała Claudia. - Gdzie jest lew?

— Uciekł godzinę temu - wyjaśnił ojciec. - Zanim miałem światło do strzału.

— Szefie, musimy go oślepić, inaczej to się nie uda. Chyba że masz cholerne szczęście.

51

- Zawsze byłem szczęściarzem. - Riccardo uśmiechnął się

do niego i w tej samej chwili usłyszeli pomruk silnika toyoty.

Nadjeżdżał Job.

Większą część dnia spędzili w obozie, odsypiając ciężką noc. A kiedy wieczorem wrócili do kryjóWKi, lew zniknął. Nie wrócił do przynęty także następnej nocy i w planie safari zapanowała nieoczekiwana luka. Sean ze swoimi tropicielami szukał go, ale bez powodzenia. Od straży rozstawionych nad rzeką Chiwewe, od północy ograniczającej teren, na który Sean miał koncesję, nie otrzymali żadnych wiadomości o słoniu. Riccardo Monterra nie interesowało polowanie na inną zwierzynę, jak czarne antylopy, kudu czy elandy, co mogłoby wypełnić wolny czas.

Tylko dwie lwice z młodymi przychodziły codziennie na brzeg koryta wyschniętej rzeki, pożywiając się upolowanymi przez ludzi bawołami.

- To prawdziwy pięciogwiazdkowy hotel Courtneya - na

rzekał Sean. - Specjalność zakładu: bawół.

Lwice do tego stopnia przywykły do wizyt ludzi, że wycofywały się na ich widok tylko na jakieś sto metrów w głąb lasu i wydawszy z siebie kilka ostrzegawczych chrząknięć, z zainteresowaniem obserwowały, jak nowy bawół zostaje wywindowany na gałąź. Zwierzęta niecierpliwie czekały, aż samochód odjedzie. Podbiegały obejrzeć nowe danie, zanim toyota znikła za drzewami.

Jednakże Fryderyk Wielki nie pokazywał się na polance. Nie znaleziono wielkich śladów jego łap ani przy przynęcie, ani w promieniu czterdziestu kilometrów od obozu na ścieżkach, które Sean codziennie objeżdżał.

— Dlaczego zniknął w ten sposób? - dopytywał się Riccardo.

— Ponieważ jest kotem. A kto wie, jak myśli kot!

Od czasu przelotnego, choć burzliwego epizodu, jaki rozegrał się na platformie, wzajemny stosunek Seana i Claudii uległ pewnej zmianie. Ich kłótnie stały się bardziej zaciekle, nieskrywana niechęć coraz bardziej oczywista i coraz częściej starali się popsuć sobie wzajemnie dobry nastrój.

Kiedy Claudia nazwała Seana rasistą, uśmiechnął się do niej złośliwie.

52

- W Ameryce to słowo jest uznawane za obelgę, która może zniszczyć komuś karierę polityczną, popsuć interesy i wykluczyć go ze społeczeństwa. Wszyscy boicie się tego określenia, więc Murzyni, którzy o tym wiedzą, używają sobie na was do woli. Nawet najtwardszy biznesmen czy polityk wije się jak rozdeptana glista, kiedy ktoś go nazwie rasistą - odparł wesoło Sean. - To nie jest Ameryka, kotku. My nie boimy się tego słowa. W Afryce rasizm jest tym samym co organizacja szczepowa i wszyscy zgadzamy się na taki podział. Zwłaszcza Murzyni. Jeśli chcesz się przekonać, co znaczy organizacja plemienna i rasizm, to musisz zamieszkać w jednym z niepodległych państw afrykańskich. Jeśli nazwiesz przeciętnego polityka murzyńskiego rasistą, to uzna to za komplement. To tak samo jakbyś go nazwała patriotą.

Protesty Claudii były najlepszą nagrodą, zatem Sean poszukał nowego sposobu, żeby ją sprowokować.

- Czy wiedziałaś, że jestem Południowoafrykańczykiem? - zapytał.

Claudia otworzyła szeroko oczy.

- Myślałam, że jesteś Anglikiem.

Sean potrząsnął przecząco głową i uśmiechnął się w swój irytujący sposób.

— Przypuszczam, że popierasz sankcje, jakie twój rząd wprowadził przeciwko mojemu krajowi.

— Oczywiście, każdy uczciwy człowiek je popiera.

— Jeśli nawet oznacza to, że milion Murzynów głoduje z ich powodu? - Nie czekał nawet na jej odpowiedź. - A co z wycofaniem amerykańskich interesów z naszego kraju, czy to także popierasz?

— Walczyłam o to jeszcze w czasie studiów - odparła z dumą. - Nie opuściłam ani jednego pochodu czy demonstracji.

— Więc wasz plan polega na tym, żeby nawrócić kraj, wycofując misjonarzy i paląc katedry, czy tak?

— Wszystko przekręcasz!

— Powinniśmy być wdzięczni za wysiłki, które zmusiły waszych obywateli do sprzedania nam naszego majątku za jedną dwudziestą rzeczywistej ceny. W ciągu jednego dnia udało wam się stworzyć dwustu multimilionerów w Afryce Południowej

53

i każdy z nich jest biały. Gratulacje i nasze szczerze podziękowania, kotku.

Kiedy się tak kłócili, byli szczególnie wyczuleni na siebie, a ich słowne potyczki okazywały się zarazem niebezpieczne i podniecające.

Claudia była sama od dwóch lat, rozeszła się z pewnym lekarzem, z którym żyła przez krótki czas, aż naciski z jego strony, by się pobrać, zaczęły działać jej na nerwy. Celibat nie służył jej włoskiej naturze, ale była bardzo wybredna.

Leżała w nocy w swoim namiocie, słuchając Seana i ojca, którzy rozmawiali przy ognisku. Wsłuchiwała się w spokojne męskie głosy, zbyt ciche, żeby mogła rozróżnić słowa. Raz miała wrażenie, że usłyszała swoje imię. Usiadła na łóżku, wyęzając słuch i czując zawód, że nie może dowiedzieć się, co o niej mówią.

W końcu Sean pożegnał się z Riccardem, a wracając do swojego namiotu, musiał minąć namiot Claudii. Leżała niecierpliwie w łóżku, nasłuchując jego kroków, patrząc na promień latarki i przygotowując ostrą odprawę, gdyby chciał jej życzyć dobrej nocy. Poczowała lekkie rozczarowanie, słysząc, jak mija jej namiot, nie zwalniając nawet kroku.

Kiedy dziewiątego poranka safari dotarli do drzewa z przynętą na brzegu rzeki, młoda lwica znowu zachowywała się agresywnie. Mimo że jej oczy były już zupełnie zdrowe, warczała na Seana i gdy ten wysiadł z toyoty, zaszarżowała na niego z odległości stu metrów, chłoszcząc przy tym boki ogonem. Kiedy zatrzymała się i obróciła, żeby wrócić do lasu, zobaczyli czerwoną plamę krwi na jasnej sierści pod ogonem.

- Burkliwa Gerta ma okres - powiedział z ożywieniem Sean. - To znakomita przynęta, która może ściągnąć Fryderyka Wielkiego. Szefie, mówię, że jesteś szczęściarzem. Teraz przekonamy się jak wielkim.

Sean musiał przynęcić lwa, zanim minie tak sprzyjający moment. Nie było już czasu na wyszukiwanie pasących się nad rzeką Chiwewe stad bawołów. Riccardo zastrzelił młodego kudu z grupy kawalerów, która kręciła się niedaleko obozu. Tuszę powieszono na samotnym drzewie rosnącym na polance, gdzie ostatni raz widzieli lwa, i wczesnym popołudniem weszli na

54

platformę po drugiej stronie koryta rzeki. Tym razem byk wisiał dostatecznie nisko, żeby lwice mogły go łatwo dosięgnąć. Po godzinie wyczuły zapach krwi i nadbiegły wyschniętym korytem, a za nimi podążyły bawiące się nieustannie lwiątko. Podczas gdy starsza lwica od razu zabrała się do jedzenia, młodsza jadła niewiele i sporadycznie. W przerwach biegała po oczyszczonym z trawy terenie, warcząc na małe, tarzając się na grzbiecie czy też siedząc na ziemi i liżąc ciekącą spod ogona krew. Od czasu do czasu stawała też nieruchomo; patrząc na las i wyciągając głowę, wydawała z siebie długie, smutne jęki. Dźwięk ten był tak pełen pożądania, że poruszył Claudię do głębi.

- Masz rację, Gerta - szepnął Sean siedzący za Claudią. -

Zawołaj swojego pana i powiedz mu, jakie masz dla niego smakołyki.

To nieuczciwe, pomyślała Claudia. To nieuczciwe wykorzystywać ją w ten sposób.

W pewnej chwili obie lwice poderwały się na nogi i zwróciły się w stronę lasu. Starsza chrząknęła cicho, a zaalarmowane lwiątko przerwało zabawę i schowało się za matką. Po chwili młoda lwica ruszyła przez trawę kołyszącym się, zmysłowym krokiem, wydając z siebie powitalne pomruki.

- Spokojnie, Szefie. - Sean położył rękę na ramieniu Riccarda, powstrzymując go od strzału. - Nie spiesz się.

Z lasu wyłonił się lew. Z początku widzieli jedynie czarną grzywę, która poruszała się nad trawą, gdy samiec biegł truchtem na spotkanie lwicy. Samica rzuciła się bezwstydnie ku niemu i zwierzęta spotkały się na wydeptanej polance.

- Poczekaj, Szefie - szepnął Sean. Chciał, żeby dziewczyna obejrzała cały spektakl.

Lwica zaczęła ocierać się ciałem o samca, w przód i w tył, głaszcząc go całą powierzchnią jedwabistych boków. W odpowiedzi na jej zaloty lew nastroszył grzywę, która powiększyła się niemal dwukrotnie, i polizał ją po pysku, gdy wtuliła się w gęstwinę czarnych włosów.

Lwica odwróciła się i podsunęła mu pod nos tylną część ciała, podnosząc wysoko ogon i puszczając mu przed pyskiem cienki strumyczek zabarwionego na czerwono moczu. Samiec mruknął przejmująco i uniósł górną wargę, odsłaniając długie, żółte zęby.

55

Wygiął grzbiet pod wpływem gwałtownego pożądania. Claudia zaczęła się wiercić na krzeselku, gdy lew wyciągnął szyję i długim, różowym językiem polizał lwicę pod ogonem.

Samica poddawała się tym czułościom przez minutę, by wreszcie obrócić się zalotnie, z głębokimi pomrukami zaproszenia. Sean położył delikatnie dłoń na udzie Claudii. Jego rękę przed wzrokiem Riccarda zasłaniał bok krzeselka. Claudia się nie poruszyła.

Lwica ponownie się odwróciła, odbiegła od samca kilka kroków do przodu i przywarłszy do ziemi, obejrzała się na niego przez bark. Lew ruszył do niej na sztywnych łapach, a potem stanął nad nią i zakrył jej ciało swoim. Gdy zniżył tylną część tułowia, wysunął się różowy, błyszczący penis i samica spotul-niała.

Sean przesunął koniuszki palców do miejsca, gdzie spotykały się uda dziewczyny, i poczuł przez materiał spodni sprężyste włosy łonowe. Jej nogi rozchyliły się nieznacznie pod dotykiem jego dłoni.

Lew wygiął grzbiet, wykonując serię spazmatycznych ruchów, a następnie podniósł wielki, czarny łeb i wydał z siebie potężny ryk. Samica mu zawtórowała, a on ugryzł ją delikatnie w kark na znak, że jest jej panem.

Przez długą chwilę zwierzęta pozostawały złączone ze sobą i nieruchome. Wreszcie lew odskoczył od samicy. W tej samej chwili Claudia położyła dłoń na ręce Seana. Schwyciła go za mały palec i wygięła tak silnie do tyłu, że omal nie złamała. Przez jego ramię przemknęła gorąca fala, sięgając barku.

Niemal zawył z bólu, ale Riccardo siedział tuż obok i mimo że płócienne krzesło zasłaniało mu nogi córki, z łatwością by się domyślił, za co przyjaciel został ukarany. Tylko dzięki sile woli Seanowi udało się zachować ciszę. Masując ukradkiem palec, widział, jak kąciki ust Claudii wykrzywają się w złośliwym uśmiechu.

Po drugiej stronie rzeki lwica wstała i otrząsnęła się. Następnie podeszła wolnym, usatysfakcjonowanym krokiem do brzegu i obejrzała się na siedzącego na ziemi lwa.

- Przygotuj się, Szefie. - Sean wciąż rozmasowywał palec.

Była już piąta po południu i słońce oświetlało brzeg rzeki jak

56

scenę w teatrze. Sean wymierzył odległość od platformy do drzewa z przynętą. Wynosiła dokładnie osiemdziesiąt osiem metrów. Riccardo Monterro był najlepszym strzelcem, jakiego Sean prowadził na safari. Z tej odległości potrafił wsadzić trzy kule w ten sam punkt.

Lwica miauknęła zachęcająco. Lew wstał i podążył za nią nad rzekę. Zatrzymał się obok niej, zwracając się bokiem do platformy, oświetlony złotym światłem słońca.

- Szefie, to dar niebios - szepnął Sean i dotknął ramienia

Riccarda. - Strzelaj!

Riccardo podniósł wolnym ruchem strzelbę do ramienia. Kaliber .300 weatherby magnum. Masywny nabój spoczywający pod iglicą był załadowany trzema gramami prochu i dwuna-stogramowym pociskiem typu Nosler. Pocisk przeleci nad korytem rzeki z prędkością ponad dziewięćset metrów na sekundę. Zanim dotknie ciała, poprzedzająca go fala uderzeniowa rozerwie na strzępy wewnętrzne organa: płuca i serce, i wysie je przez dziurę wylotową, rozpryskując w krwawej masie na trawie za zwierzęciem.

- Strzelaj! - ponaglił Sean. Riccardo Monterro spojrzął

przez celownik optyczny. Sylwetka lwa wypełniła całe pole

widzenia.

Riccardo widział każdy włos w gęstwinie grzywy i każdy mięsień pod gładką skórą. Dwa centymetry za obojczykiem, na boku widniała mała blizna. Miała kształt podkowy i świetnie nadawała się na cel. Riccardo naprowadził krzyżyk celownika na bliznę i zobaczył, jak celownik lekko unosi się przy każdym uderzeniu jego serca. Nacisnął cyngiel, czując ostateczny opór, kiedy zaczep spustowy ma już puścić, a strzelba zaraz odpalić.

Siedząca za ojcem Claudia zesztyniała z przerażenia. Lew odwrócił głowę i miała wrażenie, że spojrzął właśnie na nią. Czuła, jak bardzo poruszyła ją scena zalotów i parzenia się zwierząt.

Jest zbyt wspaniały, żeby zginąć, pomyślała i nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, krzyknęła na całe gardło:

- Uciekaj, do cholery! Uciekaj!

Efekt przekroczył jej najśmielsze wyobrażenia. Nigdy by nie uwierzyła, że jakiegokolwiek żywe stworzenie może tak szybko

57

zareagować. Stojące leniwie zwierzęta w jednej chwili eksplodowały ucieczką, zmieniając się w ruchome złote smugi.

Stara lwica momentalnie zniknęła w wysokiej trawie, a lwiątko szybko poszły za jej przykładem. Młodsza rzuciła się do ucieczki wzdłuż brzegu. Biegła tak szybko, że zdawała się nie dotykać ziemi, a

lew podążał tuż za nią. Mimo potężnego cielska i olbrzymiej grzywy poruszała się równie szybko jak jego partnerka, wyciągając muskularne łapy w pełnym galopie.

Riccardo Monterro obrócił się na krześle, ze strzelbą przy ramieniu, patrząc cały czas przez celownik i podążając lufą za lwem. Lwica wpadła w trawę i znikła. Samiec tuż za nią, ale chwilę przed tym, zanim dopadł gęstwiny, Claudię ogłuszył huk i mimo jasnego słońca dostrzegła przemykający nad korytem rzeki płomień wystrzału.

Lew potknął się w biegu i wydawszy z siebie jedno głośne kaszlnięcie, schował się w trawie. W ciszy, jaka zapadła, w ich uszach huczało jeszcze echo wystrzału. Przytłumieni i zaszokowani patrzyli na pustą polankę.

— Niezła robota, kotku! - rzekł cichym głosem Sean.

— Wcale nie żałuję - odparła wyzywająco Claudia.

Jej ojciec przeładował strzelbę jednym ruchem, przy którym z komory wysunęła się pusta haska i migocząc w słońcu, spadła na ziemię. Riccardo wstał, kołysząc chybliwą platformą, i nie spojrzawszy na córkę, zaczął schodzić po plecionej drabinie.

Sean podniósł swoją dwururkę kalibru .577 i ruszył za nim. Stanęli pod drzewem. Riccardo odpiął kieszeń na piersi i poczęstował go cygarem marki Wilde Havana. Żaden z nich nie palił na polowaniu, ale teraz Sean wziął cygaro i odgryzł koniuszek.

Przez chwilę stali w milczeniu, zaciągając się dymem. Wreszcie Sean odezwał się cicho.

- Gdzie trafiłeś, Szefie?

Riccardo był wyborowym strzelcem. Tuż po wystrzale potrafił dokładnie określić miejsce, w które trafił pocisk. Teraz jednak zawahał się i w końcu odpowiedział niechętnie:

— Lew już biegł. Miałem zbyt mało czasu, żeby naprowadzić strzelbę.

— Strzał w brzuch? - spytał Sean.

58

— Tak. - Riccardo skinął głową. - Strzał w brzuch.

— Cholera! - zaklął Sean. - Niech to jasna cholera!

Obaj spojrzeli na gęstą, wysoką trawę i poplątane cierniste krzaki na drugim brzegu.

Wezwana pojedynczym strzałem toyota nadjechała po dziesięciu minutach. Job, Matatu i Szadrach, którzy polowali z Ric-cardem na sześciu safari i nigdy nie widzieli, żeby chybił, uśmiechali się radośnie.

Wyskoczyli z wozu, rozglądając się po przeciwległym brzegu. Ich uśmiechy znikły, a na twarzach pojawił się wyraz prawdziwego przygnębienia, gdy Sean oznajmił:

- Intumbu! W brzuch!

Wszyscy trzej Murzyni wrócili do wozu i zaczęli się w milczeniu przygotowywać do pościgu. Sean przykucnął w pełnym słońcu.

— Za godzinę zrobi się ciemno - powiedział. - Nie możemy pozwolić, żeby rana stężała.

— Moglibyśmy go zostawić do świtu - zasugerował Riccardo. - Jutro będzie już nieprzytomny.

Sean potrząsnął głową.

- Jeśli umrze, to zjedzą go hieny. Nie będzie trofeum. Zresztą nie możemy zostawić biednego drania, żeby tak cierpiał przez całą noc.

Zamilkli, gdy Claudia zeszła po drabinie z platformy. Kiedy stanęła na ziemi, nawet nie spojrzała na nich. Dumnym ruchem głowy odrzuciła włosy na plecy i podeszła do toyoty. Usiadła na przednim siedzeniu, złożyła ręce na piersiach i patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

— Przepraszam - powiedział Riccardo. - Znam ją od dwudziestu sześciu lat. Powinienem domyślić się, że wykręci taki numer.

— Szefie, nie musisz iść z nami. - Sean nie odpowiedział na przeprosiny. - Zostań z Claudią. Pójdę sam i dokończę robotę. Za to mi przecież płacisz.

Tym razem Riccardo zignorował uwagę.

— Wezmę rigby - rzucił.

— Sprawdź, czy jest załadowana pociskami z miękkimi noskami - doradził mu Sean.

— Jasne.

Podeszli do toyoty i Riccardo zamienił weatherby na ciężką rigby. Otworzył komorę i upewnił się, że w magazynku są właściwe naboje. Następnie uzupełnił pętelki na pasie pociskami z pudełka.

Sean oparł się o wóz i zmienił naboje ze strzelby na dwa nowe wyjęte z pętelek u kieszeni na piersi.

- Biedne zwierzę - powiedział. Mimo że patrzył na Riccardo, mówił do Claudii. - To byłby dobry czysty strzał, a teraz lew leży w trawie z połową wnętrzości wyrwanych przez kulę. To najbardziej bolesna rana ze wszystkich. - Spostrzegł, że dziewczyna wzdrygnęła się lekko, a jej policzki zbladły. - Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli nikt nie zostanie przy tym zabity - ciągnął Sean z nienawistną satysfakcją. - To pewnie będzie Matatu. Zawsze idzie pierwszy po śladach i mały drań nigdy nie ucieka. Jeśli komukolwiek z nas się dostanie, to będzie Matatu.

Claudia nie mogła się powstrzymać przed rzucającym żalnym spojrzeniem na małego Ndorobo.

— Daj spokój, Sean - wtrącił się Riccardo. - Dobrze wie, jakie głupstwo palnęła.

— Naprawdę? - zapytał Sean. - Nie jestem pewien. -

Zatrzasnął strzelbę. - W porządku, Szefie. Włóż swoją skórzaną kurtkę. W razie czego może cię trochę ochronić. Nie za wiele, ale zawsze trochę.

Trzech Murzynów stało już na brzegu rzeki. Byli gotowi do drogi. Job miał ze sobą strzelbę kalibru 8 mm załadowaną pociskiem na bawołu, ale dwóch pozostałych było bez broni. Pójdzie bez broni za rannym lwem do jego kryjówki wymagało szczególnej odwagi.

Mimo wzburzenia Claudia dostrzegła, z jakim zaufaniem trzej mężczyźni patrzyli na Seana Courtneya. Wyczuła instynktownie, że wielokrotnie musieli się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zanim związały ich owe szczególne więzy. Ci czterej mężczyźni byli sobie bliżsi niż bracia czy nawet kochankowie, i Claudia poczuła ukłucie zazdrości. Nigdy jeszcze nie była związana w taki sposób z żadnym człowiekiem.

Sean, nie bawiąc się w sentymenty, klepnął lekko w ramię każdego z nich i powiedział coś Jobowi. Przez ładną twarz

mężczyzny z ludu Matabele przemknął cień. Wyglądało to tak, jakby chciał zaprotestować, ale szybko skinął głową i wrócił do toyoty.

Sean, z dwururką przewieszoną przez ramię, odgarnął palcami z oczu długie i gęste włosy, a następnie przewiązał je na czole cienkim skórzanym paskiem.

Mimo że Claudia nienawdziła go z całej siły, zrobił na niej wrażenie. Patrzyła na niego jak na heroiczną postać szykującą się na spotkanie śmiertelnego niebezpieczeństwa i okropnej śmierci, nieszczęścia, które w dużej mierze ona sama na niego ściągnęła. Skórzana kurtka Seana nie miała rękawów, spodnie koloru khaki sięgały mu do kolan i Claudia widziała, jak bardzo jest opalony. Sean był nawet wyższy od jej ojca, ale węższy w pasie i miał szersze ramiona. Z łatwością trzymał ciężką strzelbę w jednym ręku.

Przed odejściem zerknął jeszcze na nią i w jego zielonych, spokojnych oczach dostrzegła pogardę. Nagle ogarnęło ją przeczucie zbliżającej się tragedii i chciała błagać Seana, żeby nie przekraczał rzeki, lecz on się odwrócił, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Gotów, Szefie? - zapytał.

Riccardo skinął w odpowiedzi głową, trzymając rigby przed sobą na wysokości piersi. Twarz ojca była bardzo poważna.

- W porządku, ruszamy. - Sean kiwnął głową na Matatu

i niski Ndorobo poprowadził ich w dół zbocza.

Gdy tylko znaleźli się na dnie koryta rzeki, ustawili się w szyku myśliwskim z tropicielem idącym na czele szeregu. Sean szedł tuż za nim, oglądając cały czas porośnięty trzcinami przeciwny brzeg. Dziesięć kroków za nim podążał Riccardo, utrzymując odstęp, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo, jakie powstałoby w nagłym zamęcie. Pochód zamykał Szadrach.

Po drodze wypełnili sobie kieszenie wygładzonymi przez wodę kamykami. Zatrzymali się przed krawędzią wyschniętego brzegu, nasłuchując uważnie. Sean minął Matatu i wszedł pierwszy na zbocze. Zatrzymał się na wydeptanej polance pod drzewem. Stał przez pięć minut nieruchomo, nasłuchując i wypatrując ruchu w wysokiej trawie.

Następnie zaczął rzucać kamienie, celując w okolice miejsca,

61

gdzie zniknął lew. Kamyki odbijały się ze stukotem od innych kamieni lub uderzały głucho w gałęzie zarośli, ale nie dobiegło go ostrzegawcze warknięcie. Sean gwizdnął cicho. Pozostali mężczyźni wdrapali się na brzeg i zajęli swoje pozycje. Sean skinął na Matatu.

Ruszyli wolno naprzód. W Afryce jest wiele przysypanych kamieniami grobów, w których spoczywają szczątki ludzi, którzy nieuważnie pospieszyli za rannym lwem. Matatu skoncentrował się na szukaniu

śladów na ziemi. Ani razu nie spojrzął na ścianę zarośli przed sobą. Powierzył swój los Seanowi. Na granicy wysokiej trawy syknął cicho i dał znak ręką.

- Krew. - Sean wyjaśnił szeptem Riccardowi, nie odwra

cając się do niego. - Także sierść z brzucha. Miałeś rację,

Szefie. To strzał w brzuch.

Na łądkach trawy widać było lśniącą, czerwoną smugę.

- Akwendi! - powiedział Sean do Matatu i wciągnął głęboko

powietrze jak nurek mający skoczyć ze skały do głębokiej wody.

Wstrzymał oddech, nim zrobił pierwszy krok, a wysoka trawa

zamknęła się za nim, ograniczając widoczność niczym mętna

woda, w której czai się niebezpieczeństwo.

Potężne uderzenie pocisku zarzuciło lwem i spowodowało, że ciało od żeber w dół zupełnie zdrętwiało.

Biegł jednak dalej. Gęsta trawa zamknęła się wokół niego, zapewniając mu poczucie bezpieczeństwa i pewności. Po dwudziestu krokach zatrzymał się i stał, zerkając za siebie. Wciągając powietrze głęboko w nozdrza, wściekle chłostał boki ogonem.

Nie czuł bólu, jedynie dziwne odrętwienie i ciężar w brzuchu, jakby połknął jakiś głaz. Wyczuł zapach krwi i obrócił głowę, żeby obwąchać własny bok. Otwór zrobiony przez kulę miał wielkość małego talerzyka i z rany ciekła niemal czarna posoka zmieszana z zawartością jelit. Krople skapywały strumykiem na wyschniętą ziemię. Lew polizał ranę i krew zakleiła mu pysk.

Po chwili podniósł łeb i znowu zaczął nasłuchiwać. Zza rzeki dobiegły go ludzkie głosy. Lew mruknął cicho, czując, jak wzbiera w nim gniew. Krew i niezwykle ciężar w brzuchu wiązały się z obecnością człowieka.

62

Z niewielkiej odległości niskim przeciągłym miauknięciem zawołała go lwica. Lew odwrócił się i podążył za nią. Nie biegł już teraz z powodu brzemienia w brzuchu spowalniającego ociężałe i zdrętwiałe łapy. Lwica czekała nieopodal. Otarła się

o niego ochoczo i spróbowała go poprowadzić, biegnąc przed

nim lekkim truchtem. Lew szedł za nią powoli, zatrzymując się

często, by polizać ranę. Samica zawróciła po niego niecierpliwie,

z głębokim pomrukiem. Zdziwiona i zaniepokojona jego za

chowaniem podeszła, by polizać go po pysku i obwąchać ranę.

Łapy miał ciężkie niczym pnie drzew, a przed nim rozpościerał się gęszcz dzikich hebanów. Skręcił w bok i wszedł w gęste leśne poszycie. Kładąc się na ziemi, westchnął ciężko i podwinął pod siebie długi ogon zakończony czarnym pędzlem.

Lwica krążyła zaniepokojona na skraju leśnych zarośli, nawołując samca cichymi miauknięciami. Kiedy nie uzyskała żadnej odpowiedzi, podążyła za nim w zarośla i położyła się tuż obok niego. Zaczęła mu lizać ranę, a lew zamknął ślepie, dysząc ciężko.

Ból narastał, wypełniając ciało dławiącym ciężarem, który potęgował się cały czas, zdając się rozsadzać brzuch. Lew jęknął

1 ugryzł się w ranę, chcąc zabić ten morderczy ból, który trawił
wnętrzości.

Lwica starała się odwrócić jego uwagę. Była coraz bardziej niespokojna i wystraszona. Krążyła przed nim, podsuwając mu obrznięte genitalia pod nos, ale lew zamknął oczy i odwrócił łeb, a każdy oddech zdawał się rozszarpać mu gardło.

Raptem dobiegły go głosy, szepty zbliżających się ludzi, i lew podniósł łeb, a jego ślepie rozżarzyły się żółto. Ból w brzuchu rodził okropną nienawiść. Zalała go ciemna fala wściekłości.

Jakiś przedmiot uderzył o gałęzie dzikiego hebanu nad jego głową. Lew warknął, wypuszczając powietrze z umęczonych płuc.

Szli wolno przez trawę, która sięgała im ponad głowy i otaczała tak dokładnie, że na trzy kroki nie widzieli nic przed sobą. Na źdźbłach widać było świeżą krew zwierzęcia, a łodygi zostały odepchnięte na boki, tak więc trop nie był trudny do znalezienia. Krew na łodygach pozwoliła Seanowi i Matatu określić, na jakiej wysokości jest rana, a zmieszana z nią zawartość jelit świadczyła

63

0 tym, że wnętrzości zostały naruszone. Rana musiała być
śmiertelna, a śmierć od niej powolna i straszna.

Po przejściu dwudziestu metrów Matatu się zatrzymał, by wskazać na kałużę czarnej i gęstej posoki.

- Przystanął tutaj - szepnął.

Sean skinął głową.

- Nie odszedł daleko - rzekł. - Matatu, on czeka na nas.

Kiedy zaszarżuje, masz biec do mnie. Rozumiesz?

Matatu wyszczerzył zęby w uśmiechu. Obaj wiedzieli, że nie posłucha rozkazu. Mały tropiciel nigdy nie uciekał i tym razem także będzie stał nieruchomo.

— W porządku, ty mały, głupi gnojku - powiedział po angielsku Sean. Jego głos był napięty. - Ruszamy.

— Mały, głupi gnojek - powtórzył szczęśliwym głosem Matatu. Wiedział, że Sean nazywa go tak jedynie wtedy, gdy jest z niego szczególnie dumny czy zadowolony.

Podjęli krwawy trop, zatrzymując się co trzy, cztery kroki. Wówczas Sean rzucał kamyczki w trawę i gdy nie słyszeli w odpowiedzi żadnego głosu, ruszali ostrożnie dalej.

Za plecami Seana rozległ się delikatny brzdęk bezpiecznika strzelby. Riccardo przesuwiał nerwowo język spustowy, zdradzając swoje podniecenie. Mimo że dźwięk drażnił Seana, nic nie powiedział, bo podziwiał determinację Riccarda. Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej niebezpiecznego niż podchodzenie rannego lwa w gąszczu. Dla zawodowca była to kolejna robota, ale dla Riccarda sprawdzian odwagi, i jak dotąd zdawał go na piątkę.

Sean rzucił następny kamyczek i słuchał, jak trafia w gałąź niskiego drzewa.

Idąc dalej, pomyślał o strachu. Dla wielu ludzi było to niszczące

1 paraliżujące uczucie, ale dla takich jak on strach stał się czymś upajającym. Sean uwielbiał przeżywać lęk; rozpalał mu krew w żyłach jak silny narkotyk, wyostrowając zmysły tak, że czuł pod palcami szorstkość powierzchni kolby i dotyk każdego źdźbła trawy na łydkach. Ostrość wzroku poprawiała się do tego stopnia, że widział wszystko, jakby patrzył przez kryształową soczewkę, która powiększała każdy szczegół, siejąc grozę. Czuł także smak powietrza, zapach rozgniatanej trawy i krew lwa, którego szukali.

64

Miał w sobie życie, krew tętniła mu w żyłach, toteż oddał się lękowi, jak narkoman oddaje się porcji heroiny.

Rzucił kolejny kamyczek w gąszcz dzikich hebanów, które wyrastały z trawy przed nimi niczym wyspa na morzu. Kamyczek spadł, objając się ze stukotem o gałęzie. Z gęstwiny dobiegł ich pomruk lwa.

Lęk przed śmiercią stał się wręcz podniecią, trudną do zniesienia, oszałamiającą rozkoszą, jakiej nie mogła dać żadna kobieta. Sean odbezpieczył broń i zawołał:

- Matatu, lew się zbliża. Uciekaj! - W jego głosie słychać

było podniecenie. Sean poczuł, jak czas zwalnia swój bieg, co było następnym dziwnym fenomenem, który niósł ze sobą strach.

Kątem oka dostrzegł, że Riccardo Monterro zajmuje miejsce obok niego i zdał sobie sprawę, ile go to musi kosztować. -

Dobrze! - powiedział głośno. Na dźwięk jego głosu zatrzęśły się chaszczki dzikich hebanów rozpychane potężnym ciałem, które poprzedzał przerażający, gardłowy pomruk.

Matatu stał nieruchomo jak strażnik na paradzie. Matatu nigdy nie uciekał. Sean zajął miejsce po jego jednej stronie, a Riccardo po drugiej i razem wycelowali strzelby w gęstwinę przed nimi. Potężne zwierzę gnało prosto na nich, rozplaszczając wysokie łodygi i rycząc okropnie.

Trawa rozchyliła się tuż przed nimi i olbrzymie, płowe ciało wypadło prosto na trójkę mężczyzn.

Strzelili w tej samej chwili, a huk wystrzału zagłuszył ryk wściekłości. Sean wypalił z drugiej lufy tak szybko, że oba strzały zlały się w jeden. Ciężka czterdziestoośmiogramowa kula trafiła szarżujące zwierzę i zatrzymała je równie skutecznie, jakby wpadło na ścianę. Riccardo ładował ponownie strzelbę, gdy w powietrzu nad nimi toczyło się jeszcze echo wystrzałów.

Martwe zwierzę leżało u ich stóp, a oni stali z podniesioną bronią, patrząc na zakrwawione zwłoki, oszołomieni szybkością wydarzeń i łoskotem broni.

Szadrach podszedł w ciszy do ciała. Podobnie jak Matatu nie ruszył się z miejsca w czasie ataku. Teraz ostrożnie schylił się nad martwym zwierzęciem. Szybko poderwał się i krzyknął głośno słowa, z których nie od razu w pełni zdali sobie sprawę.

- To nie lew!

65

W tej samej chwili samiec zaszarżował. Wpadł prosto na nich z gęstych chaszczki. Jeszcze szybciej niż jego partnerka, bo smagany śmiertelnym bólem w brzuchu i dziką nienawiścią. Gnał, rycząc, niczym rozpędzona lokomotywa, a oni byli nieprzygotowani, z niezaladowanymi strzelbami, zbyt późno zbici w grupę wokół ciała lwicy, Szadrach zaś stał między nimi i bestią.

Szybki jak pocisk lew wypadł z wysokiej trawy i schwycił Szadracha w potężne kły, wgryzając się w jego biodro. Siła uderzenia poniosła ich na stojących razem mężczyzn.

Sean przewrócił się na plecy, waląc głową o ziemię. Cały czas trzymał strzelbę przed sobą, starając się jej nie wypuścić z rąk, i grawerowana kolba trafiła go z całej siły w mostek. Poczuł w piersi przejmujący ból, ale nie puścił broni i szybko przetoczył się na bok.

Trzy metry od niego lew szarpał Szadracha. Przygwoździwszy go do ziemi ciężkimi łapami, rozrywał zębami biodro i nogę.

Dzięki Bogu, że to nie leopard, pomyślał Sean, łamiąc strzelbę. Atakujący grupę ludzi leopard nie zadowoliliby się powaleniem jednej osoby. Przerzucałby się w oszałamiającym tempie z jednego człowieka na drugiego, zabijając ich po kolei. Co więcej, leopard poluje głównie na pawiany i wie dokładnie, jak zabić zwierzę z gatunku naczelnych. Atakuje głowę, zdzierając zębami skalp, podczas gdy jego tylne nogi rozrywają potężnymi pazurami brzuch ofiary, czyniąc to bardzo szybko i sprawnie.

Dzięki Bogu, że to nie leopard, powtórzył w myślach Sean.

Lew nie puszczał Szadracha, przygniatając go do ziemi łapą i rozszarpując udo, a przy każdym warknięciu spod kłów tryskał strumyk krwi. Murzyn wrzeszczał przeraźliwie i walił zaciśniętymi pięściami w wielki, włochaty łeb.

Sean dostrzegł Riccarda klękającego w trawie w poszukiwaniu strzelby.

- Szefie, nie strzelaj! - krzyknął Sean. W zamęcie takim jak ten niedoświadczony człowiek z bronią w ręku był sto razy niebezpieczniejszy od atakującego zwierzęcia. Kula wystrzelona z rigby przeszłaby przez ciało lwa i trafiła znajdującą się za nim osobę.

Sean trzymał między palcami lewej ręki dwa naboje. Była to

66

stara sztuczka myśliwych umożliwiająca szybkie załadowanie broni. Sean włożył pociski i zatrzasnął strzelbę.

Lew wgryzał się w ciało Szadracha. Sean słyszał, jak pod silnymi zębami kości pękają niczym kruche tosty. W nosie wiercił go smród zwierzęcia, kurzu, krwi drapieznika i człowieka.

Riccardo trzymał już w rękach strzelbę. Klęczał na kolanach i z pobladłą ze strachu twarzą ładował broń.

- Nie strzelaj! - krzyknął jeszcze raz Sean. Lew był do

kładnie pomiędzy nim i Riccardem. Kula, która by trafiła zwierzę,

zraniłaby także Seana.

Do zabicia zwierzęcia, które atakuje leżącego człowieka, niezbędna jest specjalna technika. Nie można podbiec i strzelić do niego z góry, gdyż kula zabiłaby także ofiarę napaści.

Sean nie usiłował nawet wstać. Oslaniając broń, przetoczył się trzy razy jak kłoda. Nauczył się tego manewru jeszcze w armii. Zatrzymał się przy lwie, niemal go dotykając, włożył lufę pod jego ostatnie żebra i celując w górę, pociągnął za spust. Wystarczyła jedna kula.

Pocisk poderwał płowe ciało do góry i odrzucił lekko na bok, wyrwijąc między łopatkami olbrzymią dziurę.

Sean rzucił broń i przyklęknął przy rannym, podnosząc go za ramiona. Spojrzał na nogę. Kły lwa rozorały ją, robiąc głębokie rany. Od biodra do kolana widniały porozrywane mięśnie.

- Matatu! - krzyknął Sean. - W toycie jest apteczka.

Przynieś ją. - Mały tropiciel natychmiast zniknął w trawie.

Riccardo podpełzł do Seana i spojrział na nogę.

- Święta Panienko -jęknął cicho. - To arteria udowa. -

Z głębi rany tryskała regularnymi strzyknięciami jasna krew tętnicza.

Sean wsadził palce do rozdartego ciała. Udało mu się namacać śliską, pulsującą tętnicę i ścisnął ją z całej siły palcem wskazującym i kciukiem.

- Pospiesz się, Matatu! Pędem, ty cholerny dupku! - wrzasnął na całe gardło.

Od wozu dzieliło ich jedynie dwieście pięćdziesiąt metrów. Matatu biegł jak wystraszony jeleń. Po kilku minutach wrócił z Jobem, który przyniósł białą skrzyneczkę z czerwonym krzyżem na wieczku i zaraz ją otworzył.

67

- W przegródce z narzędziami są kleszcze hemostatyczne - powiedział Sean.

Job podał mu klamrę z nierdzewnej stali. Sean zacisnął ją na uszkodzonej arterii i przymocował przylepcem do ciała. Ręce miał czerwone i śliskie od krwi, ale razem z Jobem wykonywał nieraz podobną robotę w czasie wojny i każdy sprawny ruch świadczył o pewności siebie.

- Zmontuj kroplówkę - polecił Jobowi. - Damy mu na początek pełną torebkę glukozy i elektrolitów. Przygotuj ją.

Mówiąc, odkręcał jednocześnie zakrętkę z tubki betadyny. Włożył koniec tubki głęboko w ranę i wycisnął tłustą jodową maść, aż zaczęła się wydobywać na powierzchnię. Szadrach leżał nieruchomo, nie protestując ani nie wydając żadnych odgłosów mogących świadczyć o bólu. Przyglądał się ich pracy i odpowiadał monosylabami na pytania Joba.

- Kroplówka gotowa.

Nie odzywając się, Sean wziął strzykawkę z rąk Joba. Szadrach był jego człowiekiem i on za niego odpowiadał. Udzielenie pierwszej pomocy było jego, Seana, obowiązkiem, nie mógł tego zrobić nawet Job. Wykręcił lekko ramię Szadracha, odstaniając żyłę w zagłębieniu łokcia i zaczął ją masować wprawnymi ruchami. Wbił w nią igłę za pierwszym podejściem i skinął na Joba, żeby puścił płyn infuzyjny.

- Hej, Szadrach. - Sean postarał się o swój najbardziej przekonujący uśmiech, gdy na chwilę przyłożył zakrwawioną dłoń do czoła rannego. - Chyba otrujeś tego starego drania. Lew ugryzł cię w nogę i zdechł. - Szadrach zachichotał. Riccardo był zdumiony, słysząc ten śmiech, choć wiedział, że ma do czynienia z silnymi mężczyznami. - Szefie, daj Szadrachowi jedno ze swoich cygar - zasugerował Sean i zaczął zakładać na nogę białą opaskę uciskową, żeby zatamować miejscowe krwawienie.

Kiedy skończył z nogą, zajął się resztą obrażeń. Posmarował maścią jodową wszystkie rany i zadrapania zostawione przez pazury lwa.

- Nie możemy pominąć najmniejszego zadrażnienia - mruknął pod nosem. - Ten stary drań żywił się padliną. Zęby i pysk są pełne zarazków, a pod pazurami mogło zostać zepsute mięso. Gangrena zabija najwięcej pogryzionych ofiar.

68

Wciąż jeszcze niezadowolony ze swojej pracy Sean wstrzyknął pełną ampułkę penicyliny do kroplówki. Bezpieczniej będzie, jeśli do żył wprowadzi się antybiotyki. Cała robota zajęła mu mniej niż pół godziny. Przyglądając się bandażom i trzymanej przez Joba kroplówce, Riccardo nie wątpił, że żaden lekarz nie zrobiłby tego sprawniej czy dokładniej.

- Przyprawdzę toyotę - powiedział Sean. - Muszę jednak przyjechać od strony brodu. To może zająć trochę czasu i będzie już ciemno, gdy wrócę. - Mógł posłać Joba po wóz, ale chciał dostać dziewczynę w swoje ręce. - W apteczce jest koc, przy kryjcie nim Szadracha. - Spojrzał na rannego towarzysza. - To jedynie małe zadrapanie. Chcę, żebyś jak najszybciej wrócił

do pracy albo potrącę ci to z twojej pensji.

Wziął strzelbę kalibru .577 i skierował się przez trawę ku brzegowi. Idąc przez grząski rzeczny piasek, poczuł, jak ogarnia go gniew, tym silniejszy, że tak długo powstrzymywany.

Kiedy wyszedł na drugi brzeg, Claudia siedziała na przednim siedzeniu toyoty. Wyglądała na opuszczoną i zagubioną, ale Sean nie miał dla niej litości. Spojrzała z przerażeniem na jego poplamione krwią ręce.

Sean ustawił strzelbę w stojaku na broń i nie patrząc na Claudię, polał sobie dłonie wodą z manierki, wycierając je dokładnie. Udało mu się zmyć większość krwi. Usiadł za kierownicą, włączył silnik, zatoczył koło i skierował samochód ścieżką biegnącą wzdłuż rzeki.

— Nie powiesz mi, co się stało? - spytała w końcu Claudia.

Zamierzała to powiedzieć pewnym siebie tonem, ale jej głos był zduszony i pełen lęku.

— W porządku - zgodził się Sean. - Powiem ci. Zamiast prostego strzału, który szybko by zakończył sprawę, zrobiło się i zamieszanie. Najpierw zaatakowała nas lwica. Zastrzeliliśmy ją w gęstej trawie przez pomyłkę. Zresztą i tak nie mielibyśmy wyboru, gdyż szarżowała na nas pędem. - Słońce właśnie skryło się za horyzontem i nad lasem zapadał zmrok. Sean włączył przednie światła. - Tak więc lwica jest martwa. Jej trzy małe nie zostały jeszcze odstawione od piersi i jest już po nich. Lwiątko zdechną z głodu w ciągu najbliższego tygodnia.

— Och nie! - jęknęła Claudia.

— A potem zaatakował lew. Zaskoczył nas. Nie byliśmy

69

przygotowani i lew dopadł Szadracha. Niemal odgryzł mu nogę. Kość udowa jest cała pogruchotana od biodra do kolana. Może stracić nogę. Jeśli będzie miał szczęście, to skończy się jedynie na niedowładzie. Jakkolwiek się stanie, nigdy już nie będzie tropicielem. Znajdę mu jakąś pracę jako służącemu, ale Szadrach jest wojownikiem z ludu Matabele i taka praca złamie mu serce.

— Tak mi przykro.

— Tobie jest przykro? - rzucił z wściekłością Sean. -

Szadrach jest moim przyjacielem i towarzyszem. Ocalił mi życie więcej razy, niż mógłbym zliczyć, i ja zrobiłem to samo dla niego. Walczyliśmy razem na wojnie, spaliśmy pod jednym kocem, jedliśmy z jednego talerza, przewędrowaliśmy dziesięć tysięcy kilometrów w słońcu, kurzu i deszczu. Jest kimś więcej niż przyjacielem. Mam dwóch braci, matkę i ojca, ale Szadrach znaczy dla mnie więcej niż oni. A teraz mówisz mi, że jest ci przykro. Śliczne dzięki, kotku. To wielka ulga.

— Masz prawo być na mnie zły. Potrafię to zrozumieć!

— Ty potrafisz to zrozumieć? - zapytał. - Nic nie rozumiesz.

Jesteś bezmyślną ignorantką z drugiej półkuli. Pochodzisz z kraju, gdzie wszystko można łatwo naprawić. Przyjeżdżasz do Afryki i próbujesz narzucić swoje prostackie rozumowanie. Starasz się ocalić pojedyncze zwierzę od jego przeznaczenia, a doprowadzasz do tego, że ginie samica, zdychają z głodu trzy lwiatka, a jeden z najlepszych ludzi, jakich znam, zostaje kaleką na całe życie.

— Co jeszcze mam ci powiedzieć? - spytała. - Pomyliłam się.

— Twoja skrucha jest wyjątkowo wrzuszająca. - Jego głos chłostał ją nienawiścią. - Jasne, że się pomyliłaś. Tak samo jak ty i twoi ziomkowie mylicie się, usiłując zmusić głodem trzydziesiętomilionowy naród do przyjęcia waszych naiwnych rozwiązań. Kiedy zniszczenia, jakie spowodujecie, okażą się nie do naprawienia, to też powiecie: "Przepraszamy, myliliśmy się" i odejdziecie, zostawiając mój kraj na pastwę cierpienia i łez?

— Co jeszcze mogę zrobić?

— Zostało nam trzydzieści dni safari - odparł z goryczą. -

Chcę, żebyś przez ten czas nie wchodziła mi w drogę. Nie przerywam teraz safari i nie wysyłam cię do twoich Eskimosów i ich praw, bo tak się składa, że uważam twojego ojca za wyjątkowo

70

kowo wspaniałego człowieka. Od tej chwili jesteś tu jedynie tolerowana. Jeśli jeszcze z czymś się wyrwiesz, to wsadzę cię do następnego samolotu do Anchorage. Czy wyrażam się jasno?

- Jak najbardziej. - W jej głosie zabrzmiała bardziej energiczna nuta. Żadne z nich już się nie odezwało w czasie jazdy przez bród ani kiedy wspinali się na drugi brzeg, gdzie na polance stało drzewo z przynętą.

Gdy dojechali na miejsce, Job i Matatu rozpalili już ognisko. Sean podprowadził samochód jak najbliżej Szadracha i wyskoczył z toyoty.

— Jak ból? - spytał, kucając przy nim.

— Ból się nie liczy - odparł Szadrach, ale Sean rozpoznał kłamstwo po szarym kolorze twarzy i zapadniętych gałkach ocznych Murzyna. Napełnił jednorazową strzykawkę morfiną z ampułki. Odczekał, aż narkotyk zacznie działać, i dopiero wtedy przenieśli Szadracha na tył półciężarówki.

Job i Matatu zdążyli już zdjąć skórę z obu zwierząt i teraz załadowali nasolone skóry na maskę, żeby przeszły na wieczornym wietrze.

- To wspaniały lew. - Sean zwrócił się do Riccarda. - Masz wyborne trofeum.

Riccardo potrząsnął głową i odrzekł:

- Zawieźmy Szadracha jak najprędzej do obozu.

Sean prowadził bardzo ostrożnie, uważając na większe przeszkody i cały czas starając się uchronić Szadracha przed podrzutami.

Claudia nalegała, żeby pozwolono jej usiąść z tyłu. Położyła głowę Szadracha na swoich kolanach. Riccardo, który siedział obok Seana, spytał cicho:

— Co zamierzasz zrobić?

— Połączę się drogą radiową z Harare, jak tylko wrócimy do obozu. Przyślą po nas na lotnisko prywatny ambulans. Nie będzie mnie kilka dni. Postaram się, żeby Szadrach dostał dobrą opiekę i złożę raport do departamentu łowieckiego. Muszę jakoś załatwić tę sprawę.

— Nie pomyślałem o tym - odparł Riccardo. - Zastrzeliliśmy lwicę z małymi i mamy rannego człowieka. Co rząd z tym zrobi? Sean wzruszył w ciemnościach ramionami.

- Prawdopodobne jest, że zabiorą mi i licencję, i koncesję.

71

— Cholera, Sean. Nie wiedziałem, że to może tak wyglądać.

Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Nic a nic. Szefie, ale dzięki za dobre chęci. Jesteś poza sprawą. To jest między mną a departamentem.

— Mógłbym wziąć winę na siebie. Mogę powiedzieć, że to ja zastrzeliłem lwicę.

— Nic z tego. - Sean potrząsnął głową. - Nie można zwać winy na klienta. To jedna z zasad departamentu. Cokolwiek zrobisz, jestem za to odpowiedzialny.

— Jeśli zabiorą ci licencję... - Riccardo zawahał się i Sean znowu potrząsnął przecząco głową.

— Nie, Szefie, nie przerwą nam safari. To także żelazna zasada departamentu. Nie wolno obrażać płacącego klienta. Rząd potrzebuje pieniędzy. Dopiero jak wyjedziesz, dobiorą mi się do tyłka. Ty jesteś poza sprawą. Wrócę za dwa dni i zapolujemy

na wielkiego słonia. Nie martw się o nic.

— Czuję się przy tobie jak samolubny drań. Martwię się

0 ciebie i twoją licencję, i wcale nie zamierzam się dobrze bawić.

- Jeszcze będziemy się dobrze bawić, Szefie. Jeśli stracę tę

licencję, będzie to nasze ostatnie polowanie.

Claudia słyszała ich rozmowę ze swojego miejsca i wiedziała, dlaczego jej ojciec nic nie odpowiedział. Riccardo zdawał sobie sprawę, że to jego ostatnie polowanie bez względu na licencję. W ciągu ostatnich kilku godzin Claudią targały silne emocje

1 kiedy pomyślała o ojcu, do oczu napłynęły jej łzy. Przez chwilę

usiłowała z nimi walczyć, ale poczuła, że nie warto. Płakała za

nimi wszystkimi, za ojcem, lwicą z małymi, za pięknym lwem

i Szadrachem ze zgruchotaną nogą.

Jedna z łez spadła na twarz Szadracha i mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem. Otarła kciukiem kropelkę z jego policzka. Jej głos był stłumiony i pełen bólu, gdy szepnęła do niego:

- Wszystko będzie w porządku, Szadrach. - Nawet ona

wiedziała, że to zwykle kłamstwo.

Sean miał ustalony czas kontaktu radiowego ze swoim biurem w Harare na dziesiątą wieczór każdego dnia. Podróż do obozu zajęła im tyle czasu, że mieli ledwie kilka minut na zmontowanie

72

anteny i podłączenie radia do akumulatorów toyoty przed wyznaczoną godziną.

Połączenie było dobre; jednym z powodów tak późnej pory kontaktu było to, że w chłodnym, wieczornym powietrzu fale się lepiej rozchodziły. Sean słyszał wyraźny głos Reemy z jej intonacją gujurati. Reema była śliczną hinduską dziewczyną, która prowadziła biuro Seana w Harare z wyjątkową sprawnością.

— Mamy wypadek. - Sean użył zwrotu wojskowego z czasu

wojny oznaczającego transport rannego. - Chcę, żeby na lot

nisku czekał na mnie ambulans.

— W porządku, Sean.

— Umów mnie na rozmowę telefoniczną z moim bratem

Garrickiem w Johannesburgu na jutro rano, na dziesiątą.

— Załatwione, Sean.

— Zorganizuj mi także spotkanie z dyrektorem departamentu łowieckiego na jutro po południu.

— Sean, dyrektor jest w Nowym Jorku na konferencji poświęconej ochronie dzikich zwierząt. Zarządem kieruje jego zastępca.

Sean wyłączył mikrofon i zaklął ciężko. Zupełnie zapomniał

o tej konferencji. Nacisnął przycisk nadawania.

— W porządku, Reema, umów mnie na spotkanie z Geofreyem Manguzą.

— Sean, to brzmi poważnie.

— Właśnie odkryliśmy to słowo.

- Jaki jest twój OCP? Przygotuję dla ciebie plan lotu.

Siły bezpieczeństwa tak bardzo się obawiały pościgów sił południowoafrykańskich za terrorystami na terytorium Zimbabwe, że kazały pilotom nalotów na bazy terrorystów w Harare, że kazały pilotom wypełniać plany lotu, podając oczekiwany czas przylotu na czterdzieści osiem godzin przed lotem.

- Wylatuję za pięćdziesiąt minut. OCP Harare dwudziesta trzecia. Pilot i dwóch pasażerów - powiedział Sean.

Droga z obozu do lotniska zajęła im pół godziny. Riccardo i Claudia pojechali również.

Sean wyjął tylne siedzenia z samolotu Beechcraft i ułożył na podłodze materace. Ranny miał gorączkę i był niespokojny. Temperatura sięgnęła czterdziestu stopni, a pachwinowe węzły

73

chłonne były opuchnięte i twarde. Sean nie chciał spoglądać pod bandaż na nodze, ale jedno z zadrapań na brzuchu Szadracha zdradzało symptomy infekcji. Wydobywała się z niego ropa i czuć było delikatny zapach zgnilizny.

Sean wstrzyknął jeszcze jedną ampułkę penicyliny do kroplówki. Potem razem z Jobem i dwoma obozowymi oprawiaczami skór przenieśli ostrożnie rannego do samolotu i ułożyli na materacach.

Żona Szadracha była silną dziewczyną z ludu Matabele. Miała ze sobą niemowlę przytroczone do pleców paskiem materiału. Mężczyźni załadowali jej całym spory dobytek na pokład i kobieta wspięła się do samolotu, usiadła koło męża, posadziła dziecko na kolanach i rozpiąwszy bluzkę, zaczęła je karmić piersią. Job napełnił jeszcze pusty przedział bagażowy samolotu workami z suszonym mięsem, które było najlepszym środkiem płatniczym w Afryce. Następnie podjechał samochodem do końca pasa startowego, żeby oświetlić Seanowi miejsce, w którym musi oderwać się od ziemi.

— Szefie, Job zajmie się tobą pod moją nieobecność. Może weźmiesz strzelbę i zapolujesz na gołębie i pardwy nad je ziorami? To najlepsze zimowe strzelanie do pióra, jakie można sobie wyobrazić. O wiele lepsze niż polowanie na białe gołębie w Meksyku.

— Nie martw się o nas. Damy sobie radę.

— Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. Tukuruela i tak nie przyjdzie przed nową fazą księżyca. Wtedy będę już z powrotem.

Obiecuję ci to, Szefie. - Sean wyciągnął rękę i kiedy Riccardo ją uściśnął, dodał jeszcze: - Nieźle się spisałeś z lwami, Szefie, ale przecież nigdy nie brakowało ci charakteru.

— Co to za slang? - spytał Riccardo. - "Charakter"?

— W porządku, odpowiada ci jankeski zwrot, jaja"?

- Może być. - Riccardo wyszczerzył do niego wesoło zęby.

Claudia, która stała obok ojca, uśmiechnęła się niepewnie i zrobiła krok do przodu, żeby podać Seanowi rękę.

Rozplotła wcześniej warkocz i włosy rozsypały się gęsto wokół głowy. Miała łagodny wyraz twarzy, a oczy duże, ciemne i błyszczące. Światło lamp toyoty uwydatniło jej klasyczne rysy i Sean po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest piękna. Mimo osza-

łaniającej urody i pokornej postawy dziewczyny pozostał chłodny i odległy. Skinął głową, ignorując wyciągniętą rękę, wdrapał się po skrzydło do samolotu i zanurkował w kabinie.

Sean własnoręcznie wyciął pas startowy w gąszczu krzaków i wyrównał ziemię, ciągnąc na łańcuchu za toyotą stare opony od ciężarówek. Pas był wąski, nierówny, krótki i lekko pochylony ku rzece. Ustawił beechcrafta z ogonem wbitym w zarośla i mocno wcisnął hamulce, patrząc w dół stoku. Nakierował dziób samolotu na światła wozu na końcu pasa, zwiększając jednocześnie obroty obu silników, i zdjął nogę z hamulców. Tuż przed drzewami okalającymi pas startowy przyciągnął silnie drążek sterowniczy do siebie i poderwał samolot w górę. Jak zawsze przeżegnał się z kpiącym uśmiechem, czując ulgę, że udało mu się minąć drzewa. Nakierował samolot na kurs do Harare.

Podczas lotu zaczął obmyślać strategię postępowania. Dyrektor departamentu łowieckiego był starym przyjacielem Seana i pomógł mu już w równie niebezpiecznych sytuacjach. Jednakże z jego zastępcą Geoffreyem Manguzą to niełatwa sprawa. Dyrektor był jednym z niewielu białych urzędników, którzy ostali się w rządzie. Manguza miał go niedługo zastąpić. Byłby to pierwszy murzyński dyrektor w tym departamencie.

Manguza i Sean walczyli w czasie wojny po przeciwnych stronach. Obecny zastępca dyrektora okazał się zdolnym przywódcą partyzantów i nieprzejednanym politykiem. Chodziły pogłoski, że nie lubi koncesjonariuszy, których większość stanowili biali. Prywatna własność urażała jego marksistowskie przekonania, a ponadto zastrzelił zbyt wielu białych w czasie wojny, żeby ich lubić czy choćby czuć przed nimi respekt.

To może być trudna rozmowa, doszedł do wniosku Sean.

Kiedy wylądował na lotnisku, Reema już na niego czekała. Jako nowoczesna hinduska kobieta zamieniła sari na dżinsowe spodnie i koszulkę. Nie była jednak aż tak wyzwolona, żeby samej sobie znaleźć męża. Jej ojciec i wujowie pracowali właśnie nad tym i zaproponowali już pewnego kandydata z Kanady. Profesora religii orientalnych na Uniwersytecie Toronto. Sean nie cierpiał ich za to. Reema była jedną z ważniejszych ozdób jego firmy - Courtney Safari. Wiedział dobrze, że nigdy nie uda mu się jej nikim zastąpić.

75

Na pasie postojowym za oświetlonym hangarem stał już ambulans. Reema była przyzwyczajona do przekupywania strażników przy bramie wjazdowej suszonym mięsem z upolowanej na safari zwierzyny. W Afryce suszone mięso otwierało wszystkie drzwi.

Pojechali samochodem za karetką do szpitala w Kombi. Podczas gdy Sean przeglądał korespondencję, prowadząca samochód Reema zdała mu sprawozdanie z najważniejszych zmian, jakie zaszły pod jego nieobecność.

— Carter, ten chirurg z Atlanty, zrezygnował... - To było

dwudziestojednodniowe safari, więc Sean szybko podniósł wzrok

znad listu, ale Reema go uspokoiła. - Zadzwoiłam do niemieckiego producenta mydła z Monachium Herr Buchnera, któremu odmówiliśmy w grudniu. Wskoczył na miejsce chirurga. Mamy komplet do końca sezonu.

— Co z moim bratem? - Sean zmienił temat. Nie powiedział jej, że być może sezon właśnie się skończył.

— Twój brat oczekuje telefonu i dziś o szóstej linia jeszcze była w porządku. - W Zimbabwie nigdy nie można było mieć pewności, czy uzyska się połączenie.

W szpitalu co najmniej pięćdziesięciu chorych czekało w kolejce przed nimi. Długie ławki były pełne skulonych, cierpiących ludzi, a nosze blokowały korytarz i klatki schodowe. W rejestracji nikomu się nie spieszyło i nosze z Szadrachem trafiły na koniec kolejki.

- Zostaw to mnie - szepnęła Reema. Wzięła za łokieć starszego administratora szpitala i z anielskim uśmiechem zaczęła mu coś wyjaśniać.

Pięć minut później Sean otrzymał papiery Szadracha, którego przebadał już wschodnioniemiecki lekarz.

- Ile to kosztowało? - spytał Sean.

- Tanio - odparła Reema. - Worek suszonego mięsa.

Sean nauczył się trochę niemieckiego od swoich klientów

i mógł przedyskutować sprawę Szadracha z lekarzem. Doktor był pełen nadziei. Sean pożegnał się z rannym przyjacielem.

- Reema ma twoje pieniądze. Będzie przychodzić każdego dnia, żeby zobaczyć, jak się tobą opiekują. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, to jej powiedz.

76

— Będę z tobą duchem, gdy zapolujecie na Tukutele - szepnęła Szadrach i Sean musiał odchrząknąć, zanim mógł od

powiedzieć.

— Będziemy jeszcze polowali na wiele słońi, stary przyja

cielu. - Odszedł szybko od łóżka.

Następnego dnia, gdy udało mu się uzyskać połączenie z Johan-nesburgiem, w słuchawce słychać było mocne trzaski.

- Pan Garrick Courtney jest na zebraniu zarządu - oznajmiła

telefonistka w Centaine House, głównym biurze Courtney

Group. - Poleciał mi jednak, żeby pana połączyć.

Oczami wyobraźni Sean ujrzał olbrzymią salę wyłożoną boazerią z orzecha, z zawieszonymi na ścianach wielkimi płótnami Piernnefa w bogatych, złotych ramach, i Garry'ego na fotelu przewodniczącego na szczycie długiego stołu pod kryształowym żyrandolem, który ich babka ściągnęła z Murano we Włoszech.

- Sean! - Pewny siebie głos Garry'ego przebił się przez

szumy. Jak bardzo się zmienił ten mały szczeniak, który moczył

się w nocy.

Z tytułu przywileju najstarszego syna funkcja Garry'ego należała się Seanowi, gdyby tylko chciał ją pełnić i był do tego przygotowany. Sean jednak odrzucił to szczególne uprawnienie. W tej chwili poczuł ukłucie zawiści, gdy pomyślał o rollsach Garry'ego, odrzutowcu Lear i wakacjach we własnym domu na południu Francji.

— Cześć, Garry. Jak leci?

— Wszystko w porządku - odpowiedział Garrick. - Jakieś

problemy? - Ich kontakty najczęściej wiązały się z pojawieniem

się kwestii do rozstrzygnięcia.

— Może będę musiał nieco posmarować - powiedział dyp

lomatycznie Sean. Słowa te oznaczały, że należy wystać pieniądze

do banku w Szwajcarii i że Sean musi kogoś przekupić. Nie było

to takie rzadkie.

— W porządku, Sean. Podaj mi tylko wysokość sumy i numer

konta. - Garry był współnikiem Seana. Miał czterdzieści procent

akcji w jego przedsiębiorstwie.

— Dzięki, Garry. Zadzwoń do ciebie jutro. Co w domu? -

Porozmawiali o rodzinie przez kilka minut. Kiedy Sean odwiesił słuchawkę, do jego gabinetu weszła Reema.

77

- Udało mi się dostać w końcu połączenie z departamen-
tem - Reema próbowała się dodzwonić od samego rana. -

Towarzysz Manguza przyjmie cię dziś o wpół do piątej.

Geoffrey Manguza był wysokim Murzynem z plemienia Szona,

0 bardzo ciemnej skóry i krótko przystryżonych włosach. Nosił

okulary w srebrnych oprawkach i ciemnoniebieski garnitur. Na

szyi miał krawat firmy Hermes; Seanowi udało się rozpoznać

firmowy znak końskiego zaprzęgu. Rękę zdobił zegarek marki

Patek Philippe na pasku z krokodylej skóry. Nie były to raczej

akcesoria przeciętnego marksisty i Sean poczuł przypływ nadziei.

Zastępca dyrektora nie podniósł się z krzesła, żeby go przywitać.

— Pułkownik Courtney - powiedział bez uśmiechu. Spe-

cialnie użył stopnia wojskowego, żeby dać Seanowi do zro-

zumienia, iż wie o dowodzeniu przez niego oddziałem Ballantyne

Scouts, Zwiadowców Ballantyne'a, elitarniej jednostki wojsk

rodezyjskich. Sean objął dowództwo po tym, jak Ballantyne,

założyciel regimentu, został zabity w akcji. Przypominało to

także, że byli wrogami i może w dalszym ciągu nimi pozostają.

— Wolę, żeby mówił pan po prostu Courtney. - Sean

uśmiechnął się do niego. - Tamte sprawy są już za nami,

towarzyszu Manguza.

Zastępca dyrektora skłonił lekko głowę, nie wyrażając sprzeciwu, ale i nie zgadzając się z Seanem.

— Co mogę dla pana zrobić?

— Niestety, muszę złożyć raport o przekroczeniu zarządzeń departamentu... - Wyraz twarzy Geoffreya Manguzy stwardniał

1 nie zmienił się przez cały czas, gdy Sean opisywał omyłkowe zastrzelenie lwicy i wypadek Szadracha. Kiedy skończył i położył na biurku sprawozdanie, które napisała mu na maszynie Reema, zastępca dyrektora nie tknął kartek, lecz zadał kilka pytań:

— Zdaje pan sobie sprawę, pułkowniku Courtney - ponownie posłużył się rangą Seana - że jestem zmuszony spojrzeć krytycznym okiem na całą sprawę. Wygląda na to, że doszło do poważnego zaniedbania i zlekceważenia bezpieczeństwa gościa i pańskich ludzi. Zimbabwe nie jest już kolonią i nie może pan traktować naszych obywateli tak jak kiedyś.

— Zanim przedstawi pan swój punkt widzenia dyrektorowi, chciałbym wyjaśnić kilka spraw - powiedział Sean.

78

— Proszę mówić, pułkowniku.

— Jest już prawie piąta. - Sean spojrział na zegarek. - Czy mogę panu postawić drinka w klubie golfowym? Moglibyśmy tam swobodnie porozmawiać.

Wyraz twarzy Manguzy był nie do przeniknięcia, ale po kilku sekundach skinął lekko głową.

- Jak pan sobie życzy. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, ale możemy spotkać się za pół godziny.

Sean musiał czekać czterdzieści minut na werandzie klubu, zanim pojawił się Manguza. Klub kiedyś nazywał się Królewski Klub Golfowy Salisbury, ale dwa wyrazy, pierwszy i ostatni, wypadły z użycia, gdyż nazbyt oczywiście przypominały minioną erę kolonializmu. Niemniej pierwsze słowa, jakie Geoffrey Manguza wypowiedział po zamówieniu ginu z tonikiem, brzmiały:

- Jakie to dziwne... Jeszcze kilka lat temu Murzyn mógł się

tu dostać tylko jako służący. Teraz należę do komitetu zarządza

jącego i dostaję pięć punktów forów przy grze.

Sean puścił uwagę mimo uszu i poruszył problem kłusow-niczego zabijania nosorożców po drugiej stronie granicy z Zambią. Tym razem Manguza nie podjął tematu. Przyglądał się Seanowi przez okulary w srebrnych oprawkach i kiedy tylko ten skończył mówić, powiedział:

- Chciał mi pan wyjaśnić kilka punktów. Obaj nie mamy zbyt wiele czasu, pułkowniku.

Ta bezpośredniość nie była przyjemna. Sean liczył na typowe dla Afryki dotarcie do sedna sprawy okrężną drogą, ale dostosował się do rozmówcy.

- Przede wszystkim, panie Manguza, chciałem panu powie-
dzieć, jak dużą cenę ma dla mnie i moich współników koncesja
Chiwewe. - Sean celowo użył słowa "cena". - Dzwoniłem
dziś rano do moich partnerów, żeby wyjaśnić im ten pożałowania
godny incydent i są zdecydowani załatwić sprawę za każdą ce-
nę. - Ponownie użył tego słowa i znacząco zawiesił głos.

W tego typu negocjacjach należało przestrzegać pewnej etykiety. Wedle zachodniego sposobu myślenia chodziło o zwykłą łapówkę, w Afryce była to powszechnie zaakceptowana metoda załatwiania interesów. Rząd mógł sobie do woli wywieszać plakaty przedstawiające but rozniciający żmiję z napisem:

79

"Wyplenić korupcję", ale nikt nie traktował tego poważnie. W pewien dziwaczny sposób te plakaty wyrażały uznanie rządu dla takich praktyk.

Sean oczekiwał, że po jego wypowiedzi Geoffrey Manguza zgodzi się z nim co do zadośćuczynienia lub okaże zainteresowanie sprawą. Jednakże zastępca dyrektora nie odezwał się i tylko przyglądał się Seanowi zza błyszczących okularów, aż Sean czuł się zmuszony mówić dalej:

- Jeśli wypił pan drinka, to może przejdziemy się wzdłuż
osiemnastego toru? - O tej godzinie weranda była już zatłoczona
i należało się strzec zbyt ciekawskich uszu. Manguza dopił gin
z tonikiem i bez słowa zszedł po schodach na trawnik.

Na torze znajdowało się jeszcze czterech graczy, ale Sean trzymał się krawędzi trawnika. Kiedy gracze wraz z nosicielami minęli ich, Sean wrócił do tematu.

- Powiedziałem moim współnikom w interesach, że jest pan najpotężniejszym człowiekiem w departamencie i że biały dyrektor jest pańską pieczęcią firmową. Wyjaśniłem im także, że w pańskiej mocy leży skierowanie oficjalnego śledztwa w tej niefortunnej sprawie na boczne tory. Byłem tak pewien pańskiej władzy, że założyłem się z nimi o dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich. Jeśli wygram ten zakład, to pieniądze są pańskie i mogą zostać wpłacone na podane przez pana konto w którymkolwiek z banków na świecie.

Manguza zatrzymał się i spojrzał na niego. Seana aż zatkało, gdy ujrzał wyraz jego twarzy. Głos Manguzy drżał z ledwie tłumionej wściekłości.

— Pańskie przypuszczenie, że jestem otwarty na takie propozycje, jest dla mnie obrażą. To mógłbym jeszcze znieść, ale jest to także policzek wymierzony w rewolucję i rewolucyjnych bohaterów, którzy zginęli w walce o wyzwolenie tego kraju z kolonialnego jarzma. Obraża to partię i jej przywódców, a także wszystkich czarnych mieszkańców Afryki. Uderza w ideę marksizmu.

— Zaproponowałem panu jedynie głupich dziesięć kawałków, a nie przywrócenie monarchii, w imię Allacha.

— Może się pan uśmiechać szyderczo, pułkowniku Courtney, ale znamy pana dobrze. Wiemy o pana południowoafrykańskich powiązaniach i o tej bandzie bandytów Matabele, jakich pan

80

zebrał wokół siebie. Wiemy, że wszyscy oni walczyli u pana boku przeciwko siłom rewolucyjnym. To są kontrrewolucjoniści i zwolennicy kapitalizmu, a pan jest ich przywódcą.

— Zastrzeliłem przez pomyłkę lwicę, a jeden z moich kapi

talistów został ranny, to cała moja kontrrewolucyjna działalność.

— Mamy pana na oku, pułkownika - oznajmił złowieszczym tonem Manguza. - Może być pan pewien, że złożę odpowiedni raport z należytymi sugestiami w pańskiej sprawie i że obraza mojego ludu nie zostanie pominięta.

Manguza odwrócił się i ruszył w stronę budynku klubu. Sean stał na trawniku, potrząsając głową.

- Żegnaj, piękne Chiwewe - mruknął. - Tym razem spierzyłem sprawę! - Mimo dziwnej lekkości czuł ściskającą mu żołądek zapowiedź katastrofy.

Biura Courtney Safari znajdowały się na Avenues, między urzędem rady ministrów a klubem golfowym. Reema czekała na Seana w sekretariacie, którego ściany zostały ozdobione plakatami przedstawiającymi zwierzęta i powiększonymi zdjęciami zadowolonych klientów stojących przy swoich trofeach.

Na widok Seana poderwała się z krzesła.

- Sean, godzinę temu dzwonili ze szpitala. Amputowali Szadrachowi nogę.

Przez długą chwilę Sean nie mógł się poruszyć ani nic powiedzieć. Następnie podszedł do szafki i z górnej szuflady wyjął szklaneczkę oraz na wpół opróżnioną butelkę chivas. Opadł na sofę i nalał sobie whisky.

- Wspaniałe zakończenie cudownego dnia - powiedział i wypił szkocką jednym haustem.

Reema zostawiła go siedzącego na sofie, z alkoholem na dwa drinki. Kiedy opróżnił butelkę do dna, poszedł do hotelu Mono-matapa. Hotel był pełen turystów, a wśród nich dostrzegł blondynę w typie germańskiej walkirii w kostiumie żywcem wyjętym z Pożegnania z Afryką. Dziewczyna spojrzała na niego, gdy tylko wszedł do holu, i uśmiechnęła się.

Niech będzie, powiedział sobie Sean. To tańsze od whisky i nie ma potem kaca.

81

Dziewczyna śmiała się serdecznie ze słabej niemczyzny Seana i wkrótce się okazało, że sama zajmuje apartament na czternastym piętrze. Zamówiła do pokoju butelkę mumm, którą opróżnili w łóżku.

Rankiem, podczas gdy Reema wypełniała plan lotu i zawiozła worek suszonego mięsa kontrolerom lotów, Sean pojechał do szpitala.

Szadrachowi amputowali nogę tuż poniżej biodra. Lekarz ze wschodnich Niemiec pokazał Seanowi zdjęcia rentgenowskie.

- Beznadziejne! - Wskazał na kawałki kości. - Zupełnie jak konfetti!

W sali nie było miejsca, gdzie można by spocząć, więc Sean stał przez chwilę przy łóżku przyjaciela. Rozmawiali trochę

o wspólnych walkach i polowaniach. Nie mówili o nodze. A po tem Sean dał sto dolarów siostrze przełożonej, żeby opiekowała się Szadrachem, i pojechał na lotnisko.

Reema wręczyła mu plan lotu. Beechcraft był już zatankowany

1 wypełniony artykułami potrzebnymi w obozie: od świeżych owoców i warzyw aż po papier toaletowy.

— Jesteś wspaniałą dziewczyną, Reema - powiedział Sean

i stojąc przy samolocie, opisał spotkanie z Geoffreyem Man- guzą. - Nie wygląda to ciekawie - zakończył. - Lepiej poszukaj sobie nowej pracy.

— Tak mi przykro z powodu safari, Sean - odparła. - Nie

musisz się o mnie martwić. Sama zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć. Wylatuję do Kanady szesnastego września. Wszystko zostało już uzgodnione. Będę żoną profesora.

— Masz być szczęśliwa! - rozkazał jej Sean i pierwszy raz

w ciągu ich znajomości pocałował ją. Reema zarumieniła się pod smagłą skórą i wyglądała jeszcze śliczniej niż zwykle.

Sean wykonał trzy niskie okrążenia nad obozem, aż wreszcie dostrzegł jeepa, z Jobem za kierownicą i Matatu z tyłu, wyjeżdżającego w stronę lądowiska. Wylądował i zaparkował beech-crafta w specjalnej klatce z galwanizowanego drutu, która miała odstraszyć słonie, gdyby chciały urwać skrzydła, i lwy, gdyby dobierały się do opon.

Kiedy Job i Matatu przenieśli do toyoty artykuły z samolotu, Sean opowiedział im o nodze Szadracha.

Walczyli razem na wojnie i nauczyli się patrzeć twardo na życie, a jednak Sean dostrzegł ból i żal w ich oczach. Job mruknął:

— Będziemy potrzebowali drugiego tropiciela. Pumula, oprawiacz skór, jest całkiem niezły.

— Weźmiemy go - zgodził się Sean.

Przez chwilę stali w milczeniu w hołdzie złożonym okaleczonemu towarzyszowi. Następnie wdrapali się bez słowa do samochodu i wrócili do obozu.

Claudia Monterro włożyła na siebie tego wieczoru białą suknię z jedwabnego szyfonu ozdobioną srebrną biżuterią z turkusami. Przy jej opalonej skórze i kruczoczarnych włosach efekt był piorunujący. Sean jednak zrobił wszystko, żeby nie okazać zachwytu, i skoncentrował się na rozmowie z jej ojcem.

Kiedy opowiedział Riccardowi o Szadrachu i spotkaniu z Man-guzą, przy stole zapanował nastrój przygnębienia. Claudia zostawiła mężczyznę przy ognisku, ale nie siedzieli tam długo. Riccardo pożegnał się szybko i wrócił do swojego namiotu. Sean wziął ze sobą butelkę whisky z namiotu stołowego i poszedł do swoich ludzi.

Namiot Joba i jego dwóch żon stał trochę dalej od pozostałych, nad brzegiem rzeki. Widoczne w niej hipopotamy wyglądały niczym wystające z wody skały.

Sean usadowił się na rzeźbionym drewnianym stołku naprzeciw małego ogniska. Jedna z żon Joba przyniosła dwie szklanki i naląła do nich alkohol. Ładna dziewczyna z ludu Matabele, z niemowlęciem na plecach, podała mężowi szklankę, a Job podniósł ją do góry nad migającymi płomykami ku Seanowi.

Pili w milczeniu. Sean przyglądał się oświetlonej ogniem twarzy przyjaciela, który patrzył na rzekę. Cisza miała w sobie coś pokrzepiającego, a czując na języku dymny smak whisky, Sean pozwolił myślom cofnąć się do minionych lat.

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy poznał Joba Bhekani. Było to na skalistym wzgórzu, które nie miało nazwy, a jedynie numer. Wzgórze 31. Wśród gęstych, dzikich drzewek hebanowych krył

83

się nieprzyjaciel. Job siedział na górze od dwóch dni. Jego oczy były nieprzytomne i nabiegłe krwią. Sean wylądował na spadochronie o świcie z pięcioma innymi komandosami. Przez resztę dnia walczyli ramię w ramię. O zmierzchu, kiedy teren został oczyszczony, a niedobitki wroga uciekły w popłochu i znikły w lesie, Sean i Job pomagali sobie nawzajem, schodząc do śmigłowca. Opuszczali wzgórze

wolnym, znużonym krokiem, ciągnąc za sobą broń, wspierając się ramionami, tak że krew z ich ran mieszała się ze sobą.

- Czy ci się to podoba, czy nie, ale połączyło nas teraz

braterstwo krwi - jęknął Sean, uśmiechając się do Joba spod

kremu kamuflującego, pyłu i kurzu.

Kiedy tydzień później Job opuszczał szpital polowy, Sean czekał na niego z pisemną decyzją o przeniesieniu do nowej jednostki.

- Kapitanie, został pan przydzielony do oddziału Ballantyne

Scouts, Zwiadowców Ballantyne'a.

Job wyszczerzył do niego zęby w swoim specjalnym szerokim uśmiechu i odpowiedział:

- No to w drogę, pułkowniku.

Przeglądając jego teczkę, Sean się dowiedział, że Job urodził się nad rzeką Gwai i uczęszczał do miejscowej szkoły misyjnej, gdzie otrzymał stypendium na studia na Uniwersytecie Rodezyjskim, na którym uzyskał tytuł magistra nauk politycznych, a następnie ukończył drugi fakultet z historii i antropologii kulturowej. Później przyznano mu stypendium w College'u Browna w Chicago, gdzie otrzymał drugi tytuł naukowy w tym samym roku, w którym Ian Smith ogłosił niepodległość kraju.

Dopiero znacznie później, kiedy wypróbowali już swoją przyjaźń, Sean usłyszał od Joba, jak pasał bydło ojca nad rzeką i jako dziecko pokochał dziką naturę. Ojciec Joba był jednym z wnuków króla Lobenguly, syna potężnego króla Mzilikazi. Job był w prostej linii potomkiem królewskiego rodu Zulusów, co można było rozpoznać w jego postawie i rysach twarzy. Miał silnie rozwinięte szczęki i wysokie czoło, ciemne i inteligentne oczy i pięknie sklepioną czaszkę pod krótko obcięzonymi, kędzierzawymi włosami.

Podczas studiów i w czasie pobytu w Ameryce Job nauczył się nienawidzić komunizmu i jego osiągnięć. Kiedy wrócił do

84

rodzinnego kraju, było zupełnie naturalne, że zaciągnął się do Rhodesian African Rifles * i w ciągu roku awansował.

Po wojnie, kiedy na mocy porozumienia z Lancaster House kraj został przyznany Robertowi Mugabe i ludowej demokracji, Job zdał z wyróżnieniem egzamin na urzędnika państwowego, gdyż praca dla rządu była najkrótszą drogą do osiągnięcia zamożności i władzy.

Jednakże został napiętnowany jako "sprzedawczyk", który brał udział w wojnie po złej stronie. Na dodatek pochodził z ludu Matabele, podczas gdy władza dostała się w ręce członków plemienia Szona. Przed Jobem zamknęły się wszelkie drzwi do awansu. Rozzłoszczony i odarty ze złudzeń wrócił do Seana.

— Cholera, Job, jesteś za dobry na jakąkolwiek pracę, którą mógłbym ci zaproponować na safari - powiedział Sean.

— Tropiciel, oprawiacz skór, naganiacz, wezmę, cokolwiek mi zaoferujesz - nalegał Job.

Tak więc polowali razem w ten sam sposób jak walczyli, ramię w ramię, i w ciągu roku Sean mianował Joba jednym z zarządzających firmą Courtney Safari. Ich wieczorne rozmowy przy ognisku i szklaneczce whisky nazywały się posiedzeniami dyrektorów.

Job z dziwną przyjemnością odgrywał różne role w różnych okolicznościach. W obecności klientów grał rolę Murzyna z plantacji, kiedy to nazywał Seana Bwana lub Nkosi i zachowywał się jak posłuszny niewolnik.

— Nie bądź głupim fiutem, Job. Poniżasz się - protestował z początku Sean.

— Ależ właśnie tego oczekuje klient - przekonywał go

Job. - Stary, sprzedajemy im iluzję. Oni sobie wyobrażają, że są Ernestami Hemingwayami. Gdyby wiedzieli, że mam tytuł naukowy z historii i polityki, to narobili by ze strachu w portki.

Chociaż niechętnie Sean nie mógł się z tym nie zgodzić.

Kiedy byli sami, Job grał rolę homo sapiens i stawał się inteligentnym i wykształconym człowiekiem, którym był w rzeczywistości. W rozmowie z łatwością obaj przechodzili z sin-debele na angielski i każdy z nich ze swobodą posługiwał się językiem przyjaciela; czuli się dobrze w swoim towarzystwie.

* Afrykańscy Strzelcy Rodezyjscy, pułk czarnoskórych strzelców.

85

— Słuchaj, Sean, nie musisz się na zapas przejmować utratą koncesji. Na razie jeszcze ci jej nie odebrali, a nawet jeśli to się stanie, damy sobie radę.

— Pociesz mnie. Potrzebuję tego.

— Możemy wystąpić o koncesję gdzieś na Matabeleland, gdzie moja rodzina ma jeszcze pewne wpływy. Na przykład w Matetsi czy nawet nad rzeką Gwai. Znam tam każdy kamień.

— Nie da rady. - Sean potrząsnął głową. - Jak raz dałem

tyłka, to na zawsze będę napiętnowany jako pechowiec.

— Złożymy podanie w moim imieniu - zasugerował Job

i uśmiechnął się złośliwie. - Zrobię cię swoim dyrektorem i bę

dziesz mnie nazywał Bwana!

Roześmiali się i atmosfera się rozluźniła. Kiedy Sean zostawił Joba przy ognisku i wracał do namiotu, był już w pogodnym, a nawet wesołym humorze. Job zawsze umiał sobie poradzić z jego złym nastrojom.

Zbliżając się do swojego namiotu, zobaczył, że coś jasnego przesunęło się w cieniu pod drzewem i zatrzymał się gwałtownie. Gdy dobiegł go cichy brzęk srebrnej biżuterii, wiedział już, kto na niego czeka.

— Mogę porozmawiać z tobą? - spytała cicho Claudia.

— Słucham - odparł. Zastanowił się, dlaczego amerykański

zwrot "porozmawiać z tobą" zamiast "możemy porozmawiać"

tak go irytował.

— Nie mam w tym wielkiej wprawy - przyznała się, ale

Sean nie chciał jej pomóc. - Chciałam przeprosić.

— No to się zwracasz do nieodpowiedniej osoby. Ja mam

jeszcze obie nogi.

Cofnęła się nieznacznie. Jej głos drżał silnie, gdy się odezwała ponownie.

— Nie znasz litości, prawda? - Podniosła wyżej głowę. -

W porządku, chyba na to zasłużyłam. Zachowałam się jak idiotka.

Byłam przekonana, że znam to wszystko na wylot, ale okazało

się, że wiem jeszcze bardzo mało i przez moją ignorancję wy

rzałam ci wielką szkodę. Jeśli to coś pomoże, chcę ci powie

dzieć, że jest mi bardzo przykro.

— Pochodzimy z zupełnie innych światów i nie ma żadnej

myśli ani żadnego uczucia, które by nas łączyły. Nie ma też

nadziei na porozumienie się kiedykolwiek, a co dopiero mówić o przyjaźni, ale wiem, ile cię to kosztowało.

— A więc rozejm? - spytała.

— W porządku, zgadzam się na zawieszenie broni. - Wyciągnął rękę i dziewczyna ją uścisnęła. Jej skóra była delikatna jak płatek kwiatu, a ręka szczupła i chłodna, lecz uścisk miała silniejszy niż mężczyzna.

- Dobranoc - powiedziała, puściła jego rękę i odwróciła się.

Patrzył, jak odchodzi do namiotu. Brakowało dwóch dni, żeby

księżyc znalazł się w pełni. W srebrnym świetle biała suknia wydawała się ulotna niczym mgła. Przez cienki materiał widział szczupłe ciało i długie zgrabne nogi.

W tej jednej chwili podziwiał ją i myślał o niej życzliwiej niż w ciągu całej ich krótkiej znajomości.

Jako myśliwy i były żołnierz Sean spał bardzo lekko. Naturalne odgłosy dżungli nie budziły go. Mógł spać spokojnie przy krzyku hien kłębiących się wokół ufortyfikowanego miejsca, gdzie suszyły się skóry lwów.

Wystarczyło jednak delikatne skrobanie w płótno namiotu, żeby Sean schwycił latarkę i sięgnął po stojącą u wezłowia łóżka strzelbę.

— Kto tam? - spytał cicho.

— To ja, Job.

Sean spojrzał na tarczę roleksa. Fosforyzujące wskazówki pokazywały trzecią rano.

— Wejdz. Co się dzieje?

— Jeden z tropicieli, których ustawiliśmy nad rzeką, przybiegł do obozu. Pokonał trzydzieści kilometrów.

Sean poczuł mrówki na karku i usiadł na łóżku.

— Tak? - spytał podekscytowanym głosem.

— Dziś o zachodzie słońca Tukutela przekroczył rzekę.

— Czy to pewna wiadomość?

— Tak. Widzieli go z bliska. To Tukutela, Rozzłoszczony

Słoń, i nie ma obroży na szyi.

— Gdzie jest Matatu? - Sean zerwał się z łóżka i sięgnął po spodnie.

87

Mały Ndorobo stał przy wejściu do namiotu.

— Jestem gotowy, Bwanal - zawołał.

— Dobrze. Wyruszamy za dwadzieścia minut. Przygotujcie plecaki ze sprzętem i manierki. Weźmiemy Pumulę na miejsce Szadracha. Chcę znaleźć się na tropie Tukuteli przed świtem.

Na wpół ubrany Sean podszedł do namiotu Riccarda stojącego obok i usłyszał równomierne chrapanie.

— Szeffie! - Chrapanie ustało. - Nie śpisz? Mam dla ciebie słońca. Podnieś tyłek z łóżka. Tukutela przekroczył rzekę. Wyruszamy za dwadzieścia minut.

— Cholera! - Po głosie Riccarda poznał, że jeszcze na wpół śpi. Po chwili usłyszał, jak zawadza o coś nogą. - Gdzie, do diabła, są moje spodnie? Sean, bądź tak dobry i obudź Claudię.

W namiocie dziewczyny paliła się lampa. Musiała usłyszeć ich głosy.

— Obudziłaś się? - zapytał Sean, zatrzymując się przy klapie namiotu. Claudia otworzyła ją i stanęła w świetle latarni. Koszula nocna sięgała jej do kostek, a koronka zakrywała szyję, ale materiał był tak cienki, że światło lampy wydobywało zarys jej ciała.

— Słyszałam, jak rozmawiałeś z ojcem - powiedziała. -

Zaraz będę gotowa. Czy będziemy musieli dużo chodzić? Jakie buty mam włożyć: do chodzenia po górach czy mokasyny?

Sean był przekonany, że specjalnie urządziła to przedstawienie, i poczuł pruderyjną niechęć tak obcą jego naturze.

- Dzisiaj będziesz chodzić więcej i szybciej niż kiedykolwiek dotąd - odparł szorstkim głosem. Obnaża się jak jakaś dziewczyna lekkich obyczajów, pomyślał, zapominając, że jego gust skłaniał się właśnie ku takim kobietom, i to wtedy, gdy zacząłem nabierać dla niej szacunku. Na usta cisnęła mu się jakaś ostra uwaga. Udało mu się zdusić ją w sobie, lecz miał kłopoty z powstrzymaniem się od patrzenia na śmiałą linię jej bioder, delikatną niczym kształt chińskiej wazy wykonanej przez bezimiennego mistrza za czasów dynastii Tang. Najchętniej odwróciłby się na pięcie, żeby okazać swą obojętność, ale stał nieruchomo przed namiotem długo po tym, jak zasłona opadła. - Rozejm, niech mnie diabli - mruknął pod nosem, wracając do swojego namiotu. - Ona wcale nie zeszła z ringu i wciąż rozdaje

prawe sierpowe. - Własny gniew go zdziwił. Gdyby inna kobieta, nawet w połowie nie tak piękna jak Claudia, urządziła dla niego taki pokaz, byłby zachwycony. Ona ma więcej klasy, starał się sam siebie przekonać i pomyślał, jak bardzo ta dziewczyna działa mu na nerwy i jak jej nie lubi. Rany, ta smarkata zapędzi cię do czubków, udzielił sobie upomnienia i wybuchnął śmiechem. Przygnębienie wywołane amputacją nogi Szadracha i możliwością utraty licencji znikło jak sen.

Udawał się na polowanie legendarnego zwierzęcia i w jakiś trudno wytłumaczalny sposób obecność tej kobiety dodawała jedynie smaku przygodzie.

Na trawie w płytkim jarze leżał szron. Lśnił w mocnym świetle lamp toyoty, a wyrwane z ciemności zwierzęta były nieruchawe z zimna i niechętnie schodziły z drogi. Na godzinę przed świtem dojechali do brodu nad Chiwewe. W bladym świetle zachodzącego księżyca woda wydawała się czarna i błyszcząca niczym antracytowe skały. Wysokie drzewa porastające oba brzegi były skąpane w srebrzystej poświacie jak dwie armie mitycznych olbrzymów.

Sean zaparkował wóz z dala od ścieżki i zostawił jednego z ludzi, żeby go pilnował. Wszyscy naturalnie zajęli swoje miejsca w szeregu myśliwskim, w którym klienci zawsze znajdowali się pośrodku. Miejsce Szadracha zajął Pumula - muskularny i małomówny mężczyzna z gęstą, kręconą brodą. Niósł rigby Riccarda.

Wszyscy mężczyźni, nie wyłączając Monterra, mieli na ramionach plecaki, a Claudia musiała wziąć manierki z wodą. Job niósł drugą strzelbę Riccarda, weatherby magnum, a Sean, jak zawsze, swój nitro express, którego na polowaniu nigdy nie wypuszczał z rąk. Szli gęsiego w górę rzeki. Po przejściu kilometra wszyscy się rozgrzali i mogli przyspieszyć kroku. Sean zauważył, że Claudia potrafi poruszać się bardzo szybko na swoich długich nogach i nie ma kłopotu z utrzymaniem tempa. Dziewczyna uśmiechnęła się zuchwale, dostrzegając jego taksujący wzrok.

Świt wstawał już nad drzewami, gdy tropiciel, który przybiegł z wiadomością o Tukuteli, wykrzyknął i wskazał ręką na jakiś

89

kształt przed nimi. W świetle poranka pień mahoniu rosnącego nad obniżającym się w tym miejscu brzegiem wydawał się cały w ogniu.

- Tam! - powiedział tropiciel. - Oznaczyłem ślad.

Na pierwszy rzut oka widać było, że znajdują się przy naturalnym miejscu przepraw dużych zwierząt. Hipopotamy wydeptały sobie ścieżkę przez nadbrzeżne trzciny i wysoki na trzy metry brzeg. Stada bawołów i słoni wytyczyły miejsce przeprawy. Afrykańska sawanna jest pokryta siatką dróg dzikich stworzeń. W tym miejscu nad rzeką schodziło się kilkanaście ścieżek różnych gatunków zwierząt przepływających się przez las do wodopoju. Na okrzyk tropiciela wszyscy przyspieszyli kroku, ale Matatu pierwszy wpadł na trop i wykrzywił głowę, żeby wykorzystać słabe światło, grzebał w ziemi gałązką dzikiej wierzby.

Po kilku krokach podniósł się i spojrzał na Seana, z twarzą pomarszczoną w szczęśliwym uśmiechu.

- To on! - zawołał z radością. - To są ślady ojca wszy

kich słoni. To Tukutela! Rozzłoszczony Słoń!

Sean spojrzał na wielkie odciski stóp na pokrytej pyłem ścieżce i poczuł się tak, jakby jego żyłami płynął wiosenny potok. Po chwili entuzjazmu ogarnęło go niemal religijne uniesienie, poczucie, że to, co się dzieje, było mu przeznaczone.

- Matatu - powiedział. - Prowadzisz po śladzie.

Ogłosił formalne rozpoczęcie polowania.

Ślad był wyraźny niczym droga i prowadził wydeptaną przez zwierzęta ścieżką w głąb lasu.

Stary słoń poruszał się szybkim krokiem, jakby był świadom, że miejsce przeprawy jest zdradliwym punktem. Może właśnie dlatego przeszedł przez rzekę w nocy, kiedy chroniły go ciemności.

Wędrował z osiem kilometrów, nie zatrzymując się ani razu, a potem niespodziewanie zszedł ze szlaku i skręcił w gąszcz ciernistych krzewów, które wypuszczały nowe gałązki i pączki. Często skręcał, żywiąc się zawiązkami liści i pędami. W wydeptanym gąszczu ślad stał się pogmatwany.

90

Job i Matatu weszli pomiędzy zarośla, żeby się zorientować, w którą stronę Tukatela się kieruje, a reszta grupy została na ścieżce, żeby nie przeszkadzać im w pracy.

— Chce mi się pić! - Claudia odpięła od paska manierkę z wodą.

— Nie! - powstrzymał ją Sean. - Jeśli napijesz się teraz, to będziesz czuła pragnienie przez cały dzień, a dopiero rozpoczęliśmy polowanie.

Zawahala się, jakby chciała mu się sprzeciwić, ale przywiesiła manierkę z powrotem do paska.

- Jesteś wyjątkowo nieużyty - poskarżyła się.

Matatu gwizdnął cicho zza krzaków.

— Odnalazł trop - oznajmił Sean i poprowadził ich przez zarośla. - Ile zyskaliśmy? - spytał, gdy dotarli do Matatu. Zaczęli polowanie ze stratą dziesięciu godzin do słonia, ale za każdym razem, gdy Tukatela robił postój na posiłek, dystans się zmniejszał.

— Nie zatrzymał się na długo. - Matatu wzruszył ramionami. - Potem znowu ruszył szybkim krokiem.

Słoń oddalał się od ścieżki, podążając wzdłuż skalistego grzbietu, jakby chciał zatrzeć za sobą ślady. Dla przeciętnego ludzkiego oka były one niewidoczne, ale Matatu podążał tropem bez najmniejszych trudności.

— Jesteś pewien, że go nie zgubiliśmy? - spytał niespokojnie Riccardo.

— Szefie, polowałeś tyle razy z Matatu, że nie powinieneś zadawać takich pytań - skarcił go Sean.

— Ale co on tu może znaleźć? - zainteresowała się Claudia. - Przecież to same skały i żwir.

— Stopy słonia zostawiają ślady otarcia na skałach, ścierają mech i kurz. Pomiędzy kamieniami rośnie delikatna trawa, którą słoń rozdeptał, przygniatając łodyżki w stronę, w którą się kieruje.

Przygnieciona trawa inaczej odbija światło.

— Ciekawa jestem, czy ty także umiałbyś podjąć trop? -

zapytała Claudia.

Sean potrząsnął przecząco głową.

- Nie jestem magikiem. - Rozmawiali zniżonymi głosami,

ale Sean zdecydował: - Dostyc tych pogaduszek. Od tej chwili

ograniczamy wszelkie rozmowy.

91

Szli dalej w milczeniu, a las wokół nich nieustannie się zmieniał.

W lesie było ze czterdzieści gatunków lian z rodziny trudnicz-kowatych, które i tak nie wyczerpywały bogactwa buszu wypełnionego różnymi drzewami o najprzeróżniejszych kształtach pni i konarów. Niektóre miały gałęzie ogołoczone z liści, inne mieniły się najdziwniejszymi odcieniami zieleni, złota, oranżu i cynobru.

Czasami las otaczał ich niczym palisada, by po chwili rozchylić się i ukazać odległe wzgórza, kopce o dziwacznych kształtach, polanki i parowy z wypaloną trawą i zielonym dywanem młodych pędów wyłaniających się z czarnych popiołów.

Świeża trawa przyciągała stada antylop. Czarne antylopy z drugimi rogami w kształcie zakrzywionych szabel stały wśród wysokiej trawy z wyciągniętymi dumnie szyjami, grzbietami pokrytymi popiołem z jaru i białymi brzuchami.

Antylopy leśne z nastawionymi rogami i ogonami niczym poduszeczki do pudru, zebry, które z odległości wydawały się jednolicie szare, i gnu z rzymskimi nosami i rzadkimi brodami ścigały się po całym wąwozie, wzniesając tumany czarnych popiołów.

Kiedy lew nie poluje, zwierzęta są wyjątkowo ufne i potrafią przyglądać mu się spokojnie, gdy przechodzi pięćdziesiąt metrów od nich. Tak samo teraz zdawały się wyczuwać, że grupa ludzi nie stanowi zagrożenia. Pozwalały im się zbliżyć, po czym leniwie odsuwały się na bok. Claudia była tak zachwycona tym widokiem, że zapomniała nawet o zmęczeniu po czterech godzinach marszu.

W wąskiej kamiennej sadzawce, w wąwozie między dwoma wzniesieniami, pozostało trochę wody. Stojąca woda była zielona i na powierzchnię wydobywały się bańki z gnijącej roślinności, ale słoń zatrzymał się tutaj, żeby ugasić pragnienie, a następnie załatwił się tuż przy zbiorniku.

- Dziesięć minut odpoczynku - oznajmił Sean. - Możecie się teraz napić. - Spojrzał na Claudię. - Postaraj się jednak ograniczyć do dwóch łyków, chyba że chcesz później pić coś takiego. - Wskazał na bajoro i Claudia się skrzywiła.

Zostawił ją siedzącą obok ojca i podszedł do Matatu stojącego przed sadzawką.

- O co chodzi? - spytał. Po dwudziestu latach potrafił rozpoznać nastroje tropiciela.

Matatu potrząsnął niechętnie głową i na twarzy utworzyły mu się zmarszczki niepewności.

— Coś jest nie tak - powiedział. - Słoń wydaje się nie spokojny. Najpierw idzie w jedną stronę, a potem nagle skręca.

Porusza się szybko, ale bez celu. Nie zatrzymuje się, żeby coś zjeść, i zachowuje się, jakby grunt palił mu się pod nogami.

— Dlaczego, Matatu?

— Nie wiem - przyznał się niechętnie. - Ale nie podoba mi się to, Bwana.

Sean wrócił do Claudii.

— Pozwól, że spojrzę na twoje stopy. - Zauważył, że w ciągu ostatniej godziny marszu dziewczyna lekko kulała.

— Mówisz poważnie?

Zaczęła się uśmiechać, ale Sean chwycił jej nogę, położył ją sobie na kolanach, rozsznurował but i zdjął go razem ze skarpetą. Stopy miała długie i wąskie tak jak i dłonie. Na delikatnej skórze pod dużym palcem widać było zaczerwienienie i drugie na pięcie. Sean oczyścił otarte miejsca watką i spirytusem. Czuł zmysłową przyjemność, trzymając w dłoniach jej kształtną stopę, ale odezwał się szorstkim tonem:

- To musiało cię boleć. Nie staraj się być niepotrzebnie dzielna, jeszcze kilka kilometrów i miałabyś bąble wielkości winogron, a my zostalibyśmy z kaleką.

Zalepił otarcia plastrem.

- Zmień skarpety - dodał. - Następnym razem powiedz mi, jak tylko zaczniesz boleć.

Posłusznie spełniła jego polecenie i wyruszyli w dalszą drogę. Niedługo przed południem trop znowu zmienił kierunek i prowadził prosto na wschód.

— Zyskaliśmy jakąś godzinę czy dwie - powiedział Sean

do Riccarda - ale Matatu sądzi, że coś jest nie w porządku.

Mnie też się to nie podoba. Słonia coś martwi i jest spięty, a teraz

kieruje się prosto ku granicy z Mozambikiem.

— Myślisz, że mógł nas wyczuć? - Riccardo był wyraźnie

zaniepokojony, ale Sean potrząsnął przecząco głową.

— Niemożliwe, jesteśmy kilka godzin za nim.

93

W południe zrobili następny postój, żeby się posilić i odpocząć. Kiedy podjęli pościg, nie przeszli nawet kilometra, gdy otworzył się przed nimi zagajnik drzew manila. Na ziemi leżały dojrzałe, żółte owoce, którym Tukutela nie mógł się oprzeć. Słoń spędził co najmniej trzy godziny w zagajniku, otrząsając gałęzie ze świeżych owoców. Następnie, zupełnie nagle, ruszył na wschód, jakby przypomniał sobie o umówionym spotkaniu.

- Przynajmniej zyskaliśmy kolejne trzy godziny - oznajmił

Sean, ale na jego twarzy nie było uśmiechu. - Jesteśmy jakieś

szesnaście kilometrów od granicy z Mozambikiem. Jeśli ją prze

kroczy, to go straciliśmy.

Sean zastanawiał się przez chwilę, czy ruszyć biegiem po śladzie. W czasie wojny on, Job i Szadrach zawsze biegli, ścigając wroga, i potrafili pokonać dziewięćdziesiąt, a nawet sto kilometrów w ciągu dnia. Spojrzał na Claudię; dziewczyna poruszała się sprawnie i mimo otarc na stopach jej krok był sprężysty. Powinna dotrzymać im kroku. Przeniósł wzrok na Riccarda i od razu zrezygnował z pomysłu. Myśliwy dosłownie roztapiał się w upale, który sięgał w kotlinie czterdziestu stopni. Sean często zapominał, że Szefer skończył pięćdziesiąt osiem lat. Jak na swój wiek był zawsze w wybornej formie, ale teraz widać było po nim pierwsze oznaki zmęczenia - pod oczami miał ciemne obwódki, a skóra nabrała szarej barwy.

Biedak wygląda, jakby był chory, pomyślał Sean. Nie mogę go zmuszać do większego wysiłku.

Sean tak się zamyślił, że niemal wpadł na Matatu, gdy ten zatrzymał się nagle schylony nad tropem.

- Co się stało? - spytał Sean. Mały tropiciel był zdener

wowany. Potrząsał głową i mamrotał coś pod nosem w dialekcie

plemienia Ndorobo, z którego nikt nic nie mógł zrozumieć. -

Co jest...? - zaczął Sean i umilkł, gdy zorientował się, co się

dzieje. - O kurwa! - Z boku biegły ślady stóp dwóch ludzi

i nakładały się na trop słonia. Ziemia była w tym miejscu

piaszczysta, więc odciski były wyraźne.

Dwóch ludzi noszących buty z gumowymi podeszwami. Sean rozpoznał wzór na podeszwach popularnych tenisówek firmy Bata wyrabianych w miejscowych zakładach i sprzedawanych w każdym sklepie w okolicy.

94

Nawet Riccardo rozpoznał odciski butów.

- Kto to, u diabła, może być? - zapytał, ale Sean zignorował

pytanie i razem z Jobem stanął z boku, obserwując gorączkowe

poszukiwania Matatu.

Tropiciel biegł w tę i z powrotem, przyglądając się uważnie śladom niczym stara kura. Wreszcie podszedł do mężczyzn. Przykucnęli - Job obok Seana, a Matatu naprzeciwko - tworząc radę wojenną, w której brakowało Szadracha.

— Dwóch mężczyzn. Jeden młody, wysoki i chudy, chodzi

lekko. Drugi jest starszy, niski i gruby. Obaj niosą plecaki

i banduki. - Sean wiedział, że Matatu wydedukował to wszystko

z długości kroku mężczyzn, sposobu, w jaki stawiali stopy,

i lekkiego przechylenia ciała pod ciężarem niesionej w rękę

broni. - To nie są miejscowi. Ludzie mieszkający w dolinie nie

noszą butów, a ci przyszli z północy.

— Kłusownicy zambijscy - mruknął Job. - Polują na no

sorożce, ale znaleźli trop słonia. Jest zbyt duży, żeby mogli go

przepuścić.

— Dranie! - powiedział z goryczą Sean.

W 1970 roku w Zambii nad rzeką Zambezi żyło około dwunastu tysięcy nosorożców. Teraz nie został przy życiu ani jeden. Bogacz jemeński potrafił zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za sztylet z rękojeścią z rogu nosorożca. Polujący na zwierzęta kłusownicy byli zorganizowani na wzór wojskowy. W południowej części doliny rzeki Zambezi pozostało jeszcze kilkaset nosorożców, więc kłusownicy zambijscy przekradali się w nocy przez rzekę, omijając rządowe patrole. Wielu z nich walczyło w szeregach partyzantów w czasie wojny. Byli to twardzi ludzie, którzy równie łatwo mogli zabić człowieka jak nosorożca czy słonia.

— Mają pewnie karabiny AK. - Job spojrzął na Seana. -

Może być ich więcej niż dwóch, tyle że posuwają się na flankach,

mają też przewagę liczebną i ogniową. Co robimy?

— To mój teren - odparł Sean. - A Tukutela jest moim

słoniem.

— Więc będziesz musiał walczyć o jedno i drugie. - Rysy

twary Joba nie zmieniły się, wyrażały spokój, ale jego oczy

błyszczały. Job nie potrafił ukryć ochoty do walki.

Sean wstał.

95

— Masz cholerną rację. Jeśli ich tylko dorwiemy, to będziemy

walczyć.

— No to musimy się pospieszyć. - Matatu stanął obok

Seana. - Mają dwie godziny przewagi nad nami, a Tukutela

musi się niedługo zatrzymać i posilić. Dostaną go, zanim ich

złapiemy.

Sean podszedł do miejsca, gdzie Riccardo i Claudia siedzieli w cieniu.

- Kłusownicy! - wyjaśnił im. - Prawdopodobnie uzbrojeni

w automatyczne karabinki. Znaleźliśmy ślady dwóch ludzi, ale

jest ich pewnie więcej. Wszyscy to bezlitośni mordercy. Patrzyli

na niego w milczeniu. - Będziemy musieli poruszać się znacznie

szybciej, żeby uniemożliwić im spotkanie z Tukutela. Zostawię

z wami Pumulę, żebyście szli własnym tempem. Job, Matatu i ja pobiegniemy tropem i przetniemy im drogę. Szefie, zatrzymaj sobie rigby, a Job weźmie weatherby.

Kiedy miał się odwrócić, Riccardo złapał go za ramię.

— Sean, chcę mieć tego słonia. Chcę tego słonia bardziej niż czegokolwiek w życiu.

— Postaram się ocalić go dla ciebie. - Sean skinął głową.

Rozumiał pragnienie przyjaciela, bo czuł dokładnie to samo.

— Dzięki. - Riccardo opuścił rękę.

Sean podszedł do Joba i Matatu. Oddali swoje plecaki Pumuli, zostawiając sobie jedynie manierki. Sean rzucił okiem na roleksa. Cztery minuty od chwili, gdy napotkali trop kłusowników, cztery zmarnowane minuty.

— Ruszamy w pościg! - rozkazał. - Możliwość zasadzki!

— Job uśmiechnął się do niego.

— Jak za starych czasów - powiedział. - Znowu czuję się młody.

— Matatu podciągnął opaskę biodrową, wsunął koniec ko szuli za pasek, obrócił się i puścił susami tropem słonia. Sean widział już, jak Matatu biegnie w tym tempie od wschodu do zachodu słońca. Sam zajął pozycję po jego prawej stronie, a Job, który był mańkutem, po lewej. Sean zmienił naboje w strzelbie i też ruszył biegiem. Po kilku sekundach Riccardo i pozostali znikli im z oczu. Sean skoncentrował się całkowicie na drodze przed nimi.

96

Utrzymanie szyku pościgowego na tego typu zmiennym terenie wymagało specjalnych zdolności i dużego doświadczenia. Biegący na flance musieli nieco wyprzedzać tropiciela, przewidując, w którą stronę kieruje się trop, badając obszar przed sobą w poszukiwaniu zasadzki, osłaniając biegnącego w

środku Mataru. Zachowując odstęp pięćdziesięciu kroków, flankierzy musieli utrzymywać między sobą kontakt, choć często tracili się z oczu. Wszystko to odbywało się w szaleńczym tempie nadawanym przez Matatu.

Kiedy trop skręcał, biegnący po wewnętrznym łuku musiał zawracać i przebiec szybszym krokiem większy dystans niż jego kolega. Gdy ślad wybiegał na otwarty teren, obaj flankierzy przyspieszali kroku, tworząc formację w kształcie odwróconej strzały, nieustannie osłaniając tropiciela. Porozumiewali się ze sobą za pomocą naśladowania głosów ptaków: krzyku leśnego gołębia, gwizdu ptaka bul-bul, szczebiotu dzieźby, pisku czarnej kani. Żadnego sygnału, rozkazu czy ostrzeżenia nie wolno im było przeoczyć.

Oprócz tego wszystkiego musieli jeszcze zachować ciszę i utrzymać dobre tempo. Job i Sean biegli niczym para byków kudu, lekko i niemal bezgłośnie, przemykając pod konarami i klucząc pomiędzy chaszczami ciernistych krzaków.

Po godzinie biegu Matatu dał im znak ręką, gdy przemykali przez przecinkę w lesie. "Dwóch następnych", Sean odczytał sygnał.

Kolejnych dwóch kłusowników przyłączyło się do ściganej pary i teraz już czterech ludzi podążało za słoniem.

Biegli przez następną godzinę, nie zwalniając ani na chwilę kroku, kiedy Matatu przekazał drugie ostrzeżenie.

"Bardzo blisko". Kolejny ruch dłonią. "Strzeż się. Niebezpieczeństwo". Sean zagwizdał jak pardwa, ostrzegając Joba i wszyscy trzej zwolnili bieg do lekkiego truchtu.

Ślad biegnący wzdłuż starego szlaku słoni, porządnie ubitego w twardej ziemi, zaprowadził ich na niski płaskowyż. Kiedy wspięli się nań, poczuli delikatny, chłodny, wiejący ze wschodu wieczorny wiatr i Sean z ulgą wystawił ku niemu spoconą twarz.

Płaskowzgórze miało niecałe dwa kilometry szerokości, więc grupka mężczyzn szybko je przebiegła. Gdy dotarli do krawędzi,

97

położyli się płasko na brzuchach i ześliznęli w dół tak, żeby ani na chwilę ich sylwetki nie były widoczne na tle nieba. Następnie przykucnęli pod nawisem, by spenetrować wzrokiem rozciągającą się pod nimi płytką dolinę, za którą ciągnął się następny zalesiony płaskowyż. Przez środek niecki płynęła zakolami rzeka, jej bieg zaś znaczył wąski pas nadrzecznej roślinności. Pozostała część doliny była pusta. W słońcu błyszczała blada, zimowa trawa, gdzieś widać było kopce mrówek, każdy wielkości małego domku, oraz kilka rozłożystych akacji o płaskich koronach i żółtych pniach. Sean szybko przeczesał dolinę wzrokiem.

Z lewej strony dobiegł go sygnał od Joba przypominający świst leśnej antylopy, jeden z bardziej nagłych znaków w ich repertuarze. Job wskazywał na coś w dolinie, na lewo od Seana. Sean

spojrzał w tym kierunku. Przez chwilę nie dostrzegł niczego. Nagle zobaczył Tukutelę, Rozzłoszczonego Słonia.

Zwierzę było ukryte przed jego wzrokiem za olbrzymim kopcem, ale teraz wyszło na otwartą przestrzeń i Sean wciągnął głośno powietrze do płuc. Nawet z odległości półtora kilometra zdał sobie sprawę, że nie zapamiętał dokładnie wielkości zwierzęcia.

Tukutela miał ciemny kolor wulkanicznych skał, był wielki i chudy. Można było dostrzec fałdy i bruzdy na skórze, a także wyraźną linię kręgosłupa. Wachlował uszami przy każdym kroku, a ich końce były postrzępione jak para wojskowych proporców porwanych przez kule i osmalonych ogniem z dział.

Siekacze także były niemal czarne, pociemniałe ze starości i poplamione żywicą. Spod otwartej dolnej szczęki rozchodziły się na zewnątrz i ponownie zakrzywiały do środka, niemal stykając się na końcach. Prawie w ogóle nie zwężyły się ku końcom, a sięgały tak nisko, że kryły się w trawie. Były ogromne, zdawały się zbyt ciężkie nawet dla olbrzymiej postury zwierzęcia. Sean pomyślał, że pewnie już nigdy nie będzie drugiej takiej pary ciosów. Stoń był nie tylko olbrzymem, ale legendą i historią.

Sean poczuł wyrzuty sumienia. Bez względu na legalność czynu zabicie Tukuteli będzie zbrodnią przeciw Afryce, obrazą bogów tego kraju i najgłębszej ludzkiej natury. Wiedział jednak, że się nie zawaha przed tym czynem i ta świadomość potęgowała wyrzuty sumienia. Dla myśliwego im szlachetniejsze jest zwierzę,

98

tym większa staje się pokusa zdobycia go jako trofeum. Job dał kolejny sygnał, odwracając uwagę Seana od Tukuteli. Przeniósł więc wzrok w stronę, w którą wskazywał naganiacz, i ujrzał kłusowników.

Zbliżali się do słonia. Widział wszystkich czterech. Wyszli właśnie spomiędzy drzew u podnóża płaskowyżu i w szeregu weszli w sięgającą do szyi trawę. Ich ramiona i głowy posuwały się do przodu niczym spławik na żyłce zarzuconej w spokojne morze trawy. Wszyscy mieli karabinki AK-47 przewieszane przez ramiona.

Lekkie pociski wystrzeliwane z tej broni nie nadawały się do polowania na tak duże zwierzę, ale Sean znał taktykę kłusowników. Zamierzali podkraść się jak najbliżej celu i strzelać jednocześnie z czterech karabinów, zasypując zwierzę setkami pocisków, dziurawiąc płuca i mordując go olbrzymią siłą ognia broni automatycznej.

Kłusownicy skręcili w bok, nie kierując się prosto na słonia, żeby powiew wiatru nie doniósł do niego ich zapachu. Mimo że musieli pokonać dłuższą drogę, biegli w ostrym tempie i szybko się zbliżali do Tukuteli. Stoń nie zdawał sobie sprawy z ich obecności i szedł wyciągniętym krokiem ku rzece. Sean wiedział już, że w tym tempie kłusownicy przetną mu drogę, zanim do niej dotrze.

Departament łowiectwa przekazał właścicielom koncesji jednoznaczne zalecenia rządowe. Ludzie, którzy bez zezwolenia wkraczali na teren objęty koncesją i zostali przyłapani w czasie polowania, mieli być uznani za kłusowników. W ciągu ostatnich czterech lat zginęło czterech strażników i jeden

właściciel koncesji, więc rząd zezwalał na strzelanie do nieproszonych gości bez ostrzeżenia. Premier Robert Mugabe powiedział to jeszcze wyraźniej: "Strzelać tak, żeby zabić".

Strzelba z nabojami Nitro Express kalibru .577 była potężną bronią, ale przeznaczoną do strzału z bliskiej odległości; po pokonaniu stu metrów ciężki pocisk szybko opadał. Grupa kłusowników była oddalona o pięćset metrów. Sean prześliznął się szybko pod krawędzią skarpy do miejsca, gdzie Job leżał za zwalonym pniem drzewa.

Przypadł do ziemi obok niego.

99

- Daj mi weatherby - powiedział i wyrwał mu z ręki lżejszą broń. Job był wyborowym strzelcem, ale ten strzał wymagał celności Wilhelma Telia.

Sean otworzył zamek i sprawdził, czy w komorze znajduje się nabój. Był to dwunastogramowy nosler i Sean zastanawiał się, o ile pocisk opadnie przy strzale z odległości pięciuset metrów, skierowanym w dół i z lekkim wiatrem wiejącym z lewej strony. Przypomnił sobie tablice balistyczne, z których wynikało, że przy strzale odległości trzystu metrów zniży lot o piętnaście centymetrów, czyli przy strzale z odległości pięciuset metrów powinno być mniej więcej sto dwadzieścia centymetrów.

Obliczając odległość, zdjął koszulę, zwinął ją w wałek i położył na pniu zwalonego drzewa, za którym przykucnął.

- Strzelaj razem ze mną z banduki. Mierz wysoko - poleciał Jobowi i ułożył się na ziemi za pniem, opierając lufę strzelby na wałku z koszuli. Nastawił celownik optyczny i spojrzał przez niego na kłusowników.

Przy tym powiększeniu z łatwością mógł rozpoznać obu intruzów opisanych przez Matatu po śladach stóp. Wysoki i szczupły mężczyzna, który prowadził grupę, miał na sobie kurtkę z niebieskiego drelichu, tradycyjny ubiór partyzantów z czasów wojny. Za nim biegł niższy i grubszy mężczyzna w koszuli koloru khaki i czapce pokrytej kamuflującymi barwami.

Sean widział również słonia. Powiększenie, jakie zapewniał celownik, sprawiało, że odległość między kłusownikami a ich ofiarą wydawała się znacznie mniejsza. Kiedy Sean się im przyglądał, przywódca grupy zdjął z ramienia karabinek i dał znak ręką swoim ludziom. Trzej kłusownicy rozbiegli się na strony, przygotowując broń do strzału.

Sean ułożył się wygodnie, wbijając mocniej buty w ziemię, regulując oddech i kładąc palec wskazujący na spuście. Wybrał przywódcę grupy i nakierował na jego głowę krzyżyk w celowniku.

Obraz drżał w unoszącym się znad ziemi gorącym powietrzu. Sean przyglądał się uważnie falistym liniom mirażu, które wskazywały mu siłę wiatru; kiedy rozplywały się na boki, wiatr był porywisty, ale w tym momencie wznosił się prosto do góry jak wstęga dymu.

Sean wziął głęboki oddech, wypuścił połowę powietrza, a resztę wstrzymał. Fatamorgana zastygła. Wycelował strzelbę na wysokość człowieka ponad głową przywódcy kłusowników. Obraz był wyraźny, ale Sean nie pociągnął za spust. Zamiast tego ścisnął prawą ręką kolbę, jakby ugniatał kulę gliny.

Kolba uderzyła go mocno w ramię, a lufa podskoczyła wysoko w typowym dla weatherby odrzucie. Sean stracił z oczu kłusownika.

Zanim zdążył go ponownie namierzyć, Job krzyknął radośnie:

- Shayile! Trafiony!

Kiedy Sean naprowadził celownik na to samo miejsce, w trawie widać było jedynie głowy trzech ludzi.

Kłusownicy zaczęli strzelać w kierunku grzbietu zbocza ciągłymi seriami. Karabinki AK wypełniły dolinę stukotem przypominającym walenie w kotły.

Sean zobaczył, jak Tukutela ucieka w pełnym galopie. Położywszy uszy po sobie i wzniosłszy ciosy wysoko nad trawę, słoń wpadł w wąski pas nadrzecznych zarośli i wypadł po drugiej stronie.

- Uciekaj - szepnął Sean. - Jeśli nie możesz być mój, to

nikt cię nie dostanie. - Zajął się kłusownikami.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to zdyscyplinowany oddział. Dwóch z nich osłaniało ogniem trzeciego, który podbiegł do przywódcy i podniósł go na nogi. Wysoki mężczyzna w niebieskiej kurtce stracił karabin. Stał zgięty wpół, ręką ściskając bok.

- Lekki postrzał - mruknął Sean i ponownie wystrzelił.

Zobaczył pył unoszący się nad trawą. Pocisk trafił w ziemię bardzo blisko dwóch mężczyzn. Kłusownicy zaczęli się wycofywać, ciągnąc ze sobą przywódcę i kierując się za wysoki kopiec mrowiska. Sean i Job uważnie wybierali cel, ale z każdą chwilą odległość się zwiększała. Mimo że Sean widział kurz podnoszący się z ziemi tuż przy uciekających, nie udało im się nikogo więcej trafić. Niedługo grupa zniknęła w wysokiej trawie, a terkot broni automatycznej ucichł.

Sean i Job odczekali jeszcze piętnaście minut, lustrując dolinę, ale nie dostrzegli innych kłusowników. Sean podniósł się z ziemi.

- Idziemy się rozejrzeć.

101

- Tylko ostrożnie - ostrzegł Job. - Mogą zawrócić i za sadzić się na nas.

Była to stara sztuczka partyzantów, więc grupa Seana ostrożnie zeszła ze wzgórza. Matatu zaprowadził ich tam, gdzie pocisk trafił przywódcę kłusowników. Trawa w tym miejscu była porządnie wygnieciona. Broń znikła; musiał ją zabrać jeden z mężczyzn. Matatu znalazł łodygę trawy i pokazał ją Seanowi. Krew zdążyła już na niej zaschnąć, ale krwawienie nie było obfite, znaleźli zaledwie kilkanaście kropel na trawie i suchej ziemi.

— Rana powierzchowna - mruknął Sean. Powiew wiatru musiał znieść kulę z jej toru. Nie zostały naruszone żadne wewnętrzne organy.

— Za kim podążamy, za Tukutelą czy kłusownikami? - spytał Job.

— Kłusownicy są już w połowie drogi do Lusaki. - Sean uśmiechnął się do niego. - Ruszamy za słońcem!

Pobiegli tropem słońca przez rzekę i drugą połowę doliny. Po początkowym panicznym galopie stary samiec przeszedł w kłus, który mógł utrzymywać przez kilka dni z rzędu. Gnał prosto w stronę granicy z Mozambikiem, zbacając z kursu jedynie wtedy, gdy wybierał przejście między wzgórzami czy wspinał się na łagodniejszy stok.

Mężczyźni biegli szybko po śladach. Nie musieli już się obawiać zasadzki i gnali co sił w nogach, ale słońce oddalał się od nich. Słońce rzucało długie cienie za biegnącymi. Dzień zbliżał się ku końcowi. Mimo że nie istnieje dokładnie wytyczona granica z Mozambikiem, szósty zmysł podpowiedział Seanowi, że już ją przekroczyli.

Właśnie miał dać znak, żeby przerwali pościg, gdy Job gwizdnął i przesłał mu sygnał podniesioną dłonią. Matatu zatrzymał się i pokiwał zgodnie głową. Mężczyźni stanęli obok siebie. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na niewyraźny ślad, który zniknął w pochłanianym przez ciemności lesie.

— Mozambik - powiedział Job. - Straciliśmy go.

— W dalszym ciągu biegnie szybko. - Matatu splunął na ścieżkę. - Szybciej niż jakikolwiek człowiek. Nie zobaczymy

już Tukuteli w tym roku.

102

— Będzie następny sezon - powiedział Sean. - Za rok wróci do parku narodowego i przejdzie przez Chiwewe w czasie nowiu. Za rok jeszcze raz zaczaiemy się na niego.

— Może. - Matatu wziął odrobinę tabaki z tabakierki zrobionej z rogu małej antylopy. - A może dopadną go kłusownicy albo wejdzie na minę na starym polu bitwy w Mozambiku, albo umrze ze starości.

Ta myśl wprowadziła Seana w melancholijny nastrój. Tukutela był częścią starej Afryki. Sean urodził się zbyt późno, żeby ją poznać w całej krasie. Widział jedynie nieliczne pamiątki zachowane z dawnych czasów, ale żywił głęboki, nostalgiczny szacunek dla historii tego kontynentu. Wszystko to zniknęło na jego oczach, niszczone przez pęd do władzy bezmyślnych hord, przez krwawe walki plemienne i bezprawie nowych czasów. Cały kontynent ogarniały ciemności wieków średnich, ale tym razem był już pozbawiony naturalnych skarbów. Dzikie zwierzęta zostały zdziesiątkowane, lasy wycięte, ziemia wyjałowiona przez prymitywne rolnictwo, a Sahara co roku posuwała się dalej na południe. Tukutela był jednym z ostatnich skarbów Afryki.

Sean się odwrócił. Tak bardzo chciał zdobyć tego słonia. Pragnął go bardziej niż cegokolwiek innego w swoim życiu. Stał zwrócony na zachód, a olbrzymi żal ścisnął mu serce. Ciężko ruszył przed siebie.

Niedługo przed północą natrafili na Riccarda i Claudię śpiących przy dogasającym ognisku na materacach zrobionych ze ściętej trawy. Nie opodal przy drugim ognisku siedział Pumula.

Riccardo obudził się w tej samej chwili, gdy Sean dotknął jego ramienia. Poderwał się z ziemi.

— Znalazłeś go? Co się stało? Co z kłusownikami?

— Tukutela uciekł. Przeszedł granicę. Odegnaliśmy kłusowników, ale Tukutela nam się wymknął - odpowiedział Sean.

Riccardo opadł na suchą trawę. Słuchał w milczeniu opisu pościgu i walki z kłusownikami.

Claudia usiadła obok ojca. Kiedy Sean opowiedział im, jak Tukutela przekroczył granicę z Mozambikiem, objęła ramieniem Riccarda, starając się go nieco pocieszyć.

103

- W porządku. - Sean wstał. - Jakież osiem kilometrów na południe stąd biegnie jedna z moich myśliwskich ścieżek. Matatu i ja wrócimy po wóz, a Job was zaprowadzi na miejsce spotkania.

Powinniśmy tam być za jakieś cztery godziny, może pięć.

Ustalając kierunek według gwiazd, Matatu prowadził Seana przez las i gęste zarośla, by po czterech godzinach bezbłędnie trafić na zaparkowaną nad rzeką toyotę.

Potrzebowali godziny, żeby dojechać na miejsce spotkania. Claudia, Riccardo i pozostali siedzieli przy ognisku rozpalonym przy ubitej ścieżce. Wsiedli w milczeniu do samochodu i Sean ruszył w stronę obozu. Była już czwarta rano. Minęła cała doba od chwili, gdy pełni nadziei wyruszyli na polowanie.

Jechali w milczeniu. Wkrótce Claudia zasnęła z głową na ramieniu ojca. Riccardo odezwał się zamyślonym głosem:

— Wiesz, dokąd się udał Tukutela?

— Jest poza naszym zasięgiem, Szefie - odpowiedział po nuryim tonem Sean.

— Mówię poważnie. - Riccardo był wyraźnie zniecierp

liwiony. - Czy ma jakąś stałą kryjówkę, do której teraz się udaje?

— To jest bardzo niebezpieczny teren - mruknął Sean. -

Jeden wielki chaos i zamieszanie. Wioski są spalone i opuszczone, dwie armie walczące ze sobą i do tego jeszcze chłopcy Mugabego.

— Dokąd poszedł Tukutela? - nalegał Riccardo. - Musi mieć jakąś kryjówkę.

Sean skinął głową.

— Job, Matatu i ja rozpracowaliśmy go kiedyś. Sądzimy, że od czerwca do września przebywa na bagnach za zaporą Cabora Bassa. Pod koniec września lub na początku października przekracza Zambezi i kieruje się na północ do Malawi, do lasów tropikalnych wokół Mount Mlanje. Siedzi tam aż do początku pory

deszczowej. Potem wraca na południe, przechodząc Zambezi w okolicy Tete i wkraczając na teren Parku Narodowego Chiwewe.

— Więc teraz udaje się na bagna? - spytał Riccardo.

— Najpewniej tak. - Sean skinął głową. - Dostaniemy go za rok, Szefie.

Do obozu dojechali o świcie, gdzie czekały już na nich gorące prysznice, czyste ubrania i obfite śniadanie. Sean nałożył każdemu na talerz porcję jajek na bekonie.

104

— Po śniadaniu odeśpimy nieco dzisiejszą noc. Pobudka w południe.

— Mnie pasuje - zgodziła się chętnie Claudia.

— Następnie zrobimy sobie małe zebranie. Musimy zaplanować pozostałą część safari. Zostały nam jeszcze trzy tygodnie. Możemy spróbować znaleźć innego słonia. Nie mogę ci zaofiarować nic nawet w przybliżeniu podobnego do Tukuteli, ale mamy szansę trafienia na trzydziestokilogramowe.

— Nie interesują mnie trzydziestokilogramowe ciosy - odparł Riccardo. - Chcę Tukutelę.

— Ja też, ale lepiej zostawmy ten temat. - Sean nie krył irytacji. - Nie możemy nic na to poradzić, więc dajmy sobie spokój.

— A gdybyśmy przekroczyli granicę i podążyli za nim na bagna? - Riccardo nie podniósł wzroku znad talerza.

Sean przyglądał się uważnie jego twarzy, zanim się roześmiał.

— Przez chwilę napędziłeś mi strachu. Już myślałem, że mówisz poważnie. Dostaniemy Tukutelę w przyszłym sezonie.

— Nie będzie żadnego przyszłego sezonu - sprzeciwił się

Riccardo. - Obaj wiemy, że Geoffrey Manguza odbierze ci licencję i koncesję.

— Dzięki, Szefie. Zawsze wiesz, jak mnie pocieszyć.

— Nie ma co się oszukiwać. To nasza ostatnia szansa na spotkanie z Tukutelą.

— Niezupełnie. - Sean pokręcił głową. - Już po sezonie.

Mieliśmy szansę, ale ją zmarnowaliśmy.

— Nie, jeśli podążymy za nim do Mozambiku - powiedział

Riccardo. - Pójdziemy za nim na bagna.

Sean przyjrzał mu się uważnie.

— Dobry Boże, ty mówisz poważnie!

— Powiedziałem ci już. Niczego nie pragnę bardziej niż tego słonia.

— Więc sądzisz, że Job, Matatu i ja popełnimy samobójstwo dla twojej zachcianki?

— Nie. Nie oczekuję, że zrobicie to dla zachcianki... powiedzmy dla pół miliona dolarów.

Sean potrząsnął głową, ale nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Riccardo mówił dalej:

105

- Czuję się odpowiedzialny za to, że stracisz licencję. Za pół miliona dolarów będziesz mógł sobie kupić dobrą koncesję w Zambii czy w Botswanie albo pięćdziesiąt tysięcy akrów ran-cza w Afryce Południowej. Pół miliona. Pomyśl o tym.

Sean zerwał się od stołu tak gwałtownie, że strącił na ziemię swój talerz. Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Stanął samotnie na końcu obozu, przyglądając się rzece w miejscu, gdzie małe stado impali piło wodę. Białogłowy rybołów usiadł na gałęzi suchego drzewa nad zieloną wodą. Sean ich jednak nie dostrzegął.

Myślał o tym, jak będzie wyglądało jego życie za rok, gdy odbiorą mu koncesję. Miał długi u brata sięgające pięćdziesięciu tysięcy i przekroczył stan konta w banku w Harare o prawie dziesięć tysięcy.

Reema powiedziała mu, że szef banku chciał koniecznie z nim rozmawiać, ale Sean unikał spotkania w czasie ostatniej wizyty w mieście.

Miał już ponad czterdzieści lat i nic jeszcze nie osiągnął. Jego ojciec byłby pewnie zachwycony, gdyby podjął pracę w rodzinnej firmie, ale jej przewodniczącym był Garrick, który nie okazałby wielkiego entuzjazmu.

Pomyślał o biurach z klimatyzacją, krawatach i garniturach, niekończących się spotkaniach z prawnikami i inżynierami, korkach ulicznych i zapachu miasta.

Myślał także o zasadach ojca popieranym bez zastrzeżeń przez jego brata, według których człowiek powinien zaczynać pracę w firmie od podstaw i piąć się do szczytów. Garry miał dwudziestoletnie doświadczenie i uwielbiał tę pracę, a Sean jej nienawidził.

Pół miliona dolarów. Z takimi pieniędzmi w kieszeni mógł wypiąć się na bank, Geoffreya Manguzę, Garricka Courtneya i cały świat.

Odwrócił się od rzeki i ruszył w stronę namiotu Joba. Przyjaciel siedział przy ognisku, a jego najmłodsza żona podawała mu śniadanie. Kiedy zobaczył zbliżającego się Seana, dał jej dyskretny znak, żeby się oddaliła. Zdjął czajnik z kawą znad ogniska, nalał smolistego płynu do kubka, a potem uzupełnił go skondensowanym mlekiem.

Sean usiadł na drewnianym stołku obok Joba i wziął od niego kubek. Rozmawiali w sindebele.

106

— Co byś powiedział o człowieku, który podążyłby za Tu-

kutelą do jego kryjówki na bagnach nad Zambezi?

— Taki głupiec nie zasługuje na to, żeby o nim mówić. -

Job dmuchał na kawę, by ją ostudzić. Przez długą chwilę siedzieli

w milczeniu.

Matatu, który spał w szałasie obok, wyczuł obecność swojego pana. Wyszedł na zewnątrz i mrugając oczami w porannym słońcu i mocno ziewając, przykucnął obok niego. Sean położył na chwilę rękę na ramieniu małego tropiciela. Poczuł, jak Matatu wierci się pod jego dłonią wdzięczny za ten dotyk. Nie musiał go o nic pytać. Matatu podąży za nim bez żadnych pytań, bez najmniejszego wahania. Sean zwrócił się znowu do Joba.

- Job, stary przyjacielu, chciałbym, żebyś jeszcze o czymś

pomyślał. Monterro chce, żebyśmy poszli za słońcem i płaci za

to pół miliona dolarów. Co myślisz o pół milionie dolarów?

Job westchnął.

- Nie muszę się nawet nad tym zastanawiać. Kiedy ruszamy?

Sean ścisnął mocno jego ramię i wstał.

Riccardo siedział jeszcze przy stole z kubkiem w ręku i cygarem w ustach. Claudia zajęła miejsce obok niego. Widać było, że się kłócili. Twarz dziewczyny była zaczerwieniona, a oczy rzuciły skry, ale nie odezwała się, kiedy Sean wszedł do namiotu.

— Szefie - powiedział Sean. - Czy masz przynajmniej

wyobrażenie, jak to będzie wyglądało w Mozambiku? Jak w Wiet

namie, ale tym razem bez wsparcia armii amerykańskiej. Czy

zdajesz sobie z tego sprawę?

— Idę - oświadczył Riccardo.

— W porządku. To są moje warunki: podpiszesz oświadczenie, że cokolwiek się z tobą stanie, ja nie jestem za to odpowiedzialny.

— Zgoda.

— Chcę także dostać potwierdzenie długu w wysokości pełnej sumy z zabezpieczeniem majątkowym na wypadek twojej śmierci.

— Daj mi papier.

— Szefie, jesteś szalony, wiesz o tym?

— Jasne. - Riccardo się uśmiechnął. - A co z tobą?

— Och, ja już się urodziłem szalony. - Roześmiali się obaj, ściskając sobie dłonie. Po chwili Sean się uspokoił. - Muszę

107

wykonać lot zwiadowczy nad granicą, żeby przekonać się, czy nie ma tam dla nas jakichś niespodzianek. Jeśli wszystko będzie w porządku, wyruszymy dziś w nocy. Chcę załatwić całą sprawę w ciągu dziesięciu dni. A to oznacza, że będziemy musieli się szybko przemieszczać. Riccardo skinął głową.

- Prześpij się teraz. Powinieneś wypocząć - poradził

mu Sean.

Miał się już odwrócić, gdy zauważył rozwścieczony wzrok Claudii.

- Porozumiem się przez radio z Reemą, żeby przysłała po ciebie samolot jutro rano. Zarezerwuj ci miejsce w samolocie do Anchorage.

Claudia miała już coś odpowiedzieć, gdy Riccardo położył rękę na jej dłoni.

— Dobrze - powiedział. - Claudia wróci do domu. Przypilnuję tego.

— Masz cholerną rację - odparł Sean. - Z pewnością nie pójdzie z nami do Mozambiku.

Sean zakleił znaki identyfikacyjne na skrzydłach i kadłubie beechcrafta tak, żeby samolot nie został rozpoznany z ziemi. Upewnił się jeszcze, że taśma ściśle przylega do metalu i nie oderwie jej pęd powietrza. W tym czasie Job sprawdzał zapasy znajdujące się na pokładzie samolotu, w razie gdyby musieli przymusowo lądować. Sean zostawił ciężką strzelbę z podwójną lufą i wziął lżejszą, strzelającą nabojami kaliber 30/06 z kolbą z włókna szklanego.

Kiedy wystartowali, Sean skierował maszynę na wschód, utrzymując ją zaledwie piętnaście metrów nad koronami drzew. Pilotował samolot z mapą na kolanach, sprawdzając każdy punkt orientacyjny przed nimi. Job siedział obok na fotelu pasażera, a Matatu zaraz za Jobem. Mimo tylu lat spędzonych razem Matatu wciąż obawiał się latania i czasami miewał torsje. Sean nie pozwalał mu siadać za sobą.

- Mały głupi dupek znowu zarzyga mi plecy. - Tym razem Job musiał podjąć ryzyko.

108

Dolecieli do granicy i skręcili na północ, szukając jakichś śladów wojska czy w ogóle ludzi. Nie znaleźli nic. Pół godziny później dostrzegli na horyzoncie odbłask wody - olbrzymi sztuczny zbiornik retencyjny na rzece Zambezi.

- Cabora Bassa - mruknął pod nosem Sean. Był to jeden z największych i najdroższych projektów zrealizowanych w Afryce jeszcze przez Portugalczyków, zanim przekazali dawną kolonię nowemu rządowi.

Mimo iż Afryka Południowa kupiłaby całą energię, jaką można by tu wyprodukować, przesyłając ją do kopalni w Palaborze w Transwalu, a zarobione pieniądze poważnie ulżyłyby zadłużonemu Mozambikowi, elektrownia nie produkowała ani kilowata prądu. Biegnące na południe linie

elektryczne nieustannie niszczyli partyzanci, a wojska rządowe były tak zdemoralizowane, że nie zapewniały żadnej ochrony ekipom naprawczym. Minęło już wiele lat od czasu, gdy dokonywano tu jakichkolwiek napraw.

- W tej chwili turbiny są już tylko zardzewiałą kupą złomu.

Kolejny oszałamiający triumf afrykańskiego komunizmu - za

chichotał Sean i położył samolot na skrzydle, żeby wykonać

skręt o sto osiemdziesiąt stopni. Lecieli ponownie na południe,

wchodząc głębiej nad terytorium Mozambiku. Znowu rozglądali

się za zamieszkanymi wioskami czy oddziałami wojsk.

Znaleźli jedynie regularne wzory pól uprawnych, które porosły już chwastami i krzakami, spalone wioski bez jakichkolwiek śladów życia wokół poniszczonych szałasów.

Sean przeciął drogę łączącą Vila de Manica z Cabora Bassa i prowadził samolot wzdłuż niej przez następne kilkanaście kilometrów. Lecieli tak nisko, że mogli dojrzeć wyrwy w drodze i chwasty wyrastające w pozostawionych przez koła zagłębieniach. Od miesięcy, a może nawet lat nie przejeżdżał tędy żaden samochód. Mosty zostały zniszczone przez bomby. Rozwalone minami pojazdy, wypalone i zardzewiałe, zaśmiecały pobocza drogi.

Skierował samolot na zachód w stronę granicy, szukając po drodze miejsca, które wszyscy trzej tak dobrze pamiętali. Wreszcie dojrzał dwa symetryczne wzgórza, które nazwali Inhlozane, Dziewczęce Piersi, a na południe za nimi zlewisko dwóch rzeczułek, z których pozostały jedynie piaszczyste koryta poprzecinane bajorami zielonej wody.

109

- Tam. - Job wskazał palcem.

Nawet siedzący na tylnym siedzeniu Matatu zapomniał o strachu i łąpiąc Seana za ramię, zachichotał wesoło.

- Inhlozane. Pamiętasz, Bwana?

Sean przechylił ostro samolot, zataczając koło nad miejscem, gdzie zbiegały się rzeki i wszyscy wyjrżeli przez okna. Nie było widać żadnych śladów dawnego obozu partyzanckiego. Ostatnim razem byli tutaj na wiosnę 1976 roku jako żołnierze oddziału Ballantyne Scouts.

Na przesłuchaniu pojmany partyzant ujawnił istnienie dużego obozu treningowego partyzantów w tym rejonie, więc dowództwo armii rodezyjskiej wysłało samolot Vampire z misją zwiadowczą. Obóz był dokładnie ukryty i zamaskowany za pomocą wszelkich znanych środków. Jednakże rodezyjscy analitycy zdjęć, z których większość służyła kiedyś w RAF-ie, okazali się bardzo spostrzegawczy. Mimo że możliwe jest osłonięcie okopów i szałasów, z których korzystają setki ludzi, nie da się zamaskować ścieżek przecinających obóz. Tysiące stóp maszerujących z baraków do sal ćwiczebnych, z mesy do

latryn, wychodzących do lasu po drzewo na opał czy po wodę z rzeki wydeptało drogi przypominające żyłki na liściu.

- Od dwóch do dwóch i pół tysiąca ludzi - oznajmił na odprawie oficer dowodzący eskadrą samolotów zwiadowczych. - Siedzą tam od jakichś sześciu miesięcy, więc szkolenie jest prawie zakończone. Czekają pewnie na rozpoczęcie pory deszczowej, żeby zorganizować jakąś większą ofensywę.

Równoczesne ataki dwóch tysięcy wyszkolonych terrorystów poważnie zagroziłyby rodezyjskim siłom bezpieczeństwa.

- Atakujemy - zdecydował generał Peter Walls, głównie dowodzący armią rodezyjską. - Chcę, żeby plan bitwy został przygotowany w ciągu dwudziestu czterech godzin. - Operacji nadano kryptonim "Wytrzeszcz".

Pomiędzy żołnierzami Selous Scouts i Ballantyne Scouts istniała nieustająca rywalizacja i Sean ucieszył się ogromnie, gdy to jego wyznaczono do ataku naziemnego.

Polecieli na miejsce akcji starymi dakotami, zatłoczonymi po brzegi tak, że pięćdziesięciu mężczyzn w każdym samolocie musiało siedzieć na własnych spadochronach. Oddział składał

110

się niemal z takiej samej liczby białych i Murzynów ubranych w jednakowe, pokryte kamuflującymi kolorami mundury. Skakali z wysokości stu metrów, która ledwie pozwalała na otworzenie spadochronu, zanim żołnierz opadł na ziemię. Skok z takiej wysokości był nazywany żartobliwie "zrzucaniem mięsa".

Miejsce zgrupowania zostało wyznaczone dwadzieścia kilometrów od obozu partyzantów, a sto pięćdziesiąt od granicy mozambickiej. Wszyscy Zwiadowcy Ballantyne'a znaleźli się na ziemi na godzinę przed zachodem słońca i po zapadnięciu zmroku trzystu żołnierzy wyruszyło na akcję.

Przekradali się przy świetle księżyca. Każdy z nich niósł prawie czterdziestokilogramowy plecak w większości wypełniony amunicją do karabinów maszynowych. Do rozwidlenia rzek dotarli po północy i przygotowali zasadzkę na południowym brzegu. Po drugiej stronie piaszczystego koryta z kilkoma zielonymi bajorami rozciągał się obóz treningowy.

Sean i Job przeszli wzdłuż całej pozycji, rozmawiając szeptem z każdym żołnierzem. Przez resztę nocy leżeli ukryci za karabinami maszynowymi, a chłodny wiatr przynosił zapach palonego drewna i gotowanych potraw po drugiej stronie rzeki.

O świcie w obozie treningowym trąbka oznajmiła pobudkę. W cieniu pod drzewami dojrzeli setki poruszających się postaci.

Dwadzieścia minut później, gdy żołnierze mieli dostatecznie dużo światła, by dostrzec cel, z zachodu nadleciały ze świstem vampire'y i rzuciły napalm. Pomarańczowe kule ognia wybuchły w kłębach czarnego dymu, który szybko zasłonił słońce. Do leżących w zasadzce żołnierzy dobiegł smród gazu bojowego i fale gorąca. Rodezyjskie samoloty specjalnie rzuciły bomby wzdłuż północnej granicy obozu, odcinając w ten sposób drogę ucieczki ścianą ognia.

Dwadzieścia sekund po vampire'ach nadleciały bombowce Canberra i rzuciły na wroga pociski odłamkowe. Bomby spadły z przeraźliwym hukiem w sam środek zgrupowania, wyrzucając w powietrze fontanny pyłu i szczątków. Partyzanci, którzy przeżyli pierwszy nalot, wypadli z lasu ogarnięci panicznym strachem i gnali w popłochu przed siebie.

Napalm zagroził im drogę na północ, więc biegli prosto na czekające w ukryciu karabiny maszynowe. Sean chciał, żeby jak

111

najbardziej zbliżyli się do stanowisk karabinów. Przyglądał się obojętnie spanikowanemu tłumowi. Wśród partyzantów było niemal tyle samo kobiet co mężczyzn, ale trudno ich było od siebie odróżnić. Nie nosili mundurów. Większość z nich była poubierana w spodnie koloru khaki i koszulki z portretami politycznych przywódców i sloganami partyjnymi. Inni mieli na sobie niebieskie drelichowe kurtki, a niektórzy biegli w samych majtkach. Prawie wszyscy byli bardzo młodzi, nie więcej niż dwudziestoletni, i zupełnie ogłupiali. Uciekali co sił w nogach, starając się umknąć przed napalmem i odłamkami bomb.

Wpadli do koryta rzeki, a grząski piasek i woda spowolniły ich kroki. Zerkali za siebie na pochłonięty przez ogień, zasłonięty dymem obóz i nie dostrzegli ustawionych na drugim brzegu karabinów.

Koryto rzeki było wypełnione tratującymi się w panice ludźmi. Kiedy pierwsi z nich zaczęli wspinać się na stromy brzeg, Sean dał znak gwizdkiem. Przenikliwy dźwięk utonął w łoskocie trzystu karabinów, które w tej samej chwili rozpoczęły ogień.

Lata brutalnej walki zahartowały Seana, ale nawet on był zaszokowany masakrą. Z bliskiej odległości pociski z broni maszynowej rozrywały ciała na strzępy i trafiały w następną linię partyzantów. Kule wzbijały z ziemi tumany piasku i w sięgającej pasa zasłonie biegnący ludzie wyglądali jak zjawy, które znikwały, padając na ziemię, lub wlatywały w powietrze podrywane wieloma strzałami z krótkiego dystansu.

Całe to piekło trwało dokładnie cztery minuty, a kiedy zabrakło celu, karabiny umilkły. Żołnierze wystrzelili pięćdziesiąt tysięcy pocisków. Lufy były tak rozpalone, że stygnąc, skwierczały jak rozgrzane płyty kuchenne. Mimo że żołnierze mieli uszy pełne łoskotu strzelaniny, z koryta rzeki dobiegały ich jęki rannych.

Sean odgwizdał kolejną komendę. Żołnierze zbiegli na dno wyschniętej rzeki i ruszyli naprzód uformowani w linię szturmową.

Według jego rozkazu jedynie oficerowie i komisarze polityczni mieli zostać wzięci do niewoli. Przechodząc rzekę, żołnierze dobijali pozostałych przy życiu terrorystów, przystawiając im karabin do potylicy i zabijając ich jedną kulą. Żaden z nich już nie będzie napadać na rodezyjskie farmy ani odrąbywać kończyn Murzynom, którzy odmawiali zaopatrywania partyzantów w je-

112

dzenie i kobiety. W korycie rzeki nie został ani jeden żywy człowiek. Żołnierze weszli do obozu, wrzucając granaty do okopów, przeglądając szafasy w poszukiwaniu oficerów oraz map i dokumentów. Jak wszyscy marksiści partyzanci nigdy nie niszczyli żadnych dokumentów. Zdobycie archiwum obozowego było jednym z głównych celów operacji.

Biegnący na czele oddziału Sean pierwszy dotarł do znajdującej się w środku obozu kwatery głównej. Rozpoznał japo kolorowej fladze zwisającej z wysokiego masztu.

Wchodząc do obcych zabudowań, najniebezpieczniejsze są drzwi. Sean puścił serię w słomianą ścianę i wskoczył przez okno. W środku znajdował się wysoki mężczyzna. Był ubrany w niebieski drelich i właśnie wyrzucał z szafek dokumenty, zamierzając je najwidoczniej spalić. Mężczyzna upuścił stertę papierów, które trzymał w rękach, i sięgnął do kabury po pistolet.

Sean kopnięciem nogi poderwał mu do góry dłoń i kiedy Murzyn upadł na ziemię, rąbnął go kolbą karabinu w szyję tuż za uchem. W tym momencie do chaty wparował Matatu i z radosnym uśmiechem pochylił się nad nieprzytomnym partyzantem, chcąc poderżnąć mu gardło.

- Nie - powstrzymał go Sean. - Ten jest nam potrzebny.

Po chwili do środka wpadł Job z ręcznym karabinem maszynowym RPD na biodrze.

- W porządku, kapitanie - rzekł Sean. - Weźcie ludzi, żeby pozbierali te papierzyska. - Spojrzał na zegarek. - Śmigłowce przylecą za dwadzieścia minut.

Siłom powietrznym Rodezji brakowało śmigłowców. Sankcje na dostawy broni wprowadziły wszystkie kraje poza Afryką Południową, a brytyjski pancernik blokował mozambickie porty, uniemożliwiając przejęcie jakichkolwiek dostaw.

Na tę akcję armia mogła wysłać jedynie dwa śmigłowce i jeden z nich załadowano zdobytymi dokumentami. Było to niemal pięć ton papierów zawierających nazwiska partyzantów, dane dotyczące organizacji, cele ataków, informacje o dostawach, opisy używanej broni, podręczniki szkoleniowe, oceny rodezyjskich sił obronnych, materiały propagandowe, mapy z zaznaczonymi drogami ucieczki po ataku, jednym słowem, cały opis taktyki walki partyzanckiej. Dla rodezyjskiego wywiadu był to praw-

113

dziwy skarbiec, którego utrata była o wiele cięższym ciosem niż kilkaset ciał leżących w korycie rzeki.

Drugi śmigłowiec Alouette był przeznaczony do transportu rannych i ważniejszych jeńców. Okazało się, że mieli więcej rannych, niż się tego spodziewali. Trzech żołnierzy wskutek wypadków podczas skoków ze spadochronami miało zwichnięte kostki i naciągnięte ścięgna, a pięciu zostało rannych w czasie wymiany ognia z kilkoma bitnymi partyzantami. Na dodatek jeden z terrorystów udał, że jest martwy, i rzucił w zbliżających się przeciwników granatem, zabijając jednego i raniąc dwóch innych. Oddział zawsze zabierał poległych na przyzwoity pochówek i ciało czarnego żołnierza było już zapakowane w plastikowy worek.

Oprócz własnych rannych musieli zabrać ze sobą wziętych do niewoli ośmiu oficerów i komisarzy politycznych. Partyzantcy oficerowie nie nosili insygniów, ale można ich było rozpoznać po lepszej jakości ubrania, okularach przeciwsłonecznych, zegarkach na rękę i kilku długopisach w kieszeniach.

Wszyscy nie mieścili się do jednego śmigłowca, więc Sean musiał wybrać pięciu jeńców, którzy mieli wrócić z nimi do Rodezji na piechotę. Jednym z nich był mężczyzna pojmany w kwaterze głównej.

Czterdzieści pięć minut od rozpoczęcia akcji drugi śmigłowiec oderwał się od ziemi, a oddział Seana był gotowy do drogi. Ewentualny kontratak partyzantów Frelimo * nie mógł być zbyt entuzjastyczny i groźny, ale Sean wolał nie ryzykować. Przed wymarszem stanął jeszcze na brzegu rzeki i przyjrzał się miejscu masakry. Nie mieli czasu, żeby policzyć zwłoki, lecz samolot zwiadowczy powinien zrobić dobre zdjęcia. Na podstawie fotografii będzie można uzyskać dokładniejsze dane.

Co najmniej tysiąc pięćset ludzi, zdecydował w myślach Sean. Miejscami ciała leżały stertami jak ścięte żyto. Nad nimi unosiły się chmary much.

Odwrócił się od okropnego widoku.

- W porządku! - zawołał. - Wyruszamy!

Pierwsza grupa pięćdziesięciu ludzi ruszyła truchtem. Cięża-

* Front Wyzwolenia Mozambiku.

rowki wojskowe przejeżdżały właśnie granicę, spiesząc na spotkanie oddziału. Jednakże żołnierze musieli pokonać co najmniej pięćdziesiąt kilometrów, może więcej. Na szczęście amunicja została wystrzelana i plecaki były prawie puste. Job podbiegł do Seana.

— Pułkowniku, więzień, którego pan pojmał. Udało mi się go rozpoznać. To sam towarzysz China.

— Jesteś tego pewien? - Sean nie czekał na odpowiedź. -

Cholera, gdybym wiedział wcześniej, wysłałbym go śmigłowcem.

Towarzysz China znajdował się na czele listy najbardziej poszukiwanych terrorystów. Był dowódcą całego północno-wschodniego sektora i pełnił funkcję odpowiadającą w wojsku pozycji generała. China był jednym z najzdolniejszych przywódców partyzanckich i rodezyjski wywiad wojskowy chciał mu zadać kilka pytań.

— Kapitanie, on musi dotrzeć bezpiecznie na miejsce - polecił Sean. - Traktuj go jak swoją nową żonę - dodał.

— China nie chce nigdzie iść - powiedział Job. - Wie, że nie możemy go zastrzelić, ale też nie możemy go nieść.

Sean podszedł do miejsca, gdzie więzień przykucnął na ziemi, z rękami na głowie, otoczony strażą.

- Wstań i w drogę! - rozkazał Sean. China splunął mu na but. Sean odpiął kaburę i wyjął rewolwer. 357 Magnum. Przyłożył go do skroni Murzyna. - Wstawaj - powtórzył. - To twoja ostatnia szansa.

Sean strzelił nad ramieniem więźnia.

China wrzasnął z bólu i złapał się obiema rękami za ucho. Z rozerwanej małżowiny ciekła strumykiem krew.

— Wstawaj! - krzyknął Sean. Trzymając się za głowę, China znowu splunął mu na but. Sean przystawił lufę rewolweru do drugiego ucha. - Po uszach wydbufiemy ci ostrym patykiem oczy. - Towarzysz China podniósł się z ziemi.

— Biegiem marsz! - ryknął Job. Położył dłoń na plecach mężczyzny i popchnął go do szeregu.

Sean rzucił ostatnie spojrzenie na pole bitwy. Wykonali niezłą robotę, która w żargonie oddziału nazywała się "czystą robotą".

- W porządku, Matatu - powiedział cicho Sean. - Wra

camy do domu. - Mały Ndorobo ruszył za nim biegiem.

115

Kiedy China zasłabł z bólu, ugięły się pod nim nogi i upadł na ziemię, Sean zaaplikował mu ampułkę morfiny w zastrzyku i podał manierkę z wodą.

— Dla żołnierza rewolucji, który strzela do dzieci i odrąbuje nogi starym kobietom, to będzie mały spacer - zapewnił go Sean. - Weź się w garść, China, albo rozwalę ci drugie ucho. - Wziął go pod jedno ramię, Job pod drugie, postawili na ziemi i dopóty, dopóki narkotyk nie zaczął działać, na wpół nieśli go pomiędzy sobą. Cały czas utrzymywali ostre tempo, biegnąc przez gęsty las i pokonując skaliste wzgórza.

— Udało wam się dzisiaj zabić nieco naszych ludzi. - Po jakichś dwóch kilometrach morfina zrobiła swoje i China stał się bardziej rozmowny. - Pułkowniku Courtney, dzisiaj udało wam się wygrać małą potyczkę, ale jutro my wygramy całą wojnę. - Głos Chiny był chropowaty i zdecydowany.

— Skąd wiesz, jak się nazywam? - spytał rozbawiony Sean.

— Jest pan sławny, pułkowniku, czy raczej powinienem rzec niesławny. Pod pańskim dowództwem ta sfora dzikich psów jest bardziej niebezpieczna niż wtedy, gdy dowodził nimi sam Bal-lantyne.

— Dziękuję za komplement, China, ale czy nie za wcześnie przypisujesz sobie zwycięstwo?

— Strona, która kontroluje kraj w nocy, wygrywa wojnę.

— Mao Zedong. - Sean się uśmiechnął. - Bardzo dobry cytat.

— To my kontrolujemy kraj. Udało nam się zamknąć was

w miastach i wioskach. Wasi biali farmerzy nie mają już ochoty do walki, a ich żony są zmęczone wojną. Czarni wieśniacy otwarcie sprzyjają naszej sprawie. Wielka Brytania i cały świat są przeciwko wam i nawet wasz największy sprzymierzeniec Afryka Południowa ma dosyć tej wojny. Niedługo, nawet bardzo niedługo...

Kłócili się ze sobą w czasie biegu. Sean z niechęcią musiał się przyznać, że zaczyna podziwiać jeńca. China był bystry, doskonale władał angielskim. Świetnie znał się na polityce i taktyce wojskowej. Był silnie zbudowany i sprawny. Sean czuł pod jego skórą twarde mięśnie. Zresztą mało który człowiek potrafiłby biec w tym tempie z przestrzelonym uchem.

116

Byłby wspaniałym żołnierzem, pomyślał Sean. Gdyby udało się go nawrócić... Wielu ludzi w oddziale Zwiadowców było kiedyś partyzantami pojmanymi i nawróconymi na właściwą drogę przez rodezyjskie służby wywiadowcze.

Sean z ciekawością przyglądał się towarzyszowi Chinie. Był

0 kilka lat od niego młodszy. Jego delikatne rysy wskazywały raczej na pochodzenie etiopskie niż na Szona. Miał wąski, prosty nos, wyczelowane wargi w niczym nieprzypominające szerokich ust negroidów. Nawet silna dawka morfiny nie potrafiła stępić błyszczącej w dużych, ciemnych oczach inteligencji. Był przy stojnym mężczyzną i z pewnością bezwzględny i okrutny.

Gdyby nie miał w sobie dozy okrucieństwa, nigdy nie osiągnąłby takiej pozycji.

Chcę go dostać, zdecydował Sean. Mój Boże, byłby więcej wart niż cały regiment. Zacisnął palce na ramieniu Murzyna w geście przynależności. Ten mały pieszczołek będzie potraktowany ze szczególnymi względami.

Wczesnym rankiem straż przednia wpadła na oddział Frelimo

1 pozabijała prawie wszystkich, nie zwalniając kroku. Przy drodze spoczywały nieruchome ciała w ubraniach o kolorach maskują

cych, na które Sean nie zwrócił większej uwagi.

Około południa natrafili na wojskowe ciężarówki. Konwój był chroniony przez opancerzone wozy bojowe Eland. Ich załogi przywiozły ze sobą schłodzone piwo w puszkach. Oddział pokonał sześćdziesiąt siedem kilometrów w niecałe siedem godzin - chłodne piwo smakowało jak nektar.

Sean podał puszkę piwa Chinie.

— Przykro mi z powodu twojego ucha - powiedział i po

zdrowił go podniesioną puszką piwa.

— Postąpiłbym tak samo, gdybym był na twoim miejscu. -

China uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały nieprzeniknio

ne. - Do naszego następnego spotkania? - zaproponował toast.

— Do następnego spotkania - zgodził się Sean i przekazał

jeńca dowodzonej przez białego sierżanta straży. Następnie wspiął

się do prowadzącego elanda i ruszyli. Mieli do pokonania ostatni

etap drogi.

Sean wyprowadził konwój z Mozambiku i przejechał granicę dokładnie dziesięć i pół godziny po rozpoczęciu akcji, Ian Smith,

117

premier Rodezji, połączył się z nim drogą radiową, żeby osobiście mu pogratulować i powiadomić o czekającym go awansie.

Po dotarciu do koszar Sean dowiedział się o ucieczce Chiny. Więzień musiał przeciąć płótno z boku ciężarówki i wysunął się przez otwór, kiedy straż drzemała. Nieskrępowany więzami wyskoczył z pędzącego wozu. Zastonięty pyłem wzbijanym w powietrze przez tylne koła wpadł w wysoką trawę przy drodze.

Dwa miesiące później Sean przeczytał raport wywiadu, według którego China poprowadził atak na konwój z zapasami na drodze Mount Darwin.

- Tak, Matatu, pamiętam to doskonale - Sean odpowiedział

na pytanie siedzącego za Jobem małego tropiciela. Wykonał

jeszcze jedno koło nad dawną bazą terrorystów i skierował

samolot na południe.

Nie zdecydował się jednak lecieć aż do linii kolejowej łączącej port Beira z granicą z Zimbabwe. Było to centrum działań wojskowych i partyzanckich i mogli łatwo natknąć się na patrol Frelimo czy żołnierzy Zimbabwe uzbrojonych w granatniki RPG i aż palących się, żeby zestrzelić lecący nisko, nieoznakowany samolot.

— Wydaje się, że mamy szansę - Sean zwrócił się do Joba.

— Granica przy naszym obozie jest chyba zupełnie opuszczona - zauważył Job.

— Myślisz, że warto spróbować za pół miliona? - zapytał

Sean. Job uśmiechnął się do niego. - Załatwimy jeszcze jedną sprawę i wracamy do domu - zapowiedział Sean.

Zawrócił nad terytorium Zimbabwe. Lecąc nisko nad ziemią, szukał miejsca, gdzie poprzedniego dnia natrafili na ślad kłusowników. Wymagało to precyzyjnej nawigacji i dobrego rozeznania w terenie. Matatu z twarzą przylepioną do szyby wskazywał kierunek, aż dolecieli do płaskowyżu i doliny, gdzie pogonili bandę. Z powietrza odległości wydawały się znacznie mniejsze.

Matatu kierował ich dalej wzdłuż drogi, jaką słoń dotarł do granicy. Wydawało się, że jego zdolność odczytywania śladów nie była zależna od wysokości. Sean leciał według wskazówek tropiciela, trzymając mapę na kolanach.

- Przelatujemy nad granicą z Mozambikiem - rzekł, robiąc szybkie notatki na marginesie mapy.

118

- W tę stronę. - Matatu przechylił się przez siedzenie i wskazał bardziej na północ. Sean nauczył się w tych sprawach nie kłócić z małym tropicielem i skręcił nieco w lewo.

Kilka minut później Matatu kazał mu skierować się trochę bardziej na południe.

- Mały głupi dupek czuje ślad starego samca. Musi myśleć jak słoń.

Sean zastanawiał się nad tym, gdy Matatu krzyknął piskliwie z podniecenia i wskazał na coś przez boczne okno. Przelatywali właśnie nad korytem wyschniętej rzeki. Sean dojrzał ślady stóp słonia odbite w miękkim piasku. Były tak głębokie, że widział cień rzucany przez ich brzegi; przypominały sznurek paciorków ułożonych na jasnym tle. Nawet on, który przez dwadzieścia lat przyglądał się pracy Matatu, nie mógł wyjść z podziwu. Wiedziony jedynie instynktem Murzyn zaprowadził ich do miejsca, w którym słoń przeprawił się przez rzekę. Wydawało się to nieprawdopodobne.

Sean zatoczył koło nad śladami. Skręt był tak ostry, że leciał z jednym skrzydłem skierowanym pionowo ku ziemi.

- Którędy teraz?! - zawołał.

Matatu poklepał go po ramieniu, wskazując kierunek biegu rzeki. Sean bez wahania skręcił w tamtą stronę.

- Tam jest! - wrzasnął nagle Job.

Matatu roześmiał się z radości, klaszcząc w ręce i podskakując na siedzeniu jak dziecko w teatrzyku z kukiełkami.

Dwa kilometry przed nimi rzeka wpadała do głębokiego jaru, w którym zachowało się nieco wody z ostatniej pory deszczowej. Z gęstwiny wysokich trzciny okalających jeziorko wystawał szary grzbiet słońca.

Zbliżali się do niego szybko. Tukutela usłyszał silnik samolotu. Podniósł głowę, rozkładając szeroko uszy i odwrócił się do nich przodem, pokazując olbrzymie, legendarne ciosy. Sean znowu wpadł w zachwyty, widząc ich symetryczne piękno.

Czarne siekacze mignęły mu tylko przed oczyma, ale dobrze zakodowały się w pamięci. Pół miliona dolarów i te siekacze; setki razy ryzykował już życie, grając o wiele mniejsze stawki.

- Przyjrzymy mu się jeszcze raz? - spytał Job, obracając

się na siedzeniu, żeby spojrzeć na słońca przez tylne okienko.

119

!

- Nie. - Sean potrząsnął przecząco głową. - Nie ma co niepotrzebnie go denerwować. Wiemy, gdzie go znaleźć. Wracamy do domu.

— Pół miliona dolarów, które tak beztrząsco chcesz teraz

wyrzucić na śmieci to moje pieniądze - oświadczyła Claudia.

— Jak to sobie wyliczyłaś? - spytał Riccardo. Leżał na

łóżku polowym w samych spodniach od pidżamy, z gołym torsem

i stopami. Claudia spostrzegła, że włosy na jego ciele są wciąż

sprężyste i czarne poza odrobiną siwizny na środku piersi.

— Mój spadek - wyjaśniła mu słodkim głosem. - Właśnie

roztrwaniasz mój spadek, tatusiu.

Riccardo zachichotał. Claudia miała temperament prawnika od rozwodów. Wpadła do jego namiotu, żeby podjąć od nowa dyskusję, którą, jak mu się wydawało, zakończyli w namiocie stołowym.

— Jeśli nie dostanę tych pieniędzy w testamencie, to przynajmniej powinienś pozwolić mi nacieszyć się ich wydawaniem razem z tobą.

— Według ostatniej rewizji ksiąg, moja młoda damo, odziedzicysz po mnie ponad trzydzieści sześć milionów dolarów, po odliczeniu podatku i tej małej ekstrawagancji. Spieszę dodać, że wszystkie pieniądze, do ostatniego centa, są zablokowane na koncie trustu i że nawet najzdolniejszy prawnik nie będzie potrafił ich z niego wydobyć. Nie chcę, żebyś rozdała moje ciężko zarobione dolary na cele dobroczynne.

— Tatusiu, wiesz dobrze, że pieniądze nigdy mnie nie interesowały. Chodzi mi tylko o to, żebym mogła pójść z tobą na tę wyprawę. Przyjechałam do Afryki, ponieważ rozumiałam, że mam uczestniczyć we wszystkim razem z tobą. To był nasz układ.

— Powtórzę ci to jeszcze raz, tesoro, mój skarbie. - Ojciec nazywał ją w ten sposób tylko wtedy, gdy chciał być bardzo czuły albo był zdesperowany. - Nie pójdziesz ze mną do Mozambiku.

— Więc złamałbyś dane mi słowo?

— Bez wahania - zapewnił ją. - Jeśli byłoby zagrożone twoje bezpieczeństwo czy szczęście.

—

Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po namiocie. Riccardo przyglądał się jej z prawdziwą przyjemnością. Złożyła ręce na małych piersiach i zmrużyła oczy, ale na jej napiętej skórze nie

pojawiły się żadne zmarszczki. Córka przypominała mu młodą Sophię Loren, która była jego ulubioną aktorką. Przystanęła przed łóżkiem i spojrzała na niego ze złością.

— Wiesz dobrze, że zawsze dostaję to, co chcę - powie

działa. - Dlaczego nie ułatwisz nam tej rozmowy i nie powiesz, że mogę iść z tobą?

— Przykro mi, tesoro. Nie idziesz.

— Dobrze. - Wzięła głęboki oddech. - Nie chcę tego robić, ale nie pozostawiasz mi żadnego wyboru. Rozumiem, ile to dla ciebie znaczy i dlaczego chcesz zapłacić tyle pieniędzy za ziszczenie się tego marzenia. Jeśli jednak nie będę mogła pójść z tobą, co jest moim prawem i powinnością, to i ty nie pójdiesz. Znowu się roześmiał beztrosko.

— Mówię poważnie, tatusiu. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego.

— Tak, a jak moja mała dziewczynka chce mnie powstrzymać? - zapytał.

- Powiem Seanowi, co doktor Andrews mi powiedział.

Riccardo Monterro poderwał się w ułamku sekundy na nogi i złapał ją za ramiona.

— Co Andrews ci powiedział? - zapytał głosem tak ostrym, że przypominał cięcie brzytwą.

— Powiedział mi, że w listopadzie zgłosiłeś się z małą, ciemną plamką na prawym ramieniu - odparła. Riccardo instynktownie schował rękę za siebie. - To ma taką ładną nazwę, melanoma, jak imię dziewczyny, ale to nie jest wcale ładna choroba i zbyt późno poszedłeś z tym do lekarza. Andrews wyciął plamkę, ale patolog ocenia, że w skali Clarka to piąty stopień, co oznacza, że pozostaje ci od sześciu miesięcy do roku, tatusiu. To właśnie mi powiedział.

Riccardo opadł na łóżko. Jego głos był teraz bardzo zmęczony.

— Kiedy się o tym dowiedziałaś?

— Półtora miesiąca temu. - Przysiadła się do niego. -

Właśnie dlatego przyleciałam z tobą do Afryki. Nie chcę być z dala od ciebie choćby przez jeden dzień w czasie, jaki nam został.

Właśnie dlatego pójdę z tobą na tę wyprawę do Mozambiku.

121

- Obawiam się, że tak, Sean. - Riccardo wyglądał na zmęczonego. - To nie podlega dyskusji. Jeśli chcesz dostać pieniądze, to Claudia musi iść z nami.

Sean odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę swojego namiotu, ale po kilku krokach stanął w miejscu z rękami na biodrach. Jego głośne przekleństwa zwabiły służących. Jedni stali przy namiocie stołowym, inni wyglądali z zaciekawieniem przez okna.

— Na co się, do cholery, gapicie?! - wrzasnął. - Nie macie nic do roboty? - Wszyscy przezornie zeszli mu z oczu. Potem odwrócił się i podszedł wolno do stojącej przy toycie pary. -

W porządku - zgodził się, patrząc chłodno na Claudię. - Pode rżnij sobie gardło, ale nie przychodź do mnie po bandaż.

— Nie przyjdę, obiecuję. - Jej głos wprost ociekał miodem i denerwował Seana bardziej, niż gdyby zaczęła zachowywać się wyniośle. Oboje mieli świadomość, że ich zawieszenie broni zostało zerwane.

— Szefie, mamy do załatwienia pewne sprawy papierkowe. -

Sean poprowadził ich do namiotu, nie oglądając się za siebie.

Napisał dwoma palcami na starej maszynie do pisania marki Remington dwa oświadczenia, jedno w imieniu Riccarda, a drugie w imieniu Claudii. Każde zaczynało się od zwrotu: "Oświadczam, że zdaję

sobie sprawę z niebezpieczeństwa i nielegalności...". Następnie sporządził notatkę o zobowiązaniach pieniężnych Riccarda i wezwał Joba oraz kucharza, żeby złożyli podpisy jako świadkowie. Schował kopie pism do koperty, zapieczętował ją, zaadresował do Reemy w Harare i włożył do małego sejfu w kącie namiotu.

- W porządku, możemy zaczynać - powiedział.

W wyprawie mieli wziąć udział: Claudia, Riccardo, Sean, Job, Matatu, Pumula i krępy, brodaty mężczyzna, który przybiegł do obozu z wiadomością o słońiu. Nazywał się Dedan.

- Jest nas za dużo, ale każdy z tych ciosów waży ponad pięćdziesiąt kilo - wyjaśnił Sean. - Matatu nie nadaje się na tragarza. Potrzebujemy czterech silnych mężczyzn, żeby wrócić do obozu.

Zanim sprzęt został załadowany na samochód, Sean sprawdził każdy plecak. Claudia zaprotestowała, gdy otworzył jej rzeczy.

124

- To naruszenie mojej prywatności!

No to postaw mnie za to przed sądem, kotku - powiedział

provokująco Sean i bezlitośnie przejrzał cały jej bagaż, wyrzucając większość tubek i pojemniczków z kosmetykami. Zostawił jej trzy słoiczki kremu nawilżającego i z filtrem przeciwsłonecznym.

- Tylko jedna zmiana gatek - powiedział kategorycznie,

wywalając z pół tuzina koronkowych majteczek. - Będziesz za

to potrzebowała jeszcze dwóch par grubych skarpet. Przynieś je.

Wyjął pudełko tampaksów.

- Wszystko, co mężczyzna może zrobić, a nawet trochę

więcej - zauważył chłodno. - Nie potrzebujesz pudełka, zaj

muje za dużo miejsca. Zapakuj je luzem.

Jej ledwo tłumiony gniew sprawił mu wyjątkową przyjemność.

Kiedy skończył, w plecakach pozostały jedynie najpotrzebniejsze rzeczy, które dokładnie zważono i rozdzielono według siły i kondycji uczestników wyprawy. Sean, Job, Pumula i Dedan nieśli po trzydzieści kilo, Riccardo i Matatu po dwadzieścia, a Claudia dziesięć.

- Mogę wziąć więcej - zaprotestowała. - Daj mi dwadzieś

cia... tyle samo co Matatu. - Sean nie trudził się nawet, żeby

jej odpowiedzieć. - A w dodatku jem tylko połowę tego, co

każdy z was!

Sean odwrócił się, aby doglądać załadunku bagaży na samochód.

Kiedy wyruszyli z obozu Chiwewe, do zachodu słońca brakowało jeszcze czterech godzin. Pierwszą część drogi Sean prowadził tak szybko, że pasażerowie dosłownie skakali na siedzeniach. Chciał pewnie wyrazić w ten sposób swoją niechęć do obecności Claudii, ale przede wszystkim zależało mu, żeby znaleźć się przy granicy jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Jadąc, mówił ostrym głosem:

- Zanim rozpoczniemy naszą wycieczkę z przewodnikiem po mozambickim raju dla proletariatu, chciałbym wam przedstawić kilka faktów i danych. - Nikt nie zaprotestował, więc

125

mówił dalej: - Do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego Mozambik był kolonią portugalską. Przez ponad pięćset lat znajdował się pod panowaniem Portugalii i stał się w miarę szczęśliwym prosperującym krajem zamieszkanym mniej więcej przez piętnaście milionów ludzi. Portugalczycy, w przeciwieństwie do Anglików i Niemców, mieli raczej spokojny stosunek do kwestii mieszania się ras, w wyniku czego rozwinęła się duża populacja Mulatów. Portugalczycy przyjęli oficjalną politykę *assimilado*, zgodnie z którą każdy, bez względu na kolor skóry, kto tylko spełniał pewne standardy cywilizacyjne, był uważany za białego i mógł otrzymać obywatelstwo portugalskie. Wszystko to rozwijało się całkiem pomyślnie, jak zresztą w wypadku wszelkich kolonii, zwłaszcza zarządzanych przez Brytyjczyków.

— Gówno prawda - wtrąciła się Claudia. - To tylko angielska propaganda.

— Angielska? - Sean uśmiechnął się kwaśno. - Uważaj, twoje uprzedzenia dają znać o sobie. Nie możesz jednak zaprzeczyć, że przeciętny Afrykanin czy Hindus żyjący w byłej kolonii brytyjskiej jest w o wiele gorszej sytuacji niż kiedyś. W odniesieniu do Murzynów zamieszkujących Mozambik sprawa przedstawia się sto razy gorzej.

— Przynajmniej są wolni - odcięła się Claudia, na co Sean roześmiał się w głos.

— To ma być wolność? Gospodarka zarządzana według zna

nych socjalistycznych zasad chaosu i zniszczenia przyniosła ujemny bilans dochodu narodowego sięgający dziesięciu procent w każdym roku od czasu wycofania się z kraju Portugalczyków. Zagraniczne długi dwukrotnie przewyższają dochód narodowy, całkowicie załamał się system edukacyjny, jedynie pięć procent dzieci uczęszcza regularnie do szkół, jeden lekarz przypada na czterdzieści pięć tysięcy ludzi. Jedna osoba na dziesięć ma dostęp do czystej wody, na tysiąc urodzin umiera trzysta czterdzieści niemowląt. Jedyne kraje na świecie, gdzie jest jeszcze gorzej, to Afganistan i Angola, ale jak mówisz, przynajmniej są wolni. W Ameryce, gdzie każdy zjada trzy duże posiłki dziennie, wolność może coś znaczyć. W Afryce pełny brzuch jest o wiele więcej wart.

— Nie może być aż tak źle - zaprotestowała.

126

— Nie - zgodził się z nią. - Jest nawet jeszcze gorzej. Nie wspominałem o dwóch ważnych czynnikach: wojnie domowej i AIDS. Kiedy Portugalczycy opuścili kraj, przekazali władzę dyktatorowi Samorze Machelowi i jego partii Frelimo. Machel był marksistą. Nie wierzył w takie nonsensy jak wolne wybory. Jego rządy są odpowiedzialne za obecną ruinę kraju i za powstanie Narodowego Ruchu Oporu Mozambiku, czyli Renamo. Nikt nie wie zbyt wiele o tej organizacji, jej celach czy przywódcach. Wiemy tylko, że kontroluje większą część kraju, zwłaszcza na pomocy, i że jej oddziały składają się z wyjątkowo bezwzględnych ludzi.

— Renamo jest organizacją południowoafrykańską, kierowaną i wyposażoną w broń przez Pretorię - pomogła mu Claudia. - Jest to organizacja dążąca do obalenia rządu w suwerennym kraju i destabilizacji południa Afryki.

— Bardzo dobrze, kotku. - Skinął z uznaniem głową. - Widzę, że studiowałaś mądrość i wiedzę Organizacji Jedności Afrykańskiej oraz państw niestowarzyszonych. Opanowałaś nawet ich żargon. Gdyby Afryka Południowa miała połowę potencjału wojskowego i technicznego niezbędnego do popełnienia wszelkich zbrodni, o jakie nas się oskarża, to nie tylko byłaby najpotężniejszym państwem w Afryce, ale rządziłaby całym światem.

— Ale ze mnie głuptas, zawsze zapominam, że jesteś jednym z nich. Nawet nie ukrywasz swojego fanatyzmu. Prawda jest jednak taka, że wasz rząd i apartheid są przekleństwem i zgubą Afryki.

— Oczywiście, jesteśmy odpowiedzialni za wszystko: epidemię AIDS, głód w Etiopii, Angoli i Mozambiku, załamanie się rządów w Ugandzie i Zambii, korupcję w Nigerii i Zairze, to wszystko brudny południowoafrykański spisek. Zabiliśmy nawet Samorę Machela. Upiliśmy wódką załogę jego tupolewa, a potem, wykorzystując naszą niesłychanie wyrafinowaną technologię, zwabiliśmy ich do naszego kraju. Machel wyrznął w jedną z naszych rasistowskich gór z taką siłą, że mózg i ważniejsze organy zwyczajnie się rozprysły, ale i tak apartheidowscy lekarze utrzymywali go dostatecznie długo przy życiu, żeby torturami wydobyć z niego wszystkie tajemnice państwowe. Tak wygląda prawda według ONZ i OJA.

1

— Zamknij się! - rozkazał Riccardo. - Dosyć tego. Oboje się zamknijcie.

— Przepraszam. - Sean uśmiechnął się do niego. - Poniosło mnie. Chciałem, żebyście wiedzieli, czego oczekiwać po przekroczeniu granicy. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie natkniemy się na chłopaków z Frelimo czy Renamo. Nie ma między nimi większej różnicy. Jedni i drudzy najpierw strzelają, a później zadają pytania.

Ta myśl spowodowała, że po karku przebiegły mu dreszcze i wyraźnie poprawił mu się nastrój. Znowu wyruszał na śmier-

Riccardo i Claudia nigdy jeszcze nie widzieli techniki maszerowania z jednoczesnym zacieraniem śladów, gdyż w czasie polowania zawsze poruszali się swobodnie. Cała grupa ustawiła się w szereg, na którego czele szedł Job, a pozostali stawiali stopy dokładnie w pozostawione przez niego ślady. Na samym końcu szedł Matatu, zacierając je, układając kamyczki mchem do góry, przywracając żdźbła trawy do normalnej pozycji, omiatając ziemię kępką trawy i usuwając zerwane z niższych gałęzi liście.

Job unikał ścieżek wydeptanych przez zwierzęta i miękkiej gleby, wybierając najtrudniejsze przejścia, a jednocześnie szybko

światło jak lustro. Zresztą krem jest dobry przeciwko owadom i promieniom słonecznym.

Wymazał jej całą twarz i wierzchy dłoni.

- Wstaje księżyc. - Szybko sam się nasmarował i zakręcił

tubkę. - Możemy ruszać.

Sean zmienił formację, wysyłając bokiem Bankierów. Tym razem on prowadził grupę. Matatu jak zawsze zacierał za nimi ślady.

W pewnej chwili Sean zatrzymał się, żeby sprawdzić plecak Claudii. Luźna sprzączka przy pasku objęła się rytmicznie przy każdym jej kroku. Dźwięk był tak cichy, że Claudia nie zwróciła na niego uwagi.

- Hałasujesz jak szarża lekkiej kawalerii - szepnął jej prosto

w ucho i poprawił sprzączkę.

Arogancki drań, pomyślała Claudia. Przez następne dwie godziny szli w milczeniu. Claudia nie miała pojęcia, w którym momencie przekroczyli granicę. Przez gałęzie przesączało się srebrne światło księżyca. Widziała cienie drzew migające na plecach Seana.

Po pewnym czasie cisza i srebrzysty poblask nadały marszowi charakter czegoś nierealnego i Claudia poczuła się jak zahipnotyzowana. Stawiała kroki niczym lunatyk. Kiedy Sean zatrzymał się niespodziewanie, wpadła na niego i przewróciłaby się, gdyby nie otoczył jej silnym ramieniem i nie podtrzymał.

Stali nieruchomo, nasłuchując i starając się przeniknąć ciemności, w jakich tonął las przed nimi. Po pięciu minutach Claudia poruszyła się, jakby chciała się wyswobodzić. Natychmiast Sean wzmocnił uścisk, a ona mu się poddała. Z prawej strony dobiegł ich wydany przez Joba ptasi krzyk i Sean bezszelestnie przypadł do ziemi, pociągając ją za sobą. Claudia zamarła, zdając sobie sprawę, że gdzieś w pobliżu czai się prawdziwe niebezpieczeństwo. Ramię Seana przestało ją drażnić. Rozluźniła się i przytuliła do niego mocniej. Poczowała znaczną ulgę.

Kolejny cichy krzyk ptaka i Sean przyłożył usta do jej ucha.

- Zostań - szepnął, nie poruszając wargami.

Claudia poczuła się nagle bardzo samotna i bezbronna, gdy wypuścił ją z objęć i niczym duch zniknął w lesie.

Sean poruszał się mocno pochylony, ze strzelbą w prawym ręku, lewą zaś dotykając ziemi, żeby usunąć z niej suche gałązki i liście, które mogłyby zaszeleścić pod jego stopami. Przypadł

130

do ziemi niecałe trzy metry od Joba i spojrzał na jego ciemną sylwetkę. Job postąpił mu znak dłonią i Sean skoncentrował uwagę na otoczeniu po swojej lewej stronie.

Przez długie minuty nic nie widział ani nie słyszał, ale ufał przyjacielowi bez granic, a zatem czekał cierpliwie. Nagle poczuł jakiś obcy zapach i wciągnął go głęboko w płuca. Cierpliwość została wynagrodzona. Rozpoznał ostry zapach palonego tytoniu taniej, portugalskiej cygaretki. Pamiętał

dobrze ten zapach z czasów wojny. Najpewniej żołnierze Frelimo w dalszym ciągu dostawali swoje przydziały.

Dał znak Jobowi. Zaczęli bezszelestnie pełznąć do przodu, opierając się na koniuszkach butów i palców. Po czterdziestu krokach dostrzegli żar papierosa. Po chwili palący go mężczyzna zakasłał i splunął. Sean dojrzał w ciemności jego sylwetkę pod wielkim drzewem bezpośrednio przed sobą. Człowiek siedział na ziemi oparty plecami o pień.

Kto to może być? Ktoś miejscowy? Kłusownik? Uchodźca? Żadna z tych możliwości nie wydawała się prawdopodobna. Mężczyzna był czujny, niemal na pewno trzymał straż. Sean wyczuł jakiś ruch nieco dalej i rozpląszczył się na ziemi.

Następny mężczyzna wyszedł z lasu i podszedł do drzewa. Wartownik poderwał się z ziemi. Sean dostrzegł na jego plecach karabinek AK-47. Mężczyźni przez chwilę rozmawiali ze sobą szeptem.

Zmiana warty, pomyślał Sean, gdy drugi mężczyzna oparł się o drzewo, a pierwszy zniknął w lesie. Tam musi znajdować się ich obóz, zgadywał.

Zaczął czołgać się do przodu, omijając szerokim łukiem wartownika, który na pewno był bardziej czujny niż znużony służbą poprzednik. Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, podniósł się z ziemi i szybko zaczął się prześlizgiwać w stronę, w której mogło być obozowisko.

Znajdowało się w małym parowie między dwoma wzgórzami. Nie był to prawdziwy obóz, Sean nie dostrzegł żadnych namiotów czy szałasów. Tylko dwa małe, dogasające już ogniska.

Naliczył jedenastu ludzi leżących wokół nich, wszyscy zakryci po głowy kocami. Pięciu lub sześciu mogło pełnić wartę, ale był to nieduży oddział.

131

Nawet bez broni automatycznej Sean i jego ludzie mogli się rozprawić z obcymi. Wzięli ze sobą pętlę z cienkiego drutu, przypominającego fortepianowe struny, a Matatu zawsze nosił nóż do oprawiania zwierząt, który był tak naostrzony, że aż ścięty do połowy pierwotnej szerokości. Nikt w obozie nawet by się nie obudził.

Sean potrząsnął z zalem głową. Miał już pewność, że to oddział Frelimo lub Renamo. Nie szukał jednak z nimi zaczepki, bez względu na to, kim byli. Jeśli tylko nie będą mu przeszkadzali w polowaniu, nic do nich nie ma. Wycofał się do czekającego na niego Joba.

— Jedenastu ludzi przy ognisku - szepnął mu na ucho.

— Znalazłem jeszcze dwóch strażników - odparł Job.

— Frelimo?

— Kto to wie? - Job wzruszył ramionami.

Sean dotknął jego ramienia i odeszli na bezpieczną odległość od obozu, tak że mogli mówić swobodnie.

— Job, co o tym myślisz?

— Mała grupka i niewiele znacząca. Możemy ich obejść.

— Mogą stanowić przednią straż większej grupy - zasugerował Sean.

— To nie są wyszkoleni żołnierze - Job mruknął z pogardą. - Palą na warcie, śpią przy ognisku. To grupa turystów.

— Sean uśmiechnął się na to złośliwe określenie. Wiedział, że jeśli chodzi o determinację, to Job był z natury bardziej Anglosasem niż Afrykaninem. Kiedy raz coś postanowił, trudno było go odwieść od tego pomysłu.

— Chcesz iść dalej? - zapytał Sean.

— Za pięćset kawałków - szepnął Job - możesz być pewny, że chcę!

Claudia się bała. Afrykańska noc była tajemnicza, wypełniona atmosferą niepewności i grozy. Czekanie potęgowało lęk. Seana nie było już od przeszło godziny. Mimo że jej ojciec siedział tuż obok niej, czuła się samotna i bezbronna.

Nagle Sean pojawił się przed nią. Na jego widok poczuła olbrzymią ulgę. Chciała wręcz przytulić się do niego, ale natych-

132

miast zawstydziła ją własna słabość. Sean szeptał coś na ucho jej ojcu, więc Claudia przysunęła się do nich bliżej. Jej ramię dotknęło jego gołej ręki. Claudia pozostała w tej pozycji, mając poczucie bezpieczeństwa.

— Przed nami rozbiła się obozem mała grupka uzbrojonych

ludzi - wyjaśniał Sean. - Nie więcej niż dwudziestu. Nie

mamy pojęcia, kim są, ale możemy ich obejść albo zawrócić.

Decyzja należy do ciebie, Szefie.

— Chcę mieć słonia!

— To prawdopodobnie ostatnia szansa na wycofanie się -

ostrzegł go Sean.

— Marnujesz tylko czas - odparł Riccardo.

Claudię zatrwożyła decyzja ojca. Byłoby prawdziwą ulgą wrócić teraz do obozu. Pierwszy haust prawdziwej Afryki był niepokojący. Kiedy ruszyli w dalszą drogę i Claudia maszerowała za Seanem, dotarło do niej, że pierwszy raz w życiu znalazła się z dala od zdobyczy cywilizacji: pierwszy raz nie było wokół niej policji, która mogłaby ją ochronić, ani żadnej możliwości odwołania się do prawa, sprawiedliwości czy zwykłej litości. Czuła się tak bezbronna jak antylopa wobec leoparda w lesie, w którym roiło się od drapieżników.

Przyspieszyła kroku, zbliżając się do Seana, i odkryła, że w jakiś dziwny sposób jest podniecona i bardziej świadoma samej siebie niż kiedykolwiek w życiu. Jeszcze nigdy nie znalazła się na granicy przetrwania. Uczucie było nowe i zupełnie ją oszołomiło. Była zadowolona, że ojciec nie zdecydował się wrócić.

Już dawno straciła orientację w terenie, gdyż Sean wybierał zupełnie nieoczekiwane kierunki marszu. Często skręcali, wydawało się jej, że zawracają, czasami poruszali się bardzo szybko, by innym razem wlec się krok za krokiem czy stać nieruchomo w oczekiwaniu na sygnał z flanki, którego ona nawet nie dostrzegła. Zauważyła, że Sean co kilka minut spogląda na niebo, i domyśliła się, że kieruje się w ciemnościach według gwiazd, które dla niej były jedynie chaosem, jak światła obcego miasta.

Po pewnym czasie doszła do wniosku, że wcale nie zbczyli z drogi i że znowu poruszają się szybko w linii prostej. Najwidoczniej zostawili niebezpieczeństwo za sobą. Dziwne podniecenie wywołane zagrożeniem minęło. Poczuła, jak bardzo bolą ją nogi

133

i mięśnie pleców. Plecak ciążył jej, jakby czterokrotnie zwiększył wagę. Spojrzała na zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazały, że od chwili ominięcia ukrytego w lesie obozu minęło pięć godzin.

Kiedy odpoczniemy? - zastanawiała się, ale postawiła sobie za punkt honoru, że nie zostanie nawet o krok za Seanem. W pewnej chwili temperatura spadła tak gwałtownie, jakby ktoś otworzył drzwi lodówki, i kiedy wyszli na niedużą polankę, lodowata rosa na trawie przemoczyła nogawki spodni. Słyszała, jak chlupocze jej w butach. Zadygotała przejęta nieprzyjemnym zimnem.

Kiedy się zatrzyma? Patrzyła na plecy Seana, nie cierpiąc go i starając się siłą woli zmusić do zatrzymania. Jednakże szedł dalej. Claudia odniosła wrażenie, że celowo stara się ją upokorzyć i skłonić do prośby o litość.

Ja ci pokażę. Nie zwalniając kroku, sięgnęła do tyłu i odpięła od plecaka kurtkę narciarską z goreteksu. Teraz było jej naprawdę zimno, a pod zdrętwiałymi stopami chrzęścił szron. Nagle zauważyła, że może wyraźnie dostrzec każdy jasny włos na szyi Seana.

Świt. Już myślałam, że nigdy nie nadejdzie. Jakby słysząc jej myśli, Sean się zatrzymał. Claudia stanęła obok niego, czując, jak drży jej każdy mięsień w nogach.

— Przepraszam, Szefie - powiedział cicho Sean. - Musia

tem nadać takie tempo, żebyśmy przed świtem jak najdalej

odsunęli się od tej bandy. Jak się czujesz?

— Swobodnie - mruknął Riccardo.

W szarym świetle poranka jego twarz była blada i zmęczona. Był równie wykończony jak Claudia. Miała tylko nadzieję, że nie prezentuje się tak źle jak on. Riccardo odszedł kilka kroków i sztywno usiadł na ziemi.

Sean spojrzął na Claudię. Żadne z nich się nie odezwało, ale na twarzy Seana błąkał się enigmatyczny uśmiech.

Nie pytaj tylko, jak się czuję, pomyślała Claudia. Raczej wypłabym cykutę, niż powiedziała prawdę.

Sean lekko schylił głowę. Nie była pewna, czy to wyraz protekcjonalności, czy szacunku.

— Pierwszy i trzeci dzień są najgorsze - rzekł.

— Czuję się świetnie - odparła. - Mogę iść dalej.

— Jasne. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale lepiej zajmij się

ojcem.

134

Sean przyniósł im kubki z herbatą. Claudia siedziała obok ojca owinięta w śpiwór. Job przygotował śniadanie na ogniu z niedymiących gałązek, które natychmiast zagasił, gdy tylko zagotowała się woda. Herbata okazała się mocna i słodka. Claudia była pewna, że nigdy nie piła niczego lepszego. Sean podał jej także kilka placków kukurydzianych. Starła się nie pochłonąć ich zbyt łapczywie.

- Wyruszamy za kilka minut - ostrzegł ją, a kiedy zoba

czył wyraz niedowierzania w jej oczach, wyjaśnił: - Nigdy

nie śpimy przy ognisku. To może przyciągnąć niebezpiecznych

typków.

Przemaszerowali jeszcze osiem kilometrów i w połowie poranka znaleźli łatwe do pilnowania i obrony wzniesienie. Sean pokazał Claudii, jak wykopać sobie dołek na biodro i użyć plecaka jako poduszki. Dziewczyna natychmiast zasnęła.

Kiedy Sean ją obudził, miała wrażenie, że upłynęła zaledwie minuta.

- Już czwarta. - Podał jej herbatę i kilka placków. - Spałaś

bite sześć godzin. Wyruszamy za pięć minut.

Pospiesznie zwinęła plecak i przyjrzała się ukradkiem swojej twarzy w małym lusterku, które potajemnie zabrała ze sobą, choć Sean wyrzucił je z plecaka.

- O Boże! - szepnęła. Krem maskujący popękał na twarzy i widać w nim było bruzdy od potu. - Wyglądam jak Al Jolson na kacu. - Uporządkowała włosy, upinając je w węzeł i przewiązując chustką.

Maszerowali przez całą noc z krótkimi przerwami na odpoczynek co dwie godziny. Z początku Claudia czuła się tak, jakby miała nogi w gipsie, ale wkrótce udało się jej rozruszyć i utrzymywała narzucone przez Seana tempo, które było równie ostre jak poprzedniej nocy.

O świcie napili się herbaty. Claudia nie mogła się wprost doczekać gorącego napoju. Zawsze wolała kawę, ale teraz marzyła tylko o następnym kubku gorącej herbaty.

— To jedyne, co mnie trzyma na nogach - zwierzyła się ojcu.

— Mówią, że Angole podbili pół świata dzięki herbacie. -

Skinął głową, gdy Sean, który do tej pory był zatopiony w rozmowie z Jobem i Matatu, podszedł do nich.

135

^

— Jesteśmy tylko kilka godzin marszu od trzciny, w których widzieliśmy Tukutelę z samolotu. - Spojrzał wymownie na Claudię. - Chciałbym, żebyśmy dotarli tam przed udaniem się na spoczynek, ale może niektórzy z nas są zbyt zmęczeni... - Zawiesił głos w wymownym oskarżeniu i wyznaniu.

— Muszę się przejść po śniadaniu - odparła Claudia, ale żałowała, że jej twarz jest pokryta kremem maskującym. Nie chciała ulec jego przewadze.

Kiedy Sean odszedł, ojciec zawirował kubkiem i wylał z niego fusy.

- Nie zakochuj się w nim, tesoro. To za trudny przypadek nawet dla ciebie.

Spojrzała na niego zaskoczona i oburzona.

- Zakochać się w nim? Chyba oszalałeś, tatusiu. Nie mogę nawet znieść jego widoku.

- Właśnie to mam na myśli - zachichotał.

Poderwała się z ziemi i zarzuciła plecak z nadmierną energią.

— Mogłabym sobie poradzić z nim i pięcioma innymi z zamkniętymi oczyma i jedną ręką zawiązaną na plecach. Na szczęście mam trochę lepszy gust.

— Tym lepiej dla ciebie - mruknął tak cicho, że nie była pewna, co powiedział.

Niedługo po południu znaleźli się w gąszczu papirusów, które otaczały zielone jezioro. Matatu doprowadził ich wprost do śladów stóp słońa, które były wyraźnie odcisnięte w błocie, i wszyscy zebrali się przy nich.

- Spójrzcie! - zawołał Matatu. - Tu stał Tukutela, gdy usłyszał nadlatujący indeki. Tu się obrócił, żeby spojrzeć w niebo i podnieść na nas trąbę. - Matatu naśladował starego słońa, unosząc głowę pod tym samym kątem, garbiąc się i składając dłonie przy uszach. Udało mu się to tak doskonale, że przez chwilę wyglądał jak słoń. Wszyscy się roześmiali. Claudia zapomniała o zmęczeniu i z radością klaskała w ręce.

— Co następnie zrobił słoń? - spytał Sean.

Matatu odwrócił się i wskazał na trop.

— Pobiegł bardzo szybko i bardzo daleko.

- No cóż - powiedział Sean. - Jesteśmy dokładnie czterdzieści osiem godzin za nim, a kiedy się obudzimy, różnica zwiększy się do pięćdziesięciu dwóch.

Matka Tukuteli była przewodniczką stada składającego się z ponad stu zwierząt. Jej ostatnia ruja wypadła w wieku pięćdziesięciu dwóch lat i w czasie kilku dni jej trwania samica została pokryta przez sześć młodych i silnych samców ze stada.

Jak się później okazało, był to idealny sposób na poczęcie wyjątkowego zwierzęcia: stara samica i młode samce. Mimo że nie można było stwierdzić z pewnością, który z nich był ojcem słońątka, przywódczyni stada nosiła w swoim ciele geny wielkich słońi, o silnych cielskach i olbrzymich ciosach, o naturalnej inteligencji i zdolności do panowania nad stadem. Właśnie te geny uczyniły ją przewodniczką i przekazała je maleństwu.

Po dwudziestu dwóch miesiącach w roku 1915, kiedy niemiecki generał von Lettow-Vorbeck niszczył wschodnią Afrykę, samica opuściła stado. Wraz ze starą i bezpłodną już towarzyszką udały się na olbrzymie mokradła rozciągające się na południe od rzeki Zambezi. Na wysepce porośniętej palmami kokosowymi, nad którą wesoło pokrzykiwały białogłowe rybołowy, otoczonej ciągnącymi się na kilometry papirusami, stara samica oczyściła spory kawałek piaszczystej ziemi. Kiedy nadszedł czas rozwiązania, rozstawiła tylne nogi i przykucnęła nad czystym piaskiem, porykując z bólu i zwijając trąbę na piersi.

Oczy słońi nie mają kanalików odprowadzających łzy, więc przy każdym skurczu wstrząsającym jej olbrzymią posturą łzy ciekły po policzkach, jakby słońica płakała.

Jej stara towarzyszka stała obok niej niczym położna, głaszcząc ją trąbą po grzbiecie i pomrukując ze współczuciem. Przewodniczka stada urodziła głowę słońątka i odpoczywała przez pełną minutę, zanim ostatnim wysiłkiem wyrzuciła z siebie noworodka, który spadł na ziemię, przerywając pępowinę oraz czerwone łożysko. Tukutela natychmiast zaczął się szamotać, usiłując wyswobodzić się z krępującej go błony. Stara towarzyszka podeszła do niego i koniuszkiem trąby uwolniła go z więzów.

137

Następnie matka postawiła maleństwo delikatnie na nogi i podprowadziła pod swój brzuch, wydając przy tym głębokie pomruki świadczące o zadowoleniu. Wilgotny, lśniący i jeszcze różowy, pokryty delikatnymi włoskami i niemal ślepy Tukutela podniósł małą trąbę nad głowę, gdzie instynktownie natrafił na piersi matki.

Podczas gdy malec po raz pierwszy w życiu próbował smaku gęstego mleka, matka wsadziła sobie do pyska łożysko i pożerając je, za pomocą trąby zasypała piaskiem krwawe ślady na ziemi.

Trójka zwierząt pozostała na wysepce przez następne dwa tygodnie. Malec uczył się chodzić i posługiwać trąbą. W tym czasie skóra słońątka pociemniała, a oczy przyzwyczyły się do upalnego afrykańskiego słońca. Kiedy matka uznała, że jest już dostatecznie silny, ruszyli na poszukiwanie stada. Tukutela szedł na czele popychany przez matkę, która musiała go przenosić przez trudniejsze miejsca.

Hałas, jaki robiła setka żerujących słoń, odgłosy łamanych gałęzi i porykiwania bawiących się słońców dały się słyszeć z dużej odległości. Matka Tukuteli ogłosiła trąbieniem swój powrót i jej pobratymcy przybiegli ją przywitać. Kiedy odkryli nowego członka stada, otoczyli go ściśle, dotykając malca trąbami i wciągając głęboko jego zapach, żeby zawsze móc go rozpoznać.

Przerażony potężnymi cielskimi słoń Tukutela schował się między tylnymi nogami matki i wydawał cienie piski, a słońca otoczyła go trąbą, poklepując dla dodania odwagi. Już po kilku godzinach słońców uciekło od jej opiekuńczych gestów do innych młoców i zaczęło sobie zdobywać własne miejsce w grupie.

Stado było ze sobą ściśle połączone więzami krwi i z powodu wzajemnej zależności jego członków opieka nad słońcami i ich wychowanie były sprawą każdego słoń.

Młode zawsze pozostawały w centrum stada, a ich zabawy nadzorowały stare, bezpłodne słońce, które pełniły funkcje opiekunek. Były czułe i delikatne, ale każde naruszenie niepisanych praw pociągało za sobą natychmiastową karę: bity grubą witką, jakie krnąbrny młoc dostawał przez plecy, wywoływały przerażone piski, ale szybko przywodziły go do posłuszeństwa.

Tukutela w krótkim czasie nauczył się, gdzie jest jego miejsce w każdej sytuacji: w centrum stada, gdy zwierzęta posilały się lub odpoczywały, między nogami matki, kiedy maszerował lub

138

stado znajdowało się w niebezpieczeństwie. Nauczył się też, jak rozpoznawać różnego rodzaju znaki, nawet jeśli dawał je stojący na skraju stada słoń, i jak na nie reagować.

Na sygnał w stadzie zapadała natychmiastowa cisza szczególnie kontrastująca z normalnym hałaśliwym zachowaniem słoń.

Rozwój Tukuteli w dużej mierze odpowiadał rozwojowi człowieka: okres niemowlęstwa trwał dwa lata, w czasie których słońców pozbyło się miniatury młocnych słońców. Po nim nastąpił okres dzieciństwa, kiedy spod warg wyłoniły mu się zaczątki prawdziwego oręża. Z początku były całe białe, ale kiedy wreszcie matka odstawiła go od piersi i Tukutela musiał używać zębów do zdobywania pożywienia i żartobliwych walk ze starszymi słońcami, spod szklawa wyłoniła się prawdziwa kość słońca.

Ciosy miały rosnać przez całe życie słoń, a dzięki genom matki u Tukuteli osiągnęły tak niespotykane rozmiary. Także po niej odziedziczył wzrost, siłę i inteligencję.

W wieku trzech lat opanował podstawowe formy okazywania pokory i grożenia innym słońcom. Żartobliwe techniki walki z pozorowanymi atakami, ryczeniem i falowaniem uszami jeszcze bardziej rozwinęły jego i tak olbrzymią sylwetkę.

Kiedy matka odstawiła go od piersi, przestała się o niego tak bardzo troszczyć. Tukutela miał więcej swobody, żeby poznać terytorium, na którym przebywało stado. W dalszym ciągu jednak przybiegał pod osłonę matczynej ciosów na pierwszy sygnał zwiastujący niebezpieczeństwo, a w czasie marszu kroczył tuż za nią.

Terytorium stada obejmowało olbrzymi obszar od wybrzeży jeziora Nyasa na północy aż po tropikalne lasy gór Chimanimani na południu, od głębokiego wąwozu na zachodzie, gdzie rzeka Zambezi przeciska się przez wysokie skały, aż po tereny rozlewiskowe wielkiej rzeki na wschodzie. Tam Zambezi rozpościera się na równinach, tworząc nadmorskie mokradła, zanim wpadnie wieloma kanałami do Oceanu Indyjskiego.

Tukutela poznał górskie przełęcze i stare drogi wydeptane przez stado słońi, nauczył się wyszukiwać lasy porośnięte roślinnością o soczystych owocach i przychodzić do nich w sezonie,

139

kiedy dojrzewały. Matka zaprowadziła go na spalone słońcem sawanny, kiedy spod spopielonej ziemi wyrastały pierwsze zielone pędy, i do solnych lizawek, do których słońie przychodziły od tysięcy lat, żeby wydobywać ciosami bogatą w minerały ziemię i zjadać ją z łakomstwem małych chłopców rozkoszujących się cukierkami.

Stado docierało do gór Mavuradonha na południu, kiedy drzewa msasa wypuszczały młode listki pełne soków; przebywało w lasach tropikalnych na górze Mlanje, kiedy afrykańskie równiny prażyły się w słońcu w czasie długotrwałej suszy. Przewodniczka zawsze potrafiła znaleźć dla stada wodę, od której zwierzęta były całkowicie uzależnione. Słońie muszą codziennie wypić dużą porcję, bo inaczej cierpią z pragnienia, potrzebują też olbrzymich ilości wody do pielęgnacji ciał, do oczyszczenia grzbietów, a także dla samej przyjemności płynącej z kąpeli. Wodopój jest miejscem, gdzie zbiera się stado, gdzie ustalane są związki pomiędzy zwierzętami i gdzie rozgrywa się wiele rytuałów stadnego zachowania. Nawet akt pro-kreacji najczęściej odbywa się w wodzie, a ciężarne samice wybierają na poród miejsca blisko zbiorników wody.

Czasami stado miało jej pod dostatkiem, przebywając nad wielkimi, zielonymi rzekami, w górach, na które spadały obfite tropikalne deszcze, i wśród mokradeł, gdzie zanurzone po pas zwierzęta przedzierały się przez papirusy na wyspy. Kiedy indziej słońie musiały wyszukiwać wodę w korytach wyschniętych rzek czy czekać cierpliwie na swoją kolejkę przy podziemnych ciekach, żeby wsadzić trąbę głęboko do ukrytej studni i pić łyk po łyku gorzką, zamuloną breję.

Mimo olbrzymiego terytorium, na jakim żyło stado, kontakt słońi z człowiekiem był sporadyczny. W Afryce toczyła się wielka wojna, która wciągnęła większość białych mieszkańców kontynentu. Ludzie napotykanii przez stado byli na wpół nadzy i prymitywni i uciekali na widok zwierząt. Tukutela bardzo wcześnie nauczył się, że z tymi bezwłosymi istotami przypominającymi szympansy kojarzy się atmosfera szczególnego strachu. W wieku pięciu lat potrafił rozpoznać ich szczególny, kwaśny zapach z odległości wielu kilometrów. Nawet najmniejszy ślad obecności człowieka powodował, że stado zachowywało wyjątkową ostrożność.

140

Tukutela miał już jedenaście lat, gdy zdarzyło się pierwsze znaczące spotkanie z człowiekiem. Pewnej nocy zwierzęta podążyły starym szlakiem wzdłuż południowego brzegu Zambezi, kiedy przywódczyni

stada zatrzymała się nagle i podniosła trąbę do góry, żeby wciągnąć zapach powietrza. Tukutela poszedł za przykładem matki i szybko wyczuł pociągający aromat. Napełnił nim sobie pysk, aż po wargach ściekła mu obfita ślina. Pozostała część stada zbiła się w gromadę za nimi, oddając się przyjemności smakowania niesionej wiatrem słodkiej woni. Żadne ze zwierząt nie próbowało jeszcze nigdy trzciny cukrowej.

Stara przewodniczka poprowadziła stado w kierunku, skąd wiał wiatr. Po kilku kilometrach natrafili na teren nad rzeką świeżo oczyszczony, nawodniony i obsadzony trzciną cukrową. W blasku księżyca lśniły długie, wąskie liście, a wokoło roznosił się słodki, silny, niemal obezwładniający zapach. Stado rzuciło się na plantację, wyrwijąc całe rośliny i łapczywie napychając sobie nimi pyski.

Zniszczenia były kolosalne. Zupełnie nieoczekiwanie pojawiły się światła, rozległy ludzkie krzyki, bicie bębnow i blaszanych kotłów. Słonie ogarnęła panika. Kiedy stado rzuciło się na oślep do ucieczki, ogłuszyły je przeraźliwe huki, którym towarzyszyły jasne rozbłyski. Tukutela po raz pierwszy miał okazję powąchać proch i zapamiętał ten zapach do końca życia, kojarząc go z rykiem śmiertelnie ranionych słońi.

Stado pędziło przed siebie co sił w nogach, by wkrótce przejść do równomiernego biegu, który nie ustępował szybkością galopującemu koniowi. Rankiem jedna z młodszych samic, która biegła ze swoim pierwotnym słońiątkiem, nie wytrzymała tempa i przewróciła się na kolana, a z rany w boku trysnęła ciemna krew.

Przewodniczka zawróciła, żeby pomóc rannej słońicy, nawołując ją i zachęcając do dalszego wysiłku. Młoda matka nie miała jednak siły podnieść się z ziemi. Przewodniczka stanęła za nią, by posługując się trąbą oraz ciosami podnieść słońicę i popchnąć ją do przodu. Nie zdało się to na nic, gdyż ranne zwierzę znowu zważyło się na ziemię, a ostry zapach tryskającej z rany krwi zaniepokoił stado, które otoczyło leżącą na ziemi towarzyszkę, wymachując trąbami i porykując.

141

Jeden ze starszych samców pochylił się nad raną słońicą, jakby chciał ją pokryć i tym samym dodać jej sił, ale w tej samej chwili z rany trysnęła jasna tętnicza krew i zwierzę z jękiem przewróciło się na bok.

W przeciwieństwie do większości zwierząt słonie rozpoznają śmierć, zwłaszcza we własnym stadzie. Nawet mały Tukutela wyczuł przygnębiającą melancholię, jaka ogarnęła stado po śmierci młodej samicy. Niektóre słonie zbliżyły się do niej, by po raz ostatni dotknąć jej trąbą i się z nią pożegnać, zanim ruszyły dalej przez cierniste krzaki.

Kiedy stado się oddaliło, przewodniczka została z martwą słońicą, a Tukutela nie śmiał odejść od matki. Przyglądał się, jak obdziera rosnące w pobliżu drzewa z gałęzi i przykrywa nimi zwłoki. Dopiero kiedy całe ciało zniknęło pod stertą zielonych gałęzi, matka zdawała się usatysfakcjonowana.

Słońiątko, które nie zostało jeszcze odstawione od piersi, nie chciało opuścić pochowanej pod liśćmi matki i stara przewodniczka musiała popychać je przed sobą, kiedy ruszyli w końcu za stadem.

Dwukrotnie malec usiłował zbiec do ciała matki i dwukrotnie stara słońca zastępowała mu drogę, zawracając go trąbą i popychając przed siebie.

Dwa kilometry dalej stado czekało w zagajniku złożonym z drzew o żółtawych pniach. Słoniątka posilały się spokojnie, ssąc matki. Przewodniczka popchnęła przyprowadzone maleństwo w stronę samicy, której dziecko było już na tyle duże, że nie wykazywało większego zainteresowania pokarmem matki. Wprowadziła słoniątko między jej tylne nogi, a malec instynktownie sięgnął trąbą do piersi. Słońca nie wyraziła sprzeciwu, przyjmując ze spokojem rolę macochy. Przewodniczka stała obok nich, pomrukując zachęcająco, a kiedy przeszła na czoło stada gotowa do dalszej drogi, niemowlak zastąpił starsze słoniątko, ssąc pierś nowej matki.

Od tej nocy każdego sezonu kontakt z człowiekiem stawał się coraz częstszy. Stado najczęściej natykało się na ludzi, kiedy do samic dołączały samce.

Dojrzałe słońce utrzymywały luźne związki ze stadem denerwowane hałaśliwym zachowaniem młodszych i współzawodnictwem w zdobywaniu pokarmu. Gdy tylko starszy słoń strząsnął

142

deszcz strąków z wysokiego drzewa, od razu kilkanaście młodych rzuciło się, żeby je pożreć. Dorosły samiec dzięki swojej sile mógł nagiąć drzewo msasa, łamiąc pień metrowej średnicy, żeby dobrać się do soczystych różowych listków, co rzadko zdążył zrobić, gdyż zaraz młode słońce otaczały szczerline koronę drzewa.

Tak więc samce opuszczały stado pojedynczo lub w grupach liczących po trzy, cztery osobniki. Może także wyczuwały, że większa grupa łatwiej będzie przyciągała myśliwych i że lepiej jest zachować bezpieczną odległość. Czasami trzymały się całkiem blisko, czasami w odległości czterdziestu, pięćdziesięciu kilometrów, ale zawsze wiedziały, gdzie jest reszta stada, i wracały do niego, gdy nadchodził czas zalotów.

Nieoczekiwane strzały, ryki ranionych zwierząt i szaleńczy pęd przez zarośla zdarzały się najczęściej, gdy dorosłe samce były z samicami.

Kiedy Tukutela miał dziesięć lat, ze stadem było związanych sześć wielkich samców o potężnych ciosach, ale z upływem czasu wszystkie wyginęły. Każdego roku jeden czy dwa padały od kul, aż w końcu do samic przychodziły jedynie pozostałe słońce o zniszczonych lub startych kłach.

Z biegiem lat Tukutela wyrósł na wyjątkowo dużego samca. Jego białe, czyste i ostre siekacze zaczęły się rozwijać w potężne ciosy, które pewnego dnia miały osiągnąć zdumiewające rozmiary. Wraz z jego wzrostem starzała się przewodniczka stada. Pod szarą pomarszczoną skórą zaczął pojawiać się zarys kości. Stara samica coraz bardziej chudła. Jej szóste i ostatnie zęby trzonowe były na wpół starte, więc miała coraz większe kłopoty z przeżuwaniem, aż w końcu starość przyniosła jej głód. Ustąpiła ze swojego miejsca na czele stada na rzecz młodszej, silniejszej samicy i z trudem dotrzymywała kroku pozostałym słońcom. Często zdarzało się, że Tukutela musiał czekać na matkę na bardziej stromych podejściach, zachęcając ją do wysiłku współczującym pomrukiem. W nocy znowu stał obok niej jak za czasów, kiedy był jeszcze słoniątkiem.

Pewnego razu nadszedł okres wyjątkowej suszy i odwiedzane przez stado studnie były tylko do połowy wypełnione wodą. Słonie, nosorożce i bawoły rozdeptywały błoto przy dojsiach do wodopoju i w jednym z takich miejsc stara słonica ugrzęzła po pas w mule.

143

Rzucając się w próbach wyrwania z błota, samica przewróciła się na bok, a muł wciągnął ją tak głęboko, że na powierzchnię wystawała jedynie głowa.

Słonica walczyła przez dwa dni. Tukutela starał się jej pomóc, ale nawet jego olbrzymia siła na nic się zdała. Muł trzymał mocno zwierzę i nie dawał Tukuteli żadnego oparcia dla nóg. W końcu wysiłki słonicy ustały, dzikie ryki straciły na sile i stara samica zastygła nieruchomo w milczeniu, ciężko dysząc ze zmęczenia.

Tukutela stał przy niej przez następne dwa dni. Stado dawno już się oddaliło, ale on został. Słonica nie dawała żadnych oznak życia poza oddychaniem. Kiedy w końcu i ono ustało, Tukutela natychmiast się zorientował, dając wyraz żalowi przenikliwym rykiem, który wypłoszył z wodopoju stado dzikich kaczek.

Potem udał się na brzeg lasu, by zerwać liściaste gałęzie, którymi zaczął przykrywać ubłocone cielsko matki. Gdy znikło pod zielonym kobiercem, Tukutela zostawił ją i ruszył przez równinę.

Do stada zbliżył się dopiero po dwóch latach. Był już dojrzałym samcem i nie mógł się oprzeć zapachowi samic.

Kiedy odnalazł stado, znajdowało się na brzegu rzeki Kafue, piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie rzeka wpada do Zambezi. Kilku członków stada wyszło mu na spotkanie, witając go uściskami trąb i dotykiem głów, zanim pozwoliło mu dołączyć do pozostałych zwierząt.

W stadzie znajdowały się dwie samice, które miały ruję. Jedna z nich była w wieku Tukuteli. Miała obfite kształty, które zawdzięczała bogatemu pożywieniu pory deszczowej. Jej ciosy były cienkie, białe i proste niczym dwa szydełka, a uszy nie zostały jeszcze postrzępione przez cierniste krzaki i ostre gałęzie. Słonica rozpostarła szeroko uszy na widok Tukuteli i podeszła wymienić uścisk trąby.

Stali złączeni głowami, wydając głębokie gardłowe pomruki zadowolenia. Kiedy się rozłączyli, ich trąby zaczęły pieścić się nawzajem wzdłuż całej długości ciała. Wreszcie Tukutela stanął za samicą.

Koniuszek trąby słonia jest równie czuły i zwinny jak palce u ręki człowieka. Tukutela wsunął go między nogi wybranki.

144

Samica zaczęła kołysać się na boki, wyrażając zadowolenie. W miarę jak jej podniecenie rosnęło, z pochwy zaczęły wypływać soki, które zwilżyły koniuszek trąby Tukuteli, wypełniając nozdrza oszałamiającym zapachem. Z cielistego worka wysunął się penis prawie tak długi, że można by go porównać z wysokością człowieka, i gruby niczym ludzkie udo; w stanie pobudzenia jego koniec

dotykał ziemi. Członek był upstrzony różowymi i czarnymi plamami, gładki i błyszczący. Słonie należą do Tes-ticonda, zwierząt bezmosznowych, ich jądra są schowane głęboko w ciele.

Kiedy para była dostatecznie podniecona, Tukutela delikatnie pchnął samicę w stronę rzeki. Oboje zeszli z brzegu i zielona woda zamknęła się nad nimi, zwiększając przyjemność płynącą z kontaktu dwojga ciał, które teraz były lżejsze i bardziej zwinne.

Słonie zanurzyły się tak głęboko, że tylko ich trąby wystawały na powierzchnię. Tuliły się do siebie i oddalały, a woda spływała po ich szarych, zakurzonych grzbietach, zmieniając kolor na głęboko czarny niczym węgiel.

Tukutela wspiął się na samicę, umieszczając przednie nogi na jej grzbiecie. W wodzie słonica mogła z łatwością utrzymać jego olbrzymi ciężar. Penis zdawał się żyć własnym życiem, pchając, prostując się i szukając. Jedynie jedna trzecia jego długości zdołała spenetrować ciało słonicy i olbrzymia postura Tukuteli zdrząła i zatrząsała się. Zwierzęta zatrąbiły równocześnie, ubijając wodę na białą pianę.

Tukutela został ze stadem przez trzy dni, a kiedy ruja samicy się skończyła, zaczął się robić niespokojny. Przejął po matce instynkt ostrzegawczy i wyczuwał niebezpieczeństwo grożące stadu. Trzeciego dnia zniknął w gąszczu ciernistych krzaków. Odszedł sam, unikając towarzystwa innych samców.

Każdego sezonu wracał do stada silniejszy, a jego ciosy stawały się coraz dłuższe i grubsze, ciemniejąc na kolor alabastru od soku owoców i żywicy drzew. Czasami do gromady dołączały inne samce, wtedy Tukutela musiał z nimi walczyć o samice.

Z początku Tukutela przegrywał walki ze starszymi, bardziej doświadczonymi samcami, ale w miarę jak rosły jego ciosy i przebiegłość, żaden z nich nie potrafił mu sprostać, więc zawsze zdobywał upragnione samice. Nigdy jednak nie zostawał ze

145

stadem dłużej niż kilka dni. Potem zawsze oddalał się, szukając samotnie swobody, której umiłowanie przejął po matce. Znajdował niezależność w niedostępnych dla człowieka mokradłach, gąszczu ciernistych zarośli i wśród wysokiej trawy. Wydawało się, że czuł grożące mu niebezpieczeństwo z powodu kości słoniowej.

W wieku trzydziestu pięciu lat był już olbrzymim zwierzęciem ważącym siedem ton i mającym cztery metry wysokości. Jego ciosy, mimo że nie osiągnęły jeszcze maksymalnych rozmiarów, były doskonale symetryczne i bardzo ostre.

Tego roku po opuszczeniu stada Tukutela był wyjątkowo niespokojny. Szedł przed siebie, nigdzie się nie zatrzymując. Cały czas wciągając powietrze wzniesioną trąbą, szukał zapachu, który mógł być przyczyną jego niepokoju. Raz czy dwa natrafił na kwaśną woń, ale był to słaby ślad przyniesiony przez wiatr z daleka i przemknął niczym cień.

Jednakże Tukutela nie mógł poruszać się bez przerwy. Jego olbrzymie ciało wymagało codziennie tony trawy, liści, owoców i kory, żeby zachować siły. Musiał się zatrzymywać na popas. Wczesnym

rankiem przystanął w gęstym zagajniku, żeby zedrzeć korę z drzew. Ostрым końcem siekacza nacinał ją na pniu, następnie chwycił koniec trąbą i potężnym szarpnięciem zrywał pas długości pięciu metrów. Związał całą porcję w rulon i wpychał go sobie do pyska.

Zajęty żerowaniem Tukutela przestał zwracać baczną uwagę na otoczenie. Słoń ma niezwykle słaby wzrok i kłopoty z rozpoznaniem przedmiotów oddalonych zaledwie o kilka metrów, choć z łatwością dostrzega ruch ze znacznie większej odległości. Co więcej, jego oczy są umieszczone głęboko w czaszce, ograniczając w ten sposób pole widzenia na wprost, a szerokie uszy uniemożliwiają zobaczenie czegokolwiek z boku.

Wykorzystując sprzyjający słaby poranny wiatr i poruszając się z niezmierną ostrożnością, myśliwi w absolutnej ciszy zbliżyli się do słonia od tyłu. Dwóch z nich podążało za Tukutela od chwili, kiedy opuścił stado. Wreszcie udało im się go podejść na odległość strzału.

Słoń, który właśnie miał przejść do następnego drzewa, obrócił się bokiem do myśliwych, wystawiając na pokaz drugie zakrzywione siekacze.

146

- Weź go! - szepnął jeden z mężczyzn.

Hiszpański producent sherry podniósł strzelbę z kolbą wykładaną złotem i wymierzył w mózg zwierzęcia.

W celowniku wyszukał ciemną, pionową szczelinę w uchu i naprowadził na nią strzelbę, tam gdzie otwierało się wejście do czaszki. Następnie przesunął celownik o dziesięć centymetrów do przodu, wzdłuż wyimaginowanej linii łączącej ucho z okiem.

Hiszpański producent sherry był pierwszy raz w Afryce na safari. Polował wcześniej na gienzy, muflony i jelenie w Pirenejach, ale słoń afrykański nie jest tak potulnym zwierzęciem. Serce waliło Hiszpanowi jak oszalałe, okulary zaszyły parą, a ręce silnie drżały. Towarzyszący mu zawodowy myśliwy poinformował go, gdzie i jak ma mierzyć, lecz Hiszpan nie mógł utrzymać celu. Z każdą sekundą jego oddech stawał się coraz cięższy, a drzenie rąk się nasilało. W rozpacz pociągnął za spust niemal na oślep.

Kula trafiła Tukutelę trzydzieści centymetrów nad lewym okiem i czterdzieści od przedniego płata mózgu. Porowata, przypominająca plaster miodu kość czaszki zamortyzowała uderzenie. Słoń przysiadł na zadzie, wyciągnął trąbę nad głowę i wydał z gardła potężny ryk.

Hiszpański myśliwy odwrócił się i rzucił do ucieczki. Tukutela obrócił głowę zwabiony ruchem, podrywając się jednocześnie na nogi. Zawodowy myśliwy, który znajdował się niemal pod wyciągniętą trąbą, podniósł strzelbę do góry, mierząc w głowę słonia, między kły wystające z otwartego pyska.

Iglica spadła na zepsutą sponkę z głuchym trzaskiem. Chwilę później słoń spuścił trąbę niczym kat zamachujący się mieczem i przygniótł myśliwego do ziemi.

Zaraz potem Tukutela rzucił się za umykającym Hiszpanem, dościgając go bez kłopotu. Wyciągnął trąbę i owinał ją wokół pasa człowieka. Mężczyzna wrzasnął panicznie, gdy został podrzucony dziesięć metrów w górę. Krzyczał, spadając na ziemię, aż siła uderzenia pozbawiła go oddechu. Wówczas Tukutela schwycił go trąbą za kostkę i trzasnął nim o najbliższe drzewo, z siłą, która porozrywała wszystkie organy wewnątrz ofiary.

Słoń szalał po lesie z Hiszpanem owiniętym trąbą, waląc nim o pnie, unosząc i uderzając o ziemię, aż w końcu ciało rozpadło się na części i w trąbie pozostała mu tylko noga. Odrzucił ją daleko od siebie i wrócił do zawodowego myśliwego.

147

Uderzeniem trąby strzaskał mężczyźnie obojczyk, połamał ręce i żebra, ale myśliwy żył jeszcze i był przytomny. Zobaczył Tukutelę wracającego z wyciągniętą trąbą, rozstawionymi uszami i krwią z rany ściekającą po pysku i mieszającą się z krwią rozdartego na strzępy Hiszpana.

Myśliwy próbował przesunąć się w bok. Tukutela postawił ostrożnie przednią nogę na jego plecach, przyciskając go do ziemi, i trąbą zaczął rozszarpywać ofiarę. Wyrwał nogi i ramiona ze stawów i odrzucił za siebie. Owinął trąbę wokół szyi nieszczęśnika i wyszarpnął głowę z ramion. Głowa potoczyła się po trawie pod jego nogi, wówczas schwycił ją trąbą i cisnął daleko. Wściekłość zaczynała mu mijać, w miarę jak coraz silniej odzywał się ból w głowie. Tukutela stał nad zmasakrowanymi ciałami, przestępując z nogi na nogę, wydając głębokie pomruki cierpienia i melancholii, jaką sprowadzała na niego śmierć.

Mimo bólu przenikającego całe ciało i krwi ściekającej do oka z rany w czole Tukutela rozpoczął rytuał pogrzebu, którego wiele lat temu nauczyła go matka. Zebrał wszystkie porozrywane i pokrwawione członki swoich ofiar i ułożył je w stos. Pozbierał także z trawy ich rzeczy, karabiny, kapelusze i manierki, i umieścił je na ciałach. Potem odarł pobliskie drzewo z gałęzi, którymi przykrył szczątki, tworząc zieloną mogiłę.

Rana po kuli szybko się zagoiła, ale wkrótce do białej gwiazdy nad okiem dołączyły inne blizny. Obciążona włócznia zawieszona w pułapce na słonie rozorała mu bok od barku do kolana i Tukutela o mały włos nie umarł wskutek zakażenia. Jego olbrzymie uszy coraz częściej zaczepiały o ciernie i gałęzie, dziurawiąc się i strzępiąc na brzegach. Musiał walczyć każdego roku o dostęp do samicy i chociaż żaden z konkurentów nie mógł dać mu rady, ich ciosy zostawiły wyraźne ślady na jego skórze. Miał także liczne spotkania z człowiekiem.

Mimo olbrzymiego niebezpieczeństwa nie zmniejszyło się jego zamiłowanie do słodkiego smaku trzciny cukrowej, z którą zapoznała go matka wiele lat temu. Tukutela stał się grabieżcą plantacji. Czasami przez kilka dni kręcił się w pobliżu uprawy, zbierając się na odwagę. Kiedy nastawała bezksiężycowa noc, wdzierał się na plantację, stąpając na wielkich nogach po cichu

148

jak kot. Uwielbiał proso, kukurydzę, papaje i ignamy, ale trzcinie cukrowej nie potrafił się oprzeć.

Z początku uciekał w popłochu na widok płonących pochodni, krzyków i bicia w bębny, z czasem jednak nauczył się odpowiadać na wrzaski dzikim rykiem i szarżować na obrońców pól.

W ciągu dziesięciu lat zabił ośmiu ludzi w czasie napadów na plantacje, rozrywając ciała ofiar na strzępy niczym rosomak mordujący kurczaki. Stał się tak namiętnym amatorem trzciny cukrowej, że ważył się wracać na tę samą działkę kolejnej nocy, mimo że wcześniej uciekał ponad sto kilometrów, by uniknąć zemsty rozsierdzonych właścicieli poletek.

Mieszkańcy wioski wysłali petycję do kolonialnego rządowego pełnomocnika okręgu, prosząc o pomoc. Komisarz przysłał as-kariego uzbrojonego w karabin kalibru .404. Askari, który był policjantem, a nie myśliwym ani nawet dobrym strzelcem, ukrył się w jamie na środku pola przekonany, że słoń nie wróci tej nocy na plantację. Na swoim terytorium Tukutela dał się ludziom dobrze we znaki, znali jego nawyki: uważano, że w celu zdobycia trzciny cukrowej zaatakują nawet uzbrojonego człowieka, jednakże nigdy nie wraca drugi raz na miejsce zbrodni.

Askari, obudziwszy się w nocy na środku pola, zobaczył, że Tukutela stoi w pobliżu jego jamy i zajada trzcinę cukrową. Chwycił strzelbę i posłał kulę prosto w brzuch słonia. Rana nie była śmiertelna. Rozgniewany Tukutela zaczął szukać śladu człowieka. Szybko znalazł jego zapach na wietrze i podążył za nim. Wcisnął trąbę do jamy i wyciągnął nieszczęsnego strzelca.

Rana Tukuteli długo się goiła. Pałący wnętrzości ból spowodował, że słoń jeszcze bardziej zniechęcił człowieka.

Mimo że zwierzę nie rozumiało przyczyn zmian, z biegiem lat kontakt Tukuteli z ludźmi stawał się coraz częstszy. Jego stare terytorium kurczyło się z każdym rokiem: przybywało ścieżek i dróg przecinających tajemne kryjówki słonia. Samochody i motory zakłócały ciszę, zostawiając w powietrzu ohydny zapach spalin. Wiekowe lasy padały pod ostrzem siekiery, a ziemia poddawała się pługom. W nocy coraz częściej Tukutelę otaczały światła i dźwięk ludzkich głosów. Świat słonia stawał się nieodwracalnie coraz mniejszy.

149

Jednocześnie rosły jego ciosy, wydłużając się i zwiększając ciężar. W wieku sześćdziesięciu lat Tukutela nosił dwie ciemne, symetryczne kolumny kości słoniowej.

W 1976 roku zabił kolejnego człowieka, Murzyna, który starał się bronić włócznią kilku akrów prosa. Ułamane ostrze włóczni utkwiło w szyi słonia, tworząc jątrzącą się ranę, z której cały czas wyciekała ropa.

Już od dawna Tukutela nie szukał towarzystwa stada. Zapach samic przynoszony przez wiatr rozbudzał w nim nostalgiczny nastrój, ale popęd płciowy ucichł w nim z wiekiem i słoń nie przerywał samotnych wędrówek starymi szlakami.

Kilka rejonów na jego terytorium pozostało niezmienionych przez lata. Nauczył się rozpoznawać te miejsca, w których nic mu nie groziło ze strony człowieka. Nie zdawał sobie sprawy, że są to parki narodowe, gdzie jego życia strzegło prawo, ale spędzał na tych terenach coraz więcej czasu i przez lata poznał dokładnie granice chronionych obszarów. Coraz niechętniej je opuszczał.

Jednakże nawet na terytorium tych sanktuariów nie czuł się całkowicie pewnie. Powodowany instynktem i strachem zawsze był gotów do ataku na każdego natręta lub do ucieczki, gdy tylko wiatr przyniósł ze sobą nienawistny zapach człowieka. Poczucie bezpieczeństwa na terenie parków zostało wystawione na próbę, kiedy i tutaj dopadli go myśliwi. Usłyszał odgłos strzału i poczuł ból w boku, nie potrafiąc odróżnić odgłosu strzelby od huku wiatrówki. Kiedy próbował odszukać i zniszczyć wroga, obezwładniła go nagła senność i dziwna słabość podcięła mu nogi. Tukutela zwałił się nieprzytomny na ziemię. Obudził się, czując w powietrzu wokół siebie i na własnym ciele nienawistny smród człowieka. Gdy podniósł się ciężko na nogi, znalazł zawieszoną na szyi dziwną obrożę, a stara rana po włócznie piekła teraz ogniem środków antyseptycznych. Od początku starał się zerwać gruby kołnierz, na którym zawieszono nadajnik radiowy, ale obroża oparła się jego wysiłkom, więc rozdrażniony zaczął dewastować las, łamiąc wysokie drzewa i gałęzie.

Ludzie, którzy przyglądali mu się z bezpiecznej odległości, śmiali się do siebie, mówiąc porozumiewawczo:

- Tukutela, Rozzłoszczony Słoń.

150

Tukutela potrzebował wielu lat, żeby pozbyć się zniechęconej obroży. Zarzucił ją wreszcie na czubek najwyższego drzewa.

Mimo że doceniał bezpieczeństwo, jakie stwarzały mu parki narodowe, w których spędzał większą część roku, nadchodziła pora, kiedy stawał się niespokojny. Ulegał wówczas pokusie wędrowania, potrzebie przemierzenia raz jeszcze starego szlaku, którym prowadziła go matka, gdy był jeszcze malcem. Zbliżał się wtedy do granicy parku i przez kilka dni przechadzał się wzdłuż niej, zbierając się na odwagę, aż wreszcie, nie mogąc się oprzeć pokusie, ruszał nerwowo, pełen strachu i nadziei, na wschód.

Mokradła wielkiej rzeki Zambezi były najbardziej ulubionym celem wędrówki. Nie pamiętał, że jest to miejsce jego narodzin, ale czuł wyraźnie, że woda tu jest chłodniejsza i słodsza, pożywienie bogatsze i bardziej soczyste, a spokój większy niż gdziekolwiek indziej. Kiedy tego roku przekraczał rzekę Chiwewe, potrzeba powrotu do domu zdawała się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Tukutela był już stary i znużony, miał ponad siedemdziesiąt lat. Bolały go stawy i krok stał się sztywny. Odezwały się wszystkie stare rany, a zwłaszcza pierwsza od kuli, która utknęła w czaszce pod skórą nad prawym okiem. Kula zdążyła otorbić się przez te wszystkie lata. Tukutela dotykał często koniuszkiem trąby twardego miejsca, kiedy ból stawał się nie do zniesienia.

Porośnięty szczytną łeb ciążył pod brzemieniem olbrzymich ciosów i słoń z coraz większym trudem mógł go wznosić. Czarne siekacze stały się jedynym świadectwem przemijającej potęgi. Stary samiec niedołążniał w tym czasie bardzo szybko. Zęby miał już zupełnie stępione i zaczynał doświadczać głodu. Każdego dnia słabł coraz bardziej, a jego pożywienie z wolna ograniczało się do miękkiej trawy i świeżych pędów. Nigdy jednak nie mógł ich zjeść tyle, żeby się nasycić.

Szybko wychudł, a wokół kolan i na szyi skóra zwisała pomarszczonymi workami. Zwierzęcia nie opuszczał nastrój dziwnej melancholii, której nieczęsto doświadczał w życiu. To samo uczucie zawładnęło nim, gdy czekał na śmierć matki przy wodopoju. Nie rozpoznał w nim przeczucia własnej śmierci.

151

Tukutela instynktownie wyczuwał, że pościg rozpoczął się z chwilą, kiedy opuścił park, i że tym razem jest groźniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Zachowywał się tak, jakby las był pełen ludzi, którzy podążają za nim, czekają na niego za każdym zakrętem i zagradzają mu drogę na wschód. Aby uniknąć czyhających na niego prawdziwych i wymaginionowanych zagrożeń, ciągle zmieniał kierunek.

Kiedy tuż za nim rozpętała się burza strzałów, rzucił się na oślep przed siebie, by wreszcie skierować się prosto na wschód. Nie zdecydował się zawrócić do bezpiecznego parku. Droga do mokradeł ciągnęła się prawie dwieście kilometrów i była pełna niebezpieczeństw, ale słoń nie mógł się już oprzeć instynktowi, który gnał go przed siebie.

Dziesięć godzin później zatrzymał się, żeby napić się wody, obmyć ciało i posilić w odizolowanym bagnistym terenie. Do prawdziwych mokradeł czekała go jeszcze długa droga.

Nie odpoczywał więcej niż kilka godzin, gdy nisko nad głową przemknął samolot, płosząc go z kryjówek. W jakiś tylko sobie znany sposób skojarzył maszynę ze ścigającymi go ludźmi. Zostawiła w powietrzu ten sam wstrętny smród co samochody, z których myśliwi polowali na zwierzęta, i Tukutela wiedział, że nie może dłużej pozostać w tym miejscu. Prześladowcy zbliżali się do niego.

Wielkie mokradła były jego najlepszym schronieniem i słoń ruszył biegiem w ich kierunku.

— Teraz już się nie zatrzyma, dopóki nie dotrze do moczarów. - Sean Courtney przykucnął obok tropu słońca. - Wygląda na to, że jest czymś zaalarmowany i mamy słabą szansę na spotkanie z nim przed przekroczeniem mokradeł.

— Jak to daleko? - zapytał Riccardo.

Sean wstał i przyjrzał mu się uważnie, zanim odpowiedział:

- Jakieś sto trzydzieści, sto czterdzieści kilometrów, Szefie.

Mała przechadzka.

Riccardo nie wyglądał najlepiej. Na koszuli znaczyły się ciemne plamy potu. Można było odnieść wrażenie, że postarzał się o dziesięć lat w ciągu czterech dni. Ciekawe, co zrobimy,

152

jeśli biedak rozłoży nam się po drodze? - zastanawiał się Sean. Odsunął jednak od siebie ponure myśli.

- W porządku, teraz zjemy i położymy się spać. Wyruszamy za cztery godziny.

Podprowadził ich ku brzegowi bagna, stamtąd na twardej teren. Zmęczenie i upał odebrały wszystkim apetyty. Uczestnicy wyprawy pokładli się w cieniu drzew niczym martwi.

Sean obudził się z uczuciem, że coś jest nie w porządku; usiadł szybko z ręką na strzelbie i rozejrzał się wokół.

Claudia! Zerwał się na nogi. Dziewczyna zniknęła. Jej plecak leżał dziesięć kroków od miejsca, w którym położyła się spać. Sean był tak zdenerwowany, że chciał już złamać własny zakaz i zawołać ją.

Poszedł na koniec obozu i wezwał gwizdnięciem wartownika. Pumula natychmiast wyłonił się z zarośli.

— Gdzie jest panienka? - Sean zapytał w sindebele.

— Tam poszła. - Pumula wskazał na rzekę.

— Pozwoliłeś jej odejść? - zapytał ostro Sean.

— Myślałem, że chce odejść w krzaki... - Pumula się zawa

hał - ...żeby się załatwić. Nie mogłem jej zatrzymać.

Sean rzucił się biegiem ścieżką wydeptaną przez hipopotamy, prowadzącą przez trzciny do największego jeziora.

Sadzawka miała jakieś sto metrów średnicy, a stojąca woda była głęboka i zielona. Mimo swojego komicznego wyglądu hipopotam jest jednym z najgroźniejszych zwierząt afrykańskich. Na ich karb można złożyć śmierć niemal tylu ludzi, ilu zabiły wszystkie pozostałe gatunki. Stare samce mają kłótniwe usposobienie i są agresywne, a samice z małymi potrafią zaatakować nawet niesprowokowane. Jedno kłapnięcie potężnej paszczy, której olbrzymie zęby są przystosowane do ścinania trzciny, potrafi przeciąć człowieka na pół. W porównaniu z nimi krokodyl jest powolnym, choć nie mniej skutecznym zabójcą. Jezioro było idealnym terenem polowań dla krokodyli i hipopotamów, a Claudia Monterro siedziała w nim zanurzona po pas.

Jej mokre ubranie, koszula, spodnie i skarpety, wisało uprane na trzcynie, a Claudia stała odwrócona do niego tyłem i pochylona myła włosy mydłem.

Skórę miała równomiernie opaloną poza białym paskiem od

stanika. Szcupłe plecy łagodnie rozchyłały się ku biodrom, a przez ich środek biegły paciorki kręgow kręgosłupa.

- Co ty, do jasnej cholery, wyrabiasz?! - warknął Sean.

Dziewczyna odwróciła się do niego z rękami w namydlonych włosach, przekrzywiając głowę, żeby mu się przyjrzeć przez pianę na twarzy.

— To w ten sposób się zabawiasz? - zapytała ostrym tonem, nie starając się jednak zakryć piersi. - Ty zbrojeńcu, przyszedłeś tu podglądać?

— Zabierz tyłek z wody, zanim odgryzą ci go krokodyle. -

Jej kąśliwa uwaga zaboląa go, ale nawet w zdenerwowaniu zauważył, że dziewczyna ma lepsze piersi, niż przypuszczał.

Zimna woda spowodowała, że sterczące sutki wydawały się sztywne.

— Przestań się gapić - krzyknęła na niego - i zjeżdżaj stąd! - Zanurzyła się pod wodę i wyprostowała, ociekając pianą.

Długie, lśniące włosy spłynęły na plecy.

— Wyłaż z wody, do diabła! Nie będę tu stał i się z tobą użerał.

— Wyjdę, jak będę gotowa.

Sean wskoczył do sadzawki i złapał ją, zanim zdążyła mu się wymknąć. Chwycił za ramię i mimo że było śliskie od mydła, a dziewczyna kopała go i biła wolną ręką, wyciągnął ją na brzeg.

- Ty draniu! Nienawidzę cię. Zostaw mnie w spokoju.

Sean z łatwością poskromił ją jedną ręką. W drugiej trzymał strzelbę. Kiedy wyszedł na brzeg, z szortów koloru khaki ciekła woda, a w butach mu chlupotało. Porwał wiszącą na zaroślach mokrą koszulę i rzucił ją dziewczynie.

- Ubieraj się!

- Nie masz prawa. Nie pozwolę na to, ty brutalny chamie...

zobacz moją rękę! - Pokazała mu ramię, na którym widniały czerwone odciski palców. W drugiej ręce ścisnęła koszulę, trzęsąc się z wściekłości i oburzenia.

Z jakichś niezrozumiałych powodów jego uwagę przyciągnął jej pępek. Idealnie ukształtowany na płaskim brzuchu, niczym oko cyklopa, wydawał się bardziej podniecający niż kępka czarnych, mokrych włosów. Sean odwrócił wzrok z poczuciem winy. Dziewczyna była tak rozwścieczona, że zapomniała o własnej nagości. Miał wrażenie, że rzuci się na niego z pięściami. Cofnął się o krok

154

i kiedy spojrzął na sadzawkę, dojrzał na powierzchni zielonej wody wąską strzałkę fal, która się szybko zbliżała. Na jej końcu nad wodę wystawały dwa czarne guzy, nie większe niż orzechy włoskie. Posuwały się do przodu z zadziwiającą szybkością.

Sean schwycił Claudię za ramię i odrzucił ją za siebie tak gwałtownie, że dziewczyna wylądowała na kolanach i rękach w błocie.

Poderwał strzelbę załadowaną nabojami Express .577 i wymierzył między czarne oczy nadpływającego krokodyla. Ustawiając muszkę na cel, szybko obliczył, że oczy są rozstawione w odległości około dwudziestu dwóch centymetrów. Był to jakiś stary olbrzym.

Strzał przerwał ciszę wiszącą nad zaroślami. W miejscu trafienia kuli, dokładnie w środek między oczyma, w powietrze wleciała czerwona mgiełka. Krokodyl, któremu pocisk rozerwał mózg, obrócił się leniwie na plecy.

Claudia podniosła się z ziemi i spoglądając zza ramienia Seana, patrzyła na żółty, gładki brzuch. Krokodyl miał prawie pięć metrów długości od nosa do końca ogona i mimo że był martwy, szczęka zaciskała mu się kurczowo w agonicznych drgawkach. Spod pokrytych łuskami warg wystawały kły długie niczym palce dorosłego człowieka. Gad wolno zanurzył się w głębinę. W zielonej wodzie prześwitywał jeszcze przez chwilę kremowy brzuch.

Claudii przeszła złość. Patrzyła osłupiałym wzrokiem na wodę, nie mogąc pohamować drżenia.

— O Boże. Nie wiedziałam... jakie to okropne. - Przypadła

do Seana i przytuliła się mocno do niego. - Nie miałam poję

cia. - Jej ciało było chłodne, szczupłe, silne i wilgotne.

— Co się dzieje?! - Riccardo krzyknął zza trzcin. - Sean,

wszystko w porządku? Co się stało? Gdzie jest Claudia?!

Na głos ojca dziewczyna odskoczyła od Seana i po raz pierwszy zasłoniła wstydliwie piersi i krocze.

- Wszystko w porządku, Szefie! - odkrzyknął Sean. - Jest

bezpieczna.

Claudia porwała spodnie i naciągnęła je pospiesznie, skacząc przy tym na jednej nodze. Złapała koszulę i odwracając się od Seana, szybko włożyła ją na siebie. Kiedy ponownie stanęła twarzą w twarz z Seanem, wrócił jej gniew.

— Przestraszyłam się - wyjaśniła. - Wcale nie chciałam cię tak ścisnąć. Tylko sobie nie wyobrażaj za dużo. - Zapięła rozpiorek i podniosła wysoko brodę. - Przytuliłabym się nawet do śmieciarza, gdyby tylko był pod ręką.

— Dobra, kotku, następnym razem pozwolę, żeby cię zjadły, nieważne, czy to będzie lew, czy krokodyl.

— Nie powinieneś narzekać - powiedziała przez ramię, maszerując ścieżką pod górę. - Miałeś niezły widok i zauważyłam, że zrobiłeś sobie z tego prawdziwą ucztę, pułkowniku.

— Rzeczywiście. Ciało masz niczego sobie. Może trochę miejscami za chude, ale ujdzie.

Uśmiechnął się wesoło, gdy zobaczył, jak jej kark czerwieni się z gniewu.

Zaniepokojony Riccardo zbiegł do nich i z ulgą porwał Claudię w ramiona.

— Co się stało, tesoro? Wszystko w porządku?

— Usiłowała nakarmić krokodyle - wyjaśnił Sean. - Wy ruszamy dokładnie za pół minuty. Ten strzał musiał zaalarmować wszystkie podejrzane typy w odległości piętnastu kilometrów.

Przynajmniej zmyłam z twarzy tę obrzydliwą maź, pomyślała Claudia, kiedy wyruszyli w drogę. Jej wilgotne ubranie było czyste i chłodne i czuła się odświeżona po kąpieli.

Nic się nie stało, pocieszała się w duchu, poza tym, że mnie podejrzwał. Zresztą nawet to jej już tak bardzo nie martwiło. Spojrzenie Seana prześlizgujące się po jej nagim ciele nie było wcale nieprzyjemne. Nawet się cieszyła, że mogła go nieco podręczyć. Możesz sobie teraz umierać z tęsknoty, rozważała, patrząc na jego plecy. Nic lepszego w życiu już nie zobaczysz. Po przejściu dwóch kilometrów ubranie na niej wyschło i nie miała już siły na żadne emocje. Całe jej życie skupiło się na podnoszeniu jednej nogi, stawianiu jej na ziemi i podnoszeniu następnej.

Upał był nieznośny, a zwiększył się jeszcze, gdy dotarli do skarpy doliny Zambezi i zaczęli schodzić w dół ku rzece. Nawet powietrze zdawało się widoczne. Nad ziemią unosiły się srebrzyste fale, które drżały niczym zasłony z kryształowych paciorków-

ków, zmieniające kształt i wielkość przedmiotów, pobudzając je do życia, rozdmuchując, nadając im monstrualne kształty lub całkowicie chowając za kaskadami gorąca.

Powietrze przybierało niebieską barwę i kiedy Claudia się obejrzała, zobaczyła, że skarpa wyglądała jak rozmyta blado-niebieską, nierealną mgiełką. Niebo miało inny odcień błękitu: głęboki i nasycony, a ciężkie srebrzystożółtawie chmury stały nad ziemią równo ucięte od dołu niczym żagle na okręcie. Uwięzione w obłokach powietrze spływało na ziemię niczym rozgrzany syrop. Grupka ludzi przygnieciona upałem szła zmęczonym krokiem.

Z lasu wyleciały chmury malutkich czarnych muszek, które z brzęczeniem kłębiły się w kącikach oczu i ust, wdzierają do nozdrzy i uszu, żeby spijać pot z wyczerpanych ciał. Natarczywość owadów szybko stała się nieznośną torturą.

Z każdym kilometrem otwierał się coraz to nowy widok na dolinę i wreszcie dojrzeli ciemną wstążkę nadrzecznej roślinności, która znaczyła nurt Zambezi. Matatu biegł przed nimi niczym energiczny krasnal, podążając tropem, którego nie wypatrzyłoby żadne inne ludzkie oko, niezmęczony i obojętny na upał, tak że Sean musiał go przyzywać za każdym razem, gdy robili przerwę w marszu.

- Nie ma nawet śladu zwierzyny - zauważył Riccardo, rozglądając się wokół przez lornetkę. - Od czasu gdy prze kroczyliśmy granicę, nie widzieliśmy nawet królika.

Riccardo odezwał się pierwszy raz od wielu godzin i Sean poczuł lekką ulgę. Zaczynał już się poważnie martwić o swojego klienta. Odpowiedział mu ochoczo:

— Kiedyś był to raj dla myśliwych. Polowałem tutaj, zanim wycofali się Portugalczycy. Stada bawołów liczyły po dziesięć tysięcy sztuk.

— Co się z nimi stało?

— Przywódcy Frelimo nakarmili nimi armię. Zaoferowali mi nawet kontrakt na tę rzeź i nie mogli zrozumieć, kiedy im odmówiłem. W końcu sami się z nimi rozprawili.

— W jaki sposób?

— Z helikopterów. Latali nisko nad stadami i strzelali do nich z karabinów maszynowych. W ciągu trzech miesięcy zabili prawie

pięćdziesiąt tysięcy zwierząt. Niebo było aż czarne od sępów i smród padliny rozchodził się na trzydzieści kilometrów. Kiedy wybili bawoły, wzięli się do antylop i zebr.

— Co to za okrutna i dzika ziemia-zauważyła cicho Claudia.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie apróbujesz tego? -

spytał Sean. - Zrobili to czarni, nie biali. Nie ma w tym nic

złego. - Spojrzał na zegarek. - Czas ruszać.

Podał rękę starszemu mężczyźnie, żeby pomóc mu wstać, ale Riccardo odsunął ją. Kiedy ruszyli, Sean zajął miejsce za Ric-cardem, pozwalając Claudii iść bezpośrednio za Matatu, podczas gdy on sam starał się rozerwać jej ojca i odwrócić jego uwagę od zmęczenia.

Sean opowiadał wesoło anegdoty z czasów wojny. Pokazał miejsce, w którym znajdował się obóz partyzantów, i opisał akcję Zwiadowców Ballantyne'a. Riccardo zainteresował się do tego stopnia, że zaczął nawet zadawać pytania.

— Ten towarzysz China był chyba niezłym dowódcą - skomentował. - Dowiedziałeś się, co się z nim stało po ucieczce?

— Wiem, że działał do samego końca wojny. Naprawdę

twardy zawodnik. Jego ludzie musieli transportować amunicję w plecakach do Rodezji, a radziecka mina przeciwczołgowa T5 waży ponad trzydzieści kilo. Słyszałem jedną dobrą historię.

China przytaszczył taką minę na własnych plecach i ułożył ją na drodze Mount Darwin przeciwko jednemu z patroli wojskowych, które przejeżdżały tamtędy w wozach opancerzonych. Na nie szczęście w tym samym czasie miejscowi Murzyni wynajęli autokar, żeby pojechać na mecz piłki nożnej. Autokar wjechał na minę. W wozie było sześćdziesiąt pięć osób. Dwadzieścia trzy przeżyły eksplozję. Towarzysz China był tak rozwścieczony, że zebrał rodziny ofiar i osoby, które przeżyły, i kazał im zapłacić po dziesięć dolarów, żeby pokryć koszty następnej miny.

Riccardo aż zatrzymał się, pękając ze śmiechu, a Claudia odwróciła się do nich z wściekłą miną.

— Jak możecie się z tego śmiać? To najbardziej oburzająca

historia, jaką słyszałam.

— No nie wiem - odparł spokojnie Sean. - Nie uważam, że dziesięć dolarów to taka oburzająca cena. Moim zdaniem China okazał wyjątkową wyrozumiałość.

158

Dziewczyna podniosła wysoko podbródek i przyspieszyła kroku, żeby nadążyć za Matatu. Riccardo w dalszym ciągu chichotał.

- Co się stało po wojnie z tym facetem?

Sean wzruszył ramionami.

- Przez krótki czas był w rządzie w Harare, ale potem zniknął w czasie jednej z politycznych czystek. Może go zlikwidowano.

Starzy rewolucjoniści są zawsze podejrzani, kiedy reżim, dla którego walczyli, dorywa się do władzy. Nikt nie lubi mieć u swojego boku wyćwiczonego zabójcy i człowieka, który po magał w obaleniu poprzedniego rządu.

Sean zarządził postój godzinę przed zachodem słońca. Podczas gdy Job przygotowywał herbatę i kolację na małym ogniu, wziął na stronę Matatu i przez chwilę rozmawiał z nim ściszonego głosem. Tropiciele patrzył Seanowi w oczy, kiwając ze zrozumieniem głową, a potem pobiegł w stronę, z której właśnie przyszli.

Riccardo spojrział na Seana pytającym wzrokiem, gdy ten przysiadł się do nich.

- Poleciłem Matatu wrócić po naszych śladach. Chcę się upewnić, że nikt za nami nie podąża. Cały czas martwię się tym strzałem. Mógł zwabić bandziorów, których spotkaliśmy przy granicy.

Riccardo skinął głową i zapytał:

- Sean, mógłbyś mi dać aspirynę?

Sean otworzył boczną kieszeń plecaka, wyjął z niej opakowanie anadynu i wytrząsnął trzy tabletki na rękę.

- Ból głowy? - spytał, podając je Riccardowi.
Mężczyzna skinął głową, połknął lekarstwo i popił je gorącą herbatą.

— To ten kurz i upał - wyjaśnił, ale Sean i Claudia przyglądali mu się bardzo uważnie. Riccardo się zaczerwienił. - Nie gapcie się tak na mnie. Wszystko ze mną w porządku.

— Jasne - zgodził się gładko Sean. - Zjemy i poszukamy miejsca na nocleg. - Podeszedł do ogniska i przykucnął obok Joba. Przez chwilę rozmawiali szeptem.

— Tatusiu. - Claudia przysunęła się do ojca i dotknęła jego ramienia. - Powiedz mi, jak się czujesz, ale szczerze.

— Nie martw się o mnie, tesom.

159

— To jeszcze się nie zaczęło, prawda?

— Nie - odpowiedział szybko.

— Doktor Andrews mówił, że możesz mieć bóle głowy.

— To tylko słońce.

— Kocham cię, tatusiu.

— Wiem, kochanie. Ja ciebie też kocham.

— Ocean i góra? - zapytała.

— Gwiazdy i księżyc - odpowiedział i otoczył ją ramieniem.

Przytuliła się mocno do niego.

Gdy tylko zjedli, Job zgasił ognisko, a Sean poprowadził ich dalej. W miękkiej ziemi trop Tukuteli nie był trudny do znalezienia i na tym odcinku nie potrzebowali Matatu. Po zapadnięciu zmroku zatrzymali się na noc.

- Jutro po południu dotrzemy do mokradeł - obiecał Sean, gdy wyciągnęli się w śpiworach.

Claudia leżała nieruchomo, nie mogąc zasnąć i myśląc o ojcu. Riccardo chrapał lekko przez sen, leżąc na plecach z rozłożonymi ramionami. Kiedy podniosła się na łokciu, żeby w świetle księżyca spojrzeć na ojca, usłyszała, że oddech Seana zmienił rytm. Jej cichy ruch obudził go. Sean spał lekko jak kot i Claudia poczuła przed nim lęk.

W końcu znużenie i troska o ojca zamknęły jej oczy. Dziewczyna zapadła w głęboki sen. Spała tak mocno, że obudzenie przypominało wolny powrót z jakiegoś odległego miejsca.

- Obudź się, no, wstawaj! - Sean poklepywał ją delikatnie po twarzy.

Claudia odtrąciła jego rękę i usiadła na wpół przytomna.

- Co jest? - wymamrotała. - Jezu, przecież jeszcze ciemno.

Sean zostawił ją i podszedł do Riccarda.

— Szefie, obudź się. Wstawaj. No, obudź się, człowieku.

— Co jest, do cholery?! Głos Riccarda był chrapliwy i za spany.

— Matatu właśnie wrócił do obozu - powiedział cicho

Sean. - Ktoś nas śledzi.

Claudia poczuła ciarki przebiegające po grzbiecie.

— Śledzi? Kto?

— Nie wiemy - odparł Sean.

160

— Ta sama banda, na którą natknęliśmy się na granicy? - zapytał Riccardo. Jego głos wciąż był rozespany.

— Możliwe - zgodził się Sean.

— Co zrobimy? - zapytała Claudia, zła, że w jej stłumionym głosie słychać było strach.

- Wymkniemy się im - rzekł Sean. - No, podnoś się już.

Wszyscy spali w butach, więc musieli jedynie zwinąć śpiwory

i byli gotowi do drogi.

— Matatu was poprowadzi. Będzie też zacierał za wami ślady - powiedział Sean. - Job i ja zostawimy fałszywy trop, idąc w kierunku, w którym dotąd szliśmy. Jak tylko zrobi się jasno, rozdzielimy się i wrócimy do was.

— Nie zamierzasz chyba zostawić nas samych? - zapytała wystraszona Claudia, jednakże szybko się opanowała.

— Nie, nie będziecie sami. Matatu, Pumula i Dedan pójdą z wami - odpowiedział ze wzgardą Sean.

— A co ze słoniem? - zaniepokoił się Riccardo. Jego głos był teraz pewniejszy siebie. - Przerывasz polowanie? Chcesz pozwolić mojemu słoniowi się wymknąć?

— Z powodu kilku dupków z parszywymi AK czterdzieści siedem? - Sean zachichotał. - Nie bądź śmieszny, Szefie. Zgubimy ich i ruszymy za Tukutelą, zanim się obejrzysz.

Sean i Job poczekali, aż Matatu ustawi swoją grupę. Riccardo i Claudia opanowali już podstawy poruszania się tak, żeby nie zostawiać za sobą śladów, i szli szybko kierowani przez Matatu, który na końcu szeregu pilnował, żeby zatrzeć choćby najmniejszy odcisk butów.

Kiedy zniknęli w gąszczu drzew, Sean i Job dokładnie zdeptali wszelkie ślady po obozowisku. W końcu także ruszyli w drogę, posuwając się jeden za drugim. Sean prowadził. Starali się nie zostawiać za sobą zbyt wyraźnego tropu, żeby nie można było poznać, iż tworzą fałszywy ślad, ale przedsiębrane przez nich środki ostrożności mogły nie zmylić dobrego tropiciela.

Sean nadał od początku ostre tempo, w jakim zazwyczaj poruszali się jako żołnierze, mniej więcej dziesięć kilometrów na godzinę. Po pewnym czasie zaczął kierować się bardziej na

161

południe. Matatu poprowadził swoją grupę prosto na północ, w stronę rzeki. Sean chciał odciągnąć ściągających ich ludzi w przeciwnym kierunku.

Biegąc, zastanawiał się nad tym, kim są ich prześladowcy. Może jakiś oddział wojsk rządowych lub buntownicy, a może kłusownicy albo uzbrojeni bandyci szukający łatwego łupu? Nie miał możliwości

sprawdzić swoich podejrzeń, ale wystarczyło mu, że po powrocie do obozu Matatu był zaniepokojony.

- To dobrzy tropiciele, Bwana - powiedział. - Musieli się nieźle starać, żeby odszukać pozostawiony przez nas trop, i szybko się zbliżają. Poruszają się w formacji partyzantów z flankierami biegnącymi z przodu.

- Nie udało ci się im dokładniej przyjrzeć? - zapytał Sean.

Mały Ndorobo pokręcił głową.

— Ściemniało się już, a chciałem jak najszybciej cię ostrzec.

Oni naprawdę szybko się zbliżają.

— Nawet najlepszy tropiciel nie będzie w stanie podążać za nami w ciemności. Mamy przed sobą resztę nocy na to, żeby ich zgubić.

Biegąc przez ciemny las, Sean pomyślał ponuro, że jest to szczególne odwrócenie ról: teraz oni, myśliwi, byli ścigani równie zajadle jak tropiony przez nich słoń.

Z początku zastanawiał się, czy nie przerwać polowania i nie zawrócić. Martwił się o Riccarda, niepokoiła go także przestroga Matatu, że ich prześladowcy są wyszkoleni i niebezpieczni. Szybko jednak odsunął od siebie ten pomysł; dawno już przekroczyli granicę, zza której nie było powrotu.

- Żadnego zawracania - powiedział na głos i uśmiechnął się, gdy przyznał się przed sobą co do powodu tej decyzji: kość słoniowa i pół miliona dolarów. Tak naprawdę to nie był całkiem pewien, co jest dla niego bardziej pociągające. W jego wyobraźni ciosy rozrastały się do niesamowitych rozmiarów. Reprezentowały starą Afrykę niczym symbol czegoś wielkiego i wspaiałego, co na jego oczach odchodziło w przeszłość. Pragnął ich bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, może z wyjątkiem pół miliona dolarów. Znowu uśmiechnął się sam do siebie.

Kiedy na niebie pojawiła się zorza poranna, Job i Sean biegli prosto na południe. Od czasu rozstania z resztą grupy pokonali trzydzieści kilometrów.

— Job, najwyższy czas, żebyś zniknął - mruknął Sean, nie

zwalniając kroku. Tropiący ich ludzie nie mogli poznać, że znowu doszło do rozdzielenia grupy.

— Przed nami jest niezłe miejsce - zasugerował Job, który biegł po śladach Seana.

— Zrób to - polecił Sean.

Kiedy wbiegli pod nisko zwisające gałęzie, Murzyn schwycił się jednej z nich i podciągnął się na rękach. Sean nie obejrzał się ani nie zmienił kroku. Job przerzucał się teraz z gałęzi na gałąź, szukając jakiegoś odpowiedniego miejsca, by zeskoczyć na ziemię.

Sean przez dwadzieścia minut biegł dalej, kierując się teraz na południowy zachód, w stronę szczytu niskiego wzgórza, które rysowało się przed nim w świetle poranka. Wspiął się na wierzchołek i zgodnie z przypuszczeniem po drugiej stronie zobaczył w dolince nieduży strumyk. Zbiegł tam, napił się trochę wody na brzegu i nachlapał naokoło, jakby się kąpał.

Tropiciel miał dojść do wniosku, że tropiony wykorzystał to miejsce do zgubienia śladu, by skierować się w dół lub w górę rzeki przed wyjściem na brzeg. Ścigający ludzie powinni wysłać zwiadowców wzdłuż brzegów w obu kierunkach. Chwyając się nisko zwisających gałęzi, Sean skierował się w dół rzeki. Następnie, nie wychodząc z wody, cofnął się do miejsca, w którym wszedł do strumienia. Na brzegu starannie wytarł stopy, włożył buty, które wcześniej zawiesił na sznurówkach na szyi, i wrócił po swoich śladach.

Szedł teraz tyłem, stawiając nogi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie widniał już odcisk jego buta. Na szczycie wzgórza posłużył się tym samym trikiem co Job. Złapał się gałęzi, podciągnął na rękach i zeskoczył kilka kroków dalej na płaski kawałek skały. Następnie zaczął się wycofywać, bardzo starannie zacierając za sobą ślady.

Nawet Matatu nie rozwikłałby tej zagadki, pomyślał z satysfakcją, biegnąc prosto na pomoc.

Dwie godziny później dołączył do Joba w uprzednio umówionym miejscu. Wczesnym popołudniem dołączyli do grupy, która czekała na nich osiem kilometrów od miejsca, w którym się rozstali.

163

— Sean, dobrze cię znowu widzieć. Już martwiliśmy się o

was - przywitał go Riccardo, gdy uścisnęli sobie ręce. Nawet

Claudia się uśmiechnęła, kiedy obok niej klapnął ciężko na ziemię

i zawołał:

— Królestwo za kubek herbaty!

Popijając gorący napój przyniesiony mu przez Matatu, słuchał sprawozdania małego tropiciela. Murzyn przykucnął obok niego i mówił szybko podekscytowanym falsetem.

— Matatu wrócił i obserwował opuszczony przez nas obóz - wyjaśnił Sean pozostałym. - Nie zbliżył się zbyt, ale widział ścigających nas ludzi. Naliczył ich dwunastu. Przeszukali cały obóz i dali się złapać na zostawioną przez nas przynętę.

— Więc pozbyliśmy się ich ostatecznie? - spytał Riccardo.

— Na to wygląda - zgodził się Sean. - Jeśli przyłożymy się teraz, to mamy szansę dotrzeć do mokradel jeszcze dziś wieczorem albo jutro rano. Następnie będziemy poruszali się wzdłuż brzegu, aż znajdziemy ślad słonia. Straciliśmy jednak sporo czasu i musimy narzucić sobie ostre tempo, jeśli nie chcemy, żeby Tukutela nam uciekł. Jak samopoczucie, Szefie?

— Nigdy nie czułem się lepiej - odparł Riccardo. - Możemy iść.

Zanim jednak wyruszyli, Sean przejrzał dokładnie wszystkie plecaki. Spożyli sporą część zapasów żywności i Sean rozdzielił na nowo pozostały prowiant. Dokładając Jobowi i sobie po jakieś pięć kilogramów, zdołał zmniejszyć wagę plecaka Riccarda do dziesięciu kilogramów, a Claudii do pięciu. Dziewczyna niosła teraz jedynie śpiwór i rzeczy osobiste.

Oboje dobrze zareagowali na mniejszy ciężar, Sean jednak szedł za Riccardem, starając się zabawić go rozmową i obserwując uważnie. Claudia cały czas utrzymywała dobre tempo. Czuł, że o nianie musi się martwić. Przy prawie pustym plecaku jej krok stał się znowu sprężysty. Sean z przyjemnością przyglądał się długim, silnym nogom i małym, twardym pośladkom, które w dżinsach poruszały się na boki niczym policzki wiewiórki ziemnej gryzącej orzech.

Znajdowali się teraz na dnie doliny. Mijali olbrzymie baobaby o poskręcanych pniach, grubej korze, przypominającej skórę prehistorycznego gada, i nagich gałęziach, z których zwisały

długie strąki. Patrząc na potężne drzewa, nietrudno było się domyślić, czemu Zulusi uważali, że bogowie zasadzili baobaby korzeniami do góry.

Lekka, nieruchoma mgła przed nimi znaczyła początek moczarów. Ziemia pod nogami była piaszczysta i stopy grzęzły w niej głęboko.

- Tylko postuchaj, Szefie. - Sean usiłował zająć Riccarda, aby nie myślał o zmęczeniu. - Jesteś pewnie ostatnim mężczyzną, który poluje na słonia w tradycyjny sposób, to znaczy, podążając jego tropem. Właśnie tak powinno wyglądać polowanie.

Żadne tam gonienie zwierzęcia land-roverem, by strzelić przez okno. Tak polowali Selous i "Karamojo" Bell, i "Saraaki" Salmon.

Sean spostrzegł, że Riccardo aż zarumienił się na porównanie go z wielkimi mistrzami polowania, myśliwymi z zupełnie innej epoki, kiedy w Afryce żyło jeszcze mnóstwo słoni. W czasach gdy obowiązywała zupełnie odmienna moralność, "Sarnaki" Salmon upolował cztery tysiące słoni. W dzisiejszych czasach zostałby uznany za wyjątkowo bezlitosnego przestępcę, ale w tamtym okresie był podziwiany jako bohater i powszechnie szanowany. Nawet sam Edward, książę Walii, był jego klientem na polowaniu.

Sean wiedział, że Riccardo interesuje się opowieściami o dawnych mistrzach polowania, zatem kontynuował temat.

— Szefie, jeśli chcesz polować jak "Karamojo" Bell, to musisz podążać za słoniem. Bell potrafił schodzić dwadzieścia cztery pary butów rocznie i co kilka tygodni musiał zmieniać tropicieli, którzy zwyczajnie nie mogli dotrzymać mu kroku.

— To był złoty wiek myślistwa. - Riccardo przyspieszył nieco kroku, myśląc o swoich poprzednikach. - Sean, ty i ja powinniśmy żyć w tamtych czasach. Naszym problemem jest to, że za późno się urodziliśmy.

— Prawdziwy myśliwy powinien zachodzić słonia na śmierć. To jedyny szacowny sposób polowania i właśnie teraz to robimy. Szefie, ciesz się każdym krokiem, gdyż podążasz drogą wielkiego Bella.

Niestety, efekt zachęty nie był długotrwały. Po godzinie marszu Riccardo znowu powłóczył nogami, poruszając się chwiejnie. W pewnej chwili potknął się i byłby upadł, gdyby Sean go nie podtrzymał.

165

- Chyba wszyscy potrzebujemy pięciu minut odpoczynku

i kubka herbaty. - Sean zaprowadził Riccardoa w cień.

Kiedy Job podał im kubki, Riccardo spytał cicho:

— Sean, możesz mi dać jeszcze kilka aspiryn?

— Szefie, na pewno dobrze się czujesz? - zapytał z troską, podając mu tabletki.

— To tylko ten cholerny ból głowy, nic więcej - odparł

Riccardo, lecz nie spojrzał mu w oczy.

Sean odwrócił się do Claudii, ale i ona unikała jego spojrzenia.

— Czy wiecie może coś, o czym ja nie mam pojęcia? -

zapytał. - Oboje wyglądacie, jakbyście coś zbroili. - Nie

czekając na odpowiedź, wstał i podszedł do Joba, który nad

małym ogniem piekł placki kukurydziane na wieczorny posiłek.

— Aspiryna powinna ci pomóc, tatusiu - zauważyła szeptem

Claudia.

— Jasne, aspiryna jest najlepszym lekarstwem na raka, który

dotarł już do mózgu - zgodził się Riccardo, ale kiedy zobaczył

jej żalosne spojrzenie, szybko dodał: - Przepraszam. Nie wiem,

czemu to powiedziałem. Rozczulanie się nad sobą nie leży

w moim zwyczaju.

— Czy dobrze się czujesz, tatusiu?

— Mogę znieść ból głowy, jednakże od czasu do czasu widzę

wszystko podwójnie, i to mnie martwi - przyznał Riccardo. -

Cholera, jeszcze kilka dni temu czułem się wyśmienicie. Wszyst

ko dzieje się tak nagle.

— To z wysiłku - zasugerowała Claudia. - Na pewno zmęczenie wywołało ten stan. Uważam, że powinniśmy zawrócić.

— Nie - odpowiedział tonem ucinającym dalszą dyskusję. -

Nawet nie chcę o tym słyszeć. - Claudia pochyliła lekko głowę, zgadzając się z jego poleceniem.

— Jesteśmy już blisko mokradeł. Może moglibyśmy nieco odpocząć? - zaproponowała.

— Nie chcę odpoczywać - sprzeciwił się ojciec. - Coraz lepiej zdaję sobie sprawę, jak mało czasu mi zostało, i nie chcę marnować ani minuty.

Sean wrócił do nich.

- Gotowi do drogi?

Claudia spojrzała na zegarek. Nie odpoczywali nawet pół

166

godziny. Czuła, że to za mało, i już miała zaprotestować, gdy ojciec podniósł się z ziemi.

- Jasne - powiedział.

Claudia pomyślała, że nawet ten krótki odpoczynek pomógł ojcu. Maszerowali jednak zaledwie kilka minut, gdy Riccardo odezwał się pogodnym tonem:

— Te hamburgery, które Job przygotował na kolację, pachną wspaniale. Już czuję, jak mi leci ślinka do ust.

— Te hamburgery to placki kukurydziane. - Sean zachichotał. - Przykro mi, że cię rozczarowałem, Szefie.

— Nie nabierzesz mnie - odparł ze śmiechem Riccardo. -

Czuję wyraźnie smażoną cebulę i polędwicę.

— Tato. - Claudia obejrzała się na ojca i zmarszczyła brwi.

Riccardo przestał się śmiać i wyglądał na zmieszanego.

"Mogą wystąpić halucynacje - ostrzegł Claudię doktor Andrews. - Riccardo może mieć przywidzenia albo czuć najróżniejsze zapachy. Oczywiście, nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie, jak choroba będzie się rozwijała. Mogą pojawić niespodziewane okresy znacznego pogorszenia, po których nastąpi znaczna poprawa. Claudio, musisz zawsze pamiętać, że dla ojca urojenia będą bardzo realne i będą się przeplatać z zupełnie jasnym myśleniem".

Tego wieczoru Sean nie zarządził postoju na herbatę.

— Musimy postarać się nadrobić stracony czas - oświadczył.

Kolację składającą się z placków kukurydzianych i pasków

suszonego mięsa zjedli w czasie marszu.

— Jeden hamburger ze smażoną cebulą i dodatkami dla

Szefa - zażartował Sean.

Claudia natychmiast posłała mu wściekłe spojrzenie, ale Riccardo roześmiał się niewyraźnie i zjadł podany mu mało apetyczny posiłek.

Nie musieli obecnie trzymać się tropu słońca, więc Sean prowadził grupę jeszcze długo po zachodzie słońca. Zostawiali za sobą kilometr za kilometrem, a nad ich głowami skrzyło się rozgwieżdżone południowe niebo. Zbliżała się pomoc, gdy zatrzymali się na nocleg i mogli ułożyć się w śpiworach.

Sean pozwolił im spać do samego świtu, kiedy było dosyć światła, żeby podjąć marsz. Po obudzeniu się zobaczyli, że

167

krajobraz wokół nich się zmienił. W nocy weszli na obszar wielkiej rzeki Zambezi. Znajdowali się na rozległej równinie zatapianej za każdym razem, gdy w porze deszczowej rzeka występowała z brzegów. Równina była teraz sucha i niemal zupełnie pozbawiona drzew; jedynie kilka martwych ciernistych akacji zniszczonych przez powódź wyciągało ku bezchmurnemu niebu gałęzie, stojąc na pustej równinie niczym samotni wartownicy.

Pod stopami maszerujących wyschnięty muł pękał na nieduże kostki, których brzegi zawijały się ku górze. Kępki bagiennej brązowej trawy były martwe po długiej suszy. Delikatny wietrzyk zmienił kierunek i przyniósł ze sobą zapach ukrytych za horyzontem mokradeł: stęchły smród mułu i gnijącej roślinności.

Nad równiną unosił się migotliwy miraż, przez który nie można było dojrzeć horyzontu; ziemia i niebo złączyły się w jedną wodnistą substancję. Za nimi ciemna linia lasu ciągnęła się niczym olbrzymi wąż, który zdawał się pełznąć przed siebie w upale uwięzionym pod mlecznym niebem. Tumany kurzu wirowały i wznosiły się nad ziemią, kiwając się na boki niczym niesamowici tancerze.

Na rozległym otwartym terenie Sean czuł się wyjątkowo nieosłonięty i wystawiony na strzał. Nie można było wykluczyć, że gdzieś w pobliżu kręci się oddział Frelimo szukający partyzantów Renamo, a

oni byli widoczni z daleka jak pchły na białym prześcieradle. Sean najchętniej przyspieszyłby kroku, ale wystarczyło jedno spojrzenie na Riccarda, żeby się zorientować, iż wkrótce będą musieli zatrzymać się na odpoczynek.

Idący przed nimi Matatu wydał okrzyk, który zaalarmował wszystkich. Sean wiedział, co oznacza. Minąwszy Claudię, podbiegł do przodu i zatrzymał się przy Matatu.

— Nieźle! - Poklepał tropiciela po ramieniu i przyklęknął na kolanie, żeby przyjrzeć się ziemi.

— Co to jest? - Riccardo wydawał się zaniepokojony, ale Sean odwrócił się ku niemu z uśmiechem na twarzy.

— To on. Tukatela. Przecieliśmy jego trop dokładnie w miejscu, w którym Matatu powiedział, że go znajdziemy. - Dotknął palcem śladu olbrzymich stóp, których ciężar rozgniótł wyschnięty muł na drobny pył. Trop był tak wyraźny, że już na pierwszy rzut oka można było rozróżnić ślady przednich i tylnych stóp.

168

Widać było również delikatne odciski palców i paznokci. - Kieruje się prosto ku bagnom. - Sean wstał. Ostonił oczy przed słonecznym blaskiem, żeby spojrzeć w stronę, w którą wędrował słoń. Na horyzoncie rozciągała się linia drzew, ku którym sięgała wstążka wyższego terenu. - Można powiedzieć, że mamy szczęście - zauważył, - Jeszcze kilka lat temu żyło tu tyle bawołów i innych zwierząt, że trop Tukateli nie przetrwałby nawet kilku godzin, zostałby zdeptany. Teraz, kiedy rząd Frelimo przetworzył bydło na zapasy dla armii, stary słoń jest jedynym zwierzęciem w promieniu wielu kilometrów.

— Jak daleko za nim jesteśmy?

— Trochę nadrobiliśmy stracony czas. - Sean opuścił rękę i odwrócił się do Riccarda. - Niestety, tylko trochę i jeśli jakieś podejrzane typki dorwą nas na tym terenie... Na szczęście ślad Tukateli biegnie prosto ku drzewom przed nami, co zapewni nam świetną osłonę. - Dał znak Matatu, żeby podjął tropienie zwierzęcia.

Rozległa równina była pokryta wieloma starymi kopcami termitów, niektóre wielkości dużych domków. Trop słonia skręcał pomiędzy nimi, kierując się ku lasowi, w którym mogli już rozpoznać pojedyncze drzewa. Ciągący się od jego krawędzi pas wyższego gruntu tworzył naturalną groblę biegnącą przez równinę ku mokradłom. Las składał się z palm orzechowych, palm o pniach przypominających butelki i palm ilala o gałęziach przypominających wachlarze, wśród których rosły dzikie figi, a wzdłuż wysokiej ścieżki masywne baobaby o korze koloru słoniowej skóry.

Sean z ulgą wszedł za tropem słonia pomiędzy drzewa. Tu-kutela zatrzymał się w tym miejscu na odpoczynek i wykopał soczyste korzenie kilku palm ilala. Nieopodal drzew znaleźli wysoką, żółtą stertę słoniowych odchodów.

- Słoń odpoczywał tutaj - wyjaśnił Matatu, zniżając głos do szeptu. - Jest już stary i łatwo się męczy. Spał w tym miejscu, zobaczcie, jak suwał nogami w czasie snu, a kiedy się obudził, posypał ciało piaskiem. O, w tym miejscu zbierał piach trąbą i posypywał sobie nim grzbiet.

- Jak długo zbierał siły? - zapytał Sean.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Matatu pochylił lekko głowę w bok.

169

- Odpoczywał tu jeszcze wczoraj po południu, gdy słońce było w tym miejscu. - Matatu wskazał dziesięć stopni nad zachodnim horyzontem. - Kiedy ruszył w dalszą drogę, szedł już wolniej. Teraz gdy jest niedaleko mokradła, czuje się bez pieczniejszego. Zbliżyliśmy się do niego znacznie.

Sean wyolbrzymił nieco opinię Matatu, gdy przekazał ją Riccardowi i Claudii. Chciał dodać im nieco otuchy.

- Teraz naprawdę szybko się do niego zbliżamy - przybrał pogodny i pewny siebie ton. - Może nawet uda nam się go dopaść, zanim przedrze się głębiej na mokradła. Nie możemy jednak tracić czasu.

Trop prowadził wzdłuż przesmyku. Tukutela pożywiał się często, idąc w stronę bagien szczytem wysokiej ścieżki, gdzie było więcej roślinności. Dokładnie na wprost nich rósł kolejny olbrzymi baobab o szarej, pofałdowanej korze niczym skóra na bokach stonia.

Sean przeszedł teraz na pozycję za Matatu. Chciał przestrzec tropiciela, żeby nie nadawał zbyt ostrego tempa, ale zanim zdążył się odezwać, dobiegł go stłumiony okrzyk i Sean obrócił się gwałtownie na pięcie.

Riccardo miał twarz spuchniętą i czerwoną od nabiegłej krwi, a zamglone oczy zdawały się wyskakiwać z oczodołów. Przez chwilę Sean myślał, że to jakiś atak, ale ręka mężczyzny wskazywała przed siebie, trzęsąc się silnie z emocji.

- Tam jest! - krzyknął grubym, ochrypłym i nienaturalnym głosem. - Na litość boską, nie widzicie go?!

Sean odwrócił się i spojrzał we wskazanym kierunku.

- Co takiego, człowieku? - zapytał.

Patrzył przed siebie i nie widział, jak Riccardo obraca się do Pumuli i zrywa mu rigby z ramienia. Usłyszał jednak metaliczny odgłos zamykanej komory strzelby.

- Szefie, co robisz?! - Sean sięgnął, żeby powstrzymać Riccardo, ale ten silnie go odepchnął. Sean nie był na to przygotowany, potknął się i niemal upadł na ziemię.

Riccardo podbiegł kilka kroków do przodu, zatrzymał się i uniósł broń.

- Nie strzelaj, Szefie! - Sean rzucił się do przodu, lecz Riccardo pociągnął już za spust. Lufa strzelby podskoczyła do

170

góry, a kolba kopnęła go w ramię, odrzucając krok do tyłu. - Oszalałeś?! - Zanim Sean zdołał go powstrzymać, Riccardo wystrzelił ponownie i ciężki pocisk wyrwał strzęp przepelnionej żywicą kory z pnia baobabu. Echa strzałów przetaczały się nad równiną. - Szefie! - Sean dopadł go i chwycił za strzelbę, podrywając lufę ku górze, gdy Riccardo po raz trzeci pociągał za spust. Sean wyrwał mu broń z ręki. - Rany boskie, człowieku, co ty wyrabiasz?!

Uszy wszystkich przeszyły ryczące wystrzały i wściekły głos Seana wydawał się zduszony i pusty.

— Tukutela - odpowiedział Riccardo. - Nie widzisz go?

Dlaczego mnie powstrzymałeś? - Twarz miał nabiegłą krwią,

a ciało drżało jak w wysokiej gorączce. Sięgnął po broń, ale Sean cofnął rękę.

— Opanuj się! - huknął na niego i rzucił strzelbę Jobowi. -

Uważaj, żeby znowu jej nie dostał! - zawołał, odwracając się do Riccarda. - Zupełnie ci odbiło czy co? - Złapał go za ramię. - Odgłos strzałów rozejdzie się na wiele kilometrów.

— Zostaw mnie! - Riccardo wrywał się z uścisku. - Nie widzisz go?

Sean potrząsnął nim gwałtownie.

— Uspokój się, do cholery. Strzelałeś do drzewa! Jesteś zupełnym wariatem!

— Daj mi strzelbę - prosił Riccardo.

Sean znowu nim potrząsnął i obrócił szorstko w stronę baobabu.

- Spójrz tylko, ty cholerny kretynie! To jest twój słoń! -

Pchnął go w kierunku drzewa. - Przyjrzyj mu się!

Podbiegła Claudia i starała się powstrzymać Seana.

— Zostaw go w spokoju! Nie widzisz, że jest chory?

— On zupełnie oszalał! - Sean odepchnął dziewczynę. -

Zaalarmował wszystkich łobuzów z Frelimo i Renamo w promieniu stu kilometrów...

— Zostaw go! - Claudia rzuciła się na niego z pięściami.

Sean puścił Riccarda i cofnął się o krok.

— Nie ma sprawy, kotku, jest twój.

Claudia podbiegła do ojca i mocno go objęła.

- Wszystko w porządku, tatusiu! Wszystko będzie w porządku!

Riccardo patrzył, nic nie rozumiejąc, na głębokie rany w korze drzewa, z których wypływała żywica.

— Myślałem, że to... - Potrząsnął głową. - Dlaczego to zrobiłem? Nie wiem... Myślałem, że to słoń.

— Tak, tatusiu. - Claudia tuliła go do siebie. - Nie przejmuj się tym.

Job i reszta grupy stali w milczeniu. Ze zmartwieniem przyglądali się dziwnemu zachowaniu Riccardo, nie byli w stanie tego pojąć. Sean odwrócił się z wyraźną niechęcią. Potrzebował kilku sekund, żeby się opanować.

— Myślisz, że Tuketela mógł usłyszeć strzały? - zwrócił się do Matatu.

— Bagna są blisko, a każdy odgłos niesie się nad płaskim terenem jak nad wodą. - Matatu wzruszył ramionami. - Może słoń słyszał, kto to może wiedzieć?

Sean spojrzął w stronę, z której przyszli. Z grzbietu ścieżki widać było równinę Zambezi aż po zasłonięty przez kurz horyzont.

— Job, jest możliwe, że strzelaninę słyszały idące za nami dupki?

— Sean, dowiemy się z obrotu rzeczy. To zależy od tego, czy są blisko nas.

Sean otrząsnął się z gniewu w ten sam sposób, w jaki spaniel otrząsa się z wody.

- Odpoczniemy tutaj. Mambo jest chory. Zrób herbatę. Za stanowimy się, co robić dalej - polecił.

Podszedł do Claudii, która wciąż trzymała ojca w objęciach. Teraz zasłoniła go własnym ciałem przed Seanem.

— Szefie, przepraszam, że się tak na ciebie wkurzyłem - powiedział spokojnie. - Porządnie mnie wystraszyłeś.

— Nic nie rozumiem - wymamrotał Riccardo. - Mógłbym

przysiąc, że to on. Widziałem go tak wyraźnie.

— Robimy postój na herbatę - rzekł Sean. - Myślę, że to od słońca. W taki upał może człowiekowi wypalić mózg.

— Za kilka minut będzie w porządku - powiedziała pewnym tonem Claudia.

Sean chłodno skinął głową.

- Posadźmy go w cieniu.

172

Riccardo oparł się o pień baobabu i zamknął oczy. Był blady. Wyglądał na zaszokowanego własnym postępkim; na brodzie i górnej wardze było widać kilka kropelek potu. Claudia przykucnęła przy ojcu i otarła je końcem chustki, ale kiedy spojrzała na Seana, ten przywołał ją ruchem głowy. Dziewczyna wstała i poszła za nim.

- Widzę, że to cię wcale nie zdziwiło - rzucił oskarżycielskim tonem, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu. Nie odpowiedziała mu, więc mówił dalej: - Co z ciebie za córka?

Wiedziałaś, że ojciec źle się czuje, i pozwoliłaś mu na tę wyprawę.

Usta Claudii mocno drżały, a kiedy Sean spojrzał jej w oczy, zobaczył, że są pełne łez. Nie spodziewał się tego po niej. Czuł, jak wściekłość powoli go opuszcza. Musiał się wysilić, żeby nadać swojemu głosowi stanowcze brzmienie.

— Trochę za późno, żeby się teraz rozczulać, kotku. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby odtransportować go do domu.

— Ojciec nie jedzie do domu - powiedziała tak cicho, że ledwie dosłyszał jej słowa. Lśniące łzy wisały jej na rzęsach.

Patrzył na nie w milczeniu. Claudia przełknęła ślinę. - Sean, on nie jest chory. On umiera. To rak. Został rozpoznany przez lekarza, zanim ojciec tu przyleciał. Doktor przewidywał, że choroba może zaatakować mózg.

Gniew Seana zniknął jak zdmuchnięty.

— Nie - szepnął. - Nie Szef.

— Jak myślisz, dlaczego zgodziłam się, żeby poszedł na to polowanie, i postanowiłam, że będę mu towarzyszyć? Wiedziałam dobrze, że to jego ostatnie polowanie... i chcę być z nim do samego końca.

Stali w milczeniu, patrząc na siebie. Wreszcie Claudia przerwała ciszę.

— Troszczysz się o niego. Naprawdę ci na nim zależy. Nie spodziewałam się tego po tobie.

— Jest moim przyjacielem - odparł Sean zdziwiony głębią swojego smutku.

— Nie podejrzewałam, że jesteś zdolny do takich uczuć - dodała cicho. - Chyba pomyliłam się co do ciebie.

— Może oboje pomyliliśmy się co do siebie - rzekł Sean i Claudia skinęła głową.

173

- Może i tak - zgodziła się. - W każdym razie dziękuję ci. Dziękuję ci za to, że troszczysz się o mojego ojca.

Zrobiła ruch, jakby chciała się odwrócić, lecz Sean ją powstrzymał.

— Nie podjęliśmy jeszcze decyzji - powiedział. - Co mamy dalej robić.

— Oczywiście idziemy naprzód - odparła. - Aż do samego końca. Obiecałam mu to.

— Masz charakter - rzucił Sean.

- Jeśli tak, to mam go po nim - odrzekła i wróciła do ojca.

Kubek herbaty oraz kilka tabletek aspiryny ożywiły Riccarda.

Znowu mówił i zachowywał się zupełnie racjonalnie. Nikt nie wspominał o jego szaleńczym postępku, chociaż wszystkich poruszył.

- Szefie, musimy ruszać w drogę - oznajmił Sean. -

Tukutela oddala się od nas z każdą minutą, gdy my siedzimy.

Szli wzdłuż wysokiego wzniesienia. Zapach mokradeł był coraz silniejszy, przywiewany zmiennym wiatrem.

- To jeden z powodów, dla których Tukutela tak lubi mo

czary - wyjaśnił Sean. - Wiatr tutaj jest bardzo zmienny

i trudno jest podejść słońca.

Nagle pomiędzy drzewami pojawiła się wolna przestrzeń. Sean zatrzymał się i wszyscy patrzyli na rozciągający się dalej teren.

- Oto i one - oznajmił Sean. - Wielkie mokradła Zambezi.

Ścieżka, na której stali, ciągnęła się przez otwartą równinę

niczym olbrzymi wąż morski i znikła w miejscu, gdzie równina przechodziła w ciągnące się po horyzont papirusy i zarośla.

Sean podniósł do oczu lornetkę i przyjrzał się moczarom. Wydawało się, że przed nimi są jedynie trzciny, ale Sean leciał nad bagnami i wiedział, że są tu także płytkie laguny i wąskie kanały pomiędzy zaroślami. Dalej, tuż przed horyzontem widać było szereg małych wysepek, ciemne plamy porośniętej gęstą roślinnością ziemi, nad którą wystawały cienkie pnie wysokich palm z kłębiastymi koronami.

Ostatni sezon okazał się wyjątkowo suchy, toteż poziom wody był bardzo niski, w wielu miejscach sięgający zapewne do pasa, ale kanały musiały być znacznie głębsze, wypełnione czarnym mułem. Czekająca ich ciężka droga; każdy krok w mule i wodzie

174

będzie powstrzymywany przez trzciny i inne rośliny wodne, które czepiając się nóg, będą utrudniać marsz.

Dla ludzi każdy kilometr na moczarach to tyle co pięć na suchym lądzie, podczas gdy słoń znajdował się w swoim żywiole. Słonie uwielbiają błoto i wodę, która podtrzymuje ich wielkie cielska. Stopy zwierzęcia, rozszerzając się przy każdym kroku, gdy przenosi na nie ciężar, zostawiają w mule szerokie otwory, z których łatwo wyciąga nogi, gdyż te kurczą się lekko, gdy je podnosi.

Tukutela mógł żywić się trzcinami, miękkimi roślinami wodnymi i trawą bagienną, a gęsto zarośnięte wysepki oferowały mu urozmaicone pożywienie. Chlupot wody i bulgotanie mułu, a także wiatr nieustannie zmieniający kierunek ostrzegą słońca o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Ze wszystkich terenów, jakie przemierzał Tukutela, moczary były najtrudniejsze do polowania.

- Szefie, to będzie niedzielna przechadzka po parku. - Sean

zniżył lornetkę. - Możesz myśleć o ciosach, jakbyś już je miał u siebie w domu nad kominkiem.

Ślad słonia prowadził do krawędzi ścieżki i brzegu papirusów, gdzie pochłaniało go zielone morze trzcin.

— Nikt nie pójdzie po śladach przez te moczary. - Riccardo stał w miejscu, gdzie kończyła się sucha ziemia i zaczynało błoto. - Nikt tam nie znajdzie Tukuteli - dodał, patrząc na ścianę trzcin, która sięgała mu nad głowę. - Z pewnością nikt tego nie dokona.

— Masz rację, nikt go tam nie znajdzie - zgodził się z nim

Sean. - Nikt poza Matatu.

Stali wśród szczątków wioski, którą zbudowano nad samymi moczarami. Jej mieszkańcy musieli być rybakami jednego z licznych małych plemion żyjących nad brzegami Zambezi i utrzymujących się z rybołówstwa. Z wioski pozostały jedynie szkielety konstrukcji, na których suszono złowione ryby, wszystkie chaty były doszczętnie spalone.

Job, przeszukując obrzeża wioski, zagwizdał na Seana. Kiedy ten zbliżył się do niego, zobaczył, że Job przygląda się jakiemuś przedmiotowi leżącemu w niskiej trawie. Na pierwszy rzut oka przypominał kupę szmat, ale przyjrawszy się lepiej, Sean dojrzał wystające spod materiału kości. Szkielet był częściowo pokryty wysuszoną skórą.

175

— Jak długo? - zapytał Sean.

— Jakies pół roku.

— Jak zginął?

Job przykucnął. Kiedy ruszył czaszką, oderwała się od kręgosłupa niczym dojrzały owoc. Wziął ją w rękę i uśmiechnęła się do niego pustymi oczodołami.

- Kula z tyłu głowy - rzekł Job. - Dziura wylotowa z tej strony. - Otwór wyglądał niczym trzecie oko pośrodku czoła.

Odłożył czaszkę na ziemię i wszedł głębiej w trawę.

— Tu jest następny! - zawołał.

— Pewnie ludzie Renamo tu byli - zawyrokował Sean. -

Szukali rekrutów lub suszonych ryb albo jednego i drugiego.

— A może to Frelimo. Może szukali partyzantów Renamo i postanowili przepytac mieszkańców z AK czterdzieści siedem przystawionym do głowy.

— Biedni dranie - powiedział Sean. - Zawsze obrywają z obu stron. Założę się, że wokół wioski leży ich dużo więcej.

To ci, którym udało się uciec z płonących chat.

Wrócili do zrujnowanych zabudowań i Sean wpadł na pewien pomysł.

- Jeśli byli rybakami, to powinni mieć gdzieś czółna. Pewnie je schowali. Przydałoby nam się jedno. Rozejrzyj się wśród papirusów, a potem zobacz jeszcze w lesie za wioską.

Sean podszedł do siedzących na ziemi Riccarda i Claudii. Zbliżając się do nich, posłał dziewczynie pytające spojrzenie, na co skinęła głową i uśmiechnęła się optymistycznie.

- Tatuś czuje się bardzo dobrze. Co to za miejsce?

Sean podzielił się z nią podejrzeniami co do losu mieszkańców wioski.

— Dlaczego ktoś miałby zabijać niewinnych ludzi? - Claudia była zaszokowana.

— Obecnie w Afryce poza karabinem w ręku i chęcią pociągnięcia za spust nie trzeba mieć specjalnych powodów, żeby kogoś zabić.

— Ale czym oni mogli komukolwiek zaszkodzić? - Claudia nie dawała za wygraną.

Sean wzruszył ramionami.

- Ukrywali buntowników, nie chcieli udzielić informacji,

176

schowali żywność, odmawiali użyczenia swoich kobiet; mogli popełnić którekolwiek z tych przestępstw albo żadne.

W mgiełce unoszącej się nad moczarami słońce wyglądało niczym olbrzymia kula ognia i wisało tak nisko nad papirusami, że Sean mógł patrzeć na nie bez mrużenia oczu.

- Będzie już ciemno, zanim przygotujemy się do drogi - powiedział. - Przenocujemy tutaj i wyruszymy jutro o pierwszym brzasku. Ważne jest to, że Tukutela dostał się już na mokradła i będzie się poruszał znacznie wolniej. Podejrzewam, że jest teraz kilka kilometrów przed nami. - Mówiąc to, przypomniał sobie o strzałach Riccarda. Jeśli słoń je usłyszał, to nadal będzie uciekał. Sean postanowił nie mówić o tym przyjacielowi. Mężczyzna i tak wyglądał na wymęczonego i roztrzęsionego. Od czasu wypadku z baobabem niemal wcale się nie odzywał.

To tylko cień starego Szefa, którego znałem. Jedyne, co mogę jeszcze dla niego zrobić, to doprowadzić do tego słonia. Współczucie Seana było szczere. Usiadł obok przyjaciela i starał się wciągnąć go do rozmowy, opisując mu czekającą ich wyprawę i sposób, w jaki będą polowali na słonia wśród papirusów.

Polowanie było jedyną rzeczą, jaka jeszcze interesowała Riccarda. Pierwszy raz tego dnia ożywił się nieco, a raz nawet się roześmiał.

Claudia posłała Seanowi wdzięczny uśmiech, a następnie wstała.

— Mam pilną sprawę do załatwienia - powiedziała.

— Dokąd idziesz? - zapytał natychmiast Sean.

— Do pokoju małych dziewczynek - odparła - i z pewnością cię nie jesteś zaproszony.

— Nie oddalaj się za bardzo i żadnego pływania tym razem - przestrzegł ją. - Jutro będziesz miała aż nadto wody.

— Słyszę cię i jestem posłuszna, o wielki, biały Bwana. -

Uśmiechnęła się sarkastycznie i wyszła poza obrzeże spalonej wioski. Sean przyglądał się jej troskliwym wzrokiem. Miał już przestrzec ją ponownie, gdy dobiegł go krzyk z gąszczy papi

rusów.

Zerwał się na równe nogi.

- Co jest, Job?! - odkrzyknął i podszedł do wody.

177

Z gęstych trzciny dobiegły go kolejne zawołania i plusk, a po chwili zobaczył Joba z Matatu ciągnących jakiś duży ciemny, pełen wody przedmiot.

- Nareszcie życzliwość losu. - Sean uśmiechnął się do

Riccarda i poklepał go po ramieniu.

Było to tradycyjne mokorro, drugie na jakieś pięć metrów czółno zrobione z jednego pnia drzewa kigelia africana. Dłubanka była dostatecznie szeroka, żeby mógł w niej usiąść dorosły człowiek.

Job wylał wodę z czółna, po czym razem z Seanem obejrzeni je dokładnie. Kadłub nosił ślady napraw i w kilku miejscach był popękany, ale wydawał się mocny i wytrzymały.

- Przeszukaj wioskę - polecił Sean. - Muszą mieć gdzieś

materiał uszczelniający. Jeśli go znajdziesz, to poleć Pumuli

i Dedanowi wyciąć kilka żerdzi.

W tej chwili dobiegł ich krzyk Claudii. Obaj obrócili się w stronę, skąd dobiegło wołanie. Dziewczyna znówu krzyknęła, a jej głos zdawał się dziwnie zduszony. Sean rzucił się biegiem, łapiąc po drodze strzelbę, którą wcześniej oparł o spaloną chatę.

- Claudia! - zawołał. - Gdzie jesteś?!

Odpowiedziało mu jedynie echo: Gdzie jesteś... jesteś?

Kiedy Claudia wstała i zapięła pasek, stwierdziła, że udało się jej przesunąć go o dwie dziurki dalej niż zazwyczaj. Spojrzała z aprobującym uśmiechem na swój brzuch. Teraz był nie tylko płaski, ale wręcz wklęsły. Długi marsz i małe racje żywnościowe pozwoliły jej zrzucić ostatnie gramy tłuszczu.

Dziwne, że w wieku wyjątkowego dostatku musimy się tak głodzić. Uśmiechnęła się ponownie. Po powrocie do domu muszę szybko nadrobić kilka straconych kilogramów. Sporo spaghetti i czerwonego wina.

Ruszyła w stronę wioski, ale po chwili zorientowała się, że w poszukiwaniu ustronnego miejsca oddaliła się bardziej, niż zamierzała, i że na jej drodze wyrasta gęsty zagajnik ciernistych krzaków. Skrzyła w bok, żeby go ominąć, i wyszła na szeroką ścieżkę prowadzącą przez las prosto do mokradeł. Z ulgą ruszyła nią szybszym krokiem.

178

Nie wiedziała, że wyszła na jedną ze ścieżek hipopotamów, którą wielkie ssaki wykorzystywały w czasie nocnych wędrówek po lesie. Z drogi tej jednak nikt nie korzystał od wielu miesięcy. Zamieszkujące tę okolicę hipopotamy zostały zdziesiątkowane wraz z innymi zwierzętami. Claudia spieszyła się, żeby jak najszybciej wrócić do ojca, a poza tym czuła się trochę nieswojo w nieznanym lesie. Szła coraz szybciej, siłą woli powstrzymując się, żeby nie biec.

Przed nią w poprzek drogi rozpościerała się szeroka mata uschniętych papirusów. Została tu najwidoczniej umieszczona przez mieszkańców wioski, a ponieważ Claudia nie miała pojęcia, jakiemu celowi mogła służyć, nie stanowiła dla niej żadnej przeszkody. Weszła na nią z rozbiegu.

Dół był pułapką na hipopotama. Dziura w ziemi miała trzy metry głębokości i kształt leja, aby uwięzić ciężkie zwierzę między zwięzającymi się ścianami. Otwór został przykryty rusztowaniem z gałęzi, które nie powinno załamać się pod człowiekiem czy zwierzęciem podobnej wielkości. Na wierzchu konstrukcji budowniczy rozłożyli liście papirusu.

Na nieszczęście pułapkę zrobiono wiele miesięcy temu. Zarówno gałęzie, jak i liście zdążyły już przegnić. Kiedy Claudia na nie wbiegła, załamały się i dziewczyna zdążyła jedynie krzyknąć, zanim runęła w dół, objając się na stromej ścianie. Dno dołu było wypełnione kilkucentymetrową warstwą stęchłej wody, która przedostała się przez liście. Dziewczyna upadła na ziemię zjedną nogą podwinętą pod siebie i przetoczyła się na plecy.

Siła uderzenia pozbawiła ją oddechu, a w kolanie poczuła okropny ból. Przez kilka minut nie miała siły odpowiedzieć na stłumione zawołania, jakie dochodziły z lasu. Usiadła, przyciskając zranione kolano do piersi i oddychając ciężko. Wreszcie udało jej się krzyknąć:

— Tutaj! Tu jestem!

— Wszystko w porządku? - W otworze pojawiła się głowa

Seana.

— Chyba tak! - Spróbowała wstać, ale ból przeszył jej nogę

i opadła na ziemię. - Moje kolano - jęknęła.

— Poczekaj. Już schodzę. - Głowa zniknęła. Usłyszała nad

sobą głosy. Job, Matatu i jej ojciec. Następnie na dół spadła

179

nylonowa linka. Sean opuścił się po niej zręcznie i zeskoczył w błoto obok dziewczyny.

— Tak mi przykro - powiedziała głosem pełnym skruchy. -

Chyba znowu zrobiłam jakieś głupstwo.

— Nie przepraszaj. - Sean uśmiechnął się do niej. - Nie

jestem do tego przyzwyczajony. Zresztą tym razem to nie twoja wina. Pozwól, że obejrzę nogę.

Ukucnął obok niej.

— Spróbuj poruszyć stopą. Świetnie! Możesz zgiąć kolano?

Bardzo dobrze! Przynajmniej nie złamałaś kości. To już coś.

Zaraz cię wydostaniemy z tej dziury. - Zawiązał pętlę na końcu linki i przełożył ją przez głowę i ramiona dziewczyny, a następnie umocował pod pachami.

— Dobra, Job! - zawołał. - Ciągnij do góry. Ale ostrożnie, człowieku.

Gdy tylko wydostali się na powierzchnię, Sean uważnie obejrzał jej kolano.

Podciągnął nogawkę i zaklął:

- Cholera!

Jako dowódca oddziału Zwiadowców Ballantyne'a Sean znał się doskonale na wszelkiego rodzaju urazach, jakich może doznać spadochroniarz: złamanych kościach, pękniętych chrząstkach i naderwanych ścięgnach w kolanie i kostce. Kolano Claudii zdążyło już porządnie spuchnąć, a skórę zabarwił czerwony siniak.

— To może trochę boleć - ostrzegł Claudię i delikatnie obrócił jej nogę.

— Auuu! -jęknęła. - To boli!

— W porządku - skinął głową. - To więzadło kolanowe.

Nie sądzę, żebyś je naderwała, gdyż wtedy ból byłby znacznie większy. Prawdopodobnie tylko je naciągnęłaś.

— Co to oznacza? - zapytała.

— Trzy dni - odparł Sean. - Przez następne trzy dni nie staniesz na tej nodze.

Objął ją ramieniem.

- Spróbuj wstać - poprosił, a kiedy skinęła głową, pomógł

jej się podnieść. Stojąc na zdrowej nodze, oparła się o niego. -

Postaraj się postawić ją na ziemi - zaproponował.

180

Natychmiast zawyła z bólu.

- Nie, nie mogę na niej stanąć.

Sean, schyliwszy się, wziął ją na ręce, jakby była małym dzieckiem i zaniósł do wioski. Claudia była zdziwiona jego siłą i mimo że czuła pulsowanie krwi w kolanie, rozluźniła się w objęciach Seana. To było bardzo przyjemne doznanie. Ojciec nosił ją w ten sposób, gdy była małą dziewczynką. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie oprzeć głowy na ramieniu Seana.

Kiedy doszli do wioski, Sean posadził Claudię na ziemi, a Matatu pobiegł, żeby przynieść jego plecak. Wypadek córki odwrócił uwagę Riccarda od własnych problemów. W przyпіtywie troskliwości zamęczał dziewczynę wyrzutami, które normalnie by ją rozgniewały. Teraz jednak przyjmowała je z wdzięcznością, bo ojciec się nieco ożywił.

Sean owinął jej kolano elastycznym bandażem i dał tabletkę działającą przeciwzapalnie, którą popiła gorącą herbatą.

— To wszystko, co możemy teraz zrobić - powiedział i usiadł

na ziemi obok Claudii. - Jedyne czas może cię wyleczyć.

— Dlaczego powiedziałeś trzy dni?

— Zazwyczaj tyle to trwa. Widziałem już setki podobnych urazów, tyle że były to nogi bardziej owłosione i nigdy tak zgrabne.

— Ale komplement. - Uniosła brew. - Pułkowniku, staje się pan cikliwy.

— Oczywiście to należy do obowiązków lekarza i jest zupełnie nieszczerze - zapewnił ją z szelmowskim uśmiechem. - Nie stety, kotku, nasuwa się pytanie, co, do diabła, z tobą zrobimy?

— Zostawcie mnie tutaj - odparła bez zastanowienia.

— Oszalałaś? - zapytał.

Riccardo poparł go skinięciem głowy.

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Spójrzcie na problem w ten sposób - argumentowała spokojnie. - Nie mogę się ruszać przez trzy dni i w tym czasie twój słoń dawno już ucieknie gdzieś daleko, tatusiu. - Podniosła rękę, żeby powstrzymać ich sprzeciw. - Nie możemy wrócić, bo nie mogę chodzić. Tak czy inaczej musielibyśmy tu siedzieć.

— Nie możemy cię zostawić tu samej, nie bądź niemądra.

— Nie - zgodziła się z nim. - Ale możecie zostawić kogoś, żeby się mną opiekował, gdy wy pójdziecie za Tukutelą.

181

— Nie. - Riccardo pokręcił głową.

— Sean, przekonaj go, że to jedyne sensowne rozwiązanie.

Patrzył jej w oczy. Podziw, jaki w nich dostrzegła, wzbudził w niej bardzo ciepłe uczucia.

- Cholera jasna! - zaklął cicho. - Ona ma rację.

— Sean, powiedz ojcu, że to tylko kilka dni. Oboje wiemy, ile ten słoń znaczy dla ojca. Chciałabym ci go podarować, tatusiu, jako mój... - Omal nie powiedziała "ostatni prezent", ale po wstrzymała się - jako mój specjalny prezent.

— Tesoro, nie mogę się na to zgodzić. - Głos ojca był szorstki, ale jednocześnie dziwnie ochryply, i Riccardo schylił głowę, żeby ukryć swoje wzruszenie.

— Sean, przekonaj go - nalegała Claudia. - Powiedz mu, że będę tu równie bezpieczna pod opieką Joba jak na moczarach z wami.

— Szefie, to nie jest bez sensu - odparł Sean. - Ale to nie moja sprawa. Musicie załatwić ją między sobą.

— Sean, zostawisz nas na chwilę samych? - zapytała Claudia i nie czekając na jego odpowiedź, zwróciła się do ojca. - Tatusiu, usiądź obok mnie. - Poklepała lekko ziemię ręką.

Sean wstał i odszedł na bok, zostawiając ich wśród narastających ciemności, po czym przysiadł się do Joba. Milczeli przez dłuższą chwilę, pijąc herbatę i paląc na zmianę jedno z ostatnich cygar.

Minęła godzina. Było już zupełnie ciemno, gdy Riccardo podszedł do nich. Stanął nad nimi, a gdy się odezwał, jego głos był ochryply i pełen smutku.

— W porządku, Sean - powiedział. - Claudia przekonała mnie, żeby zrobić, jak ona chce. Czy moglibyśmy wyruszyć jutro z samego rana? Aha, Job, czy zostałeś w obozie i zaopiekowałeś się moją córką?

— Będę się nią opiekował - zapewnił Job. - Niech pan zastrzeli tego słonia. Będziemy tu czekać na pana.

Przy świetle księżyca przenieśli się ze spalonej wioski i rozłożyli obozem kilkaset metrów dalej, w głębi lasu.

Dla Claudii zbudowano nieduży szałas, w którym umieszczono pościelę ze świeżo ściętej trawy. Sean zostawił podręczną ap-

182

teczkę oraz większość zapasów żywności. Do pilnowania Claudii wyznaczył Joba i Dedana. Job miał do obrony lekką strzelbę załadowaną nabojami kalibru 30/06 z kolbą z włókna szklanego, a Dedan siekiere i nóż do oprawiania zwierząt.

- Job, niech Dedan ma oko na drogę. Każdy patrol Frelimo czy Renamo będzie musiał przejść tamtędy. Jeśli dostrzeżecie pierwsze oznaki kłopotów, natychmiast weźcie Claudię na mo czary i ukryjcie ją na jednej z wysepek. - Sean wydał ostatnie polecenia i podszedł do Riccarda, który rozmawiał z córką. - Szefie, jesteś gotowy?

Riccardo podniósł się szybko z ziemi i odszedł od Claudii, nie oglądając się za siebie.

— Tylko nie wpadnij w nowe tarapaty - przestrzegł ją Sean.

— Tak samo ty. - Dziewczyna podniosła na niego wzrok. -

Sean, opiekuj się ojcem.

Przykucnął przed nią i wyciągnął ku niej rękę tak, jakby żegnał się z mężczyzną. Starał się powiedzieć coś dowcipnego, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

— A więc wszystko w porządku? - zapytał w końcu.

— Wszystko w porządku - zgodziła się.

Sean wstał i podszedł do brzegu mokradeł, gdzie Matatu, Pumula i Riccardo czekali już na niego obok łódki.

Matatu zajął miejsce na dziobie wąskiego czółna, Sean i Riccardo siedzieli pośrodku, a Pumula stał na rufie, odpychając łódź długą żerdzią w kierunku wskazywanym mu przez Matatu.

Chwilę po tym, jak odbili od brzegu, otoczyła ich gęsta palisada papirusów. Nie widzieli nic poza ścianą zarośli i kawałkiem żółtego od wschodzącego słońca nieba. Przy każdym posunięciu do przodu ostre końce liści papirusów celowały prosto w ich twarze, stanowiąc zagrożenie dla oczu, a cienkie pajęczyny, utkane przez bagienne pająki, przylepiały się do skóry, lepkie i trudne do zerwania. Nad mokradłami wisiał jeszcze nocny chłód i kiedy wypłynęli na otwartą lagunę, nad powierzchnią wody unosiła się ciężka mgła. Niedaleko przed nimi z poświstem zerwało się do lotu stado dzikich kaczek.

Z czterema osobami na pokładzie dłubanka była mocno przeciążona. Nad powierzchnię wystawały jedynie ze dwa centymetry burty. Gdy tylko któryś z nich wykonał gwałtowniejszy ruch,

183

woda przedostawała się do środka i musieli ją pospiesznie wylewać kubkiem do herbaty. Nie mieli jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, gdyż Matatu nieustannie wskazywał nowy kierunek.

W końcu słońce weszło nad papirusy i niemal natychmiast mgła, pozwijawszy się w cienkie strużki, uniosła się ku niebu. Lilie wodne otworzyły błękitne kielichy i zwróciły je ku słońcu. Dwukrotnie widzieli olbrzymie krokodyle, które wypoczywały w wodzie, wystawiając na powierzchnię jedynie oczy. Gdy łódka zbliżała się do nich, wielkie gady zanurzały się głębiej.

Mokradła były pełne ptaków. Bąki i nocne czaple kryły się wśród trzciny, podczas gdy małe długoszpony o czekoladowym upierzeniu biegały pomiędzy liliami na drugich nogach, a czaple olbrzymie, wysokie jak człowiek, przeczesywały płytsze obrzeża laguny w poszukiwaniu ryb. Nad łódką unosiły się stada pelikanów i czapli białych, kormoranów i ptaków z rodziny zimorodków, a także kilkanaście rodzajów dzikich kaczek.

Upał szybko się wzmagał. Fale ciepła, odbijając się od powierzchni wody, padały prosto na ich twarze, tak że wkrótce obaj biali mężczyźni byli mokrzy od potu. Miejscami woda była głęboka zaledwie na

kilka centymetrów. Wtedy musieli wysiadać z łodzi i ciągnąć ją za sobą do następnego kanału czy laguny. Pod stłamszonymi trzcinami muł był czarny i cuchnący, i często sięgał im do kolan.

W płytszych miejscach stopy słonia zostawiły głębokie okrągłe kraterzyki wypełnione wodą. Ślad prowadził coraz głębiej i głębiej w moczary, ale mogli się pocieszyć szybkością, jaką zapewniała im dłubanka popychana długą żerdzią. Sean postanowił zastąpić Pumulę przy żerdzi, ale ten szybko miał dosyć jego niezdarnych ruchów i odebrał mu drąg.

Na dnie łódki było dosyć miejsca, żeby jeden mężczyzna mógł się swobodnie wyciągnąć. Tej nocy Riccardo wyspał się porządnie, podczas gdy pozostali przesiedzieli długie godziny po pas w mule, opierając się o kadłub czółna i próbując zasnąć wśród chmar moskitów.

Wczesnym rankiem, kiedy Sean podniósł się z mułu, zobaczył, że jego nogi są gęsto pokryte czarnymi pijawkami. Ohydne robaki wczepiły się mocno w skórę i były napęczniałe od wypitej krwi.

184

Sean musiał poświęcić odrobinę cennej soli, żeby się ich pozbyć. Gdyby chciał je oderwać, pozostałyby małe ranki, z których ciekłyby obficie krew; mogło nawet wpaść się zakażenie. Posypanie pijawek odrobiną soli powodowało, że wiły się w agonii i odpadały od ciała, zostawiając zasklepioną ranę.

Kiedy Sean zdjął spodnie, zobaczył, że wstrętne robaki wśliznęły się także pomiędzy pośladki i przyczepiły do genitaliów, z których zwisały niczym pęki dorodnych winogron. Aż zadrżał z odrazy. Riccardo przyglądał mu się z zainteresowaniem, rzucając dowcipami, gdy ten trudził się nad pozbyciem pijawek.

- Hej, Sean, nigdy nie podejrzewałem, żebyś miał coś przeciwko fellatio!

Sean wbił mocno żerdź w muł i przytrzymał ją, podczas gdy Matatu wspiął się zwinnie niczym małpka na szczyt, żeby rozejrzeć się dokoła. Kiedy zeskoczył na dół, powiedział:

- Widziałem wysepki. Jesteśmy już bardzo blisko. Powin

niśmy dotrzeć do nich w południe i jeśli Tukutela nas nie słyszał,

to powinien być na jednej z nich.

Sean pamiętał z przelotu nad tym obszarem i dokładnych studiów nad mapą, że wyspy tworzyły łańcuch pomiędzy mokradłami a głównym nurtem Zambezi. Zdołali przeprowadzić dłubankę przez wszystkie płycizny. Sean ciągnął z przodu za linę, a Matatu i Pumula pchali łódkę z tyłu. Riccardo zaoferował się z pomocą, ale Sean odpowiedział:

- Szeffie, masz darmowy przejazd. Chcę, żebyś porządnie

wypoczął i nie robił mi żadnych wymówek, gdy spieprzysz

sprawę z Tukutela.

W końcu można było dostrzec czuby wysokich palm wystających nad ścianę papirusów. Nagle woda sięgnęła Seanowi po brodę. Wszyscy musieli wsiąść do łódki. Pumula dowiózł ich do pierwszej wysepki. Roślinność była tu tak gęsta, że zwisała nad wodę i musieli się porządnie napracować, żeby dotrzeć do brzegu.

Na wyspie ziemia była szara i piaszczysta, wyjątkowo wieloma zalewami, ale dobrze było czuć stały grunt pod nogami. Sean rozpostarł na słońcu ubrania i sprzęt, a w tym czasie Matatu udał

185

się na zwiad wokół wysepki. Zaledwie woda na herbatę zdążyła się zagotować, mały tropiciel wrócił.

- Tak. - Skinął głową Seanowi. - Przeszedł tędy wczoraj rankiem, gdy opuszczaliśmy wioskę, ale teraz idzie już bardzo wolno. Ogarnął go spokój rzeki i pożywia się cicho. Opuścił to miejsce dziś o świcie.

— Dokąd poszedł? - zapytał Sean.

Matatu wskazał kierunek.

— Nieopodal jest następna, większa wyspa.

— Chodźmy rzucić na nią okiem.

Sean nalał kubek herbaty Riccardowi. Zostawił go z Pumulą, podczas gdy on i Matatu przecięli północny brzeg wysepki i przedarłszy się przez gęste zarośla, doszli do najwyższego drzewa na wyspie i wdrapali się na nie.

Sean usadowił się w rozwidleniu dwóch konarów, zerwał kilka liściastych gałązek ograniczających widoczność i rozejrzał się po okolicy.

Znajdował się pięćdziesiąt metrów nad ziemią, więc daleko przed sobą widział zamglony horyzont. Za wyspą rozpościerała się wielka Zambezi. Wody rzeki były zielonkawe i tak rozległe, że drzewa rosnące na przeciwległym brzegu zdawały się jedynie wąskim paskiem rozgraniczającym rzekę od kłębiastych chmur, które nieustannie napływały na błękitne afrykańskie niebo.

Rzeka płynęła szybko, jej powierzchnia była pokryta wirami i przeciwnymi prądami. Nurt unosił całe kępy wyrwanej z mokradeł trawy, które zdawały się tak gęste i duże jak całe wyspy. Sean pomyślał o perspektywie przebycia rzeki w chybotliwej tódeczce. Musieliby przeprowiać się kilka razy, przewożąc po jednej osobie, zatem szybko zrezygnował z tego pomysłu. Tylko jedna droga stała przed nimi otworem: droga powrotna do domu.

Skoncentrował się na łańcuchu wysepek, które stały niczym strażnicy między rzeką a bagiennymi rozlewiskami. Od najbliższej dzieliło ich ze trzysta metrów; prowadzący do niej kanał był zarośnięty

trzciniami, wodnymi hiacyntami i liliami. Kielichy kwiatów odbijały się intensywnym niebieskim kolorem od zielonej wody. Nawet na czubku drzewa Sean mógł wyczuć ich silny zapach.

186

Podniósł do oczu lornetkę, by przyjrzeć się kanałowi i brzegowi wyspy. Krajobraz był tak rozległy, że Tukutela mimo olbrzymich rozmiarów łatwo mógł się tu skryć i pozostać niewidoczny.

Nagle Sean zdrzął. Dojrzał powolny, ciężki ruch w trzcinach i refleks słońca na wilgotnej skórze. Przez chwilę napięcie rosło, żeby zaraz ulec potężnej fali rozczarowania, gdy rozpoznał szeroki, jakby zniekształcony łeb hipopotama, który wynurzył się z kanału.

W okularach lornetki mógł dostrzec różowe, świńskie oczka i szczecinę wystającą z nieproporcjonalnie małych uszu. Hipopotam zatrzepotał nimi niczym ptak skrzydłami, strząsając kropelki wody, które utworzyły gęstą mgielkę wokół jego głowy. Przebrnął przez muł, przechodząc z jednej płytkiej laguny do następnej, i zatrzymał się jedynie na chwilę, by wypuścić z siebie strumień płynnego kału, który wytrysnął mu spod ogona. Siła wyrzutu rozpląszczyła za nim trzciny.

Sean z ulgą zobaczył, że zwierzę przenosi się do następnej laguny i znika pod wodą. Przegniły kadłub dłubanki nie wyszedłby cało z potężnych, zakrzywionych siekaczy hipopotama.

W końcu spojrzął na Matatu, który siedział na gałęzi za nim. Mały tropiciel potrząsnął przecząco głową.

- Przeniósł się dalej, więc i my musimy ruszać.

Zsunęli się z drzewa i wrócili do Riccarda. Podróż w mokorro i całonocna drzemka postawiły mężczyznę na nogi. Czekał już na nich niecierpliwie gotów do podjęcia pogoni. Sean miał wrażenie, że wszystko jest jak za najlepszych czasów.

— Znaleźliście coś? - zapytał Riccardo.

— Nie. - Sean pokręcił głową. - Ale Matatu twierdzi, że

jesteśmy już blisko. Od tej chwili obowiązuje absolutna cisza.

Podczas gdy ładowali pakunki do łódki, Sean wypił szybko kubek gorącej herbaty i zasypał piaskiem ognisko.

Przepchali czołno do następnej wysepki, gdzie Sean ponownie wdrapał się na czubek drzewa, podczas gdy Matatu przebiegał zarośla, żeby znaleźć trop. Wrócił po kwadransie.

- Poszedł dalej - szepnął, gdy Sean zszedł z drzewa. -

Wiatr jest niepomyślny. - Spojrzenie Matatu było poważne.

Wyjął woreczek z popiołem z opaski biodrowej i strzepnął

odrobinę na wiatr, żeby pokazać kierunek. - Spójrz, jak wiruje

i jaki jest zmienny. Niczym kurwa z plemienia Szangane.

187

I

1

Sean skinął głową. Zanim wsiedli do dłubanki, żeby wyruszyć na następną wysepkę, zdjął z siebie koszulę. Teraz mógł czuć każdy powiew wiatru całym ciałem.

Na wysepce przekonali się, że Tuketela wyszedł z wody na ląd. Muł, który pozostawił na trzcinach, był jeszcze wilgotny. Matatu zadrzał z podekscytowania niczym dobry pies myśliwski, który wyczuł zapach ściganej zwierzyny.

Zostawili łódkę na brzegu i ruszyli piechotą, przekradając się przez gęstą roślinność. Sean z ulgą zauważył, że lekka bryza poruszająca korony palm nad ich głowami zagłuszała odgłosy kroków na suchych liściach i gałązkach. Znaleźli miejsce, w którym stary słoń strząsnął orzechy z palmy, pożywił się i poszedł dalej.

- Uciekł? - zapytał szeptem Sean, obawiając się, że samiec mógł wyczuć ich obecność.

Matatu uspokoił go zdecydowanym potrząśnięciem głowy i wskazał zielone gałązki, które Tuketela odarł z kory i rozrzucił na ziemi. Gałązki nie zdążyły jeszcze wyschnąć. Trop prowadził zygzakiem przez całą wysepkę. Gdy doszli do brzegu, okazało się, że słoń wszedł znowu do wody. Sean posłał Pumulę po łódkę, którą miał przeprowadzić wokół brzegów wyspy. Kiedy wrócił, Riccardo wszedł do łodzi. Brodząc po pas w wodzie, powoli i bezszelestnie posuwali dłubankę przed sobą.

Na kolejnej wysepce znaleźli stertę odchodów, miękką i przemieszaną z trzcinami i hiacyntami, które słoń zjadł, ale nie strawił. Obok odkryli kałużę moczu zalewającą trawę niczym małe bajorko. Ziemia była jeszcze wilgotna. Sean wziął garść piachu do ręki i ukształtował z niego kulę. Sterta odchodów zaschła na powierzchni, ale kiedy Matatu wsunął w nią stopę, w środku była wilgotna i ciepła. Mały tropiciel zawołał podnieconym szeptem:

- Blisko, bardzo blisko!

Sean instynktownie sięgnął do pasa po naboje i zamienił dwa tkwiące w komorze strzelby na nowe. Zamknął ją ostrożnie, starając się stłumić metaliczny odgłos. Riccardo rozpoznał ten ruch, który widział już tyle razy na wspólnym polowaniu, i uśmiechnął się z radością. Odwiódł kurek rigby i cicho go spuścił. Przekradali się w szeregu przez chaszczkę dzikiej roślinności, by na końcu

188

wyspy z rozczarowaniem stwierdzić, że słoń znowu wszedł w porastające kanał papirusy.

Stali na brzegu wysepki, patrząc na roślinną ścianę, przez którą Tukutela przeprowił się na kolejną wyspę. Jedna z przygiętych łodyżek wciąż jeszcze się kołysała, wolno podnosząc się do normalnej pozycji. Stary samiec musiał przejść tędy zaledwie kilka minut przed nimi. Stali nieruchomo, wyężdżając słuch i starając się usłyszeć coś poprzez szmer wiatru w trzcinach.

W pewnej chwili dobiegł ich głęboki grzmot niczym odgłos odległej burzy. Był to gardłowy dźwięk, jaki wydaje słoń, kiedy jest spokojny i najedzony. Niskie tony mogły się rozchodzić na dużą odległość, ale Sean wiedział, że zwierzę jest zaledwie kilkaset metrów przed nimi. Ujął Riccarda za ramię i pociągnął za sobą.

- Musimy uważać na wiatr - zaczął wyjaśniać mu szeptem, gdy usłyszeli kolejny dźwięk, odgłos zasysanej trąbą wody, którą po chwili słoń polał sobie grzbiet dla ochłody. Nad wysokimi papirusami wynurzył się na chwilę ciemny koniuszek wzniesionej trąby.

Podniecenie myśliwych było tak silne, że Sean poczuł, jak coś ścisną mu gardło, które wyszło doszczętnie. Odezwał się ochrypłym szeptem:

- Cofamy się!

Dał znak ręką Matatu i wycofali się ostrożnie, krok za krokiem. Sean prowadził Riccarda za ramię. Gdy tylko weszli w gęstszy las, ten zapytał rozłozszczonym szeptem:

— Co jest, do cholery? Byliśmy już tak blisko.

— Za blisko - odparł Sean. - Nie mieliśmy żadnej szansy na strzał w papirusach. Jeśli wiatr zmieniłby kierunek o kilka stopni, byłoby już po polowaniu. Musimy mu pozwolić wejść na wyspę, zanim ruszymy za nim.

Poprowadził Riccarda szybciej, aż zatrzymali się przy dużej dzikiej fidze o rozłożystych gałęziach.

- Przyjrzyjmy mu się - powiedział. Oparli broń o pień drzewa i Sean pomógł Riccardowi wspiąć się na pierwszy konar, a następnie sam podążył za nim, przechodząc z gałęzi na gałąź.

Blisko czubka drzewa znaleźli gałąź, na której mogli stanąć. Rozejrzeli się za słońcem.

Dostrzegli go od razu. Grzbiet Tukuteli wystawał ponad trzciny. Był mokry i czarny od wody, a kręgosłup odznaczał się łukowatą linią pod pomarszczoną skórą. Słoń stał odwrócony do nich tyłem. Widzieli, jak jego potężne uszy o postrzępionych brzegach wachlują leniwie ciało. Pod delikatną skórą za nimi rysowały się poskręcane, nabrzmiate żyły.

Na grzbiecie Tukuteli siedziały cztery czaple, usadowione rzędem na kręgosłupie, śnieżnobiałe w słońcu, z żółtymi dziobami. Ptaki rozglądały się na wszystkie strony niby posadzeni na czatach wartownicy, którzy mieli go ostrzec o nadchodzącym niebezpieczeństwie.

Dopóki słoń znajdował się w wodzie, myśliwi nie mogli w żaden sposób zbliżyć się do niego, a odległość jakichś trzystu metrów była zbyt duża, aby celnie strzelić. Sean i Riccardo siedzieli spokojnie na drzewie i przyglądali się, jak słoń przeprowia się przez kanał.

Kiedy dotarł do głębszego miejsca, zanurzał się całkowicie, tak że jedynie długa trąba wystawała nad powierzchnię, wijąc się w powietrzu niczym niesamowity wąż morski. Słoń wyłonił się przy brzegu kolejnej wyspy cały ociekający wodą.

Stojąc obok siebie na gałęzi, Riccardo i Sean starali się utrwalić w pamięci obraz majestatycznego zwierzęcia. Nigdy więcej nie spotkają już takiego słońca. Żaden inny człowiek nie będzie miał okazji podziwiać tak wspaniałego okazu. Był ich. Mieli wrażenie, że czekali całe życie na tę chwilę. Żyłka łowiecka zagłuszyła wszelkie inne uczucia i odsunęła na bok wszystkie sprawy jako mało istotne i nierealne. Ich doznania były najbardziej pierwotne z możliwych, wypływające z samej głębi duszy i poruszające niczym wspaniała muzyka.

Stary samiec podniósł głowę i na chwilę odwrócił ją w ich stronę, pozwalając im przyrzeć się ciemnym ciosom. Obaj mężczyźni przestąpili z nogi na nogę poruszeni ich pięknem, jakby to było dzieło Michała Anioła lub ciało przepięknej kobiety. W tym momencie cały wszechświat ograniczył się do tych dwóch zabarwionych na czarno siekaczy. Riccardo i Sean odczuwali dokładnie to samo, co jeszcze bardziej związało ich ze sobą.

- Jest piękny! - szepnął Riccardo.

Sean nie odpowiedział, gdyż nie było nic do dodania.

190

Patrzyli, jak słoń wspina się na niski brzeg wyspy, stoi nieruchomo przez chwilę, wysoki, chudy i lśniący w słońcu od wody, by zaraz przedrzeć się przez pierwszy gąszcz roślin i zniknąć w lesie. Zepchnięte przez gałęzie czaple uniosły się niczym białe kartki na wietrze. Sean dotknął ramienia Riccarda i sam się otrząsnął, jakby obudził się nagle z głębokiego snu.

- Popłyniemy łódką - szepnął. Gdy zeszli na dół, wysłał

Pumulę po dżubankę.

Siedzieli nisko schyleni na dnie mokorro, żeby ich głowy nie wystawały nad trzciny, i płynęli naprzód, pociągając za kępy papirusów. Udało im się bezszelestnie przebyć kanał i Sean doszedł do wniosku, że lekka bryza wieje w jednym kierunku. Czuł na nagich ramionach najdelikatniejszy powiew wiatru.

Kiedy dotarli do wyspy, pomógł Riccardowi wysiąść z czółna, które następnie delikatnie wciągnęli na brzeg, uważając, żeby nie robić hałasu.

- Sprawdź broń - polecił szeptem.

Riccardo otworzył zamek rugby, pokazując lśniąca łuskę spoczywającą w komorze. Sean skinął głową i przyjaciel zatrzasnął broń. Ruszyli naprzód.

Podążając ścieżką wydeptaną przez słońca w trudnym do przebycia gąszczu, musieli iść jeden za drugim. Matatu prowadził ich po kilka kroków, a następnie czekali, stojąc nieruchomo i nasłuchując odgłosów lasu.

Nagle dobiegł ich głośny, trzaskający łoskot i zobaczyli, jak konary drzew przed nimi rozchylają się na boki i mocno kołyszają. Riccardo podniósł błyskawicznie strzelbę, ale Sean powstrzymał go, chwytając za przedramię i przyginając broń do ziemi.

Stali w bezruchu, patrząc przed siebie, czując, jak ich serca walą, i nasłuchiwali. Jakieś trzydzieści kroków od nich słoń odzierał drzewo z gałązek, wachlując się leniwie uszami, pomrukując z ukontentowania, a oni nie mogli dostrzec nawet jego skrawka.

Trzymając Riccarda za ramię, Sean pociągnął go ostrożnie do przodu. Szli krok za krokiem przez zielony gąszcz liści i opadających gałęzi. Zrobili dziesięć kroków i Sean się zatrzymał. Wypchnął Riccarda przed siebie, wskazując na coś ponad jego ramieniem.

191

Przez długie sekundy Riccardo nie mógł rozpoznać żadnych wyraźnych szczegółów w plątaninie roślinności i cieni. Wreszcie słoń znowu poruszył uchem i wśród gałęzi Riccardo dojrzał oko. Było nieduże, lekko niebieskie ze starości, a po pomarszczonych policzkach ciekły łzy, nadając zwierzęciu wyraz wielkiej mądrości i niepomiernego smutku.

Smutek był zaraźliwy i zalał Riccarda ciemną falą, przygniatając duszę, przemieniając żądzę myśliwską w olbrzymi żal i współczucie dla życia, które właśnie dobiegało końca. Riccardo nie podniósł strzelby.

Słoń mrugnęło okiem. Ocieniające je rzęsy były długie i grube. Oko wejrzało głęboko w duszę Riccarda, przenikając ją na wskroś. Spojrzenie zwierzęcia zdawało się współczuć człowiekowi tak samo szczerze, jak ten żałował słońca. Riccardo nie zdawał sobie sprawy, że choroba mózgu ponownie zmienia i nagina rzeczywistość, wiedział tylko, że przytłacza go smutek przemijania, przecucie śmierci.

śiudck ule

Poczuł, jak Scail lckku klepie

icpic gu w SIUUCK pieców, się zamaskować najmniejszy ruch. Było to ponaglenie do strzału, ale Riccardo miał wrażenie, że już opuścił własne ciało i zawisł nad nim, przyglądając się samemu sobie. Patrzył na siebie i zwierzę, widząc czyhającą na nich zewsząd śmierć. Nadciągająca tragedia przejęła go do głębi, ograbiając z woli i siły. Nie był w stanie wykonać najmniejszego gestu.

Sean znowu dał mu znak. Od słonia dzieliło ich zaledwie piętnaście kroków. Stał nieruchomo wśród drzew niczym wielki cień. Sean zdawał sobie sprawę, że spokój Tukuteli jest reakcją na przecucie zbliżającego się zagrożenia. Jeszcze kilka sekund i zniknie w lesie.

i pot

OCdII D IV- UI

n chciał schwycić Riccarda

silnie, chciał krzyknąć: "Strzelaj, do cholery, no, strzelaj!". Był jednak bezradny, gdyż najmniejszy ruch natychmiast spłoszyłby

słonia.

W pewnej chwili stało się dokładnie to, czego się obawiał. Wyglądało to tak, jakby Tukutela zniknął, rozpułnął się w powietrze niczym chmura dymu. Wydawało się niemożliwe,

żeby tak polężne zwierzę mogło poruszać się tak szybko i cicho w gęstym lesie, ale słonia nie było.

192

Sean schwycił Riccarda za ramię i z całej siły pociągnął za sobą. Wpadł we wściekłość, która wykrzywiła twarz, przepętniała pierś i utrudniała oddychanie. Chciał wyładować swoją złość na tym człowieku. Zaryzykował dla niego życie, a on nawet nie podniósł broni.

Biegł przed siebie, ściskając mocno Riccarda za rękę i ciągnąc go przez gęste zarośla i cierniste krzewy, nie bacząc na niewygodę. Był pewien, że Tukutela będzie starał się dotrzeć do następnej wyspy, i miał nadzieję, że uda się go dopaść, kiedy będzie się przeprawiał przez kanał. Zmusi Riccarda nawet do ryzykownego strzału, tak żeby zranił samca, a potem on, Sean, zabije zwierzę śmiertelnym strzałem.

Biegnący za nimi Matatu krzyknął coś niewyraźnie, jakieś ostrzeżenie czy prośbę o pomoc, i Sean zatrzymał się w miejscu, nasłuchując. Stało się coś zupełnie nieprzewidzianego, na co nie był przygotowany.

Usłyszał nagły trzask i szelest, a potem dzikie trąbienie roz-

wścieczonego słoma, tyle że odgłos dochodził z przodu, a nie

ze strony, w której zniknął Tukutela. Przez ułamek sekundy Sean

nic nie rozumiał i kiedy w końcu pojął, co się dzieje, poczuł,

jak po skórze przebiegają mii mrówki

Tukutela zrobił coś, czego nigdy nie zrobiłby żaden inny słoń. Wcale nie uciekł, tylko zatoczył koło i ustawił się pod wiat, żeby poczuć ich zapach. Stojąc nieruchomo, Sean czuł, jak powietrze owiewa

mu nagi kark i niczym zdradziecki kochanek niesie jego zapach do wielkiego słońa pędzącego w ich stronę przez las.

- Matatu! - wrzasnął Sean. - Uciekaj! Uciekaj pod wiatr! - Pchnął Riccarda na pień pobliskiego drzewa tekowe-go. - Włóż na nie - warknął. Pierwsze gałęzie zwisały nisko i wspięcie się na drzewo nie było trudne. Sean zostawił go i po-biegł ku Matatu.

Gnał przez las, przeskakując zwalone pnie, ze strzelbą uniesioną wysoko, a las rozbrzmiewał wściekłymi rykami

Słoń zbliżał się szybko, niczym potężna lawina śnieżna. Toczył się przez las, rozgniatając stojące mu na drodze mniejsze drzewa, szukając nienawistnego zapachu człowieka i podążając za nim, żeby kolejny raz wyładować na swoim wrogu gniew wzbierany przez całe życie.

193-

Nagle z lasu wyskoczył Matatu. Mały tropiciel był zdecydowany stanąć u boku swojego pana i stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, jakie ich czekało. Nie uciekł jak Pumula pod wiatr, tylko przybiegł prosto do Seana.

Gdy ten go zobaczył, skręcił natychmiast w bok, dając mu znak, żeby podążał za nim. Przebiegł szybko jakieś sto kroków pod wiatr, aby zdeorientować atakujące zwierzę.

Potem Sean się zatrzymał i przykucnął, a Matatu stanął obok niego. Podstęp się udał, również Pumula zmylił słońa. Tukutela zatrzymał się, nie mogąc natrafić na trop człowieka. W lesie panowała absolutna cisza, tak wszechobjmująca, że Sean słyszał pulsowanie krwi w głowie.

Czuł jednak, że stary samiec jest bardzo blisko i teraz stoi nieruchomo z nastawionymi uszami i wyciągniętą trąbą, usiłując odnaleźć trop. Sean pomyślał, że nigdy nie będzie już słońa polującego na swoich prześladowców. Ile razy musiano go nękać, zastanawiał się Sean, ile razy człowiek musiał go zranić, że zwierzę podejmuje atak na sam jego widok?

Tukutelo, Rozzłoszczony Słoni, teraz wiem, czemu cię tak nazwano.

W lesie rozbrzmiał krzyk, głośny krzyk człowieka, i Sean potrzebował chwili, żeby się zorientować, że jest to głos Riccarda Monterra.

- Tukutelo, jesteśmy braćmi! - wołał do słońa. - Pochodzimy z zupełnie innych czasów. Nasze przeznaczenie jest jednakie. Nie mogę cię zabić!

Słoń usłyszał go i zaryczał tak głośno, że dźwięk ten ogłuszył ich zupełnie. Samiec zaszarżował w stronę, skąd napłynął głos. Przebił się przez las, kierując się prosto na Riccarda, i po przebiegnięciu pięćdziesięciu metrów jego nozdrza wypełnił silny zapach człowieka. Tukutela nieomylnie podążył za nim.

Riccardo Monterro nie starał się nawet wspiąć na drzewo, pod którym zostawił go Sean. Opart się plecami o pień i zaniknął oczy. Przejmujący ból głowy chwycił go nagle i oślepił, zostawiając przed oczami wirujące plamy. Mimo to Riccardo słyszał ryki słonia i te odgłosy napętniły go rozpaczą.

Upuścił rygby na zastaną liśćmi ziemię, następnie wyciągnął

194

puste ręce i zrobił niepewny krok na spotkanie słonia, mając jakąś nierealną nadzieję, że uda mu się go uspokoić.

- Nie chcę cię skrzywdzić, jesteśmy braćmi! - zawołał.

Las przed nim trząsł się od łoskotu i po chwili rozchylił, gdy

Tukutela wypadł z gęstwiny.

Sean wrócił biegiem do miejsca, w którym zostawił przyjaciela, prześlizgując się pod gałęziami i przeskakując przez powalone pnie. Teraz wyraźnie słyszał słonia i głos wołającego do niego człowieka.

- Tutaj! - krzyknął Sean. - Hej, Tukutelo! Tutaj! Chodź

tutaj! - Starał się odwrócić uwagę zwierzęcia od Riccarda

i ściągnąć atak na siebie, ale wiedział, że nie ma na to żadnych

szans. Tukutela skoncentrował się na jednym przeciwniku i nic

nie mogło go już powstrzymać.

Nagle centrum pola widzenia Riccarda się rozjaśniło. Spojrzał przez wąską szczelinę, którą otaczało białe promieniujące światło i wirujące koła ognia. Zobaczył Tukutelę - szara głowa wyłoniła się ze ściany zieleni, a potężne ciosy zawisły nad Riccardem niczym opadające filary.

W tej chwili słoń reprezentował tysiące zwierząt i ptaków zabitych przez Riccarda w ciągu jego życia. Riccardo miał uczucie, że wielkie siekacze i wzniesiona trąba są symbolami jakiegoś religijnego błogosławieństwa, które miało odpuścić mu grzechy rozlanej krwi i zadanej śmierci. Sięgnął ku nim obiema rękami, z wdzięcznością, a nawet radością, i przypomniał sobie formułkę, której uczył się jeszcze jako dziecko.

- Wybacz mi, Ojcze, gdyż zgrzeszyłem! - zawołał.

Sean widział słonia wyłaniającego się z gęstwiny. Zwierzę

było odwrócone do niego tyłem i w pędzie położyło uszy po sobie. Do Seana dotarł głos Riccarda i mimo że nie mógł zrozumieć słów, zdał sobie sprawę, że ten musi stać bezpośrednio pod ciosami i wyciągniętą trąbą Tukuteli.

W jednej chwili przeszedł od sprintu do nieruchomej postawy i poderwał do oka strzelbę. Był to szczególnie trudny kąt do strzału w głowę, gdyż wysoka łopatka zasłaniała kręgosłup zwierzęcia.

Cel nie był większy niż dojrzałe jabłko i na dodatek Sean nie miał żadnych wskazówek, gdzie się znajduje w olbrzymiej czasz-

195

ce. Musiał zaufać instynktowi. Patrząc w celownik, przez krótką chwilę miał niesamowite wrażenie, że może zajrzeć w głąb niej.

Bez świadomego polecenia palec Seana zacisnął się na spuście, gdy celownik zatrzymał się w miejscu, w którym musiał się znajdować centralny ośrodek nerwowy. Kula przebiła porowatą czaszkę i rozcięła nieduży mózg Tukuteli, który nawet nic nie poczuł. Słoń przeszedł od życia do śmierci w ciągu ułamka sekundy. W jednym momencie ugięły się pod nim nogi i zwałił się na piersi z siłą, która poruszyła całą wyspę i strząsnęła martwe liście z gałęzi drzewa tekowego nad nim. Nad potężnym cielskiem unosił się jasny tuman kurzu. Po chwili głowa Tukuteli opadła na ziemię.

Prawy siekacz przebił Riccardo Monterra, wchodząc w brzuch kilka centymetrów pod mostkiem i wychodząc przez kręgosłup w miejscu, w którym łączył się z miednicą.

Kość słoniowa, dla której zdobycia Riccardo ryzykował majątek i własne życie, przybiła go do ziemi, nadziewając niczym harpun wielorybnika. Spojrzał ze zdumieniem na siekacz rozrywający jego ciało. Riccardo nie czuł bólu, nie czuł nic w dolnej części ciała, która była dziwnie wykręcona przez trąbę, nie miał zamętu w głowie.

Na chwilę odzyskał wzrok i wszystko, na co patrzył, zdawało się oświetlone niesamowitymi reflektorami, by po chwili zacząć zasnuwać się mgłą w zapadającej ciemności. Zanim ogarnęła go całkowicie, zobaczył nad sobą twarz Seana Courtneya i usłyszał jego głos, który zdawał się zanikać, jakby Riccardo osuwał się w przepaść.

- Szefie, Szefie - odbiło się echem w jego uszach.

Riccardo Monterro zdobył się ostatnim wysiłkiem woli na wypowiedzenie kilku słów:

- Ona cię kocha. Opiekuj się moją córeczką. - W tej chwili

zatonął w ciemności, która zabrała go na zawsze.

Powodowany pierwszym impulsem Sean chciał wyswobodzić ciało przyjaciela. Szarpał z całej siły, ale kiel był tak gruby, że nie mógł go dobrze objąć, a z rany w ciele Riccardo ciekła ciemna krew; Sean umazał sobie ręce, a na kości słoniowej zostały wyraźne czerwone plamy.

196

Po chwili dotarła do niego bezsensowność sytuacji i cofnął się o krok. Tukutela spoczywał na ciosach, które przebiwszy ciało Riccardo, zagłębiły się w miękką, piaszczystą ziemię. Musiałby stracić z pół dnia, żeby wydobyć zwłoki przykute do ziemi.

Śmierć złączyła człowieka i zwierzę. Nagle Sean uznał to za słuszne. Zostawi ich tak.

Z lasu wyłonił się Matatu, a zaraz po nim Pumula. Stanęli obok Seana, żeby rzucić okiem na okropny widok.

— Idźcie - polecił Sean. - Zaczekajcie na mnie w czóźnie.

— A kość? - zapytał nieśmiało Pumula.

— Idźcie stąd! - powtórzył Sean tonem, który zmusił ich do posłusznego wycofania się.

Oczy Riccarda były wciąż szeroko rozwarte. Sean zamknął je delikatnym dotknięciem dłoni, a następnie rozwinął wełnianą chustę z szyi Riccarda i podwiązał nią szczękę, żeby nie opadła i nie nadała twarzy martwego przyjaciela idiotycznego wyrazu. Nawet po śmierci Riccardo Monterro był przystojnym mężczyzną. Sean oparł się o głowę słońa i patrzył na nieboszczyka.

- Szefie, to się stało w odpowiednim czasie. Zanim choroba zamieniła cię w roślinę. Odszedłeś, gdy miałeś jeszcze dosyć zapалу i sił. Taki koniec przystoi mężczyźnie twojego pokroju. Cieszę się, że nie umarłeś w zaplamionej pościeli. Mam nadzieję, że będę miał tyle samo szczęścia.

Potem położył dłoń na kości słońowej. Pod palcami czuł gładką powierzchnię, niczym pięknie oszlifowanego kamienia szlachetnego.

- Szefie, zostawię ci ciosy - powiedział. - Będą twoim grobowcem. Bóg jeden wie, jak wiele za nie zapłacisz.

Wyprostował się i podszedł po śladach Riccarda do drzewa, pod którym wśród miękkich liści znalazł rigby. Wziął ją, wrócił do ciała i ułożył w zagiętym ramieniu Riccarda.

- Wojownik powinien być pochowany wraz z bronią - mruknął Sean, ale czegoś jeszcze mu brakowało. Nie mógł odejść i zostawić tak przyjaciela wystawionego na działanie bezlitosnego nieba. Musi go dobrze zakryć.

Sean przypomniał sobie starą legendę o Tukuteli i o tym, jak grzebał swoje ofiary. Wyjął ostry nóż z pochwy przy pasie

i ściął liściastą gałąź z pobliskiego drzewa. Położył ją na twarzy Riccarda.

- Tak - szepnął. - Tak będzie dobrze.

Uwijając się, Sean naścinał gałęzi i zakrył nimi ciało Riccarda wraz z głową słonia.

W końcu podniósł z ziemi swoją strzelbę. Włożył ją pod ramię gotowy do drogi.

- Żegnaj, Szefie - powiedział. - Twoje życie było na

prawdę dobre aż do samego końca. Zostań w pokoju, przyjacielu.

Odwrócił się i ruszył pewnym krokiem ku brzegowi, gdzie zostawili łódkę.

Trzciny ocierały się z szelestem o burtę czółna, które Pumula popychał do przodu długą żerdzią. Nikt się nie odzywał.

Sean siedział pośrodku łódki, z brodą opartą na jednej ręce. Czuł się odrętwiały i poza smutkiem wyprany ze wszelkich emocji. Tak samo wracali w czasie wojny z wypadów, gdy żołnierze siedzieli obok siebie w milczeniu.

Potem spojrzął na swoją prawą rękę spoczywającą na kolanach i pod paznokciami zobaczył ciemnoczerwone półksiężyce. Krew Szefa, pomyślał i włożył dłoń do ciepłej wody. Trzymał ją tak przez chwilę, pozwalając delikatnym falom obmyć plamy.

W jego umyśle ponownie rozegrało się całe polowanie, jakby oglądał niemy film nagrany na wideo. Widział dokładnie każdy szczegół od chwili, gdy pierwszy raz zobaczyli starego samca, aż do momentu, w którym znalazł Riccarda przybitego ciosami do ziemi.

Nagle usłyszał głos. W jego umyśle słowa Riccarda odbiły się echem, słabe i szybko zamierające.

"Ona cię kocha" - powiedział Riccardo, a reszta była już niezrozumiała. "Ona cię kocha". Pozbawione sensu ostatnie słowa umierającego człowieka, a może majaki chorego mózgu. Riccardo mógł mieć na myśli jedną z wielu kobiet, które wypełniły jego życie.

Sean wyjął dłoń z wody. Była czysta, krew została dokładnie zmyta.

"Ona cię kocha". Może Riccardo starał się wskazać Seanowi jedną kobietę?

198

Sean oderwał wzrok od mokrej dłoni i spojrzął przed siebie. Wspomnienie dziewczyny było z nim przez cały ten czas, zawsze ukryte w zakamarkach świadomości, by wyłaniać się na powierzchnię w najmniej oczekiwanych momentach. Czasami, gdy myślał o olbrzymim słoniu, uśmiechał się do siebie, wspominając któreś z powiedzeń Claudii. Tego ranka, w czasie ostatniej fazy polowania, sięgnął za burtę i zerwał kwiat lilii wodnej. Przytknął kielich do nosa i wdychając głęboko silny zapach, poczuł jedwabisty dotyk płatków na ustach. I pomyślał o Claudii.

Teraz, patrząc prosto przed siebie, odważył się przyznać, z jakim utęsknieniem czekał na chwilę, kiedy znowu ją zobaczy. Miał wrażenie, że dziewczyna jest jedyną osobą, która pomoże mu otrząsnąć się ze smutku po utracie przyjaciela. Przypomniał mu się ton jej głosu i sposób, w jaki pochylała głowę, gdy chciała dać mu ostrą odprawę. Uśmiechnął się na myśl o gniewnych iskierkach, które mógł z taką łatwością rozżarzyć w jej oczach, i o tym, jak zaciskała usta, żeby nie roześmiać się z jego docinków.

Przywołał na pamięć jej charakterystyczny sposób chodzenia, uczucie, jakiego doznał, niosąc ją w ramionach do obozu, i gładkość jej skóry, która była doskonalsza od płatków kwiatu.

Przecież my zupełnie do siebie nie pasujemy, na jego usta zabłąkał się uśmiech, który rozproszył nieco melancholijny nastrój. Jeśli Szefer mówił o niej, to trafił kulą w płot. Jednakże potrzeba zobaczenia dziewczyny stała się jeszcze intensywniejsza.

Sean podniósł wzrok na niebo. Słońce już zachodziło. Za godzinę zrobi się zupełnie ciemno. Kiedy rozglądał się po nieboskłonie, zauważył Gwiazdę Wieczorną, która pojawiła się zupełnie nagle nisko na zachodzie. Jedna po drugiej zapalały się nowe gwiazdy i konstelacje, rozjaśniając czarne niebo w kolejności określonej przez ich wielkość.

Przyglądał się im i znowu myślał o Claudii. Zastanawiał się, czemu dziewczyna wywoływała w nim tak sprzeczne uczucia. Porównywał ją z innymi znanymi mu kobietami i nagle uświadomił sobie, jak płytkie i blade wydawały mu się teraz poprzednie związki. Nawet jego małżeństwo było nic nieznaczącym epizodem, szalonym impulsem spotęgowanym zwykłym pożądaniem. Nie było zresztą długotrwałe; po pierwszym zaspokojeniu zmys-

199

łów związek się rozpadł i z katastrofalnej pomyłki Sean wyciągnął wniosek: nigdy nie popełnić podobnego błędu. Obecnie z trudem mógł sobie w przybliżeniu przypomnieć, jak wyglądała kobieta, z którą się kiedyś ożenił.

Powrócił myślą do Claudii i ze zdziwieniem przekonał się, że w swojej wyobraźni widzi ją bardzo dokładnie; mógł niemal policzyć każdy włoszek w długich rzęsach ocieniających piwne oczy i delikatne linie, które tworzyły się wokół jej ust podczas śmiechu. Nagle zapragnął być blisko niej i kiedy przyznał się przed sobą do tej słabości, zaczął się martwić o Claudię.

Chyba oszalałem, żeby zostawić ją samą, pomyślał. A gdy starał się przebić wzrokiem otaczające go ciemności, napłynęły okropne wyobrażenia złych rzeczy, które mogły się jej przytrafić. Przecież jest z nią Job, starał się opanować. Powinienem jednak sam zostać i posłać Joba z Szeferem. Nawet myśląc tak, wiedział, że nie było to możliwe.

Czółno się zatrzymało, gdy Pumula oparł się na żerdzi, dając znak, że czas na odpoczynek nocny.

- Teraz ja powiosłuję - powiedział Sean. - Płyniemy całą noc, aż dotrzemy do wioski - oznajmił.

Podczas gdy Matatu i Pumula leżeli skuleni na dnie czółna, Sean stał na rufie i jednostajnymi ruchami żerdzi posuwał łódź do przodu. Kierował się według Krzyża Południa i innych stałych gwiazd, znajdując kierunek na południe na podstawie przecinających się linii łączących konstelacje.

Łodygi papirusów szeleściły delikatnie, ocierając się o kadłub, i wkrótce Sean wykonywał automatycznie monotonne czynności, pozwalając umysłowi zwrócić się ku innym sprawom. W centrum jego rozmyślań zawsze znajdowała się Claudia Monterro.

Zastanawiał się nad jej osieroceniem i nad tym, jak wielki wpływ mimo świadomości nieuchronnego końca wyrze na niej przywieziona przez niego wieść. Układał słowa, którymi powie jej o ojcu i postara się ją pocieszyć. Dziewczyna знаła jego uczucia do Riccarda. Wiedziała o przyjaźni, jaka zawiązała się między nimi w czasie wspólnych polowań. Zdążyła się zorientować, że to była prawdziwa przyjaźń.

Tylko ja mogę jej pomóc w tych smutnych chwilach. Znałem go przecież tak dobrze. Postaram się pomóc jej zachować w pa-

200

mięci wszystko, co było w nim wyjątkowe. Mimo że powinien obawiać się jej reakcji na okropną wiadomość, z utęsknieniem czekał chwili, kiedy będzie blisko niej, by móc ją pocieszyć i otoczyć opieką. Może uda nam się odrzucić sztuczne postawy wrogości, które oboje przybraliśmy? Zamiast wydobywać na wierzch dzielące różnice, moglibyśmy spróbować znaleźć to, co nas łączy. Zauważył, że podświadomie zaczął przyspieszać i wydłużać pchnięcia żerdzią. Musiał się wręcz przymusić do zwolnienia tempa. Nie wytrzymasz w ten sposób całej nocy, powiedział sobie w myślach, ale pragnienie zobaczenia dziewczyny pozwoliło mu wiosłować długo po tym, jak zmęczenie zaczęło się domagać odpoczynku.

Godzina za godziną pchał łódkę przez moczary, aż wreszcie Pumula się obudził i go zastąpił. Sean spał lekkim snem i zajął znowu miejsce na rufie, gdy wstający poranek zaróżowił niebo na wschodzie, by niedługo przemienić je w wyblakłą cytrynową żółć. Nad łódką z cichym szumem skrzydeł przeleciało stado dzikich ptaków.

Dwie godziny później Sean kazał Mataru wspiąć się na żerdź. Zanim malutki tropiciel wszedł na sam czubek, wydał okrzyk radości i wskazał ręką przed siebie. Jednakże dopiero wczesnym popołudniem czółno przebiło się przez ostatnią połąć papirusów i zaryło w miękkim piasku naprzeciw opuszczonej wioski.

Sean wyskoczył na brzeg i musiał się powstrzymać, żeby nie rzucić się biegiem.

Job powinien bardziej uważać, pomyślał ze złością. Jeśli możemy zbliżyć się zupełnie niezauważeni... nie dokończył myśli. Przed nim znajdowały się zarośla, w których zbudowali schronienie dla Claudii, i Sean zatrzymał się nagle w miejscu.

Było zbyt cicho. Jego szósty zmysł przestrzegł go przed niebezpieczeństwem. Coś się nie zgadzało. Upadł gwałtownie na ziemię i przetoczył się w zasłonięte miejsce ze strzelbą przed sobą.

Leżał nieruchomo i nasłuchiwał. Otaczająca go cisza jakby przygniatała go do ziemi. Obliznął wargi i naśladował cmokliwy odgłos wydawany przez kuropatwy. Był to jeden z umówionych sygnałów, na który Job powinien odpowiedzieć. Nie doczekał się jednak żadnego odzewu. Podpełznął na brzuchu do przodu

i znowu się zatrzymał. W niewysokiej trawie przed nim coś metalicznie błysnęło. Podniósł mały przedmiot i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Była to łuska od naboju 7,62 mm i z tyłu miała wygrawerowany napis cyrylicą. Takich nabojów używano do radzieckich karabinków AK. Sean podniósł ją do nosa i powąchał spalony proch. Była świeża. Rozejrzawszy się wokół siebie, dostrzegł inne łuski leżące w trawie, świadectwo ostrej strzelaniny.

Poderwał się na równe nogi i zaczął biec zygzakiem w stronę zarośli, uniemożliwiając potencjalnemu wrogowi celny strzał.

Gdy dobiegł do gąszczy krzaków, znowu rzucił się płasko na ziemię. W tej samej chwili spostrzegł trupa leżącego twarzą do ziemi pod ciernistym krzewem, zaledwie kilka metrów od niego. Były to zwłoki Murzyna. Ciało zostało odarte z ubrania i butów.

- Job! - zawołał bezwiednie. Podpełznął bliżej, do samego ciała. W plecach trupa widniała pojedyncza dziura po kuli, a nad raną kłębiły się muchy. Krew zdążyła zakrzepnąć w skorupę.

Sean wyczuł smród zgnilizny.

Nie żyje od co najmniej dwudziestu godzin, ocenił i podniósł się na kolana. Nie musiał już zachowywać ostrożności. Powoli uniósł głowę trupa. Mięśnie szyi zdążyły już zesztynnieć wskutek stężenia pośmiertnego. Sean przyjrzał się twarzy i odetchnął z ulgą. Upuścił głowę nieboszczyka na ziemię. Był to jakiś obcy.

- Job! - wydarł się. - Claudio! - Był to krzyk rozpaczny.

Sean puścił się pędem do szałas, w którym zostawił dziewczynę.

Kryjówka była pusta. - Job! - Rozejrzał się nieprzytomnym

wzrokiem wokoło. - Claudio!

Na skraju polanki leżało kolejne nagie ciało Murzyna. Sean podbiegł do niego. Następny nieznajomy, mały, chudy mężczyzna, z czubkiem czaszki oderwanym przez pocisk. Trup zaczynał już gnić, brzuch napęczniał jak czarny, błyszczący balon.

- Dwóch drani mniej - powiedział z goryczą Sean. - Dobra robota, Job.

Matatu podążał za Seanem i teraz sprawdzał szałas. Opuścił go po chwili i zaczął badać grunt, zataczając coraz szersze kręgi wokół polanki. Sean i Pumula przyglądali mu się w milczeniu, stojąc w jednym miejscu, żeby nie zadeptać śladów.

Po kilku minutach Matatu podbiegł do nich.

202

— To ta sama shifta, która nas tropiła. Otoczyli szafas i napadli jednocześnie ze wszystkich stron. Job zastrzelił dwóch z banduki, zostało piętnastu. - Podał Seanowi puste łuski. - Wywiązała się bójka, ale i tak ich zabrali ze sobą.

— A panienka? - Sean obawiał się odpowiedzi.

— Ndio - odparł w suahili Matatu. - Tak, ją także zabrali.

Kuleje, ale dwóch mężczyzn poprowadziło ją między sobą. Cały czas próbowała im się wyrwać. Job i Dedan zostali pobici i chyba związano im ręce. Ich krok jest niepewny. - Spojrzał na ciała. - Zdarli z trupów mundury, buty i zabrali im banduki. Poszli w tamtą stronę. - Wskazał na przesmyk.

— Kiedy? - zapytał Sean.

- Wczoraj, wcześniej. Chyba napadli na obóz o świcie.

Sean skinął ponuro głową, ale coś w nim krzyczało. Claudio,

Boże, jeśli spadnie ci chociaż włos z głowy, to wypruję z nich flaki.

- Ruszamy w pościg - rzucił. - W drogę!

Pumula pobiegł do czółna po sprzęt i manierki z wodą. Sean mocował się jeszcze z plecakiem, gdy ruszyli biegiem w drogę. Znużenie spowodowane na wpół nieprzespaną nocą i wiosłowaniem znikło jak ręką odjął. Złość czyniła go silnym i niestrudzonym.

Po pierwszym kilometrze przyjęli tempo zwiadu. Trop był wciąż stary i Sean nie musiał się obawiać zasadzki. Polegał całkowicie na Matatu, którego zadaniem było wyszukiwać oznaki ukrytej miny czy innej zasadzki mającej na celu powstrzymanie pościgu. Biegli w szeregu, w tempie niewiele wolniejszym niż w olimpijskim maratonie.

Przed oczyma Seana tańczył obraz Claudii, dodając sił w biegu.

Matatu powiedział, że jest ich piętnastu. Mężczyzn musiało pociągać białe ciało Claudii. Jak dotychczas nie znaleźli żadnych śladów świadczących, że zatrzymali się gdzieś, żeby się z nią zabawić. Sean bez cienia wątpliwości przyjął wyjaśnienia Matatu, że napastnicy napadli na obóz o świcie, zajęli go siłą i pogodzili się z własnymi stratami. Wyglądało na to, że bardziej im zależało na więźniach niż

na pomśczeniu własnych ludzi. Poza kilkoma uderzeniami kolbą Job i Dedan wyszli z walki bez poważniejszych ran. Sean martwił się jednak przede wszystkim o Claudię.

203

Zmusili ją do marszu mimo nadwerężonej nogi. To mogło jedynie pogorszyć stan kolana, a nawet spowodować trwałe kalectwo. Jeśli Claudia będzie opóźniała marsz, mężczyźni staną się niecierpliwi i mogą uciec się do przemocy. Wszystko zależało od tego, jak bardzo był im potrzebny biały więzień, najpewniej jako zakładnik w przetargach z którymś z zachodnich krajów. Ważne także było, kim są napastnicy, żołnierzami Frelimo czy partyzantami Renamo, a może zwykłymi bandytami. Liczyło się również to, kto nimi dowodzi i jaki ma posłuch wśród swoich ludzi, ale jakkolwiek na to patrzeć, Sean wiedział dobrze, że Claudia znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Czy napastnicy wiedzieli, że będą ścigani? Musieli odczytać ślady prowadzące do wioski i wiedzieli, że trzech mężczyzn - nie, z Szefem, czterej - oddalili się od reszty grupy. Odpowiedź brzmiała: Tak. Prawdopodobnie oczekiwali pościgu i mogło ich to uczynić niebezpiecznie podejrzliwymi.

Sama Claudia nie była najlepszym obrońcą własnego bezpieczeństwa. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak wyklóca się z nimi, domagając się swoich praw i odmawiając wykonywania poleceń. Mimo przejmującej troski Sean uśmiechnął się na myśl

0 dziewczynie. Napastnicy pewnie spodziewali się, że pojмали
jakieś potulne dziewczątko, ale szybko się przekonają, że mają
w swoich rękach prawdziwą tygrysięcę.

Uśmiech pierzchł. Sean był pewien, że Claudia będzie postępowała dokładnie w sposób, który rozłości napastników

1 zmniejszy jej szansę przetrwania. Jeśli przywódca grupy nie
jest silnym człowiekiem, Claudia doprowadzi go do stanu, w któ
rym będzie musiał udowodnić swoją władzę nad ludźmi. Afry
kańskie społeczeństwo jest patriarchalne. Dowódca znienawidzi
kobietę, która sprzeciwia się jego woli. Jeśli to ta sama grupa,
która zlikwidowała wioskę, to pokazali już, że potrafią być
okrutni.

Kotku, choć raz trzymaj swoją śliczną buzię na kłódkę, błagał ją w myślach.

Biegący przed nim Matatu zatrzymał się i wskazał na coś ręką. Sean stanął obok niego.

- Tutaj odpoczywali. - Matatu pokazał miejsce, gdzie grupa siedziała w cieniu zagajnika młodych drzew.

W pyłe ziemi widać było kilka rozgniecionych niedopałków. Matatu wskazał na białe nacięcia na drzewach, z których ścięto gałęzie. Mniejsze gałązki zostały odcięte i porzucone. Listki były już wysuszone, co potwierdzało ocenę Matatu, że napadu dokonano wczoraj rano.

Sean przez chwilę nie potrafił pojąć, po co naścinano gałęzi. Dopiero Matatu mu wyjaśnił.

- Zbudowali mushela dla panienki.

Sean skinął głową z ulgą. Claudia ze swoją nadwerżoną nogą opóźniała marsz, ale zamiast uwolnić się od kłopotu za pomocą kuli w tył głowy, napastnicy zbudowali dla niej nosze. Była to dobra wiadomość i Sean na nowo ocenił szansę Claudii na przetrwanie. Dziewczyna miała większą wartość dla bandytów, niż Sean przypuszczał.

Największe zagrożenie niósł wieczór poprzedniego dnia, kiedy grupa rozbiła się obozem na nocleg. Mężczyźni mieli cały dzień, żeby przyjrzeć się dokładnie dziewczynie i dostatecznie silnie rozbudzić własne fantazje i odwagę. Sean wolał nie myśleć, co się mogło z nią stać, jeśli dowódca stracił panowanie nad ludźmi.

- Idziemy, Matatu - warknął. - Marnujemy czas. - Jeśli

coś się jej przydarzyło, to i tak było już za późno. Niemniej

każda stracona sekunda doprowadzała Seana do szału.

Trop prowadził ścieżką przez las i dalej na południe przez wyschnięte obszary rzecznej rozlewiska. Był wyraźny, bo piętnastu ludzi i ich jeńcy nie starali się zacierać śladów. Matatu odczytał z pozostawionych znaków, że Job i Dedan zostali zmuszeni do niesienia prowizorycznej lektyki i Sean ucieszył się, bo to oznaczało, że jego ludzie zachowali siły. Rany, jakie odnieśli w czasie napadu, musiały być powierzchowne. Co więcej, mógł mieć pewność, że Job chwyci się każdego sposobu, aby opóźnić marsz.

Dokładnie w chwili gdy o tym pomyślał, zawołał Matatu i wskazał ślady pozostawione w miejscu, gdzie Job upuścił koniec noszy i dramatycznie rozłożył się na ziemi. Podniósł się dopiero wtedy, gdy otoczyła go grupka napastników.

- Dobra robota, Job - mruknął Sean, nie zwalniając kro

ku. - Nie ryzykuj tylko zbyt wiele. - Prowadzona przez Joba

gra była bardzo delikatna.

Biegając w tempie pościgowym, Sean i jego ludzie szybko zbliżali się do uciekinierów. Mogli mieć nadzieję, że dopadną ich przed zmierzchem.

To może być ciekawe, pomyślał Sean. Jest nas trzech z jedną strzelbą kalibru .577 przeciwko piętnastu twardym draniom uzbrojonym w AK.

Jak dotąd nie znaleźli żadnych zasadzek. Partyzanci zazwyczaj podkładali miny na drodze, którą mógł podążać pościg, i Sean zastanawiał się, czemu teraz zaniechali tego środka ostrożności. Może to jednak nie byli wyszkoleni bandyci, a może nie mieli ze sobą lekkich plastikowych min. Nie można też było wykluczyć ewentualności, że nie podejrzewają pościgu lub, co gorsza, że planują jakieś niespodzianki na później.

Zajmiemy się tym we właściwym czasie.

Matatu znowu się zatrzymał.

— Rozpalili tu ognisko wczoraj w nocy. - Wskazał na pozostałości obozowego ogniska i miejsca, gdzie ludzie się porozsiadali, żeby spożyć posiłek. Po obozie kręciło się kilka czarnych mrówek afrykańskich poszukujących resztek jedzenia.

Sean dostrzegł więcej niedopałków.

— Przeszukajcie to miejsce - polecił. - Być może Job zostawił dla nas wiadomość. - Podczas gdy Pumula i Matatu przeczesywali obóz, Sean spojrzął na zegarek: była już szesnasta, biegli od trzech godzin. Mieli jeszcze sporą szansę na dogonienie grupy przed zapadnięciem zmroku.

— Tutaj postawili nosze z panienką. - Matatu wskazał na ślady na ziemi. - W tym miejscu stała.

Sean przyglądał się odciskom jej butów, mniejszym, węższym i delikatniejszym niż odciski męskich butów. Chodząc, Claudia oszczędzała nadwerżoną nogę, pociągając piętą.

— Znalazłeś coś? - zapytał szorstkim tonem Sean. - Czy Job zostawił jakąś wiadomość?

— Nic. - Matatu potrząsnął głową.

— W porządku. Napijemy się teraz - zdecydował i podał im tabletki soli z plecaka. Nie musiał ich przestrzegać, żeby ograniczali się w picciu. Obaj mężczyźni wypili po trzy łyki i zakręcili manierki. Odpoczywali przez pięć minut. - Rusza

my - polecił Sean.

206

Godzinę później znaleźli miejsce, w którym napastnicy rozłożyli się obozem na noc. To, że po zjedzeniu obiadu przenieśli się na noc w inne miejsce, świadczyło, że są jednak wyszkolonymi żołnierzami.

- Przeszukajcie ten teren - zażądał Sean. Każda informacja zostawiona przez Joba bardzo by im się przydała.

- Nic - powtórzył kilka minut później Matatu.

Sean był rozczarowany.

— Dobrze. Ruszamy - polecił. Już miał się odwrócić, gdy

przyszła mu do głowy pewna myśl. Rozejrzał się po obozie. -

Gdzie spała memsahibl - zapytał.

— Tutaj - pokazał Matatu.

Ktoś, pewnie Job, naćcinał trawy i liści na materac dla Claudii. Sean nachylił się nad nim i zaczął przeszukiwać całe miejsce.

Nie znalazł nic. Przerzucił kilka ostatnich liści i rozczarowany zaczął się podnosić. Miał głębokie przecucie, że dziewczyna musiała coś dla niego zostawić.

- No i po niespodziance - mruknął. W tej samej chwili dostrzegł guzik na wpół zagrzebany pod ściętą trawą.

Podniósł go i wyprostował się. Był to miedziany guzik od dżinsowych spodni. Na guziku było wygrawerowane: "Ralph Hutton".

- Spodnie szyte na miarę, to mój kotek. - Schował guzik do kieszeni. - To jednak nic mi nie mówi, chyba że... - Znowu przykucnął i delikatnie odsunął ziemię tam, gdzie leżał guzik. Nie pomylił się: Claudia posłużyła się guzikiem do oznaczenia miejsca, w którym ukryła kawałek tekturki oderwanej z wierzchu paczki portugalskich cygaretek. Kartonik miał zaledwie pięć centymetrów długości, ze dwa szerokości i bardzo mało miejsca

na wiadomość, którą Claudia napisała kawałkiem węgla z ogniska.

"15 Renamo".

Była to ważna informacja, potwierdzała bowiem opinię Matatu i Sean teraz wiedział, z kim mają do czynienia.

"Uwaga". Zastanowił się nad tym słowem. Uwaga, ale na co? Przypomniał sobie nagle, że w ten sposób przestrzegają się dzieciaki w szkole przed niebezpieczeństwem.

Uśmiechnął się do siebie. Ciekawe, jak Claudia skojarzyła to słowo? Przypomniał sobie, że przecież jest prawnikiem.

207

"Uwaga. Spodziewają się ciebie".

Claudia i Job musieli podsłuchać rozmowę napastników, kiedy ci rozważali możliwość pościgu.

"Wszystko OK". Podpisała się jedną literą: "C".

Patrzył na trzymany w ręku kawałek kartonika, jakby to był jakiś drogocenny skarb.

— Moja mała ślicznotka - szepnął. - Musisz być najbys-
trzejszą i najtwardszą... - Pokręcił głową ze zdumienia, czując,
jak emocje ściskają mu gardło. Pierwszy raz przyznał się przed
sobą do uczuć, jakie wobec niej żywił. Wstał z ziemi, tłumiąc
w sobie pragnienie zobaczenia jej jak najszybciej. Nie było teraz
czasu na takie marzenia.

— Renamo - powiedział. - Miałeś rację - zwrócił się do
Matatu - jest ich piętnastu. Wiedzą, że za nimi podążamy.

Powinniśmy spodziewać się zasadzki. - Matatu i Pumula mieli
poważne miny. Sean spojrzął na zegarek. - Możemy ich złapać
przed nocą.

Po godzinie biegu napotkali ślad pierwszej zasadzki, jaką zastawili partyzanci Renamo. Czterej
mężczyźni ukryli się w miejscu, gdzie ścieżka przez równinę przechodziła w wyżej położony las. Czata
została sprytnie umieszczona na skraju wąskiej doliny, z której był dobry ostrzał na otwarty teren.
Stanowisko opuszczono krótko przed tym, jak Sean i jego ludzie dotarli do tego miejsca.

- Zaczęli wystawiać tylną straż. - Sean nie czuł się najlepiej

z powodu ryzyka, na jakie się zdecydował.

Na ziemi było widać wyraźne znaki pozostawione przez podstawę ręcznego karabinu maszynowego RPD, jednej z najprostszych i zarazem najgroźniejszych broni znajdujących się w wyposażeniu partyzantów. Gdyby Sean poprowadził swoich ludzi ku dolince, kiedy pilnowali jej partyzanci z karabinem maszynowym, pościg zakończyłby się w ciągu kilku sekund. Nadał zbyt duże tempo i nie przedsięwziął niezbędnych środków ostrożności. To obawa o Claudię zmąciła jego zazwyczaj trafny osąd.

Czata Renamo wycofała się bardzo krótko przed pojawieniem się pościgu, co oznaczało, że bardzo dobrze ocenili czas ich przybycia. Margines błędu był zbyt mały, żeby można mówić o przypadku. Załoga obsługująca RPD najpewniej przesunie się

208

teraz do przodu, żeby nie zostać zbyt daleko za główną grupą, i urządzią zasadzkę w innym miejscu.

- Wystawiamy flanki! - rozkazał niechętnie Sean. -

Oczekiwać zasadzki. - Zmiana szyku zwolni niemal dwukrotnie

nie pościg i teraz nie mieli już szans dopadnięcia napastników

przed nocą.

Nagle się okazało, że trzech mężczyzn stanowi niewystarczającą siłę. Matatu musiał iść po śladach, a Sean i Pumula osłaniali jego boki. Mieli tylko jedną broń, wielką i wolno strzelającą strzelbę, a oczekiwało ich kilkunastu wyszkolonych żołnierzy z bronią automatyczną.

To inne określenie samobójstwa, powiedział sobie Sean, ale mimo tych przeciwności z trudem powstrzymywał się przed przyspieszeniem kroku.

Biegący w środku Matatu zagwizdał. Sean stracił go na chwilę z oczu i mimo że nie był to sygnał ostrzegawczy, przypadł do ziemi. Uważnie sprawdził teren przed sobą, zanim wstał i podszedł do tropiciela.

Matatu z opaską biodrową podciągniętą do góry przykucnął obok tropu. Miał niewesołą minę. Wskazał palcem na ślad, nie odzywając się ani słowem, i Sean natychmiast się zorientował, co go tak zaniepokoiło.

- Skąd oni się wzięli? - Zabrzmiało to raczej jak protest,

a nie pytanie. Ich szansę zmalowały właśnie drastycznie i po raz

pierwszy Sean poczuł przytłaczające go przygnębienie.

Oddział Renamo został wzmocniony przez jeszcze większą grupę; ślady wyglądały tak, jakby spotkali kompanię piechoty.

- Ilu? - zapytał Sean, ale tym razem Matatu nie potrafił podać dokładnej liczby. Ślady nachodziły na siebie i były bardzo pomieszane.

Matatu zażył odrobinę tabaki, co robił zawsze, gdy chciał ukryć niepewność. Kichnął i otarł kciukami nabiegłe łzami oczy. Wyciągnął obie dłonie i czterokrotnie rozwarł palce.

- Czterdziestu?

Matatu zrobił przeproszącą minę i jeszcze raz rozwarł palce.

- Od czterdziestu do pięćdziesięciu. - Sean otworzył ma nierkę i pociągnął łyk. Woda była gorąca jak zupa, ale wyflukał nią dokładnie gardło, zanim przełknął.

209

— Później ich policzę - obiecał Matatu. - Gdy poznam każdy ślad. Teraz jednak... - splunął na zdeptaną ziemię, zrozpaczony, że sprawił Seanowi zawód.

— Jak daleko za nimi jesteśmy? - dopytywał się Sean.

Matatu posłużył się palcami niczym wskazówkami zegara. -

Trzy godziny - przetłumaczył Sean. - Nie damy rady zbliżyć się do nich przed zapadnięciem zmierzchu.

Gdy zrobiło się ciemno, Sean podjął decyzję.

- Zjemy coś teraz i poczekamy na księżyc.

Kiedy księżyc wstał, ciemności rozjaśniła jedynie delikatna srebrna poświata. Niedługo potem napłynęły chmury i nie było dosyć światła, żeby dostrzec trop. Sean zastanawiał się, czy nie maszerować na oślep przez całą noc, w nadziei, że uda im się wyprzedzić oddział Renamo, a następnie podążać za nimi krok w krok, czekając na okazję odbicia Claudii i Joba.

To zwykła fantazja, doszedł do wniosku. Od kilku dni utrzymywali wytężone tempo i wszyscy znajdowali się na skraju wycieńczenia. Błądząc w nocy po lesie, albo wpadliby na straż Renamo, albo zupełnie by ich zgubili.

- Idziemy spać - rzucił. W końcu musiał się przyznać do porażki. Skoro partyzanci wiedzieli, że są ścigani, mogli wystać

kilku ludzi, żeby się z nimi rozprawili.

Sean znalazł miejsce na nocleg spory kawałek od tropu, wśród ciernistych krzewów, których szelest z łatwością obudziłby nawet bardzo zmęczonych ludzi. Wszyscy potrzebowali snu i Sean postanowił nie wystawiać straży, uznając, że gęstwina będzie bezpieczną kryjówką. Noc była lodowato zimna. Leżeli przytuleni do siebie, ogrzewając się ciepłem ciała towarzysza. Sean zapadał już w drzemkę, gdy rozbudził go szept Matatu:

— Jeden z tych ludzi... - zaczął Matatu i zamilkł.

Sean otworzył z rezygnacją oczy.

— No powiedz już - ponaglił sennym głosem.

— Kiedyś już spotkałem jednego z tych ludzi Renamo.

— Znasz któregoś z nich? - Sean był teraz całkiem rozbudzony.

— Tak mi się wydaje, ale to było dawno temu i nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go widziałem.

210

Sean zastanawiał się przez chwilę nad tym, co to zdanie naprawdę oznacza. Sam miałby kłopoty z zapamiętaniem twarzy wszystkich osób, które spotkał w ciągu ostatnich, powiedzmy, dziesięciu lat. Matatu był zawiedziony, że nie może natychmiast rozpoznać śladów butów człowieka, które widział dawno temu, w gęszczu innych śladów.

Mimo że Sean widział już wiele razy, jak Matatu dokonuje podobnych "cudów", tym razem miał pewne wątpliwości.

- Idź spać, mały, głupi gnojku. - Uśmiechnął się w ciemnościach, objął chudą szyję przyjaciela i potrząsnął z uczuciem jego kędzierzawą głową. - Może w nocy przyśni ci się jego imię.

Sean śnił o Claudii. W jego śnie biegła naga przez las. Drzewa były czarne i pozbawione liści, a nagie konary wyginały się ku dziewczynie. Za nią gnało stado wilków. Zwierzęta także były czarne jak noc. W ciemnościach połyskiwały białe kły i różowe jęzory. Claudia zawołała go po imieniu, a jej skóra była biała i świeciła niczym księżyc. Próbował pobiec jej na ratunek, ale nogi grzęzły mu, jakby stąpał po gęstym syropie. Chciał zawołać ją, lecz jego język był drętwy niczym kotek i Sean nie potrafił wydać żadnego dźwięku.

Obudziła go potrząsająca nim szorstko dłoń. Sean chciał krzyknąć, ale z gardła wydobył mu się jedynie charkot.

- Obudź się! - Matatu potrząsnął nim. - Jęczałeś i krzy

czałeś przez sen. Riccardo cię usłyszy!

Sean usiadł szybko. Czuł, że mięśnie ma przemarznięte i wciąż był we władzy przerażającego koszmaru. Potrzebował kilku sekund, żeby się ocknąć i przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

- Za stary jesteś na takie wyprawy. - Czuł się upokorzony.

Jako żołnierz zawsze spał bezgłośnie i potrafił obudzić się

w mgnieniu oka, gdyż inaczej ktoś z łatwością mógłby poderżnąć

mu gardło.

- Wkrótce będzie dostatecznie jasno - szepnął Matatu.

W lesie słychać już było śpiewy i szczebiotliwe nawoływania

ptaków. Sean mógł zobaczyć koronkowe gałązki krzaków na tle nieba.

- Ruszamy. - Podniósł się z ziemi.

Gdy słońce było jeszcze nisko, a trawa wilgotna od rosy, dotarli do wyschniętego koryta rzeki, w którym Renamo rozbili

211

się na noc obozem. Oddział wyruszył z pierwszym brzaskiem i nie mógł być daleko od nich.

Na piaszczystym dnie rzeki Matatu rozpoznał ślady Claudii.

- Porusza się teraz swobodniej - powiedział. - Noga

szybko zdrowieje, ale Job i Pumula wciąż ją niosą. Tutaj weszła

na nosze.

Matatu zostawił delikatne odciski dziewczęcych butów i zainteresował się większymi, męskimi śladami, które dla Seana w niczym nie różniły się od pozostałych poza tym, że ich właściciel nosił buty ze wzorem choinki na podeszwie.

- Znam go - szepnął Matatu. - Pamiętam sposób, w jaki

ten człowiek chodzi... - Potrząsnął ze zdenerwowania głową

i odwrócił się.

Posuwali się teraz z zachowaniem największej ostrożności, idąc tropem oddziału przez dolinę ku okalającej ją skarpie. Ktokolwiek prowadził oddział Renamo, dobrze wiedział, gdzie się kieruje.

Sean oczekiwał, że w każdej chwili mogą natrafić na straż tylną. Obawiał się, że pierwszym ostrzeżeniem, jakie dostanie, będzie seria z karabinu maszynowego RPD, który potrafił wystrzelić sześćset pocisków na minutę.

Na terenie górzystym każda skała i każda nierówność mogły stanowić doskonały punkt na zasadzkę i trzeba było je dokładnie sprawdzić, zanim mogli iść dalej. Sean ledwo sobie radził z niecierpliwością, zmuszał się jednak do dostosowania tempa do właściwości terenu.

Wyszli zza niskiego wzgórza i przez delikatne drzewka msasa dostrzegli wąską dolinę biegnącą do centralnego masywu wznoszącego się wysoko nad poprzedzające go przedwzgórze.

- To będzie tutaj - mruknął Sean. - Tutaj urządzili za sadzkę.

Ślad prowadził prosto do przesmyku przecinającego skarpe. Wejścia broniły wysokie, czerwone skały, a przejście między skałami było pozbawione drzew, mimo że boki były gęsto porośnięte krzakami. Była to naturalna pułapka.

Biegący w środku Matatu zagwizdał i Sean, zgięty wpół, żeby nie wychylać się za krawędź skały, podbiegł do niego. Z tego miejsca mieli doskonały widok na rozciągającą się przed

212

nimi dolinę i Sean dojrzał ruch na tle porośniętego żółtą trawą piargu. Podniósł lornetkę do oczu. Wąziutka linia kropek powiększyła się do szeregu maszerujących ludzi.

Wspinali się na zbocze jeden po drugim. Większość z nich nosiła panterki i kapelusze pokryte kamuflującymi barwami, choć kilku mężczyzn miało na sobie drelichy w kolorze khaki. Czoło kolumny zniknęło już w lesie na szczycie skarpy oddalonym o jakieś pięć kilometrów, ale Sean zdążył jeszcze naliczyć dwunastu mężczyzn.

Nosze wypatrzył w środku szeregu, niesione przez czterech mężczyzn: dwóch z przodu i dwóch z tyłu. Sean chciał zobaczyć Claudię, ale zanim wyregulował ostrość, ludzie z noszami dotarli do linii drzew i zniknęli.

Opuścił lornetkę i wypolerował szkła chusteczką. Pumula nadbiegł z przeciwnej flanki. Obaj z Matatu przykucnęli za skałami i w ponurym milczeniu uważnie przyglądali się terenowi przed sobą. Sean znowu podniósł lornetkę, by obejrzeć strome zbocze porośnięte gęstymi krzakami. Miejsce świetnie nadawało się na zasadzkę. Partyzanci mogli nękać Seana ogniem krzyżowym, gdyby próbował przedostać się przez dolinę rozciągającą się u podnóża skarpy.

— Ilu widziałeś? - zapytał Sean, nie odejmując lornetki od

oczach. - Czy wszyscy weszli do lasu?

— Widziałem tylko kilku - mruknął w odpowiedzi Pumula.

— Masesh. - Matatu splunął na ziemię. Miał na myśli

sfermentowane piwo jęczmienne, którego rybacy Batonka uży

wali na płycznach jeziora Kariba jako przynęty na leszcze.

Matatu splunął ponownie, robiąc przy tym nieszczęśliwą minę. -

Ta dolina jest jak paszcza krokodyla. Chcą, żebyśmy włożyli

w nią głowy.

Sean powoli przyglądał się zboczom, opuszczając co kilka minut szkła, żeby dać odpocząć oczom, i znowu je podnosząc. Zaczął od samego szczytu. Uważnie śledził drogę w dół, przeglądając ten sam kawałek terenu po kilka razy. Starał się przy tym nie myśleć o noszach i małej figurce, którą, jak mu się zdawało, na nich dostrzegł. Skoncentrował się na poszukiwaniach. Dziesięć minut później zostały uwieńczone sukcesem.

Wypatrzył pojedynczy odblask słońca, który odbił się od zegarka czy lornetki polowej.

213

- Tam są. - Schował lornetkę. - Miałeś rację, Matatu. To pułapka. Czekają na nas.

Usiadł za głazem i starał się rozważyć sytuację logicznie, ale wspomnienie Claudii mąciło myśli. Jedynym sensownym wnioskiem było to, że dalszy pościg stał się niemożliwy. Podniósł wzrok. Pumula i Matatu spoglądali na niego ze ślepym zaufaniem. Przez prawie dwadzieścia lat znajomości nigdy nie widzieli, żeby nie potrafił wybrnąć z sytuacji. Teraz czekali cierpliwie, aż znowu dokona cudu.

Pokładana w nim nadzieja zdenerwowała Seana. Poderwał się z ziemi i cofnął za wzgórze, żeby pomyśleć spokojnie bez tych ufnych spojrzeń. Znalazł dobrze osłonięte miejsce, które zapewniało mu widok na wszystkie strony, uniemożliwiając zbliżenie się do niego od tyłu. Usiadł na ziemi ze strzelbą na kolanach i zaczął rozpatrywać wszystkie opcje.

Pierwszą, którą natychmiast odrzucił, był atak na oddział Renamo. Nawet jeśli by nie liczyć śmiesznych sił, jakimi dysponował, musiał pamiętać o znajdujących się w rękach wroga jeńcach. Z kompanią uzbrojonych Zwiadowców też nie ośmieliłby się zaatakować.

Na co więc mogą liczyć, podążając za nimi? - zapytał siebie w myślach. Poza tym, że będą stosunkowo blisko Claudii Mon-terro.

Wyglądało na to, że największe szansę uwolnienia zakładników dałaby interwencja dyplomatyczna u sprzymierzeńców Renamo, na przykład rządu południowoafrykańskiego w Pretorii. Jednakże Południowoafrykańczycy nie będą mogli zrobić nic, póki nie dowiedzą się o fakcie uprowadzenia obywatelki amerykańskiej.

Dobrze, podjął decyzję Sean. Muszę wysłać wiadomość do ambasady amerykańskiej w Harare. Uświadomił sobie jednocześnie, że rozwiązywało to kolejny ważny problem. Był odpowiedzialny za Matatu i Pumulę. Wplątał ich w sytuację wręcz samobójczą. Im bardziej zbliżali się do oddziału Renamo, tym silniejsze miał wyrzuty sumienia. Teraz los dał mu okazję do odsunięcia obu mężczyzn od niebezpieczeństwa.

Wyśle ich do Chiwewe z wiadomością dla Reemy. Otworzył plecak i znalazł mały notatnik oprawiony w skórę. Zaczął układać wiadomość.

Reema miała teczki z danymi osobistymi Riccarda i Claudii, od opisu cech charakterystycznych po numery paszportów. Ric-cardo był człowiekiem wpływowym w swoim kraju. Sean nie powiadomił Reemy o jego śmierci, ale napisał, że ojciec i córka znaleźli się w rękach partyzantów. Liczył na to, że ambasada amerykańska szybko zareaguje i w ciągu kilku godzin skontaktuje się z Pretorią.

Oczywiście od czasu nałożenia sankcji ekonomicznych na Afrykę Południową stosunki między Waszyngtonem i Pretorią były wyjątkowo złe i amerykańskie wpływy w tym rejonie świata nie miały już takiego znaczenia jak kiedyś. Mimo to Południowo-afrykańczycy powinni chętnie udzielić pomocy ze względów czysto humanitarnych.

W porządku, to załatwia sprawę Pumuli i Matatu. Sean podpisał list, wyrwał kartkę i złożył ją. Po chwili zastanowienia zapisał jeszcze jedną stronę dokładnymi instrukcjami co do rozporządzenia kwotą pół miliona dolarów, jaka należała mu się z majątku Riccarda. Reema miała przekazać te polecenia prawnikowi Seana.

Wreszcie przyszedł czas na podjęcie decyzji, co on sam ma dalej robić. Mógł wrócić do Chiwewe z wiadomością i za dwa, trzy dni siedziałby sobie w hotelu Meikles, popijając piwo Castle, planując, jak wydać pół miliona dolarów. Pomysł był rozsądny, ale Sean odrzucił go bez wahania.

A zatem będę podążał za kolumną Renamo, czekając na okazję. Uśmiechnął się do siebie, rozbawiony absurdalnością tego pomysłu. Jaką okazję? - zastanowił się. Mam czekać, aż uda mi się przebić z jedną starą strzelbą przez grupę pięćdziesięciu uzbrojonych partyzantów, wyswobodzić trójkę więźniów i jednym potężnym skokiem pokonać sto sześćdziesiąt kilometrów dzielących ich do granicy, niosąc Claudię na plecach!

W końcu wstał, założył plecak i podszedł skulony do leżących na ziemi Matatu i Pumuli. Obaj nieustannie obserwowali skarpę. Sean przypadł do ziemi obok Matatu.

- Coś nowego? - zapytał.

Matatu potrząsnął głową. Leżeli w milczeniu przez kilka minut i Sean nabierał odwagi, żeby powiedzieć małemu tropicielowi, iż musi go oddalić.

Przyglądał się jednocześnie miejscu, w którym Renamo za-

stawili pułapkę. Matatu zdawał się wyczuwać jakimś zmysłem, że święci się coś niedobrego. Rzucił Seanowi zaniepokojone spojrzenia i kiedy ten zwrócił się do niego, Matatu uśmiechnął się swoim najwdzięczniejszym uśmiechem. Zaczął się kręcić.

- Przypomniałem sobie - powiedział podekscytowanym głosem. - Przypomniałem sobie, kto to jest.

Sean, który myślał o czymś zupełnie innym, podniósł brwi ze zdziwienia.

— Kto? O kim mówisz?

— O przywódcy Renamo - odparł szczęśliwym tonem Matatu. - Powiedziałem ci wczoraj, że znam jego ślady. Teraz przypomniałem sobie, kto to jest.

— No, kto? - zapytał podejrzliwie Sean, nie dowierzając pamięci przyjaciela.

— Pamiętasz, jak skoczyliśmy z indeki, żeby zaatakować obóz w rozwidleniu rzek? - Matatu zamrugał powiekami i Sean ostrożnie skinął głową. - Pamiętasz, jak zabiliśmy ich w korycie rzeki? - Zachichotał na wspomnienie tamtej przygody. -

A pamiętasz mężczyznę, którego przyłapaliśmy na paleniu ksią żek? Nie chciał potem maszerować i musiałeś mu przestrzelić ucho? - Matatu roześmiał się ze świetnego kawału. - Z jego ucha trysnęła krew i jęczał jak dziewica.

— Towarzysz China?

— China. - Matatu miał kłopoty z wymówieniem imienia. -

Tak, to ten.

— Nie! - Sean potrząsnął głową. - To nie China. To niemożliwe!

Matatu zakrył usta, żeby zdusić śmiech. Uwielbiał, kiedy udawało mu się skonfundować i zadziwić swojego pana. Nie znał lepszego kawału.

- China! - Matatu aż się zaślinił od śmiechu i przyłożył

palec wskazujący do ucha. - Buch! - Było to dla niego takie

śmieszne, że aż się zakrztusił. - Towarzysz China.

Sean zastanawiał się nad tą nadzwyczajną wiadomością. Rozum podpowiadał mu, że musi być błędna, ale wiedział, że Matatu nie popełnia tego typu pomyłek.

- Towarzysz China! - mruknął Sean. - To trochę zmienia sytuację.

216

Wrócił w myślach do tamtego dnia. Mężczyzna zrobił na nim takie wrażenie, że mimo wielu wydarzeń krwawej wojny z łatwością przypomniał sobie jego postać. Pamiętał wyraźne rysy i ciemne, inteligentne oczy, ale cała postać wydawała się wyblakła. Przypomniał sobie natomiast pewność siebie i świadomość celu, jakie emanowały z tego człowieka. Już wtedy był niebezpieczny. Sean przypuszczał, że wskutek zdobytego doświadczenia stał się jeszcze groźniejszym przeciwnikiem.

Pokręcił głową. Był czas, kiedy żołnierze nadali mu przydomek "Szczęściarz Courtney". Chyba jednak szczęście zaczęło go opuszczać. China to ostatnia osoba, którą chciałby spotkać.

Matatu wyśmiał się do woli i teraz walczył z czkawką, trzymając się za brzuch.

- Wysyłam cię do Chiwewe - powiedział szorstkim tonem Sean.

Czkawka oraz śmiech zniknęły jak ucięte nożem. Matatu patrzył z niedowierzaniem i rosnącą rozpaczą. Sean nie mógł znieść tego oskarżycielskiego spojrzenia.

Odwrócił się do Pumuli i przywołał go do siebie.

— Tę wiadomość oddasz szefowi kuchni. Powiedz mu, żeby przekazał ją przez radio Reemie w Harare. Matatu zaprowadzi cię do obozu. Nie zbaczaj tylko z drogi, jasne?

— Mambo. - Pumula był żołnierzem, słuchał rozkazów Seana bez szemrania.

- W porządku, idźcie - polecił Sean. - Idźcie natychmiast.

Pumula wyciągnął rękę. Pożegnali się na sposób afrykański,

ściskając dłonie, dotykając się kciukami i znowu ściskając dłonie. Pumula wycofał się zgięty. Dopiero gdy znalazł się za wzgórzem, wyprostował się i pobiegł, nie oglądając się za siebie.

Sean zmusił się do spojrzenia na Matatu. Malutki tropiciel przykucnął na ziemi, starając się zmniejszyć jeszcze bardziej i ujść uwagi Seana.

- Idź! - rozkazał szorstkim głosem Sean. - Zaprowadź

Pumulę do Chiwewe.

Matatu zwiesił głowę, drżąc na całym ciele jak przerażony szczeniak.

- Wynoś się, do cholery! - huknął Sean. - Zjeżdżaj, zanim skopię ci twój czarny tyłek!

217

Matatu podniósł głowę i Sean zobaczył rozpacz w jego oczach. Najchętniej podniósłby go i przytulił.

- Zmykaj stąd, ty mały, głupi gnojku! - zrobił wyjątkowo srogą minę. Matatu cofnął się o kilka kroków, zatrzymał i spojrzał błagającym wzrokiem. - Idź już! - Sean podniósł rękę w groźnym geście.

Mały tropiciel pogodził się z nieuniknionym i ruszył truchtem w dół zbocza. Zanim zniknął w gęstych krzakach u stóp wzgórza, zatrzymał się jeszcze na chwilę i ostatni raz spojrzał na Seana, szukając najmniejszej choćby oznaki słabości. Wyglądał przy tym jak symbol przygnębienia.

Sean celowo odwrócił się do niego plecami i podniósł do oczu lornetkę. Po kilku sekundach obraz się zamglił. Sean musiał zamrugać powiekami. Mimowolnie obejrzał się przez ramię. Matatu zniknął. Sean poczuł się bardzo dziwnie, nie mając go przy sobie. Po kilku minutach podniósł ponownie lornetkę i zaczął przepatrywać skarpe. Starał się odsunąć od siebie myśli o Matatu.

Po obu stronach wejścia do wąskiej doliny ciągnęły się jak okiem sięgnąć urwiska z czerwonej skały. Nie wydawały się szczególnie wysokie; w niektórych miejscach miały zaledwie kilkaset metrów, ale były wyjątkowo strome, miejscami pionowe, a gdzieś tam bardziej miękkie skały erodowały pod warstwami twardszych pokładów, tworząc płytkie, horyzontalne jaskinie i nawisy.

Przy stromych i niedostępnych urwiskach wejście do przesmyku wyglądało bardzo zachęcająco, ale Sean skoncentrował się na skałach. Penetrował je przez lornetkę aż po horyzont. Mogło się okazać konieczne przejście kilku kilometrów wzdłuż skarpy, żeby znaleźć łatwiejszą drogę wspinaczki, ale oznaczałoby to stratę czasu. Sean wrócił wzrokiem do upatrzonego miejsca.

Znajdowało się jakieś pół kilometra na prawo od doliny. Sean wiedział, że bez towarzysza i podstawowego sprzętu górskiego wspinanie się będzie trudne, choć droga wydawała się możliwa do pokonania. Na dodatek będzie obciążony plecakiem i karabinem, a jedyną porą, kiedy mógł zaryzykować wspinaczkę, była noc. Gdyby wszedł na te odsłonięte skały za dnia, sam by się prosił o kulkę w głowę z AK.

Przez lornetkę wypatrzył skalisty ustęp przypominający schody przeciwpożarowe. Pozwalał obejść skalny nawis i dalej wiódł

218

w górę do horyzontalnego występu, który ciągnął się ze trzydzieści metrów w obu kierunkach. Z występu biegły dwie możliwe drogi na szczyt. Jedną z nich tworzył bardzo wąski skalny komin, a drugą prosta ściana skalna pokryta serpentynami korzeni potężnego figowca, który rysował się na tle nieba, rosnąc na szczycie wzgórza. Korzenie pełzały po ścianie i przeplatały się jak olbrzymie kłębowisko węży sięgające ku samej krawędzi.

Sean spojrzął na zegarek. Miał jeszcze trzy godziny, zanim ściemni się tak, żeby mógł podjąć próbę, i nagle poczuł się wyczerpany. Wiedział, że stan ten jest spowodowany nie tylko męczącym pościgiem, ale także napięciem emocjonalnym, które gwałtownie rosło od chwili, gdy ujrzął Claudię i Joba w szeregu ludzi Renamo. A także po odesłaniu Matatu.

Wycofał się powoli, zacierając za sobą ślady, i zaczął szukać kryjówki, w której mógłby bezpiecznie spędzić resztę dnia. Kiedy znalazł bezpieczną szczelinę między skałami porośniętymi zaroślami, rozluźnił sznurówki, żeby dać odpocząć nogom, i przyciskając do piersi strzelbę, wśliznął się do środka. Zjadł powoli placek kukurydziany, przeżuł tabliczkę protein i popił kilkoma łykami wody z manierki.

Wiedział, że obudzi się, kiedy słońce dotknie horyzontu. Zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął.

Matatu i Pumula biegli równomiernym truchtem do obozu nad rzeką Chiwewe. Biegli przez całą noc i w południe następnego dnia zatrzymali się przy rozlewisku, żeby uzupełnić manierki wodą z rozlewiska. Było to miejsce, w którym nie tak dawno Matatu dostrzegł trop Tukuteli z samolotu.

Pumula chciał odpocząć, ale Matatu nie trudził się nawet dyskutowaniem z nim. Odwrócił się na zachód i ruszył chwiejnym truchtem na swoich chudziutkich nogach. Pumula był zmuszony podążać za nim. Przekroczyli granicę między Mozambikiem a Zimbabwe w czasie najciemniejszych godzin nocnych i wczesnym popołudniem następnego dnia dotarli do obozu.

Zamieszanie wzbudzone ich przybyciem było olbrzymie. Zaniepokojony kucharz zapomniał włożyć wielką, białą czapę i fartuch, zanim przybiegł do nich po wiadomości o Mambo.

219

Matatu zostawił Pumuli sprawę listu od Seana i odpowiadanie na krzyżowy ogień pytań. Schował się w swoim szałasie i natychmiast zasnął zwinięty w kłębek na starym, metalowym łożu, które dostał w prezencie od Seana. Stanowiło jego najcenniejszy skarb. Przespał całe zamieszanie, kiedy kucharz wrzeszczał do mikrofonu radionadajnika VHF, jakby chciał dokrzyczeć się do Reemy w oddalonym o pięćset kilometrów Harare.

Obudził się po pięciu godzinach. W ciemnym obozie panowała cisza. Przytroczył sobie mały skórzany woreczek, wyjął zapas cennej tabaki spod materaca i napełnił nią zawieszony na szyi wydrążony róg.

Wysunął się bezszelestnie spomiędzy namiotów. Gdy oddalił się na bezpieczną odległość, wyprostował się i skierował na wschód.

- Mały, głupi gnojek - powiedział szczęśliwym głosem i ruszył biegiem, żeby zająć należne mu miejsce u boku człowieka, którego kochał bardziej niż własnego ojca.

Seana obudziło chłodne powietrze, które nadciągnęło wraz ze zmrokiem. Skały budujące skarpe powoli znikały w purpurowym, gęstniejącym niczym dym zmierzchu. Sean przeciągnął się i rozejrzał za Matatu. Przypomniawszy sobie, że jest sam, i poczuł silny skurcz w żołądku. Zawiązał buty i wypił kilka łyków wody. Kiedy zakręcił korek od manierki, podniósł ją do ucha i potrząsnął. Była opróżniona do połowy.

Otworzył zamek strzelby, wysunął dwa naboje i zamienił je na dwa nowe wyjęte z pętelek przy kieszeniach kurtki. Wycisnął dwa centymetry czarnego kremu kamuflującego z tubki i posmarował nim twarz oraz wierzchy dłoni. Następnie wstał i wspiął się na zbocze.

Ostatnie dwadzieścia minut dnia spędził na obserwowaniu wejścia do doliny i szczytu skarpy. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło. Przyjrzał się jeszcze raz wybranej drodze, ucząc się jej na pamięć.

Kiedy wreszcie noc rozpostarła się nad wzgórzami, przemknął bezszelestnie po występie skalnym i podczołgał się do podstawy skarpy. Krzaki okazały się o wiele gęstsze, niż przypuszczał. Stracił trochę czasu, by się przez nie przedrzeć.

220

Stał przy wybranej wcześniej skalnej ścianie. Było już zupełnie ciemno. Rozpoznał wejście po małym krzaku wyrastającym ze szczeliny.

Nigdy nie nosił broni przewieszanej na pasku przez ramię. Gdyby pasek zaczepił się o gałązkę w gęstym buszu akurat w chwili ataku rozdrażnionego czy rannego zwierzęcia, mogło się to dla niego niewesoło skończyć. Teraz strzelbę o krótkiej lufie owinął śpiworem i schował ją pod połę plecaka. Wystające z jednej strony kolba, a z drugiej lufa powodowały, że ciężar rozkładał się na plecach nierównomiernie. Sean podszedł do ściany i dotknął jej dłonią, żeby wyczuć powierzchnię. Skała była jeszcze rozgrzana słońcem i gładka niczym mydło.

Przed wojną Sean uprawiał wspinaczkę. Uwielbiał ryzyko, jakie niosło ze sobą wejście na pionową ścianę wznoszącą się nad przepaścią. Wspinał się w górach Ameryki Południowej i Europy, a także na Drakensberg i Mount Kenya w Afryce. Miał doskonałe wyczucie równowagi i silne palce oraz ramiona. Gdyby nie wybuch wojny, mógłby zostać jednym z najlepszych alpinistów na świecie. Nigdy jednak nie próbował wspinaczki w takich warunkach.

Zamiast specjalnych butów ze wzmocnionymi czubami miał na nogach miękkie mokasyny. Brakowało mu lin, osoby, która by go ubezpieczała, haków czy choćby czekana, a do tego musiał się wspinać po ciemku, widząc jedynie kawałek ściany nad sobą. Co gorsza, drogę poznał, oglądając ją przez lornetkę

z odległości ponad kilometra. Niczym ślepiec będzie wchodził na ścianę z czerwonego piaskowca, najniebezpieczniejszą ze skał.

Rozpoczął wspinaczkę. Odsunięty lekko od ściany posługiwał się palcami rąk i stóp, przerzucając się z jednego występu na drugi, nie zatrzymując się ani na chwilę, pnąc się gładko niczym kozica.

Z początku występy i wyrwy były równie solidne jak haki, ale wyżej ściana stawała się coraz bardziej gładka. Znajdował jedynie załamania i drobne szczeliny. Starał się posuwać jak najszybciej. Uchwyt palców, muśnięcie stopy i już przenosił się dalej. Mimo to czuł, jak miękka skała chrzęści i pęka pod jego rękami; zawsze jednak zdążył umknąć, zanim poddała się naciskowi.

221

Miejscami nie widział nic nad głową i wspinał się kierowany jedynie instynktem. Sięgał w ciemności i macał opuszkami palców w poszukiwaniu szczeliny, w której mógłby znaleźć oparcie. Nie zatrzymując się ani razu, dotarł do półki trzydzieści metrów nad ziemią.

Występ okazał się węższy, niż się wydawał z daleka; miał jakieś dwadzieścia centymetrów szerokości. Z plecakiem, z którego obu stron wystawała strzelba, Sean nie mógł się obrócić i usiąść na półce.

Musiał stać na niej twarzą do skały z piętami wystającymi poza krawędź, podczas gdy ciężar plecaka ściągał go do tyłu. Czuł się jeszcze mniej pewnie niż w czasie wspinaczki po ścianie. Rozłożył ręce i szukając nierówności w oddalonej o centymetr

o djego nosa skale, przesuwiał się krok za krokiem do przodu.

Szedł w ten sposób w stronę pionowej szczeliny, którą wypatrzył przez lornetkę. Była to pierwsza z możliwych dróg na szczyt. Sean instynktownie unikał korzeni, gałęzi i kęp trawy. Nigdy nie można było mieć co do nich pewności, toteż jak każdy dobry amator wspinaczki uważał je za zbyt ryzykowne, żeby powierzać im życie.

Liczył każdy krok do przodu. Kiedy zrobił setny, skalna półka zaczęła niebezpiecznie zwężać się pod jego stopami. Mięśnie ud silnie drżały i piekły od nienaturalnego balansowania ciałem obciążonym ładunkiem.

Po następnych dwudziestu krokach ściana zaczęła się pochyłać ku niemu. Sean wysunął mocniej biodra do przodu, żeby zachować równowagę. Był już trzydzieści metrów nad ziemią i upadek musiałby zakończyć się śmiertelnie.

Obciążenie nóg było nieznośne. Zastanowił się, czy się nie cofnąć i nie spróbować wspiąć po gęstych korzeniach figowca, ale wątpił, że mu się to uda. Czuł, że powinien się zatrzymać i dać przez chwilę odpocząć mięśniom. Wiedział jednak, że to byłby koniec. Przystanek na tej skale oznaczył porażkę i śmierć.

Zmusił się do zrobienia następnego kroku i jeszcze jednego. Ściana była tak wychylona, że plecy miał wygięte w pałąk, a nogi zdrętwiały aż po kostki. Czuł, jak trzęsą się przy każdym ruchu, i wiedział, że za chwilę się poddadzą. Nagle palce lewej ręki natrafiły na szczelinę. Ulga, jakiej doznał, przypominała zastrzyk adrenaliny.

Mięśnie się uspokoiły i mógł zrobić kolejny krok. Palce sprawnie obmacywały pionową szczelinę. Nie była dostatecznie szeroka, żeby zdołał zaklinować w niej ramię, i mocno się zwężała.

Sean wepchnął rękę, najgłębiej jak mógł, i zacisnął dłoń w pięść, klinując ją w szczelinie. Teraz mógł zawisnąć na ręce i pozwolić nogom oraz mięśniom grzbietowym przez chwilę odpocząć. Oddech rozrywał mu płuca, a strugi potu spływały po twarzy i ciele, wsiąkając w koszulę. Pot rozpuszczał krem kamuflujący i zalewał mu oczy piekącą strugą.

Zamrugnął powiekami i spojrzał w górę. Zdziwił się, że na tle

nocnego nieba może dostrzec krawędź zbocza. Dojrzał też wzno-

szaca się pionową szczelinę.

Rozejrzał się na boki. Księżyc oświetlił horyzont na wschodzie i w jego blasku las poniżej nabrał srebrnej poświaty.

Trzeba było ruszać dalej, Sean nie mógł pozwolić sobie na zwłokę. Sięgnął wolną ręką nad głowę, wepchnął ją w wąską rysę i silnie zaklinował pięść. Następnie obrócił stopę i wsunął palce do szczeliny metr powyżej skalnej półki. Noga trzymała się pewnie. Podniósł się na niej i zaklinował drugą nogę. Chwyciwszy równowagę, wspinał się szybko, noga po nodze i dłoń po dłoni.

Widział zbliżający się szczyt, teraz odległy o jakieś trzydzieści metrów. Po kolejnych kilku krokach przekonał się, że szczelina zaczyna się rozszerzać. Dłonie i stopy nie blokowały się już tak pewnie. W jakiejś chwili noga mu się obsunęła, szorując głośno po skale, aż utknęła w występie poniżej.

Sean próbował się odwrócić, usiłując wepchnąć ramię nieco głębiej, ale lufa strzelby uderzyła go w twarz, uniemożliwiając pełny obrót. Wisiał przez kilka sekund, zanim udało mu się złapać równowagę i mógł sięgnąć nad głowę, żeby znaleźć jakiś występ. Ręka natrafiła na gładką skałę i zrozumiał, że utknął.

Miał jakieś piętnaście sekund, zanim nogi odmówią posłuszeństwa. Wiedział, co musi zrobić, ale sprzeciwiało się to jego najgłębszym instynktom.

- Zrób to - zasyczał przez zęby. - Zrób to albo zginiesz.

Sięgnął za siebie i rozpiął sprzączkę paska od plecaka. Następnie wyprostował jedno ramię odchylił je do tyłu i opuścił;

pasek naramienny zsunął się z barku, zaczepiając się w zgięciu łokcia. Ciężar plecaka ze strzelbą zachwiało ciałem i Sean z dużym trudem utrzymał się na skale.

Wsunął mocno głowę w szczelinę. Ramiączko plecaka pętało mu rękę za plecami. Zebrał siły, napiął mięśnie karku i puścił drugą rękę. Zapierając się głową i utrzymując ciężar ciała na jednej nodze, wyprostował odchylone do tyłu ramiona. Z przerażeniem poczuł, że pasek zaczepił się o rękaw kurtki, ale po chwili zsunął się w dół.

Plecak poleciał w ciemność. Uwolniony od ciężaru Sean zachwiał się, w panice chwycił krawędzi szczeliny i zdołał się uchronić przed runięciem w przepaść.

Przywarł mocno do ściany i słuchał, jak plecak obija się o skałę, a stalowa lufa strzelby wydaje dźwięk niczym nocny dzwon, roznosząc się okropnym odgłosem po okolicznych wzgórzach. Długo po tym, jak plecak znieruchomiał u podnóża skarpy, echo w dalszym ciągu odbijało się od gór.

Sean obrócił się i zdołał zaklinować ramię w szczelinie. Odpoczywał przez chwilę, dysząc ciężko, osłabiony panicznym lękiem przed śmiercią. Z wolna jego oddech się wyrównał i strach ustąpił miejsca poczuciu siły. Nagle pojął, jak wspaniale jest żyć.

- Stałeś nad samą krawędzią - powiedział ochryple. -

Znowu tam byłeś. - Im większy lęk, tym większe podniecenie.

Nie dziwiło go już to tak bardzo. Upajał się wręcz świadomością,

że balansuje na skraju przepaści.

Kiedy podekscytowanie zaczęło przemijać, dotarło wreszcie do niego, w jakiej znalazł się sytuacji. Stracił plecak. Strzelba, manierki z wodą, śpiwór, żywność - nie miał nic. Pozostała mu jedynie zawartość kieszeni, mała torebka z artykułami pierwszej potrzeby i nóż myśliwski przyczepiony do pasa.

- Później się będę tym martwił, jak dotrę na szczyt - szepnął

do siebie i podjął wspinaczkę. Z jednym ramieniem wepchniętym

głęboko w skalną rysę mógł posuwać się centymetr po centy

metrze. Każdy ruch opłacał skórą zdartą z nagich kolan i kłycki.

Z wolna szczelina się rozszerzała i w końcu przeszła w szeroki komin, w którym mógł zmieścić całe ciało i podparłszy się jedną nogą, szybciej posuwać do góry. Tuż pod szczytem natrafił na zwietrzałą skałę. Jedna ściana komina była odłamana; została

224

po niej wążutka, płaska półka. Sean zdołał przesunąć się na występ i po chwili stał na tej niepewnej podporze.

Krawędź skarpy znajdowała się jakieś trzy metry nad jego głową. Kiedy stanął na palcach i wysunął ręce, najdalej jak mógł, szczyt był poza jego zasięgiem. Ściana komina odłamała się tak równo, że na gładkiej powierzchni nie została żadna szczelina. Rozsądny amator wspinaczki przesuwał się zawsze z

jednego pewnego stanowiska do następnego, nie pozostając nawet przez chwilę bez ubezpieczenia. W podobnej sytuacji wbiłby w ścianę hak, zapewniając sobie asekurację.

- Patrzcie państwo, nie ma haka - powiedział głośno Sean. - Trzeba będzie skoczyć. - Miał tylko jedną szansę. Jeśli nie złapie pewnie krawędzi, to jego następnym przystankiem będzie podnóże góry.

Wparł się mocno stopami w skałę i zgiął nogi. Półka była jednak zbyt wąska, żeby mógł przykucnąć dostatecznie nisko do dobrego wyskoku. Miał twarz wciśniętą w skałę, a plecy wystawały niebezpiecznie daleko nad przepaść.

Wziął głęboki oddech i z całej siły wybił się w górę, pomagając sobie przy tym ramionami. Był wyjątkowo niewygodnej pozycji do skoku, ale udało mu się złapać krawędzi obiema rękami. Przez ułamek sekundy dłonie ślizgały się po nagiej skale, lecz zaraz palce się zacisnęły i powstrzymały upadek.

Sean podciągnął się na rękach. Wsunął głowę nad krawędź i w świetle księżyca zobaczył, że jest to fałszywy szczyt. Kolejna skalna półka.

Występ zamieszkiwała kolonia góralców. Ostry, amoniakalny zapach ich odchodów wypełnił płuca Seana, gdy dyszał ciężko z wysiłku. Góralek to pulchne, pokryte gęstym futerkiem zwierzątko przypominające z wyglądu dziecinną zabawkę. Mimo że nie większy od królika, jest dalekim kuzynem słonia. Kolonia góralców baraszkowała gdzieś w skałach i półka wyglądała na opuszczoną. Sean podciągnął się wyżej i oparł łokciem o krawędź skały. Już miał się wciągnąć na półkę i nagle zamarł.

Cisza nocna została przerwana przez głośny, wysoki syk przypominający odgłos powietrza uchodzącego z przebitej opony. Spoczywający na wprost jego twarzy przedmiot, który w niepewnym świetle księżyca wziął za skalne zwalisko, zaczął się poruszać.

225

W jednej chwili uświadomił sobie, że jest to żmija. Tylko jeden gatunek potrafił syczeć tak głośno i osiągać takie rozmiary.

Gad był zwinięty w kłębek, pętle grubego cielska pokrytego łuskami błyszcząły delikatnie. Uniósł łeb, układając szyję w złowieszcze "S". Od jego oka odbiło się światło księżyca i zdawało się mrugać na Seana sardonicznie. Potężny, płaski łeb żmii gabońskiej, największego i najbardziej jadowego gada afrykańskiego, miał charakterystyczny kształt łopaty.

Sean mógł zeskoczyć na skalną półkę, ale miał niewielką szansę utrzymania na niej równowagi i jeśli pośliznąłby się, poleciałby w przepaść. O wiele sensowniej było podjąć walkę.

Wisiał na skale, patrząc z obrzydzeniem na przerażającego gada i starając się wyrównać oddech. Żmija przyjęła pozycję do ataku, jej głowa była o niecały metr od twarzy Seana; wiedział, że gad może w każdej chwili uderzyć całą siłą dwumetrowego cielska. Mógł go sprowokować najmniejszy ruch.

Sean wisiał na ramionach, z każdym mięśniem napiętym do granic możliwości, i próbował zdominować zwierzę siłą woli. Sekundy mijały wolno. W pewnym momencie miał wrażenie, że dostrzegł lekkie rozluźnienie wygiętej w "S" szyi.

W tej samej chwili dłoń obsunęła się, paznokcie zaszurały na skale, a gad uderzył z siłą opadającego kowalskiego młota.

Sean uchylił głowę jak bokser robiący unik przed ciosem. Zimny, pokryty łuskami nos gada otarł się o jego szczękę. Sean poczuł szarpnięcie za bark tak silne, że prawa ręka odpadła od skały, a on zawisł w półobrocie. Trzymał się teraz półki jedną ręką, wisząc bokiem do skalnej ściany.

Wiedział, że żmija wbiła się kłami w ramię albo kark, i oczekiwał strumienia piekącego jadu rozptywającego się po ciele. Gad musiał wbić się mocno, gdyż zwiślał na nim gruby jak salami, wijąc się, chłoszcząc go ogonem i sycząc przeraźliwie w ucho. Sean czuł, jak zimne, gładkie, pokryte łuskami cielsko ociera się o jego skórę.

Niemal wrzasnął z obrzydzenia. Tańczący na wszystkie strony ciężki gad spychał go ze skały, a głośne syki ogłuszały. Zaciśnięta na półce dłoń zaczęła się zsuwać, ale groźba upadku była niczym w porównaniu z ohydny gadem, który uczeplił się Seana.

Po szczęce i boku szyi spłynął lodowaty strumyk, ściekając za kurtkę. Z nagłą ulgą Sean zrozumiał, że gad nie trafił i wbił

226

się w gruby kołnierz kurtki. Zęby jadowe żmii miały prawie pięć centymetrów długości. Były silnie wygięte, przystosowane do wbijania się i wczepiania w ciało ofiary. Gad rzucał głową, a z zaklinowanych w bawełniany materiał zębów ściekał jad.

Świadomość, że zęby nie trafiły na ciało, podniosła Seana na duchu. Zacisnął dłoń na skale, powstrzymując nieuchronne obsuwanie się w przepaść. Prawą rękę miał wolną, więc chwycił nią żmiję tuż za głowę. Jego palce z ledwością zdołały ją objąć. Sean poczuł potężne mięśnie pod gładkimi łuskami.

Spróbował oderwać gada, ale zęby wbiły się w materiał niczym haczyk w rybę. Żmija syczała coraz głośniejsze, a jej groteskowe ciało o łaciatej barwie owinęło się wokół przedramienia Seana. Musiał użyć całej siły, trzymając się lewą ręką półki i szarpiąc żmiję prawą. Pociągnął tak mocno, że wyrwał zęby jadowe z otwartej paszczy, a ciemna krew zmieszana z jadem spłynęła mu po ciele. Wreszcie cisnął gada w przepaść. Natychmiast obrócił się i złapał drugą ręką za skałę.

Płakał cicho z przerażenia i wyczerpania. Minęło pół minuty, zanim zebrał siły i podciągnął się na rękach.

Uklęknął na półce i ściągnął z siebie kurtkę. Cały przód był mokry od jadu, a jeden z wyłamanych zębów tkwił w kołnierzu. Sean wyciągnął go ostrożnie, uważając, żeby nie zadrapać się ostrym końcem, i wyrzucił za siebie. Następnie wytarł się do sucha chusteczką.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ma włożyć kurtkę. Jad mógł się przedostać do organizmu przez pory w delikatnej skórze szyi i spowodować owrzodzenie albo coś gorszego. Nie mógł jednak wyrzucić kurtki, gdyż byłby wtedy wystawiony na działanie silnego słońca za dnia. Po chwili wahania zwinął ją i wcisnął za pasek. Wypierze kurtkę przy pierwszej sposobności.

Na myśl o wodzie uświadomił sobie, jak bardzo jest spragniony. Wspinaczka odwodniła go, a manierka z wodą spoczywała u podnóża skarpy. Musi znaleźć wodę przed południem, teraz jednak najważniejsze było, żeby jak najszybciej znaleźć jakąś kryjówkę.

Kiedy wstał, poczuł, jak delikatny, chłodny wiatr osusza ciało z potu. Przed sobą miał łatwą drogę na szczyt. Nie musiał się już wspinać. Wszedł ostrożnie pod sam wierzchołek i przez kilka minut leżał na ziemi, wystawiając jedynie głowę ponad krawędź.

227

Lekkie, mgliste chmury zasłoniły księżyc, więc nie mógł dostrzec zbyt wiele. Krzaki porastające gęsto dolne partie zbocza przechodziły na górze w las, który rozpościerał się niczym ciemna ściana. Pomiedzy nim a krawędzią skarpy było jakieś czterdzieści metrów skalistego terenu porośniętego jedynie sięgającą kolan trawą. Wystarczyło, żeby Sean przebiegł tę polankę, a byłby bezpieczny.

Poderwał się na nogi i zgięty mocno wpół ruszył biegiem przed siebie. Znajdował się w połowie drogi, gdy osaczył go snop światła.

Zatrzymał się, jak gdyby wpadł na ścianę, i zasłonił instynktownie oczy oślepione oświetlającym twarz promieniem. Następnie padł na ziemię i rozpląszczył na ostrych kamieniach.

Snop światła rzucał długie, czarne cienie za każdym głazem i odbijał się jaskrawym blaskiem od bladej, zimowej trawy. Sean nie podnosił głowy. Wcisnął twarz w ziemię, czując się nagi i bezbronny.

Czekał, aż coś się wydarzy, ale zewsząd otaczała go bezbrzeżna cisza. Umilkły nawet nocne ptaki i owady. Kiedy w końcu rozległ się głos wzmocniony i zniekształcony przez megafon, Sean odczuł go jak uderzenie w twarz.

- Dobry wieczór, pułkowniku Courtney. - Mężczyzna mówił znakomitym angielskim z ledwo dostrzegalnym afrykańskim akcentem. - Miał pan wspaniały czas. Dwadzieścia siedem minut i piętnaście sekund od podstawy skarpy na sam szczyt.

Mimo fali upokorzenia, jaka go załapała, Sean się nie poruszył. Cały czas bawili się z nim w kotka i myszkę.

- Nie mogę jednak panu przyznać punktów za ciche podejście. Co to było, co zrzucił pan ze skały? Po odgłosie można sądzić, że jakieś stare puszki. - Mężczyzna zachichotał. -

A teraz, pułkowniku, jeśli dostatecznie już pan odpoczął, bardzo proszę wstać z rękoma podniesionymi nad głowę.

Sean nawet nie drgnął.

- Bardzo pana proszę, pułkowniku. Zechce pan nie marno

wać mojego i swojego czasu.

Sean leżał nieruchomo, zastanawiając się w pośpiechu, czy nie wrócić na skalną półkę.

- No cóż, widzę, że trzeba pana przekonać. - Na chwilę

228

zaległa cisza i potem Sean usłyszał rozkaz wydany szeptem w nieznanym mu dialekcie.

Seria z karabinu maszynowego rozorała trawę trzy kroki przed jego głową. Sean dojrzał ogniste rozbłyski pomiędzy drzewami i rozpoznał charakterystyczny hałas wydawany przez ręczne karabiny maszynowe RPD przypominający odgłos rozrywanego ciężkiego płótna. Kule ścięły trawę i wzbily w powietrze tuman żółtego kurzu.

Sean wolno wstał. Snop światła przesunął się ku jego twarzy, ale on nie odwrócił głowy ani nie zamknął powiek.

- Pułkowniku, proszę wyciągnąć ręce nad głową.

Posłuchał. Jego tors wydawał się bardzo blady w białym

świecie.

- Cieszę się, pułkowniku, że jest pan w doskonałej formie.

Dwie ciemne postacie oderwały się od linii drzew. Trzymając

się z dala od światła, mężczyźni okrążyli Seana i stanęli za nim. Kątem oka dostrzegł, że mieli na sobie panterki w barwach ochronnych i że wymierzili w niego lufy karabinków. Zignorował ich, gdy nagle stalowa kolba AK trafiła go w kręgosłup pomiędzy łopatkami. Upadł na kolana.

Przez megafon padło natychmiast polecenie, żeby go nie bili. Dwaj partyzanci zbliżyli się do Seana z obu stron i podnieśli go z ziemi. Jeden z nich przeszukał go sprawnie, zabierając mu nóż, pas i torebkę z artykułami pierwszej pomocy. Następnie skontrolował zawartość kieszeni i cofnął się o krok, zostawiając Seana na wpół nagiego. Obaj partyzanci nie spuszczaali luf karabinków z jego brzucha.

Źródło światła zachwiało się, gdy niosący je człowiek wyszedł z lasu. Sean zobaczył, że jest to przenośna latarnia podłączona do akumulatora dźwiganego przez kogoś innego. Kilka kroków za nimi szedł mężczyzna z megafonem, cały czas trzymając się w cieniu.

Nawet przez oślepiające światło Sean dostrzegł, że jest to wysoki i szczupły mężczyzna idący miękkiem, niemal kocim krokiem.

- Minęło wiele czasu, pułkowniku Courtney. - Był do

statecznie blisko, żeby rozmawiać bez pomocy megafonu, i Sean

natychmiast rozpoznał jego głos.

229

— Wiele lat - zgodził się.

— Musi pan mówić głośniej. - Mężczyzna zatrzymał się

kilka kroków przed jeńcem i żartobliwie przyłożył dłoń zwiniętą

w trąbkę do ucha. - Jestem głuchy na jedno ucho - powiedział.

Sean uśmiechnął się sardonicznie.

- Lepiej bym zrobił, gdybym rozwalił ci od razu drugie

ucho, towarzyszu China.

- Taak - zgodził się China. - Naprawdę musimy pogadać

0 starych czasach. - Uśmiechnął się. Rozluźniony, czarujący

1 jowialny wyglądał na bardziej przystojnego, niż Sean zapamię

tał. - Niestety, pułkowniku, obawiam się, że przez pana jestem

trochę spóźniony. Oczywiście miło mi odnowić starą przyjaźń,

nie mogę jednak dłużej pozostawać poza dowództwem. Później

będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać, ale teraz muszę

pana opuścić. Moi ludzie zaopiekują się panem.

Odwrócił się i zniknął w ciemnościach za snopem światła. Sean chciał zawołać za nim: "A moi ludzie i dziewczyna... czy są bezpieczni?", ale się rozmyślił. Przy tym człowieku lepiej było nie okazywać żadnej słabości i nie dawać mu jakiegokolwiek broni, którą mógłby później wykorzystać przeciwko niemu. Sean zmusił się do milczenia, gdy strażnicy zaczęli go popędzać wprawnymi uderzeniami kolb karabinów.

Wkrótce dołączymy do głównej kolumny, pocieszał się. Będę mógł się przekonać na własne oczy, jak czuje się Claudia i Job.

Wspomnienie dziewczyny było niczym orzeźwiający łyk

chłodnej wody.

Grupa konwojująca składała się z dziesięciu mężczyzn pod dowództwem sierżanta.

Łatwo było poznać, że są to specjalnie dobrani żołnierze, silni i wysportowani jak stado wilków ze snu Seana. Wkrótce natrafili na wydeptaną ścieżkę i żołnierze otoczyli go, zmuszając do lekkiego truchtu. Skierowali się na południe.

Żaden ze strażników nie odzywał się ani słowem. Było to dziwne uczucie, gdy biegli w ciszy przerywanej rytmicznym stukotem stóp, płytkimi oddechami i przypadkowym brzęknię-

230

ciem sprzętu. Sean czuł w ciemnościach wokół siebie gorący zapach ich ciał.

Po godzinie biegu sierżant zarządził odpoczynek i grupa zatrzymała się przy ścieżce. Sean zbliżył się do pierwszego z brzegu partyzanta i wskazał na manierkę z wodą.

Mężczyzna zwrócił się do dowódcy. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedzieli od początku biegu. Sean zrozumiał, co mówi mężczyzna. Partyzant odezwał się w szangane. Szangane należeli do jednego z plemion zuluskich pokonanych przez wojska króla Czaki w bitwie nad rzeką Mhlatuze w roku 1818. W przeciwieństwie do władców innych plemion król Soshangane nie zgodził się na włączenie jego plemienia do imperium Czaki i uciekł z niedobitkami armii na północ, gdzie założył własne królestwo. Plemię Szangane zajmowało obecnie obszary wzdłuż granicy Zimbabwe z Mozambikiem.

Język szangane był spokrewniony z zulu. W swoim obozie Sean zatrudniał wielu mężczyzn z tego plemienia, którzy, jak ich zuluscy przodkowie, cechowali się szlachetnością i dzielnością. Sean nauczył się także ich języka, który był podobny do sindebele.

Jednakże nie chciał, aby strażnicy zorientowali się, że rozumie, o czym mówią. Zachował obojętną minę, gdy partyzant powiedział:

— Mabunu chce pić.

— Daj mu wody - odparł sierżant. - Wiesz, że inkosi chce

go dostać żywego.

Mężczyzna podał Seanowi manierkę. Mimo że woda była ciepła i miała posmak mułu, Sean pił, jakby to był veuve clicquot podany w kryształowych kieliszkach.

Inkosi chce go dostać żywego. Sean zastanawiał się nad słowami sierżanta, oddając manierkę. Słowo inkosi, czyli dowódca, odnosiło się oczywiście do Chiny. China wydał rozkaz, żeby dbano o jeńca. Sean poczuł ulgę, ale nie miał czasu, żeby się nią cieszyć. Po kilku minutach odpoczynku oddział ruszył biegiem na południe.

Biegli przez całą noc do świtu. Sean oczekiwał, że w każdej chwili natkną się na główną kolumnę z Claudią i Jobem, ale zostawiali za sobą kolejne kilometry, nie napotykając ich. Kiedy

231

zrobiło się jasno, zaczął rozglądać się za śladami głównego oddziału. Nie znalazł żadnych i doszedł do wniosku, że obrali inną drogę.

Dowodzący grupą sierżant okazał się doświadczonym żołnierzem. Na flankach przed nimi biegło dwóch żołnierzy, sprawdzając drogę w poszukiwaniu zasadzki urządzonej przez oddziały Frelimo. Wyglądało jednak, że bardziej niż ataku z lasu partyzanci obawiają się zagrożenia z nieba. Cały czas pozostawali pod osłoną lasu, a kiedy musieli przekroczyć jakąś polanę, zatrzymywali się i wpatrywali w niebo, nasłuchując odgłosów silników, zanim odważyli się opuścić schronienie i przebiec sprintem otwartą przestrzeń.

Pierwszego ranka usłyszeli z daleka słaby odgłos silników turbinowych. Na rozkaz sierżanta wszyscy padli. Po obu stronach jeńca leżeli partyzanci, przyciskając mu twarz do ziemi, aż turkot samolotu ucichł w oddali.

Te zabezpieczenia przed atakiem z powietrza zdumiały Seana. Wszystko, co słyszał i czytał na temat sił powietrznych Frelimo, wskazywało na to, że są słabe, prawie nieliczące się w walce. Frelimo mieli jedynie przestarzałe typy samolotów, które nie nadawały się do nalotów na cele naziemne, a nieliczna obsługa i brak części zamiennych potęgowały kłopoty. Jednakże Sean widział na własne oczy, że partyzanci podchodzą do sprawy bardzo ostrożnie.

W południe sierżant zarządził następny postój. Jeden z żołnierzy przygotował posiłek na małym ogniu, który szybko został zasypany. Oddział przebiegł kilka kilometrów dalej, zanim się zatrzymali, żeby spożyć przyrządzony obiad. Sean otrzymał swoją porcję, taką jak pozostali. Placki kukurydziane były twarde i słone, a mięso zjełczałe i lekko nadgniłe. Przeciętny biały człowiek dostałby szybko zapalenia jelit po spożyciu takiego posiłku, ale żołądek Seana był przyzwyczajony do afrykańskiego pożywienia. Zjadł bez smaku, ale i bez obaw.

- Dobre jedzenie. - Sierżant przysiadł się do Seana, odzywając się w szangane. - Chcesz jeszcze?

Sean zrobił minę, jakby nie rozumiał, i odpowiedział po angielsku:

- Przykro mi, ale nie rozumiem, co mówisz.

232

Sierżant wzruszył ramionami i jadał dalej w milczeniu. Kilka minut później odwrócił się do Seana i zawołał:

- Uważaj, za tobą jest wąż!

Sean ledwie opanował chęć poderwania się na równe nogi. Po chwili uśmiechnął się i powtórzył:

— Przykro mi, ale nie rozumiem, co mówisz.

Sierżant się rozluźnił. Jeden z partyzantów powiedział:

— On nie rozumie naszego języka. Możemy przy nim mówić.

Partyzanci pozostawili Seana samemu sobie i rozmawiali przez

resztę posiłku. Po skończonym obiedzie dowódca wyjął z plecaka lekkie kajdanki i przykuł rękę jeńca do swojej. Dwóch ludzi stanęło na warcie, a reszta położyła się spać.

Mimo zmęczenia spowodowanego wysiłkiem fizycznym i małą ilością snu Sean leżał rozbudzony i zastanawiał się nad sytuacją, usiłując dopasować do siebie brakujące fragmenty łamigłówki. Przede wszystkim nie był pewien, czy znajduje się w rękach Renamo. Na razie miał tylko krótką wiadomość od Claudii sugerującą, że jest to Renamo. Poza tym towarzysz China był komisarzem w komunistycznej armii ZANLA* Roberta Mugabe, podczas gdy Renamo było zdecydowanie antykomunistyczne i prowadziło wojnę dążącą do obalenia marksistowskiego rządu Frelimo. Coś tu się nie zgadzało.

Co więcej, w poprzedniej wojnie China walczył przeciwko rodezyjskiej armii Iana Smitha. Co zatem robił po drugiej stronie granicy zamieszany w walkę zupełnie innego kraju? Czyżby China był zwykłym najemnikiem? A może szukał jakichś korzyści dla siebie w mozambickim chaosie? Sean czuł, że powinien poznać odpowiedzi na te pytania.

Jego ostatnią myślą, zanim zmorzył go sen, była Claudia Monterro. Jeśli China chciał go żywego, to najpewniej nie zamierzał też robić krzywdy dziewczynie. Z tą myślą Sean zapadł w głęboki i mroczny sen. Na jego ustach rysował się delikatny uśmiech.

Obudził go ból przemęczonych mięśni i siniaków pozostawionych przez kolby karabinów. Sierżant nie dał mu czasu na

* Afrykańska Armia Wyzwoleńcza Narodowego Zimbabwe. (Zimbabwe African National Liberation Army).

233

dobudzenie się i zmusił do biegu na południe. Sean spostrzegł, że głębokie cienie wieczoru przyniosły ze sobą chłodniejsze powietrze. Po przebiegnięciu kilometra rozgrzał się odpowiednio i poczuł, jak z mięśni znikła sztywność. Wydłużył krok, z łatwością dotrzymując tempa eskorcie. Jednocześnie cały czas penetrował wzrokiem teren przed sobą, mając nadzieję, że zaraz dostrzeże główną kolumnę wyłaniającą się z narastających ciemności i zobaczy Joba i Dedana niosących nosze z Claudią.

Biegli przez całą noc. Kiedy zatrzymali się na posiłek, partyzanci, między kęsami placków kukurydzianych i nieświeżego mięsa, zaczęli rozmawiać na temat Seana.

- Słyszałem, że w poprzedniej wojnie był lwem i pożerał

ludzi - oznajmił sierżant. - To on poprowadził atak na In-

hlozane, obóz treningowy na wzgórzach Dziewczęce Piersi.

Wszyscy spojrzeli na Seana z zaciekawieniem i pierwszymi oznakami szacunku.

- Mówią, że własnoręcznie przestrzelił ucho generałowi

Chinie.

Mężczyźni zachichotali, kręcąc głowami na świetny dowcip.

- Ma ciało wojownika - powiedział jeden z nich.

Wszyscy zaczęli przypatrywać się Seanowi, otwarcie komentując jego wygląd, jak gdyby był przedmiotem.

- Dlaczego generał China polecił nam to robić? - zapytał inny żołnierz.

Sierżant uśmiechnął się do niego, wytlubując sobie palcem resztki mięsa spomiędzy zębów.

— Musimy tak go zmęczyć, żeby pozbył się dumy i gniewu.

- Dowódca wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Generał

China chce, żebyśmy go zmienili z lwa w psa, który będzie merdał ogonem i robił, co mu się każe.

— On ma ciało wojownika - powtórzył mężczyzna. -

Musimy się przekonać, czy ma też serce wojownika. - Wszyscy się roześmiali.

A więc to zawody. Sean zachował obojętny wyraz twarzy. W porządku, wy dranie, pokażę wam, kto będzie pierwszy machał ogonem.

W jakiś przewrotny sposób zaczęła go bawić ta sytuacja. Wyzwanie przypadło mu do gustu. Miał przeciwko sobie dzie-

234

sięciu mężczyzn, z których żaden nie skończył trzydziestu lat. Sean przekroczył już czterdziestkę, ale ten fakt sprawiał, że zawody stały się jeszcze bardziej pasjonujące. Nowa podnieta pozwoliła łatwiej znieść ciężar i monotonię następnego dnia. Oczywiście starał się, żeby partyzanci nie zorientowali się, iż urządził sobie zawody. Wiedział, jak niebezpiecznie byłoby zrazić ich do siebie czy poniżyć. Dobra wola i szacunek bardziej mu się przydadzą niż wrogość i nienawiść.

Sean spędził dorosłe życie w towarzystwie czarnych mężczyzn. Poznał ich jako służących i równych sobie, myśliwych i żołnierzy, jako dobrych i lojalnych przyjaciół oraz jako zaciekle i okrutnych wrogów. Znał ich siłę i słabości. Wiedział, jak je wykorzystywać. Rozumiał też zwyczaje plemienne, ich

specyficzną etykietę, potrafił im schlebiać czy wyrzeć na nich wrażenie, zyskać ich szacunek i przyjaźń..

Do partyzantów odnosił się z szacunkiem, ale nie na tyle, by odważyli się nim pogardzać. Specjalnie się pilnował, by nie podważać autorytetu dowódcy i nie zmusić go do zachowania, przez które straciłby twarz u swoich podwładnych. Wykorzystywał też ich poczucie humoru i dowcip. Posługując się uniwersalnym językiem znaków i min, spowodował, że zaczęli śmiać się wraz z nim. Ze śmiechem przyszła subtelna zmiana w ich nastawieniu do więźnia. Stał się teraz jakby towarzyszem i nie używano już kolb karabinów jako instrumentu perswazji. Co ważniejsze, każdego dnia zdobywał nowe, cenne informacje.

Po drodze dwukrotnie mijali spalone wioski. Pola uprawne zdążyły porosnąć już chwastami, a wiatr unosił czarne popioły. Sean wskazał na ruiny.

— Renamo? - zapytał i w odpowiedzi zobaczył wściekłe miny żołnierzy.

— Nie! Nie! - zaprotestował sierżant. - Frelimo! Frelimo! - Następnie poklepał się po piersi. - Ja Renamo - pochwalił się. Wskazał na swoich ludzi. - Renamo! Renamo!

— Renamo! - potwierdzili z dumą.

— No to wszystko jasne - roześmiał się Sean. - Frelimo.

Bang! Bang! - Wykonał gest, jakby mierzył z broni do Frelimo, i partyzanci roześmieli się zachwyceni, przyłączając się do wymownej pantomimy.

235

Stosunek partyzantów zmienił się jeszcze bardziej na korzyść Seana. Na kolejnym postoju sierżant wręczył mu wyjątkowo dużą porcję zepsutego mięsa. Podczas gdy Sean jadł swój obiad, partyzanci omawiali jego zachowanie tego dnia. Wszyscy zgodzili się, że świetnie daje sobie radę.

- No tak - zastanawiał się sierżant - wiemy, że potrafi biegać i zabijać ludzi, ale czy potrafi zabić henshaw!

W języku szangane henshaw oznacza sokoła. W ciągu pięciu dni Sean słyszał wiele razy, jak powtarzają to słowo, zawsze spoglądając z niepokojem na niebo. Także i teraz ich twarze spoważniały na wspomnienie drapieżnego ptaka. Ukradkiem rozejrzeli się po niebie.

- Generał China sądzi, że tak - kontynuował sierżant. -

Ale kto wie? Kto wie?

Sean był do tego stopnia pewien swojej pozycji, że postanowił narzucić rozwiązanie próby przez walkę na wyczerpanie.

Kiedy znowu ruszyli biegiem, zaczął przyspieszać. Zamiast trzymać się swojego miejsca w szeregu biegnących, dwa kroki za prowadzącym sierżantem, Sean zbliżył się do niego tak, że niemal deptał mu po piętach. Jednocześnie oddychał przesadnie głęboko, dysząc dowódcy w spocony kark. Sierżant instynktownie przyspieszył kroku i Sean znowu go dogonił, trzymając się tak blisko za nim, że zmuszał go do zwiększenia tempa.

Zirytowany sierżant obejrzał się, a Sean uśmiechnął się do niego, dysząc mu prosto w twarz. Oczy żołnierza zwęziły się niebezpiecznie, gdy uświadomił sobie, co się dzieje. Zaraz jednak odwzajemnił uśmiech i jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

- Właśnie tak, przyjacielu - powiedział po angielsku

Sean. - A teraz zobaczmy, kto będzie merdał ogonem.

Reszta kolumny szybko została w tyle. Sierżant wydał rozkaz ostrym głosem, żeby dołączyli, i żołnierze zaczęli biec za nimi. Po godzinie zostało ich tylko trzech, a reszta biegnącego przez las oddziału rozciągnęła się w kilometrową linię. Droga przed nimi stawała się coraz bardziej stroma; wspinali się na kolejny wysoki płaskowyż.

Sean zrównał się z sierżantem. Biegli przez chwilę ramię w ramię, ale kiedy spróbował go wyprzedzić, żołnierz wyrwał do przodu. Stok wzgórza był tak stromy, że ścieżka wiła się do

236

góry serpentynami i na zakręcie sierżant wysunął się przed Seana. Ten dogonił go i minął na prostej.

Gnali teraz co sił w nogach. Co jakiś czas jeden z nich wychodził na prowadzenie, a trzeci mężczyzna odpadł, zanim jeszcze dotarli do połowy wzgórza. Ścigali się z zacięciem, oblani potem, dysząc ciężko jak lokomotywy parowe.

Nagle Sean zeskoczył ze ścieżki i popędził prosto przez zarośla, ścinając zakręt i wybiegając piętnaście metrów przed Szangane. Sierżant zawołał na niego rozżłoszczony, ale sam ściął kolejny zakręt. Teraz obaj opuścili ścieżkę i biegli prosto pod górę, przeskakując przez głazy i korzenie jak para uciekających byków kudu.

Sean wbiegł na szczyt trzy kroki przed sierżantem, rzucił się na ziemię i przetoczył na plecy, spazmatycznie łapiąc powietrze otwartymi ustami. Sierżant opadł na ziemię obok niego, oddychając równie ciężko. Po minucie Sean usiadł niepewnie i obaj mężczyźni patrzyli na siebie z podziwem.

Nagle Sean zaczął się śmiać. Był to chrapliwy i bolesny rechot, ale po chwili sierżant przyłączył się do niego, mimo że każdy poryw wesołości rozrywał mu piersi. W miarę jak coraz lepiej chwyтали oddech, ich śmiech przybierał na sile. Kiedy reszta grupy wdrapała się na wzgórze, znalazła obu mężczyzn siedzących naprzeciw siebie i śmiejących się jak para szaleńców.

Godzinę później ruszyli w dalszą drogę. Sierżant opuścił ścieżkę i skierował się prosto na zachód. W sposobie, w jaki prowadził kolumnę, można było się wreszcie dopatrzeć celu.

Sean zrozumiał, że próba dobiegła końca.

Przed zmrokiem dotarli do pierwszej linii umocnień partyzantów Renamo. Obóz znajdował się nad brzegiem szerokiej, ale leniwie płynącej rzeki, z której wystawały wypolerowane przez wodę głazy i łachy piachu. Okopy i stanowiska ogniowe wyłożono pniami drzew oraz workami z piaskiem i bardzo starannie zakamuflowano. Były to stanowiska moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych wycelowanych na północny brzeg rzeki.

Sean odniósł wrażenie, że umocnienia rozciągają się na dużym obszarze. Domyślił się, że stanowią zewnętrzny obwód zgrupo-

237

wania wojskowego w sile batalionu, a może nawet dywizji. Kiedy grupa przeszła przez rzekę i została przepuszczona przez pilnującą umocnień straż, obecność Seana wśród partyzantów wzbudziła powszechne zaciekawienie. Żołnierze powychodzili ze schronów i zebrali się tłumnie wokół grupki strażników, którzy najwyraźniej cieszyli się z szacunku, jaki wzbudzali wśród kolegów ze względu na białego jeńca.

Tłum ciekawskich przerzedził się i rozstał, gdy do grupy zbliżył się baryłkowany oficer w okularach. Eskorta Seana zasalutowała mu w teatralny sposób, na co oficer odpowiedział niedbałym dotknięciem końcem pałeczki kasztanowego beretu.

- Pułkownik Courtney - przywitał Seana zrozumiałym

angielskim. - Powiadomiono nas o pańskim przybyciu.

Sean z ulgą zauważył, że oficerowie Renamo uznawali tradycyjne rangi wojskowe przejęte po Portugalczykach. Mężczyzna, który go przywitał, nosił epolety majora. W czasie wojny partyzanci zrezygnowali z imperialistycznych tradycji i pozbyli się elitarnych stopni oficerskich.

- Spędzi pan tę noc z nami - powiedział major. - Będzie

pan moim gościem w kantine.

Było to wyjątkowe traktowanie. Nawet strażnicy Seana byli pod wrażeniem i w jakiś sposób z niego dumni. Sierżant osobiście odprowadził go nad rzekę i nawet wręczył mu kawałek zielonego mydła do wyprania kurtki i szortów.

Kiedy ubranie suszyło się na skale, Sean kąpał się nagi w rzece, a następnie zużył resztkę mydła do zmycia z twarzy kremu kamuflującego, brudu i umycia włosów. Nie golił się od czasu opuszczenia obozu Chiwewe dwa tygodnie temu. Jego broda była już gęsta i długa.

Namydlił się pod pachami i w kroczu, opłukał i spojrzał na własne ciało. Nie znalazł na nim nawet grama tłuszczu, a pod opaloną skórą widać było wyraźnie każdy mięsień. Nie był w tak doskonałej

kondycji od czasu wojny. Wyglądał jak koń czystej krwi u szczytu formy przygotowany przez dobrego trenera na wyścigi.

Sierżant pożyczył mu stalowy grzebień, więc rozczesał włosy. Opadły mu na ramiona, gęste, falujące i lśniące od wody. Włożył wilgotne jeszcze ubranie, żeby na nim wyschło. Czuł się wy-

238

śmienicie, naładowany energią, jaką przynosi szczyt formy fizycznej.

Kantyna oficerska znajdowała się w podziemnym schronie i była pozbawiona wszelkich ozdób czy dekoracji poza prostymi meblami wykonanymi z drewna. Gospodarzami Seana był major, kapitan i dwóch młodych podoficerów.

Ilość jedzenia pozwalała przymknąć oczy na sposób, w jaki zostało podane. Na stole stała parująca misa pełna gulaszu z suszonych ryb i chili, pozostałość portugalskiego kolonializmu: ognisty peri-peri i wszechobecna kasza kukurydziana.

Był to najlepszy posiłek, jaki Sean jadł od czasu opuszczenia obozu Chiwewe, ale atrakcją obiadu był podany przez majora alkohol; nieograniczona ilość cywilizowanego piwa w puszkach. Widniały na nich napisy "Castle Lager", a na dole małymi literami wydrukowano: "Verwaardig in Suid Afrika, wykonano w Afryce Południowej". Była to wyraźna wskazówka, jakie państwo Re-namo uważa za swojego sojusznika.

Jako gość Sean zaproponował toast. Wstał i wznosił puszkę piwa.

- Renamo - powiedział. - I lud Mozambiku.

Major natychmiast odpowiedział:

- Prezydent Botha i naród południowoafrykański. - Gos

podarze wiedzieli, że Sean pochodzi z południa i traktowali go

jak honorowego gościa.

Poczuł się bezpieczny w ich towarzystwie i po raz pierwszy od wielu miesięcy trochę się upił.

W czasie wojny major walczył po stronie Rodezji. Opowiedział Seanowi, że podobnie jak Job Bhekani był podoficerem w Afrykańskich Strzelcach Rodezyjskich*, elitarnym czarnym regimencie, który w czasie wojny zadał poważne straty partyzantom ZANLA. Wkrótce w schronie zapanowała atmosfera braterstwa broni. Nie naciskając majora, Sean zdołał wydobyć z niego okruchy informacji, które oficer wypuszczał tym chętniej, im bardziej ubywało puszek z piwem.

Okazało się, że podejrzenia Seana były słuszne. Oddział stanowił północny obwód armii Renamo. Fortyfikacje osłaniające

Rhodesian African Rifles (RAR).

zgrupowanie były głębokie i rozrzucone w celu zmniejszenia strat na wypadek bombardowania z powietrza. Z bazy, w której się znajdowali, oddziały dokonywały wypadów na południe, uderzając na garnizony Frelimo, niszcząc linię kolejową między miastem Beira na wybrzeżu a Harare, stolicą Zimbabwe.

Kiedy kończyli pierwszą skrzynkę piwa, Sean i major zaczęli poważną dyskusję na temat znaczenia linii kolejowej. Zimbabwe było krajem śródlądowym. Dwie linie kolejowe stanowiły jedyne główne połączenia ze światem zewnętrznym. Druga linia biegła na południe przez Johannesburg do portów Durban i Kapsztad w Afryce Południowej.

Marksistowski rząd Mugabego cierpiał bardzo z powodu uzależnienia od kraju, który dla nich był symbolem zła w Afryce, bastionem kapitalizmu i wolnego rynku, krajem, który przez jedenaście lat wojny wspierał biały reżim Iana Smitha. Mugabe nieustannie zwracał się w swojej historycznej retoryce przeciwko południowemu sąsiadowi, ale ręka apartheidu niezmiennie była zaciśnięta wokół głównej arterii kraju. Instynkt podpowiedział Mugabemu, żeby zwrócić się o pomoc do Mozambiku. W czasie walki o niepodległość Mugabe pomagał prezydentowi Mozambiku Samorze Machelowi, którego walka o uwolnienie z portugalskiego jarzma niedawno zakończyła się zwycięstwem.

Frelimo zapewniło Mugabemu rekrutów, broń i pełne wsparcie dla jego partyzantów. Bez jakichkolwiek zastrzeżeń udostępniono mu bazy, z których mógł atakować Rodezję. Nic dziwnego, że i teraz Mugabe zwrócił się do Mozambiku o pomoc, chcąc skończyć z okropnym poniżeniem, bo cała Afryka i jego przyjaciele z Organizacji Jedności Afrykańskiej wytykali go palcami za handel z potworem z południa. Mugabe nie tylko handlował, ale był całkowicie uzależniony od Afryki Południowej w kwestii każdego litra benzyny i każdego kilograma artykułów niezbędnych do przetrwania państwa.

Linia kolejowa łącząca Harare z portem Beira w Mozambiku była jedynym rozwiązaniem tej sytuacji. Niestety, urządzenia portowe, jak i cała kolej, popadły w ruinę pod zarządem socjalistycznego państwa. Istniało jednak proste i wypróbowane rozwiązanie: pomoc ze strony państw rozwiniętych. Każdy afrykański marksista wiedział, że Murzyni mieli pełne prawo

do tej pomocy i wszelkie opory mogły łatwo zostać przełamane za pomocą równie prostego i sprawdzonego środka: określenia ich jako rasistowskich. Takie oskarżenie zawsze zapewniało natychmiastowe zniknięcie trudności. Szacunkowa ocena kosztów naprawy portu i doprowadzenia linii kolejowej do stanu używalności wynosiła cztery miliardy dolarów, ale ponieważ w Afryce aktualne koszty zawsze były o sto procent wyższe, suma ośmiu miliardów wydawała się bardziej realistyczna. Nie było to wiele, zważywszy na to, że Zachód był im po prostu winien te pieniądze. Na pewno nie była to za wysoka cena za przyjemność i prestiż, jaki Mugabe zdobędzie, kiedy zagra na nosie potworowi z południa.

Istniała jednak drobna przeszkoda: armia Renamo. Partyzanci Renamo kontrolowali większą część linii kolejowej, atakując ją niemal każdego dnia, wysadzając mosty i tunele, zrywając szyny i ostrzeliwując składy pociągów.

Spowodowane przez nich zniszczenia były niczym w porównaniu z tym, że ich działania dawały Zachodowi wymówkę do wstrzymania pomocy finansowej do czasu, kiedy magistrala będzie w stanie transportować cały import i eksport Zimbabwe.

Wysiłki rządu Frelimo zmierzające do ochrony kolei były tak słabe i niezdarne, że Zimbabwe musiało przyjść im z pomocą. Ponad dziesięć tysięcy żołnierzy Mugabego pilnowało linii, broniąc jej przed atakami Renamo. Sean słyszał opinie, że obciążenie gospodarki Zimbabwe, jednej z mniej stabilnych w południowej Afryce, kosztami tych operacji sięga miliona dolarów dziennie.

Zakrawało na ironię, że dawny partyzant Mugabe został zmuszony do przyjęcia roli pasywnego obrońcy. Doświadczał teraz tych samych ciosów, które wcześniej z taką przyjemnością sam zadawał.

Sean i major śmiali się do rozpuku z tego wyśmienitego dowcipu, po czym rozpoczęli drugą skrzynkę piwa. Był to znak, że skończył się czas poważnej dyskusji.

A zatem przeszli do przyjemnych wspomnień z czasów wojny i szybko odkryli, że obaj brali udział w operacji Mavuradonhas, kiedy wojsko rodezyjskie zabiło czterdziestu sześciu partyzantów. Jak wszystkie udane akcje tak i ta została uznana za "dobry

241

ubój". Zwiadowcy oddziału dowodzonego przez Seana leżeli na czatach u wejścia do wąwozu jako grupa blokująca, podczas gdy spadochroniarze z regimentu strzelców rodezyjskich zeskoczyli po drugiej stronie obozu i nagonili terrorystów na ich karabiny.

- Wypłoszyliście tyle antylop co ciemniaków - wspominał

Sean. - Nie wiedziałem, do kogo najpierw strzelać. - Znowu

się roześmiali i zaczęli wspominać inne niebezpieczne operacje,

pościgi i "dobre uboje".

Wypili toast za Iana Smitha, a następnie za Zwiadowców Ballantyne'a i Afrykańskich Strzelców Rodezyjskich. Ponieważ zostało im jeszcze sporo piwa, wzniesli toasty za Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. Kiedy skończyła im się lista konserwatywnych przywódców, Sean zasugerował:

- Na pohybel Gorbaczowowi!

Toast został przyjęty z entuzjazmem i zaraz major zaproponował:

- Na pohybel Frelimo i Chissano! - Lista nazwisk lewico

wych przywódców była dłuższa niż konserwatystów, ale przy

kolejnych puszkach piwa udało im się ich wszystkich potępić,

od Neila Kinnocka aż po Teddy'ego Kennedy'ego i Jessego

Jacksona.

Kiedy przyszła pora rozstania, objęli się jak dwaj bracia. Sean napełnił sobie wszystkie kieszenie pełnymi puszkami i gdy wrócił do strażników Szangane, został przywitany równie entuzjastycznie.

Rankiem sierżant obudził go, gdy na dworze było jeszcze ciemno. Seanowi pękała głowa, a w ustach czuł smak, jakby spała w nich hiena. Była to kara za jego wyśmienitą kondycję fizyczną. Reakcja organizmu na alkohol była o wiele silniejsza niż zazwyczaj, a Sean nie miał ze sobą nawet jednej aspiryny.

W połowie poranka zdołał jednak wypocić z siebie resztki piwa. Kierowali się na południowy zachód. Po drodze mijali kolejne fortyfikacje i posterunki. Jak zapowiedział major, umocnienia były rozrzucone i zręcznie ukryte. Sean dostrzegł lekką artylerię polową za osłonami z worków z piaskiem, moździerze osadzone na stanowiskach ogniowych i oddziały uzbrojone w ręczne działka bezodrzutowe RPG, które stanowiły pod-

242

stawowe uzbrojenie partyzantów. Wszyscy żołnierze byli ubrani w panterki w maskujących barwach i nosili płócienne buty na gumowych podeszwach.

Eskorta Seana uzupełniła zapasy z magazynu garnizonowego. Kiedy zatrzymali się na posiłek, Sean zobaczył, że dwukilowe worki z kaszą kukurydzianą nazywają się "Pierwszorządny Obiad", zapalki, którymi rozpalili ognisko, "Lwie Zapalki", a kostki mydła nosiły nazwę "Promień Słońca". Na wszystkich artykułach widniał u dołu podwójny, dobrze mu znany napis: "Verwaardig in Suid Africa", wykonano w Afryce Południowej.

- Zupełnie jakbym wrócił do domu - zachichotał Sean.

Linie obrony Renamo tworzyły koncentryczne kręgi niczym fale na powierzchni jeziora. Sean szybko się zorientował, że zbliżają się do centrum zgrupowania. Mijali ośrodki treningowe, w których młodzi rekruci, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, niektórzy z nich zaledwie kilkunastoletni, siedzieli rzędami na ziemi pod słomianymi daszkami, podobnie jak dzieci w szkole. Młodzi żołnierze byli tak skupieni na czarnych tablicach, że nawet nie podnosili wzroku na mijający ich truchtem oddział eskortujący Seana.

Z napisów na czarnych, składanych tablicach Sean się zorientował, że rekruci uczą się wszystkiego, co ma związek z partyzantką, począwszy od zasad walki aż po teorię polityczną.

Za ośrodkami szkoleniowymi ciągnęły się rzędy niskich kopców, na których stało po kilku żołnierzy. Dopiero kiedy zbliżyli się na kilka metrów do jednego z rzekomych pagórków, Sean zauważył wejścia do schronów.

Ziemiarki były porządniejszej konstrukcji i lepiej ukryte niż te, które widzieli tego dnia wcześniej, i Sean był pewien, że są niewidoczne dla zwiadu powietrznego. Sądząc także po bardziej sztywnym zachowaniu swojej eskorty i oficjalnym stosunku do niego, domyślił się, że zbliżają się do ośrodka dowództwa zgrupowania Renamo.

Był więc zdziwiony, kiedy nagle skręcili w bok i bez żadnych ceremonii zatrzymali się przed jednym z podziemnych bunkrów. Po krótkiej rozmowie sierżant przekazał Seana stojącym przy

243

wejściu wartownikom. Popchnęli go ku biegnącym w dół schodom, a potem poprowadzili przez labirynt korytarzy i sal wykopanych pod ziemią. Schron był oświetlany nagimi żarówkami. Z jakiegoś odległego pomieszczenia dochodził szum generatora mocy. Ściany bunkra były osłonięte równo ułożonymi workami z piaskiem, a sufit wzmocniony drewnianymi belkami.

Weszli do pomieszczenia łącznościowego. Na pierwszy rzut oka widać było, że ustawiony tu sprzęt jest bardzo nowoczesny i w świetnym stanie. Jedną ścianę zajmowała duża mapa z północnymi i centralnymi mozambickimi prowincjami - Zambezi i Manici.

Sean zaczął ukradkiem studiować mapę. Zorientował się szybko, że górzysty teren, na którym ukrywała się grupa armii Renamo, to Sierra da Gorongosa i góry Gorongosa, a rzeka, którą mijali wcześniej i która stanowiła linię obrony zgrupowania, nazywa się Pungwe. Główna linia kolejowa biegła pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt kilometrów dalej na południe. Zanim zdołał podpatrzeć inne interesujące go rzeczy, został wepchnięty do krótkiego korytarza, na którego końcu znajdowały się zasłonięte materiałem drzwi.

Eskorta poprosiła o pozwolenie na wejście. Dobięła ich ostra, wydana autorytatywnym tonem odpowiedź. Jeden z żołnierzy pchnął Seana do przodu, więc odsunął zasłonę i wszedł do znajdującego się za nią pomieszczenia.

— Towarzysz China. - Sean się uśmiechnął. - Co za miła

niespodzianka.

— Ten tytuł nie jest właściwy, pułkowniku Courtney. W przy

szłości proszę się do mnie zwracać per generale China lub po

prostu generale.

China siedział za biurkiem ustawionym na środku pokoju. Był ubrany w zwyczajny mundur w barwach ochronnych, ale ozdobiony srebrnymi skrzydełkami spadochroniarzy i czterema rzędami kolorowych baretek na piersi. Na szyi miał zawiązaną żółtą jedwabną szarfę, a na kołku za nim wisiał kasztanowaty beret i pas z kaburą. Wystająca z kabury kolba automatycznego pistoletu była wykonana z kości słoniowej. Generał China najwyraźniej traktował bardzo poważnie swoją metamorfozę z komunisty w kapitalistę.

244

— Jak mnie poinformowano, spisywał się pan bardzo dobrze w ciągu ostatnich kilku dni i żywi pan przyjazne uczucia do Renamo, naszych sprzymierzeńców i celów. - China odnosił się życzliwie do Seana, co tylko wzmogło nieprzyjemne podejście rzenia.

— Skąd pan to wie? - zapytał Sean.

— Pułkowniku, mamy tu radionadajniki. Nie jesteśmy zupełnie barbarzyńcami. - China wskazał na radionadajnik VHF stojący na ławie pod ścianą. - Dzięki mojemu pomysłowi spędził pan przyjemny wieczór z majorem Takawirą.

— Generale, czy może mi pan, do cholery, powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Porwał pan obywateli dwóch sprzymierzonych i potężnych państw: Afryki Południowej i Stanów Zjednoczonych.

China przerwał mu, podnosząc dłoń.

- Pułkowniku, proszę mi oszczędzić pańskiego gniewu. Nasi ludzie w Lizbonie i w innych miejscach przyjęli już skargi Amerykanów i Południowoafrykańczyków. Oczywiście zaprzeczylimy wszystkiemu, przyjmując postawę urażonej niewinności. - Zamilkł na chwilę i przyglądał się Seanowi. - Bardzo zrzęcznie z pana strony, że udało się panu tak szybko powiadomić ambasadę amerykańską, ale przecież tego właśnie mogłem się spodziewać po panu.

Zanim Sean zdążył odpowiedzieć, China podniósł słuchawkę telefonu polowego i powiedział cichym głosem kilka słów po portugalsku, których Sean nie zrozumiał. Następnie odwiesił słuchawkę i spojrzał na drzwi. Sean instynktownie poszedł za jego przykładem.

Po chwili zasłona się podniosła i do pomieszczenia weszły trzy osoby. Dwie z nich były czarnymi strażniczkami w mundurach z pistoletami u boku i karabinkami AK w ręku. Między nimi stała Claudia

Monterro ubrana w wypłowiałą, lecz świeżo wypraną koszulę koloru khaki i luźne szorty, w których Sean widział ją ostatnio.

Dziewczyna była wychudzona. W pierwszej chwili Sean właśnie na to zwrócił uwagę. Włosy miała zaczesane do tyłu i splecione w warkocz. Była opalona na kolor lekko podsmażonej grzanki.

245

W szczupłej twarzy oczy wydawały się bardzo duże. Sean dopiero teraz zauważył, jak delikatny kształt ma jej szczęka i kości policzkowe. Na widok Claudii serce zatrzymało mu się na sekundę, następnie rozepchnęło żebra, by zaraz znowu się skurczyć.

- Claudio! - zawołał.

Dziewczyna spojrzała w jego stronę. Z twarzy odpłynęła jej krew.

— O Boże - szepnęła. - Tak się bałam... - umilkła. Patrzyli

na siebie przez długą chwilę, nie ruszając się z miejsca i czując,

jak im biją serca. Claudia wypowiedziała jego imię: - Sean -

ale zabrzmiało to jak jęk. Zrobiła krok ku niemu, wyciągając

przed siebie ręce w błagalnym geście, a w jej oczach widać było

cierpienie, wysiłek i samotność ostatnich dni. Sean zrobił dwa

kroki w jej stronę, Claudia zaś przypadła do niego, zamykając

oczy i przyciskając twarz do jego ciała. Oplotła go ramionami

tak silnie, że na chwilę stracił oddech.

— Kochanie - wyszeptał i pogładził ją po włosach, gęstych

i sprężystych pod jego palcami. - Moje kochanie, już wszystko

w porządku.

Podniosła twarz do góry, jej wargi drżały silnie, a do opalonych policzków wróciła krew. Zdawała się cała promieniować, a w ciemnych oczach koloru topazu rozbłysły ogniki.

- Nazwałeś mnie swoim kochaniem.

Sean schylił głowę i pocałował ją. Jej wargi się rozchyliły. Wnętrze ust było gorące i wilgotne. Sean wsunął głęboko język, rozkoszując się słodkim smakiem niczym sokiem z młodych owoców.

Siedzący przy biurku generał China powiedział cicho w szan-gane:

- Bardzo dobrze, zabierzcie ją teraz.

Strażniczki schwyciły Claudię i wyrwały ją z objęć Seana. Dziewczyna jęknęła i próbowała się opierać, ale obie kobiety były silnie zbudowane, więc z łatwością podniosły ją z ziemi i zaniósły ku drzwiom.

- Zostawcie ją! - krzyknął Sean i ruszył za nimi. Jedna ze strażniczek wyjęła z kabury pistolet i wycelowała w brzuch Seana.

Zasłona opadła. Po chwili krzyki Claudii ucichły w oddali. Sean

246

odwrócił się wolno do siedzącego przy biurku mężczyzny. - Ty draniu - powiedział z nienawiścią. - Urządziłeś sobie przedstawienie.

— Poszło lepiej, niż mogłem przypuszczać - zgodził się generał China - chociaż już z poprzednich rozmów z miss Monterro na pana temat wywnioskowałem, że bardziej jest zainteresowana panem jako mężczyzną niż zawodowym myśliwym.

— Najchętniej skrzywdziłbym ci kark. Jeśli coś się jej stanie...

— Niech pan da spokój, pułkowniku. Nie skrzywdzę jej. Jest dla mnie zbyt cenna. Zdaje pan sobie sprawę, że dziewczyna jest elementem przetargowym.

Sean opanował wzburzenie i sztywno skinął głową.

— Dobra, China, czego chcesz?

— Właśnie. - Generał China skinął głową. - Czekałem, aż zada pan to pytanie. Proszę usiąść. - Wskazał na stołek stojący przed biurkiem. - Każę tylko przynieść nam herbatę i będziemy mogli porozmawiać.

W czasie gdy czekali na jej przyniesienie, China zajął się pracą, czytając i podpisując leżące na biurku dokumenty. Sean miał chwilę, żeby ochłonąć. Kiedy ordynans wszedł z herbatą, China gestem nakazał mu uprzątnąć papiery.

Gdy zostali sami, China wypił łyk herbaty i spojrzał na Seana znad filiżanki.

- Spytał pan, czego chcę. No cóż, muszę wyznać, że na po

czątku nie chodziło mi o nic więcej niż zwykłą zemstę. To pan, pułkownik, pozbawił mnie dowództwa nad obozem Inhlozane. Splamił pan mój honor i spowodował trwałe kalectwo. - Dotknął ucha. - Zgodzi się pan ze mną, że to wystarczający powód do rewanżu.

Sean się nie odzywał. Mimo że nie pił herbaty od wielu dni i był bardzo spragniony, nie dotknął stojącej przed nim filiżanki.

- Oczywiście wiedziałem, że działa pan na terenie koncesji myśliwskiej Chiwewe. W rzeczywistości to ja, jako minister w rządzie Mugabego, należałem do tych, którzy opiniowali pańskie podanie. Pomyślałem wtedy, że dobrze będzie mieć pana blisko granicy.

Sean starał się rozluźnić. Uświadomił sobie, że więcej może

247

zyskać, zgadzając się pozornie na współpracę, niż uparcie się przeciwstawiając. Nie było to łatwe, gdyż wciąż czuł smak ust Claudii. Podniósł filiżankę i wypił łyk herbaty.

- Zrobił pan karierę. - Uśmiechnął się. - Towarzysz jednego dnia, generał następnego. Najpierw minister w marksistowskim rządzie, a niedługo później dygnitarz wojskowy Renamo. China machnął z dezaprobatą ręką.

— Dialektyka marksizmu nigdy mnie nie interesowała. Kiedy teraz na to patrzę, rozumiem, że zaciągnąłem się do armii partyzanckiej z bardzo kapitalistycznych powodów. W tym czasie był to najlepszy sposób na zdobycie pozycji. Czy to ma dla pana jakiś sens, pułkowniku?

— I to bardzo jasny - odpowiedział Sean. Tym razem uśmiech był szczery. - To oczywiste, że jedynie pieniądze

i zarząd kapitalistów zapewniają rozwój komunizmowi.

— Dobrze pan to ujął. - China skinął głową z uznaniem. -

Przekonałem się o tym znacznie później, gdy ZANLA wypędziła Iana Smitha i przejęła rządy w Harare. Przekonałem się, że jako partyzant wzbudzam strach wśród tłustych kotów, które unikały walki, ale za to dopchały się do władzy. Nie tylko nie otrzymałem żadnych należnych mi wynagrodzeń, ale zrozumiałem, że prędzej skończę w więzieniu w Chikarubi. Pozwoliłem więc dojść do głosu moim kapitalistycznym instynktom. Wraz z kilkoma podobnie myślącymi przyjaciółmi zaplanowaliśmy obalenie rządu i nawet udało nam się przekonać starych towarzyszy broni, którzy zajęli wysokie pozycje w armii Zimbabwe, że doskonale nadawał bym się na następcę Mugabego.

— Stara afrykańska gra w zamach stanu - zasugerował Sean.

— Jak to miło rozmawiać z kimś, kto potrafi podążać za biegiem moich myśli. - China skinął głową. - Ale przecież jest pan afrykanerem, mimo że o nieco mniej modnym kolorze skóry.

— Czuję się zaszczycony taką oceną - odparł Sean. -

Wróćmy jednak do pańskiej altruistycznej chęci wyniesienia do władzy najlepszego człowieka...

— Właśnie... no cóż, ktoś pochwalił się przed pewną kobietą naszymi zamiarami, a ona powtórzyła wszystko swojemu kochankowi, którym przypadkiem był szef wywiadu Mugabego. Byłem

248

zmuszony przekroczyć granicę w pewnym pośpiechu. Tutaj spotkałem innych towarzyszy, którzy przyłączyli się do Renamo.

— Ale dlaczego Renamo? - zapytał Sean.

— Okazało się, że zgadzam się z ich celami politycznymi.

Jestem dobry w swojej robocie i Renamo przyjęło mnie z otwartymi rękami. Widzi pan, pułkowniku, jestem z ludu Szangane.

Jak pan wie, nasze plemię mieszka po obu stronach sztucznej linii narzuconej przez mierniczych w czasach kolonializmu, którzy nie zwracali uwagi na zależności demograficzne przy wytyczaniu granicy.

— Jeśli przyjął pan poglądy kapitalistyczne, jak pan twierdzi, to musi chodzić o coś więcej. Może jakaś nagroda czekająca na pana w przyszłości?

— Nie rozczarował mnie pan - odparł China. - Jest pan równie spostrzegawczy i przebiegły jak Afrykanin. Oczywiście, że czeka mnie nagroda. Kiedy pomogę Renamo w utworzeniu kapitalistycznego rządu w Mozambiku, z Afryką Południową jako jego sprzymierzeńcem, oba kraje wywrą odpowiedni nacisk na Zimbabwe. Nastąpi zmiana rządu w Harare... i Mugabe zostanie zastąpiony przez nowego prezydenta.

— Jednym wielkim skokiem z generała Chiny na prezydenta Chinę - skomentował Sean. - Muszę przyznać panu jedną rzecz, generale, myśli pan wielkimi kategoriami.

— Jak to przyjemnie, kiedy ktoś potrafi docenić moje aspiracje.

— Ale dokąd to prowadzi? Mówił pan wcześniej o zemście za uszkodzony słuch. Co spowodowało, że stał się pan tak wyrozumiały?

China zmarszczył brwi i dotknął ucha.

- Prawdę mówiąc, zemsta sprawiłaby mi prawdziwą satysfakcję. Zaplanowałem już nawet nocny napad na pański obóz nad Chiwewe. Posłałem oddział moich ludzi nad granicę i czekałem tylko na okazję, żeby oderwać się na kilka dni od moich obowiązków w dowództwie i złożyć panu wizytę. Niestety, zostałem zmuszony do zmiany planów.

Sean uniósł brwi, wyrażając zainteresowanie.

- Bardzo niedawno doszło do zachwiania równowagi sił w prowincji centralnej. My, partyzanci Renamo, wywalczyliśmy

249

sobie dominującą pozycję. W rzeczywistości kontrolowaliśmy cały ten obszar poza większymi miastami. Spowodowaliśmy zmniejszenie produkcji żywności do takiego poziomu, że Frelimo jest całkowicie uzależnione od pomocy z zewnątrz. Niemal całkowicie udało nam się sparaliżować system transportowy. Niszczyliśmy do woli drogi i trakcję kolejową, a nasze siły przemieszczały się bez trudu po całym rejonie, rekrutując ludzi z wiosek. Udało nam się nawet stworzyć własną administrację. Niestety, wszystko się zmieniło.

- Co się stało?

China nie odpowiedział od razu, ale wstał i podszedł do wiszącej na ścianie mapy.

- Pułkownik Courtney, jako doświadczonemu żołnierzowi, który walczył z partyzantką, nie muszę panu wyjaśniać naszej strategii i robić wykładu na temat używanej przez nas broni. Nie obawiamy się bomb atomowych, ciężkiej artylerii czy nowoczesnych samolotów pościgowych. Kiedy Robert Mugabe zakupił dwa klucze samolotów typu MIG dwadzieścia trzy od swoich sowieckich przyjaciół, śmialiśmy się do rozpuku. Rosjanie pozbili się w ten sposób przestarzałych maszyn, a Mugabe i tak nie ma dostatecznych środków, żeby utrzymać je w powietrzu. Jest bardzo mało rodzajów nowoczesnej broni, których byśmy

się obawali, poza... - China zamilkł na chwilę i odwrócił się do Seana. - Ale przecież pan jest ekspertem w tej dziedzinie. Wie pan tyle samo na temat działań wymierzonych w partyzantkę co każdy z nas. Pułkownika, czego boimy się najbardziej na świecie?

Sean nawet się nie zawahał.

- Śmigłowców bojowych - odparł.

China usiadł ciężko na krześle.

- Trzy tygodnie temu Rosjanie dostarczyli siłom powietrznym Frelimo eskadrę hindów.

Sean gwizdnął cicho.

— Hindy! - powiedział ze zrozumieniem. - W Afganistanie nazywali je Latającą Śmiercią.

— My nazywamy je henshaw, sokoły.

— W całej Afryce nie ma takich sił powietrznych, które potrafiłyby utrzymać eskadrę hindów w powietrzu nawet przez

250

kilka dni. Nikt nie dysponuje odpowiednim zapleczem. - Sean potrząsnął głową, ale China nie zgodził się z jego opinią.

— Rosjanie dostarczyli także obsługę techniczną, amunicję, części zamienne i pilotów. Ich celem jest rozbicie sił Renamo w pół roku.

— Czy to im się uda? Czy mają szansę to zrobić?

— Tak - odpowiedział twardo China. - Już im się udało ograniczyć naszą ruchliwość. Bez możliwości przenoszenia się z miejsca na miejsce armia partyzancka jest pokonana. - China zrobił gest obejmujący całą schron. - Chowamy się pod ziemią

jak krety, a nie wojownicy. Nasze morale, które jeszcze miesiąc temu było bardzo wysokie, rozpada się na moich oczach. Zamiast patrzeć dumnie przed siebie, moi ludzie kryją się po krzakach i rzucają ukradkowe spojrzenia na niebo.

— To rzeczywiście nie jest przyjemne - zgodził się Sean. -

Jestem jednak pewien, że coś już pan wymyślił.

— Zgadza się. - China skinął głową. - Pana.

— Ja przeciwko eskadrze hindów? - Sean zachichotał. -

Czuję się zaszczycony, ale proszę na mnie nie liczyć.

— Niestety, nie jest to możliwe, pułkowniku. Jak mówią

Amerykanie, jest mi pan coś winien. - Dotknął ucha. - Ja

także jestem panu coś winien. Mam na myśli miss Monterro.

— W porządku - mruknął z rezygnacją Sean. - Niech mi

pan o tym opowie.

— Plan, który wymyśliłem, wymaga jednego wyszkolonego

białego oficera, który zna murzyńskich żołnierzy i potrafi mówić ich językiem.

— Z pewnością, generale China, nie powtarza pan teorii

generała von Lettowa-Vorbecka, że najlepszy oddział na świecie tworzą murzyńscy żołnierze z białym oficerem na czele. Dlaczego pan sam nie załatwi tej sprawy?

— Znam dobrze własne ograniczenia - odparł China. -

Jestem lepszym administratorem niż dowódcą. Zresztą, jak już

panu wyjaśniłem, potrzebuję białego. - Podniósł szybko rękę,

żeby Sean mu znowu nie przerwał. - Z początku będzie pan

pracował z niedużą grupą, dziesięciu ludzi.

— Moja eskorta Szangane - domyślił się Sean. - To dlatego

wysłał mnie pan na tę wyprawę z nimi.

251

— Jest pan bardzo spostrzegawczy. Tak, pańska reputacja jest nieźle ugruntowana. W ciągu kilku dni zdobył pan ich szacunek, a myślę, że nawet lojalność. Wygląda na to, że pójdą z panem na najbardziej niebezpieczną akcję.

— Będę potrzebował więcej ludzi niż dziesięciu Szangane.

Potrzebne mi są jeszcze dwie osoby.

— Oczywiście chodzi o pańskich Matabele - zgodził się szybko China. - Oni także należą do mojego planu.

Sean miał okazję zapytać o Joba i Dedana.

— Czy są bezpieczni? - rzucił ostrym głosem.

— Zapewniam pana, że są zupełnie bezpieczni i dobrze się mają.

— Nie będę omawiał żadnych dalszych planów, póki nie zobaczę i nie porozmawiam z moimi ludźmi - powiedział stanowczo.

Oczy Chiny się zwężyły.

— Bardzo proszę, żeby nie przybierał pan wobec mnie tego tonu, pułkowniku. To poważnie utrudni nasze przyszłe stosunki i uczyni je mało przyjemnymi.

— Powiedziałem już panu - odparł z uporem Sean - chcę mówić z moimi ludźmi.

Generał China spojrział na zegarek i westchnął dramatycznie.

— Dobrze. - Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział kilka słów. Następnie spojrział na Seana. - Obaj będą pracowali

z panem, więc może im pan wszystko wyjaśnić. Jest duża szansa na to, że mając zapewnioną pańską współpracę, zwrócę panu wolność. Oczywiście ta oferta dotyczy także pięknej miss Monterro.

— Jest pan bardzo szlachetny. - Sean pozwolił sobie na ironiczny ton.

— Niech pan poczeka, aż przedstawię wszystkie warunki.

Może zmieni pan wtedy zdanie. - Generał China odwrócił się do porucznika, który wszedł do pomieszczenia, i powiedział w szangane:

— Zaprowadź tego człowieka do dwóch więźniów Matabele.

Mogą rozmawiać ze sobą przez - znowu rzucił okiem na zegarek - dziesięć minut. Następnie przyprowadź go tutaj.

Eskorta złożona z trzech ludzi poprowadziła Seana podziemnymi korytarzami na zalane słońcem podwórze.

252

Więzienie składało się z jednej chaty, przykrytej słomianym dachem glinianki. Wokół niej ciągnął się drut kolczasty, a całość była przykryta siatką maskującą. Strażnik otworzył bramę i Sean wszedł do środka i ruszył do drzwi chaty.

W pomieszczeniu nad ogniskiem stał trójnożny, czarny garnek. Po jego obu stronach leżały dwa cienkie materace. Na jednym spał Dedan, podczas gdy Job siedział w kucki na drugim i patrzył na żarzące się węgle.

— Widzę cię, przyjacielu - powiedział cicho w sindebele

Sean. Job wolno wstał. Na jego twarzy zaczął rozpromieniać się uśmiech.

— Widzę cię, przyjacielu - powtórzył Job, roześmiał się głośno i objął Seana, poklepując go po ramieniu. Dedan zerwał się z postania i śmiejąc się radośnie, chwycił Seana za rękę i zaczął ją mocno ścisnąć.

— Sean, co cię zatrzymało tak długo? - zapytał Job. - Czy znaleźliście Tukutelę? Gdzie jest Amerykanin? Jak cię złapali?

— Później wam powiem - odparł Sean. - Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Rozmawiałeś już z Chiną? Poznałeś, że to ten sam facet, którego pojaliśmy pod Inhlozane?

— Tak, to ten z przestrzelonym uchem. Jakie mamy szansę?

— Za wcześnie, żeby coś powiedzieć - odparł Sean. - Ale wspominał coś o jakiejś umowie.

— Co...? - Job przerwał nagle i obaj odwrócili się do drzwi.

Z zewnątrz dochodziły ich przenikliwe gwizdki i krzyki.

- Co się dzieje? - zapytał Sean i podszedł do wejścia.

Brama była szeroko otwarta, a strażnicy właśnie uciekali, zdejmując broń z ramion i spoglądając w niebo. Biegący porucznik przeraźliwie gwizdał.

- Nalot - powiedział Job stojący za Seanem. - Śmigłowce bojowe sił powietrznych Frelimo. Dwa dni temu odwiedził nas jeden.

Sean usłyszał warkot silników, jeszcze bardzo słaby i odległy. Przybierał jednak szybko na sile, osiągając wyższe i bardziej przenikliwe dźwięki.

— Job! - Sean schwycił przyjaciela za ramię. - Czy wiesz, gdzie trzymają Claudię?

— Tam - wskazał Job. - Za takim samym ogrodzeniem.

253

— Jak daleko?

— Jakieś pięćset metrów.

— Brama jest otwarta, a strażnicy znikli. Dajemy nogę.

— Jesteśmy w środku armii. A co ze śmigłowcami? - za protestował Job. - Zresztą dokąd możemy pójść?

— Nie kłóć się ze mną, tylko chodź.

Sean wybiegł przez bramę, a Job i Dedan pobiegli za nim.

— Którędy?! - zawołał Sean.

— Tam, za tą kępą drzew.

Biegli we trójkę obok siebie. Żołnierze Renamo pochowali się w bunkrach i lepiankach. Obóz wydawał się prawie całkowicie opustoszały. Sean zobaczył jednak, że stanowiska ogniowe dział przeciwlotniczych są obsadzone przez załogi. Po drodze minęli mały oddział ludzi uzbrojonych w działka bezodrzutowe RPG; biegli w stronę najbliższego kopca. Na wyższym terenie żołnierze mieli lepsze stanowiska do strzału. Niestety, RPG pozbawione noktowizorów miały ograniczone możliwości atakowania celów napowietrznych.

Oddział Renamo biegł w takim pośpiechu, że żołnierze zupełnie nie zwrócili uwagi na białą twarz Seana. W przenikliwy świst zbliżających się śmigłowców wplotły się rytmiczne odgłosy strzałów.

Sean biegł, nie rozglądając się na boki. Przed sobą dostrzegł błysk drutu kolczastego. Więzienie kobiece było dobrze zamaskowane krzakami i siatką maskującą, a przy bramie nie było widać strażniczek.

— Claudia! - zawołał Sean, podbiegając do płotu i chwytając

się drutów. - Gdzie jesteś?

— Sean, tutaj! - odrzyknęła. Za ogrodzeniem znajdowały się dwie chaty z zamkniętymi drzwiami i bez okien. Głos Claudii dobiegał z tej bliższej. Zaraz potem został zagłuszony przez huk silników, pisk śmigieł i strzały karabinów.

— Podosadźcie mnie! - rozkazał Sean i cofnął się o kilka kroków od płotu. Ogrodzenie miało ponad dwa metry wysokości.

Job i Dedan podbiegli do siatki i ukucnęli na ziemi. Sean rzucił się biegiem na siatkę, podskoczył i opadł na ich złożone w siodełko dłonie. Obaj mężczyźni, prostując się gwałtownie, wyrzucili go w powietrze. Sean przeleciał nad drutami kolczastymi, prze-

254

koziołkował w powietrzu i opadając na nogi, przewrócił się na plecy, żeby zamortyzować siłę upadku, a potem podniósł się i wykorzystując rozpęd, runął na drzwi.

- Odejdź od drzwi! - ryknął do Claudii i huknął w nie

z całej siły ramieniem.

Deski były zbyt solidne, żeby ustąpić pod uderzeniem ciała, ale zawiasy puściły i drzwi poleciały na ziemię, wzbijając w powietrze chmurę kurzu z wyschniętego błota.

Claudia przykucnęła przy tylnej ścianie, ale gdy Sean wpadł do środka wraz z drzwiami, poderwała się na równe nogi i rzuciła mu w objęcia. Chwycił ją w ramiona, kiedy jednak chciała go pocałować, obrócił ją w stronę wyjścia i wyciągnął na zewnątrz.

— Co się dzieje? - zapytała zduszonym głosem.

— Pryskamy.

Kiedy wybiegli na słońce, Sean zobaczył, że Job i Dedan usiłują podciągnąć siatkę ogrodzenia. Między siatką a ziemią utworzyła się wąska szczelina. Sean schylił się i chwytając siatkę między pękami kolców, pchnął ją od dołu w ich stronę. Po połączeniu sił ziemia wokół najbliższego z pali zaczęła pękać i kruszyć się, a słup unióś się w powietrze na kilkanaście centymetrów. Siatka wygięła się do góry.

- Połóż się na brzuchu! - Sean jęknął ciężko do Claudii. -

Prześliznij się!

Dziewczyna była szczupła i zwinna jak łasiczka. Przeczłogała się pod kolcami z kilkucentymetrowym zapasem.

- Trzymaj! - zawołał Sean i obaj mężczyźni po drugiej stronie wyteżyli się jeszcze bardziej. Mięśnie grały pod czarną skórą, a twarze wykrzywiły się z wysiłku.

Sean rzucił się na ziemię i wsunął pod siatkę. W połowie drogi poczuł, jak kolce wbijają mu się w ciało i zatrzymują go.

- Przeciągnij mnie - rzucił. Kiedy Dedan mocował się z drutem, Job pochylał się i złapał Seana mocno za rękę. -

Ciągnij! - jęknął Sean. Job się naprężył. Sean poczuł, jak ostry drut rozdziera mu ciało i po plecach cieknie krew, ale był już po drugiej stronie.

Kiedy podniósł się, Claudia zawołała:

- Twoje plecy!

Chwycił ją za rękę i zwrócił się do Joba:

— Którędy teraz? - Wiedział, że przyjaciel rozejrzał się w ciągu tych kilku dni po obozie. Mógł spokojnie polegać na jego zmyśle orientacyjnym.

— Do rzeki - odparł natychmiast Job. - Jeśli uda nam się odplłynąć z prądem od obozu, to mamy szansę.

— Prowadź! - zakomenderował Sean.

Tym razem musiał krzyknąć, żeby Job go usłyszał. Wokół nich wznosił się warkot ręcznych karabinków. Ciężki stukot karabinów maszynowych został zagłuszony grzmotem, który przypominał odgłos wydawany przez Wodospad Wiktorii. Sean wiedział, co to takiego, mimo że nigdy wcześniej nie słyszał tego dźwięku. Był to odgłos wielolufowego działka pokładowego typu Gatling zamocowanego pod dziobem hinda. Walił z niego potok kul, jakby ktoś odkręcił hydrant ogrodowy.

Sean poczuł, jak Claudia kuli się za nim przerażona ogłuszającym łoskotem. Złapał ją za ramię.

- Chodź! - warknął. - Biegiem!

Dziewczyna wciąż kuląła nieznacznie, ale Sean pociągnął ją mocno za sobą. Oboje popędzili za Jobem i Dedanem w stronę rzeki. Znajdowali się pod osłoną gałęzi drzew, ale Sean dostrzegł, że przed nimi rozciąga się szeroka polana. Przez otwarty teren biegł szereg zgiętych wpół żołnierzy. Ośmiu, dziewięciu ludzi gnało w ich stronę z RPG. Twarze partyzantów były zwrócone do góry w poszukiwaniu celu dla ich broni.

Nagle ziemia dosłownie wybuchła. Sean nigdy jeszcze nie przeżył czegoś podobnego. Ziemia zdawała się rozpadać na kawałki, niemal gotować pod gradem pocisków z działka pokładowego. W powietrzu unosił się gęsty tuman kurzu.

Wszystko, co znajdowało się na drodze strumienia kul, zostało zniszczone, nawet drzewa znikły w wirze drzazg i strąconych liści. Gdy ogień się przesunął, przed nimi stały okaleczone, nagie pnie. Ziemia wyglądała jak świeżo zaorana, a na niej spoczywały resztki oddziału Renamo uzbrojonego w RPG. Ludzie zostali ścięci i posiekani, jakby dostali się pod ostre kosy.

Sean nie puszczał ramienia Claudii. Kiedy pojawił się nad nimi cień śmigłowca, pociągnął ją za sobą w gęstą trawę przy drodze. Gałęzie drzew zasłoniły ich przed oczami operatora w śmigłowcu. Także Job i Dedan ukryli w trawie uniknęli wypatrzenia.

Hind krążył przez chwilę kilkanaście metrów nad koronami drzew, a potem poleciał nad puste pole, na którym leżały szczątki partyzantów. Sean mógł się teraz przyjrzeć maszynie.

To był szok. Nie przypuszczał, że śmigłowiec może być tak wielki i groteskowo brzydki. Musiał mieć z piętnaście metrów długości.

Piloci radzieccy nazywali hindy Latającymi Czołgami. Maszyna przypominała zdeformowanego potwora: niekształtna, wręcz brzydka, z zielonymi i brązowymi plamami tropikalnego kamuflażu, które kojarzyły się z wyglądem chorego na trąd. Wybrzuszone podwójne kabiny załogi ze szkła pancernego przypominały złośliwe oczy. Wrażenie było tak silne, że Sean instynktownie rozpląszczył się na ziemi i osłonił Claudię ramieniem.

Pod skrzydłami maszyny były zawieszane pociski raketowe. Kiedy Sean przyglądał się z przerażeniem hindowi, ten okręcił się wokół własnej osi, schylił tępy dziób i wystrzelił całą serię.

Pociski wyleciały z sykiem wśród kłębow białego dymu i przeleciawszy nad rzeką, trafiły w kopce, pod którymi umieszcili się bunkry. Nad szeregiem fortyfikacji rozbłyły fontanny ognia i pyłu.

Powietrzem wstrząsnął ogłuszający huk, a przenikliwy jęk śmigieł zdawał się rozrywać bębny w uszach. Claudia zakryła uszy dłońmi i głośno płakała.

- O Boże! O Boże!

Hind obrócił się wolno, szukając nowego celu. Sean znowu wcisnął głowę w ziemię. Śmigłowiec oddalił się od nich, polując wzdłuż brzegu rzeki. Zdalnie sterowane działko pokładowe znowu pluło ogniem, kładąc pokotem wszystko, co znalazło się na jego drodze.

- Ruszamy! - zawołał Sean, usiłując przekrzyczeć hałas.

Job i Dedan już biegli. Rozorana kulami ziemia pod ich nogami

była miękka i piaszczysta. Kiedy mijali zwłoki partyzantów, Job schylił się w biegu i schwycił jedną niezniszczoną wyrzutnię. Kilka kroków dalej porwał z ziemi plecak z włókna szklanego, który zawierał trzy pociski do RPG, i popędził w stronę rzeki. Z bolącym kolanem Claudia nie mogła im dotrzymać kroku. Mimo że Sean ciągnął ją za sobą, zostali prawie trzydzieści metrów za Jobem.

257

Job i Dedan dobiegli do urwiska. Brzeg rzeki, zbudowany z popękanych, wygładzonych przez wodę ścian skalnych, był wysoki i stromy. Rząd potężnych drzew rozpościerał gałęzie nad płynącą wartkim nurtem zieloną wodą.

Job obejrzał się na biegnących przez otwarty teren Seana i Claudię, popędzając ich wzrokiem. Krzyknął ostrzegawczo, szybko cisnął plecak na ziemię, zarzucił krótką rurę wyrzutni na ramię i wycelował ją w niebo nad głowami uciekających.

Sean nie oglądał się za siebie, wiedząc, że nie ma na to czasu. Nie odróżnił wcześniej jęku śmigieł drugiego hinda od ryku pierwszego, ale teraz hałas zwiększył natężenie tak bardzo, że poczuł ból w uszach.

Kilka kroków od nich ciągnął się wąski rów wyżłobiony przez potoki deszczu. Kanał odpływowy był teraz wyschnięty, a jego ściany niemal pionowe. Sean chwycił Claudię i rzucił się z nią do rowu. Dno znajdowało się prawie dwa metry niżej i siła uderzenia pozbawiła Seana oddechu. W tej samej chwili siekana kulami krawędź rowu rozprysła się, a ziemia pod nimi zdrząła jak jakaś żywa istota, jakby byli robakami przyczepionymi do skóry galopującego konia. Grudy gliny poszarpane przez grad pocisków spadły im na plecy, tamując oddech, wypełniając usta piachem, grzebiąc żywcem.

Claudia krzyknęła i spróbowała uwolnić się spod powłoki piachu i wyschniętej ziemi, ale Sean przycisnął ją tylko mocniej.

- Nie ruszaj się - syknął jej w ucho. - Zostań w tej

pozycji, głuptasie.

Hind zawrócił i skierował się prosto nad rów, szukając swoich ofiar. Grube lufy działka Gatling mierzyły w dół.

Sean odwrócił lekko głowę, spoglądając w górę kątem oka. Nie widział zbyt wyraźnie przez chmurę pyłu, ale kiedy kurz trochę opadł, zobaczył stępiony dziób hinda wiszący zaledwie piętnaście metrów nad ich głowami. Operator uzbrojenia musiał wypatrzeć ich białe skóry, które czyniły z nich wyjątkowo ważny cel. Teraz jedynie cienka warstwa piachu zastaniała ich przed wzrokiem napastnika.

- Job, dołóż mu - prosił głośno Sean. - Przywal draniowi.

Stojący na wysokim brzegu Job przyklęknął na jedno kolano.

RPG-7 to jego ulubiona broń. Potężny śmigłowiec wisiał nad rowem zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej.

258

Job wycelował trzydzieści centymetrów pod kabiną pilota. Nawet z tak bliskiej odległości wolał wziąć zapas, gdyby pocisk zboczył z kursu. Na chwilę wstrzymał oddech, ustawił krzyżyk celownika i pociągnął za spust. Gazy spalinowe wyleciały kłębem białego dymu za jego ramieniem i rakietą poszybowała prosto do celu, trafiając obiekt kilka centymetrów wyżej, niż Job wymierzył, prosto w spojenie pancernego szkła kabiny.

Pocisk wybuchł z siłą, która rozerwałaby na strzępy silnik dużej ciężarówki czy kocioł parowy lokomotywy. Na chwilę przód hinda zniknął w płomieniach i dymie i Job zawył z radości, skacząc do góry przekonany, że olbrzymi potwór runie zaraz na ziemię.

Zamiast tego maszyna wzniosła się wyżej, jakby pilot chciał uciec. Kiedy dym się rozwiął, Job zobaczył z niedowierzaniem, że miejsce trafienia nie zostało nawet zarysowane. Widać było jedynie czarną smugę.

Dziób śmigłowca obrócił się w stronę Joba i ze wszystkich luf wytrysnęły strugi pocisków. Job cisnął RPG i skoczył do rzeki siedem metrów niżej, w chwili gdy kule ścięły gałęzie z drzewa, pod którym

stał. Kolejne pociski przecięły pień równo niczym piła mechaniczna i drzewo, pochyliwszy się ciężko, runęło ze szczytu skarpy. Nad brzeg wzniosła się fontanna wody.

Hind się wycofał i skierował wzdłuż brzegu. Pocisk RPG nie wyrządził najmniejszej szkody i śmigłowiec zmierzał do nowego celu.

Sean podniósł się na kolana, kaszląc i z trudem chwytając powietrze.

- Wszystko w porządku? - zapytał ochrypłym głosem, ale przez chwilę Claudia nie mogła mu odpowiedzieć. Oczy miała zasypane piachem, a tży wyżłobiły smugi na utyłanych policzkach. - Musimy schronić się w rzece. - Sean pociągnął ją z ziemi i na wpół pchając, na wpół niosąc, wyprowadził z rowu.

Pobiegli na skraj skarpy i spojrzeli w dół. Ścięte drzewo unosiło się na powierzchni wody niczym liściasta tratwa.

- Skacz! - rozkazał.

Claudia bez wahania wykonała polecenie. Rzuciła się przed siebie i poleciała w dół. Sean podążył za nią, zanim jeszcze dosięgnęła wody.

259

Wynurzył się na powierzchnię, zobaczył obok siebie głowę dziewczyny. Pył z jej twarzy został zmyty, a lśniące kosmyki włosów zasłoniły oczy.

Popłynęli do drzewa. Claudia była dobrą pływaczką. Mimo butów i ubrania potrafiła szybko płynąć krytym kraulem.

Kiedy dotarła do celu, Job wciągnął dziewczynę pomiędzy gałęzie. Dedan trzymał się już pnia, a sekundę później Sean znalazł się obok nich. Schwycili się grubych konarów zasłonięci od góry przez gęste listowie.

- Trafiłem go - poskarżył się Job. - Trafiłem go prosto w dziób. Zupełnie jakby trafić szarżującego byka z procy. A on obrócił się i ruszył na mnie.

Sean otarł wodę z oczu i twarzy wierzchem dłoni.

- Płyty pancerne - wyjaśnił spokojnie. - Są zupełnie niewrażliwe na konwencjonalne pociski. Jedyne, co można zrobić, gdy nadlatuje takie bydlę, to wziąć nogi za pas. - Odrzucił

mokre włosy z twarzy. - Na szczęście udało ci się go od nas odciągnąć. Już miał nas rozwalić tym swoim wielkim działkiem.

Sean podpłynął do Claudii.

— Krzyczałeś na mnie - poskarżyła się dziewczyna. - Byłeś bardzo nieprzyjemny. I nazwałeś mnie głuptasem.

— Lepiej trochę pocierpieć, niż zginąć. - Wyszczерzył do niej wesoło zęby. Odwzajemniła uśmiech.

— Czy to może propozycja, pułkowniku? Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym musiała pocierpieć jeszcze trochę przez ciebie. - Sean otoczył ją pod wodą ramieniem i przyciągnął do siebie. - Dobry Boże, brakowało mi twojej impertynencji. - Dziewczyna wtuliła się w niego. - Zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy zniknąłeś... - szepnęła.

— Ja też - wyznał Sean. - Wcześniej myślałem, że cię nie znoszę. Później uświadomiłem sobie, że nie znoszę twojej nieobecności.

— Jak przyjemnie. Powiedz mi, co masz na myśli.

— Później. - Przytulił ją do siebie. - Najpierw musimy spróbować wydostać stąd nasze skóry. - Zostawił ją i wrócił do Joba.

- Widzisz coś?

Job skinął głową.

260

- Wygląda na to, że nalot się skończył. Wychodzą z bunkrów.

Sean wyrzwał spod gałęzi. W oddali zobaczył żołnierzy poruszających się ostrożnie wzdłuż brzegu.

- Na razie będą zajęci zbieraniem się do kupy. Minie trochę czasu, zanim spostrzegą, że nas nie ma. Miej jednak na nich oko.

Przysunął się do Dedana, który obserwował przeciwległy brzeg.

— Co widzisz?

— Są zajęci wyłącznie sobą. - Dedan wskazał ręką. Grupa sanitariuszy kroczyła wśród ciał, szukając rannych. Inni żołnierze byli zajęci naprawianiem zniszczonych umocnień i siatek maskujących. Nikt nie patrzył na rzekę.

W wodzie płynęło sporo różnych śmieci, poobcinane gałęzie, zniszczony sprzęt, puste beczki po oleju. Nikt nie powinien zwracać uwagi na ich kryjówkę.

— Jeśli nikt nas nie dostrzeże do zapadnięcia zmroku, to powinniśmy przepłynąć poza obszar zgrupowania. Trzymaj oczy szeroko otwarte, Dedan.

— Mambo - rzucił Dedan i skoncentrował się na lustrowaniu brzegu.

Sean podpłynął cicho do Claudii i chwycił się gałęzi tuż za nią. Dziewczyna natychmiast wyciągnęła do niego rękę.

- Nie chcę być z dala od ciebie ani przez minutę - szepnęła. - Czy mówiłeś to wszystko poważnie?

Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek tak zachłannie, że ugryzła go w wargę. Ból sprawił mu tylko przyjemność. Puściła go nagle i zapytała stanowczo:

— Czy mówiłeś to poważnie?

— Nie mogę żyć bez ciebie - odpowiedział Sean.

— Możesz się bardziej postarać.

— Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

— Nieźle, ale to jeszcze nie to, co chciałabym usłyszeć.

— Kocham cię - przyznał się w końcu.

— Właśnie tak, Sean. Ja też cię kocham. - Pocałowała go i zapomnieli o wszystkim, co ich otaczało, łącząc ze sobą usta

i ciała.

Sean nie wiedział, jak długo to trwało. Przerwał im Job.

- Znosi nas! - zawołał.

261

Prąd rzeczny spychał drzewo na łacę, która utworzyła się w zakolu rzeki. Zanurzone konary drzewa zaczęły ocierać się

o piach. Kiedy Sean wyprostował nogi, dotknął dna.

- Musimy wypchnąć je na głębszą wodę - polecił. Stojąc pod gałęziami, zaczęli napierać na pień i spychać go z łachy.

Wreszcie prąd porwał wielką kłodę i poniósł ją dalej.

Sean dyszał ciężko, kiedy uwiesił się na konarze, wystawiając jedynie głowę na powierzchnię. Claudia podpłynęła do niego

1 uczepliła się tej samej gałęzi.

- Sean - szepnęła. Wyczuł, że jej nastrój się zmienił. -

Nie spytałam cię jeszcze o ojca. Głównie dlatego, że nie chcę

poznać odpowiedzi. - Zamilkła na chwilę i wzięła głęboki

oddech. - Mój ojciec...? - zaczęła.

Sean milczał, szukając słów, żeby powiedzieć, co się stało, ale Claudia odezwała się pierwsza.

- Nie wrócił z tobą, prawda?

Sean pokręcił głową i mokre kosmyki opadły mu na twarz.

— Czy znalazł swojego słonia? - zapytała cicho.

— Tak - odpowiedział po prostu Sean.

— Cieszę się. - Chciałam, żeby to był mój ostatni prezent

dla niego.

Puściła się gałęzi i objęła Seana ramionami za szyję, przykładając policzek do jego policzka, żeby nie patrzeć na wyraz jego twarzy, gdy zada mu kolejne pytanie.

- Sean, czy mój ojciec nie żyje? Musisz mi to powiedzieć, żebym uwierzyła.

Przycisnął ją mocno wolnym ramieniem i zebrał siły, żeby odpowiedzieć.

— Tak, kochanie. Szef nie żyje, ale zmarł śmiercią godną mężczyzny. Jestem pewien, że tego właśnie by sobie życzył.

Tukutela, jego słoń, odszedł wraz z nim. Czy mam ci to opowiedzieć?

— Nie! - Pokręciła zdecydowanie głową, trzymając go mocno. - Nie teraz. Może nawet nigdy. Ojciec nie żyje. Część mnie samej i mojego życia umarła wraz z nim.

Sean nie mógł znaleźć słów pocieszenia, więc tylko trzymał ją mocno, gdy zaczęła płakać. Płakała po cichu, ale czuł, jak drży na całym ciele. Łzy mieszały się z kropelkami wody na

262

twarzy. Czuł ich stony smak na jej wargach, gdy przycisnął do nich swoje usta.

Płynęli wolno niesieni prądem szerokiej, zielonej wody. Ze zbombardowanych brzegów napływał dym i zapach bitwy. Dobiegały ich krzyki i jęki rannych. Sean pozwolił dziewczynie zmagać się z bólem po stracie bliskiej osoby. Z wolna jej ciało uspokoiło się i wreszcie szepnęła:

— Nie wiem, jak bym to zniosła bez twojej pomocy. Byliście do siebie tak podobni. Chyba właśnie dlatego zwróciłam na ciebie uwagę.

— Przyjmuję to za komplement.

— Bo to jest komplement. Ojciec wyrobił we mnie upodobanie do silnych i zdecydowanych mężczyzn.

Obok nich, niemal w zasięgu ręki, płynęły zwłoki. Uwięzione powietrze wzdęło mundur w barwach maskujących i ciało leżało na plecach na powierzchni wody. Nieboszczyk miał młodą twarz, nie wyglądał na więcej niż na piętnaście lat. Rzeka niemal całkowicie obmyła rany i tylko wąska różowa strużka ciągnęła się za nim w zielonej wodzie. To wystarczyło.

Sean dostrzegł nagle spiczaste głowy pokryte łuskami niczym stare dęby korą, które szybko się zbliżały, płynąc z prądem. Od wstrętnych pysków rozchodziły się drobne fale, gdy dwa wielkie krokodyle ścigały się po zdobycz, mocno pracując ogonami.

Jeden z gadów dosięgnął trupa i wychylił się z wody. Uzbrojona w nierówne rzędy wielkich zębów paszcza otwarła się i zaraz zatrzasnęła na ramieniu nieboszczyka, miażdżąc kości z potężną siłą. Claudia z jękiem odwróciła głowę.

Zanim krokodyl zdążył wciągnąć zdobycz pod wodę, drugi gad, jeszcze większy od pierwszego, zamknął paszczę na wysokości brzucha ofiary i rozpoczęło się przerażające przeciąganie łupu.

Kły krokodyla nie są przystosowane do rozcinania mięsa i kości. Zwierzęta zacisnęły jedynie silnie szczęki i pracując ogonami oraz skręcając się w białej pianie, rozrywały trupa na strzępy. Płynący obok ludzie słyszeli odgłos pękających ścięgien i wyłamywanych stawów.

Zaintrygowana przerażającym odgłosem Claudia obejrzała się. Zwymiotowała na widok wielkiego gada unoszącego się wysoko w wodzie z ramieniem człowieka w paszczy. Kremowóżłte

263

łuski na brzuchu nabrzmiały, gdy gad łapczywie przełykał mięso, a potem zanurzył się w wodzie, sięgając po następny kawałek. Ciągnąc zwłoki i rozrywając je, oba krokodyle oddaliły się od drzewa i Sean, przypominając sobie o własnej ranie na plecach, poczuł ulgę, gdyż i jego krew musiała zostawiać ślad w wodzie.

— O Boże, jakie to okropne - szepnęła Claudia. - To

wszystko wygląda jak koszmar senny.

— To Afryka. - Sean przycisnął ją do siebie, chcąc jej dodać

odwagi. - Jestem jednak z tobą i wszystko będzie w porządku.

— Naprawdę, Sean? Myślisz, że ujdziemy z życiem?

- Nie ma na to żadnej gwarancji - przyznał szczerze.

Claudia chlipnęła jeszcze raz, odchyliła się w jego ramionach i spojrzała mu w oczy.

— Przepraszam - powiedziała. - Zachowuję się jak dziecko.

Niemal załamalam się na brzegu, ale obiecuję ci, że to się już

nie powtórzy. Przynajmniej znalazłam ciebie. - Uśmiechnęła

się do niego z wymuszoną pogodą w oczach, zanurzając się po

szyję w wodzie. - Będziemy żyli chwilą dopóty, dopóki się da.

— Moja dzielna dziewczynka. - Sean posłał jej uśmiech. -

Cokolwiek się stanie, będę mógł powiedzieć, że kochałem Claudię

Monterro.

— I byłeś przez nią kochany - zapewniła go i znowu po całowała. Pocałunek był długi i gorący, z posmakiem jej łez.

Wyrażał raczej tęsknotę niż pożądanie. Dla obojga była to przy sięga i obietnica, coś pewnego i prawdziwego w świecie ciągle zmieniających się niebezpieczeństw.

Sean nie był świadom własnego podniecenia. Dopiero Claudia przerwała pocałunek i powiedziała zdyszczanym szeptem:

- Pragnę cię, teraz. Nie mogę... nie zamierzam czekać.

O Boże, Sean, kochanie, teraz żyjemy, ale wieczorem możemy zginąć. Weź mnie teraz.

Sean obejrzał się szybko wokoło. Przez liście widział brzeg. Wyglądało na to, że minęli już fortyfikacje Renamo. Wśród rzędów nadrzecznych drzew nie było widać żadnego ruchu, a cisza afrykańskiego południa była ciężka i uroczysta. Obok nich, niemal w zasięgu ręki, płynęli Job i Dedan, ale Sean widział jedynie tyły ich głów, gdyż obaj byli zajęci obserwowaniem nabrzeży.

264

Spojrzał na Claudię, zajrzał w oczy koloru miodu i poczuł, jak bardzo jej pragnie. Wiedział, że nigdy w życiu nie pragnął nikogo i niczego tak bardzo.

— Powiedz to jeszcze raz - poprosił namiętnym głosem.

— Kocham cię - powiedziała. Pocałowali się. Tym razem był to mocny, gorący i pełen gorączkowego pożądania pocałunek.

— Szybko - szepnęła mu w usta. - Każda sekunda jest cenna. - Jej ręce pod wodą zaczęły pospiesznie rozpinąć ich ubrania. Sean musiał przytrzymać się jedną ręką drzewa, żeby nie zniósł ich prąd, ale drugą pomagał jej ochoczo.

Dziewczyna rozpięła mu kurtkę, a potem swoją koszulę i przycisnęła się do niego. Jej piersi były śliskie od chłodnej wody. Sean czuł twarde sutki, gdy pełne pożądania muskały mu pierś nabrzmiałe niczym winogrona.

Wyszarpał pasek, który podtrzymywał jej szorty i Claudia uniosła się w wodzie, żeby ułatwić mu rozpięcie rozporka, a następnie wyciągnęła nogi i Sean ściągnął spodnie z jej wilgotnych pośladków. Zawiesił sobie ubranie na ramieniu. Dziewczyna była naga od pasa w dół. W szalonym pośpiechu rozpięła mu spodnie i włożyła do środka obie ręce.

- Och, Sean-jęknęła. - Kochanie. Jest taki wielki i twar
dy. Szybciej, proszę, włóż go!

W wodzie byli bardzo lekcy i gibcy niczym parzące się wydry. Jej drugie nogi oplotły go w pasie, kolana podsunęły się pod pachy. Sean wygiął biodra, żeby napotkać jej ciało, lecz członek ześliznął się pomiędzy ich nagie brzuchy.

Claudia jęknęła cicho, sięgnęła w dół i ujęła penisa w dłonie. Naparli na siebie i nagle ciało Claudii zeszywniało, a złote oczy otworzyły się szeroko, gdy Sean wsunął się w nią. W chłodnej wodzie podniecone ciało dziewczyny było wręcz nie do zniesienia gorące i Sean krzyknął bezwiednie.

Job i Dedan obejrzeni się na nich ze zdziwieniem i zaamba-rasowani szybko odwrócili oczy. Ani Sean, ani Claudia nawet ich nie widzieli.

Po kilku sekundach wszystko się skończyło. Dziewczyna zawisała mu na szyi, dysząc ciężko jak po drugim biegu. Sean pierwszy odzyskał głos.

265

— Przepraszam - powiedział. - To stało się tak szybko.

Nie mogłem czekać. Czy ty...?

— Byłam tam na długo przed tobą. - Uśmiechnęła się do
niego niepewnie. - To było jak wypadek samochodowy, szybki
i niszczący!

Pozostali złączeni ciałami przez długą chwilę, odpoczywając w milczeniu, aż Claudia poczuła, jak Sean kurczy się w niej i wyślizguje. Rozluźniła nogi i pocałowała go czule.

— Teraz należysz do mnie, a ja do ciebie. Nawet jeśli zginęła
bym dzisiaj, to nie ma to już znaczenia. Miałam cię w sobie.

— Spróbujmy pożyc trochę dłużej niż jeden dzień. - Uś
miechnął się do niej delikatnie. - Ubierz się, kochanie. - Podał
jej ubranie. - Zobaczą, co się dzieje. - Podpłynął do Joba. -

Co widzisz? - zapytał.

— Chyba minęliśmy już ich linie - odparł Job, taktownie nie patrząc mu w oczy. Sean nie czuł żadnego wstydu z tego powodu, że Job wiedział, co zaszło między nim i Claudią. Po miłosnym spełnieniu czuł się pobudzony i pełen sił. Nic nie potrafiło mu odebrać tego uczucia.

— Jak tylko zrobi się dostatecznie ciemno, skierujemy drzewo w stronę brzegu i wyjdziemy na ląd. - Sean spojrzął na roleksa. Nie więcej niż dwie godziny do zachodu. - Miej oczy otwarte - polecił Jobowi i podpłynął do Dedana, żeby powtórzyć ostrzeżenie.

Patrząc na przesuwany się brzeg, ocenił szybkość prądu rzecznej na jakieś trzy kilometry na godzinę. Nawet po zapadnięciu zmroku nadal będą niebezpiecznie blisko linii Renamo, a rzeka zносиła ich na wschód w stronę morza. Oznaczało to, że będą musieli obejść lub prześliznąć się przez wojska generała Chiny, żeby dotrzeć do granicy z Zimbabwe na zachodzie. Nie było to łatwe zadanie, ale Sean nie tracił optymizmu. Wrócił do Claudii.

— Dobrze się przy tobie czuję - powiedział.

— W przyszłości postaram się skoncentrować właśnie na tym - zapewniła go. - Co teraz robimy?

— Do zmroku nie mamy nic do roboty poza sterowaniem naszą tratwą.

Przysunęła się do niego bliżej pod wodą i przytuleni do siebie obserwowali brzeg.

266

- Zimno mi - powiedziała po chwili.

Znajdowali się w wodzie od przeszło dwóch godzin. Sean zauważył, że chociaż woda ma temperaturą niższą zaledwie o kilka stopni od temperatury ich ciała, także odczuwał chłód.

Dziewczyna zmrużyła oczy i uśmiechnęła się łobuzersko.

— Nie możesz wymyślić czegoś, żeby zapobiec zapaleniu płuc? - zapytała. - A może ja mogę coś zasugerować?

— No cóż - odparł Sean z udanym zamyśleniem. - Nie możemy rozpalić ognia.

— Nie możemy? - zapytała przekornie. - Chcesz się założyć? - Sięgnęła w dół i po kilku sekundach szepnęła: - Zobacz, bez najmniejszego problemu. I zrobiłam to bez zapatek.

— To cud! - zgodził się Sean i rozpiął jej pasek.

— Postarajmy się tym razem, żeby cud trwał trochę dłużej niż dziesięć sekund - poprosiła.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, rzeka wyglądała jak błyszczący czerwienią olbrzymi wąż.

- Możemy skierować się ku brzegowi - zdecydował Sean.

Zaczęli pchać drzewo pod prąd. Zanurzony głęboko w wodzie pień był ciężki i niewygodny do manewrowania. Z trudem udawało im się go zawrócić. Cała czwórka przyłożyła się do pracy, machając zawzięcie nogami i wreszcie drzewo zaczęło wolno zbliżać się do brzegu.

Słońce schowało się za horyzontem. Woda stała się czarna jak rozlana ropa. Widzieli już wyraźnie ciemne drzewa oświetlone od tyłu poświatą zachodzącego słońca. Brzeg był oddalony o niecałe trzydzieści metrów.

- Dalej popłyniemy sami - zdecydował Sean. - Trzymajcie się blisko mnie. Uważajcie, żebyśmy się nie pogubili w ciemnościach. Wszyscy gotowi?

Zbliżyli się do siebie, trzymając się jednej gałęzi. Sean sięgnął po rękę Claudii. Już otwierał usta, żeby wydać rozkaz, jednakże zamknął je szybko i zaczął nasłuchiwać.

Zdziwił się, że nie usłyszał wcześniej tego odgłosu. Może dźwięk zagłuszył wysoki brzeg i rząd drzew, a teraz jego źródło wysunęło się zza krawędzi. Jakkolwiek było, stał się całkiem wyraźny i łatwy do rozpoznania. Był to odgłos zbliżającej się szybko łodzi motorowej.

- Cholera - szepnął z goryczą Sean i spojrzął w stronę brzegu. Mieli do pokonania trzydzieści metrów, ale teraz mogło to być równie dobrze trzydzieści kilometrów.

Jęk silnika narastał i przycichał tłumiony przez wodę, ale łódź płynęła w dół rzeki od strony linii Renamo. Sean wychylił głowę, żeby spojrzeć przez listowie, i zobaczył w ciemnościach jarzące się światło. Promień omiótł na chwilę nocne niebo, odbił się od ciemnych drzew, załśnił na wodzie i oświetlił przeciwny brzeg.

- Łódź patrolowa Renamo - oznajmił Sean. - Szukają nas. Claudia zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Nikt się nie odezwał. - Spróbujemy się tu schować - zaproponował. - Choć nie mam pojęcia, jak mogliby nas nie odkryć. Zanurzamy się, jak tylko światło zbliży się do nas.

Warkot motoru zmienił odgłos, gdy łódź zwolniła i wychyliła się zza zakrętu kilkaset metrów dalej. Motorówka skierowała się prosto na drzewo.

Promień oświetlał na przemian jeden i drugi brzeg. Światło było bardzo silne i musiało pochodzić z lampy podobnej do tej, jaka wyłuskała Seana na skarpie.

Zmieniając pozycję, promień oświetlił na ułamek sekundy łódź i jej załogę. Sean rozpoznał pięciometrowy ponton Zodiac z silnikiem Yamaha o mocy pięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Mimo że nie udało mu się policzyć członków załogi, było ich co najmniej ośmiu lub dziewięciu i mieli zamontowany na dziobie lekki karabin maszynowy. Mężczyzna obsługujący latarnię stał pośrodku pontonu.

Snop światła prześliznął się po kryjówce, oślepiając zbiegów na kilka sekund, przesunął się dalej, by zaraz wrócić i zatrzymać się na drzewie. Sean usłyszał, jak ktoś wydał ledwo dosłyszalny rozkaz w szangane i zodiac zmienił kurs, zbliżając się do nich. Promień światła pozostał skierowany na kryjówkę.

Zała czwórka zanurzyła się pod wodę tak, że nad powierzchnię wystawały jedynie nosy, i schowała się głębiej za gałęziami.

Sternik zmniejszył prędkość, by po chwili zatrzymać się w ogóle. Wielka gumowa łódź dryfowała teraz z prądem na wysokości drzewa, zaledwie sześć metrów od nich. Reflektor przeczesywał dokładnie gęste gałęzie.

- Ukryj twarz - Sean szepnął na ucho Claudii i objął ją

ramieniem pod wodą. Nawet ich opalone twarze odbijały wyraz
nie promienie. Sam również odwrócił głowę.

— Nikogo tam nie ma - powiedział ktoś w szangane. Mimo
że słowa zostały wypowiedziane normalnym tonem, dotarły do
znajdujących się pod wodą ludzi.

— Opłyńcie drzewo! - ktoś inny wydał komendę. Sean
rozpoznał sierżanta z eskorty. Za pontonem rozciągała się szeroka
biała smuga, gdy zaczął opływać drzewo.

Promień światła rzucał czarne cienie przez gałęzie i odbijał się jaskrawo od powierzchni wody. Gdy zodiak pokonywał zakręt, Sean i reszta przesunęli się na drugą stronę. Snop światła spoczął na nich. Cała czwórka ukryła się bezszelestnie pod wodą. Kiedy ktoś musiał wynurzyć głowę, starał się nie oddychać zbyt głośno.

Upiorna zabawa w chowanego zdawała się trwać całą wieczność, zanim znowu rozległ się głos.

— Tam nikogo nie ma. Tracimy tylko czas.

— Krążcie dalej - odparł sierżant. Po kolejnej minucie do
dał: - Puśćcie serię w drzewo.

Rozbłyśki z lufy lekkiego karabinu maszynowego rozświetliły noc migoczącymi płomykami. Grad pocisków zasypał kłodę z oszałamiającą siłą. Terkot karabinu wypełnił im uszy, łomocząc o konary, ścinając gałęzie i liście. Kule odrywały kawały kory. Rykoszetujące pociski wyły w ciemności niczym potępione duchy.

Sean wciągnął Claudię pod wodę, ale i tak słyszeli kule pluskające na powierzchni i trafiające w pień drzewa nad ich głowami. Zostali pod powierzchnią, aż płuca zaczęły ich palić, jakby napętnione żrącym kwasem, i na chwilę trzeba było wynurzyć twarz, żeby zaczerpnąć oddechu.

Mężczyzna obsługujący karabin maszynowy strzelał seriami. Niczym sygnalista każdy dobry strzelec ma własny styl, rozpoznawalny dla innych ludzi. Ten strzelał podwójnymi seriami po
pięć pocisków w serii. Taka precyzja wymagała palców czułych jak u pianisty.

Gdy Sean i Claudia wynurzyli głowy, chwytając łapczywie powietrze, metr od nich wyłonił się Dedan. Snop światła padł prosto na niego. Czarne, kędzierzawe włosy ociekały wodą, oczy

na hebanowej twarzy wyglądały niczym kule z kości słoniowej, a usta były szeroko rozwarte, pijąc powietrze.

Dostał w skroń, tuż nad uchem. Głowa poderwała się odruchowo do tyłu. Dedan krzyknął głosem, który przypominał ryk rannego bawołu, głowa opadła i zanurzył się twarzą w dół w ciemnej wodzie.

Sean chwycił go za ramię, ściągnając pod powierzchnię, ale

ciało kotłowało się bezwładnie na fali, a wywrócone oczy ukazy

wały jedynie białka. ,

Ludzie w łódce musieli usłyszeć jego krzyk, gdyż sierżant wydał rozkaz:

— Przygotujcie się do rzucenia granatu! - Następnie za

wołał: - Wychodźcie. Daję wam dziesięć sekund!

— Job, odpowiedz mu - rozkazał z rezygnacją Sean. -

Powiedz mu, że już wychodzimy.

Ludzie z plemion Matabele i Szangane potrafili zrozumieć swoje języki i Job krzyknął, żeby nie strzelali.

Claudia utrzymywała głowę Dedana nad wodą. Przyciągnęli go między sobą do łodzi. Reflektor oślepił ich białym światłem, ale jakieś ręce wysunęły się po nich i wciągnęły pojedynczo do środka.

Trzęsąc się z zimna, usiedli pośrodku pontonu. Bezwładne ciało Dedana ułożyli na dnie, a Sean oparł jego głowę na swoich kolanach. Murzyn był nieprzytomny, ledwo oddychał i Sean odwrócił mu głowę, żeby obejrzeć ranę.

Przez chwilę nie zorientował się, na co patrzy. Z podłużnego rozcięcia wypływała jakaś biała, lśniąca masa.

Siedząca za nim Claudia zadrżała i szepnęła:

- Sean, to jego, jego... - Nie mogła wymówić tego słowa

i Sean dopiero wtedy zrozumiał, że patrzy na mózg przyjaciela

zamknięty w białej błonie.

Sierżant wydał rozkaz sternikowi, rozległ się warkot zapuszczanego motoru i zodiac pomknął w górę rzeki. Płynęli na pełnym gazie w stronę fortyfikacji Renamo.

Sean nie mógł w żaden sposób pomóc Dedanowi. Trzymał go za rękę i obserwował, jak puls staje się coraz słabszy i mniej regularny. Wreszcie bicie serca ustało.

- Nie żyje - powiedział cicho.

Job nie odezwał się, a Claudia odwróciła głowę w drugą stronę.

Sean trzymał martwego przyjaciela za rękę przez całą drogę. Dopiero gdy sternik wyłączył silnik i wprowadził łódź na brzeg, Sean podniósł głowę. Na brzegu paliły się światła i czekały na nich ciemne postacie.

Sierżant wydał rozkaz. Dwóch żołnierzy podniosło zwłoki Dedana i rzuciło je twarzą w błoto. Inny żołnierz chwycił Claudię i gwałtownie podniósł. Wypchnął ją szorstko na brzeg, a kiedy dziewczyna obróciła się do niego z wściekłym protestem, podniósł karabin, zamierzając się kolbą w jej pierś.

Sean był dostatecznie blisko, żeby złapać mężczyznę za ramię i powstrzymać cios.

- Zrób to jeszcze raz, ty synu syfilitycznej hieny - powie

dział cicho w języku szangane - a odrąbię ci mtondo tępą

siekierą i zmuszę, żebyś je zjadł bez soli.

Żołnierz patrzył na niego szeroko otwartymi oczami bardziej zdziwiony doskonałym szangane Seana niż samą groźbą. Stojący na brzegu sierżant ryknął głośnym śmiechem.

- Lepiej rób, jak ci mówi - ostrzegł żołnierza - chyba że

jesteś bardzo głodny. Ten facet nie rzuca słów na wiatr. -

Uśmiechnął się złowieszczo do Seana. - Więc mówisz w języku

szangane jak każdy z nas i cały czas rozumiałeś, o czym roz

mawialiśmy! - Potrząsnął ze zdumieniem głową. - Nie dopusz

czę, żebyś znowu mnie oszukał!

Przemoczeni, zmarznięci i rozczochrani zostali bezceremonialnie wepchnięci do pokoju generała Chiny i ustawieni przed jego biurkiem. Seanowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby dostrzec wściekłość na twarzy generała.

China przyglądał się Seanowi przez minutę, nie wstając z krzesła, aż wreszcie powiedział:

- Ta kobieta będzie przeniesiona do innego obozu, daleko stąd. Nie zobaczy jej pan, dopóki na to nie zezwolę.

Sean starał się zachować obojętny wyraz twarzy, ale Claudia krzyknęła cicho i złapała go za ramię, jakby chciała zapobiec tej rozłące. Generał China skinął głową z satysfakcją i mówił dalej spokojnym głosem:

- Ta kobieta nie zasługuje na specjalne traktowanie, jakiej do tej pory zapewniłem. Kazałem zakuć ją w kajdanki, aby zapobiec dalszym próbom ucieczki. Będzie także pozostawała w odosobnieniu.

Przy ścianie stały dwie strażniczki, China spojrzła na nie i skinął głową. Wyższa z nich, nosząca odznakę sierżanta na rękawie, wydała rozkaz krępej kobiecie o żabiej twarzy, która stała obok niej. Strażniczka podeszła do więźniów, w rękach trzymała kajdanki.

Claudia zacisnęła uścisk na ramieniu Seana i cofnęła się przed nią. Kobieta się zawahała, lecz jej przełożona popędziła ją stanowczym głosem. Strażniczka chwyciła dziewczynę za nadgarstek i bez trudu odciągnęła od Seana.

Następnie wprawnym ruchem obróciła ją, pchnęła na wyłożoną workami z piachem ścianę, zapinając kajdanki na jednym nadgarstku i szybko podciągając drugą rękę, żeby zakuć ją także.

Cofnęła się o krok. Wysoka kobieta sierżant podeszła bliżej, schwyciła spętane ręce Claudii i wyciągnęła je wysoko w górę. Claudia stęknęła z bólu zmuszona do stanięcia na palcach. Sierżant obejrzała kajdanki zapięte ściśle wokół nadgarstków dziewczyny, ale widocznie nie była tym usatysfakcjonowana. Przesunęła kajdanki o dwa ząbki do przodu i dziewczyna znowu załkała.

— To za mocno, wrzynają mi się w ciało.

— Powiedz tej kurwie, żeby je poluźniła - Sean warknął na Chinę, ale ten tylko uśmiechnął się i przygładził sobie włosy.

— Pułkownik Courtney, to mój rozkaz. Ta kobieta już nie ucieknie. Sierżant Cara wykonuje tylko swój obowiązek.

— W ten sposób przerywa krążenie krwi. Panna Monterro może stracić obie ręce wskutek gangreny.

— To byłoby bardzo przykre - odparł generał China. - Nie zrobię jednak nic w tej sprawie, chyba że... - zawahał się na chwilę.

— Chyba że co?! - zapytał wściekłym głosem Sean.

— Chyba że uzyskam zapewnienie co do pańskiej współpracy i da mi pan słowo oficera, że nie będzie więcej podejmował prób ucieczki.

Sean spojrział na ręce Claudii. Zaczynały już puchnąć i zmieniać kolor na ciemnofioletowy. Stalowe obręcze wrzyły się w ciało, a żyły nad nimi były coraz bardziej obrzmiałe.

272

— Gangrena to bardzo poważna sprawa, a nasze możliwości amputacji kończyn są raczej prymitywne - zauważył obojętnie China.

— Dobrze - powiedział ciężkim głosem Sean. - Daję panu słowo.

— I pańska współpraca - nalegał China.

— I obiecuję współpracę - zgodził się Sean.

Generał China wydał rozkaz. Sierżant Cara odpięła kajdanki i poluźniła je o dwa oczka. Niemal natychmiast opuchlizna zaczęła ustępować, a kolor skóry szybko wrócił do mocnej opalenizny, gdy do rąk napłynęła krew.

- Zabierzcie ją! - polecił China po angielsku.

Kobieta sierżant skinęła na pomocnicę. Obie chwyciły Claudię pod ramiona, po czym zaczęły ją wlec w stronę drzwi.

— Poczekajcie! - zawołał Sean, ale kobiety go zignorowały.

Kiedy próbował podążyć za nimi, sierżant złapał go od tyłu za ramiona, pętając je mocnym uściskiem.

— Sean! - krzyknęła Claudia z nutą hysterii w głosie. -

Nie pozwól im mnie zabrać! - Strażniczki wypchnęły ją już z pomieszczenia i oddzieliła ich zasłona. - Sean! - Dobiegł go jej spanikowany głos.

— Kocham cię! - zawołał, wrywając się z rąk sierżanta. -

Wszystko będzie w porządku, kochanie. Pamiętaj, że cię kocham.

Zrobię wszystko, żeby nas z tego wyciągnąć.

Obietnica nie wydawała się zbyt przekonująca nawet dla niego, a głos Claudii był pełen rozpacz.

- Sean! - Krzyk był coraz bardziej stłumiony. - Sean! -

Za zasłoną zapadła cisza.

Sean dyszał ciężko z emocji, ale nakazał sobie spokój i przestał się wrywać. Sierżant rozluźnił uchwyt. Sean go odepchnął i odwrócił się do Chiny.

— Ty draniu! - powiedział. - Ty pieprzony draniu!

— Widzę, że nie jest pan w nastroju do rozmowy - powiedział China i spojrzął na zegarek. - Jest już po północy. Myślę, że powinien pan ochłonąć. - Spojrzął na sierżanta i przeszedł na szangane. - Zabierzcie ich - wskazał na Seana i Joba. - Dajcie im jeść, suche ubranie, koce i niech idą spać. Mają się stawić u mnie o świcie.

273

— Sierżant zsalutował i popchnął ich w stronę wyjścia.

— Mam dla nich pewne zadanie - ostrzegł go China.

Uważaj, żeby nic im się nie stało.

Sean i Job spali obok siebie na klepisku lepianki. Z boku siedział strażnik. Ziemia, na której leżeli, była twarda i wilgotna, a materace pełne pluskiew. Mimo niewygody, łaskotania robaków i myśli o Claudii Sean zasnął kamiennym snem.

Sierżant obudził go, zanim jeszcze wstało słońce, rzucając mu na posłanie stertę odzieży.

- Ubierajcie się - polecił.

Sean usiadł i podrapał się w miejscu, gdzie ukąsiła go pluskwa.

- Jak się nazywasz? - Poczł ulgę, że może swobodnie rozmawiać w szangane.

- Alphonso Henriques Mabasa - odparł z dumą żołnierz.

Sean uśmiechnął się, słysząc tę dziwną kombinację. Sierżant miał imię po portugalskim cesarzu i nazwisko w szangane oznaczającego kogoś, kto uderza pałką.

- Pałka wojenna na wrogów i krótsza pała na twoje żony? - zapytał.

Alphonso ryknął śmiechem.

Job usiadł i skrzywił się na ciężki dowcip Seana.

— O piątej rano, i to przed śniadaniem! - zaprotestował.

Potrząsnął ze smutkiem głową, ale Sean usłyszał, jak Alphonso powtarza dowcip stojącym przed lepianką strażnikom.

— Wśród Szangane możesz bez trudu uzyskać opinię kawa

larza - zauważył Job, sortując stertę ubrania przyniesioną przez

Alphonsa. Wszystko było używane, ale czyste.

Sean znalazł wojskową czapkę i mundur w barwach ochronnych. Zrzucił z siebie szybko kurtkę i szorty, które były już w strzępach. Zostawił sobie tylko wygodne mokasyny ze skóry.

Na śniadanie dostali gulasz z małych suszonych rybek, których rybacy używają jako przynęty, i zupę z kukurydzy.

— A herbata? - zapytał Sean.

Alphonso się roześmiał.

— Myślisz, że to hotel Polana w Maputo?

Słońce właśnie wstawało, kiedy Alphonso odeskortował ich

274

nad brzeg, gdzie generał China i jego sztab oceniali zniszczenia dokonane przez hindy.

- Dwudziestu sześciu ludzi zostało wczoraj zabitych i ran

nych - powiedział China na przywitanie. - Drugie tyle zdezer

terowało w nocy. Morale mojego wojska szybko się obniża. -

Mówił po angielsku i było jasne, że nikt ze sztabu go nie rozumie.

Mimo wczorajszego ataku China był elegancko ubrany i wyglądał

nienagannie w brązowym berecie i świeżo odprasowanym mun

durze. Na piersi miał baretki, a na epoletach generalskie gwiazdki.

Z kabury wystawała rękojeść pistoletu wykonana z kości sło

niowej. Oczy ukrył za lustrzanymi okularami przeciwsłonecznymi

w złotych oprawkach. - Jeśli nie uda nam się powstrzymać

tych nalotów, to za trzy miesiące, zanim nastanie pora deszczowa, będzie po nas.

Pora deszczowa to czas, kiedy partyzantów chroni wysoka trawa, rozmiękczony drogi i rozlane rzeki uniemożliwiające skuteczny pościg.

- Obserwowałem wczoraj hindy w akcji - odezwał się ostrożnie Sean. - Kapitan Job pożyczył sobie wasz granatnik RPG siedem i zaliczył trafienie.

China spojrzął z zainteresowaniem na Joba.

— Nieźle - pochwalił go. - Żadnemu z moich ludzi nie udało się to jeszcze. Co się stało?

— Nic - odparł Job.

— Wyszedł z tego bez najmniejszego szwanku - potwierdził Sean.

— Maszyna jest świetnie opancerzona. - China skinął głową, a potem spojrzął nerwowo na niebo, jakby oczekiwał, że w każdej chwili pojawią się na nim garbate potwory. - Nasi przyjaciele z południa zaoferowali nam jeden z nowych systemów wyrzutni rakiet Darter, ale są pewne trudności z transportem dużych wozów po drogach na terytorium kontrolowanym przez Frelimo. -

Potrząsnął niechętnie głową. - Potrzebujemy broni dostosowanej dla piechoty, którą mogliby używać i nosić ze sobą partyzanci.

— Z tego, co wiem, jest tylko jedna skuteczna broń tego typu. Amerykanie dostarczali do Afganistanu ręczne wyrzutnie przeciwlotniczych pocisków Stinger, którymi zestrzelowano te śmigłowce. Nie znam jednak żadnych szczegółów - dodał

w pośpiechu Sean. Wiedział, że nie jest rozsądne pozowanie na eksperta, ale problem go intrygował, więc dał się ponieść emocjom.

- Ma pan zupełną rację, pułkowniku. Zmodyfikowane stinger-y są jedyną skuteczną bronią przeciwko hindom. To jest właśnie pańskie zadanie i cena pańskiej wolności. Chcę, żeby zdobył pan dla mnie partię stingerów.

Sean zatrzymał się nad brzegiem rzeki i spojrzał na niego ze zdumieniem. Na jego twarzy zaczął pojawiać się uśmiech.

- Jasne - powiedział. - Nie ma sprawy. Czy ma pan jakieś specjalne życzenia co do koloru i zapachu? Może niebieski i zapach kiwi?

Po raz pierwszy tego ranka China uśmiechnął się do niego.

- Stinger-y już tu są, trzeba je tylko zabrać.

Z twarzy Seana zaczął znikać uśmiech.

— Mam nadzieję, że to żart. Wiem, że Savimbi dostał stinger-y od jankesów, ale Angola leży na drugim końcu kontynentu.

— Te stinger-y są znacznie bliżej - zapewnił go China. -

Czy pamięta pan starą rodezyjską bazę wojskową Grand Reef?

— Powinienem. - Sean skinął głową. - Żołnierze elitarniej jednostki przebywali w tej bazie przez ponad rok.

— Oczywiście, pamiętam. - China dotknął zniekształconego ucha pod beretem. - Właśnie stamtąd zaatakowaliście obóz w Inhlozane. - Wyrz jego twarzy stał się nagle nieprzejrzysty.

— To było w innej wojnie - przypomniał mu Sean.

— Rysy twarzy Chiny się rozluźniły.

— Jak już mówiłem, stinger-y są w Grand Reef.

— Nic nie rozumiem. - Sean potrząsnął głową. - Jankesi nigdy nie daliby stingerów Mugabemu. Jest marksistą, a Stany

Zjednoczone nie kochają zbyttnio Zimbabwe. To nie ma sensu.

— Właśnie, że ma - oświadczył China. - Na typowo

afrykański sposób ma to głęboki sens. - Spojrzał na zegarek. -

Czas na herbatę. Zdaje się, że prosił pan o nią rano. Bez względu

na to, po której stronie walczymy, wojna uzależniła nas wszyst

kich od herbaty.

China zaprowadził ich do bunkra dowódczego i ordynans przyniósł czajnik z naparem.

- Amerykanie nie lubią Mugabego, ale jeszcze bardziej nie

276

lubią Południowoafrykańczyków - wyjaśnił China. - Mugabe daje schronienie i zapewnia pomoc partyzantom ANC* przekraczającym granicę z Afryką Południową.

Sean skinął poważnie głową. Widział zdjęcia przedstawiające masakrę spowodowaną przez minę podłożoną w południowoafrykańskim supermarkecie. Miało to miejsce w ostatni piątek miesiąca, w dniu wypłaty, kiedy sklep był zatłoczony kobietami z dziećmi, zarówno białymi, jak i czarnymi.

— Południowoafrykańczycy postanowili ścigać partyzantów

do ich baz. Pokazali już, że traktują poważnie tę groźbę, urzą

dając pościgi przez granice ze wszystkimi sąsiadami. ANC

ogłosiło, że zamierza zwiększyć liczbę zamachów na cele cywil

ne. Mugabe dobrze wie, jakie będą tego konsekwencje, i chce

mieć broń, która pozwoliłaby mu bronić się przed południowo

afrykańskimi śmigłowcami bojowymi Puma, które przekroczą

granicę w pościgu za ANC.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że jankesi zaopatrzyliby go

w stingery - powiedział Sean.

— Nie zrobili tego bezpośrednio - przyznał China. - Brytyj

czycy ćwiczą armię Mugabego i byli pośrednikami. Dostali

stingery od Amerykanów i w bazie Grand Reef uczą Trzecią

Brygadę posługiwać się nimi.

— Skąd, do cholery, wie pan o tym wszystkim?

— Musi pan pamiętać, że byłem ministrem w rządzie Muga bego. W dalszym ciągu mam dobrych przyjaciół na wysokich stanowiskach.

Sean zastanowił się nad tym.

— Ma pan rację - zgodził się. - To wszystko jest typowo afrykańskie. Więc stingery są w Grand Reef.

— Zostały dostarczone przez herculesa Królewskich Sił Lotniczych dwa tygodnie temu. Mają zostać rozmieszczone wzdłuż granicy z RPA na początku przyszłego miesiąca. Pułkownik Courtney, ta broń zostanie wymierzona w pańskich rodaków.

Sean poczuł patriotyczne oburzenie, ale nie dał tego po sobie poznać.

* African National Congress of South Africa, Afrykański Kongres Narodowy Afryki Południowej.

277

— Trening jest prowadzony przez kapitana i dwóch podoficerów Artylerii Królewskiej, więc rozumie pan już, czemu potrzebuję w moich planach białej twarzy.

— To zaczyna brzmieć złowieszczo - mruknął Sean. -

Niech pan mi powie, czego pan dokładnie ode mnie chce.

— Chcę, żeby pan wrócił do Zimbabwe i dostarczył mi te stingery.

Sean nie pokazał po sobie żadnych emocji, gdy spytał:

— A w zamian?

— Kiedy dostanę pociski, zdejmę kajdanki z rąk miss Monterro i przeniosę ją do kwatery, w której będzie mógł ją pan odwiedzać - zamilkł na chwilę i pozwolił sobie na domyślny

uśmiech - i spędzać z nią wieczory i noce.

— A co z naszym uwolnieniem?

— Oczywiście - powiedział China. - Wszyscy troje zo staniecie wypuszczeni na wolność, gdy wyświadczy mi pan jeszcze jedną przysługę. Najpierw jednak stingery.

— Co to za przysługa?

China podniósł do góry obie ręce.

- Wszystko w swoim czasie, pułkownika Courtney. Przede wszystkim stingery. Kiedy je dostanę, porozmawiamy na temat drugiej części naszej umowy.

Sean zmarszczył brwi, patrząc na kubek z herbatą i starając się wymyślić coś korzystnego do podjęcia pertraktacji, ale China przerwał te rozmyślenia.

- Pułkowniku, każda zmarnowana minuta tylko przedłuża - szukał odpowiedniego słowa - niewygodę panny Monterro. Dopóki nie dostanę stingerów, będzie nosiła dzień i noc kajdanki, także w czasie snu, jedzenia i wykonywania innych podstawowych czynności. Proponuję, żeby pan jak najszybciej zabrał się do opracowywania planu.

Sean wstał i podszedł do mapy ściennej wiszącej za biurkiem generała Chiny. W zasadzie nie musiał na nią patrzeć; mógł zamknąć oczy i zobaczyć każdą dolinę, wzgórze, każde pofałdowanie terenu wzdłuż granicy między Mozambikiem a Zimbabwe. Linia kolejowa przekraczała granicę nieopodal miasteczka Umtali, a dwadzieścia kilometrów dalej po stronie Zimbabwe widniał czerwony znaczek przedstawiający lotnisko i bazę wojskową Grand Reef.

278

Sean dotknął stylizowanego znaczka palcem. Job podszedł do niego. Patrzyli na mapę w zamyśleniu. Ileż razy wyruszali z bazy na akcję, wsiadając do hałaśliwych samolotów transportowych Dakota i uginając się pod ciężarem spadochronów, plecaków i broni... Mogli bez kłopotu wyobrazić sobie pozycję każdego budynku, hangaru, baraku czy umocnień.

— Dwadzieścia kilometrów do granicy - powiedział cicho

Job. - Jakieś piętnaście minut samochodem, ale nie damy rady

przejsć tędy na piechotę.

— Generale China, mówił pan o planie. Co pan miał na myśli?

Czy może nam pan załatwić jakieś ciężarówki? - zapytał Sean, nie oglądając się za siebie.

— Nie tak dawno moi ludzie zdobyli trzy półciężarówki

Unimog w oryginalnych kolorach armii Zimbabwe wraz z praw

dziwymi papierami. Trzymamy je w ukryciu - odpowiedział

China i Sean westchnął z ulgą. - Mój plan polega na tym, że

przekroczycie granicę przebrani za żołnierzy Zimbabwe.

— Założę się, że przez posterunek graniczny przejeżdża bardzo dużo samochodów wojskowych.

— Zgadza się - potwierdził China.

— Będziemy potrzebowali oryginalnych mundurów dla

wszystkich ludzi biorących udział w tej akcji i jakiś mundur

dla mnie. - Sean postukał palcem w mapę. - Musimy dostać

się do bazy bez jednego wystrzału.

— Mam dla pana mundur połowy brytyjskiego oficera -

powiedział China. - Jest autentyczny i dostanie pan do niego dokumenty.

— Jak pan, u diabła, zdołał to zdobyć?

— Trzy miesiące temu zaatakowaliśmy kolumnę żołnierzy

Zimbabwe w pobliżu Vila de Manica. Brytyjski oficer, który był

z nimi jako obserwator, został przypadkowo trafiony. Według

dokumentów był to major jednego z regimentów gwardii przy

dzielony wysokiemu komisarzowi wojskowemu w Harare jako

attache wojskowy. Mundur został oczyszczony z krwi, a rozdarcia

spowodowane odłamkami granatu zręcznie pozszywane. Krawiec,

który zajął się jego naprawą, szył ubranie dla mnie. - China
wygładził połę munduru, wyglądając na wyjątkowo usatysfak
cjonowanego swoim strojem. - Dopasuje także mundur dla
279

pana, pułkownika. Major brytyjski był mniej więcej pana wzrostu, ale znacznie szerszy w pasie i
plecach.

— Regiment gwardii. - Sean uśmiechnął się. - Mam wą
pliwości co do mojego akcentu; każdy Anglik rozpozna we mnie
Południowoafrykańczyka, jak tylko otworzę usta.

— Będzie je pan musiał otworzyć jedynie do stojących przy
bramie strażników z Trzeciej Brygady. Zapewniam pana, że nie
mają aż tak dobrego wyczucia.

— Dobra - powiedział Sean. - Powiedzmy, że uda nam
się dostać do środka, ale jak się stamtąd, do cholery, wydo
staniemy? - Cała sprawa intrygowała go i czuł, że zaczyna się
świetnie bawić.

— Nie tak szybko, Sean. - Job studiował mapę. - Nie
możemy stanąć przy bramie i zażądać, żeby nas wpuścili, nie
podając jakiegoś hasła. Jeśli w bazie są stingery, to ochrona
będzie zaostrzona do maksimum.

— Zgadza się - potwierdził China. - Przekażę wam jeszcze
jedną dobrą wiadomość. Mam tam swojego człowieka. To mój
kuzyn. Nasza rodzina jest całkiem liczna - powiedział nie bez
dumy. - Jest oficerem w służbie łączności, zastępcą dowódcy
centrum komunikacyjnego bazy. Będzie mógł sfalszować ze
zwolenie najwyższego dowództwa na inspekcję programu stinger
przez attache wojskowego. Tak więc strażę przy bramie będą

was już oczekiwać. Postaram się nie być zbyt dokładni w spraw
dzaniu waszych dokumentów.

— Jeśli ma pan swojego człowieka w bazie, to powinien
wiedzieć, gdzie dokładnie znajdują się stingery - zasugerował
Job.

— Jasne. - China skinął głową. - Są w hangarze numer
trzy. To drugi od lewej.

— Wiemy, gdzie jest ten hangar - zapewnił go Sean i zmar
szył brwi, starając się przewidzieć inne problemy, na jakie
mogli się natknąć. - Chciałbym się dowiedzieć, jak są opako
wane pociski, jaki mają rozmiar i ciężar. - China robił po
spieszne notatki w zeszycie. - Muszą też być do nich podręczniki
instruktażowe. Na pewno są przechowywane w kwaterze kapitana
Artylerii Królewskiej. Chcę wiedzieć, gdzie to jest.

Wyliczał każdy punkt na palcach, a Job wnosił własne sugestie.

280

- Będziemy potrzebowali czegoś do odwrócenia uwagi -
powiedział. - Powinniśmy mieć jakiś drugi oddział, który
zaatakowałby bazę z dala od hangaru i placu ćwiczeń. To musi
być głośne; dużo pocisków smugowych, nabojów do RPG i gra
natów z białym fosforem.

Zaczynała się zabawa jak za starych, dobrych czasów, kiedy pracowali razem, stymulując się
nawzajem. Podniecenie, które udawało się im ukryć pod maską profesjonalizmu, wyraźnie błyszczało
w ich oczach.

— Cieszę się, że to z Trzecią Brygadą będziemy mieli do
czynienia - zauważył mimochodem Job. - To ta banda mor
derców zakonnic i gwałcicieli dzieci zniszczyła Matabeleland. -

Spustoszenia i okrucieństwa, jakie towarzyszyły napadowi brygady na terytoria, na których działali polityczni dysydenci Matabele, wciąż były świeże w jego pamięci. - Dwóch moich braci, mój dziadek... - Job zniżył głos do nienawistnego szepotu. - Żołnierze z Trzeciej Brygady wrzucili ich ciała do starej kopalni Antelope.

— To nie jest osobista zemsta - ostrzegł go Sean. - Job, chcemy dostać tylko stingery.

Plemienne waśnie w Afryce były równie zaciekle jak wendeta na Korsyce. Job otrząsnął się, żeby pozbyć się złych wspomnień.

- Masz rację, ale kilka skalpów Trzeciej Brygady będzie przy okazji miłym upominkiem.

Sean wyszczerzył zęby w uśmiechu. Mimo własnej przestrogi myśl o uderzeniu na ZANLA sprawiała mu przyjemność nie mniejszą niż przyjacielowi. Ilu dobrych ludzi, kobiet i przyjaciół stracił przez nich w ciągu jedenastu długich lat wojny. Zastanowił się, jak skomplikowane były więzy lojalności i nienawiści tworzące społeczeństwo afrykańskie. Jedynie Afrykanin mógł je kiedykolwiek zrozumieć.

- W porządku. - Sean wrócił do rzeczywistości. - Jesteśmy w środku. Mamy stingery, powiedzmy dwa załadowane do pełna unimogi. Znalazłem podręczniki i jesteśmy gotowi do drogi. Udało nam się odwrócić ich uwagę i ściągnąć większość strażników na południową część bazy, po przeciwnej stronie lotniska. Teraz musimy się wydostać. Obawiam się, że nie zechcą nas tak łatwo wypuścić.

281

— Zaatakujemy bramę - zaproponował Job. - Powiedzmy, pierwszą ciężarówką rozbijemy barykadę.

— Dobrze. - Sean skinął głową. - A co potem? Nie uda nam się opuścić kraju przez punkt graniczny w Umtali. Cała

armia Zimbabwe i Frelimo rzuca się za nami w pościg.

Obaj odwrócili się do mapy. Sean wyciągnął rękę i powiodł palcem wzdłuż drogi, która rozgałęziała się na północy, zanim dotarła do Umtali, i biegła równoległe do granicy, przecinając wzgórzyste okolice na wschodzie w kierunku Narodowego Parku Inyanga, obszaru wysokich gór zasnutych przez mgły i gęsto zalesionych dolin. Sean zatrzymał palce na jednej z dolin, która wyglądała na mapie jak zielony klin wbity między pasmo gór.

— Dolina Honde - odczytał napis. Droga przecinała początek doliny, która biegła dalej do granicy i płaskowyży mozambickich.

Było to naturalne wejście na wyżej położone tereny, brama, którą partyzanci ZANLA przedzierali się z obozów treningowych w Mozambiku do Zimbabwe. Nie była to łatwa droga, ale Sean i Job poznali wszystkie jej tajemnice, ukryte ścieżki, fałszywe korytarze i tajemne przejścia.

— Droga do misji St Mary - powiedział Sean i obaj spojrzeli na oznaczony na mapie punkt. - Tylko dotąd możemy dojechać ciężarówkami.

— Dalej mamy jedynie sześć kilometrów do granicy - mruknął Job.

— Sześć cholernie ciężkich kilometrów - poprawił go Sean. - I wcale nie będziemy bezpieczni, jak przekroczymy granicę. Będą nas ścigali, dopóki nie dotrzemy na obszar kontrolowany przez Renamo. - Sean odwrócił się do generała Chiny. - Chcę mieć tragarzy czekających na nas w misji St Mary. Jaki obszar dokładnie pan kontroluje?

— Tragarze to nie problem. - China stanął między nimi i wskazał na punkt, który nazywał się Mavonela. - Mogę zarządzić, żeby w tej wiosce czekały na was ciężarówki. Jeśli dotrzecie do Mavoneli, uznam, że wypełnił pan swoje zadanie, pułkowniku.

— Proponuję, żeby nie przenosić wszystkich czterdziestu

stingerów jedną kolumną tragarzy - wtrącił się Job. - Będą stanowili zbyt dobry cel dla migów Mugabego. Jeden ładunek napalmu i po ptakach.

282

— W dodatku Frelimo może także ściągnąć hindy - dodał

Sean. - Masz rację, Job. Jak tylko będzie dostatecznie jasno, żeby mogli nas zaatakować z powietrza, rozpryskujemy się. -

Sean miał na myśli starą taktykę partyzantów polegającą na rozdzieleniu oddziału. W ten sposób przeciwnik miał przed sobą wiele trudnych do wykrycia celów zamiast jednej łatwej do zniszczenia kolumny. - Czy może pan zaaranżować kilka PS zamiast jednego w Mavoneli? - Sean użył skrótu oznaczającego punkt spotkania.

— Tak - zgodził się China. - Rozstawimy transport wzdłuż drogi do Mavoneli. - Przejechał palcem trasę. - Powiedzmy, co kilometr jedna ciężarówka ukryta pod siatką kamuflującą. Na ostatnim etapie stingery przewieziemy pod osłoną ciemności.

— W porządku, ustalmy harmonogram - zaproponował

Sean. - Spiszmy to wszystko na papierze. Potrzebuję czegoś do pisania.

China otworzył biurko i wyjął z szuflady tani notatnik i długopis. Podczas gdy Sean i Job rozpisywali plan, China posłał po kwatermistrza. Był to niewysoki, pyzaty mężczyzna, który kiedyś prowadził zakład krawiecki dla mężczyzn w Beirze, zanim trudności ekonomiczne, bardziej niż ideologia, zmusiły go do opuszczenia miasta i poszukania pracy wśród partyzantów Chin.

Krawiec przyniósł mundur oficera gwardzistów irlandzkich wraz z czapką, insygniami, pasem z kaburą i butami. Nie przerywając pracy nad planem, Sean wdział na siebie mundur, pozwalając krawcowi wziąć miarę. Marynarkę i spodnie trzeba było zwęzić, a buty okazały się o numer za duże.

- Lepiej, że są za duże niż za małe - zdecydował Sean. -

Włożę dwie pary skarpet.

Krawiec spiął fałdy na marynarce szpilkami, przykucnął przed Seanem i zaznaczył miejsce, gdzie należało skrócić nogawki o dwa centymetry.

— Świetnie. - Sean przeglądał dokumenty majora, które

China położył na biurku. Zdjęcie przedstawiało tłustego blondyna

w wieku czterdziestu kilku lat. - Gavin Duffy - przeczytał na

głos. - Będzie pan musiał dorobić nowe zdjęcie.

— Zajmie się tym mój oficer od propagandy - powiedział

China.

283

Oficer od propagandy był Mulatem, pół Portugalczykiem, pół Szangane. Przyniósł ze sobą polaroid. Zrobił Seanowi cztery zdjęcia paszportowe i jedno z nich wkleił zręcznie na miejsce fotografii nieżyjącego majora.

- Dobrze. - Sean zwrócił się do Chiny. - Teraz chcę zobaczyć ludzi, którzy wezmą udział w misji. Chcę sprawdzić ich rynsztunek. Będzie pan im musiał wytłumaczyć, że od chwili rozpoczęcia akcji przyjmują rozkazy tylko ode mnie.

China uśmiechnął się i wstał zza biurka.

- Proszę za mną, pułkowniku. Sam pana zaprowadzę do pańskiego oddziału.

Wyprowadził ich z bunkra, a kiedy wyszli na ścieżkę prowadzącą przez las do rzeki, Sean zrównał się z nim i kontynuował omawianie planu.

— Będę potrzebował więcej ludzi niż dziesięciu żołnierzy z oddziału sierżanta Alphonsa. Co najmniej jeszcze jeden odział będzie niezbędny do przeprowadzenia dywersyjnego ataku na bazę. - Przerwał, gdy nad obozem rozległy się jęśliwe dźwięki syreny oznajmiającej nalot. W jednej chwili znaleźli się w samym środku zamieszania i biegnących na swoje po

sterunki partyzantów.

— Hindy! - wrzasnął China. - Kryć się!

Puścił się pędem ku znajdującej się przy najbliższej kępie drzew ścianie z worków z piachem. Na stanowisku zostało umieszczone sprzężone działko przeciwlotnicze kalibru 12,7 mm. Sean pomyślał, że świetnie się nadaje na cel dla nadlatujących śmigłowców, i rozejrzał się za inną kryjówką.

W wysokiej trawie po drugiej stronie ścieżki wypatrzył nie-rzucający się w oczy lej po wybuchu pocisku. Kiedy wskoczył do niego, dobiegł go przeraźliwy ryk zbliżających się hindów i szybko narastający odgłos strzałów z broni maszynowej. Job również wskoczył do leja i przykucnął obok Seana, a po chwili w otworze pojawiła się figurka jakiegoś małego i zwinnego człowieka, który wpakował się między nich.

W pierwszej chwili Sean nie zorientował się, kim jest człowiek. Rozpoznał go dopiero po szerokim uśmiechu, który pomarszczył czarną twarz. Mężczyzna przywitał go szczęśliwym głosem.

- Widzę cię, Bwana.

284

— To ty! Ty mały, głupi gnojku! - Sean patrzył na niego z niedowierzaniem. - Posłałem cię do Chiwewe. Co tu robisz, do jasnej cholery?

— Byłem w Chiwewe, jak kazałeś - zapewnił go Matatu. -

Następnie wróciłem, żeby się tobą zaopiekować.

Sean patrzył z podziwem na przyjaciela, zastanawiając się nad jego słowami. Pokręcił z niedowierzaniem głową i uśmiechnął się. W odpowiedzi Matatu obdarzył go swoim najwdzięczniejszym uśmiechem.

— Nikt cię nie widział?-zapytał Sean w suahili. - Przekradłeś się przez linie wojska do dowództwa armii i nikt cię nie widział?

— Nikt nie widzi Matatu, jeśli Matatu nie chce, żeby go zobaczono.

Ziemia trzęsła się pod nimi, a niesamowity huk zmuszał do wykrzykiwania słów na cały głos.

— Jak długo tu jesteś?

— Od wczoraj. - Matatu wyglądał na skruszonego. Wskazał na niebo, gdzie krążyły hindy. - Byłem tu, kiedy zaatakowały

te maszyny. Patrzyłem, jak wskoczyliście do rzeki. Podążałem za wami wzdłuż brzegu, kiedy płynęliście ukryci za kłodą, i chciałem do was dołączyć, ale zobaczyłem krokodyla. Później w nocy shifta, źli ludzie, przyплыnęli łodzią i pojмали was. Cały czas podążałem za wami i czekałem.

— Widziałeś może, gdzie zabrali panienkę? - zapytał niecierpliwie Sean.

— Widziałem, jak wyprowadzali ją w nocy. - Widać było, że Claudia mało obchodzi Matatu. - Czekałem jednak na ciebie.

— Czy możesz się dowiedzieć, dokąd ją zabrali? - dopytywał się Sean.

— Oczywiście. - Uśmiech znikł z twarzy Matatu i pojawił się wyraz lekkiego oburzenia. - Mogę podążyć za nimi wszędzie. Sean rozpiął kieszeń marynarki i wyjął z niej notatnik. Oparty o ścianę leżał, przy akompaniamencie pocisków rozrywających się nad głową, skomponował pierwszy list miłosny od wielu lat. Wypełniwszy całą stronę zapewnieniami miłości, pocieszeniami i dowcipami, jakie potrafił wymyślić w tej sytuacji, zakończył list: "Bądź silna, to już nie potrwa długo. Pamiętaj zawsze, że cię kocham. Cokolwiek się stanie, kocham cię".

285

r

Wyrwał kartkę z notatnika i złożył ją równo.

- Zanieś jej to. - Podał list Matatu. - Upewnij się, że będzie mogła go przeczytać, i wracaj do mnie.

Matatu schował papier za opaskę biodrową i czekał cierpliwie.

— Widziałeś tę lepiankę, w której spałem zeszłej nocy? -
zapytał Sean.

— Widziałem, jak z niej wychodziłeś dziś rano - odparł
Matatu.

— Spotkamy się w tym miejscu - powiedział Sean. -

Przyjdź do mnie, gdy shifta będą spali. - Sean spojrział na niebo.

Nalot był silny, ale nie trwał długo. Odgłos silników i strzałów
stopniowo cichł. Nad ich schronieniem unosiły się dym i kłęby
kurzu. - Idź już! - rozkazał. Matatu poderwał się na równe
nogi, żeby wykonać polecenie, ale Sean złapał go jeszcze za
ramię. Było chude niczym ręka dziecka. Uścisnął je czule. - Nie
daj się złapać, stary przyjacielu - poprosił w suahili.

Matatu potrząsnął głową, roześmiał się z absurdalnego pomysłu i zniknął niczym dym z lampy dżina.

Czekali jeszcze kilka minut, dając czas Matatu na oddalenie się na bezpieczną odległość. Następnie
wydostali się z leja. Drzewa wokół nich były posiekane i poniszczone przez pociski; po drugiej stronie
rzeki palił się skład amunicji rozrywany wybuchającymi nabojami do RPG i granatami fosforowymi,
które wyrzucały gęste chmury dymu w niebo.

Generał China szedł energicznym krokiem ścieżką w ich kierunku. Na ramieniu miał czarną plamę od
sady i ślady ziemi na kolanach i łokciach. Twarz wykrzywił mu wściekły grymas.

— Nasza pozycja jest całkowicie odłonięta - wyrzucił
z siebie z gniewem. - Mogą nas napadać do woli, a my nie
mamy jak się przed nimi bronić.

— No więc musi pan wycofać swoje siły poza zasięg hin-
dów. - Sean wzruszył ramionami.

— Nie mogę tego zrobić. - China potrząsnął przecząco
głową. - To by znaczyło, że nie możemy już kontrolować linii
kolejowej. Znaczyłoby to także, że oddajemy główne drogi
Frelimo i tym samym ułatwiamy im ofensywę.

— No cóż - Sean znowu wzruszył ramionami -jeśli chce

pan tu zostać, to musi pan zgodzić się na lanie.

—

286

- Niech mi pan dostarczy stingery - syknął China. -

Niech pan je zdobędzie, i to szybko! - Ruszył przed siebie

leśną drogą.

Sean i Job podążyli za nim do kompleksu bunkrów nad brzegiem rzeki. Na małym placu apelowym wielkości kortu tenisowego czekała na nich kompania partyzantów, czterdziestu ludzi wyznaczonych przez generała. Wyglądali, jakby nalot nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia. Nie zwracali uwagi na zniszczenia, dym, biegających w pośpiechu sanitariuszy i krzątających się wszędzie ludzi oceniających straty.

Sean rozpoznał sierżanta Alphonsa i jego Szangane stojących w pierwszym rzędzie. Alphonso wystąpił z szeregu, zsalutował Chinie, obrócił się na pięcie i wydał żołnierzom rozkaz, żeby spoczęli. Generał China nie lubił najwidoczniej marnować czasu. Zwrócił się do nich podniesionym głosem w języku szangane:

— Otrzymaliście specjalne zadanie. Od tej chwili będziecie

słuchali rozkazów tego białego oficera. - Wskazał na stojącego

za nim Seana. - Będziecie wykonywać te rozkazy. Wszyscy

znacie konsekwencje czekające was za nieposłuszeństwo. - Od

wrócił się do Seana. - Proszę kontynuować, pułkowniku - po

wiedział i ruszył w stronę bunkra dowódczego. Sean nieomal

zasalutował mu instynktownie. Udało mu się pohamować.

— Cholera z tobą, China - mruknął pod nosem i skoncen

trował się na swoich ludziach.

Znał już dobrze oddział Alphonsa, pozostali partyzanci wybrani przez Chinę wydawali się równie dobrzy. Generał dał mu najlepszych żołnierzy. Sean szedł wolno wzdłuż pierwszego szeregu, oglądając uważnie każdego z nich. Wszyscy byli uzbrojeni w karabinki AKM, nowocześniejszą wersję wysłużonych AK-47. W niektórych miejscach farba zesła z metalu od permanentnego używania, ale każdy karabin aż lśnił od czyszczenia i był w dobrym stanie. Pasy także wyglądały nieźle, a mundury, mimo że wysłużone, porządnie pocerowano i wyczyszczono.

Zawsze należy oceniać rzemieślnika po stanie jego narzędzi, pomyślał Sean. To byli wyszkoleni żołnierze, dumni i odważni. Sean spoglądał każdemu z nich w oczy i dostrzegał właśnie te cechy. Ze wszystkich plemion afrykańskich Sean najchętniej pracował z ludźmi z plemion pochodzących od Zulusów: Angoni,

287

Matabele i Szangane. Gdyby sam mógł decydować, wybrałby bezwzględnie właśnie tych ludzi.

Kiedy skończył inspekcję, stanął przed nimi i zwrócił się do nich w szangane.

- Wy i ja rozwalimy jaja żrącym gównem żołnierzom Fre-limo - powiedział cicho. Stojący w pierwszym rzędzie Alphonso wyszczerzył radośnie zęby niczym wilk.

Dwie strażniczki i eskorta składająca się z pięciu żołnierzy prowadzili Claudię Monterro z rękami skutymi na plecach, w ciemnościach, po wyboistej ścieżce. Dziewczyna często się potykała. Kiedy się przewróciła, nie mogła amortyzować upadku rękami. Po kilku wywrotkach na kamienistej drodze miała zdartą skórę i pokrwawione kolana, a nocna wędrówka stała się koszmarem i torturą.

Wydawało się, że marsz nigdy się nie skończy. Mijała godzina za godziną. Za każdym razem, kiedy padała, kobieta sierżant wyzywała ją w języku, którego Claudia nie rozumiała. Nie mogąc się postawić rękami, miała też coraz większe kłopoty ze wstaniem.

Była tak spragniona, że w ustach ślina zmieniała się w jakąś lepkać maź, bolały ją nogi, a ręce miała zdrętwiałe. Czasami słyszała jakieś głosy w ciemnościach. Raz czy dwa poczuła zapach dymu i dojrzała blask ogniska lub latarni. Przynajmniej wiedziała, że jest wciąż na terytorium Renamo.

Nagle marsz dobiegł końca. Claudia się domyśliła, że są nad rzeką - czuła wilgoć w powietrzu i dostrzegała wysokie nadbrzeżne drzewa na tle rozgwieżdżonego nieba. Wokół siebie czuła zapach ludzi: stęchłą woń popiołów z ognisk i spalonego drewna, ludzki pot i odór brudnej bielizny przemieszany ze smrodem odpadków. Strażnicy wprowadzili ją przez bramę w ogrodzeniu z drutu kolczastego na teren więzienia i zawiedli do rzędu schronów.

Strażniczki wzięły ją pod ręce, sprowadziły po kilku stopniach w dół i pchnęły tak mocno, że Claudia ponownie wyłożyła się jak długa na ziemi. Usłyszała za sobą odgłos zamykanych i ryglowanych drzwi. Otoczyła ją nieprzenikniona ciemność.

288

Po krótkim wysiłku udało jej się podnieść z ziemi, ale kiedy spróbowała się wyprostować, rąbnęła głową w niski sufit. Miała wrażenie, że jest zrobiony z nieokorowanych pni drzew. Claudia przesunęła

się ostrożnie do tyłu z wyciągniętymi jak najdalej za siebie rękami i natrafiła na drzwi. Zbite z prostych desek były szorstkie i najeżone drzazgami. Dziewczyna zaparła się o nie plecami z całej siły, ale nie poruszyły się nawet o milimetr.

Schylona nisko, żeby chronić głowę, okrążyła pomieszczenie. Wykręconymi rękami wyczuwała wszędzie wilgotną ziemię. Komórka okazała się bardzo mała, miała nie więcej niż dwa metry kwadratowe. W rogu ziemianki natrafiła na jedyny mebel. Był to jakiś metalowy przedmiot, który Claudia obmacała stopą i przekonała się, że jest to zwykłe wiadro. Ostry smród wydobywający się z jego wnętrza nie pozostawiał wątpliwości co do jego przeznaczenia. Zakończyła obchód i wróciła do drzwi.

Dręczące ją pragnienie stawało się torturą nie do zniesienia i Claudia zawołała:

- Proszę, potrzebuję wody. - Z gardła wydobył się chro

pawy skrzek, usta miała wyschnięte i czuła, że pękają jej wargi. -

Wody! - zawołała i nagle przypomniała sobie, jak po hiszpańsku

nazywa się woda. - Aqual - Miała nadzieję, że brzmi to

podobnie po portugalsku.

Wysiłki nie zdały się na nic. Ściany tłumiły wszelkie dźwięki. Claudia przesunęła się w róg schronu i usiadła ciężko na klepisku. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jak okropnie jest znużona. Niestety, kajdanki uniemożliwiały jej ułożenie się na plecach czy boku. Szukała pozycji, w której nie czułaby się zbyt niewygodnie, i wreszcie, wbiwszy się plecami w róg pomieszczenia, zdołała zasnąć.

Obudził ją chłód i jeszcze coś, z czego nie zdawała sobie sprawy. Przez chwilę miała nadzieję, że jest w domu ojca w An-chorage i zawołała przestraszona:

- Tatusiu! Jesteś tam?

Doszedł ją stęchły smród z wiadra na nieczystości, poczuła zimno przenikające członki i przypomniała sobie wszystko. Ogarnęła ją taka rozpacz, że chciało jej się płakać nad swoją dolą. W tej chwili ponownie usłyszała głos, który ją obudził. Siedziała sparaliżowana, czując, jak na czole i karku występuje pot.

289

Wiedziała, co to takiego. Nie miała częstych kobiecych fobii wobec pajaków czy węzów, ale było coś, co napełniało ją wręcz nienaturalnym przerażeniem. Teraz siedziała sztywno wyprostowana i słuchała chrobotu i odgłosów poruszającego się po celi zwierzęcia. Był to odgłos żywcem wzięty z jej nocnych koszmarów i Claudia wpatrywała się w ciemność, usiłując odpędzić zwierzę siłą woli.

Nagle poczuła je na sobie. Ostre małe pazurki drapały jej skórę. Na nogach czuła zimne łapki. Był to szczur i sądząc po ciężarze, musiał być wielki jak królik. Claudia zawyła z przerażenia i poderwała się

na równe nogi, kopiąc na oślep ohydne zwierzę. Kiedy zabrakło jej oddechu w piersiach, opadła na ziemię, trzęsąc się spazmatycznie.

- Uspokój się! - powiedziała głośno. - Weź się w garść! - Olbrzymim wysiłkiem woli udało się jej opanować. W ciemnościach panowała absolutna cisza; jej krzyki musiały wypłoszyć zwierzątko, ale Claudia wciąż nie mogła się zdobyć, żeby usiąść na podłodze. Bała się okropnie, że szczur wróci.

Mimo zmęczenia przestała resztę nocy w kącie. Udało jej się nieco zdrzemnąć, ale gdy zaczynała zapadać w głębszy sen, budziła się nagle z przerażeniem. Powtarzało się to przez resztę nocy i wreszcie po kolejnym nerwowym przebudzeniu zobaczyła, że ciemności ustępują.

Do celi przesączało się światło. Claudia zamrugnęła powiekami, rozglądając się za jego źródłem. Pomiędzy palami drzewa były liczne szczeliny w większości zatkane kępami trawy i gliną, ale w dwóch czy trzech miejscach wyschnięta zaprawa wypadła, zostawiając małe otwory. Ze szczelin zwisały łodygi długiej trawy.

Rozejrzała się z obawą po pomieszczeniu. Szczur zniknął; najwidoczniej przecisnął się przez jakąś większą szparę.

Podeszła do cuchnącego wiadra i dopiero gdy przy nim stanęła, uświadomiła sobie swoje położenie. Ręce miała spięte na plecach. Wraz z uświadomieniem sobie tego potrzeba fizjologiczna stała się jeszcze pilniejsza.

Mimo niemal pozbawionych czucia palców udało się jej chwycić pasek i wolno przesunąć go pomiędzy pętelkami spodni do tyłu. Kwiląc z bólu z powodu konieczności powstrzymywania się, odpięła klamrę.

290

Schudła tak bardzo, że gdy tylko rozpięła pasek, spodnie opadły jej do kostek i mogła kciukiem zsunąć majteczki do kolan.

Zawsze schludna Claudia doświadczała teraz okropnych męczarni, kiedy nie udało jej się dokładnie podetrzeć. Zaczęła płakać z poniżenia. Ubierała się z ogromnym wysiłkiem. Nadgarstki miała obtarte do krwi i bolały ją ramiona. Przykucnęła w kącie celi, gdzie dopadł ją ostry smród z wiadra.

Przez szczelinę w suficie wpadł promień słońca i odciął się jasnym srebrnym krążkiem na ścianie. Claudia przyglądała się, jak promyk porusza się nieskończenie wolno, i zdawało się jej, że przybył tu, by ją rozgrzać i pocieszyć.

Zanim promyk dotarł do drzwi, usłyszała szelest i po chwili drzwi zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach. Wysoka kobieta schyliła się, żeby wejść do celi, i Claudia poderwała się na równe nogi.

- Proszę - szepnęła. - Muszę się umyć. - Powiedziała

to w miarę zrozumiałym hiszpańskim, ale strażniczka nie zare

agowała. W jednej ręce trzymała metalową miskę z wodą,

a w drugiej talerz z plackami kukurydzianymi. Postawiła miskę na ziemi i wysypała placki w grubą warstwę kurzu obok.

Pragnienie, które Claudii udało się na jakiś czas pokonać, wróciło teraz ze zdwojoną siłą. Omal nie zawylała z radości na widok miski. Musiało w niej być jakieś dwa litry czystej wody.

Upadła na kolana jak pokutnica i spojrzała błagalnie na strażniczkę.

- Proszę - powtórzyła po hiszpańsku. - Muszę użyć rąk, proszę. - Strażniczka zachichotała i niebezpiecznie przechyliła miskę czubkiem buta. Odrobina wody wylała się i pociekła na ziemię.

- Nie - stęknęła Claudia. - Nie rozlewaj jej.

Pochyliła się do ziemi, próbując dosięgnąć wody wysuniętym językiem. Poczwała upragnioną wilgoć na jego czubku, ale krawędź miski wcinała się jej w twarz.

Znowu podniosła wzrok na strażniczkę.

- Proszę, pomóż mi.

Kobieta sierżant roześmiała się głośno i oparła o ścianę, przyglądając z rozbawieniem wysiłkom dziewczyny.

291

Claudia pochyliła się jeszcze bardziej, chwyciła krawędź miski zębami i ostrożnie przechyliła do siebie. Kilka kropel spłynęło jej po języku do gardła. Zimna woda była tak wspaniale cudowna w smaku, że Claudii nabiegły do oczu łzy. Piła wolno, łyk po łyku, aż poziom wody opadł tak bardzo, że nie mogła jej dosięgnąć.

Trzymając miskę w zębach, podniosła ostrożnie głowę i odchyliła ją do tyłu. Ruch okazał się jednak zbyt gwałtowny. Zakrztusiła się, kiedy woda wypełniła jej usta, miska wyśliznęła się z zębów, woda pociekła po koszuli i rozlała się kałużą na ziemi, szybko wsiąkając w kurz.

Strażniczka ryknęła ze śmiechu. Claudia miała oczy pełne łez. Z trudem powstrzymała szloch, który ścisnął jej gardło.

Na pożegnanie kobieta sierżant złośliwie wdeptała butem placki w ziemię i roześmiewszy się jeszcze raz ostrym, przenikliwym śmiechem, podniosła pustą miskę i wyszła z celi. Claudia słyszała jej chichot za zamykanymi drzwiami.

Mogła oceniać mijanie czasu po kącie padania promieni słonecznych, które przeciskały się przez szpary w suficie. Pierwszy dzień ciągnął się w nieskończoność. Mimo bólu, jaki sprawiały kajdanki,

udało jej się trochę przespać, a po przebudzeniu zajęła się natychmiast rozpatrywaniem swojego położenia i zastanawianiem nad tym, jak może zwiększyć szansę przeżycia.

Największym problemem była woda. Odrobina, jaką wypita rano, mogła jej pozwolić przetrwać dzień, ale zdawała sobie sprawę, że organizm się odwodni.

- Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby móc się napić z tej miski - powiedziała sobie i spędziła resztę popołudnia, zastanawiając się nad tym problemem. Kiedy wreszcie znalazła rozwiązanie, poderwała się z ziemi z takim pośpiechem, że znowu uderzyła głową w sufit. Nie zważając na ból, obejrzała uważnie drugie łodygi trawy zwisające spomiędzy belek. Wybrała jedną z nich, chwyciła ją ostrożnie wargami i wysunąwszy ze szczeliny, upuściła na ziemię. Następnie uklękła i pochylając się silnie do tyłu, chwyciła ją palcami. Na szczęście trawa była wysuszona i z łatwością dała się złamać. Claudia podzieliła całą łodyżkę na cztery mniej więcej dwudziestocentymetrowe części i każdą z nich wbiła pionowo w ziemię. Obróciła się, uklękła przed

292

trawą i wzięła pierwszą z nich do ust. Spróbowała dmuchnąć przez nią, ale łodyżka była mocno zapchana mokrym piaskiem. Claudia odrzuciła ją i wybrała następną.

Kiedy dmuchnęła w cienką rurkę, z drugiego końca wyleciał maleńki koreczek gliny - łodyga była pusta w środku. Claudia przetoczyła się na plecy, usiadła na środku podłogi z rurką w zębach i roześmiała się triumfalnie. Poryw przemożnej radości zagłuszył i odsunął rozpacz, która jeszcze niedawno omal nie zabiła w niej chęci walki.

Podczołgała się w kąt celi i ostrożnie ukryła beczenną słomkę. Przez resztę dnia wyobrażała sobie, jak jej będzie używać.

Promienie słoneczne nie docierały już do wewnątrz i w lepiance zapanował przygnębiający wieczorny mrok, kiedy usłyszała strażniczkę otwierającą drzwi. Usiadła w kącie i patrzyła, jak kobieta wchodzi do celi, wyrzuca placki kukurydziane na ziemię i stawia obok miskę z wodą.

Strażniczka oparła się o framugę drzwi i spojrzała na Claudię, oczekując, że spragniona i wygłodniała dziewczyna jak dzika rzuci się na jedzenie. Claudia siedziała nieruchomo w kąciku, starając się nie okazywać po sobie żadnych emocji, chociaż gardło jej się zaciskało na myśl o wodzie, a okrutne pragnienie pozbawiało ją rozsądku.

Kiedy nie poruszyła się przez kilka minut, kobieta sierżant powiedziała coś ostrym tonem po portugalsku i wskazała wymownie na miskę. Olbrzymim wysiłkiem woli Claudia zmusiła się, żeby nie spojrzeć na wodę. Murzynka wzruszyła ramionami i nastąpiła na placki, rozdeptując je obcasem. Parsknęła jeszcze śmiechem, ale nie był to triumfalny odgłos, i wyszła z ziemianki, zamykając za sobą drzwi. Zostawiła jednak miskę na ziemi.

Claudia zmusiła się, żeby nie rzucić się na wodę. Dopiero kiedy była całkiem pewna, że strażniczka odeszła i nie podgląda jej przez szparę, podpełzła do kąta, w którym ukryła słomkę, i ujęła ją ostrożnie wargami. Nie podnosząc się z kolan, przysunęła się do miski i nachyliła nad nią.

Pociągnęła pierwszy łyk i czując, jak zimna woda spływa jej do przełyku, zamknęła oczy z rozkoszy. Miała wrażenie, że pije nie wodę, lecz cudowny balsam. Wstępowała w nią nowa siła, rozchodząc się żyłami po całym ciele.

293

Claudia wypita większą część zawartości miski, przyjemność rozkładając w czasie, aż wreszcie w celi zrobiło się zupełnie ciemno. Nie mogła się jednak zmusić do spożycia tłustej mazi wdeptanej w ziemię.

Udało jej się chwycić miskę zębami i przesunąć do swojego kącika, gdzie mogła rozkoszować się małymi łykami wody przez długie godziny nocy. Czowała się niemal szczęśliwa i trochę na rauszu, jakby wypita szampana, a nie zwykłą wodę z rzeki.

- Mogę wytrzymać wszystko - szepnęła w ciemnościach. - Nie uda im się mnie złamać. Nie dam się. Nie dam.

Nastrój ten nie trwał zbyt długo. Wkrótce po zapadnięciu zmroku Claudia zrozumiała, jak wielki błąd popełniła, zostawiając jedzenie na ziemi.

Poprzedniej nocy miała do czynienia tylko z jednym szczurem, który uciekł na jej krzyk. Teraz zapach jedzenia ściągnął całe ich stado. Wciskały się jeden za drugim przez szpary i przerażonej do nieprzytomności Claudii wydało się, że cała podłoga roi się od małych zwierzątek. Zapach ich ciał, smród ohydny niczym odór kopyt i rogów gotowanych na klej, wypełniał jej nos. Wcisnęła się głębiej w kąt celi, trzęsąc się ze strachu, a szczury ocierały się o jej nogi, przebiegały po stopach, piszcząc i walcząc

0 rozgniecione placki.

W końcu nie wytrzymała i uległa panice. Ogarnięta histerią zaczęła wrzeszczeć na całe gardło i kopać na oślep; jeden z gryzoni rzucił się na nią i ugryzł w kostkę. Zębki małego zwierzaka były ostre niczym brzytwa. Claudia jęknęła i wierzgnęła dziko nogą, starając się zrzucić napastnika, ale przez kilka sekund jego zakrzywione zęby były wbite głęboko w jej ciało. Kolejny zamach

1 szczur odpadł.

Musiał uderzyć o miskę z drogocenną wodą, gdyż Claudia usłyszała odgłos metalu odbijającego się od ściany i plusk wody wylewającej się na podłogę. Podpełzła do naczynia, płacząc z rozpacz.

Szczury pożywiały się dopóty, dopóki nie zjadły placków do ostatniej kruszynki, a dla Claudii ten czas był horrorem. Wreszcie wyniosły się tą samą drogą, którą przyszły. Wyczerpana fizycznie i psychicznie dziewczyna opadła na kolana.

- Boże, proszę, niech to się skończy. Już nie mogę.

294

Przewróciła się na bok i leżała, trzęsąc się i chlipiąc cicho. W końcu pochłonęła ją kojąca ciemność mocnego snu.

Obudziło ją ciągnięcie za włosy i dziwny zgrzyt świdrujący jej uszy. Nieprzytomna ze snu potrzebowała kilku sekund, żeby uświadomić sobie, skąd bierze się ten dziwny dźwięk. Zasnęła na boku z policzkiem wciśniętym w brudną ziemię. Leżała nieruchomo, znosząc lekkie szarpnięcia za włosy i przenikliwe zgrzytanie. Po chwili ogarnęło ją przerażenie.

Siedzący przy jej głowie szczur gryzł jej włosy, ścinając je ostrymi zębami i zbierając jako materiał do wymoszczenia gniazda. Strach całkowicie sparaliżował Claudię. Nie mogła zrobić najmniejszego ruchu. Skurczyła się, ścisnęła ją w żołądku, a palce wbiły się z całą siłą w dłoń.

Nagle lęk ustąpił. Strach przemienił się w gniew. Jednym zwinnym ruchem poderwała się z ziemi i zaczęła ścigać napastnika.

Biegała za szczurem po całej komórce, podążając za nim po odgłosach malutkich łapek stukających o ziemię. Nie kopała już na oślep, ale celowała w źródło dźwięku. Dwukrotnie zwierzątko starało się wspiąć na ścianę i dwa razy Claudia posłużyła się własnym ciałem, żeby zrzucić je na ziemię.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła jeszcze gniewu, który dałby jej siłę do zabójstwa. Wszystkie zmysły miała maksymalnie wyostrzone, słuch stał się tak wyczulony, że potrafiła niemal zobaczyć każdy ruch swojej ofiary. Gniew nadał jej ruchom precyzji i niespotykanej siły, a także wyjątkowej szybkości. Kiedy udało jej się trafić w ciepłe, futrzate zwierzę, pisk bólu i strachu jeszcze bardziej ją podniecił.

Wreszcie zapędziła szczura w róg celi. Wtedy z całej siły uderzyła go nogą. Poczuła, jak drobne kości łamią się pod jej butem i naskoczyła na niego jeszcze raz i jeszcze raz, płacząc z wysiłku i depcząc zajadle, aż jego ciało stało się zupełnie miękkie i wilgotne.

Kiedy w końcu się cofnęła i opadła na ziemię w drugim końcu ziemianki, trzęsła się, ale już nie z przerażenia.

Nigdy jeszcze nie zabiłam, pomyślała zdumiona tajemniczą, dziką stroną swojej natury, której istnienia nigdy nie podejrzewała.

Czekała, czy nadejdzie znajome poczucie winy i wstrętu do

295

siebie. Zamiast tego czuła się silna, jakby przeszła jakąś próbę, która uzbroiła ją w siłę do pokonania wszelkich przeciwności i trudów.

- Nie poddam się nigdy - szepnęła. - Będę walczyła i zabijała, jeśli okaże się to konieczne. Muszę przetrwać.

Rankiem, kiedy strażniczka przysłała po miskę, Claudia spojrzała na nią śmiało i zbliżając twarz na kilka centymetrów do jej twarzy, powiedziała zdecydowanym głosem:

- Wynieś to. - Wskazała na szczura. Kobieta się zawahała

i Claudia syknęła: - Zrób to, natychmiast! - Strażniczka się schyliła. Podniosła zmasakrowane ciało za koniec ogona, rzucając Claudii spojrzenie pełne szacunku.

Niosąc w jednym ręku szczura, a w drugim pustą miskę, wyszła z celi. Kiedy wróciła po paru minutach z wodą i talerzem pełnym placków, Claudia opanowała pragnienie i zachowała spokój i zdecydowanie. Wskazała na wiadro.

- Trzeba to wyczyścić - rzuciła.

Kobieta odpowiedziała coś ostrym tonem po portugalsku.

- Ja to zrobię. - Claudia patrzyła prosto w oczy strażniczce, dopóki ta nie odwróciła wzroku. Wtedy dziewczyna stanęła do niej tyłem i podsunęła jej ręce z kajdankami. - Zdejmij to - rozkazała.

Strażniczka posłusznie odpięła klucz od paska.

Claudia omal nie stęknęła z ulgi, gdy kobieta uwolniła jej ręce. Krew napłynęła do dłoni i dziewczyna przycisnęła je do piersi, masując delikatnie, zagryzając jednocześnie wargi z bólu. Opuchnięte dłonie i poranione nadgarstki napełniały ją przerażeniem.

Strażniczka pchnęła ją w krzyż, wydając jakiś rozkaz. Claudia podniosła wiadro za rączkę i odsunawszy kobietę na bok, zaczęła wspinać się po schodach. Słońce, ciepło i czyste powietrze zdawały się błogosławieństwem.

Rozejrzała się po terenie ogrodzonym drutem kolczastym. Było to najwyraźniej więzienie kobiece, gdyż kilka przygnębionych kobiet siedziało na ziemi pod rosnącym samotnie na środku drzewem hebanowym. Więźniarki miały na sobie podarte opaski

296

biodrowe, a ich nagie górne części ciała były tak wychudzone, że przez skórę widać było żebra. Piersi, nawet u młodych kobiet, zwisały luźno na brzuchy. Claudia zastanawiała się, jakie zbrodnie popełniły te kobiety; może samo ich istnienie było obrazą dla nieznanym prześladowców.

Jej schron stał w szeregu kilkunastu innych podobnych bunkrów. Było jasne, że zamknięte cele są przeznaczone dla ważniejszych lub może bardziej niebezpiecznych więźniów.

Brama była strzeżona przez parę silnych Murzynek ubranych w mundury w barwach ochronnych i uzbrojonych w karabinki automatyczne AK. Kobiety przyglądały się Claudii ciekawie. Zorientowała się, że rozmawiają na jej temat. Za bramą płynęła szeroka rzeka Pungwe i przez ułamek sekundy Claudia wyobraziła sobie, że wskakuje do wody, żeby umyć całe ciało i przeprać brudne ubranie, ale w tej

samej chwili strażniczka pchnęła ją silnie w plecy w stronę latryn znajdujących się na końcu ogrodzonego terenu.

Kiedy tam doszły, strażniczka wymownymi gestami kazała Claudii opróżnić wiadro, a sama odwróciła się do wartowniczkii, która podeszła do nich z karabinem przewieszonym przez ramię.

Tylna ściana wychodka stanowiła jednocześnie ogrodzenie więzienia. Nie oferowała jednak żadnej drogi ucieczki. Pale były grube i mocno związane linami z kory. Palisada sięgała parę metrów wyżej, niż Claudia mogłaby dosięgnąć.

Dziewczyna porzuciła myśl o ucieczce, zanim ta jeszcze się w pełni rozwinęła, i wylała zawartość wiadra do otworu. Z głębi wyleciał rój much, krążąc z natarczywym bzykaniem nad jej głową.

Zatykając nos z obrzydzeniem, dziewczyna odwróciła się w stronę drzwi. Zatrzymał ją cichy gwizd. Był to bardzo niski i ponury dźwięk, na który nigdy by nie zwróciła uwagi, gdyby go już wcześniej nie słyszała. Zorientowała się, że to jeden z umówionych sygnałów, jakich używali Sean i tropiciele. Sean powiedział jej, że jest to odgłos wydawany przez ptaka bou-bou, i teraz zamarła na wspomnienie jego słów.

Spojrzała szybko na drzwi do latryny, ale były zamknięte. Dobiały ją głosy strażniczki i wartowniczkii, które rozmawiały na zewnątrz. Zaciśnęła wargi i z małym powodzeniem spróbowała naśladować gwizd.

297

W odpowiedzi usłyszała ponowne zawołanie ptaka dochodzące wyraźnie zza tylnej ściany wychodka. Postawiła wiadro i podbiegła do niej, przytykając oko do jednej z większych szczelin. Omal nie krzyknęła, kiedy w otworze pojawiło się oko, a głos, który tak dobrze pamiętała, szepnął:

— Jambo, memsahib.

— Matatu - westchnęła.

— Mały, głupi gnojek. - Matatu przywitał ją jedynymi

słowami, jakie znał po angielsku, i Claudia musiała się pohamowywać, żeby nie wybuchnąć śmiechem radości i ulgi na tę dziwną argumentację.

— Och, Matatu, kocham cię - wyszeptła i w tej samej

chwili złożona kartka prześliznęła się przez szparę. Gdy tylko jej palce chwyciły papier, oko zniknęło z otworu.

— Matatu - szepnęła błagalnie, ale małego człowieka już nie było. Musiała odezwać się zbyt głośno, gdyż usłyszała

wołanie strażniczki i szybkie kroki przed drzwiami.

Odwróciła się i szybko przykucnęła nad otworem kloacznym. Strażniczka rozejrzała się po małym pomieszczeniu i Claudia wrzasnęła na nią ze złością:

- Wynoś się, nie widzisz, że jestem zajęta.

Kobieta instynktownie cofnęła głowę. Claudia zadrżała z emocji, gdy rozwinęła kartkę i poznała charakter pisma. Poraziła ją myśl, że strażniczki mogą jej odebrać list, zanim zdąży go przeczytać. Złożyła kartkę w pośpiechu i schowała do tylnej kieszeni spodni, skąd będzie mogła łatwo ją wyjąć, kiedy zostanie sama.

Teraz czekała z utęsknieniem, żeby jak najszybciej znaleźć się w swojej celi. Wysoka Murzynka zepchnęła ją ze schodów, ale w jej zachowaniu nie było już widać poprzedniej złośliwości.

Claudia postawiła wiadro w rogu celi i kiedy strażniczka wskazała na jej ręce, podała je posłusznie do zakucia. Dotyk metalu na poranionej skórze zdawał się jeszcze bardziej bolesny niż poprzednio. Mięśnie i ścięgna ramion same napięły się w wyrazie protestu.

Gdy Claudia była już bezpiecznie skuta kajdankami, strażniczka odzyskała swoje poczucie władzy. Wyrzuciła na ziemię zawartość talerza z kukurydzianym obiadem i podniosła nogę, żeby wdeptać jedzenie w ziemię.

298

Claudia rzuciła się na nią niczym ranna lwica.

- Spróbuj tylko! - syknęła wściekle na Murzynkę, zbliżając twarz do jej twarzy i patrząc jej w oczy z taką siłą, że kobieta cofnęła się o krok. - Precz stąd! - krzyknęła Claudia. - Allez! Yamoose!

Strażniczka opuściła celę, mrużąc coś pod nosem i zamykając za sobą z hałasem drzwi.

Claudię zdumiała własna odwaga. Oparła się o drewniane drzwi wyczerpana próbą sił, uświadamiając sobie, jak wielkie ryzyko podjęła - mogła przecież zostać brutalnie pobita, a nawet utracić rację wody.

To list Seana dał jej taką siłę i odwagę przeciwstawienia się silnej strażniczce. Oparta plecami o drzwi sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i dotknęła złożonego papieru, żeby upewnić się, czy jest na swoim miejscu. Nie chciała jeszcze czytać listu. Zamierzała przedłużyć przyjemność. Podeszła do kąta i wyjęła słomkę do picia.

Kiedy napiła się wody, zjadła wszystkie placki kukurydziane, podnosząc je delikatnie z ziemi zębami i otrząsając z piasku, który przyczepił się do tłustej powierzchni. Postanowiła nie zostawić ani okruszka; nie chodziło jej tylko o zaspokojenie głodu, wiedziała, że w najbliższych dniach musi mieć siłę. Pamiętała także, że jedzenie przyciąga szczury. Dopiero kiedy zjadła wszystko, oddała się przyjemności czytania listu.

Wyjęła go z kieszeni i ostrożnie rozłożyła zdrętwiałymi palcami. Następnie przykucnęła, położyła kartkę w kącie celi, gdzie padał pojedynczy promień światła, i uklękła.

Czytała powoli, poruszając wargami, jak osoba ucząca się tej sztuki, wymawiając każde słowo, żeby je dobrze posmakować.

"Bądź silna, to już nie potrwa długo. Pamiętaj zawsze, że cię kocham. Cokolwiek się stanie, kocham cię".

- Może i walczą jak stare baby - powiedział sierżant Alphonso, przyglądając się stercie mundurów zdobytych na żołnierzach armii Zimbabwe - ale przynajmniej są ubrani jak wojownicy.

Mundury były pochodzenia brytyjskiego i stanowiły część pomocy wojskowej, jakiej Londyn udzielał Mugabemu po oba-

299

leniu rządu Iana Smitha. Ubrania były najwyższej jakości. Alphonso i jego ludzie z widoczną przyjemnością zrzucili swoje tradycyjne mundury w barwach maskujących. Na widok lśniących, czarnych skórzanych butów komandoskich, które miały zastąpić ich wysłużone tenisówki, partyzantom aż pojaśniały oczy.

Kiedy wszyscy już się przebrali i ustawili na placu apelowym, Sean i Job przeszli wzdłuż szeregów, sprawdzając i pouczając partyzantów, jak prawidłowo nosić poszczególne części nowego wyposażenia. Za nimi szedł krawiec, zaznaczając mundury, które trzeba było poprawić.

- Nie muszą wcale leżeć jak ulał - zauważył Sean. - Nie wybieramy się na paradę. Wystarczy, jeśli ujdą przy pobieżnym przeglądzie. Zresztą nie mamy czasu na takie zabawy.

Kiedy wszyscy partyzanci byli już przygotowani do akcji, Sean i Job spędzili pozostałą część dnia i noc na sporządzaniu planu ataku na bazę Grand Reef. Najpierw zasiedli przy stole w pokoju łącznościowym dowództwa i przepytawali jeden drugiego z wiadomości dotyczących położenia bazy, które mogły ujść ich uwagi. Przed zapadnięciem zmierzchu byli już pewni, że stworzyli najdokładniejszy obraz ośrodka i przypomnieli sobie wszystkie szczegóły. Sean wiedział jednak z doświadczenia, że analfabeci mają zawsze kłopoty z wyobrażeniem sobie rzeczywistego obiektu na podstawie rysunków, a dyskretny sprawdzian, jaki przeprowadził wśród swoich podwładnych, wykazał, że żaden z dzielnych żołnierzy nie potrafi czytać ani pisać.

Tak więc większą część nocy spędził z Jobem na budowaniu przy świetle reflektora modelu bazy, który ustawili na ubitej ziemi placu apelowego. Job miał spore zdolności artystyczne. Wykonał wierną kopię budynków z miękkiego drzewa baobabu, a różnokolorowymi kamykami rzeźnymi wyłożył pas lotniska, drogi i ogrodzenie terenu.

Następnego ranka, przy pomocy sierżanta Alphonsa, Job zapoznał grupę uderzeniową z modelem bazy. Sądząc po ożywionych komentarzach i pytaniach, makieta okazała się sporym sukcesem.

Sean opisał taktykę ataku, przesuając pudełka zapalek przedstawiające unimogi po drózkach z kamyków, zilustrował napaść na tyły bazy, mającą na celu odwrócenie uwagi wartowników, i wreszcie zobrazował wycofanie się załadowanych stingerami

300

ciężarówek na miejsce spotkania na drodze do Umtali. Kiedy skończył, przekazał pałeczkę sierżantowi Alphonsowi.

- W porządku, sierżancie, proszę to nam jeszcze raz wyjaśnić.

Siedzący w kółko partyzanci z radością poprawiali pomyłki

sierżanta. Kiedy Alphonso skończył, przekazał pałeczkę starszemu kapralowi, żeby i ten powtórzył wykład. Po pięciu powtórkach wszyscy nauczyli się na pamięć poszczególnych części planu. Nawet generał China był pod wrażeniem.

— Zobaczmy, czy potrafi pan wykonać ten plan tak dobrze, jak go objaśniał - powiedział.

— Niech pan mi tylko dostarczy wozy - odparł Sean.

— Sierżant Alphonso był w oddziale, który zdobył ciężarówki.

Wie, gdzie są ukryte. Major, którego mundur pan będzie nosić, został zabity właśnie w tej akcji.

— Jak dawno to się stało? - zapytał Sean.

— Jakieś dwa miesiące temu.

— No pięknie! - powiedział z goryczą Sean. - Oznacza

to, że wozy stały przez cały ten czas w lesie. Dlaczego pan uważa, że w dalszym ciągu tam się znajdują albo że są na chodzie?

— Pułkowniku. - China obdarzył go lodowatym uśmiechem,

który Sean zdołał już dobrze poznać i znienawidzić. - Ze względu

na miss Monterro lepiej, żeby tam były. - Uśmiech szybko zniknął

z jego twarzy. - Podczas gdy pańscy ludzie będą pobierali racje

i amunicję, chciałbym zamienić z panem kilka słów. Proszę za mną.

Kiedy znaleźli się w bunkrze dowódczym, China spojrział zimno i powiedział:

- Tej nocy otrzymałem drogą radiową wiadomość z bazy Grand Reef. Mój człowiek kontaktuje się ze mną jedynie w wyjątkowych sytuacjach, bo ryzyko jest zbyt wysokie. Tym razem jest to rzeczywiście poważna sprawa. Ćwiczenia z systemem stinger zostały zakończone. Baza otrzymała rozkaz przeniesienia broni w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin. Dokładny czas opuszczenia bazy zależy od możliwości transportowych. Sean gwizdnął cicho.

— Siedemdziesiąt dwie godziny... w takim razie nie damy rady.

— Pułkowniku, lepiej, żeby pan sobie poradził. W przeciwnym wypadku straci pan dla mnie całą wartość i znowu zacznę myśleć o dawnych czasach. - Dotknął znacząco zniekształcone-
301

go ucha. - Na szczęście nie wszystkie wiadomości są złe. Mój człowiek spotka się z panem w Umtali i przekaże panu wszystkie informacje na temat budynku, w którym przechowywane są stingery, pokoju ćwiczebnego i podręczników instruktażowych. Osobiście wprowadzi pana do bazy. Straże dobrze go znają. Nie będziecie mieli żadnych kłopotów z dostaniem się do środka.

— To już coś - mruknął Sean. - Gdzie go spotkam?

— W Umtali jest klub nocny. Stardust, miejsce, gdzie zbierają się prostytutki i alfonsi. Mój człowiek będzie czekał tam na pana o ósmej każdego wieczoru. Alphonso zna ten klub i zaprowadzi pana.

— Jak rozpoznam pańskiego agenta?

— Będzie miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i portretem bohatera komiksów, Supermana, na piersi - wyjaśnił China. Sean zamknął oczy, jakby go rozboleł brzuch. - Mój agent nazywa się Cuthbert.

Sean potrząsnął głową i szepnął do siebie:

— Chyba muszę śnić. Superman i Cuthbert! - Znowu pokręcił głową. - A co ze spotkaniem z tragarzami w misji St Mary?

— Wszystko już ustalone - zapewnił go China. - Tragarze przekroczą granicę jutro w nocy i ukryją się w jaskiniach w górach otaczających misję. Tam będą czekali na pańskie przybycie. Sean skinął głową i zmienił temat.

— Jeśli wyruszymy jeszcze dzisiaj, ile czasu będziemy potrzebować, żeby dotrzeć do unimogów?

— Powinniście dojść jutro w południe.

- Czy mamy coś jeszcze do omówienia? - zapytał Sean.

Kiedy China potrząsnął głową, Sean wstał z krzesła. Zarzucił AKM na ramię i wolną ręką wziął worek z mundurem zabitego majora.

- Do zobaczenia, generale China.

- Do zobaczenia. Będę się opiekował miss Monterro. Nie musi się pan o nią martwić, pułkowniku.

Kolumna partyzantów była objuczona sprzętem. Każdy żołnierz niósł żywność i zapas wody na dwa dni, amunicję, zapasowe magazynki do RPD, granaty i naboje do działek RPG-7.

302

Mimo że przy takim obciążeniu nie mogli biec, idący z przodu sierżant Alphonso nadawał ostre tempo. Przed nocą minęli ostatnie linie Renamo i weszli na niechroniony obszar, na którym mogli się natknąć na oddział patrolowy Frelimo. Sean nakazał zmianę formacji. Ustawili się w szeregu z dziesięciometrowymi odstępami między sobą, na przodzie szli flankierzy, a tył osłaniała straż mająca ich przestrzec przed atakiem z zaskoczenia.

Maszerowali przez całą noc z dziesięciominutowymi przerwami na odpoczynek co dwie godziny i do świtu pokonali ponad sześćdziesiąt kilometrów. Rankiem, kiedy oddział odpoczywał na krótkim postoju, Sean przeszedł na czoło kolumny i przykucnął obok Alphonsa i Joba.

— Jak daleko do ciężarówek? - zapytał.

— Pokonaliśmy spory dystans - odparł Alphonso i wskazał przed siebie. - Wozy są ukryte w tej dolinie.

Znajdowali się na stoku górzystego obszaru gęsto porośniętego drzewami. Sean teraz mógł ocenić, czemu generał China wybrał Serra da Gorongosa na miejsce zgromadzenia swojej armii. W okolicy nie było żadnych dróg. Atakujące oddziały musiałyby przedzierać się przez liczne naturalne punkty obrony i fortece.

Dolina, którą wskazał Alphonso, znajdowała się kilka kilometrów przed nimi, a dalej górzysty teren przechodził w łagodną równinę. Ciemny las przecinały szerokie, trawiaste łąki.

Alphonso wskazał na horyzont.

- A tam ciągnie się linia kolejowa i droga prowadząca do wybrzeża... - Chciał jeszcze coś dodać, gdy Sean chwycił go za ramię i nadstawił ucha.

Minęło kilka sekund, zanim dźwięk zaczął się wyraźnie odcinać od lekkiego szumu drzew na wietrze. Po następnych kilku sekundach stał się szybko narastającym jękiem silników turbinowych i świstem śmigieł.

- Tam! - Job miał tak bystry wzrok, że potrafił wypatrzeć ledwo widoczne plamki na tle ciemnych wzgórz i lasów.

- Hindy. - Sean także je zobaczył.

Alphonso ostrzegł krzykiem oddział.

- Kryć się. - Kolumna się rozsypała, zapadając pomiędzy krzaki. Wszyscy patrzyli na nadlatujące śmigłowce, które wzno-

303

siły się i opadały nad wzgórzami, kierując się w rozciągniętej formacji na północ w stronę linii Renamo.

Sean śledził je przez lornetkę radzieckiej produkcji, którą pobrał z magazynu w bazie Chiny. Była to jego pierwsza okazja, żeby przyjrzeć się dokładnie maszynom. W formacji leciały cztery hindy. Sean domyślił się, że trzy takie formacje tworzą eskadrę śmigłowców.

- Mój Boże, ależ one są okropne - mruknął do siebie.

Wydawało się wręcz niemożliwe, żeby coś tak monstrualnego i ciężkiego mogło pokonać siłę ciężenia. Silniki zostały zamontowane w górnej części kadłuba pod samym wirnikiem głównym i tworzyły charakterystyczny garb. Wloty powietrza do turbin

znajdowały się nad kabiną pilota. Dół kadłuba przypominał brzuch ciężarnej słonicy. Spód dziobu był zdeformowany przez wieżyczkę z działkiem Gatling, a na końcu krótkich skrzydeł i pod nimi zwisały szeregi rakiet, lufy działek i anteny radarowe.

Za wyrzuczeniami silników znajdowały się dziwne konstrukcje, które zupełnie nie pasowały do linii maszyny.

Tłumiki wydechowe. Sean przypomniał sobie artykuł, który przeczytał w jednym z prenumerowanych pism lotniczych. Dzwonne struktury maskowały wyziewy spalin z silników i osłaniały je przed czujnikami na podczerwień stosowanymi w pociskach raketowych. Autor artykułu chwalił urządzenia za skuteczność, ale mimo że czyniły one maszynę prawie niezniszczalną, ich ciężar w połączeniu z wagą stalowego i tytanowego opancerzenia znacznie ograniczał szybkość i zasięg hindów. Sean żałował, że nie poświęcił artykułowi więcej uwagi, gdyż nie mógł sobie przypomnieć żadnych danych z przytoczonych przez autora tabel.

Hindy minęły oddział w ponaddwukilometrowej odległości i poleciały dalej na północ.

- Generał China będzie miał poranne przedstawienie -

zauważył Job, wstając z ziemi, żeby zebrać oddział i kontynuować marsz.

Mimo że maszerowali przez całą noc, żołnierze utrzymywali dobre tempo i nawet Sean był pod wrażeniem wytrzymałości kompanii Alphonsa.

Są niemal tak dobrzy jak Zwiadowcy, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Nikt nie może być aż tak dobry.

304

Sean kilka razy zatrzymywał się, żeby sprawdzić, czy straż tylna dokładnie zaciera ślady. Teraz możliwość spotkania patrolu Frelimo była już bardzo duża. Sean znajdował się kilkaset metrów za główną kolumną i właśnie przykłęknął, szukając tropu, kiedy poczuł, że nie jest sam. Ktoś go obserwował.

Rzucił się do przodu i przetoczył za zwalony pień drzewa przy ścieżce, ściągając przy tym karabin z ramienia. Leżał nieruchomo z palcem na spuście i przeczesywał wzrokiem krzaki, wśród których dostrzegł jakiś ruch.

Śledzący go człowiek był bliżej, niż podejrzewał. Z kępy wysokiej trawy za nim dobiegł go złośliwy chichot i Sean podniósł głowę, żeby syknąć ze złością na małego tropiciela.

- Mówiłem ci, żebyś nie skradał się za mną!

Z trawy wyłoniła się głowa Matatu ozdobiona wesołym uśmiechem.

— Starzejesz się, Bwana. Mógłbym ci ukraść buty i skarpety,
a ty byś nawet nie zauważył.

— A ja mógłbym ci podziurawić kulami twój czarny tyłek.

Znalazłeś panienkę?

Matatu skinął głową i uśmiech zniknął mu z twarzy.

— Gdzie ona jest?

— Pół dnia marszu w górę strumienia, w obozie z wieloma
innymi kobietami.

— Czy wszystko u niej w porządku?

Matatu zawahał się niezdolny okłamać Seana i nie chcąc powiedzieć mu całej prawdy. Wreszcie westchnął i pokręcił przecząco głową.

— Trzymają ją w zamkniętej ziemiance, a na nogach i ramionach ma wiele sińców. Zmuszają ją do pracy przy wiadrach na nieczystości... - Zamilkł, widząc minę Seana, i zaraz dodał w pośpiechu: - Roześmiała się jednak na mój widok.

— Dałeś jej papier?

— Ndio. Schowała go w ubraniu.

— Nikt cię nie widział? - Odpowiedź na takie pytanie była poniżej godności Matatu. Sean się uśmiechnął. - Tak, wiem, nikt nie widzi Matatu, jeśli Matatu nie chce, żeby go widziało... - Przerwał nagle i obaj spojrzeli w górę.

305

Z daleka dochodził ich słaby, dobrze już znany świst silników turbinowych i śmigieł.

- Hindy wracają do bazy po nalocie na umocnienia Rena-
mo - mruknął Sean. Maszyny leciały poza zasięgiem wzroku,
osłonięte koronami drzew, ale dźwięk zbliżał się szybko, kierując

się na południe.

Ze względu na ograniczony zasięg śmigłowców baza nie może znajdować się daleko, pomyślał Sean i spojrzał w zamyśleniu na Matatu.

- Czy mógłbyś się dowiedzieć, dokąd te indeki lecą?

W oczach Murzyna na sekundę pojawił się cień wątpliwości, ale zaraz się uśmiechnął, promieniując zachowatością.

— Matatu może podążać za wszystkim: człowiekiem, zwierzęciem czy indeki, gdziekolwiek się uda - chełpił się mały tropiciel.

— To idź! - rozkazał Sean. - Znajdź to miejsce. Będą tam ciężarówki i wielu białych ludzi. Miejsce będzie dobrze strzeżone.

Nie daj się złapać.

Matatu rzucił mu urażone spojrzenie i Sean poklepał go po ramieniu.

- Kiedy znajdziesz to miejsce, wróć do obozu generała Chiny nad rzeką Pungwe. Spotkamy się tam.

Matatu poderwał się na równe nogi i podciągnął opaskę biodrową.

— Dopóki się nie spotkamy, idź w pokoju, Bwana.

— Idź w pokoju, Matatu! - zawołał Sean za biegnącym na południe przyjacielem. Patrzył przez chwilę, aż Murzyn znikł w lesie, i sam pobiegł szybko za kolumną Alphonsa.

"Trzymają ją w zamkniętej ziemiance, a na nogach i ramionach ma wiele sińców". Słowa Matatu utkwiły mu w pamięci, napełniając go gniewem i determinacją.

- Trzymaj się, kochanie. Wytrwaj tylko. Przyjdę po ciebie...

wkrótce - obiecał dziewczynie i sobie.

Przekroczyli kolejną linię skalistych kopców, chowając się za wysokimi krzakami, żeby nie można było ich dostrzec. Kiedy przystanęli na zboczu, Alphonso wskazał z ukrycia dolinę pod nimi.

306

- Właśnie tak przeprowadziliśmy ciężarówki - wyjaśnił.

Wyschnięte koryto rzeki stanowiło jedyną drogę, którą mogły

przejechać wozy w tym nierównym terenie. Musiało to być wyjątkowo trudne zadanie, gdyż trzeba było ominąć wszystkie bariery i pokonać skalne progi, które przecinały piaszczyste dno koryta.

- Gdzie ukryliście wozy? - zapytał Sean, nie zniżając

lornetki.

W odpowiedzi Alphonso zachichotał.

- Jeśli ludzie Frelimo są tak głupi, jak podejrzewam, to niedługo ci je pokażę.

Ustawili straż na szczycie wzgórza, żeby mieć wczesny sygnał

0 zbliżającym się nieprzyjacielu, a pozostała część oddziału zeszła

na dół za Alphonsem. Im niżej schodzili, tym bardziej strome

stawało się zbocze, aż w końcu po obu stronach mieli nagie

skały. Musieli się ześlizgiwać w dół wąską ścieżką wydeptaną

przez zwierzęta. W dolinie panował okropny upał; nie docierał

tu najmniejszy powiew wiatru, a skalne ściany wchłaniały ciepło

promieni słonecznych i oddawały je powietrzu.

— Ciężarówki? - zapytał niecierpliwie Sean.

Alphonso wskazał skały po drugiej stronie koryta rzeki.

— Tam - powiedział.

Sean miał już warknąć na niego ze złości, gdy uświadomił sobie, że woda i wiatr musiały przez wieki wyłobić wiele jaskiń w ścianie wąwozu.

- Jaskinie? - zapytał.

Alphonso poprowadził go przez grząski piasek sięgający kostek. Wejścia do niektórych pieczar znajdowały się u stóp czerwonej skały, inne zawały się lub zostały zarzucone śmieciami naniesionymi podczas letnich powodzi. Alphonso wskazał jedno

1 wydał rozkaz ludziom. Żołnierze odstawili broń i rzucili się

do usuwania przeszkód.

Po godzinie wejście do jaskini było już dostatecznie uprzątnięte i Sean wszedł schylony do groty. W ciemnościach rozpoznał niewyraźne zarysy. Poczekał chwilę, aż oczy przystosują się do półmroku, i zobaczył ciężarówki zaparkowane w rzędzie.

- Jak wam się udało nimi tutaj wjechać? - spytał zacieka

wiony.

307

— Na wpół pchając je, a na wpół niosąc - wyjaśnił Alphonso.

— Mam nadzieję, że będziemy mogli je teraz wyprowadzić -

mruknął Sean i wskoczył na stopień przy kabinie.

Wszystko było pokryte grubą warstwą czerwonego pyłu, ale kiedy otworzył drzwi po stronie kierowcy, zobaczył z ulgą, że kluczyk tkwi w stacyjce.

Przekręcił go. Bez reakcji. Światelka stacyjki nie zapaliły się i żadna ze wskazówek na desce rozdzielczej nawet nie drgnęła.

— Odłączyłem akumulatory - wyjaśnił Alphonso.

Sean mruknął coś pod nosem.

— Dobry chłopiec. Skąd wiedziałeś, jak to zrobić?

- Przed wojną pracowałem jako kierowca autobusu w Vila

de Manica - odpowiedział Alphonso.

Trudno było sobie wyobrazić, że doświadczony partyzant miał kiedyś tak prozaiczne zajęcie.

- W porządku - powiedział Sean. - Pomożesz mi z tym

wozem. Jest tu gdzieś pudełko z narzędziami?

Każdy wóz był wyposażony w dwie zapasowe opony, ręczną pompkę, pudło z narzędziami, plandekę i pojemny bak. Kiedy Sean podłączył akumulator w pierwszej ciężarówce, okazało się, że był dostatecznie naładowany, by zapalić lampkę kontrolną i podnieść wskazówkę poziomu paliwa do połowy wysokości, ale nie udało się zapalić silnika.

- Znajdź korbę - polecił Sean.

Korba była schowana za siedzeniem pasażera. Dwóch silnych mężczyzn Szangane zakręciło nią z taką werwą, że silnik zaskoczył, zacharczał i zaczął normalnie pracować. Niebieskie spaliny wypełniły szybko jaskinię, więc Sean czym prędzej zdjął nogę z gazu. Z dwóch opon zeszło powietrze i należało je napompować pompką ręczną. Zajęło się tym kilku partyzantów, podczas gdy reszta uprzętała ostatnie gałęzie i pnie drzew z wejścia do jaskini. Ciężarówki miały napęd na wszystkie cztery koła, Sean zjechał zręcznie w dół zbocza, podskakując na wybojach.

Gdy ciężarówka zawisała na wysokiej skale nad brzegiem, z kołami w powietrzu, dwudziestu ludzi zepchnęło ją do koryta rzeki. Uderzyła w nasyp i Sean wyprowadził wóz na drugą stronę,

308

zostawiając włączony silnik, żeby podładować akumulator. Następnie wrócił do jaskini. Trzeba było jak najszybciej zająć się kolejnym unimogiem.

Poza rozładowanymi akumulatorami ciężarówki były sprawne. Partyzanci zapalili silnik w drugim wozie i przepchnęli go przez koryto rzeki. Minęło południe, kiedy wszystkie trzy unimogi ustawiono w szeregu na białym nadrzecznym piachu.

- Każ ludziom się przebrać - polecił Sean. - Niech zo
stawią stare ubrania w grocie.

Wśród śmiechów i żartów partyzanci pościągali z siebie kamuflujące mundury Renamo i włożyli nowe ubrania armii Zim-babwe. W tym czasie Sean przejrzał jeszcze raz wszystkie wozy. W schowkach w kabinach znalazł dowody rejestracyjne zapakowane w plastikowe okładki.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli ich nikomu oka
zywać - zwrócił się do Joba. - Pewnie są na liście skradzionych
lub zniszczonych dokumentów.

Otworzył także przykrywkę wlewów do baków i sprawdził ich zawartość.

- Wystarczy, żebyśmy dotarli do bazy i dojechali do misji
St Mary - ocenił. - Nie mamy jednak dużego zapasu.

Sean polecił żołnierzom umyć przednie i boczne szyby, ale karoserie zostawił utyłane błotem i zakurzone. W ten sposób unimogi wyglądały tak, jakby wracały z patrolu i, co ważniejsze, brud częściowo zasłaniał oznaki wojskowe i tablice rejestracyjne.

Kiedy wszyscy się przebrali w nowe mundury i pochowali stare, Sean i Job przystąpili do sprawdzania ekwipunków.

Zbliżała się piąta, gdy byli wreszcie gotowi do drogi. Job i Alphonso mieli uprawnienia do prowadzenia ciężkich pojazdów, również jeden z partyzantów o nazwisku Ferdinand da Costa twierdził, że ma niezbędne doświadczenie w obsłudze unimoga. Sean zajął miejsce obok niego.

Job prowadził pierwszy wóz, Alphonso jechał w środku, a Sean ze swoim podopiecznym zamykali kolumnę. Ferdinand da Costa okazał się niezłym kierowcą, miał tylko niewielkie kłopoty z wyczuciem pedału gazu. Sean postanowił przejąć kierownicę w trudniejszych miejscach.

309

Jechali w szeregu przez grząski piasek, podążając śladami ciężarówki prowadzonej przez Joba, wzdłuż wijącego się koryta rzeki. Po przejechaniu kilometra natrafili na pierwszą przeszkodę.

Czterdziestu ludzi połączyło siły, żeby przepchnąć unimogi przez próg skalny. Musieli w tym celu wyciąć kilka dziesięciometrowych pali, żeby podważyć wozy, które stanęły na wyższych skałach.

Potężne silniki wyły na najwyższych obrotach w obłokach niebieskich spalin. Sean musiał podnieść głos, żeby Job go usłyszał.

- Sami się prosimy o wizytę oddziału Frelimo, który znajduje się w promieniu trzydziestu kilometrów. - Sprawdził godzinę na zegarku. - Mamy opóźnienie.

Próbowali nadrobić stracony czas na łatwiejszych odcinkach, ale zapadający mrok zastał ich prawie dwadzieścia kilometrów od głównej drogi biegnącej ze wschodu na zachód i łączącej posterunek graniczny w Umtali z wybrzeżem.

Noc jeszcze bardziej utrudniała jazdę. Sean nie odważył się zapalić świateł, więc musieli jechać w ciemnościach rozświetlanych blaskiem gwiazd i księżycą w ostatniej kwadrze.

Było już dobrze po północy, kiedy nareszcie mogli opuścić koryto rzeki w miejscu, gdzie niski brzeg umożliwił wyjechanie na drogę. Sean puścił przodem czterech partyzantów, którzy ostrzegali kierowców przed jamami mrówkojadów i innymi przeszkodami. Zmierzali prosto na południe i po dwóch godzinach natrafili na zarośniętą drogę, o której Alphonso wspominał Seanowi.

Sean zarządził w tym miejscu postój i rozłożywszy mapę polową na masce wozu, studiował ją z niepokojem w świetle latarki.

— Jesteśmy tu - pokazał mu Alphonso. - Ta droga biegnie do starych kopalni azbestu, które zostały opuszczone przez Portugalczyków w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, na początku wojny z Frelimo.

— Odpoczniemy tutaj - zdecydował Sean. - Ściągnijcie wozy z drogi i zamaskujcie je gałęziami. Rankiem możemy spodziewać się hindów. Żadnych ognisk. Nie wolno także palić papierosów.

O czwartej po południu obudzili rozespanych partyzantów i zjedli pospieszny posiłek. Sean zarządził szybki wyjazd. Żół-

310

nierze ściągnęli gałęzie z wozów, a następnie usadowili się na Jawkach. Jedynie czterech mężczyzn biegło przodem przed prowadzącą ciężarówką Joba, sprawdzając zarośniętą drogę w poszukiwaniu

min założonych przez żołnierzy Frelimo, wsuwając bagnet w każdą podejrzaną szczelinę, zanim dali znak, że droga wolna.

Słońce już zachodziło, kiedy dojechali do głównego traktu

0 tłuczniowej nawierzchni wijącego się wzdłuż skraju lasu i dalej

między wysokimi kopcami. Sean zatrzymał kolumnę dostatecz

nie daleko, żeby nie można było jej wypatrzeć z drogi, i razem

z Jobem poszli na zwiad. Pod jego nieobecność dowództwo objął

Alphonso.

Ze szczytu najwyższego wzgórza obserwowali drogę, aż zrobiło się zupełnie ciemno. W tym czasie przejechały dwa patrole jadące na wschód. Każdy z nich składał się z trzech czy czterech poobijanych i brudnych unimogów załadowanych żołnierzami

1 sprzętem wojskowym. Nad kabinami ciężarówek były umoco

wane ręczne karabiny maszynowe RPD.

Wozy jechały w stumetrowych odstępach. Sean, który obserwował je przez lornetkę, zauważył:

— Przynajmniej pod tym wyglądem nie różnimy się od nich.

— Poza twoją białą twarzą - przypomniał Job.

— To tylko wrodzony defekt - rzekł Sean. - Schowam się,

jak będzie to konieczne.

Zeszli ze wzgórza i pobiegli ścieżką do ukrytych w lesie wozów.

- Odtąd jedziesz sam - Sean zapowiedział Ferdinandowi. -

Pamiętaj, żeby wcisnąć sprzęgło, zanim zmienisz bieg. Zoba

czysz, że to pomaga.

Ubrany w mundur brytyjskiego majora Sean schował się za siedzeniem w kabinie Joba. Miejsca miał tylko tyle, że musiał przekręcić ramiona pod kątem do tułowia i siedzieć wyprostowany na podłodze. Nie była to wygodna pozycja. Wiedział, że po kilku godzinach stanie się prawdziwą męczarnią. Jednakże nie można go było tu wypatrzeć i mógł się porozumiewać z Jobem.

Kolumna podjechała do skrzyżowania bez włączonych świateł. Wyśłani przodem zwiadowcy dali znak gwizdem, że droga jest pusta, i trzy ciężarówki wjechały szybko na twardą nawierzchnię i skierowały się na zachód w stronę granicy.

Kiedy tylko znaleźli się na drodze, włączyli światła i zwolnili do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jednocześnie zwiększyli odstępy między samochodami do stu metrów. Dla przygodnego obserwatora musieli teraz wyglądać jak zwykły patrol wojskowy Zimbabwe.

— Na razie wszystko w porządku! - Job odchylił się do

tyłu, gdzie siedział Sean.

— Która godzina?

— Siedem po ósmej.

— Świetnie, dotrzemy do granicy po dziesiątej, kiedy straż

będzie myślała o zejściu ze służby.

Sto kilometrów do punktu granicznego wydało się Seanowi najstraszliwszą udręką. Metalowa podłoga szoferki była pordzewiała i wrzynała mu się w pośladki; każdy podskok na nierównej drodze powodował ból kręgosłupa.

— Schowaj się pod brezent! Przed nami granica! - krzyknął

Job.

— Nie tak szybko - uspokoił go Sean.

Job zwolnił i zapalił górną lampkę w szoferce. Sean narzucił na siebie brezent i schylił się za siedzeniem, jak tylko zdołał. Poczuł, że ciężarówka hamuje, Job wyłączył silnik i otwiera boczne drzwi.

- Życz mi szczęścia - mruknął cicho, wychodząc z kabiny.

Żaden z nich nie wiedział, czego oczekiwać. Formalności

graniczne powinny być pobieżne z powodu dużej liczby żołnierzy przejeżdżających tędy do ochrony linii kolejowej. Job był odpowiednio ubrany i miał autentyczną książeczkę wojskową. Dokumenty rejestracyjne wozu także były prawdziwe. Mógł ich wydać jedynie jakiś nieprzewidziany szczegół czy nadmierna czujność straży granicznej.

Jeśli coś by poszło źle, Job miał dać znak gwizdkiem. Oddział powinien przebić się siłą przez posterunek. Karabiny i wyrzutnie były załadowane, a za RPD na szoferkach siedzieli ludzie Alphonsa.

Mijały minuty. Sean stawał się coraz bardziej nerwowy. W każdej chwili oczekiwał umówionego gwizdka i terkotu karabinów rozpoczynających ogień.

W końcu usłyszał kroki na żwirze i dwóch rozmawiających mężczyzn zbliżających się do ciężarówki. Jednym z nich był Job. Otwarto drzwi z obu stron szoferki. Sean skurczył się jeszcze

312

bardziej, gdy wóz lekko się zakotłosał pod ciężarem wsiadających ludzi.

- Gdzie pana podrzucić? - zapytał obojętnym głosem Job

w języku szona.

Rozległ się głos nieznanego Seanowi.

- Na obrzeża miasta. Pokażę panu.

Sean odwrócił głowę o centymetr i przez szczelinę między siedzeniami dostrzegł niebieski kolor munduru celnika. Z przerażeniem uświadomił sobie, że Job podwozi oficera do Umtali.

Ciężarówka podjechała do barierki, celnik odsunął boczne okno i zawołał do żołnierzy stojących przy szlabanie:

- Wszystko w porządku! Otwierajcie!

Ruszyli do przodu. Przez okno Sean dostrzegł koniec wzniesionego szlabanu na tle nieba. Musiał sobie zakryć usta, żeby się nie roześmiać w przyptywie nagłej ulgi.

Żołnierzy także ogarnęła fala radości. Śpiewali przez całą drogę do Umtali. Job gawędził z pasażerem, sprzecząc się na temat zalet klubu nocnego Stardust i cen żądanych przez dziewczęta.

- Powiedz Bodowi, to barman w Starducie, że jesteś moim

kumplem - rzucił celnik, gdy Job wysadził go na przed

mieściu. - Zapłacisz mniej i powie ci, które dziewczyny mają

syfa, a które są czyste.

Kiedy ruszyli, Sean wygramolił się zza siedzenia i z przyjemnością usiadł na fotelu.

— Co to za pomysł? - zapytał ze skargą w głosie. - Omal

nie dostałem przez ciebie zawału.

— Znasz lepszy sposób na specjalne traktowanie na granicy -

zaświergotał Job - niż podwieźć szefa celników? Szkoda, że

nie widziałeś, jak strażnicy nam salutowali!

— Gdzie jest ten klub?

— Niedaleko, będziemy tam przed jedenastą.

Jechali w milczeniu. Sean w myślach powtarzał rozkaz, który miał zaraz wydać. Zaczekał, aż Job wjedzie na jedną ze słabo oświetlonych ulic i zatrzyma się. W bocznym lusterku zobaczył, jak dwa unimogi hamują za nimi, wyłączają silniki i światła.

— Znowu w domu. - Job się roześmiał. - Nieźle.

— Znowu w domu - potwierdził Sean. - I w domu zosta

niesz. Zapadła cisza, kiedy Job odwrócił głowę i spojrzął na Seana.

313

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Job, dla ciebie to koniec drogi. Nie jedziesz ze mną do bazy, nie porywasz żadnych stingerów i niech mnie diabli, jeśli wracasz ze mną do Mozambiku.

— Wywalasz mnie? - zapytał Job.

— Właśnie, stary. Nie potrzebuję cię już.

Sean wyjął z kieszeni zwitek dolarów Zimbabwe, część pieniędzy, które dostał na wydatki od Chin, i podał je Jobowi.

- Pozbądź się tego munduru tak szybko, jak to tylko możliwe.

Jeśli złapią cię w nim, to cię zastrzelą. Pojedź następnym po ciąguem do Harare i spotkaj się z Reemą. Ma dla ciebie jakieś cztery tysiące dolarów premii. To ci powinno wystarczyć do czasu, gdy odbiorę dług z majątku Riccarda Monterra. Moi prawnicy wszystko załatwią. Będziesz miał prawo do połowy tej...
Job nie spojrzął nawet na pieniądze.

— Pamiętasz dzień na Wzgórzu Trzydzieści Jeden? - zapytał cicho.

— Cholera, Job, nie wciskaj mi tego kitu.

— Wróciłeś po mnie - powiedział Job.

— Bo czasami jestem cholernym głupcem.

— Ja też. - Job się uśmiechnął. - Czasami jestem cholernym głupcem.

— Słuchaj, Job, to już nie jest twoje shauri. Nie ma w tym

nic dla ciebie. Wycofaj się. Wracaj do wioski, kup sobie kilka młodych żon za pieniądze Szefa. Siedz w słońcu i popijaj piwko.

— Fajnie, że próbowałeś, Sean. Szkoda, że nie wyszło. Idę z tobą.

— To rozkaz. Wynoś się!

— Odmawiam wykonania rozkazu, więc postaw mnie przed sądem polowym.

Sean się roześmiał i pokręcił głową.

— To moja kobieta, więc mogę dla niej ryzykować życie.

— Opiekuję się tobą od prawie dwudziestu lat i nie zamierzam teraz zrezygnować - odparł Job, otwierając drzwi szoferki. -

Chodźmy, znajdziemy tego Cuthberta w koszuli z Supermanem.

Sean zostawił czapkę i marynarkę na siedzeniu, wiedząc, że insygnia sławnego regimentu nie pasowałyby do taniego klubu nocnego. Stardust znajdował się na końcu ulicy w starym budynku

314

fabryki, który został przebudowany na dyskotekę z zaciemnionymi wszystkimi oknami. Muzykę usłyszeli z odległości stu kroków; hipnotyczne rytmy nowej fali afrykańskiego jazzu.

Wokół wejścia kłębiły się kobiety. W ostrym świetle wysokich lamp ich sukienki przypominały skrzydła motyli. Większość była uczesana w stylu afro lub nosiła poprzeplatane warkoczyki, tak zwane dredy charakterystyczne dla rastofarian; ostro wymalowane twarze błyszczały od różu i czerwonej szminki, a pomalowane na zielono powieki świeciły w ciemności niczym oczy iguany.

Dziewczęta oblepiły Joba i Seana, ocierając się o nich niczym koty.

— Hej, wprowadź mnie do środka! - prosiły jedna przez

drugą. - Człowieku, daj pięć dolców, żebym mogła wejść, to

zatańczę z tobą i pójdziemy się popieprzyć. Wszystko, co chcesz.

— Chodź ze mną, biały. - Dziewczyna o wątłym, dziecięcym ciele, odziana w sukienkę z taniego nylonu, o twarzy czarnej Madonny i znużonych oczach schwyciła Seana za ramię. - Weź mnie ze sobą, a dam ci coś, czego jeszcze nigdy nie miałeś. - Złożyła ręce i chciała chwycić Seana między nogami. Sean złapał ją za nadgarstek i powstrzymał.

— Co mi takiego dasz, czego jeszcze nigdy nie miałem, kochanie? AIDS?

Przepchali się przez gęszcz szeleszczących sukienek i obłoki tanich perfum i zapłacili po pięć dolarów za wejście. Bramkarz ostemplował im nadgarstki tuszem, pieczętki służyły za bilety wejściowe. Przemknęli przez czarną zasłonę przy wejściu.

Zalała ich fala głośnej, wręcz bolesnej dla uszu muzyki, pomieszczenie omiatały stroboskopowe światła. Środek sali pulsował od ciał wyginających się w jakimś prymitywnym orgazmie.

— Gdzie jest bar?! - Sean ryknął Jobowi do ucha.

— Jestem tu pierwszy raz. - Job chwycił go za ramię i zaczęli się przepychać przez zbity tłum, fale muzyki i pulsujące światła.

Na otaczających ich twarzach malowały się tajemnicze emocje, niczym w religijnym uniesieniu; oczy wywrócone tak, że w migającym ultrafioletowym świetle łyskały białka, na wzniesionych rękach lśnił pot i spływał strużkami po policzkach.

Udało im się dotrzeć do baru.

315

- Nie zamawiaj whisky! - krzyknął Job. - I każ im otworzyć piwo w twojej obecności.

Pili prosto z puszek przyciśnięci do kontuaru morzem tańczących.

Na sali widać było kilka białych twarzy, sami mężczyźni, zapewne turyści lub doradcy wojskowi. Większość gości klubu stanowili czarni żołnierze w mundurach i Sean z Jobem wtopili się w tłum.

— Gdzie jesteś Cuthbercie w koszuli Supermana? - Sean odepchnął jedną z bardziej natarczywych kurew barowych i rozejrzał się nad głowami tańczących. - Nigdy go tu nie

znajdziemy.

— Spytaj barmana - zasugerował Job.

— Dobry pomysł. - Sean chwycił przechodzącego barmana za koszulę, żeby zwrócić na siebie uwagę, wsadził mu banknot pięciodolarowy do kieszeni i wykrzyczał pytanie.

Barman uśmiechnął się do niego i odkrzyknął:

- Poczekaj! Znajdę go.

Dziesięć minut później zobaczyli, jak Cuthbert przepycha się przez tłum w ich stronę. Był to szczupły mężczyzna w koszuli co najmniej o dwa numery na niego za dużej.

— Hej, Cuthbert, nikt ci nie mówił, że wyglądasz jak Sammy Davis Junior? - przywitał go Sean.

— Człowieku, cały czas mi to mówią. - Cuthbert wyglądał na zadowolonego. Sean najwidoczniej podbechtał jego próżność.

— Masz pozdrowienia od wujka. Możemy gdzieś pogadać? - zapytał Sean, gdy wymienili uściski.

— Najlepsze miejsce to tutaj - odparł Cuthbert. - Nikt nie usłyszcy, o czym mówimy. Jezu, weź dla mnie piwo, bo nie mogę nawijać o suchym pysku.

Cuthbert wypił pół puszki jednym haustem i zapytał zadyszany głosem:

— Mieliście być tutaj wczoraj w nocy. Co się z wami stało, człowieku?

— Niestety, opóźnienie.

— Powinniście być tu wczoraj w nocy. Wczoraj wszystko by poszło jak po maśle. Dzisiaj, człowieku, no cóż, dzisiaj wszystko się zmieniło.

316

— Co się zmieniło? - zapytał Sean, czując jak serce pod

chodzi mu do gardła.

— Wszystko - odparł Cuthbert. - O piątej przyleciał hercules, żeby zabrać zabawki.

— Odleciał już? - zapytał z niepokojem Sean.

— Nie wiem. Był tam, jak opuszczałem bazę o ósmej. Stoi przed hangarem numer trzy. Może tam jeszcze jest, a może już go nie ma. Nie mam pojęcia.

— Dzięki - mruknął Sean. - Niezła pomoc.

— To jeszcze nie wszystko, człowieku. - Cuthbert chyba lubił przynosić złe nowiny.

— No to nadawaj, człowieku.

Cuthbert skończył piwo jednym haustem i podniósł pustą puszkę. Sean zamówił mu następne i czekał, aż Cuthbert je dostanie i zacznie mówić.

— W herculesie przyleciały dwa oddziały komandosów z Piątej Brygady. Ci z Piątej to zimne dranie - powiedział z przyjemnością Cuthbert. - To niezłe typki.

— Cuthbert, za dużo oglądasz Policjantów z Miami w telewizji - rzucił Sean, ale w myślach bardzo się zmartwił. Piąta Brygada była elitarną jednostką w armii Zimbabwe, wykształconą przez północnokoreańskich instruktorów na zdolnych morderców. Dwa komanda po stu ludzi w każdym i w dodatku cały garnizon bazy, prawie tysiąc doświadczonych żołnierzy.

— Twój wujek mówił, że nas wprowadzisz do bazy. Masz nas przeprowadzić przez bramę.

— Nie ma mowy, człowieku! - wybuchnął Cuthbert. - Nie z tymi zimnymi draniem z Piątej Brygady w środku.

— Cuthbert, twój wujek będzie niezłe wkurzony. On sam potrafi być zimnym draniem, człowieku, ten wujek China. -

Sean naśladował żargon Cuthberta.

Mężczyzna wyglądał na wystraszzonego.

— Człowieku, załatwiłem wam przepustki - wyjaśnił w pośpiechu. - Nie będziecie mieli żadnych kłopotów z wejściem.

Straż przy bramie was oczekuje. Do niczego nie jestem wam potrzebny, naprawdę. Nie ma powodu, żeby się odśłaniał.

Kapujesz?

— Masz przepustki ze sobą?

317

— Jasne. Także hasło. Nie będziecie mieć żadnych kłopotów.

— Chodźmy. - Sean wziął Joba za ramię i zaczęli się przez dziurę w stronę wyjścia. - Hercules może odlecieć w każdej chwili.

Cuthbert podążył za nimi uliczką do miejsca, gdzie zaparkowali unimogi.

— Oto przepustki. - Wręczył Seanowi obłożoną w plastik kartę z czerwonym napisem: "Bezwzględne pierwszeństwo".

— Hasło brzmi "pięćdziesiąty siódmy", a wasza odpowiedź "Samora Machel". Następnie pokazujecie przepustkę i wpisujecie się do książki. Proste jak drut, człowieku. Jesteście w środku bez problemu.

— Powiem twojemu wujkowi, że nie mogłeś nas odprowadzić.

— Hej, mógłbyś mi odpuścić. Nie ma potrzeby, żeby się wsypał. Bardziej się przydam wujkowi, gdy będę mógł jeszcze nieco pokapować, niż gdy odstrzelą mi tyłek.

— Cuthbert, ty się marnujesz w komunikacji, powinienes występować w telewizji. - Sean ucisnął mu rękę i patrzył za

nim, jak biegiem wraca na dyskotekę.

Z tyłu każdej ciężarówki stały grupki kobiet, żartując z żołnierzami, którzy wychylali się na zewnątrz. Jedna z dziewczyn wdrapywała się już na górę z minispódniczką podwiniętą wysoko na szczupłych nogach, podtrzymywana chętnymi rękami partyzantów.

- Sierzancie, wywalcie stąd wszystkie kurwy! - rozkazał

Job, zwracając się do Alphonsa. Kobiety odsunęły się pospiesznie od wozów, a ze środka wyskoczyły trzy dziewczyny, których ubrania wydawały się bardzo niekompletne.

Sean i Job wsiedli do szoferki pierwszego unimoga. Kiedy kolumna ruszyła, Sean pozapinał mundur i włożył na głowę beret, przekrzywiając go łobuzersko nad uchem.

— Co robimy? - zapytał Job.

— Hangar numer trzy dobrze widać z głównej drogi. Przez jedziemy się autostradą. Jeśli hercules tam jeszcze stoi, to wchodzimy. Jeśli nie, no cóż, wracamy, skąd przyszliśmy.

— A co z Piątą Brygadą?

— To tylko banda byłych dupków - zawyrokował Sean. -

Nie martwiłeś się nimi wcześniej.

318

— Tylko pytam, żeby nam się czas nie dłużył. - Job posłał mu uśmiech. - Nie powiesz Alphonsowi o nich?

— Czego nie wie, tym się nie musi przejmować - odparł

Sean. - Zajmij się prowadzeniem.

Trzy ciężarówki jechały spokojnie przez śpiące miasto Umtali. Ulice były opustoszałe, ale Job stosował się do wszystkich znaków i zatrzymywał na każdym świetle. Wreszcie wyjechali na autostradę.

- Dwanaście po jedenastej. - Sean sprawdził czas. W świet

le reflektorów odczytał napis na znaku drogowym: - Baza

Wojskowa Grand Reef, piętnaście kilometrów.

Poczuł znajomy ucisk w żołądku, przyspieszony puls i zaczerpnął kilka głębszych oddechów. Zawsze tak się czuł przed akcją.

- Jest - powiedział cicho Job, wjeżdżając na wzniesienie.

Lotnisko było dokładnie oświetlone; latarnie jarzyły się pomarańczowym światłem, a niebieskie i zielone przerywane linie znaczyły pasy startowe. Nawet z odległości trzech kilometrów w białym świetle reflektorów hercules wydawał się olbrzymi. Dwunastometrowy ogon wystawał nad dach trzeciego hangaru. Sean natychmiast się zorientował, że jest to jeden z przerobionych przez Marshalla dla RAF-u samolotów transportowych Lockheed Hercules C MK3. Na potężnym srebrnym kadłubie i tylnym stateczniku znajdowały się okrągłe znaki Królewskich Sił Powietrznych.

— Zatrzymaj się - rozkazał. Job włączył migacz i zjechał na pobocze. Wyłączył światła, a pozostałe unimogi poszły za jego przykładem. W zapadłej ciszy Sean powiedział: - Więc hercules jeszcze nie odleciał. Wkraczamy do akcji.

— No to jazda - rzucił Job.

Sean wyskoczył z szoferki i podszedł do drugiej ciężarówki, z której właśnie wysiadał Alphonso.

— Sierzancie, wiecie, co macie robić. Daję wam czterdzieści pięć minut na to, żeby zająć pozycję. Następnie macie nam zapewnić dziesięć minut ostrzału dla odwrócenia uwagi.

— Według planu miało to być dwadzieścia minut.

— Nastąpiła zmiana - odparł Sean. - Należy się spodziewać silniejszego oporu, niż sądziliśmy na początku. Dziesięć minut i zwiewacie. Kierujcie się prosto na misję St Mary, rezygnujemy

319

ze spotkania na przejściu w Umtali. Uderzcie ich z całej siły i wiejcie. Wszystko jasne?

— Yehbo.

— Ruszajcie! - polecił Sean i Alphonso wskoczył do wozu.

Przez otwarte okno zasalutował Seanowi, wyszczerzając zęby w uśmiechu. - Połamania nóg - dodał Sean, kiedy unimog zjechał z nasypu i skierował się w dół zbocza w kierunku jasno

oświetlonej bazy.

Sean patrzył, jak wóz zjeżdża z autostrady na drogę biegnącą wzdłuż ogrodzenia lotniska. Samochód szybko zniknął wśród drzew. Sean sprawdził czas na roleksie i wrócił do Joba. Wyciągnął się na siedzeniu pasażera, zsunął czapkę na tył głowy i obserwował przez lornetkę wystawioną przez otwarte okno wielki samolot transportowy. Tylne kłapy pod kadłubem były opuszczone na płytę lotniska i Sean mógł zajrzeć w mroczny luk ładunkowy. W środku znajdowało się chyba pięć osób, a na ziemi pod samolotem stały jeszcze dwie. Kiedy Sean przyglądał się ich pracy, z otwartego hangaru numer trzy wyjechał wózek widłowy. Jego przód był obciążony czterema długimi drewnianymi skrzynkami. Skrzynki były zbite z jasnego, nieheblowanego drewna. Na wiekach dostrzegł wypisane czarną farbą litery i cyfry - zbyt małe, żeby mógł je odczytać z tej odległości. Zresztą nie musiał; wielkość skrzynek i ich kształt nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

- Ładują stingery - powiedział Sean.

Job wyprostował się na fotelu.

Wózek podjechał do herculesa od strony ogona, wspiął się po rampie i zniknął w brzuchu olbrzyma. Po kilku minutach pojawił się w wejściu, zjechał na dół i wrócił do hangaru. Sean spojrzął na zegarek, minęło zaledwie pięć minut od czasu, gdy Alphonso udał się na swoje stanowisko.

- Szybciej - mruknął Sean pod nosem, jakby chciał przyśpieszyć wskazówki zegarka.

Załadowany wózek dwukrotnie zniknął w luku ładunkowym samolotu i wracał pusty. W końcu kierowca w jaskrawopomarańczowym kombinezonie zjechał na bok i zaparkował na końcu hangaru. A potem zeskoczył z fotela i podszedł do dwóch pomocników stojących na ziemi pod ogonem maszyny.

320

- Ładunek zakończony - szepnął Sean i znowu sprawdził czas. - Ruszamy za siedem minut.

Job odpiął kaburę i wyciągnął pistolet Tokariewa kalibru 7,62 mm. Wyjął magazynek i sprawdził jego zawartość, następnie zatrzasnął go w kolbie i schował broń do kabury.

Sean zobaczył przez lornetkę, jak ludzie pracujący w luku ładunkowym schodzą po rampie na płytę lotniska. Trzech z nich było białych, dwóch ubranych w kombinezony lotnicze, a jeden w brytyjskim mundurze. Dwóch pilotów i jeden wojskowy instruktor Artylerii Królewskiej, domyślił się Sean.

- Przygotuj się - powiedział i Job zapuścił silnik. - Powinnyśmy wyeliminować te reflektory. - Nie możemy ładować ciężarówek przy takim oświetleniu, kiedy w bazie jest Pięta

Brygada. - Patrzył na zegarek, przechylając tarczę, żeby dostrzec

wskazówki w nikłym świetle lampek kontrolnych. - Dobra,

Job. Ruszamy! - rzucił i unimog ruszył z miejsca. W lusterku

wstecznym Sean zobaczył, że ciężarówka prowadzona przez

Ferdinanda podąża za nimi.

Patrząc, jak jadą drogą biegnącą równoległe do pasa startowego, w pamięci Seana odżywały najróżniejsze wspomnienia. Baza wyglądała dokładnie tak samo, gdy ją opuszczali lata temu. Nie dodano żadnych nowych hangarów czy budynków. Odszukał okna swojego gabinetu w budynku administracyjnym za wieżą kontrolną i kiedy Job skręcił z autostrady na drogę dojazdową do bramy, Sean niemal oczekiwał, że nad łukiem bramy dostrzeże insygnia Zwiadowców Ballantyne'a umieszczone między insygniami Lekkiej Piechoty Rodezyjskiej i Afrykańskich Strzelców Rodezyjskich.

Job zatrzymał wóz przed oświetloną jaskrawo bramą i dwóch wartowników podeszło do ciężarówki. Obaj byli uzbrojeni w karabinki AK. Przyjrzeni się uważnie Seanowi i Jobowi.

Job odsunął okno i wymienił hasło z dowódcą straży, a następnie podał przepustki. Mężczyzna zabrał je ze sobą do wartowni, żeby zrobić adnotację w dzienniku. Po chwili dwóch żołnierzy otworzyło bramę, dając znak kierowcy, że może wjeżdżać.

Kiedy ich mijali, Sean odwzajemnił salut i cicho zwrócił się do Joba:

321

- Zupełnie jak mówił Cuthbert, proste jak drut. Jedź w stronę budynku administracji, ale skręć, jak tylko dojedziesz do wieży kontroli lotów.

Job prowadził wolno, dostosowując się do obowiązującego na terenie bazy ograniczenia prędkości do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Sean odpiął kaburę i wyjął pistolet. Wyciągnął magazynek, wyrzucił dwa naboje na dłoń i włożył je w odwrotnym porządku. Następnie wsunął magazynek do rękojeści.

— Zawsze to robisz. Dlaczego? - zapytał Job.

— Na szczęście - wyjaśnił Sean i spojrzał na Joba.

— Pomaga? - Job wydawał się zaciekawiony.

— No cóż, wciąż żyję, no nie? - Sean uśmiechnął się lekko.

Odciągnął zabezpieczenie i wprowadził pocisk do komory, następnie zabezpieczył broń i schował ją do kabury. - Zatrzymaj

się za trzecim hangarem - polecił.

Job skręcił, przejechał przez placyk oświetlony zawieszonymi wysoko lampami i zatrzymał wóz w cieniu rzucanym przez hangar. W tym miejscu nie można ich było dostrzec z wieży kontrolnej ani z budynku administracyjnego.

Kiedy tylko wóz stanął, Sean wyskoczył na ziemię i szybko rozejrzał się wokoło. Drugi unimog zaparkował za nimi i z obu wozów zaczęli wysypywać się uzbrojeni żołnierze w mundurach. Trzema susami Sean dopadł tylnych drzwi w pordzewiałej ścianie hangaru. Były otwarte, więc wsunął się do środka. Job wśliznął się za nim.

W hangarze stał tylko mały samolot zaparkowany w rogu. Na betonowej podłodze o rozmiarach połowy boiska do piłki nożnej widniały plamy po rozlanym oleju. Nad głowami wsporniki dachu wyginały się łukowato. Całe pomieszczenie było jasno oświetlone.

Kierowca wózka i trzech pracownicy w pomarańczowych kombinezonach szli w stronę tylnych drzwi, gawędząc i paląc papierosy mimo wielkich napisów czerwoną farbą na ścianach zabraniających palenia tytoniu. Znajdowali się pośrodku hangaru, gdy zobaczyli Seana i uzbrojonego mężczyznę wchodzących przez drzwi. Zaskoczeni zatrzymali się w miejscu.

- Zajmij się nimi - polecił Sean.

Kiedy Job sprawnie radził sobie z zadaniem, Sean spojrzął w stronę, z której mężczyźni nadeszli. Wzdłuż przeciwległej

322

ściany hangaru ciągnęły się pomieszczenia biurowe ze ścianami z dykty i szklanymi okienkami. Przez oświetlone okno Sean dojrzał głowę i ramiona jednego z pilotów RAF-u. Mężczyzna stał tyłem do niego i gestykułował, mówiąc do kogoś, kogo Sean nie widział.

Pracownicy leżeli już na ziemi, a nad każdym z nich stał żołnierz z lufą karabinka AKM przyciśniętą do pleców jeńca. Wszystko zostało załatwione w absolutnej ciszy.

Z pistoletem w ręku Sean podbiegł do pomieszczenia biurowego i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Jeden z pilotów i kapitan Artylerii Królewskiej siedzieli wyciągnięci w pozbawionych poręczy fotelach. Ściana za nimi była upstrzona zdjęciami nagich dziewczyn, które, jak Sean się domyślił, musiały tu wisieć jeszcze od czasu wojny. Starszy pilot siedział na zawalonym papierami biurku pod oknem. Wszyscy trzech wpatrywali się w Seana ze zdumieniem.

- To napad - powiedział spokojnie. - Nie ruszajcie się z miejsc.

Na podłodze przed kapitanem stała czarna torba ze sporymi zamkami i napisem z boku: "Royal Artillery".

Oficer położył na niej rękę, a Sean natychmiast się domyślił, jaka jest jej zawartość. Mężczyzna miał dwadzieścia kilka lat, był dobrze zbudowanym niebieskookim blondynem i wyglądał na pewnego siebie. Na piersi nosił plaketkę z nazwiskiem Carlyle.

Pilot w randze porucznika był znacznie starszy od kapitana i otyły. Jego pomocnik, inżynier pokładowy, okazał się tysiącletnim mężczyzną w trudnym do określenia wieku. W jego oczach krył się prawdziwy strach, gdy patrzył na pistolet napastnika. Sean szybko uznał, że nie musi się ich obawiać, i skoncentrował uwagę na młodym kapitanie. Instynktownie czuł, że mężczyzna może mu przysporzyć kłopotów; miał ramiona rozbudowane jak bokser i wysunął je agresywnie do przodu, spoglądając spode łba. Był jeszcze młody i naiwny. Patrząc mu w oczy, Sean przestrzegł go:

— Zapomnij o tym, Carlyle. Bohaterowie wyszli już z mody.

— Jesteś Południowoafrykańczykiem - rzucił ze złością

Carlyle, rozpoznając akcent Seana. - Po czyjej jesteś stronie?

— Po mojej własnej - odpowiedział Sean. - Jestem swoim

własnym pracodawcą. - Przeniósł wzrok na czarną torbę. Carlyle przysunął ją bliżej do siebie.

323

— Kapitanie Carlyle, jest pan winny poważnego zaniedbania w czasie służby - powiedział zimnym tonem Sean i oficer zareagował na oskarżenie z pogardą zawodowego żołnierza.

— Co pan ma na myśli?

— Powinien pan wystawić straż, kiedy ładował pan pociski.

Pozwolił nam pan tu wejść... - Zgodnie z zamierzeniem udało mu się odwrócić uwagę Carlyle'a na kilkanaście sekund, których potrzebował Job, żeby dotrzeć do niego z resztą żołnierzy.

— Wstawać! - rozkazał Job i obaj piloci posłusznie podnieśli się z miejsc z uniesionymi rękami. Trzymając ich na muszce, wyprowadził obu z pomieszczenia.

Carlyle w dalszym ciągu siedział na fotelu z torbą między nogami.

— Wstawaj! - powtórzył rozkaz Sean.

— Pierdol się, afrykanerze.

Sean zrobił krok do przodu i złapał za ucho torby. Carlyle chwycił z drugiej strony, żeby ją zatrzymać przy sobie. Sean opuścił lufę pistoletu na jego wystawione knykcie. Skóra na dłoni kapitana pękła i rozległ się odgłos łamiącego się palca. Sean nie docenił własnej siły, nie zamierzał aż tak ukarać mężczyzny, ale zachował zimny wyraz twarzy.

- To ostrzeżenie - powiedział. - Następnym razem wpa

kuję ci kulę w łeb.

Carlyle przyciskał zranioną dłoń do piersi, lecz jego twarz pociemniała z wściekłości. Patrzył, jak Sean stawia torbę na stole.

— Klucze! - warknął Sean.

— Każ się wypchać! - odparł Carlyle. Jego głos był napięty

i chropawy z bólu.

Sean spojrzał na okaleczoną dłoń kapitana. Zobaczył, że złamany palec sterczy pod dziwnym kątem i zdążył już spuchnąć niczym fioletowy balon.

W drzwiach pojawił się Job.

— Wszystko zabezpieczone - powiedział i spojrzał na zegarek. - Cztery minuty.

— Daj mi nóż - rzekł Sean.

Job podał mu ostry majcher. Sean rozciął skórę wzdłuż metalo-

324

wego szkieletu torby i otworzył ją. W środku znajdowało się kilka teczek. Wyjął jedną z nich. Była w czerwonej plastikowej okładce z napisem "Supertajne". Spojrzał na stronę tytułową.

INSTRUKCJA OBSŁUGI POCISKÓW TYPU

ZIEMIA-POWIETRZE STINGER MODEL

RĘCZNIE ODPALANY DLA PIECHOTY

- Bingo. - Sean przekreślił teczkę tak, żeby Job mógł

przeczytać tytuł. To był poważny błąd. Przez krótką chwilę obaj

zapomnieli o kapitanie, nachyleni nad biurkiem i zajęci czytaniem.

Carlyle wyleciał z fotela niczym z procy. Był młody i silny, raniona ręka nie osłabiła go. Przemierzył pokój kilkoma skokami, zanim którykolwiek z nich zdążył zareagować. Zanurkował głową naprzód przez okienko w ścianie. Szyba się rozprysła deszczem odłamków i Carlyle zwinął się w locie niczym akrobata.

Sean podbiegł do okna. Po drugiej stronie Carlyle poderwał się na nogi i zaczął biec przez jasno oświetloną płytę lotniska. Job odepchnął przyjaciela i stanął w wybitym oknie; podnosząc karabinek AKM, wymierzył w plecy mężczyzny biegnącego sprintem w stronę wieży kontroli lotów.

Sean chwycił za karabin. Pchnął lufę w dół, zanim Job zdążył wystrzelić.

— Co ty, do cholery, wyrabiasz?! - ryknął Job.

— Nie możesz go zabić!

— Dlaczego?

— Bo to Anglik - wyjaśnił.

Przez chwilę Job patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. W tym czasie Carlyle przebiegł płytę i zanurkował w drzwiach wieży.

— Anglik czy Eskimos, za dziesięć sekund będziemy mieli

całą Piątą Brygadę na naszych plecach. - Job z trudem hamował

swój gniew. - No i co teraz robimy?

— Ile minut? - zapytał Sean, żeby zyskać na czasie. Nie

miał odpowiedzi na pytanie Joba.

— Wciąż cztery - poinformował Job. - Równie dobrze

mogą to być cztery godziny.

Zaledwie wypowiedział te słowa, gdy rozległ się przenikliwy jęk syren stawiający na nogi całą bazę. Carlyle musiał trafić do

325

pokoju operacyjnego w wieży. Sean wystawił głowę przez okno i zobaczył wartowników wybiegających z budynku obok bramy. Ciągnęli za sobą pasy najeżone ostrymi szpikulcami, które pocięłyby na strzępy opony każdego samochodu próbującego uciec tą drogą. Sean dostrzegł także lufy ciężkich karabinów maszynowych zniżające się i osłaniające trasy dojazdowe. Droga odwrotu została odcięta.

- Powinieneś pozwolić mi go uciszyć - powiedział ze

złością Job.

Sean zastanawiał się, jak mu to wytłumaczyć? Carlyle był odważnym młodym człowiekiem wypełniającym swój obowiązek. Mimo że związki Seana ze starym krajem uległy już zatarciu, w jego żyłach płynęła ta sama krew; to byłoby coś gorszego niż zwykłe morderstwo, gdyby pozwolił Jobowi zastrzelić Carlyle'a. To byłoby niemal tak, jakby zastrzelił brata.

Przed hangarem rozbłyły nagle potężne reflektory oświetlające ogrodzenie i pasy startowe. Cała baza tonęła w świetle tak jasnym jak za dnia. Jeśli komandosi z Piątej Brygady spali w swoich barakach, kiedy rozległ się alarm, to ile czasu będą potrzebować na wkroczenie do akcji? Sean starał się to pobieżnie obliczyć, jednakże zaniechał tego, gdy uświadomił sobie z obrzydzeniem, że unika właściwego spojrzenia na własne niezdecydowanie i brak planu. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i wszystko mu się rozsypało.

Za kilka minut on, Job i dwudziestu partyzantów Szangane zostaną pokonani. Kilku szczęściarzy zginie na miejscu i uniknie śledztwa prowadzonego przez wywiad Zimbabwe.

Myśl, nakazał sobie desperacko, czując, że Job patrzy na niego z nadzieją, w oczekiwaniu na rozkazy. Job nigdy nie widział Seana w sytuacji bez wyjścia. To bezgraniczne zaufanie było irytujące i jeszcze bardziej utrudniało podjęcie sensownej decyzji.

— Co mam powiedzieć ludziom? - nalegał Job.

— Niech... - Sean przerwał, gdy na południowym końcu

bazy, po przeciwnej stronie hangaru, rozległy się strzały. Alphonso

zachował przytomność umysłu i widząc, że ich plan został

odkryty, rozpoczął atak kilka sekund wcześniej.

Usłyszeli świst i huk rozrywających się pocisków RPG-7, głuchy łoskot pocisków moździerzowych przelatujących nad

326

ogrodzeniem i wybuchających na terenie bazy. Przy bramie ciężki karabin maszynowy rozpoczął ogień, wysyłając w ciemności zielone pociski smugowe.

- Jak się stąd wydostaniemy? - zapytał Job.

Sean patrzył na niego tępym wzrokiem. Ogarnęły go zwątpienie i niepewność. Czuł, że wpada w panikę; nigdy nie podejrzewał, że może zawładnąć nim strach.

- Zapomnij o tych pieprzonych stingerach, wydostań nas

stąd. - Job chwycił go za rękaw i potrząsnął. - Sean, cholera,

oprzytomnij! Powiedz mi, co robić!

"Zapomnij o stingerach!". Słowa te były niczym otrzeźwiający policzek. Zamrugał oczyma i potrząsnął głową. Zapomnij o stingerach i o Claudii Monterro. Jeśli nie zdobędzie stingerów, Claudia pozostanie w więzieniu, w którym znalazł ją Matatu.

Sean wyrzął przez okno. Przed sobą miał olbrzymi ogon i część kadłuba samolotu, reszta była niewidoczna, ukryta za rogiem hangaru. Metaliczna powłoka maszyny lśniła ostro w światłach reflektorów.

Zmusił się do zduszenia w sobie paniki, która tuż, tuż miała go obezwładnić, i poczuł, jak fala strachu ustępuje.

- Światła - powiedział i rozejrzał się szybko wokół. Dostrzegł skrzynkę z bezpiecznikami na ścianie za drzwiami kanciapy. Podbiegł tam w dwóch susach i otworzył pokrywę.

Hangar został zbudowany w czasie drugiej wojny światowej, kiedy RAF miał w Rodezji ośrodek szkoleniowy. Cała elektryka pochodziła z tamtych czasów i w skrzynce Sean znalazł bezpieczniki ceramiczne.

- Daj mi jeden nabój do AK - powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu i Job bez wahania wykonał rozkaz. Wyjął nabój z zapasowego magazynka.

Sean odnalazł główny bezpiecznik. Prąd musiał dochodzić z transformatora znajdującego się przy bramie. Gdyby udało mu się teraz przeciążyć obwód, to rozwaliłby główny bezpiecznik w transformatorze.

Wykręcił obudowę bezpiecznika i hangar pogrążył się w ciemnościach. Wpadające przez okno światło pozwalało mu jednak widzieć, co robi. Włożył nabój do ceramicznej obudowy i krzyknął na Joba:

327

- Cofnij się!

Sean przewyciężył strach. Był teraz spokojny i pewny siebie. Odzyskał przytomność umysłu i wiedział już, co ma zrobić.

Wsunął obudowę w otwór. Oślepiająca niebieska eksplozja rozświetliła ciemne pomieszczenie. Sean poleciał do tyłu. Rąbnął w ścianę kanciapy, na wpół ogłuszony, a przed oczyma migotały mu refleksy rozbłysku. Potrząsnął głową.

Potrzebował kilku sekund, żeby oprzytomnieć i zorientować się, że reflektory za oknem zgasty. Niebo było rozświetlane jedynie jaskrawymi smugami pocisków i silnymi wybuchami granatów. Baza utonęła w ciemnościach.

- Zabierz ludzi do herculesa! - krzyknął.

Widział Joba jako ciemną plamę na tle jaskrawych kół ognia, które wciąż wirowały mu przed oczyma.

— Co takiego? Nic nie rozumiem! - wymamrotał Job.

— Odlatujemy samolotem. - Sean schwycił go za ramię

i wypchnął przez drzwi. - Rusz tyłek. Zabierz Ferdinanda i jego

ludzi na pokład.

Job pobiegł. Sean ruszył za nim niepewnym krokiem. Odzyskiwał wzrok. Skierował się w stronę szarego prostokąta, który musiał być drzwiami do hangaru.

- Co z jeńcami?! - zawołał Job z ciemności hangaru.

- Puść ich wolno! - odkrzyknął Sean i pobiegł do wyjścia.

Mimo że nie miał zezwolenia na pilotowanie herculesa, zetknął

się już wcześniej z tego typu samolotem. Miał za sobą co najmniej dwieście godzin w powietrzu jako drugi pilot, kiedy latał w południowoafrykańskich siłach powietrznych nad Angolą i Namibią na akcje antyterrorystyczne. Przypomniawszy sobie zdobyte wtedy doświadczenie. Lubił tę maszynę i pamiętał słowa pierwszego pilota: "To jagniątko. Szkoda, że moja żona nie jest tak posłuszna".

W drzwiach hangaru nagle się zatrzymał.

— Matatu ma rację, starzejesz się, brachu - skarcił się

i zawrócił do ciemnego hangaru, gdzie niemal wpadł na Joba.

— Dokąd idziesz?

— Zapomniałem torby! - krzyknął Sean. - Niech wszyscy

wejdą na pokład.

328

Znalazł skórzaną torbę na biurku, gdzie ją zostawił, wsadził ją sobie pod ramię i szybko dołączył do Joba, który czekał przy rampie samolotu.

— Wszyscy na pokładzie - rzucił Job. - Powinien z nami

być pilot.

— Nie mamy czasu na namówienie go do współpracy! -

odkrzyknął Sean. - Biedak mało nie narobił w portki ze strachu.

— Chcesz sam pilotować?

— Jasne, chyba że ty spróbujesz.

— Słuchaj, Sean, latałeś już kiedyś taką maszyną?

— Zawsze jest czas, żeby nauczyć się czegoś nowego. -

Wskazał przed siebie. - Chodź, pomożesz mi odciągnąć kliny.

Podbiegli do kół i odciągnęli spod nich metalowe podpory, następnie Sean wbiegł pierwszy po tylnej klapie i zatrzymał się przy wejściu.

- Tu jest kontrolka rampy. - Wskazał na dźwignię w ścia

nie. - Przesuniesz ją do górnej pozycji, kiedy włączę pierwszy

silnik i zapali się to czerwone światełko. Kiedy rampa będzie

podniesiona i zablokowana, zapali się zielona lampka.

Sean zostawił go i pobiegł w stronę kabiny pilota. Szangane kręcili się niepewnie w ciemnościach po całym luku.

- Ferdinandzie! - krzyknął Sean. - Posadź ich na ławkach

i pokaż, jak się mają przypinać.

Wymacał drogę do kabiny. Znalazł drewniane skrzynie ze stingerami pośrodku luku ładunkowego między skrzydłami. Były ustawione na paletach, przymocowane do ścian i przykryte plandekami. Minął je i natrafił na drzwi do kabiny pilotów. Nie były zamknięte. Wszedł do środka i rzucił ciężką torbę na półkę pod metalowym stolikiem inżyniera pokładowego. Przez okno kabiny zobaczył, że pozorowany atak na południowy kraniec bazy trwa, ale teraz siła ognia z bazy przewyższała ostrzał partyzantów Alphonsa.

- Piąta Brygada się obudziła - mruknął pod nosem i wcisnął

się na fotel pierwszego pilota. Zapalił światła na desce rozdziel

czej. Liczba lampek kontrolnych i wskaźników wydawała się

przytłaczająca, ale Sean nie zwracał na nie uwagi.

Start herculesa był prostszy niż starego barona. Wcisnął klawisz i przejechał palcem po rzędzie kontrolki obwodów, żeby sprawdzić, czy wszystkie są włączone.

329

— Do diabła z dokładną kontrolą - zdecydował i włączył

rozrusznik pierwszego silnika. Starter zajęczał. Sean przyglądał

się, jak wskazówka mocy silnika przesuwa się wolno do góry.

— Szybciej! - mruknął. Kiedy obroty osiągnęły dziesięć procent mocy, rozrusznik automatycznie wprowadził paliwo do komory spalania i silnik zaskoczył. Sean podkręcił go do siedem dziesięciu procent, wkładając jednocześnie słuchawki radia po kładowego na głowę. - Job, słyszysz mnie?

— Słyszę cię wyraźnie.

— Podnoś rampę.

— Już się robi.

Sean czekał niecierpliwie, aż kontrolka rampy zapali się zielonym światłem. Kiedy to się stało, puścił hamulce i hercules ruszył wolno naprzód.

Sean prowadził herculesa na jednym silniku i musiał użyć przeciwnielego statecznika, żeby zniwelować siłę ciągu. Jednocześnie włączał jeden po drugim pozostałe trzy silniki, dostosowując ustawienie stateczników do zmieniającej się siły ciągu.

- Brak wiatru - mruknął. - Nie ma różnicy, w którą stronę się skierujemy.

Główny pas startowy lotniska został przedłużony, żeby sprostać wymaganiom nowoczesnych myśliwców odrzutowych, ale hercules był maszyną o właściwościach STOL, skróconego startowania i lądowania*. Potrzebował tylko części długości pasa i Sean nakierował samolot na skrzyżowanie przed wieżą lotniczą.

Jak dotąd nikt nie zwracał uwagi na herculesa. Ciężkie karabiny maszynowe przy bramie strzelały w nocne niebo. Słaba kontrola ognia była wciąż głównym problemem wojsk afrykańskich, ale poza tym nie ustępowały innym armiom.

Z drugiej strony zebrani przy południowym krańcu bazy żołnierze Trzeciej i Piątej Brygady pokazywali, co potrafią dobrze wyszkolone afrykańskie oddziały. Fale pocisków smugowych unosiły się w równych odstępach. Udało się im niemal całkowicie wyeliminować atak grupy Alphonsa. Poza kilkoma przypadkowymi pociskami moździerzowymi nie było żadnej odpowiedzi z morza ciemnych krzaków i drzew za ogrodzeniem ośrodka.

* Short take-off and landing.

Minęło zaledwie kilkanaście minut od momentu, kiedy Carlyle zaalarmował bazę, ale kontrolerzy lotów w zaciemnionej wieży zorientowali się już, że jedna maszyna usiłuje wystartować bez zezwolenia.

Hercules kołował na start z dużą szybkością. Sean zdawał sobie sprawę, że jeśli najedzie na kępę trawy na betonowym pasie, może to się skończyć poślizgiem na nosie, ale jeśli choć trochę opóźni start, to niemal na pewno zostanie podziurawiony pociskami.

- Job - powiedział do mikrofonu. - Włączę ci światło w luku, żebyś mógł sprawdzić, czy wszyscy są przypięci. Startujemy za czterdzieści sekund.

Zapalił światło w luku, żeby zapobiec panice wśród partyzantów, i przełączył radio na częstotliwość wieży. Okazało się, że wzywają go niecierpliwie.

— Air Force Hercules Victor Sierra Whisky. Podaj swoje zamiary. Powtarzam. Air Force Hercules.

— Tu Air Force Hercules Victor Sierra Whisky - odpowie dział Sean. - Proszę o zezwolenie na start w celu uniknięcia wrogiego ostrzału na ziemi.

— Sierra Whisky, powtórz swoją prośbę. Jakie są twoje zamiary?

— Wieża, tu Sierra Whisky. Proszę... - Sean wymamrotał kilka niewyraźnych słów pod nosem, jakby miał kłopoty z radiem, zmuszając wieżę do powtórzenia zapytania. Patrzył jednocześnie na wskaźnik temperatury silników. Wskazówki wydawały się nieskończenie wolno poruszać ku zielonemu polu.

— Wieża, mam kłopoty z radiem. - Sean grał na zwłokę. - Powtórzcie zezwolenie na start.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Do kabiny wszedł Job.

— Wszyscy są pozapinani i gotowi do startu! - zawołał od progu.

— Siadaj w fotelu i zapnij pasy - rozkazał Sean, nie od

wracając głowy. Wskazówki temperatury silnika dotykały już zielonego pola. Główny pas startowy szybko się zbliżał i Sean zwolnił nieco, żeby wykonać zakręt.

— Air Force Hercules. Nie masz zezwolenia na start. Powtarzam, nie dostałeś zezwolenia na start. Przerwij kołowanie
331

i skręć w pierwszą w lewo. Wróć natychmiast na postój. Powtarzam, wracaj na postój.

— Pocałujcie mnie - mruknął Sean, podciągając klapy dzie sięć stopni do góry i odkręcając koło trymera.

— Air Force Hercules. Zatrzymaj się natychmiast albo roz poczniemy ogień.

Sean włączył światła startowe i wprowadził potężną maszynę na główny pas. Samolot reagował na każdy jego ruch jak malutki dwusilnikowy beechcraft.

- Moja posłuszna ślicznotka - powiedział Sean, wiedząc, że podobnie jak kobieta każdy samolot jest łasy na pochlebstwa.

Przesunął do przodu manetkę sterowania silnikiem i w tym samym momencie ciężki karabin maszynowy za wieżą plunął ogniem.

Na szczęście hercules rozwinął już znaczną szybkość, a strzelec nie nauczył się prowadzić ognia przed celem. Strzelał w miejsce, gdzie samolot znajdował się przed chwilą. Musiał być zdenerwowany, gdyż struga pocisków poleciała za wysoko. Pierwsza seria ładunków smugowych minęła ogon herculesa.

- Ten chłopczyk powinien wziąć kilka lekcji strzelania - zauważył spokojnie Job.

Sean zawsze się zastanawiał, czy spokój, jaki przyjaciel zachowywał pod obstrzałem, jest tylko na pokaz.

Następna seria poszła niżej i przed nimi, pociski smugowe odbiły się od pasa startowego tuż przed dziobem samolotu.

- Ale szybko się uczy - dodał niechętnie Job.

Sean siedział pochylony do przodu, przesuwając prawą ręką do góry manetkę sterowania silnikiem, lewą wyczuwając drążek sterowniczy. Jednocześnie patrzył na wskazówkę szybkościomierza, która wolno posuwała się naprzód.

- Twój przyjaciel - rzucił Job, wskazując palcem przez

boczne okno.

Sean szybko się obejrzał. Wzdłuż pasa startowego jechał pełnym pędem otwarty land-rover. Przednie światła wozu zataczały szalone wzory w ciemnościach, gdy samochód podskakiwał na wybojach. Zamierzał przeciąć im drogę. Sean rozpoznał sylwetkę mężczyzny stojącego za kierowcą.

- Nie poddaje się łatwo, co? - skomentował i skoncentrował

się na prowadzeniu herculesa.

332

Carlyle musiał dorwać wóz służby wartowniczej. Stał teraz na otwartej platformie, trzymając się przymocowanego do wozu karabinu maszynowego RPD. Światła sprawiały, że jego twarz wydawała się błąda. Z zaciętą miną zmuszał kierowcę do szybszej jazdy.

- Zdaje się, że wziął to sobie do serca. - Job wychylił się

z siedzenia i patrzył z zainteresowaniem, jak Carlyle obraca

karabin maszynowy, celując w kabinę pilotów.

Kierowca land-rovera dodał gazu. Przez chwilę jechał na dwóch kołach, jakieś pięćdziesiąt metrów od samolotu i niemal równoległe do jego dziobu.

- Hej, stary - zauważył Job, potrząsając głową. - Ten

facet celuje do nas.

Carlyle zaparł się za karabinem i Sean dostrzegł pierwsze rozbłyski w ciemności. Kule posiekały szybę. Obaj mężczyźni instynktownie schylili głowy.

- Ten chłopczyk strzela lepiej od poprzedniego - mruknął

Job, ocierając palcem kroplę krwi z policzka w miejscu, gdzie

drasnął go odłamek szkła.

Sean poczuł, jak drążek sterowniczy budzi się do życia, gdy hercules zbliżył się do szybkości lotu, a skrzydła nabrały siły nośnej.

- Szybciej, kochanie - mruknął.

Carlyle wystrzelił drugą serię, lecz w tej samej chwili land-rover podskoczył na wyboju i pociski poleciały w niebo. Carlyle, złapawszy równowagę, podniósł karabin, gotując się ponownie do strzału.

- Chłoptaś szybko staje się moim najmniej lubianym boha-

terem komiksowym. - Job przyglądał się, jak Anglik nakiero-

wuje na nich broń. - W porządku, następna seria.

Ciężki karabin maszynowy przy bramie po drugiej stronie herculesa znowu otworzył ogień. Strumień pocisków kalibru 12,7 mm prześliznął się pod kadłubem samolotu i trafił w land-rovera. Kule wyrwały przednie koła. Wóz zaczął koziołkować w chmurze pyłu. Kątem oka Sean dostrzegł, jak Carlyle wylatuje w powietrze.

- Możemy pożegnać ostatniego prawdziwego bohatera -

powiedział poważnym tonem i pociągnął drążek sterowniczy do

siebie. Wielki samolot zareagował posłusznie, mierząc dziobem

w niebo.

333

Sean zgasił światła lądowania i lampy w kabinie pilota, żeby naziemni strzelcy nie mogli podążać pociskami smugowymi za wolno wznoszącym się samolotem. Wcisnął przycisk podnoszący koła i opuścił stateczniki. Nabierali szybkości. Sean położył maszynę na skrzydle, wchodząc w pierwszy wspinający się zakręt.

Struga pocisków podążała za nimi; wznosiła się wolno, przyspieszając w pobliżu kadłuba, mijając go jednak w bezpiecznej odległości. Sean wyprowadził herculesa ze skrzydła i położył go na przeciwległe skrzydło, oddalając się od lotniska.

- Chcesz, żebym puścił pawia? - spytał Job.

Sean zignorował go, sprawdzając czy kontrolki silnika nie wykazują jakichś uszkodzeń.

Wydawało się niemożliwe, żeby tak olbrzymi cel dostał tylko jedną serię z setek wystrzelonych do niego kul. Jednakże wszystkie kontrolki świeciły się normalnie i zareagowały poprawnie, kiedy Sean nastawił szybkość wznoszenia się na sto pięćdziesiąt metrów na minutę. Jedynie przednia szyba została zniszczona i wpadający ze świstem strumień powietrza rozwiewał Seanowi gęste włosy. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć szum.

- Job, idź do luku i zobacz, czy ktoś nie jest ranny. Sprawdź

przy okazji, jakie są uszkodzenia.

Na południu jaśniały światła Umtali, a za nimi Sean rozpoznawał ciemny zarys pasma gór. Pamiętał, że najwyższy szczyt ma dwa tysiące pięćset metrów wysokości. Wyrównał lot na wysokości trzech tysięcy metrów, zostawiając sobie spory zapas. Następnie sprawdził kierunek lotu.

Nie zastanawiał się wcześniej nad nawigacją, więc teraz miał poważne wątpliwości, czy uda mu się znaleźć umocnienia Chiny w Serra da Gorongosa.

- Na pewno nie są zaznaczone na żadnej mapie. - Uśmiech

nął się. - Spróbujemy zero trzydzieści na kompasie. - Na

prowadził herculesa na nowy kurs.

Czuł, jak adrenalina krąży w jego żyłach, a ustępujący strach zostawia po sobie silne oszołomienie przyprawiające go o zawrót głowy. Roześmiał się głośno, choć trochę niepewnie, poddając się władającym nim silnym uczuciom.

Ciemne szczyty gór przypominające grzbiety wielorybów na powierzchni oceanu prześliznęły się pod samolotem i zostały

334

z tyłu. Sean wyszukiwał przypadkowe punkciki światła ukryte w dolinach farmy, misje czy szałas, ale kiedy przeleciał granicę z Mozambikiem, przed nim rozciągał się jedynie nieprzenikniony mrok.

- Nic poza ciemnościami - powiedział głośno i słowa

te zabrzmiały wręcz symbolicznie. Wracali na spustoszoną

ziemię.

Sean zredukował moc i zaczął łagodnie obniżać lot nad zalesionymi równinami. Przekroczyli już pasmo gór, a utrzymując dużą wysokość, mógłby stać się łatwym celem dla radarów migów czy szukających ich hindów.

Job wrócił do kabiny pilotów i zamknął za sobą drzwi.

— Są jakieś zniszczenia? - zapytał Sean i w odpowiedzi

Job zachichotał.

— Podłoga w luku ładunkowym jest po kostki w pawiach.

Partyzantom Szangane chyba nie bardzo podoba się twój styl

latania, gdyż rzygają na wszystkie strony.

— Cudownie. - Sean wsadził rękę do kieszeni z boku fotela

i znalazł paczkę holenderskich papierosów, które należały do

pilota RAF-u.

- Zobacz, co tu mamy. - Rzucił Jobowi jednego.

Zapalili i przez kilka minut zaciągali się z przyjemnością dymem w milczeniu, zanim Job spytał:

- Jak sądzisz, ile mamy czasu, zanim migi nas dopadną?

Sean pokręcił głową.

- Migi są w Harare i nie sądzę, żeby nas dogoniły, nawet jeśli natychmiast wystartują. Nie, migami się nie martwię, ale hindy to zupełnie inna sprawa.

Znowu zapadła cisza. Patrzyli na skupiska gwiazd, które zdawały się w zasięgu ręki.

— Sean, odpowiesz mi na jedno osobiste pytanie? - Job przerwał ciszę.

— Jasne.

— Udało ci się wystartować, ale jak, do diabła, zamierzasz posadzić nas na ziemię?

Sean wydmuchnął kółko dymu, które natychmiast rozwiało się w strumieniu powietrza wpadającego przez uszkodzoną szybę.

335

- Ciekawe pytanie - zgodził się Sean. - Powiem ci, jak sam będę wiedział. Na razie pomyśl, jak znaleźć zgrupowanie Renamo, a w szczególności obóz Chiny.

Sean wyrównał lot sto pięćdziesiąt metrów nad koronami drzew i odczytawszy ustawienie manetki sterowania silnikiem z instrukcji wyrytej na desce rozdzielczej, naprowadził herculesa na lot stały.

- Jeszcze dwie godziny, zanim będzie dostatecznie dużo światła, żeby można się zacząć rozglądać za jakimś łądo wiskiem - powiedział. - Do tego czasu możemy zająć się szukaniem rzeki Pungwe.

Godzinę później dostrzegli blask wody na ciemnym dywanie lasu. Po kilku sekundach mogli już patrzeć na odbicie gwiazd na powierzchni rzeki pod nimi.

— Wracam, żeby sprawdzić, czy dobrze trafiliśmy - rzekł

Sean. Wprowadził samolot w łagodny zakręt, patrząc, jak wskazówka żyrokompasu na desce rozdzielczej przed nim obraca się o sto osiemdziesiąt stopni i wraca do normalnego położenia. - Światła lądowania - mruknął i włączył potężne reflektory. - Nawet jeśli to jest nasza rzeka, to i tak do świtu nie będziemy wiedzieć, czy lecimy w górę, czy w dół strumienia.

— No więc, co robimy?

— Pokrążymy sobie nieco - wyjaśnił Sean i wprowadził herculesa w pierwszy zakręt z niezliczonych ósemek, jakie miał wykonać w ciągu następnej godziny.

Trzymali się cały czas na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad lasem, przekraczając rzekę w tę i w tę w tym samym miejscu w oczekiwaniu na świt.

— Nie stanowimy zbyt trudnego celu dla hinda - zauważył Job.

— Przestań krakać - mruknął niechętnie Sean. - Jeśli ci się nudzi, to przejrzyj torbę naszego dzielnego kapitana. Leży pod stolikiem z mapami.

Job sięgnął po ciężką torbę, postawił ją obok fotela i usadowił się wygodnie.

- Możesz mi poczytać - powiedział Sean. - Znajdź coś, co by mnie rozerwało i pozwoliło zabić czas.

Job zaczął wyjmować po kolei teczki w czerwonej oprawie z napisem "Ścisłe tajne" i odczytywać spis treści z pierwszej strony.

336

Pierwsze trzy teczki zawierały instrukcje wyjaśniające sposoby rozmieszczenia systemu stinger SAM* we wszelkich możliwych do pomyślenia sytuacjach - od ustawienia pocisków na pokładzie okrętu do

sposobu używania ich przez piechotę w najróżniejszych strefach klimatycznych. Na kolejnych stronach były tablice oraz wykresy przedstawiające efektywność pocisków w tak różnych warunkach, jak tropikalna dżungla i Arktyka.

- Wszystko, co chciałbyś wiedzieć o stingerach, a nie śmiał

byś zapytać - zażartował Job, wyjmując czwartą teczkę. Prze

czytał tytuł:

ZDALNIE STEROWANY SYSTEM POCISKÓW

RAKIETOWYCH STINGER

Wybór i zasady atakowania celów

Raporty operacyjne

Następnie otworzył podręcznik instruktażowy na stronie zawierającej spis treści.

1. Wyspy Falklandzkie

2. Zatoka Perska, Ormuz

3. Grenada

4. Angola

5. Afganistan

Job przeczytał głośno tytuły rozdziałów i Sean wykrzyknął:

- Afganistan! Zobacz, czy mają coś na temat hindów.

Job ułożył pękatą teczkę na kolanach, ustawił lampkę nad głową tak, żeby światło padało mu na czytaną stronę, i szybko przerzucił kartki.

— Jest! Afganistan TYPY ŚMIGŁOWCÓW...

— Znajdź hindy! - przerwał mu niecierpliwie Sean.

TYPY RADZIECKICH ŚMIGŁOWCÓW BOJOWYCH W KODZIE NATO "H"

* Surface-to-air-missile (rakietowy system obrony ziemia-powietrze).

337

— O właśnie! Poszukaj hinda.

— Hare - czytał Job. - Hoplitę. Hound. Hook. Hip. Haze.

Havoc... mam! Hind.

- A teraz ogólne uwagi - polecił Sean.

Job kontynuował lekturę:

Śmigłowiec bojowy Mi-24 nazywany przez Rosjan Latającym Czołgiem (także Garbaty), w kodzie NATO oznaczony jako Hind, a wśród powstańców afgańskich znany jako Latająca Śmierć, zyskał sobie sławę, która nie jest w pełni zasłużona.

Sean przerwał mu podekscytowanym głosem.

- Brachu, mam nadzieję, że wiesz, co mówisz.

Job czytał dalej:

1. Ograniczona zdolność manewrowania, wznoszenia się i utrzymania w powietrzu jako konsekwencja ciężaru oparczenia.
2. Ograniczony zasięg lotu do 240 mil morskich przy pełnym obciążeniu ze względu na dużą masę.
3. Niska maksymalna szybkość 157 węzłów i szybkość rejsowa 147 węzłów.
4. Bardzo wysokie wymagania pod względem obsługi na ziemnej.

— Ciekawe - znowu wtrącił się Sean. - Nawet to maleństwo - poklepał deskę rozdzielczą herculesa - jest szybsze od hinda. Będę o tym pamiętał, jak natkniemy się na któregoś z tych drani.

— Chcesz, żebym czytał dalej? - zapytał Job. - Jeśli tak, to siedź cicho.

— Przyjmij moje przeprosiny, możesz czytać.

Ocenia się, że w Afganistanie posłużono się kilkuset maszynami tego typu. Śmigłowce odniosły duże sukcesy w walce z partyzantami, ale ponad sto pięćdziesiąt sztuk zostało zniszczonych przez

partyzantów uzbrojonych w pociski systemu stinger SAM. Liczby te wskazują, że raketowy system obronny stinger SAM

jest skuteczną bronią przeciwko hindom. Poniżej wyszczególnione są dane taktyczne dotyczące stosowania systemu...

Job kontynuował czytanie, podając Seanowi informacje o typach silników i ich możliwościach, rodzajach uzbrojenia hindów i różne dane liczbowe, aż w końcu Sean przerwał mu gwałtownie.

- Poczekaj, Job! - Wskazał na wschód. - Świta.

Niebo na horyzoncie szarzało, odcinając się coraz wyraźniej od ciemnej linii ziemi.

- Odłóż książkę i zawołaj Ferdinanda. Mam nadzieję, że potrafi rozpoznać, gdzie jesteśmy i poprowadzić nas do domu.

Ferdinanda poprzedzał silny smród wymiocin, a jego mundur był z przodu poplamiony. Partyzant oparł się o poręcz fotela pilota. Sean odsunął się od niego jak najdalej.

- Ferdinandzie, rozejrzyj się nieco. - Sean wskazał na okno. - Rozpoznajesz tę okolicę?

Szangane przyglądał się niepewnie rzece i lasom, mamrocząc coś niespokojnie pod nosem, gdy nagle wyraz jego twarzy się rozpozodził.

— Te wzgórza. - Wskazał na boczne okno. - Tak, poznaję je. Rzeka płynie pomiędzy nimi i tworzy wodospad.

— Z której strony jest obóz?

— Tam, z tamtej strony.

— Jak daleko?

— Dwa dni marszu.

— Jakies sto dwadzieścia kilometrów - powiedział Sean. -

Nie jesteśmy wcale tak daleko. Dzięki, Ferdinandzie. - Sean wyszedł z kolejnej ósemki i wyprostował lot nad rzeką.

W dalszym ciągu utrzymując maszyną nisko nad lasem, skierował się na zachód w stronę, którą wskazał Ferdinand. Z tyłu za nim szybko wstające słońce zabarwiło niebo na kolor intensywnie czerwony. Samolot ścigał cienie nocy ślizgające się po ciemnych wzgórzach.

Sean prowadził herculesa na wskazany przez Szangane przesmyk pomiędzy wzgórzami i sprawdził na zegarku godzinę.

- Czas na główne wiadomości afrykańskiej sekcji BBC -

oznajmił, kręcąc pokrętłami radia. Nastawił odbiornik na falę

15,400 megaherców.

339

"Tu BBC. Podajemy skrót najnowszych wiadomości. W Stanach Zjednoczonych gubernator Michael Dukakis zebrał przeważającą liczbę głosów w prawyborach w Nowym Jorku, pokonując tym samym Jessego Jacksona w walce o zdobycie nominacji na kandydata na prezydenta z ramienia Partii Demokratycznej. Wojska izraelskie zastrzeliły dwóch protestantów w okupowanej strefie Gazy. Stu dwudziestu pasażerów zginęło w katastrofie lotniczej na Filipinach. Partyzanci Renamo uprowadzili samolot transportowy Hercules należący do RAF-u z bazy wojskowej w Zimbabwie w pobliżu miasta Umtali. Rzecznik rządu oświadczył, że zarówno prezydent Mugabe, jak i prezydent Chissano wydali rozkaz zniszczenia za wszelką cenę samolotu, na którego pokładzie znajduje się transport nowoczesnej broni przeznaczonej do walki z partyzantami".

Sean wyłączył radio i spojrzał z uśmiechem na Joba.

— Nie sądziłeś, że pojawisz się kiedyś w wiadomościach

BBC, co?

— Mogę się obejść bez sławy - odparł skromnie Job. -

Zwróciłeś uwagę na to zdanie o zniszczeniu za wszelką cenę?

Hercules zbliżał się szybko do przesmyku między górami. Zrobiło się dostatecznie jasno, żeby Sean mógł dojrzeć perlistą mgiełkę w miejscu, gdzie rzeka spadała gwałtownie po czarnych skałach.

- Zbliża się! - krzyknął ostrzegawczo Job. - Nisko na

pierwszej godzinie!

Dzięki doskonałemu wzrokowi Job pierwszy zauważył wroga. Hind czekał na nich na małej polance w lesie, broniąc dostępu do wodospadu. Kiedy Sean go zobaczył, zrozumiał jasno taktykę, jaką posłużyli się Frelimo, żeby odciąć uprowadzoną maszynę od linii Renamo. W nocy, jak tylko się domyślili, w którą stronę leci, wystali klucz hindów.

Śmigłowce przeczekały noc na ziemi, aby oszczędzać paliwo. W tym czasie załogi sprawdzały na radarach i nasłuchiwały, czy nie zbliża się poszukiwany hercules.

Musieli być pewni, że pilot posłuży się rzeką przy nawigacji. Prawdopodobnie dalej w górę biegu rzeki czekały następne hindy, tworząc pas odcinający dostęp do linii Renamo. Sean, który skierował się bardziej na południe, natknął się na jednego z nich.

340

Hind wyrwał z lasu i ze spuszczonego nisko zdeformowanym dziobem, niczym Minotaur pochylający głowę do ataku, szybko wznosił się pionowo w srebrzystej mgłę śmigieł. Pokryty kamuflującymi zielonymi pasami i plamami wydawał się brzydki i jednocześnie śmiertelnie groźny.

Znajdował się pod nimi, ale wzbijał się szybko i Sean widział, że śmigłowiec powiększa się, w miarę jak obie maszyny zbliżają się do siebie. Pokładowe działko Gatling nakierowywało się już na ofiarę. Jeszcze chwila i zasypie ich śmiercionośnymi pociskami. Sean zareagował bez zastanowienia.

Przesunął wszystkie cztery manetki sterowania silnikami maksymalnie do przodu. Potężne silniki zaryczały, gdy pochylił równocześnie dziób samolotu, nurkując prosto na hinda.

Zobaczył pociski wylatujące z uchwytów pod skrzydłami śmigłowca, czarne punkty wznoszące się w otocze białego dymu. Przypomniał sobie dane, które niedawno podał mu Job. Hind był uzbrojony w dwa kierowane pociski przeciwpancerne typu AT-2 Swatter i cztery pociski kalibru 57 mm.

Sean przemknął przez tę barykadę. Pociski przeleciały w obłokach dymu obok kabiny i ujrzał śmigłowiec oddalony zaledwie

0 dwieście metrów, wznoszący się pionowo i wystrzeliwujący
kolejne rakiety.

- Trzymaj się! - krzyknął ostrzegawczo do Joba. - Sta
ranuję drania.

Ogarnęła go żądza mordowania, rozpalając mu krew w żyłach

1 odpędzając strach. Nie czuł nic poza potrzebą zniszczenia wroga.

W ostatniej chwili radziecki pilot śmigłowca domyślił się, co nieprzyjaciel zamierza. Był już tak blisko, że Sean widział rysy twarzy mężczyzny pod hełmem, śmiertelnie bladej.

Pilot przechylił śmigłowiec na bok, niemal kładąc go na plecach, żeby połączona siła śmigieł i grawitacji pozwoliła mu umknąć przed wyciągniętymi skrzydłami potężnego herculesa.

— Mam cię, skurwielu! - ryknął Sean i koniec skrzydła

samolotu wyrznął z całą siłą w ogon hinda. Siła uderzenia była

tak wielka, że Sean niemal wyleciał z pasów. Hercules zatrzęsł

się cały, opadł i straciwszy nagle szybkość, ledwo się utrzymywał

na wysokości pięćdziesięciu metrów nad lasem.

— Ruszaj się, kochanie - szepnął Sean jak do kochanki.

341

Zaciskał rękę na drążku sterowniczym, usiłując wyprowadzić samolot.

Rozwalone skrzydło zwisało smętnie, ukazując kawałki porozrywanego metalu, a korony drzew zbliżały się gwałtownie, sięgając w górę niczym setki drapieźników próbujących schwycić ofiarę.

- Leć dla mnie, kochanie - ciągnął Sean. Cztery silniki, jęcząc głośno z wysiłku, utrzymały i wreszcie uniosły lekko samolot.

Wskazówka wysokościomierza podskakiwała nerwowo do góry, pokazując, że wznoszą się z szybkością sześćdziesięciu metrów na sekundę.

— Gdzie jest hind?! - Sean wykrzyczał pytanie.

— Musiał się rozbić - odpowiedział Job.

Obaj mówili podniesionymi głosami z podniecenia, nagłego strachu i poczucia triumfu.

- Nie miał prawa znieść takiego uderzenia. - Nagle ton jego głosu się zmienił. - Nie, tam jest, wciąż leci. Mój Boże, spójrz tylko na tego drania!

Hind był poważnie uszkodzony, leciał w przechyle, tylne śmigło i statecznik miał niemal całkowicie urwane. Pilot dokładał wszelkich wysiłków, żeby utrzymać maszynę w powietrzu, i śmigłowiec rzucał się i zataczał po niebie niczym pijany.

- Nie wierzę własnym oczom! Strzela do nas! - wrzasnął Job. Przed dziobem herculesa przeleciała rakietą, zostawiając smugę dymu. - Wyrównuje lot. - Cały czas obserwował wroga przez boczne okienko. - Zawraca! Leci za nami!

Sean wznosił herculesa, cały czas kierując się jednocześnie w stronę górskiego przesmyku. Skalne ściany zdawały się ocierać o skrzydła, a pod nimi pieniała się spadająca z wysoka woda.

- Wystrzelił raketę - ostrzegł go Job.

Przed dziobem samolotu otworzył się przesmyk i Sean podniósł wysoko okaleczone skrzydło, wykonując ostry skręt.

Potężna maszyna niemal prześliznęła się po skałach, pokonując zakręt w tej samej chwili, gdy pocisk raketowy Swatter zaprogramowany na podczerwień nakierował się na promieniowanie ciepłe, wydobywające się z silnika, i wpadł za nimi w przesmyk. Hercules wszedł w zakręt z taką szybkością, że

342

Sean z trudem utrzymał dziób poziomo. Patrząc przez okno, miał wrażenie, że wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, by dotknąć skalnej ściany. Rakieta podążała cały czas ich śladem, ale w krytycznym momencie samolot zniknął z jej celownika, gdy skała odcięła źródło promieniowania.

Trafiła w ścianę, eksplodowała, wyrwijąc olbrzymie głazy i zamykając przesmyk za herculesem potężną chmurą dymu i pyłu.

Sean wyrównał lot, starając się oszczędzać uszkodzone skrzydło.

— Widzisz hinda?

— Nie... - Job przerwał, gdy dojrzał przeraźliwy kształt

wroga wyłaniający się z chmury dymu. - Tam jest!

Cała tylna część kadłuba hinda była skrzycona pod ostrym kątem i brakowało mu połowy statecznika. Maszyną zarzucało i raz za razem opadała, widać było, że wymyka się spod kontroli. Pilot musiał być dzielnym człowiekiem, zdecydowanym na utrzymanie śmigłowca w powietrzu do samego końca.

- Znowu do nas strzela! - krzyknął Job, widząc rakiety

odpadającą z uchwytów pod krótkimi skrzydłami hinda i pędzącą

w ich stronę w pióropuszu dymu. - Rozpada się! - Job patrzył,

jak tylne śmigło maszyny bojowej odpada i wylatuje korkocią

giem w górę, podczas gdy reszta wali się pionowo w dół na

drzewa, wybuchając potężnym słupem ognia i dymu. - Skręcaj

w prawo! - zawołał desperacko. Mimo że hind został unicest

wiony, jego straszliwy potomek unosił się w powietrzu, szybko

zbliżając się do nich.

Sean wprowadził samolot w ostry zakręt. Rakieta niemal ich zgubiła i poleciała prosto, ale w ostatniej chwili skorygowała kurs, zawróciła i ziejąc kłębamii srebrystego dymu, namierzyła się na silnik numer dwa.

Na krótką chwilę oślepił ich wybuch i gęsty dym, który zasłonił całą kabinę, zanim został rozwiany przez ciąg powietrza. Hercules zatrzęsł się niczym w agonii. Wybuch pocisku poderwał skrzydło, przewracając samolot do lotu poziomego i Sean starał się go utrzymać w tej pozycji.

Z przerażeniem rozejrzał się, szukając zniszczeń. Silnik znikł, zostawiając w skrzydle przeraźliwą dziurę. Był to śmiertelny

343

cios. Rozpadający się samolot pędził jak szalony rzucany niesymetrycznym ciągiem pozostałych dwóch silników. Zniszczone skrzydło zginało się pod wpływem pędu powietrza i Sean widział, że zaczyna odpadać.

Przysunął do siebie manetki sterowania silnikami, starając się zmniejszyć nacisk na skrzydło. Rozejrzał się szybko wokół i dostrzegł rzekę. Szeroką, płytką i płynącą spokojnie powyżej wodospadu. Pierwsze promienie słońca rozjaśniały korony drzew nad brzegami. Na białych łachach piachu widać było krokodyle.

Sean włączył radio pokładowe tak, żeby można go było słyszeć przez głośniki w luku ładunkowym i rzucił do mikrofonu w szangane:

- Trzymajcie się! Spadamy! - Jednocześnie przypiął się mocniej do fotela. Hercules leciał ciężko w dół, a oba skrzydła były tak zniszczone, że Sean nie wierzył własnym oczom, że wciąż się trzymają. - Zbyt szybko - mruknął do siebie. Samolot opadał niczym zerwana winda. Wylądują na nadbrzeżnych drzewach, pomyślał Sean. Wparł się nogami w podłogę na wypadek, gdyby następna operacja urwała skrzydło, i opuścił maksymalnie klapy, żeby zmniejszyć szybkość.

Hercules nie tylko się nie rozpadł, ale zareagował z ulgą na dodatkową siłę nośną i zaczął szybować z resztką dawnej elegancji. Przelecieli tak nisko nad lasem, że niemal dotknęli koron drzew. Sean wyłączył pompy paliwowe i zasilanie, żeby zapobiec pożarowi. Wzniósł dziób samolotu i patrzył, jak wskazówka szybkościomierza gwałtownie opada. W kabinie rozległo się ostre brzęczenie alarmu ostrzegającego o utracie szybkości, a po chwili włączył się ogłuszający dzwonek przypominający, że koła są wciąż schowane.

Hercules leciał na granicy utraty szybkości. Sean miał kłopoty z drążkiem sterowniczym, ale znajdowali się już nad środkiem rzeki, jakieś sześć metrów nad powierzchnią. Krokodyle ześliznęły się w popłochu z piaszczystej łachy i zniknęły pod wodą. Sean walczył z drążkiem, przesuwał go ostrożnie do tyłu.

Poczuł, jak tył samolotu ociera się o powierzchnię wody. Wskazówka szybkościomierza spadła do czterdziestu węzłów. Hercules w końcu utracił szybkość i opadł niemal pionowo do

344

rzeki. Potężna zielona fala wybuchła przed dziobem, zalewając kabinę i strumykami wdzierając się przez dziury do wnętrza.

Sean i Job polecili do przodu wyrwani z foteli, powstrzymywani jedynie pasami, a hercules wynurzył się i wolno obrócił bokiem pod prąd.

- Wszystko w porządku?! - zawołał Sean.

W odpowiedzi Job odpiął pasy i wyskoczył z fotela.

Kiedy Sean podniósł się, poczuł, jak podłoga unosi się pod kątem pod stopami. Przez okno zobaczył, że hercules płynie z prądem, utrzymywany na powierzchni przez puste baki paliwowe i powietrze uwięzione w kadłubie.

- Idziemy! - Poprowadził Joba do luku ładunkowego, gdzie

na pierwszy rzut oka było widać, że skrzynki ze stingerami stoją

bezpiecznie przymocowane do ścian.

Dwóch Szangane odniosło rany, a pozostałych ogarnęła panika. Ranni jęczeli głośno, jeden z nich wił się na zarzyganej podłodze, ze złamanej ręki wystawał ostry koniec kości.

Sean odkręcił koło blokujące na pokrywie luku i otworzył kopnięciem małe drzwiczki. Natychmiast rozwinął się nylonowy balon służący do ewakuacji i niczym długi, żółty jęzor opadł na powierzchnię wody.

Sean wychylił się przez drzwiczki. Prąd znosił ich na kolejną łacę. Oceniał, że woda nie może w tym miejscu sięgać wyżej niż do ramion, gdyż wyraźnie widział żółte dno.

— Ferdinandzie! - Sean wywołał go z tłumu spanikowanych

Szangane. - Tędy, wyprowadź ich! - Zobaczył, że Ferdinand

zachował przytomność umysłu i szybko wziął się do uspokajania

pięściami wystraszonych partyzantów, popychając ich w stronę

wyjścia.

— Job, pokaż im, jak się to robi - polecił Sean. - Zbierz

ich na dole i pchajcie samolot na tę łacę.

Job złożył ramiona na piersiach, wyskoczył i zjechał do wody niczym na zjeżdżalni. Wynurzył się szybko na powierzchnię i stanął. Woda sięgała mu do pach. Natychmiast zaczął brnąć ku kadłubowi, żeby zepchnąć go na mieliznę.

Jeden po drugim partyzanci zjeżdżali do wody i na dole Job objął nad nimi dowództwo. Kiedy ostatni Szangane wydostał się z samolotu, Sean również zjechał do rzeki.

Temperatura wody była tylko o kilka stopni niższa od temperatury ciała. Gdy Sean wynurzył się na powierzchnię, zobaczył, że partyzanci przesuwają wolno kadłub samolotu w stronę brzegu. Przyłączył się do nich i z wolna grunt pod ich nogami zaczął się podnosić, a woda opadła do pasa.

Hercules zaczął ocierać się korpusem o dno i po chwili zarył ciężko w piachu. Partyzanci powlekli się na brzeg i pokładli na ziemi. Na ich twarzach rysowało się zmęczenie i przygnębienie wywołane strachem i wysiłkiem.

Sean rozejrzał się wokoło, starając się ustalić ich położenie, by zaplanować dalsze kroki. Samolot osiadł na mieliźnie tak wysoko, że jedynie dno luku mogło znaleźć się pod wodą. Mógł być spokojny, że stingery nie zostaną zalane, co niechybnie uszkodziłoby delikatne układy scalone.

Prąd zniósł ich pod stromy brzeg, na który letnie przypiływy naniósł martwe drzewa i gałęzie wyrzucone przez fale na piach.

— Musimy się spieszyć. - Sean zwrócił się do Joba. -

Prawdopodobnie hind zdążył nadać sygnał do reszty jednostek i wkrótce przylecą, żeby nas wykończyć.

— Co masz zamiar robić?

— Najpierw wyładujemy stingery - odparł Sean. - Zbierz ludzi.

Kiedy Sean wspiał się na pokład samolotu, zorientował się, że hydrauliczne siłowniki podnoszące klapę luku działają także na baterie, i opuścił tylną rampę na piach.

Na każdej skrzynce była wypisana ołówkiem jej waga: 68 kg.

- Nie są takie ciężkie - powiedział Sean. - Dwóch ludzi do jednej skrzyni - rozkazał.

Sean i Job umieszczali skrzynie na ramionach szybko zmieniających się par żołnierzy. Obładowani partyzanci zbiegali po rampie na łachę i wbiegali po stromym brzegu pomiędzy drzewa. Ferdinand nadzorował układanie skrzynek, które następnie przykrywano gałęziami i wyrzuconym przez wodę drewnem.

Potrzebowali dwudziestu minut, żeby rozładować luk. Sean robił się coraz bardziej niespokojny. Kiedy wreszcie ostatnia skrzynka została wyniesiona z samolotu, podbiegł do wyjścia i rozejrzał się po niebie, nasłuchując, czy nie dobiegnie go narastający jęk śmigieł i ryk silników.

346

— Dobra passa może się skończyć w każdej chwili - po

wiedział do Joba. - Musimy jak najszybciej pozbyć się herculesa.

— A jak chcesz to zrobić, zagrzebiemy go czy co? - zapytał sarkastycznie Job.

W przednią przegrodę samolotu był wbudowany dźwig służący do wciągania na pokład ładunków. Kierowani wskazówkami Seana czterej Szangane wyciągnęli stalową linę dźwigu i na nadmuchiwanej tratwie ratowniczej przewieźli ją na drugi brzeg, gdzie jej koniec przywiązali do dużego drzewa.

W tym samym czasie Sean i Job przeszukali samolot, zabierając sprzęt, który mógł im się przydać: od apteczki aż po zapasy kawy i cukru. Sean był zadowolony, bo apteczka okazała się dobrze wyposażona, zawierała między innymi spory zapas antybiotyków i środków przeciw malarii. Podał ją jednemu z Szangane, a sam pobiegł na rampę.

Tratwa już wracała, a nad samolotem zalegała cisza. Na horyzoncie nie było widać zagrożenia. Wiedząc, że fortuna kołem się toczy, Sean wolał o tym nie myśleć.

- Wyszadź wszystkich na brzeg! - polecił Jobowi i pobiegł do panelu kontrolnego dźwigu.

Przesunął dźwignię do góry, lina się napięła i ciężki kadłub herculesa, który osiadł mocno na piachu, zadrżał i zakołysał się. Z wolna samolot zaczął przesuwac się na głębszą wodę.

Gdy tylko zakołysał się na powierzchni, Sean zamknął tylną rampę, żeby zapobiec zbyt szybkiemu zatopieniu maszyny, i wyprowadził ją na środek rzeki, gdzie prąd był silniejszy. Kiedy nurt uniósł herculesa i lina się napięła, Sean wziął nożyce do cięcia metalu z półki przy dźwigu i przeciął ją. Wrak ruszył niesiony prądem w dół rzeki.

Sean odciął z plecionej liny kawałek metrowej długości, a stalowe druty same rozwinęły mu się w rękę. Zwinął trzy oddzielne linki w ciasne pętle i schował je do tylnej kieszeni spodni. Później Job będzie mógł dorobić do nich rękojeści z drewna. Garota była ulubioną cichą bronią Zwiadowców i Seanowi brakowało tego śmiertelniegroźnego narzędzia, które wyrzucił razem z plecakiem w czasie wspinaczki na skarpe. Skoncentrował się na samolocie.

- Baki są niemal puste - mruknął do siebie, patrząc, jak

347

samolot wolno sunie wzdłuż brzegu. - Powinien spokojnie dołynąć do wodospadu. - Postanowił zostać na razie na pokładzie i przepłynął niesiony prądem następane trzy kilometry.

Żeby nie marnować czasu, poprzecinał nożycami rurki hydrauliczne i przewody paliwowe, które biegły wzdłuż sufitu luku. Z przedziurawionych przewodów wypłynęła mieszanina płynu hydraulicznego i awturu, tworząc na podłodze oleiste kałuże. Usatysfakcjonowany, że zrobił wszystko,

aby zmylić pogoń, Sean stanął w bocznych drzwiczkach i wyrwał zawleczkę z granatu zapalającego, który wziął wcześniej od Ferdinanda.

- Dzięki, staruszko - powiedział do maszyny. - Byłaś cudowna. Mogę ci jedynie podziękować, urządzając odpowiedni pogrzeb. - Cisnął granat za siebie w głąb luku i wyskoczył głową w przód do wody. Wynurzył się na powierzchnię i zaczął płynąć szybko krytym kraulem, starając się odsunąć od siebie wyobrażenie wielkich krokodyli wygrzewających się na brzegu.

Usłyszał za sobą stłumiony wybuch granatu, ale płynął z całych sił dalej, nie oglądając się. Wreszcie poczuł grunt pod nogami. Hercules był już pół kilometra dalej, płonąc jasnym ogniem, ale wciąż utrzymując się na powierzchni. Z czeluści maszyny wyływały czarne, tłuste kłęby dymu i wzbijały się wysoko ku niebu.

Sean przebrnął ostatnie kilka metrów do brzegu i wspiął się nań na czworakach.

Kiedy usiadł, dysząc ciężko, dobiegł go znajomy i zniechęcony odgłos śmigieł i silników turbinowych. Odgłos szybko narastał. Słup czarnego dymu wydobywający się z herculesa musiał być znakiem, który przyciągnął hinda. Pewnie był widoczny co najmniej w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

Sean nabrał garść mułu. Posmarował sobie nim twarz i nagie ręce. Wsunął się w krzaki porastające nadbrzeże i patrzył, jak śmigłowiec wyłania się zza drzew, a potem zatacza szerokie koło sześćdziesiąt metrów nad płonącym wrakiem niczym wampir czyhający na zdobycz.

Ogień objął zbiornik z paliwem. Hercules wystrzelił płomieniami, rozlatując się na kawałki, które szybko zasiały powierzchnię rzeki. Jęzory ognia zamieniły się w parę w zetknięciu z wodą.

Hind krążył nad rzeką jeszcze przez pięć minut, najpewniej szukając rozbitków. Nagle wzbił się wysoko, skierował dziób na

348

południe i szybko się rozplątał na niebieskim bezmiarze bezchmurnego nieba.

Ograniczony zasięg lotu, dokładnie jak facet pisał. Sean wyszedł z kryjówek. Teraz wróć do domu, jak przystało na porządnego Ruska, i zgłoś, że cel został zniszczony. Możesz pocieszyć Bobby'ego Mugabe, że jego cenne stingery nie wpadną w nieodpowiednie ręce.

Wyjął z kieszeni paczkę holenderskich papierosów, ale przemoczone kartonowe opakowanie rozpadło mu się w dłoniach. Wyrzucił je do rzeki.

- Najwyższy czas, żebym skończył z paleniem - westchnął

i ruszył wzdłuż brzegu w górę rzeki.

Kiedy dotarł do oddziału, Job zajmował się dwoma rannymi Szangane.

— Ten ma kilka złamanych żeber i pęknięty obojczyk. - Job

skończył bandażować pacjenta i wskazał na drugiego rannego. -

Tego zostawiłem dla ciebie.

— Dziękuję za uznanie - mruknął niechętnie Sean, oglądając

złamane ramię. - Nie wygląda to najpiękniej.

— Ładnie to określiłeś - zgodził się Job. Co najmniej pięć centymetrów kości ramiennej wystawało z pokrytej ciemną krwią rany. Nad skrzepami unosiły się z bzyczeniem metalicznoniebieskie muchy. Sean odgonił je machnięciem ręki.

— Co zrobisz do tej pory?

— Dałem mu garść proszków przeciwbólowych z apteczki.

— To powinno oszołomić nawet bawołu. - Sean skinął głową. - Znajdź mi kawałek nylonowej linki i dwóch najsilniejszych Szangane.

Ramię skurczyło się mocno i trzeba było je naciągnąć, żeby złożyć złamane końce razem. Zawiązał linkę wokół nadgarstka rannego i dał jej końce dwóm mężczyznom.

- Kiedy powiem ciągnijcie, to macie ciągnąć z całej siły, jasne? - rzekł. - Dobra, Job, przytrzymaj go.

Wykonywali już wspólnie taką operację, i to nawet często. Job usiadł za rannym, otoczył go rękami i zacisnął uścisk na piersiach.

- Będzie bolało - Sean przestrzegł rannego i spojrzął na linę. - Ciągnąć!

349

Mężczyźni zaparli się z całej siły.

Ranny partyzant otworzył szeroko oczy, a skórę pokryły gęsto krople potu.

- Mocniej! - warknął Sean.

Ramię zaczęło się wydłużać. Ostre końce złamanej kości znikły w ciele. Ranny Szangane zacisnął z całej siły zęby, zgrzytając nimi, żeby nie krzyknąć z bólu. Ostry dźwięk przypominający pocieranie

dwóch kawałków szkła przejął Seana dreszczem. Kość wskoczyła na swoje miejsce w spuchniętej ranie i Sean usłyszał, jak oba końce układają się z trzaskiem wewnątrz.

- Dobra! Tak trzymać! - zawołał i sprawnie nałożył po obu stronach złamania łubki z apteczki, przytwierdził je plastrem, zaciskając silnie, choć nie na tyle, żeby odciąć dopływ krwi, i skinął głową Ferdinandowi. - Puszczajcie, tylko powoli.

Obaj Szangane wolno zmniejszali napięcie linki. Łubki utrzymały się w miejscu.

— Kolejny przełom w chirurgii - mruknął Job. - To była bardzo elegancka i wyrafinowana operacja, doktorku.

— Możesz chodzić? - Sean zwrócił się do rannego. - Czy mamy zanieść cię do obozu?

— Oczywiście, że mogę chodzić. - Żołnierz był oburzony. - Myślisz, że jestem jakąś babą?

— Gdybyś był, to zażądalibyśmy za ciebie najwyższej ceny. -

Sean uśmiechnął się do niego i wstał z ziemi. - Przyjrzyjmy się łupom - zaproponował Jobowi. Mieli pierwszą okazję, żeby obejrzeć zawartość ładunku.

Pod rozłożystymi gałęziami afrykańskiego mahoni ułożono trzydzieści pięć skrzyń. Wraz z Ferdinandem i czterema innymi Szangane ustawili je w rzędach według zawartości wypisanej ołówkiem na pokrywach.

Trzydzieści trzy skrzynie, każda o wadze sześćdziesięciu ośmiu kilogramów, były oznaczone następująco:

SYSTEM ZDALNIE STEROWANYCH POCISKÓW

RAKIETOWYCH STINGER

1 UCHWYT Z ANTENĄ

1 WYSZUKIWACZ

5 ZAŁADOWANYCH WYRZUTNI

— To daje Chinie sto sześćdziesiąt pięć strzałów, a po strą
cieniu dzisiejszego hinda zostaje eskadra złożona z jedenastu
maszyn - wyliczył Job. - Dla mnie wygląda to całkiem nieźle.

— Biorąc pod uwagę, jak niektórzy z jego zuchów strzelają,
będą mu potrzebne wszystkie - zauważył Sean, ale po spojrzeniu
na następną skrzynię wyraz pesymizmu ustąpił z jego twarzy. -

No, no! Tutaj mamy coś do szkolenia!

Na jednej z dwóch pozostałych skrzyń widniał napis:

SYSTEM ZDALNIE STEROWANYCH POCISKÓW RAKIETOWYCH STINGER ZESTAW TRENINGOWY M 134
SYMULATOR

- To uczyni cię życie znacznie łatwiejszym - zgodził
się Job.

Zdobyte podręczniki wyjaśniały posługiwanie się systemem ćwiczebnym, który pozwalał
instruktorowi monitorować sposób celowania ucznia w czasie symulowanego strzału. Ktokolwiek
miał uczyć oddziały Renamo posługiwania się tym sprzętem, będzie miał ogromne ułatwienie.

Kiedy jednak obejrzał ostatnią, najmniejszą skrzynkę, Sean dopiero wówczas uświadomił sobie, jak
cenny łup zdobyli. Na pokrywie była informacja:

SYSTEM ZDALNIE STEROWANYCH POCISKÓW RAKIETOWYCH STINGER OPROGRAMOWANIE
ZMODYFIKOWANE

- O kurczę! - Sean aż zagwizdał. - Zdobyliśmy wszystko,
nie zwykły system, ale cholerny, kompletny zestaw!

- Obejrzyjmy to sobie! - Job był równie podniecony.

Sean zawahał się jak dziecko mające pokusę obejrzeć prezenty

przed Gwiazdką. Spojrzał na niebo, rozglądając się za hindami i myśląc jednocześnie, jak dziwnie
łatwo przejął ten zwyczaj od Szangane.

- I tak nie możemy wyruszyć przed zapadnięciem zmroku.

Mamy do zabicia mnóstwo czasu - zdecydował i wyciągnął
bagnet zza pasa Ferdinanda.

Delikatnie podważył wieko skrzyni i zdjął przykrywający zawartość styropian. Dyskietki znajdowały się w specjalnym plastikowym opakowaniu. Przesunął zatrzaski na wieku i otworzył pudełko. Kilkadziesiąt pokolorowanych według specjalnego kodu dyskietek w przezroczystych kopertach i ułożonych w przegródkach. O tym oprogramowaniu czytali w materiałach zabranych Carlyle'owi.

- Przynieś instrukcje - polecił Jobowi.

Kiedy Job wrócił z torbą, usiedli przed skrzynką i zaczęli wertować gruby tom zawierający opis działania systemu.

- Mam! System atakowania hindów! Dyskietka koloru czerwonego, numer S czterdzieści dwa A.

W tym systemie rakiety Stinger mogły być zaprogramowane do atakowania różnych celów na podstawie znanych taktyk i częstotliwości charakterystycznych dla danego typu śmigłowca. Wystarczyło włożyć odpowiednią dyskietkę do konsoli wyrzutni, żeby pocisk zmienił technikę ataku.

- "Dyskietka z oprogramowaniem numer S.42.A - Job czytał z podręcznika, przesuując palcem wzdłuż tekstu -jest przeznaczona do atakowania śmigłowców bojowych typu Hind. System posługuje się "dwukolorowym" celownikiem, który w kolejnych fazach reaguje na promieniowanie podczerwone i ultrafioletowe. W pierwszej fazie ataku pocisk nastawia się na emisję w podczerwieni gazów spalinowych z silnika.

Tłumiki śmigłowca Hind wydalają gazy spalinowe przez potężnie opancerzone wyloty znajdujące się pod kadłubem. Trafienia rakiet w tę część śmigłowca okazały się nieefektywne.

Modyfikacja oprogramowania S.42.A automatycznie przestawia system naprowadzający stingera na poszukiwanie promieniowania ultrafioletowego, kiedy pocisk zbliży się do celu na odległość stu metrów. Promieniowanie ultrafioletowe wydobywa się z otworów wlotu powietrza do silników turbinowych Isotow TV3-117MT. Jest to jedyna część śmigłowca niewystarczająco opancerzona i trafienia w ten punkt zaowocowały stuprocentową eliminacją wrogich maszyn.

W celu osiągnięcia efektywnego przestawienia się systemu na promieniowanie ultrafioletowe pocisk musi być wystrzelony z pozycji niższej, bezpośrednio przed śmigłowcem, z odległości

352

nie większej niż tysiąc metrów i nie mniejszej niż sto pięćdziesiąt".

Job zaniknął energicznie podręcznik.

- Bingo! - zawołał. - China dostanie o wiele więcej, niż mógł oczekiwać.

Mieli trzydzieści pięć ciężkich skrzyń i tylko dwudziestu ludzi do ich niesienia, wliczając w to Seana i Joba. W tej sytuacji Sean postanowił pozostawić większość skrzyń w dobrze ukrytym miejscu. Jak tylko dotrą do linii Renamo, wyśle odpowiednią liczbę ludzi, którzy przeniosą je do obozu.

Zabrawszy ze sobą tyle zdobytej broni, ile tylko zdołali udźwignąć, a także sprzęt ćwiczebny i oprogramowanie, ruszyli wzdłuż brzegu rzeki Pungwe zaraz po zapadnięciu ciemności. Maszerowali przez całą noc, czekając na kontakt z wysuniętymi posterunkami Renamo.

Rozciągnięta kolumna, której marsz spowalniał ciężki bagaż, zdołała przejść zaledwie dwadzieścia kilometrów do świtu. W ciągu nocy zmieniła się pogoda i silny wschodni wiatr przyniósł ze sobą niskie chmury. Gęsty kapuśniaczek dobrze skrywał ich przed hindami. Sean zdecydował, że mogą maszerować cały dzień.

O zmierzchu zatrzymali się na kilkugodzinny odpoczynek. Żołnierze usiłowali skryć się przed deszczem pod drzewami. Kiedy Sean poderwał ich na nogi, ruszyli błotnistą ścieżką, ślizgając się w mule i klnąc zawzięcie. Godzinę po pierwszej zorzy przesiąknięte mundury zaczęły silnie parować w promieniach słońca.

Dwie godziny później wpadli w zasadzkę.

Maszerowali wzdłuż brzegu rzeki przez sawannę. Pomiędzy niskimi akacjami o spłaszczonych koronach rosły przypadkowe kępy wysokiej trawy.

Sean usłyszał metaliczny trzask odwodzonego bezpiecznika w karabinie maszynowym i zanim jeszcze zrozumiał, co to za dźwięk, padł na ziemię, wykrzykując jednocześnie ostrzeżenie. W tym samym momencie zobaczył rozbłyki z luf karabinowych tańczące w trawie niczym diabelskie ogniki zaledwie trzydzieści kroków przed nim. Jedna z kul zaświstała mu nad głową, zmuszając go do wtulenia twarzy w piasek.

353

Przetoczył się w lewo, żeby zmylić strzelca, i strzelając na oślep z karabinka AKM, drugą ręką szukał granatu przy pasie.

Miał już go cisnąć, kiedy leżący za nim Ferdinand zawołał coś głośno po portugalsku i strzelanina z przodu zelżała, by po chwili zamilknąć. Z gęstej kępy wysokiej trawy padła odpowiedź na wezwanie i Ferdinand zaczął krzyczeć w języku szangane:

- Przerwać ogień! Przerwać ogień! Renamo! Renamo!

Zapadła długa, pełna podejrzeń cisza, w czasie której Sean

trzymał granat w pogotowiu. Widział już wielu żołnierzy, którzy zginęli od kul, gdy odpowiedzieli na fałszywe pojednanie.

- Renamo! - rozległo się z przodu. - Przyjaciele!

- Dobra! - odkrzyknął Sean w szangane. - Wstańcie,

Renamo, i pokażcie nam swoje śliczne przyjacielskie twarze.

Ktoś się roześmiał i przed Seanem wyłoniła się z trawy uśmiechnięta, czarna twarz ocieniona czapką w barwach maskujących, by zaraz znowu skryć się w gęstwinie.

Po kilku sekundach, kiedy nie padły żadne strzały, z kryjówki podniósł się mężczyzna i po nim następny. Szangane Seana także powstali z ziemi i ruszyli do przodu, z początku ostrożnie, z bronią wycelowaną w niespodziewanych gości, ale kiedy znaleźli się na otwartym terenie, zaczęli wymieniać uściski wśród ogólnego śmiechu i poklepywania się po plecach. Okazało się, że weszli na sektor strzeżony przez batalion majora Takawiry. Major rozpoznał Seana. Z radością wymienili uściski.

— Pułkownik Courtney! Co za ulga widzieć pana przy życiu!

BBC i radio Zimbabwe podały, że pański samolot został ze strzelony i wszyscy pańscy ludzie zginęli.

— Potrzebuję pomocy, majorze - przeszedł do rzeczy Sean. -

Zostawiłem dwadzieścia skrzyń z bronią w lesie. Proszę, aby pan posłał po nie stu ludzi. Mój człowiek zaprowadzi ich do kryjówki.

— Wyślę najlepszych żołnierzy. Sam ich wybiorę - zapewnił go Takawira.

— Jak daleko jesteśmy od obozu generała Chiny? - zapytał Sean.

— Śmigłowce zmusiły go do cofnięcia się. Nowe dowództwo znajduje się dziewięć kilometrów stąd, w górę strumienia. Właśnie rozmawiałem z nim przez radio. Generał bardzo się o pana niepokoi.

Wieści o zwycięstwie szybko rozeszły się wzdłuż linii Renamo

354

i dalsza droga zmieniała się w triumfalny pochód. Żołnierze w kamuflujących mundurach otaczali ich ze wszystkich stron, wymieniając uściski wśród radosnych zawołań i poklepując Szangane Seana po plecach. Partyzanci nieśli skrzynie z taką dumą, jakby dźwigali Arkę Przymierza, a sami byli najwyższymi kapłanami. Wszyscy śpiewali pieśni wojenne Renamo.

Generał China czekał już na nich przed wejściem do nowego schronu ubrany w świeżo wyprasowany mundur i brązowy beret naciągnięty na jedno ucho.

— Wiedziałem, że mnie pan nie zawiedzie, pułkowniku. - Po raz pierwszy Sean miał wrażenie, że uśmiech Chiny jest szczery.

— Straciliśmy prawie trzydziestu ludzi sierżanta Alphonsa - oznajmił szorstko Sean. - Musieliśmy ich zostawić.

— Nie, nie, pułkowniku! - Generał China poklepał go po ramieniu, okazując w ten sposób niespodziewanie dobrą wolę. - Oddział Alphonsa wyostał się bezpiecznie. Stracili tylko trzech ludzi w drodze do misji St Mary. Właśnie kontaktowałem się z nimi przez radio. Najpóźniej jutro wieczorem dotrą do naszych linii. Cała operacja jest jednym wielkim sukcesem, pułkowniku. - Zdjął rękę z ramienia Seana. - Zobaczmy teraz, co pan mi przyniósł.

Czarny Cezar biorący łupy, pomyślał ironicznie Sean.

- Otwórzcie skrzynie! - rozkazał promieniejący China.

Sean nie podejrzewał, że ten tak zimny i zamknięty w sobie

mężczyzna może zachowywać się jak dziecko. Chichotał z podniecenia i zacierał ręce, patrząc, jak kilku młodszych oficerów zabiera się z łomami i bagnetami do otworzenia pierwszej skrzyni. Stalowe wzmocnienia nie ułatwiały im pracy.

W końcu China stracił cierpliwość, odepchnął oficerów i wyrwawszy jednemu z nich łom z ręki, sam wziął się do pracy. Pocił się przy tym porządnie z podekscytowania i wysiłku. Kiedy wreszcie udało mu się otworzyć wieko, sztab nagroził go służalczymi gratulacjami.

Wyrzutnia rakiet Stinger była złożona i załadowana. Wyszukiwacz IFF * zapakowano oddzielnie w plastikową kopertę. Można go było bez trudu podłączyć do wyrzutni za pomocą krótkiego kabla z konsolą. Cztery zapasowe tuby z pociskami leżały obok

* Identification Friend or Foe - system odróżniania wroga od sojusznika.

355

zapakowane w styropian. Po wystrzeleniu pocisku wystarczyło zdjąć zużytą tubę i włożyć na jej miejsce nową.

Śmiechy i okrzyki szybko ucichły. Sztab generała podszedł do skrzyni, oglądając jej zawartość z ostrożnością, z jaką człowiek zazwyczaj zbliża się do schowanego pod kamieniem gniazda skorpionów, z którego w każdej chwili może wyłonić się uzbrojony w kolec ogon.

Generał China uklęknął na jedno kolano i ostrożnie wyjął wyrzutnię.

Sztab patrzył w niemym podziwieniu, jak dowódca zakłada broń na ramię. Tuba z pociskiem wystawała mu daleko za plecy, a konsola z anteną niemal całkowicie zasłaniała twarz. China przyglądał się małemu ekranowi celownicemu, wyszukując palcem spust.

Wycelował stingera w niebo i sztab oficerów zaczął zachęcać go okrzykami podziwu.

— Teraz Frelimo może wysłać henshaw - powiedział z siłą

China. - Zniszczymy je co do jednego. - Podekscytowany

zaczął wydawać odgłosy naśladujące dźwięk śmigłowca i strzały

z karabinu maszynowego niczym chłopczyk bawiący się w wojnę,

kierując wyrzutnię w coraz to nowe wymyślane hindy. -

Pu! Pu! - krzyczał. - Szuuu! Siuuu! Boom!

— Pa-bach! - Sean przyłączył się do zabawy z zupełnie

poważną miną.

Sztab generała wył z radości, prześcigając się w naśladowaniu odgłosów wybuchających i roztrzaskujących się śmigłowców.

Ktoś zaczął śpiewać, a za nim wszyscy podjęli refren, wybijając rękami i nogami takt hymnu bojowego Renamo.

Po chwili pieśń śpiewało dwustu żołnierzy. Ich połączone głosy unosiły się i opadały w pięknej afrykańskiej melodii, od której Sean dostał gęsiej skórki na ramionach. Generał China stał pomiędzy żołnierzami, z wyrzutnią na ramieniu, dyrygując chórem. Jego głos wznosił się nad pozostałe, zdumiewając swoją czystością i siłą. Śpiewał wspaniałym tenorem, którego nie powstydziliby się niejeden sławny śpiewak operowy.

Pieśń skończyła się potężnym rykiem "Renamo!" i twarze partyzantów rozjaśnił płomień patriotycznego zapału.

W tym nastroju trudno będzie ich zwyciężyć, pomyślał Sean, patrząc, jak China przekazuje wyrzutnię jednemu z oficerów.

— Moje gratulacje, pułkowniku. - China był wyraźnie szczęśliwy i pełen dobrej woli. - Myślę, że ocalił nas pan od klęski. Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

— Bardzo mi miło, generale. - W głosie Seana odezwała się ironia. - Zamiast mówić mi o wdzięczności, może zechciałby ją pan okazać.

— Oczywiście, proszę mi wybaczyć. - China znakomicie udawał skruchę. - W całym tym zamieszaniu zapomniałem, że pewna osoba czeka na pana z utęsknieniem.

Sean poczuł, jak jego oddech przyspiesza i coś ściska mu pierś.

— Gdzie ona jest?

— W moim bunkrze, pułkowniku. - Generał China wskazał na starannie zamaskowane wejście do schronu ukrytego wśród drzew.

Sean przepchnął się przez szeregi podekscytowanych żołnierzy. Kiedy doszedł do wejścia do schronu, z trudem nad sobą panował. Zbiegł w dół, po trzy schodki naraz.

Claudia znajdowała się w pomieszczeniu radiowym. Siedziała na ławce pod ścianą między dwoma strażniczkami. Sean wymówił jej imię. Dziewczyna podniosła się wolno z ławki, patrząc na niego z niedowierzaniem i gwałtownie blednąc na twarzy. Kości policzkowe zdawały się grozić przebicciem naciągniętej, niemal przezroczystej skóry, a oczy były wielkie i ciemne jak bezksiężycowa noc.

Zbliżając się do niej, Sean zobaczył ślady na jej nadgarstkach, głębokie pręgi pokryte świeżymi strupami, i nagła fala gniewu zmąciła jego radość. Wziął Claudię w ramiona. Była tak krucha i delikatna, że poczuł się, jakby obejmował dziecko. Przez chwilę stała nieruchomo w jego objęciach, by zaraz rzucić mu się na szyję, tuląc się do niego całym ciałem. Sean był zdziwiony jej siłą, a kiedy przycisnął jej twarz do ramienia, dziewczyna zanosła się spazmatycznym płaczem.

Stali tak nieruchomo, wtuleni w siebie przez długi czas, aż Sean poczuł, jak koszula na piersiach nasiąka od łez.

- Proszę, kochanie, nie płacz.

Delikatnie ujął jej twarz w obie dłonie, podniósł do góry i otarł kciukami mokre policzki.

- To dlatego, że jestem taka szczęśliwa - mówiła, uśmiechając się przez łzy. - Jesteś ze mną i nic więcej się nie liczy.

Podniósł jej ręce do ust i ucałował czule liczne zadrapania na nadgarstkach.

- Nie mogą już mnie zranić, nie przy tobie - szepnęła.

Sean odwrócił głowę, by spojrzeć na dwie umundurowane strażniczki.

- Wasze matki pieprzyły się ze śmierdzącymi, żrącymi gównami - powiedział cicho w szangane. Kobiety aż skurczyły się na tę obelgę. - Won! Jazda stąd, zanim wytnę wam cipy i rzucę je sępom na pożarcie.

Strażniczki się zaczerwieniły, ale dalej siedziały nieruchomo ze spuszczoneymi głowami. Kiedy Sean położył rękę na kolbie pistoletu, natychmiast zareagowały, podrywając się z ławki i czmychając do wyjścia.

Odwrócił się znowu do Claudii i pocałował ją w usta. Pocałunek zdawał się trwać całą wieczność. Kiedy oderwali się od siebie, Claudia szepnęła:

- Gdy zdjęli mi kajdanki i pozwolili się umyć, wiedziałam, że wkrótce wrócisz.

Jej słowa przywiodły ze sobą obraz cierpień i poniżeń, przez które przeszła, i Sean odparł z zapiekłą nienawiścią:

— Drań jeden. Postaram się, żeby pocałował tego, co ci zrobił.

Obiecuję ci to.

— Nie, Sean. To już nie ma znaczenia. Skończyło się. Jesteś

my znowu razem i jedynie to się liczy.

Mieli tylko kilka minut dla siebie, zanim do pomieszczenia wszedł promieniejący China, a za nim cały dumny sztab.

China wprowadził Seana i Claudię do swojego gabinetu, nie zwracając najmniejszej uwagi na nieprzyjazny chłód, z jakim spotkała się jego gościnność. Oboje usiedli obok siebie przed biurkiem, trzymając się za ręce i nie odpowiadając na jego grzeczności.

— Przygotowałem dla was kwatery - oznajmił China. -

Wyeksmitowałem nawet jednego z moich wyższych oficerów.

Dostaniecie jego schron. Mam nadzieję, że będzie wystarczająco wygodny.

— Nie zabawimy tu długo, generale - odparł Sean. - Najpóźniej jutro rano chcielibyśmy wyruszyć do domu.

— Pułkowniku, chciałbym, żeby czuł się pan moim honoro-
358

wym i uprzywilejowanym gościem. Z pewnością zasłużył pan na zwolnienie. Niestety, ze względów czysto wojskowych ten szczęśliwy moment musi być przełożony o kilka dni. Oddziały Frelimo rozpoczęły nową ofensywę.

Chcąc nie chcąc Sean musiał się z nim zgodzić.

— W porządku, ale do czasu uwolnienia oczekujemy najlepszego traktowania. Panna Monterro potrzebuje nowego ubrania.

— Dopilnuję, żeby przysłano do waszej kwatery najlepsze ubrania, jakimi dysponujemy. Niestety, nie mogę wam obiecać ciuchów od Calvina Kleina czy Gucciego.

— Jeżeli już o tym mówimy, będziemy także potrzebować odpowiednich służących, którzy praliby nasze rzeczy i zajęli się gotowaniem.

— Pułkowniku, nie zapomniałem o pańskim kolonialnym pochodzeniu - odpowiedział chytrze China. - Jeden z moich ludzi był kucharzem w hotelu President w Johannesburgu i zna się na europejskim guście.

Sean wstał.

— Obejrzymy teraz naszą kwaterę.

— Mój człowiek odprowadzi was - zaproponował China. -
Jeśli czegokolwiek będziecie potrzebować, możecie mu o tym powiedzieć. Otrzymał ode mnie wyraźny rozkaz, żeby zapewnić

wam wszelkie możliwe wygody. Jak już mówiłem, jesteście moimi honorowymi gośćmi.

— Dostaję przy Chinie dreszczy - szepnęła Claudia, gdy młody podoficer wyprowadził ich ze schronu. - Nie wiem, kiedy bardziej się go boję: gdy stara się być czarujący, czy kiedy otwarcie grozi.

— To już nie potrwa długo. - Sean otoczył ją ramieniem i poprowadził po schodkach na świeże powietrze. Miał jednak wrażenie, że słońcu brakuje naturalnego ciepła, i mimo pewności siebie, z jaką uspokajał Claudię, nie mógł się pozbyć chłodu na myśl o generale Chinie.

Schron, do którego zaprowadził ich podoficer, znajdował się pomiędzy drzewami nad brzegiem rzeki, nie dalej niż sto metrów od kwatery Chin. Wejście było zasłonięte siatką maskującą,

359

a ziemianka została niedawno wykopana w twardej, czerwonej glinie.

- Ten schron jest tak nowy, że pewnie jeszcze nie rozwinęły się w nim populacje pcheł, pluskiew i innej dzikiej zwierzyny - zażartował Sean.

Gliniane ściany były wilgotne i chłodne, a przez szczeliny w palach pokrywających dach wpadało świeże powietrze.

W pomieszczeniu ustawiono stół i dwa proste drewniane stołki oparte o ścianę oraz drewniane łóżko z materacem z wysuszonej trawy przykrytej wyblakłym płótnem. Wyjątkowym luksusem była zawieszona nad nim siatka przeciwko moskitom.

Eskortujący ich podoficer wezwał służbę. Trójka mężczyzn ustawiła się w szeregu przed Seanem i Claudią. Dwóch chłopców obozowych miało się zajmować praniem i prasowaniem, a wszystkiego miał pilnować kucharz.

Kucharz był starszym mężczyzną z plemienia Szangane, o sympatycznej twarzy, siwych włosach i brodzie. Claudii przypominał murzyńskiego Świętego Mikołaja. Oboje polubili go od pierwszego spojrzenia.

— Nazywam się Joyful, pułkowniku.

— Więc mówisz po angielsku, Joyful?

— Także po portugalsku, afrikaans, szona i...

— Wystarczy. - Sean podniósł rękę, żeby mu przerwać. -

Potrafisz gotować?

— Jestem najlepszym kucharzem w całym Mozambiku.

— W dodatku jaki skromny - roześmiała się Claudią.

— Dobrze, Joyful, na dziś wieczór życzymy sobie chateau-briand. - Sean chciał go wypróbować. Kucharzowi wydłużyła się twarz.

— Przepraszam, pułkowniku, nie mamy steków.

— No cóż, mówi się trudno - ustąpił Sean. - Zrób nam najlepszy obiad, jaki potrafisz.

— Pułkowniku i madam, powiem, kiedy obiad będzie gotowy.

— Nie musisz się spieszyć - rzuciła za nim Claudią i opuściła zastonę, odprawiając tym samym całą służbę.

Stali obok siebie i trzymając się za ręce, przyglądali się łóżku. Claudią pierwsza przerwała ciszę.

- Czy myślisz o tym samym co ja?

360

- Przed obiadem czy po obiedzie? - chciał się upewnić

Sean.

- Jedno i drugie - odparła i zaprowadziła go do łóżka.

Rozbierali się nawzajem, przedłużając te chwile, żeby mieć jak najwięcej przyjemności z odkrywania własnych ciał.

Mimo że byli już kochankami, Sean pamiętał jedynie zarys jej ciała w wodzie, a Claudia wcale nie widziała go rozebranego. Przyglądała mu się badawczym spojrzeniem, aż wreszcie Sean nie wytrzymał i zapytał:

— Więc jak, uzyskałem aprobatę panny Monterro?

— O kurczę! - szepnęła śmiertelnie poważna.

Sean położył ją na łóżko.

Robiło się już ciemno, kiedy Joyful zakasał dyskretnie za zastoną.

- Podano do stołu.

Obiad był przygotowany na drewnianym stole, na którym ustawiono zdobytą przez Joyfula lampę naftową.

- O Boże! - zakrzyknęła Claudia, gdy zobaczyła, co Joyful dla nich przyrządził. - Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna.

Na stole stała potrawka z zielonych gołąbków w grzybach oraz parujące żółte ignamy, ciastka cassava i naleśniki z bananów.

— Generał China kazał to panu przynieść - powiedział

Joyful, stawiając kilka puszek południowoafrykańskiego piwa.

— Joyful, jesteś niesamowity.

Jedli w milczeniu, uśmiechając się do siebie z pełnymi ustami. Wreszcie Claudia stęknęła cicho.

— Nie sądzę, żebym zaszła dalej niż do łóżka.

— Mnie tam pasuje - zgodził się Sean i sięgnął nad stołem, żeby wziąć ją za rękę.

Gęsta siatka na moskity zasłaniała całe łóżko, stwarzając intymną atmosferę tak ważną dla miłości. Miękkie, złote światło lampy rozkładało delikatne tony i cienie na twarzy Claudii, na wzniesieniach i w zagłębieniach jej ciała.

Sean był oczarowany delikatną skórą dziewczyny. Była tak idealnie gładka, że przy dotyku sprawiała wrażenie ciepłego, wymodelowanego wosku. Jego dłoń niestrudzenie głaskała jej plecy, ramiona i brzuch, nie mogąc się nacieszyć ich kształtem.

Claudia przeczesała palcami krótką gęstą brodę i wtuliła twarz w sprężyste włosy porastające pierś Seana.

— Jesteś tak owłosiony i umięśniony jak jakieś drapieżne

zwierzę - szepnęła podniecona. - I równie niebezpieczny.

Chyba powinnam się ciebie bać.

— A nie boisz się?

- Troszeczkę. Właśnie dlatego jest to takie podniecające.

Claudia była wprost zagłodzona. Przez bladą skórę Sean mógł

z łatwością policzyć jej wszystkie żebra. Ramiona zdawały się bardzo małe, wręcz dziecinne. Sean nie mógł patrzeć na świeże rany na nadgarstkach. Nawet jej piersi były teraz mniejsze, ale jemu tym bardziej podobał się ich delikatny kształt. Claudia patrzyła, jak ssie ciemny sutek, i zaczęła namiętnie głaskać gęste włosy opadające na szyję.

- To jest bardzo przyjemne - mruknęła cicho. - Ale jest

jeszcze drugi. - Chwyliła go za włosy i delikatnie naprowadziła

na drugą pierś.

W miłosnym uniesieniu Claudia usiadła mu na piersiach i Sean sięgnął wysoko, żeby pogłaskać jej ramiona i szyję.

— W tym świetle wyglądasz jak mała dziewczynka.

— A ja tak bardzo staram się ciebie przekonać, jaka już jestem

dorośła - nadąsała się przekornie i zaraz nachyliła się, żeby

pocałować go w usta.

Zasnęli tak mocno wciśnięci we własne ciała, że czuli uderzenia swoich serc i mieszające się oddechy. Kiedy się obudzili, byli znów spragnieni siebie i wszystko zaczęli od nowa.

— On jest taki sprytny - wymamrotała rozespana Claudia. -

Popatrz, sam już potrafi znaleźć drogę.

— Chcesz jeszcze spać?

— Zwariowałaś?!

Dużo później zapytała go:

— Czy sądzisz, że udałoby nam się zrobić to jeszcze raz?

— Możemy spróbować.

W końcu jednak przez szczeliny nad ich głowami zaczęły się przeciskać pomarańczowe palce świtu i Claudia westchnęła:

- Nie, nie chcę, żeby to się skończyło. Chcę zatrzymać cię w sobie na zawsze.

362

Kiedy Joyful przyniósł im do łóżka herbatę, na tacy obok kubków leżało zaproszenie od generała Chiny na wieczorny obiad w kasynie polowym.

Dla Seana i Claudii obiad w kasynie nie był w pełni udany, mimo że China przez cały czas starał się ich oczarować. Podane na stół mięso bawołu było twarde i nieświeże, a duże ilości piwa sprawiły, że oficerowie sztabowi nieustannie się przekrzykiwali. W ciągu dnia zmieniła się pogoda i nawet po zapadnięciu zmroku powietrze było ciężkie i parne, a bunkier, w którym urządzono przyjęcie, zadymiony i przesiąknięty zapachem męskiego potu.

Siedzący na końcu stołu generał China nie pił piwa i zdawał się nie zwracać uwagi na głośne zachowanie swoich podwładnych, zajęty prawieniem grzeczności Claudii i wciąganiem jej w rozmowę, której dziewczyna z początku unikała.

Nie była przyzwyczajona do typowego dla Afrykanów zachowania przy stole. Patrzyła zafascynowana, jak kolejne czarne ręce sięgają do stojącej na środku stołu misy z kaszą kukurydzianą, lepią w palcach kulki z ciepłej masy i maczają je w potrawce z bawolego mięsa. Po brodach mężczyzn ściekał gęsty sos. Nikt też nie przerywał rozmowy w czasie żucia jedzenia, w wyniku czego stół był dokładnie opluwany kawałkami mięsa, kiedy któryś z biesiadników zaczynał się śmiać, czy głośno coś wykrzykiwał.

Claudia, mimo że była okrutnie wygłodzona, nie potrafiła się zdobyć na choćby tknięcie obiadu. Z dużą trudnością koncentrowała się na przemowie Chiny.

- Podzieliliśmy cały kraj na trzy strefy wojenne - wyjaśniał. - Major Takawira Dos Alves jest głównodowodzącym strefy północnej. Podlegają mu prowincje Niassa i Cabo Delgado. Na południu wojskami Renamo dowodzi generał Tippoo Tip, a mnie przypadły centralne prowincje Manici i Sofali. Wszyscy trzej kontrolujemy ponad pięćdziesiąt procent powierzchni Mozambiku, a dalsze czterdzieści jest strefą zniszczeń, na której musimy utrzymywać politykę spalonej ziemi, żeby uniemożliwić Frelimo produkcję żywności dla własnej armii lub na sprzedaż.

363

— Więc raporty, które docierają do Stanów na temat okrucieństw Renamo, są jednak prawdziwe. - Chinie udało się w końcu zainteresować Claudię. Jej ton był teraz oskarżyciel-

ski. - Pańscy żołnierze napadają i mordują ludność cywilną w tych strefach zniszczeń.

— Nie, miss Monterro. - Uśmiech Chiny był wyjątkowo lodowaty. - To, że musieliśmy przesiedlić ludność ze stref zniszczeń, jest niezaprzeczalnie prawdziwe, ale wszelkie okrucieństwa, masakry i tortury sąż wyłącznie dziełem żołnierzy Frelimo.

— Przecież partia Frelimo tworzy rząd w Mozambiku, dla czego mieliby zabijać własny lud? - zaprotestowała Claudia.

— Zgadzam się z panią, miss Monterro, czasami jest bardzo trudno zrozumieć, jak pracuje umysł marksisty. Prawda jest taka, że Frelimo nie potrafi rządzić krajem. Nie potrafi nawet zapewnić podstawowych artykułów codziennego użytku dla ludności nie-mieszkającej w miastach, nie wspominając już o takich rzeczach, jak: służba zdrowia, edukacja, transport czy komunikacja. W celu odwrócenia uwagi świata od całkowitej klęski polityki gospodarczej i braku poparcia ze strony społeczeństwa Frelimo urządza masowe rzezie, za które, wykorzystując środki przekazu, może obwiniać Renamo i Afrykę Południową. Łatwiej jest zabić czło-wieka, niż go nakarmić i wykształcić, a propaganda skierowana przeciwko Renamo jest warta dla komunisty milion istnień ludzkich.

— Chce pan powiedzieć, że rząd mozambicki urządza masakrę w stylu Czerwonych Khmerów? - Claudia była wyraźnie za-szokowana. Zbladła, a na jej czole pojawiły się kropelki potu wywołane dymem, krzykami oficerów i przerażającymi wyjaś-nieniami Chiny.

— To nie są przypuszczenia, miss Monterro, to fakty.

— Ale przecież świat musi coś zrobić w tej sprawie?

— Miss Monterro, świat nie przejmuje się takimi sprawami.

Tylko my, ludzie Renamo, możemy obalić marksistowski reżim.

— Partia Frelimo objęła władzę w wyniku wyborów powszechnych - przypomniała Claudia, ale China natychmiast zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, bardzo niewiele rządów w Afryce zostało naprawdę wybranych. W Mozambiku, Angoli, Tanzanii czy którymkolwiek

364

z afrykańskich państw socjalistycznych nigdy nie było żadnych wyborów. Rządy w Afryce sprawuje się przez zdobycie ich siłą i utrzymanie się u steru za wszelką cenę. Typowy afrykański rząd przejmuje próżnię po wycofujących się siłach kolonialnych i okopuje się za barykadą karabinków AK-47. Następnie ogłasza jednopartyjny system rządów, który eliminuje wszelką opozycję i wybiera prezydenta... dyktatora do końca życia.

- Generale China, może zechce mi pan powiedzieć - Claudia podniosła głos, żeby przekrzyczeć hałas panujący w pomieszczeniu - jeśli pewnego dnia pańskie wysiłki odniosą skutek i rządy przejmą generałowie Renamo w miejsce partii Frelimo, czy zezwoli pan na wolne wybory i prawdziwie demokratyczny system rządów?

Przez chwilę China przyglądał się jej w zdumieniu i wreszcie wybuchnął śmiechem.

— Miss Monterro, pani dziecięca wiara w dobroć jest na prawdę ujmująca. Nie po to walczę tak ciężko i długo, żeby po zdobyciu władzy przekazać ją w ręce bandy nieokrzesanych wieśniaków. Nie, miss Monterro, kiedy przejmemy władzę, zostanie ona w odpowiednich rękach. - Wyciągnął ku niej zadbane dłonie. - W tych - powiedział.

— Więc jest pan równie zły jak ci, których pan zwalcza. -

Na policzkach Claudii pojawiły się czerwone plamy. Siedziała naprzeciwko mężczyzny, który kazał zakuć ją w kajdanki i wrzucił do śmierdzącej dziury, jeszcze na dodatek musiała słuchać jego przechwałek. Nienawidziła go w tej chwili bardziej niż kogokolwiek w swoim życiu.

— Zdaje mi się, że w końcu coś do pani dotarło przez tę zasłonę liberalnych uczuć. W Afryce nie ma dobrych i złych ludzi, są tylko zwycięzcy i zwyciężeni. - China znowu się rozpromienił. - Zapewniam panią, miss Monterro, że nie zaliczam się do tych ostatnich.

China odwrócił się od niej, gdy jeden z oficerów łącznikowych wsunął się przez niskie wejście do schronu i szybko skierował się do miejsca, gdzie siedział generał. Zasalutował z przepraszącą miną i wręczył mu kawałek żółtego papieru. China przeczytał wiadomość z niezmienioną miną i podniósł wzrok na swoich gości.

365

- Muszę państwa przeprosić na kilka minut. - Nałożył beret, naciągając go na jedno ucho, wstał i wyszedł za oficerem z bunkra.

Gdy tylko zniknął, Claudia nachyliła się do Seana i spytała szeptem:

— Czy moglibyśmy wyjść stąd teraz? Szczerze mówiąc, już nie mogę dłużej tego wytrzymać. Boże, jak ja nienawidzę tego człowieka.

— Obyczaje są tu raczej rozluźnione - mruknął Sean. -

Chyba nikt nie weźmie sobie tego do serca, jeśli wyjdziemy bez pożegnania.

Kiedy zbliżyli się do wyjścia, pożegnał ich chór gwizdów i dowcipów. Z ulgą wspięli się na schody.

Na zewnątrz powietrze się ochłodziło i Claudia wdychała je głęboko, z ulgą.

— Nie wiem, co było gorsze: papierosy czy dialektyka tego

człowieka. - Odetchnęła pełną piersią. - Nie podejrzewałam, że Afryka może być właśnie taka. Wszystko jest tak pomieszane, nielogiczne, nic z tego, czego się dotąd nauczyłam, nie odpowiada rzeczywistości.

— Przynajmniej nie możesz narzekać na nudę - rzekł Sean.

— Jest to równie ciekawe jak nocna zmora. Chodźmy do łóżka, to jedyna rzecz, jakiej jestem pewna.

Skręcili w stronę swojej kwatery, ale zatrzymał ich głos generała Chiny.

— Chyba nas jeszcze nie opuszczacie? - Z ciemności wyłoniła się jego wysoka, zwinna postać. - Obawiam się, że mam dla was nieprzyjemne wiadomości.

— Nie puści nas pan. Wycofuje się pan z umowy - powie dział martwym głosem Sean. - Wiedziałem, że coś się święci.

— Zapewniam pana, że nie zależy to ode mnie - odrzekł gładko China. - Właśnie otrzymałem raport radiowy od sierżanta Alphonsa. Jak już panu mówiłem, oczekiwałem jego powrotu dziś wieczorem. Oddział miał odprowadzić pana i pannę Monterro do granicy. Niestety...

— W porządku, China, co się stało? - warknął Sean. - Co pan znowu uknuł?

Generał China nie zwracał uwagi na oskarżycielski ton Seana.

366

— Sierżant Alphonso twierdzi, że na zachód od naszych linii skoncentrowane są duże siły wojsk nieprzyjacielskich. Wygląda na to, że oddziały Frelimo, zachęczone sukcesem hindów i wsparte przez jednostki Zimbabwe, zdecydowały się na nową ofensywę.

Najpewniej już jesteśmy odcięci od granicy z Zimbabwe. Obszar, który jeszcze niedawno znajdował się pod naszą kontrolą, został zajęty przez przednie oddziały wroga. Za kilka godzin będzie tam regularne pole walki. Nawet teraz sierżant Alphonso musi się przedzierać do naszych linii i ponieść pewne straty. Obawiam się, pułkowniku, że nie miałby pan wielkich szans na przeżycie w tych warunkach. Próba dotarcia do granicy byłaby zwykłym samobójstwem. Musi pan pozostać pod moją osobistą ochroną.

— Dobra, czego, u diabła, oczekujesz ode mnie? - zapytał ostrym tonem Sean. - Coś knujesz, wyczuwam to. O co chodzi?

— Pański brak wiary w moją dobrą wolę jest bardzo nie przyjemny. - China uśmiechnął się chłodno. - Im wcześniej śmigłowce zostaną zniszczone, tym szybciej załamię się ofensywa wroga i tym szybciej pan i panna Monterro będziecie mogli wrócić do cywilizowanego świata.

— Słucham - ponaglił go Sean.

— Jest pan wśród nas jedynym człowiekiem, poza kapitanem Jobem, który zna stingery. Chcę, żeby pan wyszkolił wybrany oddział moich ludzi w obchodzeniu się z tą bronią.

— To wszystko? - Sean patrzył mu w oczy. - Nauczymy pańskich ludzi posługiwać się stingerami i wtedy nas pan puści?

— Właśnie.

— Skąd mam wiedzieć, czy znowu nie zmieni pan zdania?

— Rani pan mój honor, pułkowniku.

— Nie tak bardzo, jakbym tego pragnął.

— No więc zgoda. Wyszkoli pan moich ludzi, a w zamian za to dam panu eskortę do granicy, kiedy tylko nadarzy się

pierwsza okazja.

— A jakie mam inne wyjście?

— Cieszę się, że znowu mówi pan rozsądnie, pułkowniku.

To z pewnością wszystkim nam ułatwi życie. - Jego głos stał się nagle stanowczy. - Musimy zacząć od razu.

— Będzie pan jednak musiał poczekać, aż pański sztab nieco otrzeźwieje - odparł Sean. - Szkolenie zacznę jutro z samego

367

rana i jeśli Alphonso dotrze do tego czasu do obozu, to zacznę od jego ludzi i oddziału Ferdinanda.

— Jak długo to potrwa? - chciał wiedzieć China. - Od tej chwili każda godzina się liczy.

— To są zdolni chłopcy i chętni do nauki. Powinienem zrobić to z nimi w ciągu tygodnia.

— Nie mogę dać panu tyle czasu.

— Wyszkolę ich tak szybko, jak to tylko będzie możliwe - odparł zirytowany Sean. - Proszę mi wierzyć, generale, wcale mi nie zależy na przedłużaniu pobytu tutaj choćby o minutę więcej, niż jest to konieczne. Życzę panu dobrej nocy. - Wziął Claudię za ramię i poprowadził ją do schronu.

— Och, Sean - szepnęła po drodze. - Mam okropne przeżycie, że wplątaliśmy się w coś, z czego nigdy nie uda nam się wyrwać.

Sean ścisnął jej dłoń i zatrzymali się na ścieżce.

— Spójrz w górę - powiedział spokojnie.

Claudia podniosła głowę.

— Gwiazdy? - zapytała. - Czy to chciałeś mi pokazać?

- Tak, gwiazdy. - Pokrywały niebo niczym gigantyczny rój świetlików, który wzbił się wysoko w ciemne przestworza. -

Przywracają spokój duszy.

Claudia westchnęła cicho.

- Tak, masz rację, kochanie. Dzisiaj mamy swoją miłość.

Nacieszmy się nią do woli i nie myślmy o tym, co się zdarzy jutro.

Pod gęstą zasłoną otaczającą łóżko czuła się bezpieczna, w ramionach Seana nic jej nie groziło. Bryłowały materac z trawy przyjął kształt ich ciał. Claudia nie zważała na to, że szorstkie płótno ociera jej skórę.

- Nawet gdybyśmy się kochali dziesięć tysięcy razy z rzędu,

to i tak wciąż bym cię pragnęła - szepnęła, prześlizgując się

przez krawędź snu.

Obudziło ją napięcie przytulonego do niej ciała. Sean natychmiast przyłożył palec do ust, dając jej znak, żeby była cicho. Zesztywniała w ciemności, nie śmiejąc się poruszyć czy nawet odetchnąć i po chwili usłyszała dziwny odgłos. Cichutkie skrobanie przy wejściu do schronu. Zasłona została odsunięta i do środka wsunęło się jakieś zwierzę.

368

Serce Claudii zaczęło walić młotem. Zacisnęła usta, żeby nie wciągnąć głośno powietrza, gdy to coś przesunęło się w stronę łóżka. Stąpające po ziemi łapy nie wydawały niemal żadnych odgłosów poza delikatnym szmerem przydeptywanego piachu. Poczwała obcy zapach dzikiego drapieżcy i z trudem powstrzymała się od krzyku.

Sean rzucił się do przodu niczym atakujący wąż; przedarł się przez zasłonę i Claudia usłyszała szamotaninę i zduszony pisk. Spróbowała precyzyjnie się za Seanem, żeby uciec ze schronu, gdy usłyszała głos kochanka.

— Mam cię, ty mały draniu - powiedział groźnie Sean. -

Drugi raz nie udało ci się podkraść do mnie bezkarnie. Powiedz

mi jeszcze, że się starzeję, a skrucę ci kark!

— Zawsze będziesz młody i piękny, Bwana - zachichotał

Matatu, wykręcając się jak szczeniak złapany za kark.

— Gdzie byłeś, Matatu? - zapytał Sean. - Co zatrzymało

cię tak długo, czy znalazłeś może jakąś młodą, piękną dziewczynę?

Matatu znowu zachichotał wesoło, uwielbiał, kiedy Sean go oskarżał o tak absurdalne sprawy jak tracenie czasu na dziewczyny.

- Znalazłem miejsce, gdzie siadają henshaw - pochwalił się. - Natrafiłem na nie w ten sam sposób, w jaki podążam za pszczołą do ula, patrzyłem, w którym kierunku lecą wobec słońca, i dotarłem do ich kryjówki.

Sean przyciągnął go bliżej łóżka i ścisnął czule za ramię.

- Opowiadaj! - rozkazał.

Matatu usiadł przed łóżkiem, podciągnął opaskę biodrową i kilka razy odchrząknął, żeby zaznaczyć, jak ważna jest jego opowieść.

- Po drodze jest okrągłe wzgórze o kształcie głowy tysego mężczyzny - zaczął Matatu. - Po jednej stronie góry biegnie insimbi, linia kolejowa, a po drugiej droga.

Sean oparł się na jednym ramieniu, a drugą ręką objął Claudię w pól i przyciągnął ją do siebie. Przytuliła się mocno, słuchając z przyjemnością cienkiego, ćwierkliwego głosu małego Murzyna.

- W dziurach na wzgórzu jest ukrytych wielu askari z bandy. - Sean tworzył w wyobraźni obraz obwarowanego wzgór-

369

rza, które Matatu mu dokładnie opisywał. Za zewnętrznym obwodem linii obronnej śmigłowce stały otoczone ścianami z worków z piachem. Podobnie jak ufortyfikowane czołgi hindy nie były wrażliwe na żaden ostrzał. Mogły wznieść się kilka metrów nad ziemię i wprowadzić do akcji swoje przeraźliwe działka pokładowe i pociski. - Wewnątrz kręgu siedzących na ziemi henshaw stoi wiele samochodów i beczek, i wszędzie chodzą biali ludzie w zielonych ubraniach, którzy ciągle wchodzą do henshaw i oglądają je od środka. - Matatu opisywał wózki ze sprzętem naprawczym, cysterny z paliwem i załogi radzieckich techników i mechaników z obsługi naziemnej. Sean już wiedział, jak duże są wymogi hindów co do konserwacji i części zamiennych. Natomiast wielkie silniki turbinowe Isotowa wymagały olbrzymich ilości avgasu.

— Matatu, czy widziałeś te beczki na szynach przy wzgórzu? - zapytał Sean.

— Tak, widziałem je - potwierdził Matatu. - Te wielkie beczki pełne piwa... ludzie, którzy latają henshaw, muszą być bardzo spragnieni. - Wiele lat temu, w czasie jednej z okazjonalnych wizyt w mieście z Seanem, Matatu zobaczył cysternę z piwem przed największym barem w Harare. Murzyn był pod takim wrażeniem, że od tamtego dnia święcie wierzył, iż wszystkie cysterny przewożą jedynie piwo. Seanowi nigdy nie udało się zmienić tej błędnej opinii, Matatu nie wierzył, że cysterny mogą zawierać tak mało szlachetne płyny jak benzyna, i za każdym razem, gdy widział jakąś na drodze, oglądał się za nią tęsknym wzrokiem.

Sean uśmiechnął się w ciemnościach na myśl o naiwności Murzyna. Paliwo do silników śmigłowców było więc dowożone z Harare w cysternach i przeladowywane na miejscu do samochodów cystern. Zakrawało niemal na ironię, że z pewnością pochodziło z Afryki Południowej. Jeśli jednak magazynowano paliwo w obozie, wiązało się to ze sporym ryzykiem. Sean zapamiętał sobie ten szczegół.

Matatu siedział przy łóżku prawie przez godzinę, a Sean cierpliwie wydobywał każdy szczegół z jego pamięci. Murzyn zapewniał Seana, że w obozie znajdowało się jedenaście maszyn, co zgadzało się z oceną Seana. Dwunasty śmigłowiec został zniszczony przez herculesa. Twierdził także, że tylko dziewięć

370

maszyn było zdolnych do lotu. Ukryty na pobliskim kopcu Matatu przyglądał się, jak śmigłowce wylatują o świcie, wracają, żeby uzupełnić paliwo w ciągu dnia, i przed nocą lądują w bazie. Sean wiedział, że Matatu potrafi liczyć dokładnie jedynie do dwudziestu - później zaczyna mieć kłopoty. Każda większa liczba była przedstawiana jako "wiele", czy "bardzo dużo" i wreszcie jako "niczym trawa na równinie Serengeti".

A zatem Sean był pewien, że dwa hindy się zepsuły i czekały na części zapasowe. Dziewięć śmigłowców stanowiło jednak potężną siłę i mogło zmienić wynik zbliżającej się bitwy na niekorzyść Renamo. Chyba że wcześniej uda się wyeliminować wszystkie maszyny.

Kiedy Matatu skończył raport, zapytał po prostu:

- Bwana, co teraz mam robić?

Sean zastanawiał się w milczeniu. W zasadzie nie było powodu, dla którego nie miałby dołączyć Matatu do grupy Szangane jako tropiciela. Coś jednak mówiło mu, że lepiej będzie, jeśli ukryje małego Murzyna przed lodowatym wzrokiem Chiny.

— Jesteś moim ukrytym atutem, Matatu - powiedział po angielsku i dodał w suahili. - Chcę, żebyś trzymał się w ukryciu.

Niech nikt cię nie widzi poza mną i Jobem.

— Słucham cię, Bwana.

— Przychodź tu każdej nocy, jak dzisiaj. Będę miał dla ciebie jedzenie i powiem ci, co masz robić. Tymczasem porozglądaj się nieco i przekażesz mi, co zaobserwowałeś.

Matatu zniknął tak cicho, że usłyszeli tylko delikatny szelest zasłony przy wyjściu.

— Nic mu się nie stanie? - spytała zatroskana Claudia. -

Martwię się o niego. Jest taki miły.

— Z nas wszystkich on ma największe szansę na przetrwanie. - Sean uśmiechnął się z czułością na myśl o przyjacielu.

— Nie chce mi się już spać. - Claudia otarła się o niego całym ciałem jak kocica. Dużo później szepnęła: - Cieszę się, że Matatu nas obudził...

Było jeszcze ciemno, gdy Sean ściągnął koc z Joba. - Czekają nas sporo roboty.

371

Kiedy Job się ubierał, Sean opisał mu wieczorną rozmowę z Chiną.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy teraz instruktorami. - Job roześmiał się miękko. - Cała nasza wiedza o stingerach ogranicza się wyłącznie do tego, co przeczytaliśmy w podręcznikach.

— Postaramy się to zmienić - odparł Sean. - Im szybciej wyszkolimy Szangane, tym szybciej się stąd wyniesiemy.

— Czy to właśnie powiedział ci China? - Job przyjrzał mu

się uważnie.

— Weźmy się na razie do Ferdinanda i jego chłopaków -
odpowiedział szorstko Sean, starając się stłumić własne złe
przeczcucia. - Podzielimy ich na dwuosobowe grupy, jeden do
obsługi wyrzutni, a drugi do noszenia zapasowej amunicji. Oczywiście ten drugi facet musi się także nauczyć wszystkiego, na wypadek gdyby załatwili pierwszego.

Wyjął notatnik, przysunął bliżej świeczkę i zaczął pisać przy migającym, żółtym świetle.

— Kiedy ma przybyć Alphonso ze swoim oddziałem? - Job
wsunął koszulę w spodnie.

— Dzisiaj, o ile w ogóle przybędzie - odparł Sean.

— To najlepsi ludzie w całej tej zbieraninie - mruknął Job.

— Ferdinand także nie jest zły - zauważył Sean i wpisał
oba imiona partyzantów na górze strony, wyznaczając ich na
dowódców sekcji.

— W porządku, potrzebujemy trzydziestu ludzi do obsługi
wyrzutni, podawaj mi imiona.

Wzięli się do pracy jak za starych czasów i Sean poczuł, że sprawia mu to przyjemność.

Gdy zrobiło się dostatecznie jasno, zebrali żołnierzy, którzy wrócili z nimi herculesem z napadu na bazę Grand Reef. Oddział liczył osiemnastu ludzi po odliczeniu dwóch rannych. Sean od razu awansował Ferdinanda na sierżanta. W podziękowaniu otrzymał promienny uśmiech i tak zamaszty salut, że Murzyn omal się przewrócił na ziemię.

Należało zająć czymś ludzi, w czasie kiedy razem z Jobem będą zapoznawać się bliżej z obsługą stingerów.

- Sierżancie - zwrócił się do Ferdinanda, tytułując go
według nowej szarży. - Widzicie to wzgórze? - Lekko niebies-

ka góra była ledwo widoczna pomiędzy drzewami. - Weźmiecie ludzi i zrobicie z nimi rundę wokół tej góry. Macie wrócić za dwie godziny. Bierzecie ze sobą broń i pełne plecaki. - Patrząc, jak kolumna partyzantów oddala się biegiem w stronę wzgórza, Sean zauważył: - Jeśli Alphonso i jego chłopcy nie wrócą przed wieczorem, będziemy musieli wybrać nowych ludzi na ich miejsce. Nie powinno być z tym żadnego problemu, China z radością odda nam swoich najlepszych żołnierzy. Na razie znajdujemy się na czele listy jego uprzywilejowanych więźniów.

- W porządku, weźmy się lepiej do tych podręczników - zasugerował Job. - Nie miałem okazji zakuwać od czasu studiów i wcale mi się to teraz nie uśmiecha.

Claudia przyłączyła się do nich w bunkrze, pomagając im w sortowaniu grubych podręczników w czerwonych plastikowych okładkach z wyjmowanymi kartkami. Wyszukiwali informacje, które miały zastosowanie w ich obecnej sytuacji, i odrzucali materiały pełne danych technicznych, raportów operacyjnych i instrukcji nieodpowiadających warunkom terenowym. Po dwóch godzinach pracy ograniczyli potrzebne im dane do jednego cienkiego tomu.

- W porządku. - Sean wstał od stołu. - Znajdźmy od powiedni teren do ćwiczeń.

Wyszukali miejsce oddalone kilkaset metrów od schronu w dół rzeki, gdzie stok niskiego pagórka tworzył naturalny amfiteatr. Wysokie nadbrzeżne mahonie rozciągały swoje gałęzie nad wzgórzem, zapewniając osłonę przed ewentualnym nalotem hindów. Kiedy mokry od potu oddział Ferdinanda wrócił do obozu, Sean zapędził ich do oczyszczania terenu pod wzniesieniem z krzaków i do kopania płytkich okopów, w których partyzanci mogliby się ukryć w czasie nalotu.

- Dobra - Sean zwrócił się do Claudii i Joba. - Możemy wyjąć sprzęt szkoleniowy i jedną wyrzutnię. Od tej chwili jest czas nauki i każdy pyta, jeśli czegoś nie rozumie.

Kiedy otworzyli pierwszą skrzynię, okazało się, że wszystkie baterie są rozładowane. Na szczęście w każdej skrzyni znajdował się mały przyrząd do ładowania z odpowiednimi podłączeniami i transformatorami.

Ferdinand i kilku ludzi nadzorowanych przez Joba zanieśli

373

wszystkie baterie do centrum łącznościowego w dowództwie i na rozkaz generała Chiny dostali zezwolenie na zajęcie przenośnej piętnastokilowatowej prądnicy generującej prąd o napięciu 220 woltów. Sean podłączył baterie w pęczkach po pięć, ale i tak potrzeba było dwudziestu czterech godzin, żeby wszystkie się naładowały.

Następnie ustawili sprzęt szkoleniowy i wyrzutnię na stole, który Ferdinand przygotował wcześniej na terenie ćwiczebnym pod drzewami. Claudia czytała na głos instrukcję z podręcznika, a Sean i Job tak długo składali wyrzutnię, aż wykuli wszystko na pamięć.

Sean z ulgą stwierdził, że poza częścią dotyczącą urządzenia rozpoznawczego IFF obsługa wyrzutni nie była trudniejsza od obsługi konwencjonalnego działka bezodrzutowego RPG-7, które znajdowały się w podstawowym wyposażeniu partyzantów i jak zauważył Job każdy żołnierz w obozie Chiny potrafił załadować je nawet w zupełnej ciemności w burzliwą noc.

- Jakkolwiek by było, nie potrzebujemy wyszukiwacza IFF - oznajmił Sean. - Wszystko, co się unosi w powietrzu poza ptakami, jest wrogiem.

IFF, system odróżniania wroga od sojusznika, pozwalał na rozróżnienie nieprzyjacielskiego samolotu od sojuszniczej maszyny za pomocą specjalnego nadajnika znajdującego się na pokładzie; zapobiegało to wystrzeleniu pocisku do własnego samolotu.

Claudia znalazła rozdział poświęcony IFF. Kierowani jej wskazówkami Sean i Job rozbroili system, zmieniając stingery w wyrzutnie pozwalające zaatakować każdy samolot, na który namierzyło się broń.

Bez systemu IFF wystrzelenie pocisku nie było już skomplikowane. Najpierw należało znaleźć cel na małym ekranie celownika i zwolnić bezpiecznik znajdujący się nad uchwytem spustu. Po naciśnięciu specjalnego przycisku umieszczonego z tyłu rękojeści włączał się aktywator. Rozpoczął pracę nawigacyjny żyrost, a freon ochładzał aktywne czujniki podczerwieni. Przy nakierowanym na obiekt celownika promieniowanie podczerwone było wzmacniane i koncentrowało się na umieszczonym w głowicy rakiety detektorze. Kiedy tylko promieniowanie stawało się dostatecznie intensywne, żeby rakietę mogła podążyć za obiektem, wysuwał się żyrostabilizator i pocisk wydawał przenikliwy sygnał.

374

W celu odpalenia pocisku operator musiał nacisnąć spust, który włączał silniczek odrzutowy wyrzucający pocisk z tuby na odległość bezpieczną dla strzelca, jakieś osiem metrów. Wtedy uruchamiał się drugi silnik na paliwo stałe, przez wysuwane stateczniki wybuchał płomień gazów spalinowych i pocisk osiągał prędkość czterokrotnie większą od prędkości dźwięku. Kiedy siła inercji przekraczała dwadzieścia osiem razy siłę grawitacyjną, włączał się bezpiecznik i następowało uzbrojenie głowicy bojowej. Rakietę była cały czas nakierowywana na cel własnym proporcjonalnym systemem nawigacyjnym i strzelec nie miał już wpływu na jej trajektorię.

Dzięki zastosowaniu programowalnego mikroprocesora RMP system automatycznie przestawiał się na stan "dwukolorowy" w odległości stu metrów od źródła emisji promieniowania podczerwonego. Rakietę przestawała reagować na promieniowanie podczerwone, wydobywające się z tłumików silnika, i nastawiała się na znacznie słabsze promieniowanie ultrafioletowe, emitowane przez wloty powietrza silnika. Pocisk trafiał w maszynę i rozrywał ją na drobne kawałki.

— Nawet Szangane może się nauczyć obsługi tej wyrzutni -

rzekł Job i Sean się uśmiechnął.

— Uważaj, przemawia przez ciebie rasizm ludu Matabele.

— To dlatego, że genetycznie jesteśmy na wyższym poziomie rozwoju, nie ma co tego ukrywać.

Oboje spojrzeli oczekująco na Claudię, ale dziewczyna nawet nie podniosła głowy znad podręcznika, mówiąc spokojnie:

— Traciecie tylko czas, bigoci. Tym razem nie uda wam się wciągnąć mnie w wasze gierki.

— Bigot - powtórzył z widoczną przyjemnością Job. - Nikt mnie jeszcze nigdy tak nie nazwał. Uwielbiam to słowo.

— Koniec wygłupów - zakomenderował Sean. - Przyjrzyjmy się symulatorowi.

Kiedy podłączyli pierwszą z naładowanych baterii i złożyli sprzęt, Sean zawyrokował:

- Za pomocą tego urządzenia możemy wprowadzić stingery do akcji w ciągu kilku dni zamiast tygodni.

Po włożeniu dyskietki do podstawy monitora symulatora na ekranie celownika wyrzutni pojawia się wygenerowany przez

375

komputer obraz hinda, którym instruktor mógł manipulować, naśladować lot maszyny w powietrzu: unoszenie się, opadanie, zwroty i tak dalej. Jednocześnie instruktor mógł sprawdzać reakcje ucznia, który musiał nacelować broń na obraz śmigłowca i zaatakować go wygenerowanym przez komputer pociskiem.

Sean i Job bawili się symulatorem niczym dwaj chłopcy, wprawiając obraz hinda w najtrudniejsze ewolucje.

- To zupełnie jak ta gra komputerowa "Pac-Man" - powiedział podekscytowany Job. - Potrzebujemy jednak manekina, pseudoSzangane, na którym moglibyśmy poćwiczyć.

Znowu obaj mężczyźni spojrzeli na Claudię, która siedziała na stole z założonymi nogami. Dziewczyna podniosła głowę znad podręcznika, gdy poczuła ich wzrok na sobie.

- Manekin? - spytała. - Ja wam dam manekin. Podajcie

mi wyrzutnię.

Stanęła pośrodku placu ćwiczeń z wyrzutnią na ramieniu i spojrzała na umieszczony przy celowniku monitor. Długa tuba wyrzutni przytłaczała jej wątłą postać. Odwróciła czapkę w barwach maskujących daszkiem do tyłu, co nadało jej wygląd małego gracza w baseball.

— Gotowa? - spytał Sean.

— Już! - zawołała i skoncentrowała się na ekranie. Sean

i Job wymienili złośliwe uśmiechy.

— Nadlatuje! - zawołał nagle Sean. - Wysoko na dwunas

tej. Załaduj i naceluj.

Poprowadził obraz hinda do czołowego ataku z szybkością stu pięćdziesięciu węzłów.

- Załadowane i nacelowane-potwierdziła Claudia i na swoim

monitorze mężczyźni zobaczyli, jak obraz celownika jej wyrzutni

gładko podąża i nakłada się na obraz zbliżającego się śmigłowca. -

Aktywator włączony - oznajmiła spokojnie i sekundę później

usłyszeli cichy pisk wyrzutni, który zaraz przeszedł w jednostajne

buczenie namolnego komara. - Na celu - mruknęła. Hind był

sześćset metrów od niej, ale błyskawicznie zbliżał się, rosnąc na

ekranie. - Ognia! - rzuciła.

Na ekranie Seana i Joba zapaliło się czerwone światełko sygnalizujące włączenie się silniczka odrzutowego i zaraz zamieniające się na zielone, gdy zapalił się silnik na paliwo stałe.

376

Ułamek sekundy później hind zniknął z ekranu i pojawił się migający napis: CEL ZNISZCZONY! CEL ZNISZCZONY! Zapadła głęboka cisza. Wreszcie Job odchrząknął nerwowo.

— Czasami zdarzają się szczęśliwe trafy - rzekł Sean. -

Spróbujemy jeszcze raz.

— Już! - zawołała Claudia, koncentrując się na ekranie.

— Nadlatuje! - krzyknął Sean. - Wysoko na szóstej go

dzinie. Załaduj i naceluj.

Następnego hinda naprowadził od tyłu na wysokości drzew z szybkością bojową. Dziewczyna miała trzy sekundy, żeby zareagować.

- Załadowane i nacelowane. - Claudia wykonała piruet

niczym baletnica i naprowadziła broń na cel. - Aktywator

włączony.

Kiedy to mówiła, Sean wprowadził śmigłowiec we wspinający lot ślizgowy, tak że maszyna odchyliła się od Claudii w trzech płaszczyznach. Trafienie śmigłowca było równie trudne jak lecącego wysoko ptaka, który ma wiatr z boku.

Na ekranie symulatora Sean z Jobem patrzyli z niedowierzaniem, jak Claudia obraca się gładko za celem, cały czas utrzymując obraz śmigłowca na celowniku. Po chwili pocisk zahuczał wysokim tonem.

- Na celu. Ognia!

CEL ZNISZCZONY! CEL ZNISZCZONY! - zamrugał do nich ekran i obaj mężczyźni przestąpili z nogi na nogę. Job mruknął cicho:

- Raz za razem. To coś więcej niż szczęśliwy traf, stary.

Claudia odłożyła wyrzutnię na stół, obróciła czapkę i podparła się pod biodra, spojrzała na nich z przekorą.

— Podobno nie potrafisz strzelać. - Sean był wyraźnie urażony.

— Czy córka Riccarda Enrica Monterra mogłaby nie wiedzieć, jak się obchodzić z bronią?

— Ale przecież jesteś przeciwna polowaniu na zwierzęta.

— Zgadza się - potwierdziła Claudia. - Nigdy nie zabiłam żadnej żywej istoty. Ale jestem bezlitosna wobec glinianych gołębi. Mój ojciec nauczył mnie strzelać.

— Powinienem się domyślić, kiedy zawołałaś "Już!" - jęknął Sean.

377

- Jeśli chcecie wiedzieć - powiedziała Claudia, oglądając własne paznokcie - to przez trzy lata zajmowałam pierwsze

miejsce w kobiecych stanowych zawodach strzeleckich na Alasce i byłam druga na ogólnokrajowych zawodach w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym.

Obaj mężczyźni wymienili zaambarasowane spojrzenia.

— Nie ma co, zrobiła cię na szaro. - Job pokręcił głową. -

A ty się nadstawiłeś jak naiwne dziecko.

— W porządku, miss Alaska - rzekł z przekąsem Sean. -

Jesteś tak sprytna, że właśnie załapałaś się na stanowisko instruktora. Od tej chwili zajmujesz się sprzętem. Job i ja po dzielimy Szangane na dwie grupy i zapoznamy ich z podstawami.

Do ciebie będą przychodzić na symulacje. To powinno przyśpieszyć szkolenie.

Rozmowę przerwał im generał China, wkraczając na teren ćwiczeń. Beret miał przekrzywiony na jedno ucho i poklepując się krótką pałeczką po udzie, wprawnym okiem ocenił ich przygotowania.

- Kiedy będziecie mogli rozpocząć ćwiczenia? Miałem nadzieję, że więcej zrobiliście.

Sean zorientował się, że nie ma sensu wszystkiego wyjaśniać.

— Lepiej nam pójdzie, jeśli nikt nam nie będzie przeszkadzał.

— Chciałem was ostrzec, że oddziały Frelimo rozpoczęły ofensywę. Atakują dużymi siłami z południa i z zachodu. Najbardziej chcą nas wypchnąć z tych gór i od rzeki na jakiś bardziej otwarty teren, gdzie mogliby zastosować ciężką artylerię i lepiej wykorzystać śmigłowce.

— Więc dostajecie teraz baty - dogryzł mu Sean z lekko skrywaną złośliwością w głosie.

— Musimy się cofać - odpowiedział na docinek China z lekkim błyskiem w oczach. - Kiedy moi ludzie próbują się zatrzymać i bronić na jakimś naturalnie osłoniętym terenie,

dowódcy oddziałów Frelimo wzywają hindy. Radzieccy piloci wykorzystują technikę wsparcia ogniowego, którą opanowali w górach Afganistanu. Zwyczajnie rozbijają nasze linie obrony w drobny mak. Nie jest przyjemnie słuchać przez radio głosów swoich podwładnych błagających o pomoc, gdy ma się związane ręce. Kiedy będę mógł im posłać stingery?

378

— Za dwa dni - odparł Sean.

— Tak długo? Czy nie można by tego przyspieszyć? - China niecierpliwie uderzył pałeczką w otwartą dłoń. - Chcę, żeby zorganizował mi pan jeden wyszkolony oddział natychmiast. Cokolwiek, żeby tylko można powstrzymać napastników.

— Generale China, to byłoby totalne głupstwo - oświadczył Sean. - Z całym należnym szacunkiem. - W jego głosie nie pobrzmiwał ton szacunku. - Jeśli rozmieści pan stingery par tiami, to sam pan się wystawi radzieckim pilotom.

— Co pan chce przez to powiedzieć? - Głos Chiny zatrzęsł czał jak pękający lód.

— Ci ruscyscy piloci spotkali się już wcześniej ze stingerami w Afganistanie, może być pan tego pewien. Znają każdy sposób, żeby im umknąć. W tej chwili są święcie przekonani, że nic im nie grozi i nie zachowują żadnych środków ostrożności. Wystarczy jednak odpalenie jednej rakiety, a wszystko się zmieni. W porządku, może uda się wam zestrzelić jednego czy dwa hindy, ale pozostałe będą już przygotowane do walki.

Chłodny wyraz twarzy Chiny stał, gdy zastanowił się nad słowami Seana.

— Więc co pan proponuje, pułkowniku?

— Uderzcie na nich wszystkim, czym dysponujecie.

— Kiedy? Gdzie?

— Gdzie tego najmniej oczekują, organizując zmasowany atak na ich lądowisko... najlepiej o świcie.

— Na ich lądowisko? - Zirytowany potrząsnął głową. -

Nie wiemy, gdzie się znajduje ich baza.

— Właśnie, że wiemy - sprzeciwił się Sean. - Znalazłem ich bazę. Wyszkolę Alphonsa i Ferdinanda i przygotuję plan ataku.

Niech mi pan da dwa dni, a pańscy ludzie będą gotowi do drogi.

China założył ręce na plecach i zastanawiał się przez chwilę, spoglądając na bezchmurne niebo, jakby oczekiwał, że w każdej chwili może ujrzeć nadlatujące śmigłowce.

— Dwa dni - zgodził się w końcu.

— Dwa dni. Kiedy pańskie oddziały będą wyszkolone i gotowe do ataku, wypuści pan mnie i moich ludzi. To jest mój warunek.

— Pomiedzy nami a granicą znajduje się kolumna wojsk

Frelimo - przypomniał mu China.

379

— Zaryzykujemy - odparł krótko Sean. - To umowa między panem i mną. Czy da mi pan teraz pańskie słowo?

— Dobrze, pułkowniku. Zgadzam się.

— No to w porządku. Kiedy oczekuje pan powrotu oddziału Alphonsa?

— Już dotarli do naszych linii. Powinni znaleźć się tutaj za jakąś godzinę, ale będą zupełnie wyczerpani. Byli w akcji przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

— Nie są na majówce. - Sean był nieczuły. - Proszę ich

przysłać do mnie, jak tylko przybędą.

Oddział Alphonsa w końcu dotarł na plac ćwiczeń, poruszając się zmęczonym krokiem boksera po dziesięciu rundach walki. Kamuflujące mundury mieli całe wypaćkane błotem i kurzem, a twarze szare ze zmęczenia.

Podczas gdy żołnierze pokładli się na ziemi, zasypiając od razu, Alphonso opisał Seanowi w kilku słowach powrót z bazy Grand Reef, jazdę do misji przez wąską dolinę, gdzie zostawili ciężarówkę Unimog, a potem w nocy przekroczyli pieszo granicę z Mozambikiem.

- Las jest pełen żołnierzy Frelimo, a w powietrzu wszędzie

latają henshaw. - Alphonso przerwał i otarł twarz brudną, postrzępioną chustą. - To jakieś czary, ale henshaw mówiły do nas z powietrza. Kpiły z nas w naszym języku. Powiedziały, że to czary pozwalają im zmieniać tor wystrzelonych przez nas pocisków.

Sean skinął głową. Rosjanie muszą posługiwać się potężnymi głośnikami, żeby zdemoralizować partyzantów Renamo. To kolejna sztuczka, jakiej nauczyli się w Afganistanie.

— Nasi ludzie są rozrywani na strzępy przez kule albo uciekają co sił w nogach. Nie możemy walczyć z henshaw.

— Właśnie, że możecie. - Sean złapał go za mundur. -

Pokażę wam jak. Pozbieraj swoich ludzi. Będą mieli czas na spanie, jak rozwalimy do ostatniego tych ruskich drani.

Sean i Job pracowali i walczyli z tymi ludźmi, znali każdego po imieniu. Potrafili dokładnie ocenić, ile każdy z nich jest wart i do czego jest zdolny.

380

Wiedzieli na pewno, że w oddziałach Alphonsa i Ferdinanda nie ma ani jednego tchórza. Alphonso potrafił wybrać samych najlepszych. Byli jednak tacy, których Job nazywał "wołami", silni i głupi, nadający się na mięso armatnie. Pozostali różnili się znacznie pod względem inteligencji i zdolności adaptacji. Na czele wyznaczonych do akcji ludzi stali Alphonso i Ferdinand.

Żołnierzy podzielono na dwie grupy. Uwagę skupiono na najbardziej obiecujących, którzy cechowali się zdolnością rozpoznawania dwuwymiarowych obrazów i pojmowania wizerunków na ekranie celownika w kategoriach kształtu i przestrzeni.

Po trzech godzinach pracy wyselekcjonowano dwudziestu partyzantów, którzy mieli szansę na szybkie opanowanie podstawowej wiedzy o stingerach. Ci zostali wyznaczeni do obsługi wyrzutni. Wybrano też dwudziestu ludzi, którzy mogliby ich zastąpić w razie potrzeby.

Pozostałych, którzy nie wykazali się niezbędnymi zdolnościami, wyznaczono do obsługi broni konwencjonalnej w planowanym ataku na bazę. Sean wziął jedną grupę przyszłych operatorów wyrzutni, a Job drugą i rozpoczęli żmudną pracę zaznajamiania żołnierzy z budową broni. Cała nauka polegała na nieustannym powtarzaniu i ćwiczeniu. Każdy szkolony musiał rozebrać, złożyć i pokazać, jak nakierowuje się wyrzutnię na cel. Wykonując każdą czynność, partyzant wyjaśniał dokładnie pozostałym, co robi, a Sean i Job korygowali błędy.

Był już późny wieczór, kiedy Sean przysłał pierwszą piątkę, w tym Alphonsa i Ferdinanda, do Claudii na ćwiczenia na symulatorze.

Alphonso zaliczył trzy kolejne trafienia. Został awansowany na pomocnika i tłumacza Claudii. Przed zapadnięciem nocy pozostali czterej partyzanci zaliczyli również po trzy trafienia z rzędu, które dziewczyna uznała za minimum. W tym czasie Sean i Job przygotowali do ćwiczeń strzeleckich kolejnych dziesięciu ludzi, którzy mieli rozpocząć zajęcia na symulatorze następnego dnia rano. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, Sean zwolnił oddział i partyzanci powlekli się do schronów na wpół pijani ze zmęczenia i wysiłku.

Kucharz ukraść podroby z bawołu, który został podany poprzedniego wieczoru w stołówce oficerskiej. Dzienny upał spra-

381

wił, że pachniały nieświeżo, ale zręczny Joyrul ukrył niemiły posmak, dodając sporą ilość posiekanej cebuli i sosu peri-peri. Claudia zbladła, gdy podano na stół parującą misę flaczków, ale w końcu głód przemógł jej wstręt.

— Wyrosną ci dzięki temu włosy na piersiach - zażartował

Sean.

— To, mój kochany panie, nie jest według mnie szczytem urody.

— No dobrze - uśmiechnął się porozumiewawczo. - Wobec tego będziesz miała pulchniejsze pośladki.

— Nie lubisz moich pośladków?

— Bardzo je lubię, właśnie dlatego chcę ich jak najwięcej, tak dużo jak to tylko możliwe.

Kiedy Matatu wśliznął się do schronu, Sean nakarmił go flaczkami, aż nagi brzuch małego Murzyna napęczniał jak czarna piłka.

- Dobra, ty mały, żartoczny gnojku - powiedział wreszcie

Sean. - Czas, żebyś zarobił na swoje utrzymanie.

Zaprowadzili go na opustoszały plac ćwiczeń, gdzie czekał już na nich Job z odpowiednimi materiałami do budowy modelu bazy śmigłowców. Przy świetle lamp naftowych zaczęli konstruować miniaturowy obóz. W czasie wojny w Rodezji Matatu nieraz już asystował przy robieniu takich makiet i wiedział, czego się od niego oczekuje. Jak wielu ludzi, którzy nie potrafią czytać ani pisać, Matatu miał fotograficzną pamięć.

Przykucnął na ziemi, objaśniając Seanowi i Jobowi topografię terenu w bazie i wokół niej, kształt gór, między którymi leżał obóz, oraz usytuowanie linii kolejowej i głównej drogi.

Claudia wykazała się talentem, którego Sean najmniej po niej oczekiwał. Z kawałków białego, miękkiego drzewa baobabu zbudowała jedenaście miniaturowych śmigłowców bojowych Hind. Modele były całkiem zgrabne i kiedy ustawiła je na stanowiskach startowych, dodały realizmu całej konstrukcji.

Było już dobrze po północy, gdy Claudia i Sean wsunęli się nadzy do łóżka. Oboje byli śmiertelnie zmęczeni, ale nawet po obfitej dawce miłości nie mogli zasnąć. Leżeli więc obok siebie w ciemnościach i rozmawiali. Wspomnienie ojca w czasie dnia spowodowało, że Claudia wróciła myślami do dzieciństwa. Słu-

382

chając jej opowiadań, Sean czuł ulgę, że dziewczyna potrafi swobodnie mówić o ojcu. Przełamała w sobie smutek i żal, i wspominała go ze spokojną melancholią.

Opisała Seanowi, jak w wieku czternastu lat, kiedy zaczęła stawać się kobietą, bezpieczny kokon życia rodzinnego pękł w czasie burzliwego rozwodu rodziców. Opowiedziała mu także

o późniejszych latach, malując obraz dotkliwej samotności, gdy

była rozdzielona z ojcem, i przyływy miłości oraz walki, kiedy

mogła się z nim widzieć.

- Sam teraz rozumiesz, czemu wszystko we mnie jest tak

strasznie poplątane - powiedziała. - Dlaczego staram się być

najlepsza w tym, co robię, i dlaczego zawsze próbuję osłaniać

1 pomagać tym, którzy nie mieli dość szczęścia w życiu. Przez

połowę czasu staram się zdobyć uznanie ojca, podczas gdy przez

drugą połowę próbuję odrzucić jego egoistyczny, materialny

sposób patrzenia na życie. - Przytuliła się mocniej do Seana. -

Naprawdę nie wiem, jak ci się uda mnie utrzymać.

— Trzymać cię, zwłaszcza w ramionach, zawsze będzie przy

jemnością - zapewnił ją Sean. - Natomiast wskazanie ci

twojego miejsca przy mnie może być poważnym problemem.

— Właśnie coś takiego powiedziałby ojciec. Zdaje się, mój

panie, że czekają nas porządne awantury.

— Ach, ale pomyśl tylko o słodczy pojednania.

W końcu udało im się złapać kilka godzin snu. Obudzili się zadziwiająco świeży i gotowi do kontynuowania ćwiczeń przerwanych poprzedniego dnia.

W czasie gdy Claudia szkoliła ostatnich partyzantów na symulatorze, Sean i Job przykucnęli przed modelem bazy. Sean przedstawił Jobowi plan ataku, a ten podsuwał mu nowe pomysły i sugestie, aż wreszcie byli pewni planowanej akcji w najdrobniejszych szczegółach, jak na przykład strona, od której mają podejść bazę, przebieg napadu i wycofanie się. Opracowali też kilka wariantów na wypadek, gdyby oryginalny plan się nie powiódł.

- No dobrze. - Sean się wyprostował. - Sprowadźmy tu

chłopaków.

Usadowieni na skalnych występach wzgórza wznoszącego się nad placem ćwiczeń Szangane przyglądali się z niekłamanym

383

zainteresowaniem, jak Sean i Job opisują plan napadu na bazę. Sean posłużył się kamykami, żeby oznaczyć poszczególne sekcje grupy uderzeniowej, układając je na pozycjach wokół bazy. Kiedy obaj mężczyźni pozorowali atak, Claudia poruszała modelami śmigłowców. Za każdym razem, gdy któryś z miniaturowych hindów spadał i rozbijał się o ziemię trafiony imitowanymi salwami stingerów, zebrani Szangane wydawali okrzyk radości.

- W porządku, sierżancie Alphonso. - Sean ustawił ponow

nie kamyki, powracając do stanu wyjściowego. - Proszę nam pokazać przebieg ataku.

Powtórzyli całą sekwencję napadu pięć razy. Dowódcy sekcji stawali przed modelem i opisywali partyzantom poszczególne etapy natarcia. Pięciokrotnie też partyzanci wiwatowali zniszczenie hindów. Kiedy Sean i Job mieli pewność, że wszyscy nauczyli się na pamięć, co mają robić, zakończyli przepytanie. Wówczas Alphonso wstał i zwrócił się do Seana wobec całego oddziału.

- Nkosi Kakulu - zaczął. Nigdy wcześniej nie zwracał się tak do Seana. Tytuł ten przysługiwał najwyższym przywódcom plemiennym. Sean był świadom zaszczytu, jaki go spotkał. Był to dowód, że udało mu się zdobyć szacunek i lojalność tych dumnych, doświadczonych wojowników. - Wielki Wodzu - mówił dalej Alphonso - twoje dzieci są pełne niepokoju. - Wśród żołnierzy rozległ się zgodny pomruk i wielu z nich pokiwało głowami. - Mówiąc nam o bitwie, nie wspomniałeś słowem, że będziesz nas prowadzić i wlejesz odwagę w nasze żyły, jak to zrobiłeś w bazie Grand Reef. Powiedz swoim dzieciom, Nkosi Kakulu, że będziesz z nami w tej walce i że będziemy słyszeć twój okrzyk niczym ryk lwa, gdy henshaw zaczną spadać z nieba w płomieniach, a pawiany Frelimo rzucą się do ucieczki, wrzeszcząc jak dziewice, gdy pierwszy raz poczną członek. Sean rozłożył ręce.

- Nie jesteście moimi dziećmi - powiedział. - Jesteście prawdziwymi mężczyznami jak wasi ojcowie. - Dla Szangane nie było większego komplementu. - Nie potrzebujecie mnie, żeby zrobić to, co należy. Nauczyłem was wszystkiego, co sam wiem. Płomień w waszych żyłach wybuchnie niczym pożar na wysuszonym stepie. Bitwa należy do was. Ja muszę odejść, ale

zawsze będę dumny, że byliśmy przyjaciółmi i że walczyliśmy razem ramię w ramię jak bracia.

Wśród zebranych rozległ się szmer sprzeciwu i partyzanci zaczęli kręcić głowami, mówiąc jeden przez drugiego.

Sean odwrócił się i zobaczył, że w czasie gdy przemawiał do żołnierzy, pojawił się generał China. Stał z tyłu między drzewami, nie spuszczał z niego oka. Towarzyszyło mu kilku oficerów i ludzi z osobistej ochrony, wszyscy ubrani w takie same brązowe berety i mundury, ale wydawali się mało znaczący przy swoim dowódcy. China wyszedł na środek i partyzanci się uciszyli.

— Pułkowniku Courtney, widzę, że przygotowania dobiegły

końca - przywitał Seana.

— Tak, żołnierze są już gotowi, generale.

— Czy zechciałby pan jeszcze raz przedstawić plan ataku?

Sean przywołał Alphonsa.

— Opisz natarcie - polecił.

Generał China stanął przed modelem bazy, z nieodłączną pałeczką trzymaną za plecami, i przyglądał się uważnie każdej czynności, od czasu do czasu przerywając mówiącemu, żeby zadać pytanie.

— Dlaczego zdecydował się pan użyć tylko połowy pocis

ków? - zwrócił się do Seana.

— Grupa uderzeniowa musi przedrzeć się przez linie Frelimo

niezauważona. Rakiety są duże i ciężkie. Ich większa liczba

bardziej by się rzucała w oczy. Żołnierze Frelimo mogliby się

na nie natknąć. - China skinął głową i Sean mówił dalej. -

Musi pan także liczyć się z ewentualnym niepowodzeniem.

Gdyby się to zdarzyło i straciłby pan wszystkie pociski... - Sean

wzruszył ramionami.

— Tak, ma pan rację, lepiej jest zatrzymać połowę stingerów

w odwodzie. Nawet jeśli plan ataku się nie powiedzie, to nie

zostaniemy bezbronni. Proszę kontynuować.

Alphonso przedstawił kolejne etapy natarcia, obrazując za pomocą kolorowych kamyków, jak operatorzy stingerów ustawią się na pozycjach pięćset metrów od ogrodzenia bazy, po dwie załogi na każde stanowisko śmigłowca.

Na sygnał czerwonej racy grupa uderzeniowa zaatakuje bazę od południa pociskami RPG-7, rozwalając cysterny z paliwem,

385

które powinny się znajdować na torach, ostrzeliwując jednocześnie wnętrze bazy z moździerzy i zabijając żołnierzy Frelimo z karabinów maszynowych.

- Henshaw się wystraszą, jak tylko rozpocznie się strzela

nina - wyjaśnił Alphonso. - Będą startować, ale jest taki

moment, po oderwaniu się od ziemi, że są jeszcze nisko i wiszą

nieruchomo w powietrzu jak jastrzęb, który zastyga na chwilę

nad ziemią, zanim usiądzie. W tej właśnie chwili zestrzelimy

śmigłowce.

Sean i China omówili wszystkie szczegóły i generał wydawał się w końcu usatysfakcjonowany.

— Więc kiedy wyruszą?

— Powtarza pan ciągle "wy" - zaprotestował Sean. - Ja

nie mam z tym nic wspólnego. Sierżant Alphonso poprowadzi

atak. Wyruszą dziś, dwie godziny przed zmierzchem, żeby prze

drzeć się przez linie Frelimo. Znajdą się na stanowiskach jutro

rano, a atak rozpoczną w nocy.

— Bardzo dobrze - zgodził się China. - Przemówię teraz

do żołnierzy.

Sean musiał przyznać, że generał jest znakomitym oratorem. Przypomniał partyzantom o konsekwencjach, jakie ich czekają, jeśli żołnierze Frelimo zwyciężą, i zachęcił ich do dzielnej walki

oraz samopoświęcenia. Kiedy skończył przemawiać, twarze partyzantów zdawały się lśnić, a oczy błyszczały patriotycznym zapałem. Generał China podniósł głos:

- Jesteście wojownikami i chcę usłyszeć, jak śpiewacie hymn

Renamo.

Echo chóralnego śpiewu rozlegało się w lesie i oczy Seana zaszyły mgłą od wezbranych emocji. Dopiero teraz, gdy miał ich opuścić, uświadomił sobie, ile dla niego znaczą ci ludzie.

- Pułkowniku, chciałbym z panem porozmawiać na osob

ności. - Głos Chiny przerwał sentymentalny nastrój. - Proszę

ze mną.

Przed odejściem Sean zwrócił się do Claudii i Joba.

- Zróbcie każdemu z nich jeszcze jedną próbę na symulatorze.

Sean ruszył za Chiną w stronę bunkra dowództwa. Nie zwrócił

uwagi na to, że ochrona osobista generała nie idzie wraz z nim, ale została na placu ćwiczeń.

386

Kiedy doszli do schronu, China poprowadził go do swojego gabinetu. Na stole czekała już na nich herbata. Sean nasypał brązowego cukru do kubka i z przyjemnością napił się gorącego płynu.

- O czym pan chciał ze mną rozmawiać? - zapytał.

China stał odwrócony do niego plecami, oglądając mapę, na

której kolorowymi szpilkami była zaznaczona ofensywa oddziałów Frelimo. Nie odpowiedział na pytanie, a Sean nie chciał być natrętny. Popijał herbatę i cierpliwie czekał w milczeniu.

Z pokoju łącznościowego wbiegł radiooperator i podał Chinie kartkę z wiadomością. Przeczytawszy ją, generał wykrzyknął coś z wyraźną niechęcią zmieszaną z niepokojem i przesunął na mapie kilka szpilek. Oddziały Frelimo przedarły się na zachodzie przez linie obrony Renamo i szybko się zbliżyły do centrum obozu.

- Nie potrafimy ich powstrzymać - powiedział generał, nie

odwracając się do Seana.

Kolejny posłaniec wpadł do bunkra z wiadomością. Był to jeden z jego osobistych goryli. Szepnął kilka słów swojemu przełożonemu. Seanowi wydawało się, że dosłyszał słowo "a-merykańska". Z zaciekawieniem nadstawił ucha.

China uśmiechnął się szybko i odprawił mężczyznę skinieniem głowy. Następnie odwrócił się do Seana.

— To się nie powiedzie - powiedział.

— Co się nie powiedzie?

— Atak zaplanowany przez pana.

— Na wojnie nic nie jest pewne, o czym pan powinien wiedzieć, generale. Muszę się jednak sprzeciwić. Plan ma jakieś sześćdziesiąt procent szansy na powodzenie. To całkiem sporo.

— Szansę byłyby znacznie większe, może nawet osiągnęłyby osiemdziesiąt procent, gdyby pan osobiście poprowadził atak, pułkownika Courtney.

— Czuję się zaszczycony pańskim uznaniem. Niestety, są to rozważania czysto teoretyczne. Nie poprowadzę ataku. Wracam do domu.

— Nie, pułkownika. Właśnie, że poprowadzi pan atak.

— Mieliśmy umowę.

— Umowę? - China omal się nie roześmiał. - Niech pan

387

!|

nie będzie naiwny. Zawieram umowy i zrywam je, gdy zachodzi taka konieczność. Obawiam się, że teraz jest to bezwzględnie potrzebne.

Sean poderwał się z krzesła. Jego twarz była śmiertelnie blada pod opalenizną.

- Idę. - Mimo oszałamiającej wściekłości zdołał zapanować nad głosem. - Zabieram moich ludzi i idziemy do domu. Natychmiast. Będzie pan musiał mnie zabić, jeśli chce mnie pan zatrzymać.

China dotknął uszkodzonego ucha i uśmiechnął się.

— Zapewniam pana, że ma to swoje atrakcyjne strony. Żywię jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Zobaczmy. - Sean kopnął krzesło tak, że przeleciało w powietrzu i rozbiło się o ścianę. Odwrócił się i ze schyloną głową wybiegł przez niskie drzwi.

— Wróci pan - zapewnił go spokojnym głosem China, ale Sean zdawał się go nie słyszeć. Wyszedł na dwór i ostrym krokiem ruszył w stronę rzeki.

Doszedł do placu ćwiczeń, gdy uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku.

Szangane siedzieli sztywno na zboczu wzgórza. Wyglądało na to, że nie ruszyli się z miejsca od chwili, kiedy ich opuścił. Twarz Alphonsa zdawała się wyrzeźbiona w czarnej skale, pozbawiona wyrazu i tępa niczym tarcza głupoty, jaką Murzyni oddzielają się od sił, przed którymi nie mogą się obronić.

Job leżał na stole na środku placu. Jego mundur był utyłtany w kurzu, a czapka leżała na ziemi. Potrząsnął niepewnie głową i z nosa pociekły mu krople krwi.

— Co się stało? - Sean podbiegł do niego. Job patrzył na przyjaciela, starając się skoncentrować na nim wzrok. Został brutalnie pobity. Wargi miał opuchnięte, a w ustach pełno krwi, która barwiła mu zęby niczym czerwone wino. Jedna brew była rozcięta i z kącika oka spływała na policzek czerwona strużka.

Krew płynęła mu także z nosa, tworząc różowe bańki, gdy usiłował oddychać. Na czole miał potężne siniaki, a koniec prawego ucha rozerwany. - Job, co, u diabła...? - Sean złapał go za ramię. - Kto?

— Staralem się ich powstrzymać! - wybełkotał Job, koncentrując wzrok na twarzy Seana. - Próbowałem!

388

- Uspokój się.

Sean chciał go posadzić, ale Job odtrącił rękę przyjaciela.

- Claudia! - powiedział.

Sean poczuł, jak strach ściska mu żołądek.

— Claudia! - powtórzył za Jobem i rozejrzał się wokoło. -

Job, gdzie ona jest? Co się stało?

— Zabrali ją - odparł Job. - Goryle Chiny. Starąłem się ich powstrzymać.

Sean wyszarpnął pistolet z kabury.

— Job, gdzie ona jest? - Zaciskał dłoń na kolbie.

— Nie wiem. - Job otarł twarz dłonią i spojrzął na za krwawione palce. - Leżałem nieprzytomny, nie wiem jak długo.

— China, ty pieprzony skurwielu, zginiesz za to. - Sean odwrócił się, gotów biec do schronu dowództwa.

— Sean, pomyśl najpierw! - zawołał Job i Sean się za trzymał. Tyle razy Job ocalił mu życie tymi dwoma słowami "pomyśl najpierw".

Wymagało to olbrzymiej siły woli, ale na chwilę zdołał odsunąć od siebie myśl o krwawym odwecie.

- Job, podręczniki! - zawołał. - Spal je!

Job zamrugał oczyma.

- Spal podręczniki! - powtórzył Sean. - To nasze zabezpieczenie. Tylko my wiemy, jak to działa.

Na twarzy Joba pojawił się wyraz zrozumienia.

- I dyskietki - dodał.

- Właśnie! - zgodził się Sean. - Dyskietki. Daj mi je.

Podczas gdy Job w pośpiechu pakował dyskietki do pudełka,

Sean podszedł do siedzącego na ziemi Alphonsa i wyjął mu zza pasa granat zapalający.

Zmontował szybko prostą bombę-pułapkę we wnętrzu pudełka z dyskietkami. Następnie wywiercił bagnetem dziurę w wieczku, przeciągnął przez nią sznurek przetknięty przez zawleczkę, jego koniec owinął sobie wokół nadgarstka i zamknął szczelnie wieko.

- Niech teraz China spróbuje mi to zabrać - powiedział z zaciętą miną. Gdyby pudełko zostało mu wyrwane z ręki albo upadło na ziemię, sznurek wyrwałby zawleczkę i granat zniszczyłby dyskiety, zabijając wszystkich znajdujących się w pobliżu. Sean poczekał, aż Job podpali stertę podręczników.

389

Gdy książki zajęły się od ognia, powiedział:

— Zostań tutaj i przypilnuj, żeby spaliły się na popiół. Następnie z pudełkiem pod pachą ruszył w stronę bunkra do wództwa.

— Powiedziałem, że pan wróci - generał przywitał go z lodowatym, sardonicznym uśmiechem, który zniknął, gdy zobaczył pudełko w rękach Seana i koniec sznurka owinięty wokół nadgarstka.

Sean podniósł pudełko i podsunął je Chinie pod nos.

- Tu jest klucz do hindów, generale - powiedział, z trudem panując nad głosem. - Bez tego twoje stingery są bezużyteczne. Oczy Chiny uciekły w stronę wejścia do schronu.

- Nawet nie myśl o tym - ostrzegł go Sean. - W pudełku jest granat zapalający. To bomba-pułapka. Jeśli na przykład upuszczę pudełko, gdybym nagle został zastrzelony, albo ktoś mi je wyrwie z ręki, granat wybuchnie i rozerwie wszystko na drobne kawałki.

Patrzyli na siebie nienawistnymi spojrzeniami.

— Mamy więc patową sytuację, pułkowniku. - Na twarzy Chiny znowu rozkwitł uśmiech, jeszcze chłodniejszy i bardziej zjadliwy niż kiedykolwiek wcześniej.

— Gdzie jest Claudia Monterro? - zapytał Sean i w odpowiedzi China zawołał ordynansa z pomieszczenia łącznościowego.

— Przyprawdźcie kobietę! - rozkazał. Obaj czekali, stojąc naprzeciwko siebie i uważnie obserwując jeden drugiego. - Powiniennem pamiętać o dyskietkach - powiedział China spokojnym głosem. - To był dobry pomysł, pułkowniku. Bardzo dobry. Sam pan widzi, dlaczego nalegałem, żeby pan poprowadził atak.

— Kiedy już o tym mówimy - odparł Sean - to spaliłem także podręczniki. Tylko Job, Claudia i ja znamy zasadę obsługi stingerów.

— A co z moimi Szangane, Alphonsem i Ferdinandem? - zapytał wyzywająco China. Sean wyszczerzył do niego zębami niczym uśmiechająca się czaszka.

— Nic z tego, China. Potrafią obsługiwać wyrzutnię, ale nie mają zielonego pojęcia, jak zaprogramować mikroprocesory. Potrzebujesz nas, China. Bez nas hindy dopadną cię i rozwalą.

390

Nic na to nie będziesz mógł poradzić. Lepiej skończ z oszustwami, bo cała twoja armia jest w moich rękach.

Z korytarza dobiegły odgłosy kroków i obaj mężczyźni spojrzeli w stronę drzwi, gdy Claudia została wepchnięta do pokoju.

Ręce dziewczyny znowu były skrępowane na plecach kajdankami, zgubiła czapkę i włosy opadły jej w nieładzie na twarz i szyję.

- Sean! - zawołała na jego widok, wyszarpując się z rąk

dwóch ochroniarzy. Mężczyźni pchnęli ją silnie na ścianę i przy trzymali.

- Powiedz swoim gnojom, żeby ją puścili - warknął Sean.

Kiedy mężczyźni spojrzeli na niego ze złością, China po wstrzymał ich poleceniem:

- Posadźcie kobietę na krzesło!

Ochroniarze rzucili Claudię na ciężkie, mahoniowe krzesło i na kolejny rozkaz generała przypięli ją kajdankami do poręczy.

— Pułkowniku, ja mam coś pańskiego, a pan ma coś mojego, może zawrzemy umowę? - zasugerował China.

— Wypuść nas do domu - odparł natychmiast Sean. - Na granicy oddam wam dyskietki.

China pokręcił przecząco głową.

- Niestety, nie mogę się na to zgodzić. Oto moja oferta.

Poprowadzi pan atak na bazę hindów. Jeśli wszystko się uda, Alphonso odprowadzi was do granicy.

Sean podniósł pudełko i China się uśmiechnął. W odpowiedzi wyjął z pochwy długi nóż. Rękojeść była z kości słoniowej, ostrze miało z piętnaście centymetrów.

Z uśmiechem na ustach wyszukał pojedynczy włos na swojej głowie i wyrwał. Ujął go między kciuk i palec wskazujący i dotknął ostrzem. Połowa włosa spłynęła na podłogę.

— Jest bardzo ostry - powiedział cicho China.

— Jeśli zabijesz ją, nie będziesz już się miał o co targować - rzekł Sean. Głos miał ochryple z napięcia i czuł, że się poci.

— Pozostało mi jeszcze to do targowania - odparł China i skinął na straż przy drzwiach.

Wprowadzili osobę, którą Sean widział pierwszy raz na oczy. Miał wrażenie, że patrzy na zjawę z trupa czołową. Stojąca przed nim istota miała czarne plamy na głowie, w miejscach, gdzie

włosy powypadały całymi kępkami. Jej wargi się skurczyły i cofnęły, odsłaniając zęby, które były wyraźnie za duże w stosunku do pomarszczonej twarzy.

Na rozkaz Chiny strażnik zdarł ze zjawy brudną, porwaną koszulę i Sean zorientował się, że stojąca przed nim naga postać musi być kobietą.

Jej ciało przypominało mu szkielety, które widział na zdjęciach z obozów koncentracyjnych w Dachau i Bergen-Belsen. Był to kościotrup okryty ponaciąganą skórą; puste piersi zwisały przyczepione do żeber, brzuch był tak zapadnięty, że pępek dotykał kręgosłupa. Ramiona i nogi nie miały jednego choćby mięśnia, a łokcie i kolana wydawały się groteskowo nadmuchane.

Sean i Claudia patrzyli na tę żywą zmoreę z przerażeniem, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Przyjrzyjcie się patologicznym zmianom na jej brzuchu -
zapropozował China. Odrętwiali posłuchali polecenia. Cały brzuch
był pokryty twardymi lśniąco wrzodami, wielkimi niczym czarne
winogrona. Zmiany sięgały głęboko w dół między nogi kobiety.

Kiedy Sean i Claudia przyglądali się ze zgrozą kobiecie, China szybko wyciągnął nóż i dotknął końcem ostrza ręki Claudii. Jęknęła, próbując cofnąć dłoń, ale powstrzymały ją kajdanki. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak krew ścieka jej z dłoni po palcach na podłogę.

- Dlaczego to zrobisz, ty śmierdzący draniu?! - krzyknął
Sean.

China się uśmiechnął.

- To tylko lekkie zadrażnienie.

Wyciągnął wolno rękę w stronę kobiety, celując nożem w zapadnięty brzuch.

— Jest w końcowym stadium wycieńczenia, a wrzody są łatwe
do rozpoznania - wyjaśnił zebrany. - Ta kobieta cierpi na
chorobę, którą my w Afryce nazywamy "śmiertelną chudością".

— AIDS - szepnęła Claudia, zawierając w tym jednym
słowie całe swoje przerażenie.

Nawet Sean nie mógł się powstrzymać, żeby nie cofnąć się o krok od chorej kobiety.

- Tak, miss Monterro - potwierdził China. - AIDS w koń
cowym stadium.

Dotknął końcem noża jednego z napęczniałych wrzodów. Kobieta nawet nie zareagowała, gdy z rany trysnęła ropa zmieszana z czarną krwią, spływając na włosy łonowe.

- Krew - szepnął China, zbierając ją ostrożnie na ostrzu

noża. - Ciepła, żywa krew wypełniona wirusami.

Podsunął Seanowi ostrze pod nos, żeby mógł się lepiej przyjrzeć. Sean odsunął się od ociekającego noża.

- Właśnie - rzekł China. - Coś, czego nawet najodważniejsi mogą się obawiać, najpewniejsza, najokropniejsza i najwstrętniejsza śmierć wszech czasów.

Wolną ręką chwycił nadgarstek Claudii.

- Niech pan spojrzy na tę krew. Słodka, czysta krew pełnej życia, pięknej, młodej kobiety.

Drażnięcie pozostawiło na dłoni jasnoczerwoną ryś, ale krew przestała już ściekać.

- Krew do krwi - szepnął China. - Chora krew do zdrowej krwi.

Przysunął zabrudzone ostrze blisko do ręki Claudii i dziewczyna zdrętwiała na krześle, napinając z całej siły kajdanki, z twarzą bladą jak sama śmierć.

- Krew do krwi - powtórzył China. - Czy pozwolimy im się zmieszać?

Sean nie miał siły odpowiedzieć, ze ściśniętym gardłem pokręcił przecząco głową, patrząc szeroko rozwartymi oczami na nóż.

- Czy mam to zrobić, pułkowniku? - zapytał China. - To zależy wyłącznie od pana. - Przysunął ostrze jeszcze bliżej rany na gładkiej, opalanej skórze. - Tylko kilka centymetrów, pułkowniku - szepnął złowieszczo i nagle Claudia zaczęła krzyżeć; był to przeraźliwy wrzask wyrażający strach i wstręt, ale China nawet nie drgnął. Nie patrzył wcale na jej twarz, a nóż w jego dłoni pozostał nieruchomy. - Czy mam to zrobić,

pułkownika? - Zniżył nóż i dotknął płaską stroną ostrza nadgarstka Claudii, zostawiając smugę chorej krwi na skórze, zaledwie kilka centymetrów od rany. Wolno zaczął przesuwać nóż w dół. - Pułkowniku, proszę się szybko zdecydować. Za kilka sekund będzie za późno. - Nóż zostawiał lśniąca smugę niczym jakiś wstrętny ślimak. Nieubłaganie zbliżał się do otwartej rany.

393

- Zatrzymaj to! - ryknął Sean, który nagle odzyskał głos. -

Zatrzymaj to!

China uniósł nóż i spojrzał na niego pytająco.

— Czy to znaczy, że osiągnęliśmy porozumienie?

— Tak, niech cię piekło pochłonie! Zrobię to!

China rzucił nóż w kąt pokoju, otworzył jedną z szuflad w biurku i wyjął butelkę ze środkiem antyseptycznym. Nasączył chusteczkę płynem i bardzo ostrożnie zmył zakażoną krew z ręki Claudii.

Dziewczyna opadła bezwładnie na krzesło. Dyszała ciężko i drżała niczym kociak zostawiony na deszczu.

— Puść ją. - Głos Seana przypominał jakiś dziwny chrobot.

China pokręcił przecząco głową.

— Najpierw wyjaśnimy sobie pewne punkty naszej umowy.

- Dobrze! - warknął Sean. - Oto pierwszy punkt naszej umowy: moja dziewczyna idzie ze mną na akcję. Dostyc już tych ukrytych pułapek.

China zastanawiał się przez chwilę, zanim skinął głową.

— Zgadzam się, ale drugi punkt będzie następujący: jeśli zawiedzie mnie pan w jakikolwiek sposób, to Alphonso ją natych

miast zabije.

— Wezwij tu Alphonsa - zażądał Sean. Pot na czole jeszcze

mu nie obsechł, a głos był wciąż chropowaty i niepewny. -

Chcę być przy tym, jak wydajesz mu rozkazy.

Alphonso stanął na baczność przed Chiną i słuchał polecenia w milczeniu.

— Jeśli atak się nie powiedzie, jeśli natkniecie się na żołnierzy

Frelimo, zanim dotrzecie do bazy, lub jeśli ucieknie choć jeden

henshaw...

— Nie, generale - przerwał mu Sean. - Pełne zwycięstwo

to trochę za wysokie wymaganie. Bądźmy realistami. Jeśli uda

mi się zniszczyć co najmniej sześć hindów, to musi pan uznać,

że ze swojej strony dotrzymałem umowy.

China zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Nawet sześć hindów wystarczy, żeby zapewnić Frelimo

zwycięstwo. Jeśli więcej niż dwa śmigłowce uciekną z bazy,

pańska misja nie zostanie uznana za sukces i będzie pan musiał

ponieść karę. - Zwrócił się znowu do Alphonsa. - Tak więc,

394

Wyruszyli dwie godziny pr/ L Kolumna żołnierzy

obciążona wyrzutniami i pocisk;ła się przez las z tru

dem: skrzynie były nie tyli i długie. Za każdym

razem, gdy ścieżka zwęzał; i musieli przedzierać

się przez gąszcz, skrzynie plęzie, wstrzymując

pochód i zmniejszając szans rjc żołnierzy w razie

nagłego zagrożenia.

Z początku Sean starał się utrzymać kolumnę w zwartym szyku, ale znajdowali się jeszcze kilka kilometrów od linii walk, więc natrafienie na leje raczej im nie groziło.

Sean wolał jednak nie ryzykować. Rozkazał strażom przedniej i tylnej uważać na drogę, aby zapewnić tragarzom szansę ucieczki, gdyby kolumna została zaskoczona przez oddział Frelimo. Zdecydował, że Job jako zwiadowca pójdzie przodem, a sam szedł w środku grupy, gdzie mógł szybko zareagować w razie kłopotów i gdzie był blisko Claudii.

— A co z Matatu? - zapytała Claudia. - Opuściliśmy obóz, nie zostawiając mu żadnej wiadomości. Martwię się o niego.

— Nie musisz się przejmować, że zostanie z tyłu. Matatu jest jak szczeniak, którego nigdy nie można się pozbyć. Podąży za mną, gdziekolwiek się udam. Jestem pewien, że mały drań obserwuje nas zza jakiegoś krzaka.

Jakby dla potwierdzenia jego słów, gdy tylko zapadł zmierzch, mały tropiciel pojawił się niespodziewanie u boku Seana.

— Widzę cię, Bwana - zaszczebiotał.

— Też cię widzę, przyjacielu. - Sean dotknął jego kędzie rzawej głowy, jakby głaskał ukochanego psa. - Czekałem, aż się pojawisz i wyszukasz nam bezpieczną drogę w strefie Frelimo.

Musisz nas zaprowadzić tam, gdzie sokoły siadają na noc.

Matatu aż napęczniał z dumy.

- Podążaj za mną, Bwana - powiedział.

Mając Matatu za przewodnika, Sean mógł zmienić szyk kolumny, ustawiając ludzi w długi szereg, aby łatwiej było się prześliznąć przez linie wroga. Sam zajął miejsce na tyłach oddziału.

Na ich korzyść działało to, że bitwa rozgrywała się na olbrzymim terenie. Ponad sześć tysięcy żołnierzy Frelimo i Zimbab-we atakowało o połowę mniejsze oddziały Renamo na obszarze liczącym dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych. Walki toczyły się na niewielkich odcinkach długiego frontu, którego większa część była opustoszała.

Sean wysłał przodem Joba i Matatu wraz z kilkoma żołnierzami, żeby znaleźli przejście pomiędzy walczącymi stronami. Pozostała część kolumny podążała za nimi w bezpiecznej odległości osłaniana przez uzbrojonych w konwencjonalną broń Szangane.

i Matatu biegali między

wadzić ich nową drogą, przeszkodę. Czasami ących z całej siły dział, w maszynowych. Sean "relimo natykały się na razy widzieli też race , ale nie dobiegły ich ani ugieł. Hindy najwidocz-kiedy mogły odróżnić jawnic bliskie wsparcie, głównej kolumny i od-

godzinę po świcie - niż oczekiwaliśmy. Co ursz w dzień? Możemy

powiedział. Bladożółty ncie.

gęste, żeby ukryć tyłu decydował. - Musimy edz Matatu, żeby nadał

Maszerowali całą noc. Posłańcy od Jobc strażą przednią a główną grupą, gdy trzeba było okrążyć niespodziewan I zimne powietrze przynosiło odgłosy wa lżejszych moździerzy i ciężkich karabin domyślał się, że to wysunięte oddziały ustępującą linię obrony Renamo. Kilka świetlne wzbijające się nad ciemnym lasen razu odgłosy silników Isotowa i warkot śn niej ograniczały naloty do pory dziennej przeciwnika od sojusznika i efektywniej Zł

Godzinę przed świtem Job wrócił do szukał Seana.

- Dotrzemy do celu dopiero jakąś

oznajmił. - Tempo było wolniejsze,

masz zamiar zrobić? Zaryzykujemy rrrn

się natknąć po drodze na hindy - ostn

Sean rozejrzał się po niebie, zanim oc brzask poranny gasił gwiazdy na horyznt

i śmigłowce będą się zykować, ale musimy

arze partyzantów coraz u. Szli teraz szybciej, erowała przez całą noc, dością i hartem ducha | nie i szybki marsz zła-go mężczyzną, óźnić korony drzew na yszał znajomy poświst wschodu. Hindy wyru-. Rozkaz Seana został natychmiast rzucili się

397

— Korony drzew nie są dostatecznie

ludzi i sprzęt przed pilotami hindów - ;

iść dalej i znaleźć lepszą kryjówkę. Pow

szybsze tempo.

— A co z hindami?

— Główne walki toczą się za nami

kierowały w tamtą stronę. Możemy zar

się szybko poruszać.

W miarę jak przybywało światła, częściej zwracały się z obawą ku niel niemal biegnąc. Mimo że kolumna mas/ Szangane nieśli swoje ładunki z typowym dla Afrykanów. Ciężkie skrz> małyby pewnie niejednego silnego biatt

Było już dostatecznie jasno, żeby tle różowej zasłony świtu, gdy Sean us silników turbinowych zbliżający się ze szczyły na pierwszy lot bojowy tego dnia podany wzdłuż całej kolumny i tragarzt

ku rosnącym wzdłuż ścieżki krzakom, a dowódcy sekcji przykucnęli pod drzewami, gotowi dać sygnał rozpoznawczy pilotom hindów zdobytymi przez Seana kolorowymi flagami Frelimo, gdyby maszyny rozpoczęły atak.

Na szczęście alarm był przedwczesny, gdyż para śmigłowców przeleciała jakieś trzy kilometry od kolumny. Sean dojrzał nad drzewami ich sylwetki niczym potworne komary na tle wschodzącego słońca. Kilka minut później dobiegły ich wyraźne odgłosy działek pokładowych i wybuchy pocisków, którymi śmigłowce rozbijały punkt oporu oddziału Renamo ukrytego pomiędzy wzgórzami.

Kiedy kolumna ruszyła, ludzie jeszcze bardziej przyspieszali kroku, mając w pamięci obraz Latającej Śmierci. Godzinę później oddział zszedł szybko ścieżką po niemal pionowym zboczu doliny, na której dnie znajdowało się wyschnięte koryto rzeki i jaskinie z ukrytymi unimogami,

Zmęczeni partyzanci z ulgą wdrapali się do pieczar i pokładli skrzynie i plecaki na ziemi.

- Żadnych ognia - rozkazał Sean. - I nie wolno palić.

Partyzanci zjedli racje żywności, które składały się z zimnych,

twardych placków kukurydzianych i suszonej ryby. Potem padli na ziemię, zasypiając jak sfora wymęczonych psów po całodniowym polowaniu.

Sean znalazł odosobnione miejsce dla Claudii z tyłu jaskini, za zwalonymi blokami skalnymi. Gdy rozłożył na ziemi koc, usiadła na nim ze skrzyżowanymi nogami i zaczęła przeżuwać placek z rybą, ale zanim zjadła połowę nieapetycznego posiłku, przechyliła się nagle na bok i zasnęła, nim jej głowa dotknęła ziemi. Sean przykrył ją drugim pledem, gdyż we wnętrzu jaskini było zimno, i wrócił do wejścia.

Alphonso przytwierdził antenę do małego przenośnego radia VHF. Przykucnął przy radionadajniku, słuchając raportów sytuacyjnych składanych generałowi Chinie przez dowódców liniowych.

- Sprawy przybierają zły obrót - oznajmił z ponurą miną. -

Oddziały Frelimo dotrą do rzeki jutro przed południem. Jeśli

generał się nie wycofa, dostanie się do niewoli. - Alphonso

umilkł nagle, gdy wśród zakłóceń i trzasków usłyszał skierowany

do ich oddziału sygnał.

- Bananowy Las, tu Guziec - powiedział do trzymanego w ręku mikrofonu i podał wcześniej ustalone hasło oznaczające, że osiągnęli pierwszy cel. - Coca-cola. - Sean się uśmiechnął, słysząc to nawiązanie do nowoczesnej Afryki. Bananowy Las potwierdził odbiór i rozłączył się. Następny kontakt mieli ustalony na jutrzejszy świt, kiedy to losy ich misji będzie można opisać w kilku jednoznacznych słowach.

Sean zostawił Alphonsa, który zwijał antenę i pakował radio-nadajnik do plecaka. Z wejścia do jaskini przyglądał się grupie pięciu ludzi z Jobem na czele usuwającej gałęziami ślady stóp w korycie rzeki.

Kiedy Job wdrapał się do jaskini, Sean zapytał:

— Straże?

— Na każdym z wierzchołków. - Job wskazał na górujące nad nimi skały.

— W porządku. - Sean wprowadził go do jaskini. - Czas, żeby uzbroić i zaprogramować stingery.

W ciągu godziny zdołali zebrać wszystkie wyrzutnie, podłączyć baterie i przeprogramować mikrokomputery za pomocą odpowiednich dyskiek. Broń została uzbrojona i zaprogramowana na "dwukolorową" sekwencję ataku na śmigłowiec Hind. Sean i Job przekazali stingery dowódcem sekcji.

Sean spojrzął na zegarek lekko zdziwiony, że jeszcze dokładnie pokazuje czas po nieustannym obtłukiwaniu przez ostatnie tygodnie.

- Możemy złapać kilka godzin snu - powiedział do Joba, ale żaden z nich się nie położył.

Zamiast tego jednocześnie skierowali się w stronę wejścia do jaskini i usiedli z dala od innych. Oparci plecami o skałę, dotykając się ramionami, patrzyli w zamyśleniu na koryto rzeki, gdzie słońce skrzyło się promieniami na białym piachu.

— Gdybyś posłuchał mojej rady, to pociągałbyś teraz piwko w Harare - mruknął Sean.

— I nigdy nie miałbym szansy na załatwienie hinda. - Job uśmiechnął się ostrożnie, bo opuchnięte usta były pokryte świe

żymi strupami. Kropla krwi pokazała się na dolnej wardze, gdy jeden z nich pękł. Otarł ją końcem chusty, którą nosił na szyi, i mówił dalej: - Polowaliśmy na wszystkie niebezpieczne zwie-
399

rzęta, Sean, zawsze w najgorszych miejscach. Bawoły w zaroślach jaśminowców, słonie w Kasagasaga. To będzie nasze kolejne trofeum, największe i najwspanialsze.

Sean odwrócił głowę, żeby spojrzeć na przyjaciela. Nie pierwszy raz się zdarzało, że ich uczucia były tak zgodne. Podczas nocnego marszu wściekłość i nienawiść do Chin opuściły Seana, a ich miejsce zajęło uczucie, które Job właśnie opisał: podniecenie zbliżającym się polowaniem. Obaj byli myśliwymi i instynkt walki był tak głęboko zakorzeniony w ich umysłach, że nawet nie starali się go opanować. Rozumieli się doskonale, rozpoznawali i akceptowali więzi, które przez dwadzieścia lat przyjaźni coraz bardziej ich zbliżały. Sean uświadomił sobie nagle, jak rzadko rozmawiali ze sobą o tym, co ich łączy. Może teraz nadszedł czas, żeby to zrobić, pomyślał.

— Jesteśmy sobie bliżsi niż bracia - powiedział.

— Tak - odparł po prostu Job. - Łączy nas coś więcej niż braterska miłość.

Milczeli przez chwilę wcale niezawstydzeni wyznaniem, a raczej przepelnieni i umocnieni w tym, co czuli.

- Czy mogę cię prosić o przysługę? - spytał Sean. - Jako brata. - Job skinął głową, więc Sean kontynuował cichym głosem. - Czeka nas ciężka walka. Nie chciałbym, żeby Claudia wpadła w ręce żołnierzy Frelimo. Gdyby mnie przy niej zabrakło, nie mógłbym temu zapobiec. Właśnie o to chcę cię prosić.

W oczach Joba pojawił się cień niepokoju.

— Nie lubię myśleć o takiej ewentualności.

— Jeśli nie będę mógł być przy niej, czy zrobisz to za mnie?

Job skinął głową.

— Daję ci moje słowo.

— Jeśli do tego dojdzie, nie ostrzegaj jej, nic nie mów, zrób to z zaskoczenia.

— Nie dowie się, co nadchodzi - obiecał Job. - To będzie szybkie.

— Dzięki - odparł Sean i poklepał go po ramieniu. - Teraz musimy odpocząć.

Claudia spała. Oddychała tak cicho, że Sean się wystraszył. Przysunął twarz do jej ust i poczuł na policzku ciepły oddech.

400

Pocałował ją. Dziewczyna mruknęła przez sen, wyciągnęła rękę, szukając go po omacku, i westchnęła z ulgą, gdy wtulił się w jej ramię.

Miał wrażenie, że przymknął powieki tylko na chwilę, kiedy poczuł na sobie czyjąś rękę. Otworzył oczy i zobaczył przycupniętego przed nim Joba.

- Już czas - szepnął Job, ledwie poruszając ustami.

Sean ostrożnie zdjął z siebie rękę Claudii.

- Śpij spokojnie, kochanie - rzekł i zostawił ją zwiniętą w kłębek na kocu.

Wszyscy już czekali na niego przy wejściu do jaskini. Matatu, Alphonso i dowódcy sekcji byli tylko lekko uzbrojeni, żeby móc się poruszać szybko i po cichu.

— Czwartą - powiedział Job. Sean zobaczył, że światło na zewnątrz było już lekko przygaszone, a cienie wydłużone. Nie musieli niczego dopowiadać, obaj robili to już dziesiątki razy.

— Trzymaj się - dodał Job i Sean skinął głową, zarzucając plecak na ramiona.

Z Matatu kręcącym się przy Seanie niczym leśny duszek wyśliznęli się z jaskini, wbiegli pomiędzy drzewa i skierowali na południe, posuwając się truchtem w zwartym szeregu.

Dwukrotnie słyszeli hindy przelatujące w bezpiecznej odległości, a raz musieli skryć się głębiej wśród drzew, gdy śmigłowiec przeleciał bezpośrednio nad ich głowami.

Na szczęście maszyna leciała bardzo szybko i wysoko, jakieś tysiąc dwieście metrów nad ziemią, jak ocenił Sean. Przyglądając się jej przez lornetkę, domyślił się, że wracała do bazy z misji, żeby uzupełnić paliwo i amunicję. Uchwyty na końcu skrzydeł przeznaczone na podwieszenie swatterów były puste, osmalone od gazów spalinowych wystrzelonych pocisków.

Hind leciał dokładnie w stronę, w którą prowadził ich Matatu, i zanim zniknął w oddali, Sean zobaczył, jak śmigłowiec zwalnia i schodzi do lądowania.

— Lotnisko nie dalej niż osiem kilometrów - ocenił i spojrzał na Matatu, który czekał na pochwałę.

— Leci jak pszczoła do ula. - Matatu wyszczerzył radośnie zęby.

401

- Masz oczy jak sęp - powiedział Sean. - Nic nie ujdzie ich uwagi. - Matatu aż zadrżał z radości i zakotłosał się na boki.

Pochwała Seana była jedyną nagrodą, jakiej oczekiwał.

Pół godziny później wdrapali się na szczyt niskiego, skalistego wzgórza i prześliznęli na drugą stronę, kryjąc się pod krawędzią skalną. Sean podniósł lornetkę do oczu, osłaniając soczewki czapką; promień światła odbity od szkieł mógł łatwo zdradzić ich kryjówkę.

Niemal natychmiast wypatrzył linię kolejową oddaloną od nich o niecałe trzy kilometry; podkłady były zrobione z niebieskiego granitu i w promieniach zniżającego się słońca widać było pojedynczy tor. Wypolerowane kołami szyny matowo błyszcząły.

Sean podążył wzrokiem wzdłuż toru. Kilometr dalej znalazł rozgałęzienie, na które przetoczono dwie cysterny z paliwem. Wagony były częściowo zakryte przez drzewa i krzaki, ale po kilku minutach uniósł się zza nich pióropusz kurzu i na nasyp wspiął się samochód cysterna, zajmując miejsce za pierwszym wagonem. Sean patrzył, jak ubrani w poplamione kombinezony ludzie łączą wężem oba pojazdy i przepompowują paliwo.

W tej samej chwili zza wzgórza po drugiej stronie rozjazdu podniósł się szybko śmigłowiec; Sean wiedział już, gdzie znajduje się lądowisko.

Ciężki, garbaty hind wzniósł się na jakieś sto metrów, wykonał obrót i odleciał na północ na kolejną misję. Z wolna światło dnia stawało się coraz bardziej przygaszone i niedługo noc przerwie walki.

Wiedząc, gdzie ma szukać, Sean mógł wypatrzyć inne, świetnie zakamuflowane lądowiska na zboczu wzgórza. Naliczył ich sześć, więc spytał Matatu o pozostałe.

- Są jeszcze dwa - oznajmił protekcjonalnym tonem tro
piciel i wskazał dwa obłożone workami z piaskiem lądowiska. -

Po drugiej stronie wzgórza są jeszcze trzy, ale stąd ich nie widać.

Sean mógł teraz w pełni docenić sens dziennego rekonesansu; dostrzegał spore różnice między
zbudowanym przez nich modelem, na którym ćwiczyli, a rzeczywistym ukształtowaniem terenu bazy.

Zapisał kilka uwag w notesie, oceniając na nowo odległości strzeleckie i stanowiska, z których ostrzał
był najefektywniejszy.

402

Następnie wezwał do siebie kolejno dowódców sekcji i wskazał im pozycje, które mieli zająć ze
swoimi ludźmi po zapadnięciu ciemności.

Matatu przekazał już wszystkie niezbędne informacje, dlatego Sean postanowił go odesłać.

- Wrócisz do Joba - polecił. - Jak tylko się ściemni,
przyprawdź go i pozostałych żołnierzy do mnie.

Kiedy Matatu zniknął, poświęcił ostatnią godzinę dnia na przyglądanie się powracającym śmigłowcom
znad pola walki na północy. Naliczył jedenaście hindów, co dobrze świadczyło

o zdolnościach radzieckich załóg naprawczych, które musiały
zreperować dwie zepsute maszyny. Cała eskadra śmigłowców,
poza maszyną wyeliminowaną przez Seana, osiągnęła pełną
zdolność operacyjną i siała ogromne spustoszenie wśród obroń
ców Renamo.

Podczas gdy śmigłowce zniżały się do lądowania i osiadały na ziemi, Sean objaśniał dowódcom sekcji
specyfikę lotu maszyn

1 kazał im zapamiętać dokładne położenie lądowisk.

— Tendela, ten jest twój. - Wskazał lądującą maszynę par
tyzantowi. - Zobacz, jak na chwilę zawisa w powietrzu. Bę
dziesz strzelać z tamtej kępy drzew na skraju kotliny. Zaznaczyłeś
dobrze pozycję?

— Tak, Nkosi Kakulu - potwierdził żołnierz.

Niebo było zalane krwistym kolorem zachodu. Patrząc na znikające za horyzontem ogromne słońce, Sean zastanawiał się, ile krwi popłynie o świcie.

Zapadający zmierzch nie przyniósł jeszcze całkowitych ciemności, które skryłyby schodzących ze wzgórza ludzi. Wszystkie szczegóły planu zostały już omówione, więc Sean i Alphonso usiedli obok siebie, czekając na noc. Seana ogarnęło znajome uczucie. Bez względu na to, ile razy już tak siedział, czekając na akcję, nigdy nie mógł opanować wewnętrznego napięcia. Czuł nadciągającą falę strachu. Pragnął jej nadejścia niczym narkoman niemogący się doczekać zastrzyku i jednocześnie lękał się jej całym swoim jestestwem.

- Zapowiada się dobre polowanie - powiedział cicho Al

phonso. - To będzie walka dla prawdziwych mężczyzn.

Sean skinął głową.

403

— Tak, przyjacielu, to będzie dobra walka, a jeśli przegramy,

będziesz musiał mnie zabić. To też będzie dobra walka.

— Zobaczmy - mruknął Alphonso, a w jego oczach odbiła

się czerwona poświata zachodu. - Zobaczmy.

Ostry zarys góry, na której stokach znajdowały się lądowiska hindów, rozmył się w mroku nadciągającej nocy. Na niebie pojawiła się Wenus, rozbłyśkując nad wzgórzem zimnym, nieruchomym światłem, jakby gwiazda je dla nich wybrała.

Godzinę po zachodzie z lasu wynurzyli się partyzanci głównej grupy uderzeniowej. Na czele kolumny szedł Job prowadzony przez Matatu, a za nimi podążała Claudia. Sean przywitał ich i natychmiast zaczął ustawiać żołnierzy w sekcje. Dowódcy przejęli dowodzenie nad grupami, które przystąpiły do rozpakowywania i składania stingerów.

Sean, Job i Claudia szli od grupy do grupy, kontrolując po raz ostatni sprzęt. Sprawdzali, czy baterie są naładowane i prawidłowo podłączone, czy cylindry z freonem mają otwarte zawory i czy monitory celownicze działają prawidłowo po włączeniu aktywatorów.

Wreszcie Sean był usatysfakcjonowany i gotowy do rozmieszczenia poszczególnych grup, ale wcześniej wezwał dowódców i kazał im jeszcze raz powtórzyć, co mają robić. Kiedy nie dopatrzył się żadnego błędu, przystąpił do wysyłania oddziałów na pozycje bojowe. Co pięć minut kolejna sekcja schodziła ze wzgórza.

Alphonso, który dowodził grupą odpowiedzialną za uderzenie na wschodnią stronę bazy, miał najdłuższą drogę do przejścia i wyruszył pierwszy.

Kiedy nadszedł czas na Joba dowodzącego oddziałem atakującym bazę od zachodu, przyjaciele wymienili szybko uściski dłoni. Nie życzyli sobie powodzenia, gdyż obaj byli przesądni. Zamiast tego Job zapytał ze złośliwą miną:

— Słuchaj, Sean, może wypłaciłbyś mi teraz te cztery tysiące zielonych, co to niby miały być specjalnym wynagrodzeniem?

— Przyjmiesz czek? - Sean uśmiechnął się pod grubą warstwą kamuflującego kremu.

Job uderzył go żartobliwie pięścią w ramię i odszedł na bok, żeby Sean mógł porozmawiać z Claudia.

404

— Nie chcę cię opuszczać - szepnęła i Sean przytulił ją mocno do siebie.

— Trzymaj się blisko Joba - rozkazał.

— Masz wrócić do mnie cały i zdrowy.

— Dobrze.

— Obiecujesz?

— Obiecuję - odpowiedział.

Claudia wysunęła się z jego ramion i zniknęła w ciemnościach za Jobem.

Sean patrzył za nią, czując jak silnie drżą mu ręce. Wbił je w kieszenie i zacisnął pięści.

- Nawet miłość nie potrafi osłabić instynktu walki - szep

nął i spróbował nie myśleć o Claudii. - Nic jej nie grozi przy

Jobie.

Grupa uderzeniowa czekała na niego cierpliwie na krawędzi lasu. Dwudziestu czterech ludzi, mięso armatnie, ci którzy nie zdali testu na symulatorze. Podczas gdy załogi ze stingerami będą strzelać z ukrytych pozycji pięćset metrów od ogrodzenia obozu, oddział Seana miał zaatakować od czoła, ściągając na siebie ogień i zmuszając hindy do podniesienia się z ziemi, żeby zapewnić strzelcom dobry cel. Właśnie ta grupa będzie musiała stawić czoło działkom kalibru 12,7 mm i wszystkim innym niebezpieczeństwom, jakimi mogła być najeżona baza.

Było to najniebezpieczniejsze zadanie i właśnie dlatego Sean nie mógł powierzyć dowództwa komukolwiek innemu. Będzie osobiście prowadził tych ludzi do walki.

- Chodźmy, Matatu - szepnął.

Kiedy mieli do czynienia z prawdziwym niebezpieczeństwem, jak zranione zwierzę w leśnym gąszczu czy atak na pozycje wroga, Matatu zawsze stawał u boku Seana. Nic nie mogło go powstrzymać od towarzyszenia swojemu panu.

W dowód uznania Alphonso sprezentował Seanowi automatyczny karabinek maszynowy AKM, unowocześnioną wersję AK-47, broń bardzo cenioną przez partyzantów. Idąc za Matatu, Sean poprowadził oddział w dół zbocza, zataczając koło, żeby znaleźć się między linią kolejową a obozem, możliwie jak najbliżej rozgałęzienia, na którym stały wagony cysterny.

Mieli całą noc, żeby zająć pozycje, więc szli, zachowując

405

maksimum ostrożności. Kiedy zbliżyli się do obozu wroga, jeszcze bardziej zwolnili kroku.

Było już po drugiej, gdy Sean ustawił ludzi na wyznaczonych stanowiskach, w dokładnie odmierzonych odstępach, żeby na jego rozkaz mogli ruszyć rozciągniętą tyralierą.

Przeprowadził ostatnią inspekcję broni, czołgając się od jednego partyzanta do drugiego, nacelowując sześćdziesięciomili-metrowe moździerz M4, sprawdzając dotykiem sprzęt i upewniając się nie wiadomo który raz, czy każdy z nich zrozumiał swoje zadanie. Po kilku słowach dodających otuchy i klepnięciu w ramię czołgał się do następnego stanowiska. Wreszcie, mając absolutną pewność, że niczego nie zaniedbał, położył się na ziemi, czekając na świt.

To była zawsze najgorsza i zarazem najlepsza część każdego polowania. Leżąc w pełnej ciszy, zastanawiał się, ile czasu swojego życia spędził właśnie w ten sposób, czekając na rozpoczęcie polowania czy walki, na pierwsze światło, kiedy cel staje się widoczny na celowniku. Ile razy odmierzał długie godziny nocy, czekając na tę jedną chwilę, gdy w niemal magiczny sposób na tle rozjaśnionego brzaskiem nieba zarysowywała się elegancka sylwetka leoparda spoczywającego na drzewie z przynętą.

Cofnął się pamięcią do innych szalonych przedsięwzięć, przygód pełnych śmiertelnego ryzyka i niemal nieopisanego podniecenia i nagle uświadomił sobie jasno, że jest to najprawdopodobniej jego ostatnia wyprawa. Miał już ponad czterdzieści lat, w jego życiu pojawiła się Claudia Monterro, więc zbliżał się czas zmiany. Myśl ta przyniosła ze sobą smutek, ale i pocieszenie.

Ostatnie polowanie będzie najlepsze ze wszystkich, pomyślał i raptem w absolutnych ciemnościach charakterystycznych dla godziny przed świtem usłyszał przerażający i ekscytujący, wysoki dźwięk zapuszczanego silnika turbinowego, który zawył w nocy niczym wilk. Piloci hindów zapuszczali silniki, rozgrzewając maszyny do pierwszego lotu.

Sean spojrzął na fosforyzujące wskazówki zegarka. Była za jedenaście piąta. Zbliżał się wschód słońca. Automatycznie odpiął magazynek łukowy spod karabinu i zamienił go na nowy wyjęty zza pasa. Ten stary zwyczaj dodał mu otuchy, a leżący za nim

Matatu rozpoznał go jako przygotowanie do walki i poruszył się niecierpliwie. Nie wiadomo skąd nadleciał poranny wiatr, muskając policzek Seana delikatnie niczym dłoń kochanki.

Wyciągnął rękę w kierunku wschodnim i rozczapierzył palce. Mógł dostrzec zarys każdego z nich na tle szarzejącego nieba. Ludzie z plemienia Matabele nazywali tę porę "czasem rogów", gdyż pasterze mogli wtedy rozpoznać poroża zwierząt na tle nieba.

Za dziesięć minut będzie światło do strzelania, pomyślał, wiedząc z doświadczenia, jak trudno jest wytrzymać cierpliwie te ostatnie minuty.

Jeden za drugim hindy zmniejszyły obroty silników, które pracowały na jałowym biegu. W czasie gdy obsługa naziemna uzupełniała paliwo i uzbrajała maszyny, załogi wchodziły na pokłady śmigłowców.

Sean musiał czekać na odpowiednią widoczność. Piloci najpewniej nie włączą reflektorów, a strzelcy ze stingerami muszą widzieć dokładnie maszyny w świetle poranka.

Robiło się coraz jaśniej. Sean zamknął oczy i policzył wolno do dziesięciu, zanim je ponownie otworzył. Dostrzegał wyraźnie pociętą linię wzgórza po drugiej stronie i chwiejące się na wietrze koronkowe drzewa msasa na tle purpurowego nieba.

- Ognia! - zawołał i klepnął leżącego obok partyzanta obsługującego moździerz. Żołnierz wprowadził pocisk do lufy. Kiedy zapalnik uderzył w iglicę, pocisk z głuchym stuknięciem poszybował w niebo sto pięćdziesiąt metrów nad wzgórzem, rozrywając się w potoku czerwonego światła.

Claudia schodziła za Jobem w dół stoku, trzymając się tak blisko idącego na czele oddziału mężczyzny, że wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. Job niósł na ramieniu wyrzutnię, a idący za dziewczyną partyzant ugiął się pod ciężarem zapasowych pocisków.

Zejście było niebezpiecznie strome i przy każdym kroku spod stóp wymykały się luźne kamyczki. Claudia była dumna, że potrafiła iść równie cicho i pewnie w tym trudnym terenie jak pozostali żołnierze.

Kiedy dotarli do dna kotliny i ruszyli ostrożnie w stronę bazy, była już porządnie spocona mimo owiewającego ją zimnego, nocnego powietrza. Jeszcze nie tak dawno, kilka tygodni wcześniej, czułaby się niepewnie w podobnych okolicznościach, ale teraz z łatwością orientowała się w kierunkach po gwiazdzie świecącej jasno nad wzgórzem. Wiedziała też, co zrobić na sygnał Joba, który kazał im stawiać ostrożnie stopy i zacierać za sobą ślady.

Dotarli do gęstego zagajnika, skąd mieli rozpocząć atak na bazę, i wśliznęli się pomiędzy ciemne drzewa. Claudia pomogła Jobowi przygotować stingery, a później znalazła sobie wygodne miejsce pod jednym z drzew.

Job zostawił ją i Szangane, który miał ładować wyrzutnię, i zniknął cicho w ciemnościach niczym polujący leopard. Claudia nie czuła się już tak pewnie po jego odejściu, ale pomyślała, że jeszcze niedawno umarłaby ze strachu. Uświadomiła sobie, jak wiele hartu ducha i zaufania we własne siły musiała zdobyć w ciągu ostatnich tygodni.

Tatuz będzie dumny ze mnie. Uśmiechnęła się na myśl, że użyła czasu przyszłego, jakby ojciec wciąż żył. Oczywiście, że żyje, zapewniła samą siebie. Jest tam gdzieś i cały czas mi się przygląda. Jak inaczej mogłabym aż tyle znieść? Wspomnienie ojca pokrzepiło ją na duszy, ale kiedy zaczęła o nim myśleć, wyobrażenia podsuwała jej obraz Seana, tak że stali się w końcu jedną istotą, jakby jej ojciec wrócił do życia pod postacią kochanka. Wyobrazenie i ojca, i Seana pozwoliło jej pokonać uczucie samotności do czasu, gdy Job pojawił się obok niej równie niespodziewanie, jak zniknął.

— Wszystkie sekcje są na pozycji - szepnął jej na ucho

i przysiadł się obok. - Czekają nas długa noc. Może byś spróbowała się zdrzemnąć.

— I tak bym nie zasnęła - odpowiedziała tak cicho, że Job musiał się nachylić, aby ją usłyszeć. - Opowiedz mi o Seanie.

Chciałabym się dowiedzieć o nim wszystkiego, co wiesz.

— Czasami jest bohaterem, a czasami zwykłym draniem. -

Job się zastanowił. - Najczęściej jest jednym i drugim jednocześnie.

— Dlaczego więc jesteś z nim tak długo?

—

- Jest moim przyjacielem - odparł po prostu Job i zaczął jej wolno, z długimi przerwami opowiadać o Seanie, jakiego znał.

Nawet nie zauważyli, jak przegadali całą noc. Claudia słuchała z ciekawością, zachęcając Joba do mówienia i zadając mu mnóstwo pytań:

- Job, Sean był już kiedyś żonaty, prawda?

Albo:

- Dlaczego opuścił dom? Słyszałam, że jego rodzina jest niesamowicie bogata. Dlaczego wybrał takie życie?

Godziny mijały i z każdą z nich stawali się sobie coraz bliżsi. Job był pierwszym przyjacielem Claudii w Afryce. Na koniec powiedział swoim pięknym, głębokim głosem:

— Będzie mi go brakowało bardziej, niż umiem to wyrazić.

— Dlaczego mówisz tak, jakbyście mieli się rozstać? Przecież to nieprawda. Będzie tak jak dotychczas.

— Nie - zaprzeczył Job. - Nic już nie będzie tak jak dawniej. Teraz odejdziesz z tobą. Nasz czas się skończył, twój się zaczyna.

— Nie chciałam, żebyś miał do mnie o to pretensje. -

Położyła rękę na ramieniu Joba.

— Będzie wam obojgu dobrze razem - oświadczył Job. -

Twoja droga z nim będzie równie dobra jak moja. Będę z wami myślami i życzę wam szczęścia.

— Dzięki, Job - szepnęła. - Zawsze będziesz naszym najlepszym przyjacielem.

Job wyciągnął ramię i spojrzał na palce.

- Czas rogów - mruknął do siebie. - Już niedługo. -

W tej samej chwili, gdy to powiedział, nad wzgórzem rozkwitł jasnoczerwony kwiat rozrywającego się szrapnela.

Z chwilą gdy pocisk eksplodował nad obozem, rozpoczęła się walka. Sean uznawał ten moment za narodziny potwora, który żył własnym życiem i miał własną wolę i którym mógł jedynie próbować pokierować. Przerazające monstrum porywało wszystkich w swoje ramiona i niosło ku śmierci.

Sean zostawił RPG-7 w rękach dwóch najlepszych strzelców w dowodzonej przez niego grupie. Niestety, nie byli to snajperzy.

Pierwszy strzał był zbyt niski i pocisk trafił w ziemię siedem metrów od cysterny, rozrywając się w żółtym blasku ognia. Sean spostrzegł, jak żołnierz Frelimo wylatuje w powietrze i koziółkując, opada

na ziemię. Drugi pocisk poszybował za wysoko. Przeleciał dwa metry nad celem, osiągając najwyższy punkt trajektorii pięćset metrów dalej i spadając w lesie. Tym razem drzewa i krzaki zasłoniły wybuch.

- Jak strzelasz, ty ośle! - ryknął Sean, podrywając się

z ziemi i biegnąc co sił w nogach w stronę strzelca, uświadamiając

sobie, jak poważny popełnił błąd, nie strzelając własnoręcznie.

Żołnierze Frelimo rozbiegli się z krzykiem, a zza ogrodzenia bazy odezwał się ciężki karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, plując setkami pocisków smugowych.

Partyzant obsługujący RPG-7 usiłował załadować granatnik, ale w panice jego ruchy były nieporadne. Sean zerwał mu wyrzutnię z ramienia. Dwoma sprawnymi ruchami zdjął osłonę głowicy i oczyścił iglicę. Zarzucił granatnik na ramię i przyklęknął na jedno kolano.

- Cholera, właśnie teraz - mruknął do siebie, czekając, aż

powiew, który owiewał mu twarz, ucichnie.

Naboje RPG-7 były wyjątkowo niecelne na wietrze; podmuchy na stateczniki obracały nos pocisku w stronę, z której wiało.

Wiatr nagle ucichł i Sean naprowadził celownik na cysternę z paliwem. Wagon znajdował się trzysta metrów od niego, co było maksymalną granicą celnego strzału z tej broni. Pociągnął za spust, granat pomknął prosto do celu i bok cysterny rozerwał się w spektakularnym wybuchu avgasu, paliwa lotniczego. Niebo nad torami wypełniło się płomieniami jasnego ognia.

Sean warknął na stojącego za nim strzelca i mężczyzna podał mu następny granat z przytwierdzonym materiałem napędzającym w kartonowym rulonie.

Płonące paliwo oświetliło południowy stok tak jasno niczym stojące w zenicie słońce. Sean klęczał na otwartym terenie i strzelec obsługujący karabin maszynowy skierował na niego ogień.

Wszystko wokół Seana zniknęło w chmurze pyłu i latających w powietrzu grud. Stojący za nim partyzant rzucił się na ziemię.

- Podnieś się, ty tchórze! - Sean sprawnie załadował granat

nik, nie starając się nawet ukryć przed śmigającymi wokół kulami.

410

Podniósł wyrzutnię i wycelował w drugą cysternę. Była oświetlona płomieniami niczym reflektorami na scenie, ale kiedy miał już pociągnąć za spust, zasłonił ją tuman żółtego kurzu. W tej samej chwili seria z karabinu maszynowego przeszła mu tak blisko głowy, że poczuł ból w uszach, jak gdyby znajdował się w kabinie dekompresyjnej.

Odczekał trzy sekundy. Kiedy zasłona kurzu opadła, wystrzelił.

Druga cysterna rozerwała się zrzucona z torów. Płonące paliwo spływało po stoku niczym lawa z miniaturowego Wezuwiusza. Sean rzucił granatnik strzelcowi.

- Możesz palnąć im w głowę tym cholerstwem! - ryknął na wystraszonego mężczyznę. - Do niczego innego się nie nadajesz!

Załogi z moździerzami wykazywały się większą celnością. Sean sam wycelował im broń i patrzył teraz, jak partyzanci pochylają się nad lufami, wrzucają do nich pociski i szybko odstepują na bok. Deszcz szrapneli wlatywał wysoko w szare niebo i spadał na obóz.

Sean przyglądał się przez chwilę obojętnym, zawodowym wzrokiem efektom strzałów.

- Dobrze - mruknął do siebie. - Całkiem nieźle. - Udało im się wziąć tylko po trzydzieści naboji do każdego moździerza; każdy nabój moździerzowy ważył prawie dwa kilogramowy. Za kilka minut moździerze umilkną, więc muszą zaatakować obóz, dopóki wybuchające pociski zmuszają strzelców Frelimo do ukrycia się. Sean podniósł z ziemi AKM i odciągnął bezpiecznik. - Za mną! - ryknął na całe gardło i wydał kilka ostrych gwizdów. - Jazda!

Szangane poderwali się z ziemi i ruszyli biegiem w dół zbocza. Było ich tylko dwudziestu, śmiesznie mała grupka biegnących ludzi oświetlonych jasnymi płomieniami. Żołnierz obsługujący ciężki karabin maszynowy skierował na nich ogień i nad głowami żołnierzy zaczęły przelatywać pociski smugowe, gęste niczym chmura komarów.

- O kurwa! - Sean roześmiał się nerwowo. - Co za gówno!

Jakiś strzelec Frelimo upatrzył go sobie, ale Sean zbiegał ze wzgórza długimi krokami. Ogień szedł górą i lekko z boku. Jedna z serii świsnęła tak blisko Seana, że poczuł, jak powiew

411

szarpie mu mundur. Przyspieszył jeszcze bardziej i biegnący za nim Matatu zachichotał przenikliwym śmiechem, usiłując dotrzymać tempa swojemu panu.

- Co w tym śmiesznego, mały, głupi gnojku?! - wrzasnął wściekle Sean, wybiegając na płaski teren przed cysternami.

Strzelcy Frelimo mieli teraz linię strzału zasłoniętą przez gęste kłęby czarnego dymu. Sean skierował Szangane prosto na obóz.

Machnął zaciśniętą pięścią w powietrzu, żeby zmusić ich do szybszego kroku.

Kolejne dwieście metrów pokonali ukryci za gęstą, czarną zasłoną dymu, którą poranny wiatr roznosił na boki i trzymał nisko przy ziemi.

Nagle wprost przed Seanem wyłonił się jeden ze strażników Frelimo. Miał na sobie wyblakłe, porwane dżinsy i zwykłe tenisówki na nogach. Zgubił gdzieś swoją broń. Jakiś odłamek musiał go trafić w oko, które wypłynęło z oczodołu i wisiało na policzku niczym winogrono, kołyszając się na grubych nerwach przy każdym ruchu głowy.

Nie zwalniając, Sean trafił strażnika w brzuch serią trzech pocisków z AKM. Przeskoczył przez ciało, zanim jeszcze dotknęło ziemi.

Wynurzyli się z zasłony dymnej w formacji bojowej. Sean rozejrzał się na obie strony i z niedowierzaniem stwierdził, że nie stracili jeszcze żadnego człowieka, dwudziestu Szangane biegło w rozciągniętym szyku, stanowiąc w kłębach dymu wyjątkowo trudny cel dla zdeorientowanych strzelców Frelimo.

W tej samej chwili kilkanaście kroków przed sobą Sean spostrzegł cienki drut i rząd metalowych dysków na stalowych podstawach. Na każdym dysku była namalowana stylizowana czaszka i skrzyżowane kości. Zanim się zorientował, znaleźli się na polu minowym otaczającym obóz.

Dwie sekundy później partyzant biegnący na prawo od Seana nastąpił na minę przeciwpiechotną. Rozbłysk ognia i chmura kurzu zasłoniły ciało poniżej pasa. Żołnierz zwałił się na ziemię z oderwanymi przez wybuch nogami.

- Nie zatrzymywać się! - wrzasnął Sean. - Prawie już przeszliśmy! - Strach usadowił mu się na karku niczym czarna bestia i przyginał go ku ziemi, pozbawiając oddechu. Jak każdy

412

żołnierz bardziej niż śmierci lękał się okaleczenia, a grunt, po którym biegł, był usłany małymi minami.

Matatu wyskoczył przed Seana, zmuszając go do zwolnienia kroku.

- Podążaj za mną, Bwanal - zawołał cienkim głosem w suahili. - Stąpaj tam, gdzie ja stanąłem.

Sean natychmiast posłuchał, dostosowując krok do kroku małego tropiciela. Matatu przebiegł ostatnie pięćdziesiąt kroków pola minowego, prowadząc swojego pana. Sean jeszcze nigdy nie

widział takiego poświęcenia i szaleńczej odwagi. Dwóch kolejnych Szangane nastąpiło na miny, tracąc nogi w wybuchach. Oddział zostawił ich leżących w kałużach krwi i porwanego mięsa. Partyzanci przeskoczyli przez cienki drut odgradzający pole minowe.

Mimo strachu i podniecenia Sean czuł, jak pieką go oczy. Zawładnęło nim uczucie wdzięczności i miłości do małego Ndorobo. Najchętniej porwałby go z ziemi i uściśnął w ramionach, ale zamiast tego tylko mruknął, z trudem łapiąc powietrze w zmęczone płuca:

- Jesteś tak chudy, że żadna mina nie wybuchłaby, nawet gdybyś na nią nastąpił.

Matatu zamrugał oczyma z ukontentowania i znowu biegł u jego boku, gdy zaatakowali otoczone workami z piachem stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego, które znalazło się na wprost nich.

Sean strzelał krótkimi seriami z karabinka trzymanego na wysokości biodra, mierząc w głowę strzelca wystającą nad workami.

Żołnierz obrócił ciężki karabin w stronę napastnika, celując w brzuch. Sean był tak blisko, że dostrzegł czerwone płomienie odbite w oczach strzelca. W chwili gdy strzelec pociągnął za spust, Sean rzucił się na ziemię, prześlizgując się pod kulami niczym bramkarz łapiący piłkę. Pociski przeleciały mu nad głową, a wystrzały zdawały się rozrywać bębunki w uszach, ale przetoczył się jeszcze kilka razy po ziemi i wpadł na ścianę stanowiska, przywierając do worków z piachem. Był tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby dotknąć lufy.

Sean wyszarpnął granat ręczny z pasa, wyrwał zawleczkę

413

i wepchnął go do otworu strzelniczego za sobą, jakby wrzucał list do skrzynki.

Uśmiechnął się, słysząc, jak żołnierz woła coś w panice po portugalsku.

- Wesołej zabawy! - powiedział Sean i w tej samej chwili

granat się rozerwał, wyrzucając przez szczelinę kłęby dymu

i ognia.

Sean poderwał się na nogi i przeskoczył ścianę. W środku znajdowało się dwóch ludzi wijących się na ziemi w kałużach krwi, a kilku innych opuściło stanowisko, uciekając w górę zbocza co sił w nogach i drąc się wniebogłosy.

Zostawił obu rannych na łaskę Matatu, który sprawnie dobił ich długim nożem, a sam przesunął karabin maszynowy ku tylnej ścianie stanowiska. Wycelował broń w biegnących żołnierzy Freli-mo,

posyłając za nimi długą, niską serię. Dwóch żołnierzy zważyło się na ziemię. Śmiejący się do siebie Matatu przyciągnął skrzynkę z amunicją do karabinu i pomógł Seanowi załadować broń.

Z nowym pasem zawierającym dwieście pięćdziesiąt naboń Sean wystrzelił serię, kierując lufę karabinu od jednego końca wzgórza do drugiego, rozbijając grupki uciekających żołnierzy Frelimo.

Po raz kolejny ze zdziwieniem stwierdził, że ponad połowa Szangane przeżyła przejście przez pole minowe i ciężki ostrzał. Wyjąc triumfalnie, rzucili się w pogoń za pierzchającym wrogiem.

Lufa karabinu była tak gorąca, że syczała niczym rozgrzany metal zanurzony w wodzie.

- Ruszamy! - Sean wskoczył na ścianę, gotów podążać za swoimi ludźmi w głąb obozu, żeby zniszczyć instalacje obsługi naziemnej śmigłowców.

W chwili gdy stanął na workach, oświetlony od tyłu płomieniami z rozbitych cystern, na niebie przed sobą zobaczył potworny kształt hinda. Wśród narastającego ryku silników turbinowych i świstu śmigieł maszyna uniosła się z lądowiska oddalonego o niecałe dwieście metrów. Otoczona chmurą kurzu wyglądała niczym przedpotopowy potwór. Śmigłowiec obrócił się ciężko, aż odbijająca promienie słoneczne oszklona kabina znalazła się na wprost Seana, a wielolufowe działko pokładowe umieszczone w wieżyczce strzelniczej pod dziobem wycelowało w niego niczym palec oskarżyciela.

414

Sean schwycił Matatu za szyję, zepchnął go na ziemię za ścianą stanowiska ogniowego i sam rzucił się na niego, osłaniając go swoim ciałem. W tej samej chwili ciężkie kule poszarpały worki, pokrywając ich chmurą piachu i żwiru.

Raptowność, z jaką wybuchła walka, zaszokowała Claudię. Jeszcze przez chwilę otaczała ją cisza i spokój ciemności, w której rodził się świt, gdy nagle z przeraźliwym hukiem rozerwały się pociski, niebo rozjaśniło się mknącymi w górę płomieniami i śladami pocisków smugowych, a jej uszy zdawały się pękać od łoskotu wybuchających granatów, min i strzałów z karabinów maszynowych.

Potrzebowała kilku długich chwil, żeby oczy przyzwyczyły się do intensywnego światła. Zaczęła śledzić szybko zmieniający się kalejdoskop bitwy. Job wskazał jej miejsce, w którym Sean miał przypuścić atak na bazę, więc z napięciem wypatrywała jego osoby. Malutkie figurki ludzi biegnących po odsoniętym zboczu były oświetlone płomieniami płonącego paliwa, rzucały pokrzywione cienie ścigające żołnierzy. Pole walki przypominało kręcące się w panice mrówki. Claudia w przerażeniu patrzyła, jak niektórzy padają na ziemię i leżą nieruchomo w szalejącym wokół chaosie światła, ruchu i odgłosów.

— Gdzie jest Sean? - szepnęła z niepokojem. - Widzisz go?

— Po lewej, na skraju dymu - powiedział Job.

Claudia odszukała malutką figurkę mężczyzny śmigającą przed Seanem niczym pies gończy.

- Widzę jego i Matatu.

Przed biegnącą parą ziemia rozkwitła wzbitym w powietrze kurzem i płomieniami. Straciła ich z oczu.

- O Boże, nie! - krzyknęła w przestachu, ale wiatr zaraz rozwiął zasłonę i Claudia znowu zobaczyła dwóch mężczyzn w potoku pocisków smugowych, które krążyły wokół nich niczym diabelskie świetliki. - Boże, proszę, osłaniaj go - pomodliła się i znowu straciła ich z oczu, gdy dopadli pierwszego stanowiska strzeleckiego. - Gdzie on jest? - Złapała Joba za ramię i mocno potrząsnęła. - Gdzie on jest, widzisz go?

Nagle Sean pojawił się na ścianie z worków. Nawet z tej

415

odległości wydał jej się heroiczną postacią, gdy balansował z karabinem w rękę, otoczony migotliwym światłem płomieni. Krzyknęła głośno z ulgą.

W tej samej chwili dostrzegła, jak Sean się schyla, a niedaleko przed nim unosi się potworna sylwetka hinda i obraca ku niemu, zniżając uzbrojony dziób niczym byk zwieszający głowę do szarży. Claudię dobiegł huk wystrzałów działka pokładowego. Fontanna piachu i kurzu zakryła wszystko.

- Job! - jęknęła Claudia. - Zabili go! - Chciała go znowu chwycić za ramię, ale Job strącił jej rękę.

Przyklęknął na jedno kolano z wyrzutnią na ramieniu. Jego twarz oświetlona refleksiem płomieni była skoncentrowana na ekranie celownika.

- Szybciej! - szepnęła stłumionym głosem Claudia. -

Strzelaj!

Pocisk wyleciał z długiej tuby. Gorące powietrze pomieszczone z pyłem i żdźbłami trawy owiało Claudię, gdy kilka metrów dalej uruchomił się silniczek odrzutowy. Zmrużyła oczy i wstrzymała oddech, patrząc na ozdobiony ogonem białego dymu i ognia pocisk pomykający w stronę stoku wzgórza, z którego uniósł się śmigłowiec.

Dostrzegła, jak pocisk gwałtownie zmienia trajektorię po przełączeniu się na celownik ultrafioletowy i lekko unosi nos, rezygnując z opancerzonych otworów rur wydechowych i kierując się prosto ku otwartym wlotom powietrza tuż pod śmigłami.

Miała wrażenie, że widzi, jak pocisk wlatuje do maszyny, ale ograniczony opancerzeniem wybuch okazał się stosunkowo łagodny i trudno było poznać, jak wielkie spustoszenie uczynił. Hind zakołysał się i przewrócił na plecy, unosząc gwałtownie dziób do góry. Spadał na ziemię wirnikiem do dołu, tylne śmigło zawadziło o skalisty grunt i postawiło maszynę niemal pionowo. Potem hind stoczył się po zboczu, koziółkując raz za razem, otoczony płomieniami wylatującymi z otworów wlotu powietrza, tnąc ziemię potężnym śmigłem, które łamało się na kawałki.

Claudia rozglądała się w desperacji za Seanem. Odetchnęła głęboko z ulgą, gdy rozpoznała jego postać zeskakującą z otoczonej kłębam dymu ściany worków i zaraz biegnącą w górę zbocza. Tuż za nim podążał Matatu.

416

- Podaj ładunek! - rozkazał Job.

Z poczuciem winy Claudia sięgnęła po pocisk i pomogła Jobowi załadować wyrzutnię.

Gdy skończyli robotę, rozejrzała się za Seanem. Nie widziała go, ale w powietrze zdążyły się wzbąć trzy następne hindy odcinające się od rozjaśnionego świtem nieba i oświetlone płomieniami. Wszystkie strzelały z działek pokładowych, niektóre wyszukując sobie cele na terenie bazy, gdzie partyzanci walczyli z żołnierzami Frelimo, inne tnąc ciemny las porastający wzgórza, starając się zniszczyć załogi ze stin-gerami.

Kolejny hind został trafiony. Przewrócił się na grzbiet, wybuchając jasnym płomieniem i waląc z rozpędem w skaliste wzgórze. Po chwili jeszcze jedna maszyna potknęła się w locie i runęła na drzewa, by stoczyć się po nich na ziemię.

Jednocześnie następne śmigłowce wzbijały się w powietrze, waląc z działek i zalewając wszystko wokół strumieniami pocisków. Job poderwał się na nogi, gdy jedna maszyna próbowała się wymknąć z pułapki, wzbijając się wprost nad ich głowami. Odchylił się do tyłu, celując niemal pionowo w górę.

Hind wzbil się na wysokość trzystu metrów, oddalając się od bazy. Znalazł się niemal poza efektywnym zasięgiem stingera i w dodatku ustawiony był pod bardzo trudnym do trafienia kątem. Wystrzelony pocisk pomknął jednak po niesamowitej trajektorii, dosięgając maszyny, która aż zakołysała się od ciosu. Przez chwilę zawisła nieruchomo w powietrzu, ale zaraz spadła z jękiem potłuczonych śmigieł, nurkując w kotlinę i waląc się na las w łoskocie łamiących się gałęzi i wywracanych drzew.

- Podaj ładunek. - Job nawet nie spojrzał na agonię hinda.

Claudia rzuciła się, żeby pomóc mu wprowadzić pocisk do tuby. Klepnęła go lekko w ramię, gdy skończyła.

- Już! - powiedziała.

Kolejny śmigłowiec wyleciał spomiędzy lasu prosto przed nimi. Radziecki pilot leciał tak nisko, że maszyna zdawała się dotykać ziemi. Jednocześnie rzucał nią, starając się kryć za koronami drzew,

robiąc uniki niczym bokser. Potężny pęd powietrza pchanego w dół przez śmigła przyginał wysoką trawę zaledwie kilka metrów pod korpusem maszyny.

417

Stojący na otwartym terenie Job obrócił się, żeby wycelować broń, zaparł się nogami i odnalazł obraz śmigłowca na ekranie.

Hind wyrównał na chwilę lot i w tym samym momencie pociski z działka przeleciały ze świstem obok Claudii i Joba niczym huraganowy wiatr. Siła podmuchu rzuciła Claudię na ziemię, a jej uszy zdawały się pękać od gwałtownego ryku kul.

Job przewrócił się na dziewczynę całym ciężarem. Na chwilę straciła oddech. Leżeli oboje między dwoma głazami, które odbiły pozostałe pociski, i hind przeleciał zaledwie kilka metrów nad nimi. Pęd powietrza uderzył Claudię w twarz, zasłaniając jej oczy zmierzwionymi włosami.

Śmigłowiec odplynął niczym polujący rekin. Oślepiąca i przyduszona przez Joba Claudia próbowała się podnieść. Nagle spostrzegła, że jej ręce są wilgotne i że coś ciepłego spływa na nią i przeinacza koszulę.

- Job! - jęknęła zduszonym głosem. - Wstań! Zejdź ze mnie! - Kiedy nie odpowiedział ani się nie poruszył, zrozumiała, że wilgoć, jaką czuje na swoim ciele, jest krwią Joba. Świadomość ta dodała jej sił. Odtoczyła jego ciało na bok, z trudem się spod niego wyczołgując.

Podpełzła do Joba na kolanach, żeby zobaczyć, co mu się stało. Pocisk trafił go w tors. Claudia patrzyła szeroko otwartymi z przerażenia oczami na ranę. Job wyglądał, jakby go poraniło jakieś dzikie, drapieżne zwierzę; prawe ramię było niemal urwane i zarzucone bezwładnie na głowę.

Wpatrywała się w ranę odrętwiałym wzrokiem, próbując wymówić imię przyjaciela. Wyciągnęła rękę i ostrożnie pogłaskała go po twarzy, nie śmiąc dotknąć okaleczonego ciała. Czowała się tak, jakby straciła najbliższą osobę. Otworzyła usta, by wybuchnąć płaczem, lecz zamiast tego wydobył się z nich szalony jęk nienawiści. Jej wściekłość była tak silna, że niemal wypchnęła ją z własnego ciała. Miała wrażenie, że patrzy na swoją postać z boku, zdumiona poczynaniami nieznajomej kobiety, która zawładnęła jej ciałem i rzuciła je w poszukiwaniu wyrzutni pocisków rakietowych. Znalazła ją obok Joba.

Poderwała się na nogi ze stingerem na ramieniu, szukając na niebie hinda. Znajdował się czterysta metrów dalej, lecąc wokół

418

podnóża góry niemal nad koronami drzew, wyszukując pozycje Renamo i niszcząc je z broni pokładowej.

Kiedy zwróciła się w stronę śmigłowca, stojąc w pełnym świetle płomieni, pilot musiał ją zauważyć, gdyż obrócił maszynę, podnosząc jednocześnie działko pod dziobem.

— Załadowane - powiedziała, a własny głos zabrzmiał nie samowicie w jej uszach, gdy powtarzała litanię zniszczenia.

— Aktywator włączony. - Zobaczyła na ekranie przed sobą obraz hinda. Naprowadziła na niego krzyżyk celownika. Pocisk zajęczał wysokim tonem, by natychmiast przejść w jednostajne buczenie.

— Na celu - szepnęła, nie czując strachu, gdy sylwetka śmigłowca skierowała się prosto w jej stronę.

Operator uzbrojenia naprowadzał lufę działka na dziewczynę, żeby złapać ją na własnym monitorze.

- Ognia! - powiedziała cicho i pociągnęła za spust. Pod stawa wyrzutni kopnęła ją silnie w ramię. Claudia zacisnęła powieki. Pocisk pomknął z szybkością czterokrotnie przewyższającą prędkość dźwięku, kierując się prosto do celu.

Działko pokładowe wystrzeliło, ale dziewczyna poczuła jedynie falę uderzeniową, gdy kule przemknęły blisko jej głowy. Rakieta zmieniła lot i wpadła w otwartą gardziel wlotów powietrza. Hind znajdował się zaledwie kilka metrów nad ziemią i uderzając o nią, przetoczył się na bok. Chwilę przed tym, jak płonące paliwo zakryło maszynę, Claudia dostrzegła spanikowaną twarz pilota uwięzionego w kabinie. Po sekundzie wszystko znikło pochłonięte słupami ognia i dymu.

To była żywa istota, pomyślała. Żywy człowiek, a ja go zabiłam. Oczekiwała wyrzutów sumienia i uczucia żalu. Była przekonana, że każde życie, a zwłaszcza ludzkie, jest święte. Jednakże wyrzuty sumienia się nie pojawiły, natomiast ogarnęło ją dziwne uniesienie spowodowane zwycięstwem, równie silne jak nienawiść, która przed chwilą nią kierowała.

Rozejrzała się szybko wokół, szukając nowych celów, czegoś, co jeszcze mogłaby zniszczyć, na czym mogłaby się zemścić. Niebo było puste. Na zboczach wzgórze i na pokrytym drzewami dnie kotliny leżały płonące cielska hindów. Wszystkie zostały strącone, pomyślała w uniesieniu. Mamy je wszystkie.

^^

Szangane obsługujący stingery wybiegali z lasu i wdrapywali się na wzgórze, żeby pomóc grupie uderzeniowej Seana. Claudia widziała, jak obrońcy Frelimo rzucają broń na ziemię i chowają się w okopach z podniesionymi rękami, poddając się bez walki. Patrzyła obojętnie, gdy pędzący Szangane przebijali bagnietami albo tłukli kolbami wrogich żołnierzy.

Job stęknął cicho. W jednej chwili z Claudii uleciała cała wściekłość. Odrzuciła pustą wyrzutnię i przyklęknęła przy rannym.

- Myślałam, że nie żyjesz! - szepnęła, odwijając z szyi chustę. Dopiero teraz palce zaczęły jej drżeć. - Nie umieraj, Job. Proszę, nie umieraj. - Chusta była brudna od potu i kurzu, jej końce poszarpane, ale Claudia zwinęła ją w kłębek i wepchnęła w rozwartą ranę. Przycisnęła szmatę z całej siły, starając się zatamować upływ krwi. - Sean zaraz tu będzie - powiedziała. - Job, nie umieraj. Musisz walczyć. Pomogę ci.

Sean i Matatu przypadli do ziemi za ścianą stanowiska ogniowego, schylając się jak najniżej, gdy deszcz pocisków świstał

0 centymetry nad ich głowami, wypełniając oczy i nozdrza kurzem i piachem.

Gdy tylko umilkły strzały, Sean wyskoczył z ukrycia akurat w chwili, gdy trafiony hind wyrznął śmigłem ogonowym w skalisty grunt i rozleciał się na kawałki, turlając się ze wzgórza.

- Niech mnie diabli, te cholerne stingery naprawdę działają! - roześmiał się, wciąż przejęty strachem.

Siedzący na ziemi Matatu zachichotał radośnie, klaszcząc w dłonie.

- Zupełnie jak strzelanie z banduki do siedzących kaczek! - zawołał w suahili i poderwał się na równe nogi, żeby podążyć za Seanem.

Na widok Seana z pobliskiego rowu wypadło trzech żołnierzy Frelimo. Puścił za nimi serię z biodra, trafiając jednego z nich nisko w plecy. Mężczyzna zwałił się na ziemię, a dwóch pozostałych rzuciło broń i opadło na kolana, trzęsąc się ze strachu

1 podnosząc ręce wysoko nad głowę. Sean nie zwracał już na nich uwagi i obaj usiedli z ulgą na ziemi.

Minął zewnętrzne linie obrony i wbiegł do bazy, gdzie znajdowały się lądowiska śmigłowców oraz warsztaty naprawcze. Warsztaty i zbiorniki z paliwem były osłonięte workami z piachem, a także przykryte siatkami maskującymi. Na bazę wciąż spadały pociski z moździerzy i chmary świszczących szrapneli, wzbijając w powietrze gejzery piachu. Jeden z hindów spadł przy końcu obozu i płonął, wyrzucając w niebo smugi czarnego, tłustego dymu, który wiatr znosił na warsztaty.

Wokół ganiały w zamieszaniu wystraszone, pogubione postacie - nieuzbrojeni technicy w wytuszczonych kombinezonach. Na widok Seana padali na kolana z podniesionymi rękami. Pomalowany w barwy ochronne i z wypisaną na twarzy żądzą krwi przedstawiał przerażający widok.

- Na ziemię! - Zrobił wymowny gest lufą karabinu i technicy z ulgą pokładli się płasko, z rękami na głowach.

Nagle dostrzegł długie, wygięte śmigła hinda wystające nad wysoką ścianę z worków z piachem.

Jeden nawet nie wystartował, pomyślał, biegnąc ku maszynie. W tej samej chwili śmigła zaczęły się obracać, nabierając szybkości. Ktoś próbował wzbic maszynę w powietrze.

Sean wbiegł przez wąskie przejście na koliste lądowisko. Zwolnił kroku, żeby się rozejrzeć. Olbrzymi, pomalowany w kamuflujące barwy hind wznosił się nad Seanem, a śmigła wściekle i coraz szybciej wirowały nad jego głową. Trzech Rosjan z obsługi naziemnej stało przed maszyną. Sean dostrzegł czerwony emblemat w kształcie strzałki namalowany na dziobie śmigłowca symbolizujący Doskonałą Załogę. Było to jedno z ważniejszych wyróżnień w radzieckim lotnictwie.

Technicy odwrócili się w stronę Seana i zdziwieni widokiem jego dzięki twarzy aż pootwierali szeroko usta. Sean nakierował na nich lufę karabinka. Rosjanie się cofnęli.

Niższa kabina była otwarta. Właśnie jeden z członków załogi wchodził do środka. Na zewnątrz wystawały jedynie potężne nogi w szarym kombinezonie. Sean chwycił mężczyznę za genitalia. Rosjanin krzyknął cienkim głosem, Sean zaś posłużył się trzymaną w garści zawartością, żeby pociągnąć go do tyłu i cisnąć na lądowisko.

Śmigła jęknęły przenikliwie, gdy włączył się silnik turbinowy.

421

Sean wskoczył na stopień prowadzący do kabiny. Usytuowana wyżej kabina pilota także była otwarta, więc mógł wsunąć do środka lufę AKM.

Siedzący przy sterach pilot był młodym, chudym mężczyzną z krótko obciętymi blond włosami. W pośpiechu nie zdążył nawet założyć hełmu. Obrócił głowę, żeby spojrzeć na napastnika. Twarz miał poznaczoną czerwonymi i purpurowymi plamami trądziku, a jasnoniebieskie oczy niemal przezroczyście. Rozszerzyły się dramatycznie, gdy Sean przystawił mu do nosa lufę karabinka i powiedział:

- Zabawa skończona, Iwan. Wracamy do domu.

Było oczywiste, że ta maszyna nie była przeznaczona do lotów na dzisiejszy dzień i że załoga próbowała ją wznieść w powietrze kiedy rozpoczął się atak. Minęło zaledwie dziesięć minut od chwili, gdy w obozie rozerwał się pierwszy pocisk moździerzowy. Nie mieli dosyć czasu, żeby przygotować maszynę do lotu, choć niemal się im to udało.

- Wyłącz silniki - rozkazał Sean i poparł swoje polecenie, przystawiając pilotowi lufę do nosa z taką siłą, że z jednej dziurki popłynęła krew, a z oczu łzy.

Chłopak niechętnie pchnął dźwignię sterującą mieszanką paliwa do pozycji zero i wyłączył kolejne przełączniki. Świst z wolna umilkł.

- Wysiadaj! - polecił Sean i pilot zrozumiał wymowny gest towarzyszący rozkazowi, nawet jeśli nie rozumiał słowa.

Odpiął pasy bezpieczeństwa i wolno zszedł na ziemię.

Sean kazał stanąć pod ścianą wszystkim Rosjanom: pilotowi, operatorowi uzbrojenia i trzem członkom załogi obsługi naziemnej.

- Witamy w kapitalistycznym świecie, towarzysze - przywitał ich i spojrzał na hinda. - Bingo! - uśmiechnął się silnie pobudzony płynącą w jego żyłach adrenaliną. - Matatu, mamy prawdziwego, sprawnego hinda.

Matatu świetnie się bawił.

- Zabijmy ich teraz - zasugerował wesołym głosem. - Daj mi banduki. Zabiję ich dla ciebie.

Sean tylko raz w życiu widział, jak Matatu strzela z broni, kiedy dla dowcipu dał mu swoją ciężką dwururkę. Odrzut podniósł tropiciela z ziemi i rzucił go trzy metry do tyłu.

422

- Nie trafiłbyś żadnego z nich nawet z tej odległości, ty krwiożerczy mały gnojku. - Sean uśmiechnął się do przyjaciela i ponownie przyjrzał się maszynie. Dopiero teraz uświadomił sobie wielkość zdobyczy.

Hind byłby wspaniałym środkiem transportu, gdyby można nim było uciec. Claudia, Job, Matatu i on mogliby szybko i bezpiecznie znaleźć się w domu. Po chwili otrzeźwiał, zdając sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji.

Sam nigdy nie pilotował śmigłowca, nie miał nawet najmniejszego pojęcia, jak to się robi. Wiedział tylko, że wymaga to specjalnych umiejętności, które różnią się całkowicie od pilotowania samolotu.

Spojrzał oceniającym wzrokiem na radzieckiego pilota. Mimo młodego wieku i trądziku na twarzy w oczach mężczyzny kryła się duma i upór. Sean wiedział, że oficerowie lotnictwa są elitą w radzieckich siłach zbrojnych. Ten niemal na pewno był fanatycznym patriotą.

Mała szansa na zatrudnienie cię jako przewoźnika, pomyślał i powiedział na głos:

— W porządku, panowie, wychodzimy stąd. - Wskazał na wyjście. Pomaszzerowali posłusznie pod lufajęgo karabinu. Kiedy mijał go radziecki pilot, Sean zatrzymał go i wyciągnął mu z kabury na biodrze pistolet Tokariewa.

— Nie będziesz tego potrzebować, Iwan - oświadczył i wsuwał broń za pas.

Przy ścianie lądowiska hinda znajdował się ufortyfikowany warsztat wykopany w zboczu wzgórza, osłonięty palami i workami z piaskiem. Sean zaprowadził tam Rosjan i rozejrzał się wokół.

Walka już ucichła, chociaż gdzieś słychać było jeszcze pojedyncze strzały i wybuchy płonącej amunicji. Przez niesione wiatrem smugi dymu Sean zobaczył swoich Szangane, jak zbierają więźniów i przeszukują ich dokładnie. Wśród partyzantów rozpoznał załogi obsługujące stingery. Najwidoczniej strzelcy przyłączyli się do grupy uderzeniowej zajmującej bazę, kiedy wszystkie śmigłowce zostały zestrzelone.

Jeden z Szangane dźgał bagnietem żołnierza Frelimo w nogi i pośladki, śmiejąc się do rozpuku, gdy mężczyzna wił się na

423

ziemi, krzycząc, kopiąc nogami i próbując uniknąć ostrza. Inni partyzanci wybiegali z okopów z karabinami przewieszonymi przez ramię i rękami pełnymi łupów.

Sean był przyzwyczajony do zachowania afrykańskich żołnierzy, ale teraz ten brak dyscypliny rozżłościł go. Zwołał ich do siebie i tylko dzięki sile jego osobowości i autorytetowi, jaki sobie zdobył wśród partyzantów, posłuchali go natychmiast. Szangane, który torturował żołnierza, zatrzymał się na chwilę, żeby wykończyć rannego kulą w kark, po czym szybko przybiegł do Seana.

- Macie pilnować białych jeńców - rozkazał im Sean. -

Jeśli coś im się stanie, to generał China osobiście upiecze wasze jaja na wolnym ogniu, a potem zmusi was do ich zjedzenia - ostrzegł.

Nie oglądając się, ruszył przed siebie, przejmując dowództwo i uspokajając szalejących z radości Szangane. Zobaczył Alphonsa biegnącego w jego stronę.

— Nie możemy obciążać się łupami. Niech ludzie wybiorą sobie, co im się podoba, a następnie poleją magazyny awgasem i umieszczą w nich miny zapalające - rozkazał Sean. Potem spojrzął na zegarek. - Możemy oczekiwać kontrataku Frelimo w ciągu godziny. Do tego czasu chcę być daleko stąd.

— Nie! - Alphonso potrząsnął głową. - Generał China przesunął trzy kompanie. Strzegą terenu dzielącego nas od odziałów Frelimo, żeby powstrzymać atak. Mamy pozostać na terenie bazy do czasu jego przybycia.

Sean zatrzymał się i spojrzął na Alphonsa.

- O czym ty, do cholery, mówisz? China jest dwa dni marszu od nas!

Alphonso uśmiechnął się, kręcąc głową.

— Generał China będzie tu za godzinę. Podążał za nami z pięcioma kompaniami najlepszych żołnierzy. Od momentu gdy opuściliśmy obóz nad rzeką, nigdy nie był od nas dalej niż o godzinę marszu.

— Skąd to wiesz? - zapytał Sean ostrym tonem i Alphonso znowu wyszczerzył wesoło zęby, poklepując radionadajnik na plecach stojącego obok partyzanta.

— Rozmawiałem z generałem dziesięć minut temu, jak strąciliśmy ostatniego radzieckiego henshaw.

— Dlaczego mi nic nie powiedziałeś, ty draniu? - warknął

Sean.

— Generał mi zabronił. Teraz jednak mam panu przekazać, że jest bardzo z pana zadowolony i mówi, że jest pan dla niego jak najlepszy syn. Kiedy tu przybędzie, osobiście pana wynagrodzi.

— W porządku. - Sean zmienił rozkazy. - Jeśli mamy utrzymać bazę, to ustaw ludzi wzdłuż ogrodzenia, wykorzystamy ciężkie karabiny maszynowe...

Przerwał, gdy zobaczył partyzanta biegnącego pod górę w ich kierunku.

- Nkosi! - Mężczyzna dyszał ciężko.

Seanowi wystarczył rzut oka na jego twarz, żeby domyślić się, że coś jest nie w porządku.

- Kobieta? - zapytał, chwytając posłańca za ramię. - Czy to biała kobieta została ranna?

Szangane potrząsnął przecząco głową.

— Jest bezpieczna. Wysłała mnie do ciebie. To Matabele, kapitan Job, jest ranny.

— Jak ciężko?! - Sean już biegł i wykrzyczał pytanie przez ramię.

— Umiera! - zawołał za nim posłaniec. - Matabele umiera.

Sean wiedział, gdzie ma szukać, sam wyznaczył Jobowi pozycję wśród kępy akacji. Zbiegając ze wzgórza, widział, jak pierwsze promienie słońca wyłaczają korony drzew. Z pomocą dwóch Szangane Claudia przeniosła Joba na równy teren pod drzewami. Oparła jego głowę o plecak i obandażowała mu ranę. Słyszając kroki, podniosła głowę i zawołała:

- Och, Sean, dzięki Bogu! - Jej koszula była oblepiona zasychającą krwią, więc widząc wyraz oczu Seana, szybko do dała: - To nie moja krew. Nic mi się nie stało.

Sean skoncentrował się na Jobie. Twarz rannego była nienaturalnie szara, a z czoła spływały strużki potu. Dotknął jego policzków i przekonał się, że skóra jest zupełnie zimna. W panice zaczął szukać pulsu na nadgarstku i mimo że był słaby i nieregularny, Sean odetchnął z ulgą.

— Stracił dużo krwi - szepnęła Claudia. - Udało mi się

jednak powstrzymać krwawienie.

— Jest w szoku - mruknął Sean. - Muszę go obejrzyć.

425

w

— Nie podnoś tego bandaża - ostrzegła go szybko Clau-

dia. - Rana jest okropna. Pocisk z działka trafił go w ramię.

To tylko porwane ciało i połamane kości. Ręka wisi na strzępach mięśni i ścięgien.

— Weź ze sobą Matatu - zdecydował szybko Sean. - Pój

dziecie do obozu. Znajdź jakąś apteczkę. Rosjanie powinni mieć

dobry sprzęt, potrzebuję osocza i kroplówki. Najważniejsze są

opatrunki i bandaże. Jeśli znajdziesz jakieś środki antyseptyczne

i przeciwbólowe, to też je przynieś.

Claudia podniosła się z ziemi.

— Sean, tak się o ciebie martwiłam! Widziałam...

— Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. - Nie odrywał wzroku

od twarzy Joba. - Teraz idź już i wracaj jak najszybciej. Matatu,

pójdiesz z panią, chroń ją.

Ruszyli biegiem w stronę obozu. Dopóki nie wrócą ze środkami pierwszej pomocy, Sean był bezradny.

Chcąc coś zrobić, namoczył własną chustkę wodą z manierki i zaczął ocierać nią twarz rannemu przyjacielowi. Powieki Joba zatrzepotały i Sean się zorientował, że jest przytomny.

- W porządku, Job. Nic nie mów.

Job zamknął oczy. Kiedy je znowu otworzył, spojrzął w dół. Był zbyt słaby, żeby podnieść głowę, ale starał się spojrzeć na swoje ciało, żeby zobaczyć, jak bardzo jest poharatany. To była zawsze pierwsza reakcja rannego żołnierza.

— Czy to krew z płuc? Czy mam obie nogi i ręce...?

— Prawa ręka i ramię-odparł Sean. - Zadrasnął cię pocisk

z działka pokładowego hinda. Nieduże zadrapanie. Nic ci nie

będzie, masz moje słowo. Słuchaj, stary, czy oszukiwałbym cię?

Na ustach Joba pojawił się słaby uśmiech. Poruszył wolno jedną powieką w porozumiewawczym mrugnięciu okiem. Sean czuł się, jakby mu miało pęknąć serce. Okłamał przyjaciela. Wiedział dobrze, że Job nie ma szans.

- Odpocznij teraz - polecił mu pogodnym tonem. - Leż

i baw się dobrze, jak powiedział biskup do aktorki. Teraz ja się

tobą opiekuję.

Job zamknął posłusznie oczy.

426

Claudia odnalazła punkt medyczny po czerwonym krzyżu nad wejściem do schronu. W środku znajdowało się dwóch partyzantów Renamo szukających łupów, ale krzyknęła na nich tak ostro, że wynieśli się w milczeniu jak niepyszni.

Napisy na pudełkach z lekarami były pisane cyrylicą i Claudia musiała rozrywać opakowania, żeby przekonać się, co jest w środku. W jednym pudełku znalazła kilkanaście plastikowych torebek z osoczem i podała dwie z nich Matatu. Kroplówki znajdowały się na niższej półce. Nie miała kłopotów z opatrunkami i bandażami, ale nie wiedziała, co zrobić z pudełkami pełnymi maści i pigułek. Odkręciła jedną tubkę i brązowa zawartość o zapachu jodyny pozwoliła jej odgadnąć, że to środek antyseptyczny. Później zauważyła, że niektóre leki mają także francuskie i arabskie napisy. Znała trochę oba języki, co pozwoliło jej odnaleźć antybiotyki i środki przeciwbólne.

Wyszukała także dwie apteczki polowe przeznaczone dla radzieckich sanitariuszy i zabrała je ze sobą. Wreszcie oboje porządnie obładowani wyszli z Matatu ze schronu.

Zanim dotarła do końca bazy, z dymu wyłoniła się nienawistna postać. Była to ostatnia osoba, jaką spodziewała się tu zastać.

- Miss Monterro! - zawołał generał China. - Co za szczęś

liwe spotkanie. Potrzebuję pani pomocy. - Chinie towarzyszyło

kilkunastu oficerów sztabowych.

Claudia otrząsnęła się z początkowego zaskoczenia.

— Spieszę się - odparła szybko, próbując go ominąć. -

Job jest ciężko ranny. Muszę do niego wrócić.

— Obawiam się, że moja potrzeba jest większa niż czyjakolwiek. - China wyciągnął w jej stronę rękę.

— Niech pan nie próbuje mnie zatrzymać - warknęła na niego Claudia. - Job musi dostać te lekarstwa albo umrze.

— Ktoś z moich ludzi może je zanieść - odparł China. -

Pani idzie ze mną, proszę. Niech się pani nie sprzeciwia, gdyż każę panią zanieść, co nie wyglądałoby zbyt elegancko.

Claudia wciąż się sprzeciwiała, gdy jeden z oficerów zabrał jej z rąk lekarstwa i bandażę. Wreszcie dała spokój, wzruszając ramionami.

- Matatu, zaprowadź go. - Wskazała na wzgórze.

Mały Murzyn skinął głową, a ona ruszyła za Chiną. Szli

427

między płonącymi wrakami i Claudia nagle zadrżała, gdy nieostrożnie nadepnęła na spalone zwłoki jednego z żołnierzy Frelimo.

— Atak pułkownika Courtneya okazał się większym sukcesem, niż mogłem przypuszczać. - Generał China mówił pogodnym tonem, w którym było słychać zachwyt nad tym, co widział wokół. - Udało mu się nawet zdobyć nietkniętego hindu z załogą i obsługą naziemną.

— Mam nadzieję, że nie będzie mnie pan długo zatrzymywał, muszę zaraz do niego wracać.

— Kapitan Job będzie żył lub umrze bez pani, miss Monterro. Potrzebuję pani pomocy jako tłumacza w rozmowie z pilotem.

— Nie znam rosyjskiego - odpowiedziała ostro Claudia.

— Na szczęście pilot mówi po włosku. Nie mam pojęcia, gdzie się nauczył tego języka, ale powtarza Italiano, Italiano. -

China wziął ją za rękę i sprowadził po schodkach do zakamuflowanego schronu.

Claudia rozejrzała się po wnętrzu i odgadła, że jest to warsztat naprawczy. Pod dwiema przeciwnymi ścianami biegły wysokie ławy. Na jednej z nich stała obrabiarka i wiertarka. W szafkach nad ławami znajdowało się dużo narzędzi, wśród których rozpoznała spawarki elektryczne i gazowe. Jej ojciec miał własny warsztat na poddaszu ich domu w Anchorage i Claudia spędziła wiele wieczorów, przyglądając mu się przy pracy.

Pięciu radzieckich więźniów siedziało pod tylną ścianą schronu.

- Który z was mówi po włosku? - zapytała.

Podniósł się szcypły młodzieniec w szarym kombinezonie. Twarz miał pokrytą trądzikiem. Z bladoniebieskich oczu można było wyczytać nerwowość.

— Ja, signora.

— Gdzie się pan nauczył włoskiego? - zapytała Claudia.

— Moja żona pochodzi z Medoliano. Poznałem ją, gdy robiła doktorat na Uniwersytecie Patrice'a Lumumby w Moskwie. -
Mówił po włosku z silnym akcentem, lecz Claudia mogła go zrozumieć bez kłopotu.

— Będę tłumaczyła dla generała Chiny - powiedziała - ale muszę pana przestrzec, że jest to dziki i okrutny człowiek. Nie

428

jestem ani jego sprzymierzeńcem, ani przyjacielem. Nie mogę pana ochronić.

— Dziękuję, signora. Rozumiem panią, ale nie potrzebuję żadnej ochrony. Jestem jeńcem wojennym i podlegam ustaleniom konwencji genewskiej. Mam swoje prawa. Tak samo moi ludzie.

— Co on mówi? - zapytał China.

— Mówi, że jest jeńcem wojennym i że on oraz jego ludzie

są chronieni przez konwencję genewską.

— Proszę mu powiedzieć, że Genewa jest daleko. Tu jest

Afryka, a ja nie podpisywałem żadnych umów w Szwajcarii.

Tutaj ma tylko takie prawa, jakie ja mu przyznam. Proszę po

wiedzieć, że będzie dla mnie pilotował śmigłowiec, a załoga ma

go obsługiwać i utrzymywać w odpowiednich warunkach.

Kiedy Claudia przetłumaczyła, zobaczyła, jak szczęki Rosjanina zaciskają się, a oczy stają się twarde niczym stal. Obejrzał się i powiedział kilka słów po rosyjsku do swoich ludzi. Natychmiast zaczęli szemrać i kręcić głowami.

- Niech pani powie tej czarnej małpie, że domagamy się przestrzegania naszych praw - oznajmił pilot z wyraźną pogardą.

Claudia słyszała, że wielu Rosjan jest rasistami. Określenie generała, jakie padło z ust młodego pilota, świadczyło dobitnie,

że on również podziela te poglądy. - Odmawiamy latania czy

walczenia dla niego. To byłaby zdrada.

Jego odmowa była tak oczywista, że China nie czekał na tłumaczenie.

— Proszę mu powiedzieć - rzucił ostro - że nie mam czasu na kłótnie czy subtelne przekonywanie. Pytam jeszcze raz, czy zgodzi się pilotować śmigłowiec, a jeśli odmówi, będę musiał udowodnić, że mówię poważnie.

— Signore, to jest bardzo niebezpieczny człowiek. - Claudia zwróciła się do radzieckiego oficera. - Widziałam na własne oczy, jak popełniał okropne zbrodnie. Sama byłem przez niego torturowana.

— Jestem radzieckim oficerem i jeńcem wojennym. - Pilot wyprostował się, a jego głos stał się jeszcze bardziej stanowczy. - Znam swój obowiązek.

China przyglądał się mu, gdy mówił. Uśmiechnął się lodowato, kiedy Claudia przetłumaczyła.

- Kolejny dzielny człowiek - mruknął pod nosem. - Mu

simy się tylko przekonać jak dzielny.

Wydał swoim ludziom rozkaz w języku szangane. Czekając, aż podtoczą z końca warsztatu butle z gazem acetylenowym, uśmiechał się spokojnie do radzieckiego oficera. Pilot odpowiadał mu zimnym spojrzeniem, wytrzymując próbę sił.

China pierwszy odwrócił wzrok. Podszedł do stołu i przyjrzał się narzędziom rozłożonym na blacie. Mruknął aprobująco, gdy wyszukał cienki stalowy pręt i zważył go w dłoni. Pręt miał długość wyciora do strzelby i na obu końcach był nagwintowany, najpewniej linka kontrolna hinda.

- To się świetnie nada - powiedział na głos i wziął ze stołu

azbestowe rękawice. Nałożył je na dłonie i skoncentrował się

na palniku. Claudia, która często przyglądała się pracującemu

ojcu, szybko się zorientowała, że China potrafi obsługiwać aparat.

Zapalił palnik. Sprawnie wyregulował dopływ tlenu i acetyleny

z dwóch butli, aż płomień stał się niebieski i zupełnie nieruchomy.

Podsunał koniec pręta nad płomień i zaczął go rozgrzewać.

Rosjanie przyglądali się temu z niepokojem. Claudia dostrzegła, jak twarde spojrzenie pilota umyka niespokojnie w bok, a na górnej wardze pojawiła się lśniąca rosa potu.

- Ten człowiek jest wściekłym zwierzęciem - powiedziała

cicho po włosku. - Musi mi pan uwierzyć, że jest zdolny do

najokropniejszych rzeczy. Signore, proszę, nie chcę na to patrzeć.

Pilot potrząsnął głową, odrzucając jej prośbę, ale wpatrywał się jednocześnie rozszerzonymi oczami w czerwieniejący koniec pręta.

- Nie dam się zastraszyć brutalnym pogrożkom - odpo

wiedział. Claudia wyczuła pewne wahanie w jego głosie.

Koniec pręta stał się najpierw purpurowy, a potem przezroczy-tobiały. China uśmiechnął się i wyłączył palnik. Pomachał rozpalonym do białości końcem pręta niczym batutą i znowu uśmiechnął się do pilota. Był to przebiegły, wymuszony uśmiech.

— Jeszcze raz poproszę. Niech pani go spyta, czy będzie dla

mnie pilotował maszynę.

— Niet. - Mimo że głos odmawiał mu postuszeństwa, od mowa pilota była ostateczna. - Objezana, czarna małpa - dodał po rosyjsku.

430

China stanął przed nim i wolno przesunął koniec pręta zaledwie kilka centymetrów przed oczami Rosjanina.

— Signora, niech pani mu powie, że bez oczu nie mogę latać - wyszeptał pilot.

— Bardzo słusznie. - China skinął głową, gdy Claudia przetłumaczyła.

Generał podszedł do grupy siedzących więźniów, przesuając im rozpalony koniec tuż przed oczyma i uważnie studiując ich reakcje. Zachowanie tłustego mechanika w poplamionym ropą kombinezonie na końcu szeregu najwidoczniej usatysfakcjonowało Chinę. Rosjanin skulił się i cofnął przed żarem, opierając głowę o ścianę. Po rumianych policzkach ściekał mu pot. Powiedział coś piskliwym głosem po rosyjsku, na co pilot odpowiedział mu jednym ostrym słowem.

- Nie podoba ci się to, mój mały biały tłuściochu, co? -

China uśmiechnął się drwiąco i podsunął pręt bliżej policzka więźnia. Głowa mechanika wbijała się w ścianę, a jego oczy zezowały z przerażeniem na jarzący się koniec pręta.

Metal szybko się ochładzał. Ze zmarszczonymi lekko ze złości brwiami China odwrócił się od mechanika, podszedł do stołu i zapalił palnik. Podczas gdy rozgrzewał pręt, mechanik opadł ciężko na ławę. Mężczyzna pocił się obficie i na kombinezonie widać było ciemne plamy.

Pilot powiedział coś do niego miękkiem, uspokajającym głosem. Mężczyzna skinął głową i wyprostował się. Spojrzał na swojego przełożonego z wdzięcznością i China, który przyglądał się ukradkiem tej wymianie spojrzeń, uśmiechnął się do siebie.

Kiedy Claudia zobaczyła złowieszczy uśmiech, uświadomiła sobie, że China właśnie dokonał wyboru. Miał już upatrzoną ofiarę. Mechanik był najmniej odważny ze wszystkich radzieckich więźniów, a pilot niebacznie ujawnił swoje zatroskanie o niego.

- Proszę - szepnęła do pilota po włosku. - Pański przyjaciel jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli chce go pan ocalić, musi się pan zgodzić współpracować z tym czło

wiekem.

Pilot spojrział na nią. Z jego oczu Claudia wyczytała wahanie.

- Proszę, niech pan to zrobi dla mnie. Nie mogę na to patrzeć.

Z rozpaczą zauważyła, że spojrzenie oficera twardnieje, gdy

431

ponownie podjął decyzję. Potrząsnął głową i China dostrzegł ten ruch.

Wyłączył palnik i delikatnie dmuchnął na biały koniec pręta. Przedłużał tę chwilę w nieskończoność, czując, że wszystkie oczy w schronie są zwrócone na żarzący się metal.

Nagle wydał rozkaz po portugalsku. Dwóch jego ludzi rzuciło się na mechanika, chwytając go pod pachy. Mężczyzna zaczął pisać panicznie, ale goryle Chiny zanieśli go na środek pomieszczenia i rzucili twarzą na stół. Jeden z nich wskoczył na blat i usiadł mu na plecach. Rosjanin wyrywał się z całych sił, kopiąc nogami, ale dwaj partyzanci silnie go przyciskali. Sprawnie przywiązali mu kostki do nóg stołu. Mężczyzna leżał nieruchomo, wystawiając opiętą pupę.

Radziecki pilot zaprotestował z wściekłością, robiąc krok do przodu, ale jeden z oficerów Renamo wepchnął mu lufę pistoletu w brzuch i popchnął na ścianę.

- Pytam pana jeszcze raz - China zwrócił się bezpośrednio

do pilota. - Czy będzie pan dla mnie latał?

Pilot krzyknął coś po rosyjsku. Było to najpewniej jakieś przekleństwo. Jego twarz była czerwona z wściekłości, a na policzkach i brodzie plamy po trądziku zdawały się wielkie jak guziki.

China skinął na swoich ludzi. Jeden z nich wyciągnął nóż i przeciął bawełniane spodnie na siedzeniu mechanika. Następnie złapał dwa rozcięte końce materiału i jednym szarpnięciem rozerwał je na dwie części tak, że strzępy kombinezonu zwisały do kolan. Pod spodem Rosjanin nosił elastyczne niebieskie majtki. Partyzant Renamo ściągnął mu je szybko w dół.

Claudia patrzyła w niemym przerażeniu na odsłonięte pośladki mężczyzny. Były bardzo białe, tłuste i okrągłe, pokryte gęstymi czarnymi włosami. Spomiędzy nóg zwisały jądra pomarszczone niczym u psa.

Pilot krzyczał cały czas po rosyjsku i Claudia zaczęła nagle prosić Chinę.

- Generale China, niech mnie pan wypuści, proszę. Nie mogę

na to patrzeć. - Chciała odwrócić głowę i zamknąć oczy, ale

makabryczna fascynacja kazała jej patrzeć.

China nie zwracał uwagi ani na jej prośby, ani na krzyki

Rosjanina. Powiedział coś szybko do oficera siedzącego na plecach więźnia i ten chwycił w obie ręce pośladki mechanika i rozciągnął je na boki. Protesty uwięzły Claudii w gardle. Patrzyła z otwartymi ustami na pomarszczony brązowy odbyt między białymi pośladkami.

China podsunął koniec pręta, zatrzymując go kilka centymetrów od odbytu. Rosjanin poczuł palący żar i zaczął rzucać się z taką siłą, że potrzeba było jeszcze dwóch ludzi, żeby go utrzymać.

— Tak? - China spojrzał pytająco na radzieckiego oficera.

Pilot wrzeszczał jak opętany, wykrzykując groźby i oskarżenia, z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

— No cóż, przykro mi - powiedział spokojnie China i pchnął pręt między nogi mężczyzny z nadgarstkiem ustawionym jak przy ataku szpadą.

Gdy rozpalony metal dotknął skóry więźnia, Rosjanin wydał z siebie przeraźliwy ryk. Claudia jęknęła cicho.

Metal syczał i dymił, a China wbijał pręt głębiej i głębiej w ciało mechanika, który wybuchał salwami jęku. Claudia zacisnęła z całej siły uszy dłońmi i podbiegła do kąta schronu, wciskając twarz w worki z piachem.

Dym, wstrętny smród palonego ciała i topionego tłuszczu, wypełniał jej nozdrza, gardło i płuca. Smród pokrywał język śliskim mułem, czuła, jak się jej zbiera na wymioty i z całych sił próbowała je powstrzymać, ale żołądek podszedł jej do gardła i wszystko chlusnęło z niej strugą.

Wycie rannego z wolna ucichło, przechodząc w straszliwe rzężenie. Rosjanie krzyczeli wściekle, tworząc nieopisany har-mider w ciasnym schronie.

Kolejna fala smrodu spalonego ciała i wydalonego kału wypełniła jej gardło i Claudia znowu zwymiotowała. Następnie otarła usta wierzchem dłoni i oparła czoło o ścianę. Trzęsła się konwulsyjnie, a po policzkach ściekały jej łzy i pot.

Dziki wrzaski za nią z wolna ucichły. Jęki i rzężenie mechanika stawały się coraz słabsze i Claudia, nawet nie patrząc wiedziała, że mężczyzna umiera.

- Miss Monterro. - Głos Chiny był równy i spokojny. -

Niech się pani weźmie w garść. Czeka nas jeszcze praca.

— Jesteś zwierzęciem! - wybuchnęła. - Nienawidzę cię!

O Boże, jak ja cię nienawidzę!

— Pani uczucia do mnie w najmniejszym stopniu mnie nie interesują - odparł China. - Powie pani pilotowi, że oczekuję od niego pełnej współpracy.

Bolesne jęki mechanika znów się nasiliły, odwracając jej uwagę od słów Chiny. Kiedy odeszła od ściany, zobaczyła, że ludzie Chiny puścili rannego, pozwalając mu opaść na ziemię. China zostawił pręt wbity głęboko w odbył Rosjanina. Mężczyzna wił się na podłodze, szarpiąc bezskutecznie za koniec pręta wystający spomiędzy pośladków. Rozgrzany metal przywarł jednak silnie do jelita i po ochłodzeniu był jak sklejonny z ciałem. Każde dotknięcie pręta sprawiało, że z przeraźliwej rany wypływały płynne odchody zmieszane z krwią.

— Niech pani mówi do pilota! - rozkazał China.

Claudia odwróciła wzrok od mechanika i spojrzała na pilota.

— Proszę, niech pan zrobi, co on panu każe - powiedziała.

— Nie mogę, mój obowiązek! - krzyknął ściśniętym głosem oficer.

— Do cholery z pańskim obowiązkiem! - wrzasnęła wściekle

Claudia. - Pan i pańscy ludzie skończycie jak on! - Wskażała na mężczyznę w agonii, nie spuszczać jednak wzroku z pilota. - To samo zrobi z panem! - Odwróciła się do pozostałych Rosjan, którzy siedzieli bladzi i oślepiali z przerażenia. - Spójrzcie na niego! - wrzasnęła po angielsku. - Czy tego chcecie?

Nie zrozumieli jej słów, ale gest był wymowny dla wszystkich. Popatrzyli na swojego dowódcę.

Radziecki oficer jeszcze przez minutę opierał się jej prośbom. W pewnej chwili na rozkaz Chiny dwóch oficerów Renamo chwyciło kolejnego mężczyznę z obsługi naziemnej i powlokło go do stołu. Pilot podniósł obie ręce w geście rezygnacji.

— Niech pani mu powie, żeby przestał - rzekł znużonym tonem. - Zrobimy, co nam każe.

— Dziękuję pani, miss Monterro. - China posłał jej czarujący uśmiech. - Może teraz pani wrócić do pułkownika Courtneya.

— Jak się pan porozumie z pilotem? - zapytała niepewnie Claudia.

434

- Już rozumie, co do niego mówię. - China obdarzył pilota równie czarującym uśmiechem. - Zapewniam panią, że nauczy się mojego języka w wyjątkowo krótkim czasie. - Znowu spojrzał na Claudię. - Proszę przekazać wyrazy szacunku pułkownikowi Courtneyowi i powiedzieć mu, żeby przyszedł do mnie tak szybko, jak to tylko możliwe. Chciałbym się z nim pożegnać, podziękować mu i życzyć bon voyage. - Skłonił przed nią kpiąco głowę. - Tak więc rozstajemy się, miss Monterro. Mam nadzieję, że będzie pani dobrze myślała o nas wszystkich, jesteście pani szczerymi przyjaciółmi.

Claudia nie znalazła żadnych słów, żeby odpowiedzieć. Odwróciła się i na miękkich nogach wyszła na zewnątrz.

Schodziła niepewnie po zboczu porażona jeszcze tym, co zostawiła za sobą. Nie zauważała nawet wokół siebie scen, które w normalnych okolicznościach postawiłyby jej włosy na głowie.

U stóp wzgórza zatrzymała się, próbując otrząsnąć z szoku. Wciągnęła kilka razy głęboko powietrze, powstrzymując szloch rodzący się w jej gardle. Odgarnęła palcami włosy z twarzy i poprawiła kawałek materiału, którego użyła jako opaski. Końcem bluzki otarła łzy z powiek i pot z czoła i ze zdziwieniem zobaczyła, że na materiale została tłusta plama.

- Muszę wyglądać jak nieboskie stworzenie - szepnęła do siebie. Zacisnęła palce, chowając połamane paznokcie. Podniosła wyżej brodę. - Sean nie może mnie zobaczyć w tym stanie - powiedziała z mocą. - Weź się w garść, dziewczyno.

Sean podniósł głowę, gdy zbliżyła się do miejsca, gdzie klęczał nad owiniętym w koc Jobem.

— Co się stało? - zapytał. - Co cię zatrzymało?

— Generał China jest w obozie. Zmusił mnie, żebym z nim poszła.

— Czego chciał? Co się stało?

— Nic, nic ważnego. Powiem ci później. Co z Jobem?

— Dałem mu cały litr plazmy - odpowiedział Sean. Na gałęzi nad Jobem wisiała kroplówka. - Puls ma wyraźniejszy. Job jest silny jak byk. Pomóż mi zabandażować ranę.

— Czy jest przytomny?

— Tylko chwilami - odparł Sean.

Pod opatrunkiem zobaczyli tak okropną ranę, że nie odważyli

435

się nic powiedzieć na jej temat, obawiając się, ich usłyszeć. Sean posmarował ciało wokół rany | obłożył czystymi opatrunkami i zabandażował, maść przesiąkała obficie przez biały materiał.

Musieli go podnieść, żeby przesunąć banda Claudia trzymała na pół urwane ramię, przycisk a Sean wprawnymi ruchami zakładał opatrunek, cały tors Joba poza lewym ramieniem był śc | bandażem.

- Puls znowu zanika. - Sean opuścił nad

cielą. - Zaaplikuję mu jeszcze jedno opakowa

Z lasu za bazą dobiegły ich nagle wybuchy dzierzowych i strzały z broni maszynowej. Ci zaskoczona w tamtą stronę.

— Co się dzieje?

— Pewnie oddział Frelimo ruszył do kontrat;

zbyt zajęty kroplówką, żeby spojrzeć w kier

dochodziły odgłosy. - China ma ze sobą trzy kl

limo nie będą się tak rwali do walki po utracie wsn

nego. Chłopcy Chiny powinni powstrzymać ichl

— Sean, skąd China się tu wzięła? Sądziłam.!

— Tak - przerwał jej Sean. - Ja też myśl

w obozie nad rzeką. Sprytny drań deptał nam cały I
żeby jak najszybciej dostać w swoje łapy to, co zł
Ustawił przepływ osocza z kroplówki i przykucn|
przyglądając się jej twarzy.

— W porządku - rzekł. - Co się stało?

— Nic. - Spróbowała uśmiechnąć się do nil

— Nie wciskaj mi kitu, kochanie - powiel

Sean i otoczył ją ramieniem. Claudia nie mogła s|
i chlipnęła.

— China - szepnęła. - I to po tym, co się

Kazał mi tłumaczyć rozkazy dla radzieckiego
jak ja nienawidzę tego bydlaka. To prawdziwe;
patrzeć... - głos się jej urwał.

— Coś przykrego - dokończył Sean i Claudij

— Zabił jednego Rosjanina w najokropniejs

— Nasz China to dzielny chłopczyk. Postaraj

436

zapomnieć, mamy dość własnych kłopotów. Niech Ruscy sami się martwią o siebie.

- Zmusił ich pilota do obsługi śmigłowca.

Sean wstał.

— Nie myśl już więcej o Chinie i o Rosjanach. Musimy te
raz myśleć, jak się stąd wydostać. - Urwał, widząc sierżanta
Alphonsa i kilkunastu innych Szangane idących w ich stronę.

Wszyscy byli obładowani łupami.

— Nkosi. - Przystojną twarz Alphonsa zdołał uśmiech za
dowolenia. - Co za walka, co za zwycięstwo!

— Walczyliście jak stado lwów - pochwalił go Sean. -

Wygraliśmy tę bitwę, ale musisz nam teraz pomóc dostać się do granicy. Kapitan Job jest ciężko ranny.

Uśmiech znikł z twarzy Alphonsa; mimo naturalnej wrogości plemiennej obaj mężczyźni nabrali do siebie szacunku w czasie wspólnych działań.

— Jak ciężko? - zapytał Alphonso, podchodząc do Seana, żeby spojrzeć na rannego.

— W punkcie pierwszej pomocy widziałam nosze z włókna szklanego - przypomniała sobie Claudia. - Moglibyśmy po nieść na nich Joba.

— Do granicy są dwa dni marszu-mruknął powątpiewającym tonem Alphonso. - Przez terytorium zajęte przez wojska Frelimo.

— Żołnierze uciekają jak psy, którym się nadepnie na ogon. - Głos Seana był twardy i zdecydowany. - Poślij dwóch ludzi po nosze.

— Generał China chce cię widzieć. Opuszcza obóz radzieckim henshaw. Chciał z tobą porozmawiać przed odlotem.

— Dobrze, ale chcę mieć tu nosze, jak wrócę - rzucił ostrzegawczo Sean i spojrzał na zegarek. - Ruszamy do granicy za godzinę.

- Nkosi - odparł pogodnie Alphonso. - Będziemy gotowi. Sean obrócił się do Claudii.

- Idę zobaczyć się z Chiną. Spróbuję go przekonać, aby zabrał nas śmigłowcem, ale chyba nie mam zbyt dużych szans. Zostań z Jobem i sprawdź mu puls. Znalazłem jednorazową strzykawkę z adrenaliną w apteczce. Możesz jej użyć, jeśli będzie z nim naprawdę źle.

— Wracaj szybko - szepnęła. - Jestem dzielna tylko wtedy,
gdy jesteś przy mnie.

— Mataru będzie z tobą.

Sean szybko wspiął się na wzgórze, mijając po drodze pierwsze szeregi tragarzy. Najwidoczniej China zamierzał zabrać wszystko, co tylko mogli udźwignąć, w tym także skrzynki z częściami zapasowymi do hinda i beczki z paliwem lotniczym. Tragarze kierowali się na północ w stronę obozu nad rzeką. Sean nie zwracał na nich większej uwagi. Jego rola się zakończyła. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego miejsca i dotrzeć do granicy, skąd mógłby odtransportować Joba do szpitala, a Claudię umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu. Nękała go niepewność, czy China na pewno dotrzyma słowa i pozwoli im odejść. Zastanawiał się czy przypadkiem nie był zbyt naiwny, wierząc generałowi.

- Zobaczmy - powiedział ze srogą miną i zawołał jednego
z oficerów Renamo, który nadzorował zbierających łupy traga
rzy. - Gdzie jest generał China?

Znalazł go, jego sztab i pojmany Rosjan w bunkrze dowódcy. China odwrócił się od mapy ściennej i uśmiechnął uprzejmie do wchodzącego Seana.

— Pułkowniku Courtney, proszę przyjąć moje gratulacje. Był
pan wspaniały. Świetne zwycięstwo.

— Jest mi pan coś dłużny.

— Pan i pańscy ludzie chcecie wrócić do domu - zgodził
się China. - Wszystkie długi zostały spłacone. Jesteście wolni.

— Nie. - Sean potrząsnął głową. - Według moich obliczeń
teraz pan ma wobec mnie dług. Kapitan Job został ciężko ranny.
Jego stan jest krytyczny. Chcę, żeby umożliwił nam pan przelot
do granicy z Zimbabwe zdobytym hindem.

— Oczywiście żartuje pan. - China roześmiał się spokoj
nie. - Nie mogę ryzykować tak cennej zdobyczy na nieproduk
tywną misję. Nie, pułkowniku, wszystkie długi zostały uregulo
wane. Proszę, niech pan nie stawia wygórowanych żądań. Przy
moim słabym słuchu czyni mnie to tylko jeszcze bardziej ner

wowym i mogę poczuć pokusę, żeby jeszcze raz rozpatrzeć moją wyjątkową ofertę przywrócenia wam wolności. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Pułkowniku, rozstaśmy się jak przyjaciele. Może pan liczyć na pomoc sierżanta Alphonsa i jego ludzi.

438

Jest pan człowiekiem o nieskończonej pomysłowości. Mam absolutną pewność, że wymyśli pan sposób, aby zapewnić bezpieczeństwo sobie i swoim przyjaciołom bez mojej pomocy.

Sean zignorował wyciągniętą dłoń. China spojrział na nią i wolno ją opuścił.

- Tak więc rozstajemy się. Ja wracam do mojej małej wojny i, kto wie, może pewnego dnia do własnego państwa. Pan natomiast wraca w objęcia bardzo bogatej i bardzo pięknej młodej Amerykanki. - Jego uśmiech miał w sobie coś lisiego i wybitnie nieprzyjemnego. - Życzę panu powodzenia i jestem pewien, że pan mi życzy tego samego. - Odwrócił się do mapy, zostawiając Seana skonfundowanego.

Coś było nie w porządku, to nie mogło się skończyć w ten sposób. Sean czuł, że jeszcze coś go czeka ze strony Chin, ale generał zaczął dyktować po portugalsku rozkazy jednemu ze swoich oficerów. Sean stał niezdecydowanie przy drzwiach bunkra.

Odczekał jeszcze kilka sekund. Wreszcie odwrócił się gwałtownie i ze schyloną głową wyszedł z bunkra. Dopiero kiedy zniknął za drzwiami, China podniósł głowę i posłał za nim szydrczy uśmiech. Gdyby Sean mógł go widzieć, miałby odpowiedź na swoje pytanie.

Ludzie Alphonsa nie tracili czasu. Obok Joba stały lekkie nosze z włókna szklanego, jakich używają ratownicy górscy. Potrzebowali jednak czterech mężczyzn do niesienia noszy przez górzyście tereny. Czekala ich długa droga do granicy.

Niecałe sto kilometrów, damy sobie radę, pocieszał się w myślach Sean. Dwa dni, jeśli przyłożymy się do tego.

Claudia przywitała go z ulgą.

- Job ma się trochę lepiej. Był przytomny i pytał o ciebie.

Mówił coś o wzgórzu. Wzgórze Trzydzieści Jeden?

Na ustach Seana pojawił się uśmiech.

- Właśnie tam się poznaliśmy. Job trochę majaczy. Pomóż mi go położyć na noszach.

Podnieśli ostrożnie rannego i położyli go na rozłożonych noszach. Sean przymocował kroplówkę do specjalnego metalo-

439

wego wspornika nad głową i owinął przyjaciela szarymi wełnianymi kocami.

- Matatu - powiedział, wstając z ziemi. - Zaprowadź nas do domu. - Wskazał pierwszej grupie mężczyzn, żeby podnieśli nosze.

Od wschodu słońca minęły zaledwie dwie godziny, ale wydaje się, jakbyśmy w tym czasie przeżyli całe życie, pomyślał, oglądając się na bazę na wzgórzu. Nad krawędzią unosiły się jeszcze smugi dymu, a ostatnia kolumna partyzantów Chiny obładowana łupami znikła właśnie w lesie.

Odgłosy bitwy z wolna ucichły i wreszcie zupełnie umilkły. Kontratak Frelimo został odparty i China wycofywał wszystkie swoje siły nad rzekę Pungwe.

Kiedy Sean patrzył na obóz, z lądowiska wolno podniósł się hind i zawisł na moment nad wzgórzem; nagle zanurkował w ich stronę. Po chwili dostrzegł wielolufowe działko Gatling wystające spod dziobu śmigłowca.

Maszyna szybko się do nich zbliżała. Sean rozpoznał twarz Chiny za szybą pancerną. Generał siedział na miejscu operatora uzbrojenia przy kontrolkach działka. Widać było wyraźnie, jak lufy obracają się w ich stronę. Hind znajdował się zaledwie piętnaście metrów nad nimi. Był tak blisko, że przez szybę można było dostrzec białe zęby Chiny wyszczerzone w uśmiechu.

Grupa Seana nie dotarła jeszcze do krawędzi lasu. Wokół nie było żadnego schronienia, nic, za czym mogliby się schować. Sean instynktownie chwycił Claudię i przyciągnął do siebie, starając się zasłonić ją własnym ciałem.

Nad nimi generał China zasalutował ironicznym gestem, śmigłowiec zawrócił ostro na północ i szybko zniknął w oddali. Sean i Claudia stali zdezorientowani w milczeniu, aż wreszcie Sean przerwał ciszę i zawołał:

- Idziemy!

Mężczyźni podnieśli nosze i ruszyli drobnym truchtem, nucąc cicho tradycyjną pieśń marszową.

Idący przodem Matatu natrafił w ciągu dnia na kilka niedużych oddziałów Frelimo, ale całe wojsko uciekało w popłochu znad rzeki. Po utracie wsparcia powietrznej ofensywa zupełnie się załamała i sytuacja była wszędzie wyjątkowo chaotyczna. Mimo

440

że zostali zmuszeni do okrążenia wroga od północy, Matatu potrafił uniknąć kontaktu z oddziałami Frelimo. Szangane często się zmieniali przy noszach i udało im się utrzymać dobre tempo.

Po zapadnięciu zmroku zatrzymali się na odpoczynek. Alphon-so połączył się z dowództwem Renamo, żeby złożyć raport o ich pozycji. Oficer łącznikowy generała Chiny przyjął informację, nie zmieniając rozkazów.

Partyzanci zabrali z radzieckich magazynów puszkowane przysmaki i po posiłku palili mocno perfumowane żółte papierosy z kartonowymi ustnikami.

Job odzyskał przytomność, ale miał silne bóle. W pewnej chwili poskarżył się rozgorączkowanym szeptem:

- Lew rozszarpuje mi ramię.

Sean wstrzyknął ampułkę morfiny do kroplówki. Narkotyk na tyle uspokoił rannego, że nawet zjadł kilka łyżek konserwy mięsnej o słodkawym smaku. Jego pragnienie było jednak znacznie silniejsze od głodu, więc podtrzymując mu głowę, Sean napoił go dwoma kubkami ciepłej i niespodziewanie smacznej kawy z radzieckich magazynów.

Następnie Sean usiadł obok Claudii, czekając, aż wstanie księżyc.

- Znowu będziemy szli doliną Honda - powiedział do

Joba. - Jak tylko dostaniemy się do misji St Mary, wszystko będzie w porządku. Jeden z ojców jest lekarzem. Będę mógł także przekazać wiadomość mojemu bratu Garry'emu w Johannesburgu, żeby wysłał po nas odrzutowiec do Umtali. Zawieziemy cię do głównego szpitala w Johannesburgu, zanim się zorientujesz.

Tam będziesz miał najlepszą opiekę medyczną na świecie.

Kiedy wstał księżyc, ruszyli w dalszą drogę. Była już prawie północ, gdy Sean zarządził postój na noc.

Zrobił szybko materac ze ściętej trawy i ułożył obok noszy Joba. Kiedy Claudia zasypiała już w jego ramionach, szepnął:

— Jutro wieczorem weźmiemy gorącą kąpiel, a potem otulę cię czystymi prześcieradłami.

— Obiecujesz? - westchnęła.

— Masz moje słowo.

Sean z przyzwyczajenia obudził się godzinę przed świtem i poszedł sprawdzić strażę.

Alphonso zrzucił z siebie koc, wstał z posłania i ruszył za nim. Kiedy obeszli wszystkie posterunki, zatrzymali się na skraju obozu i Alphonso poczęstował Seana radzieckim papierosem. Zapalili, osłaniając żar złożonymi dłońmi.

— Czy to, co mówięś mi o Afryce Południowej, to praw

da? - zapytał nieoczekiwanie Alphonso.

— Co ci mówiłem?

- No, że ludzie, nawet Murzyni, codziennie jedzą mięso.

Sean uśmiechnął się w ciemnościach rozbawiony wizją raj:

miejsce, gdzie każdy może codziennie jeść mięso.

- Czasami, gdy mają już dosyć wołowiny, jedzą kurczaki

i jagnięta - podrażnił Alphonsa.

Sierżant potrząsnął z niedowierzaniem głową. To było wręcz niepojęte, żaden Afrykanin nie mógł się przejeść wołowiną.

— Ile Murzyn może zarobić w Afryce Południowej? - za

pytał z zaciekawieniem.

— Jakieś pięćset randów miesięcznie, jeśli jest niewykwa

lifikowanym robotnikiem, ale jest także wielu czarnych mi

lionerów.

W Mozambiku, jeśli ktoś miał szczęście w ogóle znaleźć pracę, nie zarabiał pięciuset randów w ciągu roku. Milion to już było więcej, niż Alphonso mógł sobie wyobrazić.

— Pięćset? - Zauroczony potrząsnął głową. - I to w ran-

dach, a nie papierowych eskudach czy dolarach Zimbabwe? -

dopytywał się z niedowierzaniem.

— W randach - potwierdził Sean. W porównaniu z innymi

afrykańskimi walutami rand miał równie dobrą pozycję jak złote

suwereny.

— Czy to prawda, że w sklepach są różne rzeczy, które można kupić za randy? - Alphonso był ciągle podejrzliwy. Najwidoczniej trudno mu było sobie wyobrazić półki obładowane artykułami innymi niż kilka butelek miejscowego nasyczonego kwasem węglowym alkoholu i paczek tanich papierosów.

— Co tylko sobie zamarysz - zapewnił go Sean. - Mydło, cukier, olej, gotowe obiady.

Były to na wpół zapomniane luksusy w umyśle Alphonso.

- I mogę kupić, ile chcę? - zapytał. - Nie ma żadnego racjonowania?

442

— Wszystko, na co będzie cię stać - uspokoił go Sean. -

A kiedy masz już pełny brzuch, to możesz sobie kupić buty, garnitur, radio tranzystorowe i okulary przeciwsłoneczne...

— A rower? - przerwał mu Alphonso.

— Tylko najbiedniejsi jeżdżą rowerami. - Sean uśmiechnął się wesoło. - Większość ludzi ma własne samochody.

— Murzyni także mają własne samochody? - Alphonso długo zastanawiał się. - Czy znalazłaby się praca dla takiego człowieka jak ja? - zapytał tak nieśmiałym głosem, że aż nie pasował do jego normalnej pewności siebie.

— Dla ciebie? - Sean udawał, że rozważa propozycję, i Alphonso czekał cierpliwie. - Dla ciebie? - powtórzył Sean. -

Mój brat jest właścicielem kopalni złota. W ciągu roku mógłbyś zostać nadzorcą, a po dwóch latach kierownikiem zmiany. Mogę ci załatwić posadę tego samego dnia, kiedy przyjedziesz do Afryki

Południowej.

— Ile może zarabiać nadzorca?

— Tysiąc, dwa tysiące - zapewnił go Sean, widząc, że Alphonso jest oszołomiony. Jego obecna pensja wynosiła randa dziennie i była płacona w mozambickich eskudach.

— Chciałbym być nadzorcą - powiedział rozmarzonym głosem Alphonso.

— Bardziej niż sierżantem partyzantów Renamo? - zapytał Sean i Alphonso prychnął pogardliwie. - Oczywiście w Afryce Południowej nie miałbyś prawa do głosowania - przypomniał mu Sean. - Tylko biali mają prawo wyborcze.

— Prawo wyborcze, a co to takiego? - zapytał Alphonso i sam sobie odpowiedział. - Nie mam prawa do głosowania w Mozambiku. W Zambii, Zimbabwie, Angoli czy Tanzanii także nie mają prawa wyborczego. Nikt w Afryce nie ma tego prawa poza jednym wypadkiem, kiedy wybiera się prezydenta na całe życie i jednopartyjny rząd. - Potrząsnął głową, śmiejąc się pogardliwie. - Prawo wyborcze? Nie możesz zjeść prawa wyborczego. Nie możesz się ubrać w prawo, czy jeździć na prawie.

Za dwa tysiące randów miesięcznie i pełny brzuch możesz sobie zatrzymać swoje prawo wyborcze.

— Jeśli kiedyś będziesz w Afryce Południowej, to możesz przyjść do mnie i dostaniesz pracę od ręki. - Sean przeciągnął się

i spojrzął na niebo. Mógł już dostrzec korony drzew. Świt szybko się zbliżał. Rozgniół butem niedopałek i zaczął się podnosić z ziemi.

- Muszę ci coś powiedzieć - szepnął Alphonso i jego

zmieniony ton zaalarmował Seana.

— Tak? - Przykucnął, nachylając się bliżej do partyzanta.

Alphonso odchrząknął zaambarasowany.

— Przeszliśmy razem długą drogę - mruknął pod nosem.

- Długi i ciężki szlak - zgodził się Sean. - Ale zbliżamy

się do jego końca. Jutro o tej porze... - Nie musiał kończyć.

Alphonso nie odpowiedział od razu.

— Walczyliśmy ramię w ramię - ciągnął.

— Jak lwy - potwierdził Sean.

— Nazwałem cię Baba i Nkosi Kakulu.

— Uczyniłeś mi tym wielki honor - powiedział Sean. -

A ja cię nazwałem swoim przyjacielem.

Alphonso skinął głową w półmroku.

— Nie mogę ci pozwolić przekroczyć granicy z Zimbabwe -
powiedział wreszcie z pewnością siebie i Sean zakołysał się na
piętach.

— Dlaczego?

- Pamiętasz Cuthberta? - zapytał Alphonso.

Sean potrzebował chwili, żeby skojarzyć nazwisko.

— Cuthbert, masz na myśli tego faceta z bazy powietrznej

Grand Reef. Tego, co nam pomógł dostać się do środka? -

Wydawało mu się, że to było tak dawno.

— Siostrzeniec generała Chiny - potwierdził Alphonso. -

Właśnie o nim mówię.

— Sammy Davis Junior. - Sean się uśmiechnął. - Mały

cwaniaczek. Tak, pamiętam go dobrze.

— Generał China rozmawiał z nim przez radio. Dziś rano w obozie po naszym zwycięstwie. Byłem w drugim pomieszczeniu schronu i słyszałem wszystko, co generał powiedział. Sean czuł, jakby zimny wiatr przeszedł mu po plecach.

— Co China powiedział? - zapytał, obawiając się usłyszeć odpowiedź.

— Kazał Cuthbertowi powiadomić dowództwo w Zimbabwie, że to ty poprowadziłeś atak na bazę Grand Reef i ukradłeś indeki

444

z rakietami. Cuthbert ma ich poinformować, że będziesz przekraczał granicę przez dolinę Honda przy misji St Mary i że mają tam na ciebie czekać.

Sean poczuł, jak wszystko wywraca mu się w środku. Przez dobrą minutę był zbyt zaszokowany perfidną pułapką, jaką zastawił na nich China, żeby się poruszyć z miejsca. Pomysł był iście diaboliczny. Pozwolić im wierzyć, że są już wolni i bezpieczni, pozwolić im cieszyć się powrotem do domu, kiedy w rzeczywistości oczekiwał ich los bez porównania gorszy, niż gdyby China osobiście skazał ich na śmierć.

Wściekłość dowództwa armii Zimbabwie nie będzie znała granic. Sean miał paszport Zimbabwe, który dotąd był bardzo przydatny, a który teraz czynił z niego zdrajcę i mordercę, niemogącego liczyć na żadną oficjalną pomoc z zewnątrz. Bez wątplenia zostałby przekazany niesławnej Centralnej Organizacji Wywiadowczej Zimbabwe i zabrany do jednej z cel śledczych w więzieniu Chikarubi, z którego nigdy by nie wyszedł żywy. Joba, mimo że jest ranny, spotkałby podobny los.

Chociaż Claudia miała obywatelstwo amerykańskie, prawdopodobnie oficjalnie uznano ją za zmarłą. Minęły już tygodnie od czasu powiadomienia o jej zaginięciu. Zainteresowanie jej osobą w ambasadzie amerykańskiej w Harare i Pretorii dawno już minęło. Razem z ojcem zostali uznani za zaginionych i nie mogła oczekiwać pomocy. Claudia była również narażona na tortury.

Pułapka się zamknęła, nie było z niej wyjścia. Za sobą mieli oddziały Renamo, po obu stronach żołnierzy Frelimo, a przed sobą Centralną Organizację Wywiadowczą Zimbabwe. Byli zupełnie opuszczeni na tym zdewastowanym terytorium i czekała ich śmierć z rąk wojska lub z głodu.

Myśl! - rozkazał sobie Sean. Wymyśl coś!

Mogli spróbować przekroczyć granicę z Zimbabwe w jakimś innym miejscu, ale wywiad z pewnością zaalarmuje wszystkie posterunki graniczne. Na wszystkich drogach znajdowały się posterunki wojskowe. Bez dokumentów nie przejdą nawet kilku kilometrów. A co zrobi z Jobem? Jak mogli transportować rannego, kiedy każdy patrol policyjny i wojskowy będzie szukać grupy z noszami.

445

w

— Musimy iść na południe - oświadczył Alphonso. -

Musimy przedostać się do Afryki Południowej.

— My? - Sean patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. - Chcesz iść z nami?

— Nie mogę wrócić do generała Chiny po tym, jak go zdradziłem - zauważył spokojnie. - Pójdę z wami do Afryki Południowej.

— Czeka nas droga licząca prawie pięćset kilometrów. Musimy iść pomiędzy dwoma walczącymi armiami, oddziałami Frelimo i rozstawionymi na południu siłami Renamo. A co zrobimy z Jobem?

— Będziemy go nieśli - odparł Alphonso.

— Przez pięćset kilometrów?

— No to go zostawimy. - Alphonso wzruszył ramionami. -

To tylko Matabele, zresztą i tak umiera, żadna strata.

Sean powstrzymał przekleństwo, jakie cisnęło mu się na usta, i zmusił się do milczenia, rozważając propozycję Alphonsa. Z którejkolwiek strony spojrzeć, musiał przyznać, że Alphonso ma rację. Drogę na północ do wątpliwego raję Malawi blokowały tarna Cabora Bassa i wojska Chiny. Na wschodzie mieli tylko Ocean Indyjski, a na zachodzie wywiadowców Zimbabwe.

— W porządku - zgodził się niechętnie. - Jedyna droga prowadzi na południe. Może uda nam się przecisnąć pomiędzy

żołnierzami Frelimo a wysuniętymi na południe oddziałami Renamo. Musimy przedostać się przez dobrze strzeżoną linię kolejową i rzekę Limpopo i znaleźć jakieś pożywienie w kraju, który został zdewastowany przez dziesięć lat wojny domowej.

— W Afryce Południowej będziemy mogli codziennie jeść mięso - przypomniał mu pogodnie Alphonso.

Sean podniósł się z ziemi.

— Czy twoi ludzie pójdą z nami?

— Zabiję tych, którzy nie będą chcieli - powiedział obojętnym tonem Alphonso. - Nie możemy im pozwolić wrócić do generała Chiny.

— Racja - zgodził się Sean. - Będziesz informował Chinę, że przekroczyłem granicę z Zimbabwe. Może uda nam się go zwieść w ten sposób przez jakieś cztery, pięć dni. Nie zorientuje się, że skręciliśmy na południe, aż znajdziemy się daleko poza

446

zasięgiem jego łap. Lepiej porozmawiaj od razu ze swoimi ludźmi. Musimy jak najszybciej zawrócić na południe. Wyjaśnij im wszystko, zanim sami się domyśla, że zmieniliśmy plany.

Alphonso wezwał partyzantów. W szarym świetle wstającego świtu ich twarze były poważne i napięte, gdy usiedli wokół sierżanta i słuchali, jak zachwala im południowoafrykański raj.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni walką i życiem w lesie jak

zwierzęta. Czas, żebyśmy nauczyli się żyć jak ludzie, znaleźli

żony, które urodziłyby nam synów. - Alphonso przemawiał

z zapalem neofity.

Sean dojrzał błyski nadziei w oczach większości mężczyzn i poczuł ulgę. Po raz pierwszy zaczął wierzyć, że przy sporym wysiłku i jeszcze większym szczęściu mają jednak jakąś szansę.

Podszedł do Claudii i Joba, żeby powiedzieć im o zmianie planów. Claudia ocierała twarz Joba mokrą szmatką.

— Ma się znacznie lepiej. Wypała się porządnie w nocy. -

Umilkła, widząc minę Seana. Jej dobry nastrój pierzchnął, gdy tylko powiedział, co ich czeka.

— To było zbyt piękne - szepnęła. - Wiedziałam cały czas, że nie pójdzie tak łatwo. Czułam, że generał China nie jest Świętym Mikołajem w przebraniu.

Job leżał nieruchomo na noszach. Sean pomyślał, że przyjaciel znowu stracił przytomność. Wziął go za nadgarstek, żeby sprawdzić puls. Przy dotknięciu Job otworzył oczy.

— Czy możesz zaufać tym Szangane? - wyszeptał.

— Nie mamy innego wyjścia - rzekł Sean. - Musimy...

— Zostaw mnie tutaj - przerwał mu ledwo dosłyszalnym głosem Job.

Twarz Seana zastygła ze złości. Odrzekł stanowczym głosem:

— Przestań pieprzyć głupoty.

— Beze mnie macie jeszcze jakąś szansę - nalegał Job. -

Jeśli będziecie mnie wlec na tych noszach...

— Mamy dwunastu silnych Szangane... - tym razem Sean wszedł mu w słowo.

— Lepiej, żeby kilka osób miało szansę na przedostanie się.

Zostaw mnie tutaj, Sean. Ocal Claudię i siebie.

— Zaczynasz mnie wkurzać. - Sean wstał i zwrócił się do

Claudii: - Wyruszamy za dziesięć minut.

447

Przez cały dzień maszerowali na południe. Sean przekonał się szybko, jaka to ulga nie musieć oglądać się na niebo, czy nie nadlatują hindy, chociaż partyzanci z przyzwyczajenia spoglądali od czasu do czasu w górę. Im bardziej zbliżali się do linii kolejowej, tym wolniejsze było ich tempo. Coraz częściej musieli się ukrywać w gęstych zaroślach i kępach drzewa hebanowego, czekając, aż Matatu wróci ze zwiadu i powie im, że droga wolna.

Późnym popołudniem Sean zostawił oddział w porośniętej gęstymi krzakami kotlinie i poszedł razem z Matatu. Nie było ich przez dwie godziny. Kiedy wrócili, słońce zachodziło już za wzgórzami. Sean jak duch pojawił się nagle u boku Claudii.

— Wystraszyłeś mnie - poskarżyła się cicho. - Chodzisz

jak kot.

— Linia kolejowa biegnie kilometr przed nami. Wygląda na to, że oddziały Frelimo są w kompletnym nieładzie. Jest spory ruch transportów wojskowych. Wygląda to zupełnie chaotycznie.

Przejście będzie nieco ryzykowne. Jak tylko wstanie księżyc, pójde jeszcze raz rzucić okiem.

Kiedy czekali na księżyc, Alphonso przymocował antenę do radia i połączył się z kwaterą Chiny.

— Gołąb odleciał - podał wcześniej umówione hasło, które oznaczało, że Sean i jego ludzie przekroczyli granicę. Po krótkiej przerwie, kiedy radiooperator przekazywał wiadomość generałowi, Alphonso otrzymał nowy rozkaz. Szangane mieli wracać do obozu nad rzeką. Sierżant potwierdził przyjęcie rozkazu i rozłączył się.

— Nie będą mnie oczekiwać wcześniej niż za dwa dni. -

Alphonso uśmiechnął się, składając antenę. - Dopiero wtedy zaczną coś podejrzewać.

Gdy okrążył księżyc wyłonił się zza drzew, Sean i Matatu wymknęli się z obozu, żeby ponownie sprawdzić linię kolejową.

Kilometr na południe od ich pozycji znaleźli miejsce, w którym tory przecinały wąski strumień. Mimo że w jego korycie było tylko kilka kałuż z wodą, brzegi porastały gęste krzaki zapewniające dobre schronienie. Krzewy były kiedyś wycięte na trzydzieści metrów po obu stronach linii kolejowej, ale od tego czasu zdołały już odrosnąć i sięgały Seanowi do pasa.

- Ci Frelimo to głupie dranie - mruknął Sean. - Mamy teraz świetną zastonę i możemy pozostać w korycie strumienia.

Tory kolejowe biegły po nasypie, w którym był wykopany przepływ dla wody. Piętnaście metrów od niego znajdował się posterunek straży. Kiedy Sean przyglądał się przez lornetkę budce wartowniczej, wyszedł z niej żołnierz Frelimo z karabinem przewieszonym przez ramię i podszedł do mostka. Wartownik zatrzymał się na środku, oparł o barierkę i zapalił papierosa. To, jak go trzymał w ręku, gdy wracał do budki, nasunęło Seanowi przypuszczenie, że żołnierz niezbyt pewnie trzymał się na nogach, a kiedy wartownik otworzył drzwi, Sean usłyszał cichy kobiecy śmiech dochodzący ze środka.

— Zdaje się, że mają przyjęcie - zachichotał Sean.

— Wino palmowe i małe bara-bara - powiedział Matatu

pożądlivym głosem i przesunął kilka razy kciukiem prawej ręki

między kółkiem utworzonym z palców lewej dłoni. - Sam

bym chciał tak się pobawić.

— Ty nienasycony mały dupku. - Sean wykręcił mu żartobli

wie ucho. - Jak dotrzemy do Johannesburga, stawiam ci najgrub

szą i największą dziewczuchę, jaka będzie w mieście. - Erotyczny

gust Matatu skłaniał się ku temu, co największe. "Szerpa Tenzing

na Evereście" - często pokpiwał sobie z niego Sean.

Zabawa, jaką urządzili sobie wartownicy, wskazywała na to, że grupa zbiegów nie będzie miała większych kłopotów z przeprawą. Sean i Matatu wycofali się cicho znad brzegu strumienia i ruszyli w drogę powrotną.

Nie było ich przez trzy godziny. Kiedy zbliżali się do obozu, dochodziła już pomoc. Sean zatrzymał się na brzegu kotliny, żeby oznajmić swoje przybycie umówionym sygnałem: przenikliwym świergotem kozodoja. Nie miał zamiaru ryzykować, że zostanie postrzelony przez kogoś z Szangane Alphonsa. Odczekał minutę na odpowiedź. Kiedy nie nadeszła, jeszcze raz odgwizdał sygnał. W kotlinie panowała niezmacona cisza. Sean poczuł niepokój.

Postanowił obejść obóz od drugiej strony. Niespodziewanie w świetle księżyca Matatu odnalazł nowy trop i przykucnął nad nim, marszcząc niespokojnie brwi.

— Kto to? Skąd przyszli? - zapytał szeptem Sean.

— Wielu ludzi, nasi Szangane! - Matatu podniósł głowę

i wskazał na północ. - Oni wychodzą, opuszczają obóz.

449

if

- Wychodzą? - zdumiał się Sean. - To bez sensu, chyba

że...! O Boże! Nie!

Szybko ruszył w kierunku obozu. Straże rozstawione po tej stronie znikły. Sean poczuł, jak paniczny strach zaczyna ścisnąć mu gardło.

- Claudia! - szepnął, powstrzymując się z całych sił, żeby

nie wykrzyknąć jej imienia. Chciał wbiec do obozu i odszukać

ją, ale zamiast tego zaczerpnął kilka razy głęboko powietrza

i opanował strach.

Odbezpieczył AKM, nastawiając go na ogień ciągły, i zaczął czołgać się bezszelestnie. Pięciu Szangane, których zostawił śpiących u wylotu kotliny, zniknęło. Nie było też ich sprzętu ani broni. Sean posuwał się dalej na łokciach i brzuchu. W świetle księżyca przed sobą rozpoznał zarys noszy Joba; obok, dokładnie tak jak ją zostawił, leżała Claudia owinięta w koce. Za nią leżało jeszcze jedno ciało z rozrzuconymi rękami. Sean dostrzegł wilgotną plamę z tyłu głowy mężczyzny.

- Krew!

Zapominając o ostrożności, Sean rzucił się do przodu. Przyklęknął przy Claudii i porwał ją w ramiona.

Dziewczyna jęknęła i na wpół przytomna zaczęła się wrywać, ale po chwili poznała, kto ją trzyma, i uspokoiła się.

— Sean! - mruknęła zaspanym głosem. - Co jest? Co się

stało?

— Dzięki Bogu - mruknął z olbrzymią ulgą. - Już myślę

łałem...!

Posadził ją ostrożnie i dotknął Joba.

- Job, wszystko w porządku? - Potrząsnął go delikatnie za

zdrowe ramię. Job poruszył się i stęknął.

Sean poderwał się i podszedł do leżącego na ziemi Alphonsa. Dotknął jego szyi. Ciało było ciepłe, a pod palcami wyczuwał równe i silne tętno.

- Claudia! - zawołał. - Przynieś mi latarkę.

W świetle latarki obejrzał uważnie ranę na głowie sierżanta.

- Nic wielkiego - rzekł. Mimo że krwawienie szybko ustało

samo, Sean przyłożył opatrunek do rany i obwiązał sierżantowi głowę bandażem. - Dobrze, że uderzyli go w głowę, a nie gdzie

450

indziej, boby mu jeszcze zrobili krzywdę. - Uśmiechnął się ponuro z własnego dowcipu.

— Sean, co się stało? - zapytała niespokojnie Claudia. -

Spałam mocno i nic nie słyszałam.

— Twoje szczęście. - Sean zawiązał końce bandaża. -

Mogłaś zostać potraktowana jak on.

— Ale co się stało, gdzie są pozostali?

— Odeszli - odpowiedział. - Uciekli, zdezerterowali. Najwidoczniej nie podobała im się podróż albo jej cel. Dali sierżantowi po łbie i wrócili do generała Chiny.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

— Chcesz powiedzieć, że zostało nas teraz tylko czworo?

Wszyscy Szangane oprócz Alphonsa uciekli?

— Zgadza się - potwierdził.

Alphonso stęknął cicho i dotknął ręką bandaża. Sean pomógł mu usiąść.

— Sean! - Claudia pociągnęła go za rękaw. - Co robimy my? - Sean spojrzał na leżącego na noszach Joba. - Co zrobimy z Jobem? Jak mamy go nieść? Jak się stąd teraz wydostaniemy?

— To bardzo ciekawe pytanie - odparł głosem, przez który przebijało przygnębienie. - Mogę ci tylko powiedzieć, że jutro o tej porze nasz przyjaciel China będzie wiedział dokładnie, gdzie jesteśmy i w którą stronę się kierujemy.

Claudia patrzyła na niego przerażona.

— Co teraz zrobimy? - jęknęła.

— Nie mamy zbyt wielkiego wyboru - odpowiedział. -

Tylko jedna droga jest jeszcze przed nami otwarta... będziemy szli dalej na południe.

Pomógł wstać Alphonsowi.

- Przecież to niemożliwe - szepnęła niespokojnie. - We dwóch nie dacie rady nieść noszy.

- Masz oczywiście rację. Musimy to urządzić jakoś inaczej.

Przy pomocy Claudii przeniósł Joba z noszy na koc, a następnie zaczął rozkładać je na części. Zanim skończył, z ciemności wyłonił się Matatu i szeptem złożył Seanowi raport.

- Nieźle ich wyszkoliłeś - powiedział Sean, nie patrząc na Alphonsa. - Twoi Szangane się rozprysnęli, pobiegli każdy w inną stronę. Gdybyśmy nawet mogli za nimi podążyć, to i tak

451

udałoby nam się złapać co najwyżej jednego albo dwóch. Reszta dotrze do Chin z ciekawymi nowinami.

Alphonso zaklął szpetnie, a Sean wyjaśnił Claudii i Jobowi swój pomysł.

- Zrobię z siatki nylonowej z noszy siodełko z szelkami.

Claudia miała wątpliwości.

— Job nie jest na tyle silny, żeby usiąść wyprostowany. Każdy ruch może otworzyć ranę i znowu zacnie krwawić... - Umilkła, gdy Sean posłał jej rozgniewane spojrzenie.

— Masz jakiś lepszy pomysł? - spytał ostrym głosem

i Claudia pokręciła przecząco głową.

Sean złożył podwójnie grube płótno i zrobił zaczepy z pasków swojego AKM i AK Alphonsa.

- Dopasujemy to, jak ruszymy - mruknął i spojrzał na Claudię. - Zamiast wynajdywać trudności, może byś mi pomog

ła i zebrała sprzęt, jaki zostawili Szangane. Musimy wybrać niezbędne rzeczy.

Szybko dokonał wyboru, wyrzucając wszystko poza najbardziej niezbędnymi przedmiotami.

— Alphonso i ja będziemy nieść Joba. Weźmiemy także naszą broń i koce. Claudia i Matatu, poniesiecie apteczkę, manierki z wodą i po jednym kocu. Wszystko inne zostawiamy.

— A konserwy? - zapytała Claudia.

— Zapomnij o nich - odparł szybko Sean i zaczął rozdzielać pakunki. Zredukował zawartość plecaków do minimum, wiedząc, że każdy kilogram będzie ważył dziesięć razy tyle po przejściu zaledwie kilku kilometrów. Zmusił nawet Alphonsa do porzucenia karabinka AK i dał mu w zamian pistolet Tokariewa, który zabrał radzieckiemu pilotowi. Sam zostawił sobie dwa zapasowe magazynki do AKM, a Alphonso wziął jeszcze granaty - dwa burzące i dwa zapalające.

Resztę sprzętu ułożyli w stertę, przykryli ziemią i gałęziami, żeby nie został przypadkiem odkryty przez patrol Frelimo.

- W porządku, stary - zwrócił się do Joba. - Czas w drogę. - Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Mieli tylko kilka godzin do świtu, w czasie których mogli przekroczyć linię kolejową. - To może trochę boleć - ostrzegł Joba i razem z Alphonsem podniósł go z ziemi. Job wytrzymał poruszenie

452

ze stoickim spokojem. Stał nieruchomo podtrzymywany z obu stron.

Mężczyźni dopasowali nylonowe siodło zawieszane na pasach przebiegających im przez ramiona. Potem ostrożnie posadzili na nim rannego. Job siedział, nie dotykając ziemi nogami, zdrową ręką obejmując szyję Seana. Alphonso i Sean splekli razem ręce za jego plecami, żeby go podtrzymać od tyłu.

- Gotowy? - spytał Sean i Job chrząknął cicho, starając się zamaskować ból, jaki mu sprawiał ruch. - Jeśli chcesz powiedzieć, że jest ci niewygodnie... - ostrzegł go Sean - to lepiej poczekaj kilka godzin!

Ruszyli kotlinką w stronę linii kolejowej. Szli powoli, przyzwyczajając się do niewygodnej pozycji, starając się omijać nierówności terenu, ale i tak potykali się na kamieniach, a ranny kołysał się na siodełku i obijał o nich. Nie powiedział ani słowa, ale Sean słyszał przy uchu jego urywany oddech, a kiedy ból dźgnął szczególnie dotkliwie, wbijał palce w kark Seana.

Szli wolnym krokiem korytem na wprost wyschniętego strumienia w stronę mostka. Matatu prowadził trzydzieści metrów przed nimi tak, żeby Sean mógł go widzieć w świetle księżyca. W pewnej chwili mały tropiciel dał im znak, żeby się zatrzymali, a po kilku minutach skinął, że mogą iść dalej. Claudia podążała pięćdziesiąt kroków z tyłu, żeby mieć szansę ucieczki, gdyby zostali odkryci.

Dźwigając Joba, Sean i Alphonso nie mogli zachować bezwzględnej ciszy. W pewnej chwili weszli niebacznie w płytkie, muliste bajory i odgłosy ich kroków w wodzie narobiły hałasu niczym stado hipopotamów.

Matatu dotarł już do mostka i dawał im szaleńcze znaki, żeby się pospieszyli. Ugięci pod ciężarem Joba puścili się biegiem, gdy na nasypie dały się słyszeć kroki i odgłosy rozmowy.

Zgięci najbardziej jak mogli, biegli co sił w nogach. Znaleźli się wreszcie u celu i wnieśli Joba do ciemnego, wybetonowanego tunelu. Claudia, która puściła się pędem, była już kilka kroków za nimi. Sean wyciągnął rękę, złapał ją za ramię i wciągnął do zbawiennej ciemności.

Oparli się o ścianę, schyleni nisko z powodu niewysokiego hakowatego sklepienia, starając się opanować oddechy, które rozrywały im piersi po szaleńczym biegu przez błoto i piach.

453

Kroki na nasypie zbliżały się, aż wreszcie zatrzymały się bezpośrednio nad ich głowami. Głosy, które słyszeli, były głosami mężczyzny i kobiety. Żołnierze Frelimo albo wozili kobiety ze sobą, albo zaprzyjaźnili się z kobietami z obozów uchodźców, które rozciągały się wzdłuż linii kolejowej.

Para na mostku wyłócała się o coś ze sobą, głos mężczyzny brzmiał bełkotliwie jak po alkoholu, a w przenikliwym głosie kobiety słychać było przebiegłość, gdy targowała się nieustępliwie. Wreszcie usłyszeli słowa wypowiedane przez mężczyznę zdesperowanym tonem:

- Dolar shumi, dziesięć dolarów.

Głos kobiety natychmiast zmieknął i para dobiła targu. Po chwili dobiegł ich odgłos kroków na nasypie i kilka kamyków posypało się na dno koryta strumienia.

— Schodzą tutaj! - szepnęła przerażona Claudia i grupa

instynktownie cofnęła się w głąb tunelu.

— Cisza! - szepnął Sean. Schylił się, żeby zdjąć z ramion

krzeselko i oprzeć Joba o ścianę.

Kiedy wyjmował zza pasa nóż, w wejściu do tunelu pojawiły się dwie sylwetki wyraźnie zarysowane na tle rozjaśnionego światłem księżyca nieba.

Para trzymała się w objęciach, śmiejąc się cicho. Kobieta na wpół podtrzymywała mężczyznę, który potykał się co krok. Sean wyciągnął nóż, trzymając go na wysokości brzucha wartownika, gotów zaatakować, gdyby zbliżyli się za bardzo. Na szczęście para nie zapuszczała się w głąb tunelu. Po kilku krokach obrócili się twarzami do siebie, chichocząc i szepcząc.

Wartownik pchnął kobietę na ścianę i oparł obok niej karabin, rozpinając drugą ręką spodnie. Kobieta odchyliła się do tyłu, wprawnym gestem podniosła przód sukienki powyżej pasa. Śmiejąc się głupkowato, wartownik zatoczył się na nią. Kobieta podtrzymała go jedną ręką i naprowadziła, drugą zadzierając wysoko materiał sukienki.

Gdyby Claudia wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć opartej

O ścianę pary, ale żołnierz i jego kobieta byli już mocno spleceni

ze sobą i niepomni całego świata. Mężczyzna zaczął rytmicznie

napierać na kobietę, mobilizując się jednocześnie pijanym głosem

1 poruszając się z coraz większą zaciekłością. Kobieta także go

454

popędzała, cmokając językiem jak jeździec poganiający konia. Żołnierz przeszedł do pełnego galopu.

Nagle cały zeszywniał, odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie odgłos jak ochrypli kogut. Z wolna jego ciało zwiotczało. Kobieta się roześmiała i odepchnęła go od siebie. Wciąż się śmiejąc, wygładziła sukienkę i chwyciła pijanego kawalera za rękę. Wyszli niepewnym krokiem na łachę piasku przed tunelem i znikli za zakrętem. Z wolna ich kroki na zwirowanym nasypie ucichły. Sean schował nóż do pochwy przy pasie i szepnął cicho:

- To się dopiero nazywa szybki numer w lesie!

Claudia zachichotała z ulgą.

- Najwyżej dwie sekundy, to musi być nowy rekord świata -

szepnęła.

Sean przytulił ją mocniej do siebie.

— Bądźmy także przyjaciółmi - poprosił. - Przepraszam,

że zezłościłem się na ciebie w obozie.

— Chyba musiałam mieć chandrę i zasłużyłam sobie na to.

Obiecuję ci, że nie usłyszysz już ode mnie żadnych narzekań.

— Trzymaj się blisko mnie. - Obrócił się, żeby podtrzymać

Joba. Zobaczył, że ranny osunął się miękko po ścianie i siedział na piasku.

Kiedy Sean się nachylił, przypadkiem dotknął palcami ramienia Joba. Bandaż był cały przesiąknięty krwią. Z ust Seana zniknął uśmiech. Rana otworzyła się i znowu krwawiła.

I tak nic teraz na to nie poradzę, pomyślał i delikatnie podniósł Joba z ziemi.

- Jak się masz, stary?

- Całkiem nieźle. - Głos Joba był bardzo słaby i urywany.

Sean dotknął Matatu. Mały tropiciel natychmiast posłuchał

niewypowiedzianego rozkazu. Wysunął się z tunelu i szybko zniknął w krzakach na brzegu strumienia.

Kilka minut później usłyszeli cichy gwizd nocnego ptaka. Droga była wolna. Sean posłał przodem Claudię i odczekał pięć minut, dając jej czas na przejście przez otwarty teren.

- Ruszamy - powiedział, spoglądając na fosforyzujące

wskazówki roleksa, gdy podnieśli Joba.

Następne sto kroków ciągnęło się w nieskończoność. W końcu jednak znaleźli się w lesie, gdzie czekała na nich Claudia.

455

— Udało się! - szepnęła triumfalnie.

— Jasne, że się udało, pierwszy kilometr to pestka, zostało

ich jeszcze tylko czterysta pięćdziesiąt - odpowiedział ponuro,

nie zatrzymując się ani na chwilę.

Licząc kroki i sprawdzając czas na zegarku, Sean ocenił, że szli w tempie trzech kilometrów na godzinę. Biegący przed nimi Matatu wyszukiwał najłatwiejszą drogę. Sean prawie wcale go nie widział i kierował się jedynie cichymi gwizdami naśladującymi wołanie nocnych ptaków. Od czasu do czasu sprawdzał kierunek marszu po gwiazdnych konstelacjach, wyszukując pomiędzy koronami drzew parę jasnych gwiazd w Krzyżu Południa.

Kiedy światło wstającego słońca przygasiło gwiazdy, zatrzymali się na postój i Sean pozwolił im napić się po dwa łyki wody z manierki, którą niosła Claudia. Następnie wziął się do oglądania ramienia Joba. Bandaż był całkowicie przesiąknięty krwią, a twarz rannego wydawała się szara niczym popiół z wygasłego ogniska. Oczy zapadły się w ciemnych oczodołach, wargi miał wyschnięte i popękane. Przy

każdym oddechu z ust wydobywał się cichy świst. Ból i utrata krwi spowodowały straszliwe spustoszenie.

Sean bardzo ostrożnie odwinął bandaż i szybko wymienił spojrzenie z Claudią, która nachyliła się nad rannym. Mięśnie ramienia były zupełnie poszarpane, a opatrunek dosłownie zapadł się w zakrwawioną jamę. Sean wiedział, że przy poruszeniu tamponu rozdarłby mięśnie, do których przywarła gaza, i krwawienie stałoby się jeszcze silniejsze. Nachylił się niżej, żeby powąchać ranę, i Job uśmiechnął się do niego lekko rozchylając usta.

— Pachnie jak tatar? - zapytał słabym głosem.

— Musimy tylko przyprawić czosnkiem. - Sean odwzajemnił uśmiech, ale wyczuł pierwszy odór zgnilizny. Wcisnął połowę tubki maści jodowej głęboko do rany i przykrył ją świeżym opatrunkiem.

Claudia przytrzymała gazę palcem, gdy Sean owijał tors Joba nowym bandażem wyjętym z apteczki. Potem złożył pokrwawiony bandaż i schował go do kieszeni. Wypierze go, jak tylko znajdą jakąś wodę.

- Musimy ruszać dalej - ostrzegł Joba - żeby oddalić się od linii kolejowej. Dasz radę?

456

Job skinął głową, ale Sean odczytał strach ukryty w jego oczach. Każdy krok był dla niego agonią.

- Wstrzyknę ci antybiotyk. Chcesz, żebym przy okazji podał ci morfinę?

Job potrząsnął głową.

- Zatrzymaj to na czas, gdy będzie naprawdę źle. - Uśmiechnął się ostrożnie.

Sean poczuł, jak żal ściska go za serce. Nie miał odwagi spojrzeć przyjacielowi w oczy.

- Pokaż nam swoją lepszą stronę - powiedział i zrobił prawdziwe przedstawienie, ściągając Jobowi spodnie i wbijając jednorazową igłę w jego czarny błyszczący pośladek.

Claudia odwróciła wstydliwie wzrok, a Job szepnął:

— W porządku, Claudio, możesz patrzeć. Bylebyś tylko nie macała.

— Jesteś tak samo wstrętny jak Sean - powiedziała z przeganą. - Obaj jesteście zepsuci do szpiku kości.

Posadzili Joba na nylonowym siodełku i ruszyli w dalszą drogę. Nad ich głowami krążyły chmary malutkich muszek owocowych, które z nieubłaganą natarczywością wciskały się do uszu, nosów i oczu. Wraz z upałem przyszło pragnienie, a pot zasychał na koszulach, zostawiając białe plamy soli.

Kiedy w południe zatrzymali się w cieniu rzadkich drzew tekowych, Sean widział, że wszyscy są u kresu sił, a mieli przed sobą godziny najgorszego upału. Razem z Alphonsem położyli Joba na materacu ze ściętej trawy i ranny natychmiast zapadł w silny sen czy raczej formę śpiączki, chrapiąc lekko przez rozchylone, opuchnięte usta.

Pasy siodełka przecierały skórę na ramionach Seana, gdyż po drodze zamieniali się co godzina z Alphonsem miejscami. Szorstkie szelki z nylonu poraniły także Alphonsa, który rzucał pod nosem przekleństwa, oglądając obtarcia.

- Wcześniej nie cierpiałem Matabele za to, że są złodziejską bandą zapchlonych małp. Teraz mam nowe powody, żeby ich nienawidzić.

Sean rzucił mu tubkę maści jodowej.

- Posmaruj swoje rany, muti, i wsadź pustą tubkę w jadaczkę - poradził mu.

457

Alphonso odszedł, żeby znaleźć sobie miejsce na legowisko, nie przestając mrużyć pod nosem.

Sean i Claudia znaleźli zagłębienie osłonięte ciernistymi krzakami, niedaleko od miejsca, gdzie spał Job. Sean rozpostarł koce na ziemi i z ulgą się na nich położył.

— Jestem wykończony.

— Jak bardzo? - zapytała Claudia, klękając przy nim i ciągnąc go pieścizotliwie za ucho.

— Nie tak bardzo - poprawił się Sean i przycisnął ją do siebie.

Przed zachodem słońca ugotował garnek kaszki kukurydzianej na małym bezdymnym ogniu, a Alphonso założył w tym czasie antenę i nastawił radio na częstotliwość dowództwa Renamo. Na ich fali słychać było jakieś zamazane i przerywane rozmowy, najpewniej prowadzone przez żołnierzy Frelimo. W końcu jednak usłyszeli sygnał wywoławczy.

- N'gulube\ Guziec! Odezwiąj się, N'gulube\ Tu Drzewo

Bananowe!

Alphonso podał hasło i następnie złożył fikcyjny raport, informując, że jego oddział jest daleko na północ od linii kolejowej i wraca do obozu nad rzeką. Drzewo Bananowe przyjął raport i rozłączył się.

- Dali się nabrać - zawyrokował Sean. - Wygląda na to,

że nasi Szangane nie dotarli jeszcze do bazy i nie podnieśli

alarmu.

Zjedli posiłek przy ostatnim świetle zachodzącego słońca. Sean szybko przejrzał mapę i zaznaczył na niej w przybliżeniu ich pozycję. Według mapy górzysty teren ciągnął się jeszcze przez jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Później przechodził łagodnie w równinę, na mapie zaznaczono kilka wiosek i pól uprawnych. Dalej ciągnęła się pierwsza naturalna przeszkoda na ich drodze, szeroka rzeka biegnąca z zachodu na wschód.

Sean przywołał Alphonsa.

— Czy wiesz, gdzie się zaczyna obszar, na którym rozloko

wane są południowe dywizje Renamo pod dowództwem generała

Tippoo Tipa i gdzie się znajdują ich główne siły?

— Podobnie jak my przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce,

żeby wprowadzić w błąd patrole Frelimo. Czasami są tutaj,

458

a czasami tutaj przy Rio Save. - Wzruszył ramionami. - Renamo jest tam, gdzie toczy się walka.

— A wojska Frelimo? Wiesz, gdzie są rozlokowane ich siły?

— Frelimo ścigają Renamo i uciekają jak wystraszone króliki, gdy ich dopadną - roześmiał się głośno z własnego dowcipu. -

Dla nas i tak nie ma to znaczenia. Każdy, kogo spotkamy po drodze, będzie chciał nas zabić.

— Mam cudowny wywiad - mruknął sarkastycznie Sean

i włożył mapę do plastikowego portfela.

Skończyli szybko jednodaniowy posiłek i Sean podniósł się z ziemi.

- W porządku, Alphonso. Bierzemy Joba i ruszamy w drogę.

Alphonso beknął cicho i uśmiechnął się złośliwie.

- To twój pies Matabele. Jeśli chcesz go zatrzymać, to musisz sam go nieść. Ja mam dosyć.

Sean ukrył zdumienie pod maską obojętności.

- Tracisz tylko czas - powiedział spokojnie. - Podnoś się z ziemi!

Alphonso znowu beknął. Wytrzymał jego wzrok, uśmiechając się pod nosem.

Sean wolno sięgnął po nóż i Alphonso równie spokojnie dotknął kolby pistoletu za pasem. Patrzyli jeden na drugiego nieruchomym wzrokiem.

— Sean, o co chodzi? - zapytała niespokojnie Claudia. -

Co się dzieje? - Nie rozumiała wymiany zdań w szangane, ale wyczuwała napięcie.

— Odmawia niesienia Joba - odpowiedział Sean.

— Przecież nie możesz nieść go sam, prawda? - spytała niepewnie. - Alphonso musi ci pomóc...

— ...albo zabiję go! - dokończył Sean w szangane i w od powiedzi Alphonso roześmiał się głośno. Wstał, otrząsając się jak pies, odwrócił się tyłem do Seana, wziął radionadajnik, karabinek AKM i większość manierek z wodą.

— Ja poniosę to - zachichotał, potrząsając głową, jakby nie mógł się nacieszyć własnym dowcipem. - Ty możesz sobie ponieść Matabele. - Ruszył na południe.

Sean zdjął dłoń z rękojeści noża i spojrzał na Joba. Ranny przyglądał mu się spokojnie.

— Jeśli coś powiesz, to skopię ci ten czarny tyłek - warknął

Sean.

— Nic nie mówiłem. - Job spróbował się uśmiechnąć, ale bardziej to przypominało grymas bólu.

— No i dobrze - odparł wściekłym głosem Sean, podnosząc z ziemi siodełko i pasy.

— Claudio, pomóż mi.

Postawili Joba na nogi i Sean opasał go taśmami nylonowymi niczym uprzężą spadochronu, a następnie przełożył ramiona przez powstałe pętle. Mógł teraz iść, podtrzymując Joba ręką w pasie.

- Jeszcze jedna rzeka, jeszcze tylko jedna rzeka do przejścia - zanucił, fałszując okrutnie i uśmiechnął się do przyjaciela.

Ruszyli w drogę. Job dotykał nogami ziemi i starał się możliwie jak najbardziej ulżyć Seanowi, był jednak przywiązany pasami przebiegającymi wokół ramion Seana. Szli niczym para w kiaracie.

Po przejściu pierwszych stu kroków udało im się wypracować wspólny rytm, ale marsz był bardzo powolny i niepewny, dopasowany do niemrawych półkroków Joba. Nie mieli żadnej możliwości zachowania ciszy czy zacierania śladów, gdyż Sean musiał wybierać najłatwiejszą i przez to najoczywistszą drogę. Trzymali się ścieżek wydeptanych przez zwierzęta, które niczym żyłki na liściu przecinały afrykański step.

Claudia podążała za nimi obciążona apteczką i pozostałymi manierkami z wodą. Trzymała też w jednym ręku liściastą gałąź, którą usiłowała zatrzeć ślady. Jej wysiłki mogły ukryć trop jedynie przed pobieżnym spojrzeniem, ale tropiciel potrafiłby podążać za nimi równie pewnie, jak gdyby poruszał się autostradą. Wyniki nie były więc warte wysiłku, ale Sean nie protestował, wiedząc, jak ważne jest dla niej przeświadczenie, że pomagają im z całych sił.

Spoglądając na wskazówkę zegarka i licząc kroki, ocenił, że ich tempo spadło do jednego kilometra na godzinę. Nie mógł nawet marzyć, że zrobią więcej niż osiem kilometrów dziennie, i zaczął już dzielić czterysta pięćdziesiąt przez osiem, ale dał sobie spokój, zanim otrzymał dokładny wynik.

Matatu i Alphonso zniknęli w liściastym lesie przed nimi i Sean znowu spojrzał na zegarek. Szli w ten sposób zaledwie

od trzydziestu minut, a tempo już zaczynało spadać. Job ciążył mu coraz bardziej, pasy wrzynały się okrutnie w ramiona, a przyjaciel zaczynał pociągać nogami i zahaczać o wszystkie przeszkody.

- Będziemy robili przerwy co pół godziny - powiedział

przez ramię. - Pięć minut odpoczynku.

Kiedy posadził Joba na ziemi, opierając o pień drzewa, głowa rannego opadła na szorstką korę. Job zamknął oczy. Oddech rzeźił mu w piersiach, a po policzkach spływały strużki potu; niczym malutkie czarne perły kropelki odbijały kolor skóry.

Sean przedłużył postój do dziesięciu minut, a potem zawołał pogodnie:

- Na nogi, żołnierzu. Ruszamy w drogę!

Następne trzydzieści minut ciągnęło się w nieskończoność. Sean zaczął podejrzewać, że stanął mu zegarek. Musiał przystawić go do ucha i posłuchać tykania, żeby to sprawdzić. Kiedy wreszcie posadził przyjaciela na ziemi, Job skrzywił się boleśnie.

- Przepraszam, Sean, skurcz. Lewa łydka.

Sean ukucnął przed nim i wyczuł zgrubiałe węzły mięśni łydki. Masując je ostrożnie, zwrócił się do Claudii:

- W apteczce są tabletki solne, w przedniej kieszeni.

Job połknął je i Claudia przytknęła mu manierkę do ust. Po dwóch łykach odepchnął pojemnik głową.

— Pij jeszcze - namawiała go Claudia.

Job pokręcił przecząco głową.

— Nie marnuj jej - mruknął.

— Lepiej teraz? - Sean klepnął kilka razy łydkę.

— Wystarczy na kilka kilometrów.

— No to ruszamy - powiedział Sean. - Zanim cię znowu

złapie.

— Claudia nie mogła pojąć, jak mogli iść w ten sposób przez

całą noc z pięciominutowymi odpoczynkami co pół godziny,

o kilku łykach wody.

Czteryście kilometrów, pomyślała. To nie jest możliwe. Żaden człowiek by tego nie zniósł. To zabije ich obu.

Niedługo przed świtem z lasu wyłonił się Matatu i powiedział coś szeptem Seanowi.

- Znalazł sadzawkę jakieś trzy, cztery kilometry stąd -

wyjaśnił Sean. - Job, dasz radę?

461

Słońce już wstało i oświetlało korony drzew. Upał się wzmagał, osiągając temperaturę pieca hutniczego. Kiedy Job zemdłał i zawisł na plecach Seana, napierając całym ciężarem na pasy, znajdowali się ponad kilometr od sadzawki.

Sean położył go na ziemi i usiadł obok. Był tak zmęczony, że przez kilka minut nie miał siły cokolwiek powiedzieć czy się poruszyć.

- Przynajmniej znalazłeś dobre miejsce, żeby zemdleć -

pogratulował Jobowi chrapliwym szeptem. Znajdowali się w kę

pie wysokich i gęstych krzaków, które zapewniały im odrobinę

chłodu i schronienie na resztę dnia.

Zrobili materac ze ściętej trawy i ułożyli Joba w cieniu. Ranny był tylko na wpół przytomny, szeptał niewyraźnie, a spojrzenie miał lekko błędne. Claudia próbowała go nakarmić, ale Job odwrócił głowę. Kiedy Matatu i Alphonso wrócili z napełnionymi menażkami, łapczywie napił się wody i ponownie zemdłał. Musieli przeczekać upalne godziny w cieniu krzaków.

Sean leżał w objęciach Claudii, która przyzwyczaiła się już, że zasypiają spleceni ze sobą. Czuła, że Sean jest u kresu sił. Nigdy by nie podejrzewała, że może być aż tak zmordowany i jego niespożyte siły mają swoje granice.

Kiedy obudziła się po południu, spał obok niej jak zabity i zaczęła z czułością mu się przyglądać. Brodę miał już długą, kręconą i Claudia wypatrzyła w niej dwa siwe włosy. Twarz była wymizerowana, wszystek tłuszcz został dawno spalony, a na skórze pojawiły się linie i zmarszczki, których wcześniej nie zauważyła. Przyglądała im się teraz uważnie, jakby to było nieznanne jej pismo klinowe na tabliczkach, których nie może odczytać. O Boże, jak ja go kocham, pomyślała, zdumiona głębią swoich uczuć. Był opalony na kolor ciemnego mahoni, a jednak ciało zachowało połysk i jędrność niczym dobra skóra na buty, znoszona, ale polerowana z troską przez wiele lat. Jak buty do polo tatusia, przeszło jej przez myśl. Uśmiechnęła się z porównania, ale po chwili wydało jej się trafne. Często widziała, jak ojciec z czułością nakłada na buty tłuszcz garbarski i poleruje je do połysku gołymi rękami.

- Buty! - szepnęła. - To imię najbardziej do ciebie pasu

je - powiedziała śpiącemu Seanowi i przypomniała sobie, jak

462

buty ojca załamywały się i marszczyły w kostkach, kiedy wkładał nogę w strzemię. Niemal równie delikatnie jak jedwab. - Marszczyły się dokładnie jak ty, mój kochany Bucie. - Uśmiechnęła się i pocałowała delikatnie w czoło, żeby go nie obudzić.

Uświadomiła sobie nagle, do jakiego stopnia pamięć ojca związała się z człowiekiem, który leżał w jej ramionach niczym dziecko. W jej wyobraźni obaj mężczyźni wiązali się w jednię, na której mogła skupić całą swoją miłość. Przesunęła ostrożnie głowę Seana tak, że oparła się o jej ramię. Mogła teraz zanurzyć palce w jego gęstych włosach. Zaczęła go bardzo wolno kołysać.

Do tej pory Sean zdołał wzbudzić u niej różne emocje, od gniewu do pożądania, oprócz czułości. Teraz patrzyła na niego z tkliwością świadoma głębi własnych uczuć.

- Moje kochanie - szepnęła czule niczym matka. Zdała sobie sprawę, że naprawdę do niej należy.

Cichy jęk zakłócił jej nieśmiałe marzenia i Claudia podniosła głowę, żeby spojrzeć na Joba odpoczywającego pod pobliskim krzakiem. Ranny leżał jednak nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Claudia zaczęła myśleć o Jobie i Seanie i ich wzajemnym stosunku. Wiedziała dobrze, że nie ma szans dzielenia z nimi ich uczucia. Powinna czuć zazdrość, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób dawało jej to raczej poczucie bezpieczeństwa. Jeśli Sean potrafił być tak pełen poświęcenia i oddany w męskiej przyjaźni, mogła mieć nadzieję, że wykaże podobną stałość w innym, bardziej intymnym i silniejszym uczuciu do niej.

Job znowu jęknął i zaczął niespokojnie poruszać kończynami. Claudia westchnęła. Ostrożnie zdjęła głowę Seana z ramienia. Wstała i podeszła do Joba.

Nad zakrwawionym bandażem unosiła się brzęcząca chmura metalicznozielonych much. Siadały na wilgotnym opatrunku i zanurzały drugie trąbki języków w lepkiej cieczy, pocierając przednimi nogami o siebie. Claudia zobaczyła, że zdążyły już złożyć małe białe jajeczka w załamaniach przesiąkniętego krwią bandaża. Z okrzykiem obrzydzenia odgoniła muchy kilkoma machnięciami dłoni i zaczęła wskrobywać wstrętne białe kożuch.

Nagle Job otworzył oczy i spojrzał na nią. Widziała, że jest zupełnie przytomny, i posłała mu pokrępiący uśmiech.

463

— Chciałbyś się napić?

— Nie. - Jego głos był tak słaby, że musiała się nachylić,

by go zrozumieć. - Musisz go nakłonić - powiedział.

- Kogo? Seana? - zapytała.

Job skinął głową.

— Nie pociągnie tak długo. On się zwyczajnie zabija. Bez niego nikt z was nie przeżyje. Musisz go nakłonić, żeby mnie tu zostawił.

— Claudia zaczęła kręcić głową, zanim jeszcze skończył mówić.

— Nie - odpowiedziała zdecydowanie. - Nigdy tego nie zrobi, a ja bym mu na to nie pozwoliła, nawet gdyby chciał. Nie ma mowy, żebyśmy cię zostawili. - Dotknęła delikatnie jego ramienia. - Więc jak, masz ochotę na łyk wody? - Job zamknął oczy zbyt słaby, żeby się dalej wykićcać. Podobnie jak Sean stracił wszystkie siły w ciągu ostatnich kilku godzin. Claudia usiadła przy nim, odpędzając muchy liściem palmowym, patrząc, jak słońce wolno zniża się nad horyzontem.

W chłodzie wieczoru Sean poruszył się niespokojnie i usiadł. Od razu był przytomny. Szybkim spojrzeniem zlustrował otoczenie. Sen wzmocnił go widocznie.

— Jak się czuje? - zapytał, a kiedy Claudia potrząsnęła głową, przykucnął obok niej. - Niedługo będziemy musieli podnieść go i ruszać w drogę.

— Daj mu jeszcze parę minut - poprosiła. Po chwili dodała rozmarzonym głosem: - Wiesz, o czym myślałam, siedząc tutaj?

— Powiedz mi - poprosił i otoczył ją ramieniem.

— Myślałam o tej sadzawce przed nami. Marzyłam o tym, żeby poleć się wodą, uprać ubranie i pozbyć się tego smrodu.

— Słyszałaś o Napoleonie? - zapytał Sean.

— Napoleon? - Claudia zrobiła zdziwioną minę. - A co on ma wspólnego z kąpielą?

— Kiedy wracał z którejś kampanii, wysyłał przodem gońca z wiadomością dla Józefiny: Je rentre, ne te lave pas. "Wracam do domu, nie myj się". Napoleon lubił swoje kobiety dojrzałe

tak jak camembert. Zakochałby się w tobie do szaleństwa, gdyby mógł być teraz przy tobie!

— Jesteś obrzydliwy! - Uderzyła go żartobliwie w ramię i w tej samej chwili Job jęknął.

464

— Stary. - Sean skoncentrował się na przyjacielu. - Co się dzieje?

— Pamiętasz swoją propozycję? - szepnął Job.

— Morfina?

Job skinął głową.

— Tylko nie za dużo, dobrze?

— Już się robi. - Sean sięgnął po apteczkę.

Po zastrzyku ranny leżał nieruchomo z zamkniętymi powiekami. Widać było, jak linie bólu wokół jego ust powoli się wygładzają.

- Lepiej? - zapytał Sean. W odpowiedzi Job uśmiechnął się słabo, nie otwierając oczu. - Damy ci jeszcze kilka minut - powiedział Sean. - Połączymy się w tym czasie z Drzewem Bananowym.

Sean wstał i podszedł do Alphonsa, który umocowywał już antenę.

- N'gulube, mówi Drzewo Bananowe. - Odpowiedź na wezwanie Alphonsa była tak wyraźna, że Sean poruszył się niespokojnie.

Sierżant przyciszył radio i naciskając przycisk mikrofonu, złożył kolejny fikcyjny raport o tym, jak wraca do obozu nad rzeką.

Przez chwilę panowała cisza przerywana jedynie szumami i trzaskami, a później usłyszeli znowu wyraźny głos.

— Chcę mówić z pułkownikiem Courtneyem!

— Nie mogło być wątpliwości co do intonacji i Alphonso

spojrzał na Seana.

- Generał China - szepnął, podsuwając Seanowi mikrofon.

Sean odsunął mikrofon ręką i zmarszczył brwi, czekając na

kolejną wypowiedź.

W nabrzmiałej niepokojem ciszy Claudia zostawiła Joba i podeszła do Seana. Ukucnęła obok niego i otoczyła go ramieniem; oboje patrzyli w oczekiwaniu na radio.

— Dezerterzy - szepnęła Claudia. - China już wie.

— Słuchaj! - uciszył ją Sean.

Czekali dalej w milczeniu.

- Rozumiem - rozbrzmiał po chwili głos Chiny. - Nie

chce pan odpowiadać. Zakładam jednak, że pan mnie słucha,

pułkowniku.

465

Uwaga wszystkich była zwrócona na radio. Job otworzył oczy. Słyszał wyraźnie każde słowo Chiny i teraz przekręcił ostrożnie głowę. Alphonso zostawił plecak i karabin na kocu, niecałe dziesięć kroków od postania Joba. Z bocznej kieszeni plecaka wystawała rękojeść tokariewa.

- Nie rozczarował mnie pan, pułkowniku. - Głos Chiny

był zdradziecko słodki. - To byłoby zbyt proste i wcale niesatys-

fakcjonujące, gdybyście tak po prostu wpadli w ramiona komitetu

powitalnego, który zaaranżowałem na granicy z Zimbabwé.

Job oparł się na zdrowym ramieniu. Nie czuł bólu, tylko ogromną słabość i senność. Morfina już działała. Miał kłopoty z jasnym myśleniem. Skoncentrował się na pistolecie, zastanawiając się, czy Alphonso wprowadził nabój do komory. Zaczął wolno posuwać się w jego stronę, wbijając pięty w ziemię, podnosząc pośladki i odpychając się do przodu. Robił to niemal bezszelestnie, zresztą wszyscy byli skoncentrowani na głosie z radia.

- Tak więc nasza gra się jeszcze nie skończyła, a może

powinienem nazwać ją polowaniem? Jest pan myśliwym. Wiel

kim, białym myśliwym. Zajmuje się pan ściganiem dzikich

zwierząt. Nazywa pan to sportem i szczyli się pan tym, co wy,

biali, nazywacie "uczciwym polowaniem".

Job przebył już połowę drogi. Ponieważ nie czuł bólu, odważył się posunąć trochę szybciej. W każdej chwili ktoś mógł odwrócić głowę.

- Nigdy nie rozumiałem pasji białych ludzi do takiego polowania. Wydawało mi się zawsze bezsensowne. Moi ludzie wierzą, że jeśli potrzebuje się mięsa, to trzeba zabijać jak najskuteczniej i przy jak najmniejszym wysiłku.

Job dotknął sterty rzeczy rozrzuconych na kocu i sięgnął ręką po pistolet. Miał jednak zdrętwiałe palce. Kiedy próbował go wyciągnąć, wysliznął mu się z ręki. Na szczęście upadł bezgłośnie na miękkim pled. Job zobaczył z ulgą, że nabój został wprowadzony do komory.

Głos Chiny wciąż rozbrzmiewał przez radio.

- Może skorumpował mnie pan, pułkowniku. Może przyzwyczaiłem się do waszych dekadentkich europejskich idei, ale po raz pierwszy rozumiem pańską pasję. Może zresztą zwierzyzna

466

jest na tyle duża, żeby mnie dostatecznie podniecić. Jestem ciekaw, jak pan się czuje przy tej zmianie ról? Pan jest zwierzyną, a ja jestem myśliwym. Wiem, gdzie pan jest, ale pan nie ma pojęcia, gdzie ja się znajduję. Może jestem bliżej, niż pan się spodziewa? Gdzie jestem, pułkowniku? Musi pan zgadywać. Musi pan uciekać i kryć się. Kiedy się spotkamy i jak?

Job otoczył ostrożnie zdrętwiałymi palcami rękojeść pistoletu. Podniósł go zdziwiony wysiłkiem, jakiego to wymagało. Położył kciuk na bezpieczniku, ale ten nie chciał się przesunąć. Poczuł, lęk. Miał zbyt słabą i zdrętwiałą rękę, żeby odbezpieczyć broń.

- Nie obiecuję panu uczciwego polowania, pułkowniku. Będę pana ścigał na mój afrykański sposób, ale będzie to dobry sport.

To mogę panu obiecać.

Job wytężył wszystkie siły. Bezpiecznik zaczął się przesuwając do przodu.

- Teraz jest godzina osiemnasta Zulu. Połączę się z panem na tej samej częstotliwości za dwadzieścia cztery godziny. Oczywiście, o ile wcześniej się nie spotkamy. Do tej pory niech pan

obserwuje niebo, pułkownika. Nie wie pan, z której strony

nadlece. Może być pan jednak pewien, że nadlece!

W głośniku rozległ się miękki trzask, gdy China wyłączył mikrofon. Sean zgasił radio, żeby oszczędzić baterie. Nikt się nie poruszył, dopóki kolejny metaliczny trzask nie przerwał ciszy. Sean natychmiast rozpoznał odgłos odwodzonego bezpiecznika. Zareagował instynktownie, popychając Claudię na ziemię i odwracając się w stronę źródła dźwięku.

Przez ułamek sekundy stał jak sparaliżowany, a potem zaraz krzyknął:

- Nie! Job, na miłość boską! Nie!!! - Rzucił się do przodu

jak sprinter wyskakujący na odgłos strzału.

Job leżał na boku, patrząc na Seana. Dzielili ich niewielka przestrzeń. Sean biegł, mając wrażenie, że porusza się w gęstej smole, która krępuje każdy ruch. Widział, jak Job podnosi pistolet i starał się go powstrzymać siłą spojrzenia. Patrzyli sobie w oczy. Sean chciał go zdominować swoją wolą, ale oczy Joba były smutne i absolutnie zdecydowane.

Widział, jak Job otwiera usta, usłyszał, jak stał stuknęła o zęby, gdy Job wepchnął lufę głęboko, a potem zacisnął wargi jak

467

dziecko ssące lizak. Sean wyprężył się, sięgając z rozpaczą ku ręce przyjaciela, chcąc wyrwać krótką czarną lufę z jego ust. Udało mu się dotknąć końcami palców nadgarstka Joba, gdy pistolet wypalił.

Huk wystrzału był zduszony, stłumiony przez ciało i kości czaszki.

Wzrok Seana stał się nagle nienaturalnie ostry. Miał wrażenie, że czas zwolnił bieg.

Głowa Joba zmieniła kształt, wypuczając się na oczach Seana niczym gumowa maska, którą w wigilię Wszystkich Świętych nadmuchuje się w Ameryce. Powieki otworzyły się szeroko. Na chwilę oczy wysunęły się z oczodołów, ukazując białka otaczające czarne źrenice, i zaraz zapadły się głęboko.

Rozerwana głowa dalej się przeobrażała, wyciągając się do tyłu, rozciągając skórę na policzkach, rozplaszczając nos, gdy zawartość czaszki wytryskała z dziury wylotowej. Szyja naprężyła się tak, że Sean usłyszał, jak pęka kręgosłup.

Job został rzucony do tyłu z ramionami rozrzuconymi na boki, z pistoletem w zaciśniętej dłoni. Sean zdołał złapać przyjaciela, zanim głowa uderzyła o ziemię.

Chwytał go w ramiona i z całej siły przycisnął do piersi. Ciało Joba było ciężkie i rozpalone gorączką, a jednocześnie miękkie, jakby nie było w nim jednej kości. Zdawało się wyptywać z ramion Seana i ten przytulił go jeszcze mocniej do siebie. Czuł, jak mięśnie Joba drgają, a nogi kopią w makabrycznym biegu, więc starał się go uspokoić swoim uściskiem.

- Job - wyszeptał, sięgając do tyłu, żeby zakryć dłońmi okropną ranę, jakby chciał wszystko zatrzymać, wcisnąć rozlany mózg do czaszki. - Ty głupcze - szeptał. - Nie powinieneś tego robić. - Przyłożył policzek do jego policzka i tulił go do siebie jak kochanek. - Dalibyśmy radę. Wyciągnąłbym cię z tego. - Przyciskając ciało Joba do piersi, zaczął go lekko kołysać, szepcząc mu do ucha, wciąż przytulając policzek do jego twarzy. - Przeszliśmy razem tak długą drogę, to niesprawiedliwe, żeby teraz ją kończyć.

Claudia podeszła do nich i uklękła obok Seana. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, i szukała w myślach jakichś słów pocieszenia, ale nie znalazła żadnych. Zatrzymała dłoń, zanim go dotknęła. Sean zapomniał o wszystkim, co go otaczało.

468

Jego ból był tak głęboki, tak straszny, że Claudia nie mogła wręcz na to patrzeć. Wyglądał, jakby za moment miało mu pęknąć z żalu serce. Porażona nie odrywała oczu od jego twarzy. Jej własne uczucia przestały się liczyć wobec bezmiaru rozpaczyny Seana. Bo choć polubiła bardzo Joba, a nawet się z nim zaprzyjaźniła, wszystko to było niczym w porównaniu z przyjaźnią, która łączyła obu mężczyzn.

Czuła, że ten jeden strzał zniszczył również część Seana. Nie zdziwiła się, kiedy zaczął płakać. Trzymając martwe ciało w ramionach, Sean czuł ostatnie drżenie nerwów i mięśni, które z wolna zamierały owiane tchnieniem śmierci. Martwy chłód przenikał ciało przyjaciela.

Łzy zdawały się dobywać z samej duszy Seana. Paliły powieki i spływały po zapadniętych policzkach, wsiąkając w gęstą brodę.

Nawet Alphonso nie chciał na to patrzeć. Wstał z ziemi i odszedł pomiędzy krzaki. Claudia nie mogła się jednak poruszyć. Klęczała obok Seana, nie starając się powstrzymać łez. Oboje opłakiwali odejście przyjaciela.

Matatu usłyszał wystrzał ze swojej pozycji kilometr dalej, skąd obserwował, czy nie podąża za nimi patrol.

Przybiegł szybko i przez kilka sekund stał nieruchomo na skraju obozu, zanim zrozumiał, co się stało. Następnie podszedł na palcach do Seana i uklękła obok niego. Podobnie jak Claudia uszanował jego żal i czekał, aż ten upora się z bólem.

Sean odezwał się w końcu, nie otwierając oczu, nie oglądając się za siebie.

— Matatu - powiedział.

— Ndio, Bwana.

— Znajdź jakieś miejsce na grób. Nie mamy ani czasu, ani narzędzi, żeby wykopać mogiłę, ale Job jest z ludu Matabele i musi być pochowany w pozycji siedzącej z twarzą zwróconą ku słońcu.

— Ndio, Bwana. - Matatu zniknął szybko w ciemniejszym

lesie.

Sean wreszcie otworzył oczy i położył ostrożnie ciało na szarym kocu. Jego głos był wręcz spokojny.

- Według tradycji powinniśmy pochować go w środku jego

wioski. - Otarł łzy wierzchem dłoni i mówił dalej: - Jesteśmy

jednak wędrowcami, Job nie miał własnej wioski ani bydła.

469

Claudia nie miała pewności, czy Sean mówi do niej, ale odważyła się odpowiedzieć:

- Dzikie zwierzęta są jego bydłem, a sawanna jest jego

wioską. Będzie mu tu dobrze.

Sean skinął głową, nawet na nią nie patrząc.

- Dziękuję, że rozumiesz.

Nachylił się i zamknął Jobowi powieki. Twarz zmarłego była niezmieniona poza wybitymi przednimi zębami. Sean otarł kroplę krwi z kącika ust. Teraz Job wyglądał, jakby spał. Sean przetoczył go na bok i zaczął owijać kocem. Wykorzystał taśmy od siodełka, żeby utrzymać go w pozycji siedzącej z kolanami pod brodą.

Matatu wrócił, zanim Sean skończył.

- Znalazłem dobre miejsce - powiedział.

Sean skinął głową, nie odwracając wzroku.

— Oddał za nas życie - odezwała się miękko Claudia. -

Żaden człowiek nie był tak wspaniałomyślny. - Zabrzmiało to

trywialnie i zupełnie nie odpowiadało nastrojowi chwili. Żało

wała, że to powiedziała, ale Sean skinął głową.

— Nigdy nie udało mi się odwdziżyć za wszystko, co dla

mnie zrobił - rzekł. - A teraz już nigdy nie będę mógł tego

uczynić.

Skończył pracę. Job siedział owinięty w szary koc z odsłoniętą głową.

Sean wstał i podszedł do własnego plecaka. Wyjął z niego jedyną czystą koszulę, jaką miał, i wrócił do Joba. Ponownie ukląkł przy nim.

- Żegnaj, bracie. Przeszliśmy razem dobrą drogę. Szkoda

tylko, że nie dotarliśmy razem do jej końca - rzekł cicho

i nachylił się, żeby pocałować Joba w czoło. Zrobił to tak

naturalnie, że pocałunek wydawał się zupełnie na miejscu.

Następnie owinął koszulą głowę nieboszczyka, zakrywając okropną ranę, wziął Joba na ręce i wstał z nim z ziemi, opierając jego głowę o ramię.

Matatu zaprowadził ich do opuszczonej nory mrówkojada ukrytej w lesie pomiędzy krzakami. Potrzebowali kilku minut, żeby poszerzyć otwór i wsunąć do niego ciało Joba. Przy pomocy Matatu Sean obrócił go tak, żeby twarz miał zwróconą w stronę wschodzącego słońca.

470

Zanim obłożyli grób kamieniami, Sean ukucnął przed nim i wyjął zza pasa granat burzący. Matatu i Claudia patrzyli w milczeniu, jak ostrożnie montuje pułapkę z ładunku wybuchowego i kawałka sznurka splecionego z kory. Kiedy wstał z ziemi, Claudia spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Odparł krótko:

- Złodzieje grobów.

Matatu pomógł Seanowi obłożyć tors Joba kamieniami, żeby utrzymać go w pozycji siedzącej. Następnie większymi głazami zakryli go całkowicie, budując grobowiec. Kiedy skończyli pracę, Sean odwrócił się i odszedł w las, nie oglądając się za siebie. Pożegnał się już z przyjacielem. Po kilku sekundach Claudia podążyła za nim.

Mimo smutku w jakiś dziwny sposób czuła się wzmocniona i oczyszczona tym, co widziała. Ból Seana po stracie przyjaciela spowodował, że szanowała i kochała go teraz nieporównanie bardziej. Dla niej jego łzy były raczej świadectwem siły niż słabości, a obnażenie uczuć czyniło go bardziej męskim. Dzięki tej tragedii dowiedziała się więcej o Seanie, niż mogłaby się nauczyć w ciągu wielu lat wspólnego życia.

Przez całą noc maszerowali w ostrym tempie na południe. Sean przyspieszał kroku, jakby chciał zostawić za sobą żal. Claudia nie próbowała go zatrzymywać. Mimo że była szczupła i silna jak chart wyścigowy, musiała nieźle wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Nie narzekała jednak. Do świtu pokonali prawie sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym pochowali Joba. Przed nimi rozciągała się aluwialna dolina.

Sean znalazł mały zagajnik wysokich drzew, które mogły im zapewnić cień w upale południa. Gdy Claudia i Matatu przygotowywali posiłek, przewiesił lornetkę przez plecy, schował mapę do tylnej kieszki spodni i podszedł do najwyższego drzewa.

Claudia spoglądała z niepokojem, jak wspina się po nim, ale nie musiała się obawiać, gdyż Sean był zwinny jak wiewiórka i silny niczym pawian. W miejscach, gdzie nie było żadnych gałęzi do wsparcia, wdrapywał się dzięki sile ramion.

Kiedy zbliżył się do czubka drzewa, z gniazda zrobionego z suchych gałęzi wzbił się w powietrze sęp. Ptak krążył niespokojnie nad drzewem. Sean usiadł w rozwidleniu gałęzi, kilka metrów od gniazda. Znajdowały się w nim dwa duże śnieżnobiałe

471

jajka i Sean mruknął uspokajająco do krążącego mu nad głową ptaka:

- Nie martw się, stara. Nie ukradnę ci ich. - Nie podzielał powszechnej niechęci do tych ptaków. Spełniały one ważną funkcję przy oczyszczaniu sawann z odpadków i padliny, i mimo że wyglądały groteskowo na ziemi, w powietrzu mogły uchodzić za wzór elegancji. Starożytni Egipcjanie i inne ludy, których wierzenia były związane ściśle z naturą, czciły sępy jako bogów.

Sean uśmiechnął się do niespokojnego ptaka. Był to pierwszy uśmiech, jaki zmiękczył mu usta od pogrzebu Joba. Potem skoncentrował się na rozpościerającym się przed nim terenie. Równina stanowiła ziemię uprawną i tylko gdzieś tam widać było rzadkie kępy drzew, porozrzucane pomiędzy polami. Sean wiedział, że przy zagajnikach muszą się znajdować wioski zaznaczone na jego mapie. Podniósł do oczu lornetkę.

Na pierwszy rzut oka widać było, że pól nie orano ani nie obsiewano od wielu lat i zdążyły już porządnie zarosnąć chwastami. Sean rozpoznał wysokie łodygi hibiscus irritans, który wziął nazwę od ostrych włosków porastających liście. Zakończone haczykami czepiały się każdego, kto się o nie niebacznie otarł. Dalej widział pola rycynusu i bawełny zarośnięte przez dzikie ziele konopi indyjskich o czerwonych kwiatach, których właściwości narkotyczne tak zachwyciły żołnierzy z sił pokojowych Johna Kennedy'ego. Od tego czasu hordy młodych europejskich i amerykańskich chłopców oraz dziewcząt przybywały do Afryki wyposażone w plecaki, brudne dżinsy, dobre intencje i niezłomną wiarę w piękno, pokój i braterstwo człowieka. Ostatnimi czasy strach przed AIDS poważnie ograniczył napływ turystów i Sean był z tego zadowolony. Nagle uświadomił sobie, że jego myśli błędzą po manowcach, i postanowił wziąć się w garść. Przesunął lornetkę po rozciągających się przed nim zapuszczonych polach.

Na horyzoncie dojrzał ruiny wioski. Na niektórych domkach zostały osmalone przez ogień szkielety dachów, ale ich słomiane pokrycie dawno zniknęło; na innych nie było śladu dachu. Mimo że uważnie przyglądał się wiosce, nie znalazł żadnego znaku świadczącego o niedawnej obecności człowieka. Ścieżki między polami były zarośnięte, nie było widać żadnych zwierząt domo-

472

wych, nigdzie nie dostrzegał nawet smużki dymu unoszącej się znad ogniska.

Oddziały Frelimo lub Renamo nieźle obrobiły ten teren, pomyślał i skierował lornetkę na wschód, w stronę odległych niebieskich gór. Wczesnym rankiem powietrze było jeszcze czyste i przejrzyste, więc mógł rozpoznać kilka znaków szczególnych i porównać je z topografią mapy polowej. Po piętnastu minutach udało mu się całkiem precyzyjnie ustalić ich położenie.

Pokonali troszkę większą drogę, niż przypuszczali. Góry ciągnące się po jego prawej stronie to Chimanimani; tworzyły naturalną granicę między Mozambikiem i Zimbabwem, ale ich najbliższe szczyty były oddalone o ponad czterdzieści kilometrów. Odcinki na mapie odpowiadały kilometrom, jednakże Sean, przyzwyczajony do mil, nie czuł się swobodnie w systemie metrycznym.

Kilka kilometrów dalej po lewej stronie powinna się znajdować większa wioska Dombe, niestety, nie mógł dostrzec nawet śladu domów. Podejrzewał, że również została dawno temu opuszczona i pochłonięta przez las. Szansa znalezienia żywności nie była więc zbyt duża. Zapas kaszy kukurydzianej był na wyczerpaniu. Jutro będą musieli zająć się wyszukiwaniem żywności, co poważnie zwolni tempo marszu. Jeśli jednak Dombe była wciąż zamieszkała, niemal na pewno znajdował się w niej posterunek Renamo lub Frelimo. Sean wolał zachować maksimum ostrożności, unikać kontaktu z ludźmi. Nikt, nawet Alphonso, nie mógł powiedzieć, jaki obszar zajmuje każda ze zwalczających się stron, a obie jednakowo niszczyły zdobyty teren. Granice rozdzielające obie armie były płynne i zmieniały się z dnia na dzień, jeśli nie z godziny na godzinę.

Sean spojrzał na południe. W tym kierunku nie dostrzegał nic, co by wznosiło się nad równinę. Była to strefa nizinna, która rozciągała się aż do Oceanu Indyjskiego i nie przecinały jej żadne góry ani doliny. Jedynymi naturalnymi przeszkodami były gęste lasy, rzeki i bagna broniące do nich dostępu.

Największą rzeką była Sabi lub Rio Save, jak ją nazywali Portugalczycy. Przecinała granicę z Zimbabwem i spływała do oceanu. Była szeroka i głęboka i najpewniej będą potrzebowali jakiejś łódki lub tratwy, żeby ją przebyć.

Ostatnią przeszkodą na ich drodze była wielka, szarozielona,

473

tłusta Limpopo uwieczniona przez Rudyarda Kiplinga. Płynęła trzysta kilometrów na południe od nich. Na jej brzegach schodziły się granice trzech państw: Zimbabwem, Mozambiku i Republiki Południowej Afryki. Gdyby udało im się dotrzeć do tego miejsca, znaleźliby się na granicy Narodowego Parku Krugera strzeżonego przez patrole wojska południowoafrykańskiego. Sean przyglądał się mapie z tęsknotą-Afryka Południowa oznaczała bezpieczeństwo, powrót do domu, gdzie rządziło prawo, a ludzie nie chodzili w cieniu śmierci.

Cichy gwizd wyrwał go nagle z rozmyślań. Spojrzał w dół. Matatu stał u podstawy drzewa, dwadzieścia metrów niżej, i dawał mu gwałtowne znaki rękami.

"Słuchaj! - zasygnalizował. - Niebezpieczeństwo!"

Sean poczuł, jak serce zaczyna mu bić coraz szybciej. Matatu nie używał lekkomyślnie sygnału o niebezpieczeństwie. Natężył słuch, ale minęła pełna minuta, zanim coś usłyszał. Choć zmysły miał wyostrzone i czuł, zwłaszcza wzrok i słuch, jednak w porównaniu z Matatu był głuchy i ślepy.

Kiedy wreszcie usłyszał i rozpoznał dźwięk, puls jeszcze bardziej przyspieszył. Sean odwrócił się, by spojrzeć na pomoc, skąd zbliżało się źródło dźwięku.

Poza kilkoma pierzastowarstwowymi chmurami poranne niebo było idealnie czyste. Podniósł do oczu lornetkę i zaczął się rozglądać, szukając nisko nad horyzontem powyżej koron drzew. Narastający dźwięk podpowiedział mu, gdzie patrzeć, i nagle dojrzał w lornetce wyraźny kształt. Poczuł, jak strach ściska go za gardło.

Niczym olbrzymi insekt garbaty hind leciał nisko nad drzewami. Był oddalony jeszcze o kilka kilometrów, ale szybko się zbliżał, kierując się prosto na drzewo, na którym siedział Sean.

Generał China siedział na fotelu operatora uzbrojenia w wysuniętej kabinie śmigłowca i wyglądał przez opancerzoną szybę. Wczesnym rankiem powietrze było krystalicznie przejrzyste i promienie niskiego słońca oświetlały każdy szczegół krajobrazu jaskrawym złotym światłem.

Mimo że China latał już wiele godzin w zdobycznym śmig-

474

łowcu, nie przyzwyczał się jeszcze do uczucia nadzwyczajnej siły, jaką mu dawała pozycja w wysuniętej kabinie. Ziemia i cała reszta znajdowała się pod nim, spoglądał na widocznych ludzików, wiedząc, że to on decyduje o ich życiu bądź śmierci.

Wyciągnął rękę i chwycił ramię kontrolne działka pokładowego systemu Gatling. Uchwyt przypominający rękojeść pistoletu pasował do jego dłoni; kiedy odbezpieczył broń, zdalnie sterowany monitor celownika rozświetlił się tuż przed nim. Patrząc na cel na ekranie, China obracał, przesuwał na boki i w dół drążek kontrolny działka, wiedząc, że wielolufowa broń podąża za każdym jego ruchem.

Naciskając cyngiel palcem wskazującym, mógł posłać w dół strumień stalowych pocisków, które zmiotą każdy obrany przez niego cel. Następnie przełączając jeden przycisk na panelu kontrolnym, mógł wybrać każdą broń zamontowaną na śmigłowcu.

China nie potrzebował wiele czasu na opanowanie skomplikowanego systemu uzbrojenia śmigłowca, gdyż trening, jaki przeszedł w obozie partyzanckim na Syberii na początku wojny wyzwoleńczej w Rodezji, pozwolił mu się zapoznać z najróżniejszymi rodzajami broni. Teraz jednak po raz pierwszy dysponował największą siłą ogniową i najbardziej dogodną platformą strzelecką, jaką miał kiedykolwiek w życiu.

Wystarczył jeden jego rozkaz, żeby wzniosł się wysoko jak orzeł lub poleciał w dół jak sokół spadający na ofiarę, zawisł wysoko nad górami, czy krążył nisko nad koronami drzew. Władza, jaką zapewniała mu ta maszyna, nie ustępowała potędze bogów.

Z początku miał poważne problemy do pokonania. Okazało się, że nie mógł się dogadać z radziecką załogą ani pilotem. Byli niechętni do współpracy i China nie mógł na nich polegać. Mimo groźby męczeńskiej śmierci, jaka nad nimi wisiła, wiedział dobrze, że skorzystają z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby uciec lub zniszczyć bezcenny śmigłowiec. Wystarczyło, żeby ktoś z obsługi naziemnej

nie nałożył smaru na którąś z istotnych części maszyny, poluzował nakrętkę, czy przepalił jakiś kabel, China ani żaden z partyzantów nie miał odpowiedniej wiedzy, która mogłaby zapobiec sabotażowi. W dodatku radziecki pilot od samego początku robił wszystko, żeby utrudnić porozumienie

475

się. Udawał głupiego i celowo przekręcał rozkazy. Bazując na świadomości, że China nie może się bez niego obejść, stawał się coraz bardziej oporny i bezczelny.

Jednakże China zdołał szybko rozwiązać ten problem. Kilka godzin po zniszczeniu eskadry hindów i zdobyciu śmigłowca wysłał zakodowaną wiadomość do stacji położonej trzysta kilometrów dalej na północ, na granicy Mozambiku z Malawi. Wiadomość została przejęta i odszyfrowana w kwaterze znajdującej się na olbrzymiej plantacji herbaty na stokach góry Mlanje. Jej właściciel był członkiem komitetu Mozambickiego Ruchu Oporu i zastępcą szefa wywiadu Renamo. Raport Chiny został przesłany teleksem bezpośrednio do kwatery dyrektora generalnego w Lizbonie i już po sześciu godzinach doświadczony portugalski pilot śmigłowców bojowych i dwóch inżynierów znaleźli się na pokładzie samolotu lecącego do Afryki. W Nairobi przesiedli się na samolot pasażerskich linii lotniczych Malawi, który leciał prosto do Blantyre, stolicy Malawi. Tam już czekał na nich kierowca w land-roverze z plantacji, który miał ich zawieźć na prywatne lotnisko plantatora.

Tej samej nocy prywatny dwusilnikowy samolot Beechcraft przeleciał o pomocy nad zaporą Cabora Bassa. Podróż była niebezpieczna, ale pilot wielokrotnie już pokonywał tę trasę. Pojedyncza czerwona raca naprowadziła go na ukryte w lesie lotnisko, które partyzanci Chiny wycięli w gęstych krzakach, na zachód od góry Gorongosa.

Podwójny szereg partyzantów z pochodniami wykonanymi z nasączonych parafiną szmat oświetlał pojedynczy pas lotniska. Pilot wylądował gładko i nie wyłączając silnika, wysadził trzech pasażerów, zawrócił i szybko wzbił się w powietrze, znikając na nocnym niebie.

Nie tak dawno nie trzeba było uciekać się do tak skomplikowanego sposobu transportowania ludzi i sprzętu. Jeszcze rok wcześniej generał China skierowałby prośbę o wsparcie na południe, a nie na pomoc, a ludzie zostaliby przysłani śmigłowcem Puma ze znakami południowo-afrykańskich sił powietrznych.

W tamtych dniach, kiedy marksistowski prezydent z partii Frelimo, Samora Machel, zapewniał schronienie partyzantom Afrykańskiego Kongresu Narodowego i pozwalał im przygoto-

476

wywać zamachy bombowe i samochody-pułapki, które miały rozrywać ludność cywilną RPA, Południowoafrykańczycy odpłacali mu, udzielając pełnego wsparcia Renamo.

Jednakże ku pełnemu zaskoczeniu dowództwa Renamo Samora Machel i Pięter Willem Botha, prezydent RPA, podpisali porozumienie w małym miasteczku granicznym Nkomati. Porozumienie

ograniczało drastycznie pomoc Afryki Południowej dla Renamo w zamian za wydalenie oddziałów terrorystycznych Afrykańskiego Kongresu Narodowego z Mozambiku.

Obie strony nie zamierzały jednak trzymać się postanowień traktatu i wzajemnie się oszukiwały. Machel pozamykał bazy Afrykańskiego Kongresu Narodowego w Maputo, ale pozwolił organizacji przygotowywać swoje operacje bez oficjalnego wsparcia rządu Frelimo. Południowoafrykańczycy zredukowali pomoc dla Renamo, jednakże śmigłowce Puma w dalszym ciągu przekraczały granicę.

Sytuacja się zmieniła, kiedy Samora Machel zginął w szczątkach osobistego samolotu, przestarzałego tupolewa, który mu podarowano po wycofaniu z lotów w Związku Radzieckim. Instrumenty pokładowe tupolewa nie działały prawidłowo, a w noc wypadku dwaj radzieccy piloci byli tak pijani, że zapomnieli wypełnić plan lotu. Znajdowali się dwieście kilometrów na południe od trasy lotu, gdy rozbili się o graniczną górę, uderzając w nią po stronie Mozambiku, ale po kilku koziołkach w powietrzu spadając na stronę południowoafrykańską.

Mimo zapisu czarnej skrzynki tupolewa, w której na taśmie zostały nagrane rozmowy pilotów domagających się nowych butelek wódki i bogate w szczegóły anatomiczne dyskusje o tym, co zrobią ze stewardesą po wylądowaniu, rządy radziecki i Frelimo stwierdziły jednogłośnie, że to Południowoafrykańczycy doprowadzili Macheła do zguby. Porozumienie z Nkomati umarło razem z prezydentem Machelem i śmigłowce Puma znowu zaopatrywały partyzantów Renamo w sprzęt i ludzi.

Z czasem jednak zaczęły napływać niepokojące sygnały z Mozambiku. Z początku kilku uciekinierów misjonarzy wyłoniło się z buszu, żeby opisać przerażające zniszczenia, głód i okrucieństwa popełniane przez partyzantów Renamo na obszarze kraju równego powierzchnią Francji.

477

Kilku ciekawskich dziennikarzy zdołało się przedrzeć na tereny objęte wojną i jednemu czy dwóm udało się powrócić z wieściami

o odbywającym się w Mozambiku holokauście. Niektórzy do nosili, że ponad pół miliona cywilów zmarło w wyniku głodu, chorób i mordów.

Granicę z Afryką Południową zaczęły przekraczać dziesiątki tysięcy uciekinierów. Przerażeni, wygłodzeni i chorzy opowiadali straszne historie. RPA dowiedziała się, że wykarmiła potwora w postaci Renamo.

W tym samym czasie bardziej umiarkowany prezydent Chis-sano, który objął władzę po Samorze Machelu, zaczął czynić pierwsze pojednawcze gesty. Obaj prezydenci się spotkali i traktat z Nkomati został przywrócony do życia, tym razem z uczciwymi zamiarami. W ciągu jednego dnia południowoafrykańska pomoc dla Renamo ustała.

Wszystko to działo się zaledwie przed kilku miesiącami. Generał China wraz z innymi dowódcami Renamo byli rozwścieczeni i rozgoryczeni; zapasy żywności i amunicji kurczyły się każdego dnia bez

szansy na uzupełnienie. Wkrótce partyzanci zostaną zmuszeni do grabieży ziemi zniszczonej przez dwanaście lat wojny domowej. Było nieuniknione, że wściekłość Renamo zwróci się przeciwko resztkom cywilnej ludności i każdemu cudzoziemcowi, który wpadnie im w ręce. Cały świat był teraz przeciwko nim, a oni byli przeciwko całemu światu.

Siedząc w kabinie hindu China prześledził w myślach ostatnie wypadki. Ze swojego miejsca miał najlepszy wgląd w chaos

1 zniszczenia obejmujące jego kraj. W całym państwie sytuacja

była niestabilna, a generał wiedział, że w wypadkach podobnego

zamieszania zwiększała się szansa przejęcia władzy, jeśli tylko

było się dostatecznie sprytnym i bezwzględny.

Ze wszystkich dowódców Renamo China okazał się w ciągu tych lat najbardziej samodzielny i najlepiej zorganizowany. Z każdym zwycięstwem jego władza wzrastała. Podlegające mu oddziały były najsilniejsze w trzech dywizjach Renamo. Działający poza krajem komitet centralny skupiał w swoich rękach władzę dowódczą nad armią, ale przy każdej porażce, jaką ponosił ruch, wzmacniała się paradoksalnie pozycja generała Chiny. Coraz częściej komitet centralny podporządkowywał się jego życze-

478

niom. Świadczyła o tym chociażby szybkość, z jaką zareagowano na żądanie przystania mu portugalskiego pilota i inżynierów. Oczywiście zniszczenie radzieckich śmigłowców wzmocniło jego pozycję i prestiż, a jednocześnie zdobyczy hindu dawał mu przewagę w walce o władzę.

Generał China uśmiechnął się i powiedział do mikrofonu wystającego z hełmu.

— Pilocie, czy widzi pan już wioskę?

— Jeszcze nie, generale. Mamy jeszcze cztery minuty lotu.

Portugalski pilot miał trzydzieści kilka lat. Był dostatecznie

młody, żeby wykazać się śmiałością, i jednocześnie dostatecznie dojrzały, aby zdobyć niezbędne doświadczenie i nauczyć się dyskrecji. Był to przystojny mężczyzna o oliwkowej cerze, z opadającymi na kąciki ust wąsami i ciemnymi, groźnymi oczami drapieżnego ptaka. Od samego początku pilotował hindu z dużą precyzją i pewnością siebie, a z każdym lotem jego umiejętności rosły.

Dwaj portugalscy inżynierowie przejęli kontrolę nad radziecką obsługą naziemną, nadzorując każdy ich ruch. Jedną z zalet hindu było to, że maszynę można było eksploatować w skrajnych warunkach bez konieczności wymiany części. Główny technik zapewnił Chinę, że części zapasowe i narzędzia zabrane z obozu Frelimo powinny pozwolić utrzymać maszynę w powietrzu w nieskończoność. Największy problem był z pociskami raketowymi do systemu swatter i amunicją bojową, jednakże

miał ponad milion pocisków kalibru 12,7 mm do działka pokładowego, które China zabrał z bazy hindów.

Stu pięćdziesięciu tragarzy musiało nieść amunicję do obozu nad rzeką, a dalszych pięciuset wyniosło z bazy dwudziestopięć-litrowe beczki z paliwem lotniczym. Do transportowania paliwa wykorzystywano głównie kobiety, które od dzieciństwa uczyły się nosić ciężary na głowie. Ta ilość paliwa powinna wystarczyć do utrzymania hindu w powietrzu przez prawie dwieście godzin, a w tym czasie jego ludzie postarają się zdobyć cysternę z paliwem z transportów wojskowych Frelimo albo na linii kolejowej, albo na jednej z dróg bliżej wybrzeża, które były otwarte dla ruchu.

Obecnie głównym problemem generała Chiny było stawienie się na umówione przez radio spotkanie z generałem Tippoo Tipem, dowódcą południowej dywizji wojsk Renamo.

479

— Generale, widzę wioskę - odezwał się pilot przez interkom.

— Ach tak, też ją widzę - odparł China. - Proszę skrócić w tę stronę.

Kiedy hindu się zbliżał, Sean ukrył się za liściastą gałęzią i przywarł mocniej do pnia. Mimo że zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczne jest wystawianie białej twarzy, która odbijała promienie słoneczne, polegał na długiej brodzie i mocnej opa-leniźnie, gdy przyglądał się śmigłowcowi.

Wiedział, że tylko unikając tego potwora, może ocalić od śmierci siebie i towarzyszących mu ludzi. Przyglądał się maszynie badawczym wzrokiem, starając się ocenić pole widzenia, jakie pilot i operator uzbrojenia mieli ze swoich pozycji. Mogło się też okazać pożyteczne, jeśli będzie znał pole ostrzału.

Sean dojrzał, jak lufy działka pod dziobem śmigłowca obracają się z prawej strony w lewo, zupełnie jakby operator chciał zademonstrować mu ich działanie. Do głowy by mu nie przyszło, że generał China po prostu bawi się kontrolkami, które dają mu poczucie siły, ale przy okazji dowiedział się, że zasięg działka pokładowego jest ograniczony. Lufy mogły poruszać się jedynie po trzydziestostopniowym łuku. Później pilot musiał obrócić śmigłowiec, żeby nakierować broń na cel.

Hindu był teraz bardzo blisko. Sean widział wyraźnie każdy szczegół konstrukcji, od czerwonego napisu "Doskonała Załoga" na dziobie aż po główki nitów spajających pancerną powłokę. Starał się wypatrzeć jakiś słaby punkt w maszynie, jakąś szczelinę w masywnej konstrukcji, ale po kilku sekundach doszedł do wniosku, że poza wlotami powietrza do silników turbinowych hindu jest absolutnie bez skazy. Wystające nad kabinę pilota wloty powietrza były zasłonięte przez specjalne wypukłe metalowe dyski, które zapobiegały przedostaniu się śmieci i kurzu do silników, gdy śmigłowiec wisiał nisko nad ziemią i pęd powietrza skierowanego w dół przez obracające się śmigła wzbijał chmury pyłu. Jednakże pokrywy nie były aż tak szczelne, żeby uniemożliwić stingerom przedostanie się do wlotów powietrza, i Sean zobaczył, że wokół nich znajduje się szczelina

dostatecznie szeroka, żeby człowiek mógł wcisnąć przez nią głowę. Przy odpowiednim kącie i bardzo bliskiej odległości strzelec wybo-

480

rowy mógł posłać serię z karabinu maszynowego, która przechodząc przez tę szczelinę, uszkodziłaby łopatki wirników silnika. Sean wiedział, że nawet drobny odprysk na łopatkę zniszczyłby równowagę całej turbiny i wprowadził silnik w takie wibracje, że rozpadłby się na drobne kawałki po kilku sekundach.

- Musiałby to być niezły strzał i trzeba mieć cholerne szczęście - mruknął pod nosem. Nagle światło odbijane przez szybę pancerną kabiny zmieniło kąt padania i Sean mógł zobaczyć jej

wnętrze.

Rozpoznał generała Chinę mimo hełmu lotniczego skrywającego mu głowę i ostaniających oczy okularów. Poczuł, jak ogarnia go płomień nienawiści. Ten człowiek był odpowiedzialny za śmierć Joba i wszystkie pozostałe nieszczęścia.

- Chcę cię dostać w swoje ręce - szepnął Sean. - Boże,

gdybym tylko mógł cię dostać w swoje ręce.

China zdawał się wyczuwać to nienawistne spojrzenie, gdyż odwrócił wzrok i popatrzył w dół przez lustrzane okulary, prosto na gałąź, na której siedział Sean. Ten mocniej przytulił się do pnia.

Nagle hind się pochylił, ukazując poplamiony szary kadłub. Pęd powietrza smagnął koronę drzewa, potrząsając konarami i rzucając Seanem na wszystkie strony. Wtedy uświadomił sobie, że to było tylko złudzenie i że China wcale na niego nie patrzył.

Przyglądał się, jak maszyna kieruje się w bok. Po pokonaniu kilku kilometrów odgłos silników zmienił natężenie, przechodząc w wysoki pisk, śmigłowiec zawisł na chwilę nad lasem i szybko osiadł gdzieś pomiędzy drzewami.

Sean zsunął się na dół. Matatu zgasił malutkie ognisko, kiedy usłyszał pierwszy odgłos zbliżającego się śmigłowca, ale garnuszek kaszy kukurydzianej zdołał się już ugotować.

- Zjemy po drodze - zdecydował Sean.

Claudia jęknęła cicho, lecz wstała z ziemi. Czuła, jak nogi pieką ją ze zmęczenia.

- Przykro mi, kochanie. - Sean otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie. - China wylądował dwa, trzy kilometry stąd.

Prawdopodobnie w wiosce Dombe. Możemy być pewni, że ma

tam swoich żołnierzy. Musimy się stąd wynieść.

481

Zjedli po drodze resztki gorącej, kleistej, dobrze posolonej papki i popili ją kilkoma łykami wody z manierek, która smakowała mułem i algami.

- Od tej pory żyjemy się tym, co znajdziemy - powiedział Sean - a chłopcy Chiny już depczą nam po piętach.

Hind zawisł jakieś trzydzieści metrów nad drogą przecinającą wieś Dombe.

Była to jedyna droga, a sama wieś składała się z mniej więcej dwudziestu domów, które dawno temu zostały opuszczone. W oknach nie było szyb, a z pobielanych ścian poodpadał tynk. Termyty poprzęrały belki dachów i blacha falista zwisała smętnie z wałujących się konstrukcji. Budynki znajdujące się przy samej drodze były dawniej sklepami, typowymi dla Afryki dukas, prowadzonymi przez hinduskich handlarzy. Na jednym z nich wisiał pod dziwnym kątem wyblakły szyld: "Patel & Patel" umieszczony między czerwonymi znakami coca-coli.

Sama droga miała ubitą nawierzchnię zasianą najróżniejszymi śmieciami i odpadkami, a w wyjeżdżonych koleinach wyrastały chwasty.

- Lądujemy - rozkazał China i śmigłowiec zniżył się nad drogę, wzbijając w powietrze tuman suchych liści, skrawków papieru, zużytych plastikowych toreb i innego śmiecia.

Na werandzie budynku z napisem "Patel & Patel" stali uzbrojeni ludzie. Żołnierze, pięćdziesięciu lub więcej, ubrani w mundury w kamuflujących barwach lub cywilne ubrania, znajdowali się także pomiędzy budynkami.

Pilot posadził maszynę na drodze i zmniejszył obroty silnika. Śmigła obracały się coraz wolniej, a silnik wydawał niski poświst. Generał China otworzył pancerną pokrywę kabiny, wyskoczył na ziemię i podszedł do grupy ludzi stojących na ganku przed sklepem.

- Tippoo Tip! - zawołał, otwierając szeroko ramiona w braterskim przywitaniu. - Jak dobrze cię znowu widzieć. - Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć wżg silnika.

Generał Tippoo Tip zszedł po schodkach, żeby go przywitać, rozwierając ramiona równie szeroko jak China. Pod czułym

482

obejmowaniem kryła się nieszczerłość dwóch zawziętych rywali, którzy dobrze wiedzą, że pewnego dnia będą musieli zabić przeciwnika.

- Mój stary przyjacielu - powiedział China, trzymając

generała w ramionach i przyglądając mu się z miłością w oczach.

Tippoo Tip to przybrane nazwisko generała, przyjął je jako nom de guerre po jednym ze sławnych arabskich handlarzy niewolników i kości słoniowej z ubiegłego wieku. Jednakże wiążące się z nim skojarzenia idealnie do niego pasują, pomyślał China, przyglądając się rywalowi. Przed nim stał pewny siebie, zuchwały człowiek, którego można podziwiać, ale należy traktować z największą ostrożnością.

Tippoo Tip był niskim mężczyzną, sięgającym Chinie do ramienia, ale wyjątkowo masywnej budowy. Miał pierś potężną jak u goryla, a umięśnione silne ramiona, które sięgały niemal kolan, czyniły go jeszcze bardziej podobnym do tego zwierzęcia. Dokładnie ogolona głowa była tak olbrzymia, że przywodziła na myśl jeden z gigantycznych rodezyjskich głazów z granitu stojących na ostrym czubku wysokiej skały. Twarz zasłaniała mu gęsta, falująca, czarna broda. Jego czoło było szerokie i płaskie, i takież nos, a usta grube i pełne.

Głowę zdobiła opaska z kolorowego materiału i nosił kamizelkę ze skóry kudu rozpiętą z przodu. Klatkę piersiową pokrywały gęste czarne włosy.

Tippoo Tip uśmiechnął się do Chiny, ukazując perłowobiałe zęby kontrastujące z pożółkłymi białkami oczu pokrytymi siecią żyłek.

- Twoja wizyta uprzyjemniła mój dzień zapachem kwiatów

mimoz - powiedział w szangane, ale jego spojrzenie prześliz

nęło się po Chinie i przeniosło na wielki śmigłowiec. Zazdrość

Tippoo Tipa była tak oczywista, że China niemal mógł jej

posmakować.

Hind zmieniał znacząco stabilny układ w stosunkach dwu najważniejszych wojowników Renamo. Tippoo Tip nie mógł oderwać oczu od śmigłowca. Było jasne, że chciałby się dokładniej przyjrzeć maszynie, ale China wziął go za ramię i poprowadził w stronę werandy. Pilot nie wyłączył silnika i kiedy tylko China i jego gospodarz wyszli z kręgu wolno obracających

483

się śmigieł, zwiększył obroty. Wielka maszyna podniosła się z ziemi i zawróciła w powietrzu.

Tippoo Tip wykręcił się z objęć Chiny i osłaniając oczy dłonią, przyglądał się odlatującemu śmigłowcowi. W jego oczach płonęło pożądanie, jakby patrzył na rozbierającą się przed nim piękną dziewczynę. China pozwolił mu wzdychać do nieosiągalnego hinda, dopóki ten nie zniknął na horyzoncie. Specjalnie kazał pilotowi odlecieć, gdyż zbyt dobrze znał i rozumiał swojego rywala. Wiedział, że jeśli maszyna zostałaaby w wiosce, pokusa mogłaby okazać się zbyt silna, żeby Tippoo Tip

jej się oparł. Zdrada była czymś zupełnie naturalnym dla obu mężczyzn. W tej rozgrywce hind był dzokerem w rękach Chiny.

Tippoo Tip otrząsnął się i roześmiał bez widocznego powodu.

— Powiedziano mi, że zniszczyłeś eskadrę hindów i zdobyłeś

jedną maszynę dla siebie, a ja odpowiedziałem: "China jest prawdziwym lwem i moim bratem".

— Chodź, bracie - przyjął komplement China. - Na słońcu jest gorąco.

W cieniu werandy stały dwa stołki i kiedy usiedli, dwie dziewczyny Tippoo Tipa przyniosły im gliniane dzbanki z piwem, gęstym i orzeźwiająco cierpkim. Dziewczęta miały po kilkanaście lat i były bardzo ładne. Tippoo Tip lubił kobiety, zawsze się nimi otaczał. To jedna z jego słabości, pomyślał China, uśmiechając się do siebie z wyższością. On sam mógł się równie dobrze nacieszyć chłopcem jak dziewczyną, ale zawsze była to tylko krótka przerwa w obowiązkach, a nie ważna część jego życia. Młodzietkie kobiety nie przyciągnęły jego uwagi, skoncentrował się na gospodarzu.

Ochroniarze Tippoo Tipa zeszli z werandy. Generał skinął na dziewczęta, żeby się również oddaliły.

- A co u ciebie, mój bracie? - zapytał China. - Jak toczą się walki? Słyszałem, że złapałeś Frelimo za głowę i wepchnąłeś mu ją między nogi, żeby przyjrzało się swoim korzeniom. Czy to prawda?

Oczywiście nie była to prawda. Jako dowódca południowych oddziałów Renamo generał Tippoo Tip znajdował się bliżej stolicy i portu Maputo, centrum władzy Frelimo. W niego najbardziej uderzyło wycofanie pomocy wojskowej z RPA. Jego

484

oddziały brały na siebie większość kontrataków i ofensyw żołnierzy Frelimo. China dobrze wiedział, że w ostatnich miesiącach Tippoo Tip przegrał wiele walk i stracił wielu ludzi oraz terytorium na południu. Tippoo Tip jednak zachichotał i skinął głową w reakcji na pochwałę.

- Zjedliśmy wszystko, co Frelimo posłało przeciwko nam.

Przełknęliśmy ich bez jednego pierdnięcia.

Przekomarzali się i docinali sobie, popijając piwo, uśmiechając się i śmiejąc wesoło, ale cały czas obserwując się uważnie, jak dwa lwy obchodzące upolowaną zwierzynę, gotowi w każdej chwili zarówno do ataku, jak i do obrony. Wreszcie China powiedział:

- Miło mi słyszeć, że wszystko u ciebie w porządku. Przyleciałem tu, żeby zobaczyć, czy mój hind mógłby ci pomóc w ujarzmianiu Frelimo. - Rozłożył ręce w wyrażającym dezaprobatę geście. - Widzę jednak, że nie potrzebujesz mojego wsparcia.

Był to manewr godny Machiavellego. China przyglądał się, jak jego cios przebił się przez gardę Tippoo Tipa. Dobrze wiedział, że popełniłby poważny błąd, gdyby poprosił tego człowieka o pomoc. Tippoo Tip potrafił wyczuć każdą słabość jak hiena. Zamiast tego China podstawił przynętę w postaci hinda, pomachał mu nią przed nosem i jednym ruchem ręki ukrył w kieszeni.

Tippoo Tip zamrugnął oczami i nie przestając się uśmiechać, szukał celnej odpowiedzi. On także nienawidził przyznawać się do porażki czy okazywać słabości przed kimś, kto potrafiłby ją bezlitośnie wykorzystać. Nie mógł jednak oprzeć się pragnieniu, jakie wzbudziła w nim cudowna broń.

- Pomoc brata jest zawsze mile widziana - sprzeciwił się miłym tonem - zwłaszcza jeśli ten brat lata po niebie własnym henshaw. - I szybko dodał: - A może mógłbym ci zaoferować jakąś usługę za twoją pomoc?

Sprytny drań, pomyślał China, podziwiając styl przeciwnika. Wie, że nie przybyłem tu ze współczucia. Zorientował się, że czegoś potrzebuję. Obaj mężczyźni wycofali się na afrykański sposób, kryjąc się za zasłoną grzeczności i trywialnych pogawędek, krążąc wokół głównego tematu.

- Zastawiłem niezłą pułapkę na wojska Frelimo - pochwalił się Tippoo Tip. - Wyprowadziłem moich ludzi z lasów Save. -

485

Prawda była taka, że został zmuszony do opuszczenia niewiarygodnie bogatych lasów po długich walkach, kiedy oddziały Frelimo przeprowadziły najbardziej zdeterminowane ataki od początku kampanii.

- To bardzo sprytne z twojej strony - powiedział China głosem, w którym pobrzmiwał ostry niczym brzytwa sarkazm. -

To rzeczywiście pułapka zostawić lasy Frelimo, i jacy z nich głupcy, że dali się na to nabrać.

Lasy Save były największym bogactwem naturalnym kraju: wysokie na dwadzieścia metrów leadwoods, nazywane także drzewami kości słoniowej ze względu na gładkość drzewa; wspaniałe

rodezyjskie mahonie, których pnie często miały dwa metry w obwodzie; i najrzadsze i najcenniejsze ze wszystkich tamboti, czyli afrykańskie drzewo sandałowe o bogatym wzorze i pięknym zapachu.

Prawdopodobnie nigdzie więcej na kontynencie nie było już tak wspaniałych lasów pełnych drogocennego drewna. Z całą pewnością było to ostatnie bogactwo tego zniszczonego przez wojnę kraju. Najpierw zostały wybite olbrzymie stada słoni, później nosorożców i bawołów, które wystrzelano z powietrza z karabinów maszynowych. Rosjanie i Północnokoreańczycy oczyścili ciepłe rzeki na wschodnim wybrzeżu Mozambiku z krewetek i ryb, a zagraniczni poszukiwacze przygód, za zgodą Frelimo, zdziesiątkowali krokodyle na jeziorze Cabora Bassa. Jedynie lasy pozostały nienaruszone.

Ze wszystkich nowo powstałych państw afrykańskich Mozambik najbardziej potrzebował dopływu twardej waluty. W kraju od ponad dziesięciu lat toczyła się zacięta wojna domowa, która zrujnowała doszczętnie całą gospodarkę. Drewno było ostatnim towarem, za który rząd mógł uzyskać pieniądze.

— Rząd wysłał do lasów bataliony robotników, jakieś dwa
dzieścia, może trzydzieści tysięcy niewolników - powiedział

Tippoo Tip.

— Tak wielu? - zapytał z zainteresowaniem China. - Gdzie
znaleźli tylu ludzi?

— Zebrali ostatnich rolników, napadli na obozy uchodźców,
zgarnęli wszystkich bezrobotnych z ulic Maputo. Rząd nazywa
to Demokratycznym Programem Pełnego Zatrudnienia. Kobiety

486

i mężczyźni pracują od świtu do nocy za dziesięć eskudów dziennie, a jeden posiłek, jaki dostają, kosztuje piętnaście eskudów. - Tippoo Tip odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się z podziwu. - Czasami ci z rządu nie są tacy głupi - dodał z rozbawieniem. - Robotnicy płacą pięć eskudów dziennie za przywilej ścinania drzew dla rządu, bardzo sensowny układ.

- I ty pozwoliłeś na to? - zapytał China.

Nie chodziło mu oczywiście o niedolę robotników. Dwudziestometrowy pień drzewa sandałowego był wart jakieś pięćdziesiąt tysięcy amerykańskich dolarów, a lasy ciągnęły się przez setki tysięcy akrów.

- Oczywiście, że im na to pozwoliłem - przyznał Tippoo

Tip. - Nie mogą wywieźć drzew, dopóki drogi i linia kolejowa
nie zostaną odbudowane. Na razie składują pnie wzdłuż linii
kolejowej. Moi ludzie liczą każdy nowy pień. - Tippoo Tip

wyjął z bocznej kieszeni skórzanej kamizelki notatnik w plastikowych okładkach i pokazał Chinie liczby, które zapisał na ostatniej stronie.

China zachował obojętny wyraz twarzy, ale jego oczy roz błysły za okularami w złotych oprawkach, gdy poznał łączną liczbę ściętych drzew i ich wartość. Taka kwota dolarów pozwoliłaby na uzbrojenie obu armii na następne pięć lat, można było za nią kupić nowych sprzymierzeńców lub wynieść jednego z nich na fotel prezydenta i utrzymać go tam przez całe życie.

— Zbliża się czas, gdy będę mógł znowu zająć lasy Save i zebrać żniwo, jakie partia Frelimo dla mnie przygotowała.

— A jak chcesz eksportować drzewo? Pień tamboti waży jakieś sto ton, kto go od ciebie kupi?

Tippoo Tip klasnął w ręce i zawołał jednego ze swoich adiutantów, który przykucnął w cieniu budynku po drugiej stronie ulicy. Partyzant poderwał się na równe nogi i podbiegł do swojego przełożonego. Uklęknął i rozpostarł mapę polową na betonowej podłodze werandy między ich stołkami, przyciskając jej rogi kawałkami pokruszonego betonu. Tippoo Tip i China nachylili się nad mapą.

- Tu są lasy. - Tippoo Tip zakreślił palcem granice olbrzymiego obszaru pomiędzy Rio Save i Limpopo, na południe od ich pozycji. - Robotnicy składują drewno tu, tu i tu.

487

— Słucham - zachęcił go China.

— Składowisko wysunięte najbardziej na południe znajduje się zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Limpopo, pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Afryką Południową.

— Południowoafrykańczycy wyparli się nas, podpisali układ z Chissano i partią Frelimo - zauważył China.

— Układy i traktaty są tylko kawałkami papieru. - Tippoo

Tip odsunął argument machnięciem ręki. - Chodzi o pół miliarda amerykańskich dolarów. Dogadałem się już z naszymi niewiernymi sojusznikami, że jeśli dostarczę im drewno, to zapewnią

transport do ich granicy i zapłatę na konto w Zurychu lub Lizbonie. - Zamilkł na chwilę. - Ludzie ścięli i ułożyli już dla mnie drzewa. Teraz muszę je tylko zabrać i dostarczyć kupcom.

— A mój śmigłowiec miałby ci się do tego przydać? -

zasugerował China.

— Tak, chociaż mogę to zrobić moimi własnymi siłami.

— Może i tak, ale połączona operacja będzie szybsza i pewniejsza - odparował China. - Razem dzielimy walkę i łupy.

Z moim henshaw i posiłkami z północy możemy przegonić ludzi Frelimo z lasu w ciągu tygodnia.

Tippoo Tip udawał, że rozpatruje propozycję. Wreszcie skinął głową i zapytał ostrożnie:

— Oczywiście wynagrodzę cię za pomoc częścią zapłaty, jaką otrzymam za sprzedaż drzew.

— Część nie jest słowem, za którym bym przepadał - westchnął China. - Wolę dobre, socjalistyczne słowo: równy. Proponuję równy podział.

Tippoo Tip wyglądał na urażonego i rozłożył ręce w geście protestu.

- Bądź rozsądny, mój bracie.

Przez następną godzinę targowali się i wyklócali, z wolna zbliżając się do umowy, która miała podzielić między nich dwóch ostatnie bogactwo kraju i zdecydować o losach dziesiątków tysięcy robotników w batalionach pracy.

- Moi zwiadowcy donoszą, że robotnicy pracujący przy ścinie są już prawie nieprzydatni do pracy - zauważył w pewnej chwili Tippoo Tip. - Tak ich głodzili, że prawie wszyscy są chorzy i wycieńczeni. Codziennie umierają setki ludzi, więc

488

ścinka drzew nie przebiega nawet w połowie tak sprawnie jak dwa miesiące temu. Rząd nie ma żadnych nowych sił do zastąpienia robotników i całe przedsięwzięcie zaczyna z wolna podupadać. Nie

zyskamy wiele, czekając dłużej. Powinniśmy zaatakować natychmiast, przed nastaniem pory deszczowej.

China spojrział na elektroniczny zegarek na rękę, symbol jego pozycji równie widoczny jak srebrna gwiazdka na epoletach. Hind powinien wrócić za pół godziny, musi zakończyć negocjacje i dobić targu. W ciągu kilku minut porozumieli się co do szczegółów połączonej operacji i China powiedział obojętnym głosem:

— Mam jeszcze jedną sprawę do ciebie. - Jego ton zaalar mował Tippoo Tipa. Pochylił się do przodu na stołku, kładąc obie ręce, równie szerokie i potężne jak łapy niedźwiedzia, na kolanach. - Ścigam białych uciekinierów. Wygląda na to, że starają się dotrzeć do granicy z Afryką Południową. - China szybko opisał mu grupę Seana i dodał na zakończenie: - Chciał bym, żebyś powiadomił wszystkie swoje posterunki stąd do Limpopo, żeby rozglądali się za tymi ludźmi.

— Biały mężczyzna i biała kobieta. To brzmi interesująco, mój bracie - rzekł w zamyśleniu Tippoo Tip.

— Najważniejszy jest mężczyzna. Kobieta jest Amerykanką i może mieć pewną wartość jako jeniec, ale poza tym niewiele znaczy.

— Dla mnie kobieta ma zawsze jakąś wartość - sprzeciwił się Tippoo Tip. - Zwłaszcza jeśli jest biała i młoda. Czasami lubię zmianę. Ubijmy jeszcze jeden interes, bracie. Tym razem też się podzielimy po połowie. Jeśli pomogę ci ich złapać, zatrzymasz sobie białego mężczyznę, ale mnie oddasz kobietę.

Zgoda?

China zastanawiał się nad tym przez chwilę i wreszcie skinął głową.

— Dobrze, możesz ją sobie wziąć, ale chcę dostać mężczyznę żywego i całego.

— Właśnie tak, chcę dostać kobietę. - Tippoo Tip zachi

chotał. - Więc znowu osiągnęliśmy porozumienie. - Wyciągnął rękę i China ją uściskał. Patrząc sobie w oczy, obaj wiedzieli, że ten gest nie ma najmniejszego znaczenia, że ich ugoda będzie trwać jedynie dopóty, dopóki im to będzie odpowiadać, i zostanie 489

zerwana bez najmniejszego ostrzeżenia, kiedy tylko zmienią się warunki.

- Powiedz mi teraz o tej kobiecie - poprosił Tippoo Tip. -
Gdzie ją ostatnio widziano i co zamierzasz zrobić, żeby ją pojmać?

China ponownie nachylił się nad rozpostartą przed nimi mapą. Tippoo Tip dostrzegł żywy blask w jego oczach i lekkie napięcie w głosie, gdy wyjaśniał, jak Sean i jego grupa uniknęli zasadzki, którą zgotował im na granicy. Wspomniał także o dezercerach Szangane, którzy poinformowali go o intencjach Seana.

- Wiemy, że ostatnio byli tutaj. - China wskazał punkt na północ od linii kolejowej. - To jednak było trzy dni temu. Teraz najpewniej znajdują się gdzieś tutaj. - Rozpostarł dłoń i przesunął nią po mapie. - Jeden z nich jest ciężko ranny, więc prawdopodobnie nie dotarli jeszcze daleko. Ustawiłem ponad trzystu żołnierzy na południe od linii kolejowej, którzy teraz szukają ich śladu, ale chciałbym, żebyś zablokował im drogę od przodu. Ilu ludzi mógłbyś poświęcić?

Tippoo Tip wzruszył ramionami.

- Już umieściłem trzy kompanie wzdłuż Rio Save, żeby pilnowali wycinki lasu. Dalej na północ mam jeszcze pięć kompanii. Jeśli ci biali chcą dotrzeć do Limpopo, to będą musieli przejść pomiędzy moimi liniami i patrolami Frelimo. Poinformuję przez radio dowódców kompanii, żeby mieli na nich oko.

Głos generała Chiny stał się władczy i ostry.

— Twoi ludzie muszą zabezpieczyć każdą drogę, każde przej

ście przez rzekę. Muszą utworzyć barierę, przez którą nawet
mysz się nie przecisnie, a moi ludzie napędzą białych od pomocy.

Ostrzeż jednak swoich dowódców kompanii, że ten biały jest
żołnierzem, i to dobrym. Dowodził Zwiadowcami Ballantyne'a
pod koniec wojny.

— Courtney - przerwał mu Tippoo Tip. - Pamiętam go
dobrze. - Zachichotał złośliwie. - Ależ oczywiście, to Courtney
poprowadził atak na twoją bazę. Nic dziwnego, że tak bardzo
chcesz go dostać w swoje ręce. Courtney napadł cię wiele lat
temu. Masz dobrą pamięć, mój bracie.

— Tak - zgodził się China, dotykając przestrzelonego
ucha. - To było wiele lat temu, ale zemsta jest daniem, które
najlepiej smakuje na zimno.

490

Obaj podnieśli głowy, kiedy z północy napłynął ostry świst śmigieł. China spojrzął na zegarek. Pilot
przyleciał dokładnie o czasie. Czuł, że może ufać młodemu Portugalczykowi. Wstał ze stołka.

- Będziemy utrzymywać kontakt radiowy na fali sto osiem
naście i cztery dziesiąte megaherca - powiedział Tippoo Tip. -
Trzy razy dziennie, o szóstej rano, w południe i o szóstej wie
czorem. - Tippoo Tip nie patrzył jednak na niego, tylko na
zniżającego się nad wioską hinda, który przypominał potwora
z filmu science fiction.

Generał China zajął swoje miejsce w kabinie operatora i zamknął za sobą pokrywę pancerną. Podniósł
na pożegnanie prawy kciuk i stojący na werandzie generał Tippoo Tip zasalutował w odpowiedzi.
Hind podniósł się z ziemi, zawisł na chwilę nad wioską i skierował dziób na północ.

— Generale, jeden z patroli wzywał pana przez radio -
powiedział pilot przez mikrofon. - Używają kodu Dwunasty
Czerwony.

— Dziękuję, niech pan przełączy na częstotliwość patrolu -

polecił China i patrzył, jak na elektronicznym wyświetlaczu radia

przesuwają się cyfry częstotliwości. - Dwunasty Czerwony, tu

Drzewo Bananowe, czy mnie słyszysz? - rzucił do mikrofonu.

Dwunasty Czerwony był kodem wywoławczym jednego z doborowych patroli, które szukały tropu wzdłuż linii kolejowej. Patrząc na rozłożoną na kolanach mapę, generał China próbował odgadnąć pozycję sekcji tropicieli. Dowódca sekcji odpowiedział natychmiast na wezwanie.

- Drzewo Bananowe, tu Dwunasty Czerwony. Nawiązaliśmy

kontakt.

China poczuł, jak poczucie zwycięstwa rozpiera mu piersi, ale nie dało się tego słyszeć w jego głosie.

- Podajcie swoją pozycję! - rozkazał.

Dowódca sekcji podał mu współrzędne, które China zaznaczył na mapie. Patrol znajdował się jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ od wioski.

- Pilocie, czy słyszał pan nowe współrzędne? - zapy

tał. - Niech pan zawiezie mnie tam tak szybko, jak to tylko

możliwe. - Kiedy ryk silnika zwiększył natężenie, China zawołał

491

do mikrofonu: - Dwunasty Czerwony, wystrzelcie czerwoną racę, jak tylko nas zobaczycie!

Siedem minut później czerwona raca wyleciała z lasu niemal prosto przed dziobem hinda. Pilot zwolnił i śmigłowiec zawisł nad drzewami.

Patrol Renamo oczyścił maczetami kawałek terenu na lądowisko, pilot naprowadził hinda nad czyste kółko i posadził maszynę na ziemi w tumanie kurzu i liści. China zauważył z satysfakcją, że partyzanci rozłożyli się wokół miejsca lądowania, chroniąc gościa wycelowanymi na zewnątrz karabinami maszynowymi. Byli to doskonali wojownicy. China wyskoczył lekko z kabiny i dowódca sekcji podbiegł schylony, żeby mu zasalutować. Był to doświadczony weteran, obwieszony bronią, manierkami z wodą i pasami amunicji.

— Przeszli tędy wczoraj wieczorem - poinformował ge

nerała.

— Jesteś tego pewien? - zapytał ostro China.

— Biały mężczyzna i biała kobieta. - Partyzant skinął gło

wą. - Zakopali coś tutaj. - Wskazał głową do tyłu. - Nie

dotykaliśmy tego, ale myślę, że to grób.

— Pokaż! - rozkazał China i ruszył za partyzantem w gęste

krzaki.

Dowódca sekcji zatrzymał się przed stosem kamieni.

- Tak, to grób - rzekł pewnym tonem China. - Otwórzcie

go.

Dowódca sekcji krzyknął na dwóch ludzi. Partyzanci odłożyli broń i podbiegli. Kopniakami zrzucili leżące z wierzchu mniejsze kamienie i zaczęli staczać większe na ziemię.

— Szybciej! - zawołał China. - Pospieszcie się!

— Jest ciało! - zawołał dowódca sekcji, gdy ukazała się

owinięta w koszulę głowa Joba. Partyzant zbliżył się i zdart

koszulę.

— To Matabele. - China natychmiast rozpoznał Joba. - Nie

sądziłem, że doniosą go aż tutaj. Wyciągnijcie go i rzućcie hienom

na pożarcie! - rozkazał.

Dwóch partyzantów schyliło się i chwyciło trupa za owinięte kocem ramiona. China przyglądał się temu z zainteresowaniem. Ćwiartowanie zwłok wroga należało do rytuału wojennego ple-

492

mienia Nguni, a wyrwanie wnętrzości z ciała pozwalało duszy zabitego opuścić powłokę cielesną, co zapobiegało prześladowaniu zabójcy. China czuł jednak nienawistną satysfakcję, gdy przyglądał się, jak partyzanci wydobywają z grobu zwłoki Ma-tabele. Wiedział, jak bardzo zrani tym Seana Courtney'a i już się cieszył na myśl o tym, jak opíše mu to w najdrobniejszych szczegółach w czasie następnego połączenia radiowego.

W tej samej chwili jego wzrok padł na krótki sznurek zrobiony z kory, który oplatał ramiona nieboszczyka. Przez chwilę patrzył ze zdziwieniem. Zobaczył, jak sznurek się napina, usłyszał trzask wyrwanej zawleczonej granatu i zrozumiał, co to takiego. Z ostrzegawczym krzykiem rzucił się na ziemię.

Wybuch ogłuszył go, trzasnął w głowę falą uderzeniową i China poczuł, jak coś silnie uderza go w policzki. Przewrócił się na plecy i usiadł, przez moment sądząc, że stracił wzrok; po chwili gwiazdy i wirujące koła ognia zbladły. Z ulgą stwierdził, że znowu widzi.

Z policzka ciekła mu krew i spływała po brodzie na mundur. Zdarł chustkę z szyi i przytknął do głębokiego rozcięcia, jakie odłamek granatu zostawił na jego twarzy.

Wstał niepewnie na nogi i spojrzał na grób. Granat rozerwał brzuch jednemu z partyzantów, wypatroszając go jak rybę. Mężczyzna klęczał na ziemi, usiłując wepchnąć wnętrzności do brzucha, ale mokre ubranie lepiło mu się do rąk. Drugi zginął na miejscu. Dowódca oddziału podbiegł do Chiny i chciał obejrzeć ranę na policzku, ale generał odepchnął rękę.

- Ty biały sukinsynu. - Jego głos ział nienawiścią. - Drogo mi za to zapłacisz, pułkowniku Courtney. Przysięgam ci to.

Ranny partyzant zmagał się z wnętrznościami, ale wylewały mu się przez palce. Wydawał z siebie bełkotliwy bulgot, który jeszcze bardziej rozżłościł Chinę.

- Zabierzcie go stamtąd! - wrzasnął. - Zabierzcie go i zastrzelcie!

Kilku partyzantów chwyciło rannego, ale China nie był usatysfakcjonowany. Trząsł się jeszcze z szoku i wściekłości, szukając wzrokiem czegoś, na czym mógłby wyładować gniew.

- Hej, wy! - Wskazał drżącą ręką. - Przynieście maczety. - Dwóch partyzantów rzuciło się biegiem po broń. - Wyj-

493

mijcie psa Matabele z tej dziury! Właśnie. A teraz posiekajcie go na mięso dla hien. Tak. Na małe kawałki. Nie zatrzymujcie się! Na mięso siekane! Chcę, żeby zostało z niego mięso siekane!

Przez cały ranek Matatu prowadził grupę na południe przez opuszczone pola i wioski. Wysokie trawy i chwasty dobrze ich skrywały, a tropiciel unikał ścieżek i omijał z dala wypalone chaty.

Claudia miała kłopoty z utrzymaniem ostrego tempa. Wczorajszego wieczoru zatrzymywali się tylko na krótkie postoje i dziewczyna była bardzo zmęczona. Nie czuła bólu. Nawet małe, ostre, różowo zakończone kolce, które zostawiały czerwone pręgi na odsłoniętych ramionach, nie przysparzały jej bólu. Każdy krok był czysto mechaniczny i mimo że starała się nadążyć za mężczyznami, czuła się jak nakręcana zabawka, która się zatrzymuje. Z wolna Sean wysunął się przed nią, nie miała jednak siły, żeby go dogonić. Sean obejrzał się przez ramię i widząc, z jakim trudem stawia nogi, zwolnił i zaczął na nią.

— Przepraszam - stęknęła.

Sean spojrzął na niebo.

— Nie możemy się zatrzymać - odpowiedział.

Claudia zebrała resztę sił, żeby iść za nim.

Wczesnym popołudniem usłyszeli hinda. Odgłos silników był bardzo stłumiony i szybko się oddalał w kierunku północnym.

Sean wyciągnął ramię, żeby podtrzymać dziewczynę, kiedy nagle się zachwiała.

- Dobrze się spisujesz - powiedział delikatnie. - Przykro

mi, ale musimy jak najbardziej oddalić się od wioski. China

nigdy nie będzie podejrzewał, że zaszliśmy aż tak daleko na

południe. Skierował się na północ. Teraz odpoczniemy.

Zaprowadził ją do kępy ciernistych akacji, które tworzyły naturalne schronienie. Claudia dyszała ciężko ze zmęczenia i położyła się na ziemi, gdy Sean przykucnął obok niej. Zdjął jej buty i skarpety.

- Twoje nogi porządnie stwardniały - powiedział, masując

jej stopy. - Nawet śladu otarcia. Jesteś równie twarda jak

komandos i masz jeszcze więcej odwagi.

Claudia nie miała nawet siły uśmiechnąć się, słysząc kom-

494

plement. Sean naciągnął skarpetę na swoją rękę, wysunął palec przez dziurę i pokiwał nim jak kukielką.

- W porządku. Potrafi dobrze chodzić. - Skarpeta mówiła

głosem Miss Piggie. - Gdybyś jednak, stary, mógł widzieć, jaka

jest w łóżku.

Claudia zachichotała słabo. Sean uśmiechnął się do niej czule.

- Teraz lepiej - pochwalił ją. - Idź spać.

Claudia obserwowała przez kilka minut, jak ceruje jej skarpetę.

— Która z twoich kochanek nauczyła cię tego? - mruknęła

sennie.

— Byłem prawiczką, zanim cię poznałem. Śpij już.

— Nienawidzę jej, kimkolwiek była - powiedziała Claudia

i zamknęła oczy. Zdawało jej się, że otworzyła je ponownie

dosłownie po chwili, ale światło przeszło w miękkie cienie

wieczoru i nie czuć było południowego upału. Usiadła na ziemi.

Sean gotował coś na małym ogniu rozpalonym na suchych gałązkach. Spojrzał na nią przez ramię.

— Głodna? - zapytał.

— Umieram z głodu.

— Obiad. - Przyniósł jej metalowy kubek.

— Co to jest? - spytała podejrzliwie i spojrzała na małą

stertę spieczonych czarnych kiełbasek, każda długości jej małego

palca.

- Nie pytaj - powiedział Sean. - Jedz.

Podniosła ostrożnie jedną i powąchała. Była gorąca.

— Jedz! - powtórzył Sean i żeby dać jej przykład, włożył

kiełbaszkę do ust, przeżuł i połknął.

— Wyśmienite - zawyrokował. - No, spróbuj.

Claudia ugryzła kiełbaszkę, która zatrzeszczała jej w zębach i rozlała się w ustach, wypełniając je płynem o konsystencji musztardy, który smakował jak szpinak. Z trudem przełknęła całość.

— Jeszcze jedną.

— Nie, dziękuję.

— Są pełne protein. Jedz.

— Nie mogę.

— Nie zajdziesz daleko o pustym żołądku. Otwórz usta. -

Sean karmił na przemian ją i siebie.

495

w

Kiedy kubek był pusty, Claudia znowu zapytała:

— Powiesz mi teraz, co to było? - Sean się uśmiechnął, pokręcił głową i podszedł do Alphonsa, który przykucnął przy ognisku i zjadał swoją porcję.

— Podłącz radio - polecił Sean. - Postuchamy, co China ma nam do powiedzenia.

Kiedy Alphonso był zajęty zakładaniem anteny, pojawił się Matatu. W rękach niósł duży kawał świeżo urwanej kory, której końce były porośnięte wyschniętą trawą. Zamienił z Seanem kilka słów i Sean spowaźniał.

— Co się dzieje? - zapytała z troską Claudia.

— Matatu widział sporo śladów przed nami. Wygląda na to, że jest tam pełno patroli. Nie może odgadnąć, czy to ludzie Frelimo, czy Renamo.

Claudia poczuła się niepewnie, przysunęła się bliżej do siedzącego na ziemi Seana i oparła o jego ramię. Oboje słuchali radia, w którym także było więcej transmisji, większość z nich w języku szangane lub po portugalsku.

- Coś się szykuje - mruknął Alphonso. - Przesuwają patrole na południe, żeby zastawić pułapkę.

— Renamo? - zapytał Sean.

Alphonso potwierdził skinieniem głowy.

— Wygląda na to, że to ludzie generała Tippoo Tipa.

— Co on mówi? - spytała Claudia.

Sean nie chciał jej jeszcze bardziej wystraszyć.

- Rutynowe transmisje - skłamał.

Claudia trochę się odprężyła. Spojrzała na Matatu, który właśnie wysypywał zawartość płata kory na żarzące się węgle. Kiedy zobaczyła, co gotuje, zeszytniała ze wstrętu.

- To najbardziej ohydne...! - Nie dokończyła. Patrzyła z przerażającym zafascynowaniem jak wielkie, włochate gąsienice wiją się na węglach. Ich długie włoski kurczyły się pod

wpływem żaru w malutkich obłoczkach dymu. Z wolna gąsienice przestały się poruszać i zwinęły w małe czarne kielbaski.

Claudia wydała zduszony okrzyk i schwyciła Seana za ramię.

— To nie są...! - stęknęła. - Ja nie...! Nie dałeś mi tego!

Och, nie! Nie wierzę!

— Bardzo pożywne - zapewnił ją Sean.

—

496

Matatu, widząc na co Claudia patrzy, wziął jedną gąsienicę z ognia i przekładając ją z ręki do ręki, podał jej z wielkodusznym uśmiechem.

- Chyba zwymiotuję - powiedziała słabym głosem Claudia

i odwróciła głowę. - Nie wierzę, że jadłam coś takiego.

Nagle radio zatrzeszczało i dał się słyszeć bardzo stłumiony głos. Ktoś mówił w języku, którego Claudia nie знаła. Zaciekawienie Seana spowodowało, że zapomniała o mdłościach i zapytała:

— Co to za język?

— Afrikaans - odparł krótko. - Cicho! Słuchaj! - Głos

jednak szybko zanikł.

— Afrikaans? - zapytała Claudia. - Południowoafrykański holenderski?

— Tak. - Sean skinął głową. - To był chyba maksymalny zasięg. Niemal na pewno wojskowa transmisja, pewnie jakiś patrol graniczny nad Limpopo. - Sean porozmawiał przez chwilę z Alphonsem i zwrócił się do Claudii. - Alphonso też tak uważa. Południowoafrykański patrol. Alphonso mówi, że czasami chwytają ich transmisje jeszcze dalej na północ. - Sean spojrział na zegarek. - Wygląda na to, że generał China nie zaszczyci nas dzisiaj rozmową. Lepiej się pakujemy i ruszajmy w drogę. -

Sean już zaczął się podnosić z ziemi, kiedy radio znowu ożyło.

Tym razem głos był tak wyraźny, że słyszeli każdy oddech mówiącego.

— Dobry wieczór, pułkowniku Courtney. Proszę mi wybaczyć to opóźnienie, ale miałem kilka pilnych spraw do załatwienia. Może pan się włączyć, pułkowniku.

W ciszy, która zapadła, Sean nie zrobił żadnego ruchu w stronę mikrofonu.

Po chwili generał China się roześmiał.

— Wciąż brakuje panu słów, pułkowniku. Nic nie szkodzi.

Jestem pewien, że mnie pan słucha, więc pozwolę sobie po gratulować panu drogi, jaką pan pokonał. To naprawdę spory sukces, biorąc pod uwagę, że miss Monterro musi bardzo opóźnić marsz.

— Arogancki drań - szepnęła z goryczą Claudia. - To najgorszy bandyta, a w dodatku męska szowinistyczna świnia.

497

- Przyznam szczerze, pułkowniku Courtney, że zaskoczył mnie pan. Musieliśmy przesunąć nasz kordon powitalny dalej na południe.

Znowu zapadła krótka cisza i nagle China odezwał się głosem, w którym pobrzmiwała złośliwość.

— Pułkowniku, znaleźliśmy miejsce, gdzie pogrzebał pan Matabele. - Claudia poczuła, jak Sean sztywnieje. Ponownie chwila ciszy. - Wykopaliśmy ciało i po stopniu zepsucia mogliśmy ocenić, jak długo spoczywał w ziemi. - Sean zaczął lekko drżeć, a China mówił dalej przyjaznym tonem. - Matabele potrafi cuchnąć jak zdechła hiena, a pana przyjaciel nie był wyjątkiem. Niech pan mi

powie, pułkownik, czy to pan wpakował mu kulę w głowę? To była bardzo rozsądna rzecz. I tak by nie doszedł do końca tej trasy.

— Świnia! Pieprzona świnia! - wyrwało się Seanowi.

— Ach, przy okazji, pańska pułapka nie wypaliła. Bardzo amatorska robota. - China roześmiał się swobodnie. - I niech się pan nie martwi o Matabele. Ułatwiłem robotę hienom. Ka załem dwóm ludziom z maczetami zająć się nim. Posiekali go na kawałki, pułkownik, na gulasz Matabele!

Sean rzucił się do mikrofonu i przyciągnął go do siebie.

- Ty zdeprawowany, pieprzony zwierzaku! - wrzasnął. - Ty śmierdzący wampirze! Módl się, żebym nie dostał cię w swoje ręce! Sean umilkł, dysząc ciężko po tym wybuchu.

- Dziękuję, pułkownik. - W głosie Chiny słychać było pogodną nutę. - Już mi się nudził ten monolog. Jak to miło znowu z panem porozmawiać, brakowało mi pana.

Sean z trudem powstrzymał się od odpowiedzi i wyłączył radio.

— Zbierajcie się. - Jego głos wciąż drżał z wściekłości. -

China szybko nas zlokalizuje po tym małym wybuchu. Musimy się stąd natychmiast wynosić.

— Znowu musimy uciekać, jakby nam deptali po piętach? -

spytała z rezygnacją Claudia, ale wstała posłusznie z ziemi.

Marsz był jednak wolniejszy niż poprzedniej nocy. Przed północą Mataru dwukrotnie kazał im się zatrzymać, wyczuwając szóstym zmysłem czyhające niebezpieczeństwo. Podkraść się do przodu i znalazł zastawioną na nich pułapkę. Dwukrotnie byli zmuszeni do zboczenia z drogi i ostrożnego okrążenia czekających na nich partyzantów.

498

- To ludzie generała Tippoo Tipa - szepnął Alphonso. -

Musi pomagać Chinie. Na każdej ścieżce będą czekać na nas

jego ludzie.

Po północy dopisało im szczęście. Matatu natrafił na ścieżkę biegnącą niemal prosto na południe i odkrył, że trochę wcześniej spory oddział przeszedł tędy, zmierzając w tym samym co oni kierunku.

- Wykorzystamy ich trop do ukrycia naszych śladów. - Sean

postanowił skorzystać z nadarżającej się okazji. Matatu prowadził

grupę, Claudia podążała za nim, podczas gdy Sean i Alphonso

szli na końcu, następując na małe odciski stóp prowadzącej pary

i zacierając je własnymi śladami.

Poruszali się teraz szybciej, dopóki Matatu nie usłyszał odgłosów, jakie w ciszy nocnej robił idący przed nimi patrol Renamo. Musieli zwolnić kroku, żeby zachować bezpieczną odległość.

Utrzymywanie ściśle określonego odstępu, który stanowił o tym, czy zostaną odkryci, czy też będą mogli podążać niezauważeni za oddziałem partyzantów, było bardzo trudne i musieli całkowicie polegać na wzroku i słuchu Matatu. Szli jednak dwa razy szybciej niż przed znalezieniem ścieżki.

Krótko przed świtem patrol Renamo się zatrzymał, więc ukryli się w ciemnościach, nasłuchując, jak partyzanci zastawiają na nich pułapkę po obu stronach ścieżki. Kiedy patrol zniknął w gąszczu przy dróżce, Matatu poprowadził ich drogą okrężną przez las i wkrótce wyszli na ścieżkę, pozostawiając pułapkę za sobą. Ruszyli dalej na południe.

- Według mojej oceny zrobiliśmy tej nocy jakieś czterdzieści

kilometrów - powiedział z zaciętą satysfakcją Sean, gdy gwiaz

dy na wschodzie zbladły przy pierwszym blasku wstającego świ

tu. - Nie możemy jednak ryzykować marszu za dnia, wszędzie

aż się roi od Renamo. Matatu, znajdź nam jakąś kryjówkę.

W nocy dotarli do podmokłego terenu, który odgradzał ich od Rio Save. Matatu wprowadził ich w wysoką bagienną trawę. Brnęli po kolana w wodzie przez strzegące rzeki moczary, wybierając drogę pomiędzy płytkimi lagunami, nad którymi unosiły się chmury moskitów. Woda zakrywała ich ślady, a idący z tyłu Sean dokładnie poprawiał i prostował rozsunięte na boki trzciny.

499

Po przejściu kilkuset metrów Matatu wyszukał małą wysepkę. Kiedy na nią wkroczyli, w trzcinach dał się słyszeć trzask i łoskot, gdy jakieś ciężkie ciało rzuciło się do ucieczki.

Claudia krzyknęła wystraszona, pewna, że wpadli w pułapkę Renamo. Matatu jednak wyszarpnął zza pasa długi nóż i z przenikliwym okrzykiem bojowym zanurkował w trawie. W zamieszaniu, jakie

nastąpiło, dostrzegła, że tropiciel zмага się z dwukrotnie większym od niego zwierzęciem pokrytym łuskami.

Sean rzucił się na pomoc Matatu. Szybko zatłukli i zadźgali na śmierć zwierzę, które następnie wyciągnęli z trawy. Claudia aż wzdrygnęła się z odrazy na widok potężnego szarego jaszczura, długiego na dwa i pół metra, z żółtym nakrapianym brzuchem i potężnym ogonem, który jeszcze drgał i przesuwiał się na boki.

Wydając z siebie radosne okrzyki, Matatu natychmiast zabrał się do zdzierania łuskowatej skóry.

— Co to jest?

— Najdelikatniejszy z przysmaków. - Sean otarł ostrze noża

o rękę i pomógł tropicielowi zdejmować twardą skórę.

Mięso z ogona było białe jak filety z soli, ale Claudia skrzywiła się okropnie, gdy Sean zaoferował jej kawałeczek.

— Ty i Matatu zjedlibyście nawet własne dzieci - powie

działa z odrazą.

— I słyszę to od osoby, która regularnie zajada się pieczonymi gąsienicami!

— Sean, nie mogę. Nie przełknę tego. Nie na surowo.

— Nie mamy żadnego drzewa, żeby rozpalić ognisko. Zresztą jadłaś japońskie sashimi, no nie? Sama mi mówiłaś, że ci smakowało.

— To była surowa ryba, a nie jaszczurka!

— Też mi różnica, pomyśl o tym jako o afrykańskim sashi

mi - poradził jej. Kiedy w końcu ustąpiła i spróbowała mały

kawałek białego mięsa, przekonała się, że jest wyjątkowo smacz

ne. Poczuła, jak głód przeważa nad wstrętem.

Mieli także pod dostatkiem wody. Kiedy wypełnili sobie brzuchy słodkim mięsem i wodą, pokładli się w cieniu na kocach. Claudia czuła się bezpieczna, widząc kołyszące się nad głową trawy, które zasłaniały ją przed ostrym słońcem. Patrzyła przez nie na jasne niebo. W końcu naszło ją zmęczenie i zasnęła.

Obudziła się nagle około południa. Leżała nieruchomo w objęciach Seana, słuchając odgłosu przelatującego gdzieś niedaleko hinda.

- China przeszukuje brzeg rzeki przed nami - szepnął jej

do ucha Sean.

Odgłos silników turbinowych narastał i opadał, gdy śmigłowiec zawracał i oddalał się od nich. Claudia czuła, jak strach ściska jej żołądek, gdy maszyna zbliżyła się jeszcze bardziej, przeleciała na południe od ich kryjówek i z wolna oddaliła się znad bagien.

- Odleciał - powiedział Sean, przytulając ją do siebie. -

Prześpij się jeszcze.

Obudziła się ponownie owładnięta dziwnym lękiem, ale kiedy spróbowała się poruszyć, poczuła, że ktoś ją przyciska mocno do ziemi, a czyjaś ręka zakrywa jej boleśnie usta. Przekręciła lekko głowę i zobaczyła przy sobie twarz Seana.

- Cicho! - szepnął jej do ucha. - Ani słowa!

Kiedy skinęła głową, zdjął rękę z jej ust i przetoczył się na brzuch, żeby wyrzeć przez zasłonę gęstych trzciny. Poszła za jego przykładem i wyjrzała na płytką lagunę otaczającą wysepkę.

Z początku nie dostrzegła niczego i dopiero po chwili usłyszała śpiew. Był to słodki dziewczęcy sopran, a cichutka piosenka była pieśnią miłosną Szangane. Dźwięki piosenki mieszały się z odgłosami lekkich kroków na wodzie. Śpiewająca zbliżała się do wysepki. Claudia instynktownie przysunęła się bliżej do Seana, wstrzymując oddech.

Nagle dziewczyna znalazła się bezpośrednio przed Claudia i ta mogła jej się przyjrzeć przez szparę w trzcinach. Była szczupła i delikatna, w wieku kilkunastu lat. Sądząc po dużych i pełnych piersiach, osiągnęła już wiek dojrzenia, mimo że jej twarz zachowała jeszcze słodkie dziewczęce rysy. Miała na sobie tylko opaskę biodrową podciągniętą wysoko nad nogami długimi i szczupłymi niczym u żrebaka. Jej skóra błyszczała w słońcu jak czarna melasa. Dziewczyna wydawała się dzika i niezależna niczym duszek lasu. Claudia była nią zauroczona.

W prawym ręku Murzynka trzymała cienką włócznię do połowu ryb z licznymi haczykami na ostrzu. Brodząc ostrożnie przez wodę, trzymała tę broń gotową do ciosu.

W pewnym momencie śpiew ucichł, dziewczyna znierucho-

501

miała na chwilę i zaraz rzuciła się do przodu z gracją baletnicy. Włócznia śmignęła w jej rękę. Po chwili z cichym okrzykiem radości dziewczyna wyjęła z wody długiego, śliskiego zębaczka. Ryba wiła się na końcu włóczni, otwierając i zamykając ozdobiony wąsami pysk. Dziewczynka uderzyła ją kilka razy w spłaszczony łeb i wrzuciła do uwieszanej przy pasie plecionej torby.

Obmyła drobne ręce o różowych dłoniach z lepkiego szlamu, podniosła włócznię i znowu zaczęła rozglądać się za rybami. Z każdym krokiem zbliżała się do miejsca, gdzie grupa Seana ukryła się w trzcinach. Sean ścisnął Claudię za rękę, ostrzegając ją, żeby się nie poruszyła, ale dziewczyna była już tak blisko, że w każdej chwili mogła nastąpić na nich.

Nagle podniosła wzrok i napotkała oczy Claudii. Przez krótką chwilę obie kobiety patrzyły na siebie, a potem Murzynka obróciła się i rzuciła do ucieczki. W tym samym momencie Sean poderwał się na nogi i puścił za nią, a z drugiej strony Alphonso i Mataru przyłączyli się do pościgu.

Dziewczyna była już w połowie laguny, kiedy mężczyźni ją dopadli; spróbowała im się wywinąć i zawrócić, ale w którąkolwiek stronę skręciła, czekał już na nią prześladowca gotowy przeciąć jej drogę. Wreszcie nie miała dokąd uciekać. Stała, ciężko dysząc z przerażenia i rozglądając się w panice na wszystkie strony, ale nie wypuściła z rąk włóczni, którą teraz groźnie uniosła przed sobą. Mimo całej odwagi nie miała większych szans niż kotka ścigana przez trzy wilczury.

Mataru zamarkował atak z boku. Kiedy zwróciła włócznię przeciwko niemu, Sean wytrącił jej broń i złapał dziewczynę od tyłu. Zaniósł ją kopiającą i wyrwijącą się z całych sił na wyspę i rzucił na ziemię. Murzynka straciła w czasie walki torbę i opaskę biodrową. Klęczała naga na ziemi, drżąc na całym ciele i patrząc ze strachem na otaczających ją mężczyzn.

Sean odezwał się do niej uspokajającym głosem, ale była zbyt wystraszona, żeby odpowiedzieć. Następnie Alphonso spróbował się z nią porozumieć. Kiedy dziewczyna usłyszała rodzinny język, uspokoiła się nieco. Po kilku pytaniach zaczęła odpowiadać zdyszonym i niepewnym głosem.

- Co ona mówi? - Claudia nie mogła powstrzymać ciekawości.

502

- Mieszka tutaj na mokradłach, żeby ukryć się przed żołnierzami - przetłumaczył Sean. - Partyzanci Renamo zabili jej ojca, a żołnierze Frelimo zabrali matkę i resztę rodziny do pracy przy ścinaniu drzew. Ona jedna zdołała uciec.

Zadawali jej pytania przez całą godzinę. Jak daleko znajdowała się rzeka? Czy było jakieś przejście? Ilu żołnierzy było nad rzeką? Gdzie robotnicy ścinali drzewa? Przy każdym kolejnym pytaniu dziewczyna uspokajała się coraz bardziej. Wyglądało na to, że wyczuła sympatię, jaką wzbudziła w Claudii, gdyż spoglądała na nią z dzieciinną ufnością.

— Ja trochę mówię po angielsku, proszę pani - szepnęła w końcu i Claudia się zdumiała.

— Gdzie się nauczyłaś?

— W misji, zanim przyszli żołnierze i ją spalili i pozabijali

zakonnice.

— Bardzo ładnie mówisz po angielsku. - Claudia uśmiech

nęła się do niej. - Jak masz na imię?

— Miriam, proszę pani.

— Nie zaprzyjaźniaj się z nią za bardzo - ostrzegł Sean.

— Ona jest taka cudowna.

Sean chciał już coś odpowiedzieć, ale zastanowił się nad tym i rozmyślił. Zamiast tego spojrzął na zachodzące słońce i mruknął:

- Cholera, przegapiliśmy transmisję Chiny. Przyszykuj się do drogi. Pora ruszać.

Potrzebowali tylko kilku minut, żeby się spakować. Stojąc z założonym plecakiem, gotowa do drogi, Claudia zapytała:

— A co z dziewczyną?

— Zostawimy ją tutaj - odparł szybko Sean.

Coś w jego głosie zaalarmowało Claudię. Ruszyła za Seanem, który zszedł już do wody, znowu się zatrzymała i obejrzała. Dziewczyna przykucnęła na ziemi, patrząc nieszczęsnym wzrokiem za Claudią, a za nią stał Matatu z długim nożem w ręku.

Nagłe olśnienie oblało Claudię falą zimnego gniewu.

— Sean! - Jej głos drżał, kiedy go zawołała. - Co chcesz zrobić z tym dzieckiem?

— Nie zaprzataj tym sobie głowy - odburknął Sean.

— Matatu! - Claudia czuła, że zaczyna drzeć jak w gorączce. - Co zamierzasz zrobić? - Matatu wyszczerzył do niej

503

zęby w uśmiechu. - Czy ty chcesz...? - Przeciągnęła dłonią po gardle i Matatu pokiwał głową, pokazując jej nóż.

- Ndio - potwierdził. - Kufa.

Claudia znała już to słowo z języka suahili. Matatu używał go zawsze, kiedy jej ojciec trafił jakieś zwierzę i mały tropiciel musiał je dobić, podrażniając mu gardło. Nagle zaczęła trząść się ze złości. Rzuciła się na Seana.

— Chcesz ją zamordować! - Jej głos był piskliwy z gniewu.

— Poczekaj, Claudio, posłuchaj. Nie możemy jej tu zostawić.

Jeśli ją złapią... to by było samobójstwo.

— Ty draniu! - wydarła się na niego. - Jesteś tak samo

zły jak każdy z plugawych partyzantów Renamo czy sam

China!

— Tu chodzi o nasze życie, nie rozumiesz tego? Musimy przeżyć!

— Nie wierzę własnym uszom!

— To jest twarda, okrutna ziemia. Jeśli chcemy przetrwać, to musimy żyć według obowiązujących tu reguł. Nie możemy sobie pozwolić na głupie współczucie.

Claudia chciała rzucić się na niego z pięściami, zacisnęła nawet dłonie, ale powstrzymała się. Jej głos był jednak ostry.

— Współczucie i świadomość to jedyne, co nas różni od zwierząt. - Wzięła głęboki oddech. - Jeśli cenisz to, co jest między nami, to nie powiesz już ani słowa i nie będziesz próbował usprawiedliwiać tego, co chciałeś zrobić temu dziecku.

— Wolisz, żeby nas złapał generał China? - zapytał. - To dziecko, jak ją nazywasz, nie zawaha się powiedzieć mu o nas i podać kierunek marszu.

— Dosyć, Sean! Ostrzegam cię, każde twoje słowo nieodwrotnie niszczy nas związek.

— Więc w porządku! - Sean chwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie. - Co mamy z nią zrobić? Chcesz, żebyśmy ją wypuścili, żeby mogła donieść o nas pierwszemu napotkanemu

patrolowi Renamo? Jeśli tak, zrobię to.

Claudia zeszywniała otoczona jego ramionami. Mimo że z głosu Seana znikła złość, był wciąż zimny i zdecydowany.

- Weźmiemy ją ze sobą.

Sean opuścił ręce.

504

— Ze sobą?

— Właśnie tak. Jeśli nie możemy jej zostawić, jest to jedyne rozwiązanie. - Sean patrzył na nią ze zdziwieniem, a Claudia mówiła dalej: - Powiedziałeś, że zgodzisz się na to, co zdecyduję. Obiecałeś mi.

Sean otworzył usta, zaraz zamknął je z powrotem i spojrzał na siedzącą na ziemi dziewczynę. Musiała zrozumieć coś z ich kłótni i wiedziała, że grozi jej niebezpieczeństwo, a Claudia jest jej obrońcą. Kiedy Sean zobaczył wyraz oczu dziecka, nagle poczuł wstyd i wstręt do samego siebie. Było to zupełnie nowe doznanie. W czasie wojny nie zostawiali nigdy żadnych świadków. Pomyślał, że Claudia zmusiła go do uległości. Uśmiechnął się i pokręcił głową - raczej po prostu wyzwoliła w nim ludzkie uczucia.

- W porządku - powiedział z uśmiechem na ustach. -

Dziewczyna idzie z nami, pod warunkiem że mi wybaczysz.

Ich pocałunek był krótki i chłodny. Claudia nie otworzyła ust. Sean wiedział, że potrzebuje czasu, żeby pozbyć się złości. Odwróciła się i pomogła dziewczynce wstać. Miriam przytuliła się do niej z wdzięcznością.

- Przynies jej opaskę - poleciła Claudia, zwracając się do

Matatu. - I odłóż nóż. Dziewczyna idzie z nami.

Matatu aż wyrzucił oczy z dezaprobaty, ale poszedł po skromne ubranie dziewczyny.

Kiedy Miriam wkładała na siebie opaskę, Alphonso oparł się na karabinie i przyglądał się jej z ciekawością. Było jasne, że jemu przynajmniej nie przeszkadza obecność dziewczyny. Claudii nie przypadło do gustu to nagłe zainteresowanie jej podopieczną, otworzyła swój plecak, wyjęła z niego jedyną czystą koszulę w barwach kamuflujących, jaką wzięła na zmianę z magazynu generała Chiny.

Koszula sięgała Miriam do połowy ud, co usatysfakcjonowało Claudię. Mała Murzynka była zachwycona, strach przed kilku minut zniknął i teraz kręciła się, podziwiając swój wspaniały strój.

— Dziękuję, bardzo dziękuję. Pani dobra.

— W porządku - przerwał Sean. - Koniec pokazu mody,
ruszamy.

Alphonso wziął Miriam za ramię.

505

Kiedy dziewczyna zorientowała się, że chcą ją zabrać ze sobą, wyrwała się Alphonsovi z rąk i zaczęła gorąco protestować.

— Niech to szlag! - wybuchnął Sean. - No to mamy niezły
kłopot!

— Co się stało? - zapytała Claudia.

— Nie jest sama. Jest z nią jeszcze rodzinka.

— Mówiłeś, że straciła rodziców!

— Zgadza się, ale ma brata i siostrę ukrytych na moczarach.

To dwoje dzieciaków tak małych, że same nie dadzą sobie rady.

Cholera! Niech to jasna cholera! - klął zawzięcie Sean. - No
i co teraz zrobimy?

— Znajdziemy te dzieci i zabierzemy ze sobą - powiedziała
po prostu Claudia.

— Dwoje szczeniaków! Oszalałaś! Nie prowadzimy przed
szkołą.

— Musisz zaczynać od początku? - Claudia odwróciła się
do niego plecami i wzięła Miriam za rękę. - Wszystko w po
rządku. Możesz mi zaufać. Zajmiemy się wami.

Dziewczyna uspokoiła się i spojrzała na Claudię ufnym wzrokiem.

— Gdzie są dzieci? Zabierzemy je ze sobą.

— Chodź, pani. Pokażę ci. - Miriam poprowadziła ją za
rękę pomiędzy trzciny.

Robiło się już ciemno, kiedy w końcu dotarli do małej wysepki, gdzie Miriam ukryła dzieci w zaroślach papirusu. Kiedy rozchyliła grube zielone łodygi, dwie pary wielkich ciemnych oczu spojrzały na nich jak małe sówki w gnieździe.

— Chłopiec. - Claudia podniosła go z ziemi. Miał jakieś pięć, sześć lat, był bardzo chudy i cały drżał z przerażenia. - I dziewczynka. - Była jeszcze młodsza. Claudia aż krzyknęła, dotykając jej. - Ma wysoką gorączkę, to dziecko jest chore! - Maleństwo było zbyt słabe, żeby wstać o własnych siłach i leżało zwinięte w kłębek jak zdychający kotek, popisując cicho.

— Malaria - oświadczył Sean, kucając przy dziecku. - Jest ciężko chora.

— Mamy chlorochininę w apteczce. - Claudia szybko sięgnęła do plecaka.

506

— To jest szaleństwo! - wybuchnął Sean. - Nie możemy obciążać się tą bandą. To jakiś koszmar!

— Och, zamknij się! - krzyknęła. - Ile tabletek mam jej dać? Tu jest napisane, że w wypadku dzieci poniżej sześciu lat należy skonsultować się z lekarzem. Śliczne dzięki, dam jej dwie tabletki.

Podając lekarstwo dziecku, Claudia zapytała Miriam:

- Jak się nazywają? Jak mają na imię?

Odpowiedź była długa i skomplikowana. Claudia jednak poradziła sobie z kłopotem.

— Nigdy tego nie wymówię - powiedziała zdecydowanie. - Nazwiemy je Mickey i Minnie.

— Walt Disney zaskarży cię o naruszenie praw autorskich -

ostrzegł ją Sean, ale Claudia zignorowała jego docinki i owinęła

Minnie we własny koc.

— Będziesz musiał ją ponieść - powiedziała to takim tonem,

jakby to było oczywiste.

— Jeśli gówniara mnie obsika, to skrucę jej kark - burknął

rozzłoszczony Sean.

— A Alphonso poniesie Mickeya.

Sean czuł, że w Claudii obudził się instynkt macierzyński. Jego niechęć do dodatkowych kłopotów, jakie stwarzała nowa sytuacja, znikła, kiedy przekonał się, jak bardzo Claudia się ożywiła pod wpływem nowych obowiązków. Otrząsnęła się z letargu i odzyskała siły, po raz pierwszy od śmierci Joba była znowu zaradna, a nawet złośliwa.

Sean podniósł prawie nic nieważące ciało i przywiązał sobie końcami koca na plecach. Wysoka gorączka dziewczynki rozgrzała szybko koc i czuł się tak, jakby miał na plecach termoфор. Dziecko, które od niemowlęctwa było zawsze noszone w ten sposób, natychmiast się uspokoiło i zasnęło.

- Wciąż nie wierzę, że to musiało spotkać właśnie mnie -

zrzędził Sean. - W moim wieku zostać cholerną niańką. -

Ruszył jednak zdecydowanie przez moczary.

Zanim minęła pomoc, Miriam udowodniła, jak bardzo może być przydatna. Jej pomoc rekompensowała kłopoty związane z dwojgiem dzieci. Dziewczyna znała na pamięć każdy zakątek mokradeł. Szła na czele grupy obok Matatu, prowadząc ich przez

507

labirynt wysepek i otwartych lagun, wyszukując tylko jej znane przejścia, które pozwoliły im zaoszczędzić godziny poszukiwań i błędzenia.

Krótko po północy, kiedy Orion stał dokładnie nad ich głowami, Miriam wyprowadziła ich na brzeg Rio Save i wskazała bród, przez który mogli przejść na drugą stronę.

Sean zarządził odpoczynek. Claudia i Miriam zajęły się dziećmi, karmiąc je paskami z mięsa jaszczurczego. Chlorochinina zaczęła już działać i dziewczynce spadła temperatura. Po posiłku mężczyźni ukryli się w kępie trzciny i przyglądali się drugiemu brzegowi ponad ciemną wodą, w której odbijały się tysiące gwiazd.

— To jest najniebezpieczniejszy moment - szepnął Sean. -

China patrolował cały dzień brzegi rzeki i wróci tu o pierwszym brzasku. Nie możemy tracić czasu. Musimy się przeprawić i od daleko stąd, zanim wstanie świt.

— Będą czekać na nas po drugiej stronie - ostrzegł Alphonso. - Wiedzą, że możemy tędy przechodzić.

— Racja - zgodził się Sean. - Są tam, ale my wiemy, że oni tam są. Zostawimy kobiety tutaj i sami przeprawimy się przez rzekę, żeby oczyścić drugi brzeg. Nie możemy posłużyć się karabinami, musimy to załatwić nożami i drutem. Czekają nas mokra robota. - Sean użył starego zwrotu, jakim Zwiadowcy Ballantyne'a określali ciche zabójstwo. - Sebenza enamanzi. Podwójnie mokra robota - dodał, mając na myśli przeprawę przez rzekę.

Miał w kieszeni cienki drut półtorametrowej długości, który wyciął z liny dźwigu herculesa. Job wyrzeźbił dwie nieduże rączki i przymocował je do końców stalowej linki. Sean nosił cienki drut zwinięty w kłębek w kieszonce na granaty przy pasie. Teraz wyjął go i rozwinął. Trzymając drewniane rączki w kształcie dużych guzików między palcami, napiął mocno drut i mruknął z zadowolenia. Następnie zwinął drut i nałożył go sobie na nadgarstek jak bransoletę.

Trzej mężczyźni rozebrali się do naga, gdyż ociekające wodą mokre ubranie mogło zaalarmować wartowników lub zapewnić przeciwnikowi dogodny chwyt w walce wręcz. Każdy z nich miał nóż zawieszony na krótkim sznurku przewiązanym wokół szyi.

508

Sean wrócił do miejsca, gdzie Claudia czekała z dziećmi wśród trzciny. Kiedy ją pocałował, jej usta znowu były miękkie i ciepłe i dziewczyna przytuliła się do niego mocno.

- Wybaczyłaś mi? - zapytał.

W odpowiedzi Claudia pocałowała go jeszcze raz.

- Wracaj szybko - szepnęła.

Trzej mężczyźni ześlizgnęli się bezszelestnie do wody i trzymając się blisko siebie, płynęli pieskiem na drugą stronę, pozwalając, żeby prąd zniósł ich od brodu.

Dopłynęli do miejsca porośniętego papirusami i wczłgali się po cichu na brzeg. Nagie ciało Seana błyszczało w świetle księżyca, więc przetoczył się kilka razy po nadrzecznym mule, aż oblepił go dokładnie, następnie nasmarował sobie twarz.

— Gotowi? - zapytał szeptem, wyciągając nóż z pochwy zawieszanej na szyi.

— Idziemy!

Ruszyli w kierunku prostopadłym do rzeki, zataczając koło w stronę brodu. Bagna kończyły się na północnym brzegu rzeki. Ta strona była sucha i zalesiona. Mężczyźni trzymali się blisko drzew, żeby pozostać w ich cieniu. Kiedy zbliżyli się do brodu, musieli zachować większą ostrożność. Rozciągnęli się w tyralierę, z Seanem pośrodku.

Sean poczuł zapach partyzantów Renamo, zanim ich zobaczył. Był to smród tanich papierosów i stęchłego potu, którym przesiąk-nęła nieprana odzież. Stał nieruchomo jak skała, wytężając wzrok, usiłując coś dostrzec w ciemnościach.

Niedaleko przed nim ktoś cicho zakaszłał i oczyścił gardło chrząknięciem. Już wiedział, gdzie znajduje się pierwszy wartownik. Schylił się, aż dotknął ręką ziemi, i odgarniając spod stóp gałązki i suche liście, posuwał się krok za krokiem do przodu. W końcu dostrzegł zarys głowy partyzanta na tle rozgwieżdżonego nieba. Siedział przy karabinie maszynowym RPD na trójnogu i spoglądał na rzekę.

Sean czekał cierpliwie, licząc minuty, pięć, dziesięć, a każda z nich zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Natychmiast ktoś po jego lewej stronie ziewnął głośno i przeciągnął się. W tej samej chwili ktoś inny kazał mu groźnym szeptem zachowywać się cicho.

509

Było ich trzech. Sean zapamiętał dokładnie ich pozycje i wycofał się równie cicho, jak przyszedł.

Na skraju lasu czekał już na niego Alphonso, a po kilku minutach dołączył do nich Matatu.

— Trzech - szepnął Alphonso.

— Tak, trzech - zgodził się Sean.

— Czterech - sprzeciwił się Matatu. - Jeszcze jeden siedzi

ukryty tuż pod brzegiem. - Matatu nigdy niczego nie przeoczył

i Sean bez wahania zaakceptował jego ocenę.

Tylko czterech partyzantów Renamo zaczął się na nich. Poczuł ulgę. Oczekiwał, że będzie to większy oddział, ale widocznie China rozproszył swoje siły, żeby zablokować każde przejście, każdą ścieżkę i bród.

- Bądźcie cicho - ostrzegł ich Sean. - Jeden strzał i cała

armia wykona taniec wojenny wokół nas. Matatu, bierzesz tego,

którego znalazłeś nad brzegiem. Alphonso, zajmiesz się tym

w trzcinach, który się odezwał. Ja wezmę dwóch w środku.

Zdjął linkę z ręki i rozwinął ją, ponownie napinając i próbując w rękach, żeby lepiej wyczuć broń.

- Poczekaście ze swoimi, aż usłyszycie, że mój świsnął. -

Sean dotknął lekko ramienia każdego z nich w rytualnym geście

dodawania sobie odwagi. Rozdzielili się i szybko zniknęli w ciem

nościach, wracając nad rzekę.

Mężczyzna obsługujący ręczny karabin maszynowy siedział w takiej samej pozycji, jak Sean go zostawił. Kiedy jednak Sean zbliżył się do niego, ciąg chmur zasłonił księżyc i musiał odczekać kilka minut, aż znowu się przejaśni. Każda sekunda zwłoki mogła sprawić, że zostaną odkryci, i Sean chciał już podejść do wroga, posługując się jedynie zmysłem dotyku, ale w ostatniej chwili zrezygnował z tego. Gdy chmury odsłoniły księżyc, poczuł ulgę, że zdecydował się zaczekać. Mężczyzna zdjął czapkę i drapał się po głowie; podniesiona ręka uniemożliwiłaby Seanowi załatwienie sprawy cicho i skutecznie. Wywiązałyby się walka, krzyki i strzały zaalarmowałyby wszystkie patrole Renamo w promieniu kilku kilometrów.

Sean poczekał, aż wartownik skończy się drapać i nałoży czapkę. Kiedy mężczyzna opuścił rękę, Sean sięgnął szybko do przodu i owinął stalową linkę wokół szyi wartownika jednym

510

płynnym ruchem, a potem rzucił się z całej siły do tyłu, wbijając przeciwnikowi kolano w plecy. Stalowa linka przecięła ciało i tchawicę, jakby to był miękki ser. Sean poczuł, jak ugrzęzła na chwilę, gdy natrafiła na kręgosłup, ale przeciągnął ją obiema rękami niczym piłę, pomagając sobie kolaniem.

Cienka jak struna linka przeszła między kręgami i przecięła skórę z tyłu szyi. Głowa partyzanta potoczyła się do przodu i spadła mu na kolana. Powietrze z płuc wydostało się przez otwartą tchawicę z cichym poświstem. Właśnie na ten dźwięk czekał Matatu i Alphonso. Sean wiedział, że w tej chwili zajmują się swoimi ofiarami, ale wokół panowała idealna cisza, dopóki zabity przez Seana mężczyzna nie pochylił się do przodu i z przeciętej tętnicy nie zaczęła tryskać krew z regularnym sykiem, który przypominał dźwięk dojenia krowy.

Odgłos zaalarmował czwartego partyzanta; jedyne, który został przy życiu. Mężczyzna zapytał zduszonym szeptem:

- Co jest, Alves? Co robisz?

Sean łatwo znalazł drogę do niego, a skradając się, miał już w ręku nóż. Wbił go od dołu tak, że ostrze weszło pod żebra pod ostrym kątem. Lewą rękę zacisnął z całej siły wokół szyi, żeby mężczyzna nie mógł krzyknąć. Obracał ostrze drugą ręką, powiększając ranę, aż nóż wbił się głęboko w ciało.

Po półminucie było po wszystkim. Ciałem leżącym u jego stóp wstrząsały śmiertelne drgawki, puścił więc trupa i wyprostował się. Matatu stał już obok niego z nożem w dłoni. Ostrze i ręka Matatu lśniły w świetle księżyca. Mały tropiciel wykonał swoje zadanie i przybiegł pomóc Seanowi, ale nie było to konieczne.

Czekali przez pełną minutę, nasłuchując nagłego alarmu, niepewni, czy w trzcinach nie krył się jeszcze jeden wartownik, którego nawet Matatu przeoczył. Poza rechotem żab i brzęczeniem moskitów nie usłyszeli żadnych innych odgłosów.

- Przeszukajcie ich! - rozkazał Sean. - Zabierzcie wszystko, co nam może się przydać.

Wybrali jeden karabin, amunicję, kilka granatów, zapasowe ubranie i jedzenie. Szybko pozbiali przydatne im rzeczy.

- Dobra - zdecydował Sean. - Resztę wrzucicie do rzeki.

Zaciągnęli ciała w dół nadbrzeżnej skarpy i zepchnęli zwłoki

511

do wody, następnie wrzucili ręczny karabin maszynowy i resztę sprzętu w głęboką toń za trzcinami. Sean spojrzął na zegarek.

- Nie mamy już czasu, musimy przeprowadzić Claudię z dziećmi przez rzekę.

Czekały na nich ukryte w zaroślach, tam gdzie je zostawili.

— Co się stało? Nic nie słyszałam. - Claudia przytuliła się z ulgą do mokrej piersi Seana.

— Nic takiego - powiedział Sean, biorąc śpiące dziecko i sadowiąc je sobie na ramionach.

Kiedy weszli głębiej w rzekę, gdzie woda sięgała Claudii do podbródka, musieli utworzyć pomost ze splecionych rąk, aby utrzymać się w silnym prądzie. Bez pomocy mężczyzn rzeka porwałaby kobiety. Przejście było tak męczące, że kiedy wdrapali się wyczerpani na drugi brzeg, padli na ziemię.

Sean nie pozwolił im jednak odpoczywać dłużej niż kilka minut potrzebnych do osuszenia Minnie. Jak tylko kobiety ubrały małą w kaftan, kazał wszystkim wstać i zmusił do marszu przez ciemny las.

- Musimy oddalić się od rzeki przed świtem. Jak tylko zrobi

się jasno, China zacznie znowu patrolować brzegi.

Generał China wypatrzył grupę stojących nad brzegiem ludzi z wysokości sześćdziesięciu metrów. Kiedy śmigłowiec skręcił ku nim, potężny pęd powietrza pomarszczył powierzchnię wody małymi, ciemnymi falami.

Portugalski pilot posadził maszynę na skraju lasu na południowym brzegu, China wyskoczył i pomaszerował w stronę rzeki. Mimo że na jego twarzy nie rysowały się żadne uczucia, w środku aż kipiał z gniewu. Wyjął okulary przeciwsłoneczne z kieszonki na piersi i zasłonił oczy, aby nie zdradzały jego uczuć.

Kilku mężczyzn rozstąpiło się przed nim z szacunkiem. China

przeszedł pomiędzy nimi i spojrzał na leżącą w błocie na ziemi ludzką głowę. Została obmyta przez wodę i widać było ślady, jakie pozostawiły na niej przybrzeżne kraby. Odstonięte ciało zbieleło, a oczy zaszyły mgłą, ale gładkie cięcie, którym kończyła się szyja, stanowiło znak równie łatwy do odczytania jak podpis.

512

- To dzieło białego mężczyzny - powiedział spokojnie

China. - Jego Zwiadowcy nazywali to "mokrą robotą", zawsze można ich było poznać po używaniu stalowej linki. Kiedy to się stało'?

- Tej nocy. - Tippoo Tip szarpał ze zdenerwowania brodę.

Nikt z patrolu nie przeżył i nie miał na kim wyrzeć swojej wściekłości.

- Pozwoliłeś im przekroczyć rzekę - rzekł chłodnym głosem China. - Obiecałeś, że nie uda im się przedostać przez twoje linie.

- Te psy - warknął Tippoo Tip - te bezużyteczne świnie!

- To twoi ludzie - zauważył China. - A podwładni są tacy jak ich dowódca. To twoja wina, generale.

Oskarżenie padło w obecności partyzantów i Tippoo Tip aż zawył z poniżenia. Dał słowo i zawiódł. Potoczył wściekłym spojrzeniem po swoich żołnierzach, ale ci przezornie pospuszczali głowy. Tippoo Tip nie mógł się na nich wyładować.

Nagle zamachnął się i z całej siły kopnął leżącą na ziemi głowę. Czub buta wbił się w napuchły nos.

- Pies! - zawył Tippoo Tip i ponownie kopnął głowę, która potoczyła się w dół zbocza. Tippoo Tip podążył za nią, wrzeszcząc wściekle, wykrzykując oskarżenia i kopiąc ją tak zawzięcie, że głowa poleciała łukiem do rzeki.

Wrócił do Chin, dysząc wściekle.

- Bardzo dobrze - pochwalił go ironicznie China. - Bardzo dzielnie, szkoda, że nie możesz zrobić tego samego z białym mężczyzną.

- Wszystkie przejścia przez rzekę są strzeżone - zaczął Tippoo Tip i umilkł, gdy dojrzał zaszytą ranę na policzku Chin; uśmiechnął się złośliwie. - Jesteś ranny. Co za nieszczęście. Ale to nie jest wina białego mężczyzny? Oczywiście, że nie. Jesteś zbyt sprytny, generale China, żeby pozwolić mu się zranić. Poza twoim uchem naturalnie.

Tym razem China wybuchnął gniewem.

— Gdybym tylko miał tutaj swoich ludzi. Twoje głupie psy nie potrafią nawet się podetrzeć.

— Jeden z twoich ludzi jest zdrajcą! - ryknął Tippoo Tip. -

Uciek z białym mężczyzną. Wśród moich ludzi nie ma zdrajców.

513

Mam wszystkich w rękach. - Pokazał Chinie swoje potężne dłonie, machając mu nimi przed nosem.

China na chwilę zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Uświadomił sobie, że znaleźli się na krawędzi przepaści, jeszcze kilka słów i nie będzie mógł liczyć na pomoc tej owłosionej małpy. Pewnego dnia go zabije, ale teraz potrzebuje jego wsparcia. Musi dostać w swoje ręce białego mężczyznę, żywego, jeśli

możliwe, martwego, jeśli nie da się inaczej. Bez pomocy Tippoo Tipa nie miał szans na złapanie Seana Courtneya. Gniew musi poczekać na lepszy czas i sprzyjające okoliczności.

- Generale Tippoo Tip - powiedział tonem pojednawczym, niemal pokornym - proszę mi wybaczyć. Mój zły nastrój sprawił, że zapomniałem o zdrowym rozsądku. Wiem, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Obaj jesteśmy ofiarami niekompetencji naszych ludzi. Proszę, żebyś wybaczył mi złe maniery.

Tymi słowami zbił Tippoo Tipa z pantafelku. Gniewne słowa zamarły mu na ustach.

- Nawet jeśli tym głupcom nie udało się ich zatrzymać - ciągnął China - wiemy przynajmniej, gdzie teraz są. Mamy wyraźny ślad i cały dzień przed sobą, żeby za nimi podążyć. Skończmy z tym jak najszybciej. Potem ja i mój śmigłowiec będziemy na twoje usługi przy ważniejszym zadaniu, które nas czeka.

China widział, że dobrał właściwe słowa. Wściekłość Tippoo Tipa ustąpiła. Na jego twarzy pojawił się cwany uśmiešek.

— Już wezwałem swoich najlepszych tropicieli - odezwał się ugodowo. - Za godzinę pięćdziesięciu ludzi podąży ich śladem. Mogą biec tak szybko jak elandy. Biały człowiek będzie w twoich rękach przed zachodem słońca. Tym razem nie popełnię błędu.

— Gdzie są tropiciele? - zapytał China.

— Już wezwałem ich przez radio.

— Poślę po nich śmigłowiec.

— To nam zaoszczędzi czasu.

Patrzyli, jak hind wzbija się w powietrze i odlatuje na pomoc, trzymając się nisko nad ciemnymi wodami Rio Save. Kiedy zniknął za drzewami, obaj generałowie obrócili się i spojrzeli na południe.

— Nie kontrolujesz już terytorium na południe od rzeki - zauważył China. - Dalej ciągną się lasy, które tak sprytnie oddałeś Frelimo. - Wskazał na ciemny las, który odcinał się linią od horyzontu.

— Rzeka jest moją linią graniczną - przyznał niechętnie Tippoo Tip. - Jednakże najbliższe oddziały przeciwnika są wiele kilometrów na południe od nas. Moje patrole przemierzają ten teren bez żadnych przeszkód. Ludzie, których wysyłam za białym mężczyzną, złapią go o wiele wcześniej, zanim dotrze do obszaru kontrolowanego przez siły rządowe. - Tippoo Tip umilkł i wskazał na brzeg rzeki. - Oto i oni. - Długi podwójny szereg uzbrojonych po zęby partyzantów biegł po ścieżce w ich stronę. - Pięćdziesięciu moich najlepszych ludzi. Będziesz jadł dziś na obiad białe kurczaki. Nie musisz się więcej przejmować, przyjacielu. Masz ich już na talerzu.

Dwa plutony zatrzymały się na brzegu, czekając na tropicieli. China umiał rozpoznać wartościowych żołnierzy. Przeszedł pomiędzy partyzantami i wyczuł w nich entuzjazm i podekscytowanie ukryte pod maską dyscypliny i zawodowstwa, które cechują najlepszych wojowników. Tym razem musiał przyznać rację generałowi Tippoo Tip. To byli twardzi żołnierze, na których można było polegać. China skinął na dowódców obu plutonów.

— Wiecie, kogo ścigacie? - zapytał. Obaj oficerowie skinęli głowami. - Biały mężczyzna jest niebezpieczny jak ranny leopard, ale chcę go dostać żywego. Rozumiecie?

— Tak jest, generale!

— Macie ze sobą radio. Chcę, żebyście co godzina składali raport o postępach na ustalonej częstotliwości.

— Tak jest.

— Kiedy tylko zobaczycie uciekinierów, powiadomcie mnie.

Przylecę tam henshaw. Chcę być przy jego śmierci.

Obaj oficerowie spojrzeli w stronę drugiego brzegu, a po chwili generał China mimo uszkodzonego ucha także usłyszał ostry świst śmigieł zbliżający się od północy.

- Jeśli dobrze się spisiecie, zostaniecie wynagrodzeni. Jeśli zawiedziecie mnie, pożałujecie tego. Bardzo tego pożałujecie - rzekł China.

Gdy tylko śmigłowiec wylądował, z małej tylnej kabiny wy-

515

skoczyło dwóch tropicieli. Tippoo Tip krzyknął na nich, wskazując im ślad zostawiony przez grupę Seana.

Patrząc na tropicieli, China był coraz spokojniejszy o rezultat pościgu. Ci dwaj byli naprawdę dobrzy. Pobiegli najpierw do przodu i szybko wrócili do miejsca, gdzie trop się zaczynał. Kucnęli nad nim, szepcząc do siebie i dotykając zamazanych śladów stóp cienkimi witkami dzikiej wierzby. Węszyli jak para ogarów. Kiedy wstali, ich postawa od razu się zmieniła. Byli już zdecydowani co do kierunku tropu. Obrócili się w stronę rysującego się na południu lasu i ruszyli biegiem.

Oba plutony partyzantów Renamo ustawiły się w formację bojową i zaczęły posuwać się szybkim krokiem za tropicielami.

- Biała kobieta nie może utrzymać takiego tempa - powiedział z dumą Tippoo Tip. - Dopadniemy ich, zanim dotrą do linii Frelimo. Wpadną w nasze ręce jeszcze przed nocą. Tym razem nam nie uciekną. - Odwrócił się do Chiny. - Czemu nie podążymy za nimi śmigłowcem?

China zawahał się przez chwilę. Nie chciał mu wyjaśniać problemów związanych z eksploatacją maszyny. Lepiej było, żeby Tippoo Tip wierzył w niezawodność hinda. China nie miał zamiaru mówić mu o kłopotach związanych z dostarczaniem paliwa. Portugalski pilot ostrzegł go, że silniki pracują już zbyt długo bez konserwacji. Spostrzegł pewne nieprawidłowości w pracy prawego silnika - lekką utratę mocy.

- Zaczekamy tutaj - postanowił China. - Kiedy twoi ludzie schwytają białego mężczyznę, wezwą nas przez radio. Wtedy polecę za nimi.

China nałożył swoje okulary i podszedł do hinda. Pilot czekał już na niego oparty nonszalancko o maszynę.

— Jak się spisuje silnik? - zapytał China po portugalsku.

— Zaczyna szarpać i przerywać. Trzeba będzie nad nim popracować.

— Paliwo?

— Główne baki pełne w jednej czwartej. Mamy jeszcze za pasowe.

— Jutro rano tragarze dostarczą paliwo do naszej najbliższej bazy. Technicy mogą popracować nad silnikiem dziś w nocy, ale

516

do zmiernych muszę trzymać maszynę w pogotowiu. Będę potrzebował jej, kiedy znajdą uciekinierów. Pilot wzruszył ramionami.

— Mogę nią latać, jeśli decyduje się pan zaryzykować z tym silnikiem.

— Niech pan słucha radia - rozkazał China. - Przy odrobinie szczęścia będzie po wszystkim za kilka godzin.

Sean widział, że Claudia nie wytrzyma długo narzuconego przez mężczyznę tempa. Biegła przed nim i mógł dokładnie przyjrzeć się zmianom, jakie zaszły w niej na skutek niedostatku jedzenia i ogromnego wysiłku fizycznego. Była teraz tak szczupła, że koszula zrobiła się za luźna. Cierniste krzaki i ostra trawa poszarpały jej spodnie i nogawki zwisały w strzępach od połowy uda; chude nogi zdawały się nienaturalnie wydłużone, ale zachowały swój ładny kształt. Ciernie i trawa zostawiły też swoje ślady na odsłoniętej skórze ramion i nóg. Claudia wyglądała, jakby podrapał ją dziki kot. Niektóre zadrapania zdążyły się już zagoić, ale z kilku sączyła się krew.

Długie włosy zlepily się od brudu i potu w potargany węzeł, który obijał się przy każdym kroku między łopatkami, a jej plecy były tak chude, że Sean widział wyraźnie każdy wyrostek kręgosłupa. Pot przesiąknął przez koszulę, tworząc ciemną plamę. Sean przyglądał się pośladkom Claudii, które wyrobiły się wskutek dużego wysiłku i przypominały dwie kauczukowe piłki rysujące się wyraźnie pod wypłowiałymi od słońca bawełnianymi spodniami; przez małe trójkątne rozdarcie mrugała na niego przy każdym kroku biała skóra. Nogami Claudii zaczynały z wolna odmawiać posłuszeństwa, każdy krok był coraz mniej pewny, a osłabione kostki wyginały się na boki.

Będą musieli niedługo odpocząć. Claudia ani razu nie poskarżyła się na zmęczenie i Sean z uśmiechem przypomniał sobie arogancką dziewczynę, która wysiadła z boeinga na lotnisku w Harare wieki temu, jak mu się w tej chwili zdawało. Teraz była to zupełnie inna kobieta, twarda, zdeterminowana i tak

odporna jak stal damasceńska. Był pewny, że nie okaże słabości, że będzie biegła, aż padnie na ziemię. Poklepał ją lekko po plecach.

- Możesz odpocząć. Dziesięć minut.

517

Kiedy się zatrzymała, zataczała się lekko na chwiejnych nogach i Sean musiał ją podtrzymać ramieniem.

— Jesteś cudowna, wiesz o tym? - Pomógł jej usiąść na ziemi, opierając plecami o cienki pień drzewa. Otworzył manierkę i wręczył Claudii.

— Podaj mi Minnie. Musi wziąć chlorochininę. - Głos dziewczyny był ochryply z wyczerpania. Sean zdjął dziecko z pleców i posadził jej na kolanach.

— Pamiętaj, dziesięć minut, nie więcej.

Alphonso wykorzystał przerwę, żeby podłączyć radio. Po jednej jego stronie przykucnął Mickey, a po drugiej Miriam. Patrzyli zafascynowani, jak dostraja radio i przeszukuje fale. W głośnikach słychać było trzaski i szumy przerywane słabymi strzępami rozmowy w afrikaans. Nagle rozległ się wyraźnie i głośno męski głos. Mężczyzna mówił w szangane.

- Bardzo blisko - powiedział.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

- Przyspieszcie. Nie pozwólcie im uciec. Powiadomcie mnie, jak tylko ich złapiecie. - Ten głos był tak znajomy, że nie potrzebowali odpowiedzi drugiego rozmówcy, żeby go rozpoznać.

- Tak jest, generale China.

Transmisja się zakończyła. Sean i Alphonso wymienili niespokojne spojrzenia.

— Są zbyt blisko - rzekł sierżant. - Nie zdołamy im uciec.

— Ty możesz się wydostać - odparł Sean. - Sam.

Alphonso się zawahał i spojrzał z ukosa na Miriam. Dziewczyna odwzajemniła spojrzenie pełnym ufności wzrokiem. Alphonso zakaszłał i podrapał się po głowie.

- Zostanę - mruknął.

Sean roześmiał się złośliwie i powiedział po angielsku:

- No to witamy w naszych szeregach, brachu. Ta mała nie potrzebowała wiele czasu, żeby złapać cię na haczyk. Te przeklęte baby przyniosą nam jeszcze zgubę, zapamiętaj moje słowa.

Alphonso zmarszczył brwi, nie rozumiejąc ani słowa z tej całej przemowy i Sean przeszedł na szangane.

- Spakuj radio. Jeśli chcesz walczyć, to lepiej znajdziemy nadające się do tego miejsce. Te cholerne gównojady będą tu niedługo.

518

Sean spojrzął na Matatu, który natychmiast poderwał się na nogi.

— To China mówił przez radio - wyjaśnił w suahili.

— Syczy jak kobra. - Matatu skinął głową.

— Jego ludzie są na naszym tropie, chwalili się, że zbliżają się do nas. Czy nie przychodzi ci do głowy jakaś sztuczka, żeby im się wywinąć?

- Ogień? - zasugerował Matatu bez przekonania.

Sean pokręcił głową.

- Wiatr wieje w naszą stronę, upieklibyśmy się, gdybyśmy podpalili las.

Matatu zwiesił głowę.

— Jeśli zatrzymamy kobiety i dzieci, to nie ma żadnych sztuczek - zawyrokował. - Poruszamy się wolno i zostawiamy za sobą ślady, którymi nawet ślepiec może podążać w bezksiężycową noc. - Potrząsnął smutno posiwiałą głową. -

Jedyne, co możemy zrobić, to walczyć z nimi i umrzeć, Bwana.

— Wróć po naszych śladach, Matatu, i zobacz, jak blisko są

partyzanci. Będziemy szli dalej, aż znajdziemy jakieś dobre

miejscisko do imłki. Dulknął laiiiiiii nialegu mężczyzny i po-

zwolił mu odejść. Przez chwilę patrzył za nim, aż ten zniknął pomiędzy drzewami. Zanim się odwrócił do Claudii, przybrał pogodniejszą minę i postarał się dodać swojemu głosowi optymizmu. - Jak się ma nasza pacjentka? - zapytał. - Wygląda całkiem nieźle.

- Chlorochinina działa cuda. - Claudia kotysała dziecko

na kolanach, jakby chciała przykładem poprzeć swoje słowa.

Minnie wsadziła palec do ust i spojrzała nieśmiało na Seana.

Poczuł, jak ten ostrożny uśmiech dziecka szarpie go niespodziewanie za serce.

Claudia się roześmiała.

— Żadna kobieta nie oprze się twojemu urokowi. Masz kolejną wielbicielek.

— Typowa kobietka. Tak naprawdę myśli tylko o tym, żeby jechać dalej za darmo. - Pogłaskał czule kędzierzawą główkę dziewczynki. - W porządku, mała, twój konik gotowy do drogi.

Minnie wyciągnęła ku niemu z zaufaniem rączki. Sean wsadził ją sobie na plecy i obwiązał kocem.

519

Claudia wstała sztywno i na chwilę oparła się o niego.

— Wiesz co? Wcale nie jesteś taki szorstki, za jakiego chciał byś uchodzić.

— Dałaś się nabrać, co?

— Chciałabym cię zobaczyć z twoim własnym dzieckiem na rękach - szepnęła mu do ucha.

— Teraz to mi naprawdę napędziłaś strachu. Lepiej ruszajmy w drogę, zanim wpadniesz na jakiś kolejny szalony pomysł.

Jednakże myśl o dziecku nie odstępowała go, gdy biegli przez las: gdyby tak miał syna z Claudią.

Nigdy wcześniej o tym nie myślał i nagle, jakby uzupełniając tę refleksję, mała rączka sięgnęła mu nad ramieniem i dotknęła jego brody delikatnie niczym przelatujący motyl. Minnie odwzajemniła gest, który on sam uczynił kilka minut wcześniej, i przez chwilę gardło Seana ścisnęło się tak mocno, że nie mógł oddychać. Ujął w swoją dłoń jej rączkę, która była delikatna i krucha niczym skrzydło ptaszka. Naszły go smutne myśli. Żał, że nigdy nie będzie miał syna ani córki. W zasadzie już teraz było po wszystkim. Nie uciekną prześladowcom. Nie mieli gdzie uciekać, mogli tylko liczyć, że znajdą jakieś dobre miejsce do ostatniej walki.

Później nie będzie już ani ucieczki, ani przyszłości, ani żadnego dziecka.

Sean był tak pogrążony w niewesołych myślach, że zanim się zorientował, wybiegł na otwarty teren. Claudia zatrzymała się tak gwałtownie, że omal na nią nie wpadł. Stanął obok i oboje przyglądali się rozciągającemu się przed nimi terenowi z niepewnym zdziwieniem.

Las zniknął. Jak wzrokiem sięgnąć, Sean widział ziemię ogołoconą z wielkich drzew, jakby zostały porwane przez jakiś niesamowity huragan. Zostały jedynie niskie pniaki, z których wyciekała żywica czerwona niczym krew. Ziemia była poorana tam, gdzie upadły potężne pnie. Zwały białych trocin znaczyły miejsce, gdzie odcinano gałęzie i cięto pnie. Pomiedzy pryzmami konarów i suchych gałęzi widać było głębokie koleiny, którymi ciągnięto cenne kłody.

Miriam zatrzymała się obok Seana.

- Właśnie tu zmuszono moją rodzinę do pracy - powie-

520

działa cicho. - Żołnierze przyszli i zabrali ich do ścinania drzew. Skuli wszystkich łańcuchami i zmusili do pracy, aż na rękach ciało im odchodziło od kości. Bili ich jak woły i kazali pracować, dopóki nie padli na ziemię i nie mogli się podnieść.

— Ilu ludzi tu pracuje? - zapytał Sean. - Tyle drzew

zniszczyli.

— Każde drzewo to życie jednego mężczyzny lub kobie

ty - szepnęła Miriam. - Zabrali wszystkich, tysiące tysięcy

ludzi. - Wskazała na horyzont. - Pracują teraz dalej na południu

i nie zostawią tu ani jednego drzewa.

Sean czuł, jak jego zdumienie przechodzi w żarliwy gniew. Było to zniszczenie na skalę, która obrażała prawa natury i podważała sens ludzkiego życia. Nie chodziło tylko o to, że jedno drzewo rośnie przez trzysta lat, zanim osiągnęło pełną dojrzałość, a ścięto je siekierami w ciągu kilku godzin. Chodziło o coś znacznie ważniejszego. Te lasy były domem i źródłem niezliczonych form życia: owadów, ptaków, ssaków, gadów i samego człowieka. W tym spustoszeniu wszystko było skazane na zagładę.

Ta zbrodnia nie kończyła się jednak tutaj. Czując, że jego los jest przesądzony, że zostało mu jeszcze tylko kilka godzin życia, Seana naszedł melancholijny i proroczy nastrój. Uświadomił sobie, że zniszczenie lasu jest tylko symbolem losu, jaki czeka cały kontynent. Za kilka dziesięcioleci Afryka zostanie rozdarta i zniszczona przez ludzkie zwyrodnienie. Ograniczenia, jakie przez wieki nakładał kolonializm, zostały odrzucone. Ograniczenia te pewnie były więzami dla ludzi, ale po ich zerwaniu tubylcza ludność Afryki rzuciła się na ślepo do samobójczego niszczenia wszystkiego i wszystkich.

Sean poczuł, jak trzęsie się z bezsilnej złości na bezmierną głupotę i jednocześnie robi mu się mdło na myśl o rozgrywającej się na jego oczach tragedii.

Jeśli muszę umrzeć, pomyślał, to niech lepiej to się stanie, zanim zobaczę jak wszystko, co kochałem, ziemia, zwierzęta, ludzie, zostaje doszczętnie zniszczone.

Z ręką na chudym ramieniu Claudii i małą czarną dziewczynką przywiązaną do pleców odwrócił się w stronę, z której przyszli. W tej samej chwili z lasu wybiegł Matatu.

521

Biegł ku nim naglony niepokojem, który niczym strach przed śmiercią rysował się na jego pomarszczonej twarzy.

— Bwana, są bardzo blisko. Prowadzi ich dwóch tropicieli.

Przyglądałem się ich pracy, nie uda nam się ich zgubić. Są dobrzy.

— Ilu jest z nimi żołnierzy? - Sean z trudem odpędził od siebie nastrój rezygnacji.

— Ile trawy na równinie Serengeti - odpowiedział Matatu. -

Biegną niczym zgraja dzikich psów na polowaniu i są twardzi i groźni. Nie damy sobie z nimi rady.

Sean rozejrzał się wokoło. Rozciągający się przed nimi teren tworzył naturalne pole ostrzału pozbawione schronień poza sięgającymi kolan pniakami. Otwarty obszar ciągnął się przez jakieś dwieście metrów do miejsca, gdzie zwalono na stertę konary

0 wyschniętych brązowych liściach i przeplatających się gęsto gałęziach tworzących naturalną barykadę.

- Tam się okopimy - zdecydował Sean i wskazał Al-phonsowi miejsce.

Przebiegli szybko przez otwarty teren. Miriam ciągnęła za rękę swojego młodszego braciszka. Alphonso biegł kilka kroków za nimi, osłaniając ich własnym ciałem. Wielki Szangane był obciążony radiem, plecakami z amunicją i zapasami, które zabrali wartownikom nad rzeką, ale kiedy tylko Mickey się męczył szybkim biegiem, brał go na ręce. Przyciągana więzami plemiennymi i fizycznym podobieństwem trójka Szangane, mężczyzna, kobieta i dziecko, w krótkim czasie utworzyła własną, odrębną grupę. Sean wiedział, że może polegać na Alphonsie, że zajmie się swoimi podopiecznymi i skoncentrował się na Claudii, Matatu

1 Minnie.

Alphonso nie potrzebował żadnych wskazówek. Podobnie jak Sean miał wyćwiczone oko do wyszukiwania dogodnego do obrony terenu i bezbłędnie skierował się w stronę zwalonych gałęzi, które tworzyły wysoką redutę i z których miał najlepsze pole ostrzału.

Mężczyźni szybko zabrali się do pracy, wzmacniając swoje stanowiska dodatkowymi gałęziami, układając broń i zapasową amunicję, czyniąc wszystko, co możliwe, aby przygotować się do odparcia pierwszego uderzenia.

Claudia i Miriam znalazły zagłębienie w ziemi i dwa wyjątko-

522

kowo duże pniaki, które mogły im i dzieciom dać pewną osłonę przed kulami. Jak tylko Sean przygotował swoje stanowisko, podbiegł do Claudii.

— Kiedy rozpocznie się strzelanina, masz wziąć Miriam

i dzieciaki i uciekać - powiedział. - Kierujcie się na południe.

- Przerwał, kiedy zobaczył, że Claudia kręci głową, a jej szczęki są mocno zaciśnięte.

— Dostyc już się nabiegałam - oświadczyła. - Zostaję

z tobą. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Nie kłóć się. Szkoda na to czasu.

— Claudio!

- Proszę, nie - uprzedziła go. - Nie mamy wiele czasu.

Miała oczywiście rację. Pomysł, żeby uciekała dalej sama

z dwójkiem dzieci pod jej opieką i pięćdziesięcioma Renamo deptającymi jej po piętach, stracił sens. Sean skinął głową.

— W porządku - nie sprzeciwiał się dłużej, tylko wyjął zza

pasa tokariewa, załadował go i zabezpieczył. - Weź to.

— Po co? - Patrzyła na broń z odrazą.

— Chyba wiesz po co.

— Mam zrobić to samo co Job?

Skinął głową.

— Tak będzie lepiej, niż dostać się w ręce Chiny.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie mogę - szepnęła. - Jeśli nie będzie innego wyjścia, zrobisz to dla mnie?

— Spróbuję - odpowiedział. - Nie sądzę jednak, żebym miał dosyć siły. Weź, tak na wszelki wypadek.

Niechętnie przyjęła pistolet i wetknęła go za pas.

— Pocałuj mnie - poprosiła.

Gwizd Matatu przerwał ich czułości.

— Kocham cię - szepnął jej do ucha Sean.

— Ja też cię kocham... - odparła - na zawsze.

Zostawił ją i pobiegł schylony do sterty drewna. Przykucnął

obok Matatu i przez szparę pomiędzy gałęziami obserwował linię lasu.

Przez kilka minut nic nie zauważył, ale nagle jakiś cień prześliznął się wśród potężnych pni drzew. Sean podniósł z ziemi AKM i przycisnął kolbę do policzka.

523

W ociężałym od upału popołudniu każda chwila wydłużała się w nieskończoność. Wszędzie panowała idealna cisza. Nie słychać było śpiewu ptaków, nie widać było ruchu żadnego stworzenia, aż wreszcie na skraju lasu rozległ się stłumiony krzyk ptaka i postać ludzka oderwała się od drzew, przebiegła schylona przez otwarty teren i szybko zanurkowała za grubym pniakiem. Gdy tylko partyzant przypadł do ziemi, następna postać wybiegła spomiędzy drzew sto metrów dalej po lewej i pędem puściła się w stronę innego pniaka. Chwilę potem po prawej pokazał się trzeci mężczyzna.

- Tylko trzech - mruknął Sean. Partyzanci Renamo nie zamierzali bardziej się odstępować, ale ci trzej byli dobrzy. Posuwali się do przodu krótkimi skokami, nigdy po dwóch naraz, szeroko rozstawieni i ostrożni jak stary leopold skradający się do przynęty.

Co za szkoda, pomyślał Sean. Dostaniemy tylko jednego. Miałem nadzieję, że będzie ich więcej. Skoncentrował się na zbliżających się zwiadowcach, starając się wybrać najgroźniejszego z nich.

Chyba ten w środku, zdecydował i jakby dla potwierdzenia jego opinii zobaczył rękę mężczyzny kiwającą na pozostałych dwóch partyzantów, dającą im znak, żeby ruszyli do przodu. Mężczyzna koordynował ich działanie i Sean wiedział już, że jest ich dowódcą.

Niech się zbliży, powiedział sobie w myślach. AKM nie był bronią snajperską, nie ufał jego celności na odległość stu metrów. Czekał więc niecierpliwie, przyglądając się partyzantowi przez celownik karabinka.

Partyzant wyskoczył zza pnia i biegł schylony do przodu. Był to młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna z pasami z amunicją przewieszonymi przez piersi i włosami uczesanymi w rastafariańskim stylu, w które wplótł kamuflujące wstążki. Miał twarz

0 rysach bardziej arabskich niż murzyńskich, oliwkową cerę

1 był całkiem przystojny poza tym, że jedno oko lekko zezowało,

co nadawało twarzy cwany wyraz.

Znalazł się dostatecznie blisko, żeby móc zobaczyć jego oczy, i Sean uznał, że to wystarczy. Naprowadził karabinek na pniak, za którym schował się partyzant, wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze do połowy i lekko nacisnął cyngiel.

524

Mężczyzna wyskoczył zza pnia i pojawił się w celowniku. Sean trafił go nisko, specjalnie powstrzymując się od śmiertelnego strzału. Wiedział dobrze, jak wielkie spustoszenie potrafi uczynić pocisk 7,62 mm wbijający się w brzuch z prędkością tysiąca metrów na sekundę, i pamiętał z własnego doświadczenia, jak szybko potrafi doprowadzić do szału żołnierz leżący na otwartym terenie, z rozwalonymi wnętrznościami, wołający o wodę i pomoc. Zwiadowcy nazywali takich rannych "ćwierkającymi". Dobry ćwierkający potrafił sprowokować atak równie pewnie jak odpowiednio ustawiony ciężki karabin maszynowy.

Sean usłyszał, jak kula trafia mężczyznę w brzuch z głuchym odgłosem, przypominającym stukot melona upuszczonego na podłogę, i partyzant poleciał na ziemię pomiędzy gałęzie.

Natychmiast na skraju lasu rozpętał się huraganowy ogień, ale po lecących wysoko pociskach Sean poznał, że partyzanci nie wypatrzyli go. Ostrzał szybko umilkł. Partyzanci oszczędzali amunicję, co było najlepszym świadectwem ich dyscypliny i wyszkolenia. Drugorzędne oddziały afrykańskie zaczynały strzelać na początku starcia i pruć z karabinów maszynowych, dopóki nie zabrakło im amunicji.

Ci chłopcy znajdują się na robocie. Sean potwierdził ocenę Matatu. Nie zatrzymamy ich długo. Dwaj partyzanci leżeli w dalszym ciągu ukryci, a ze środka pola dochodziły pierwsze jęki bólu rannego w brzuch mężczyzny.

Zaśpiewaj nam, zachęcał go w myślach Sean. Niech twoi kumple dowiedzą się, jak to boli. Cały czas jednak przyglądał się brzegowi lasu, starając się przewidzieć, jaki ruch zrobią napastnicy.

Spróbują nas teraz okrążyć i wziąć w dwa ognie, domyślił się. Z której jednak flanki ruszą, prawej czy lewej? Odpowiedź przyszła po kilku sekundach, gdy dojrzał niewyraźny ruch w lesie. Ktoś się przesuwał na prawą stronę.

- Alphonso! - zawołał cicho Sean. - Próbuje nas zająć od prawej. Zostań tutaj i trzymaj centrum.

Sean wycofywał się, aż znalazł się pod osłoną wysokich, suchych krzaków. Następnie poderwał się i schylony pobiegł na prawą flankę.

525

Czteryście metrów dalej przypadł do ziemi i na kolanach i łokciach posunął się w stronę następnej osłony. Ukrył się za wysokim pnakiem i opanowując przyspieszony oddech, przyglądał się ścianie lasu. Nastawił karabinek na ogień ciągły i położył palec na bezpieczniku.

Okazało się, że doskonale przewidział następny ruch, gdyż partyzanci wybiegli z lasu zaledwie sto metrów od niego. Była to grupa ośmiu żołnierzy posuwających się w zwartym szyku, próbujących jednym skokiem dobiec do kłody drewna. Sean pozwolił im przebiec prawie połowę dystansu.

- Tak jest lepiej. Powiniennem dostać paru drani z tego

towarzystwa - powiedział sobie. Miał ich pod ogniem flak

owym i jego seria pójdzie od czoła, trafiając po kolei biegnących

z tyłu. Wybrał dowódcę sekcji, który biegł kilka kroków z przodu.

Naprowadził lufę tak, żeby partyzant wpadł w strumień pocisków.

Celował na wysokości kolan, gdyż AKM podrywał ostro przy

ogniu ciągłym. Pociągnął za spust.

Prowadzący oddział partyzant przewrócił się, jakby się potknął o drut, a dwóch biegnących za nim mężczyzn wpadło w tę samą linię ognia. Sean widział wyraźnie, jak trafiają ich kule. Jeden dostał w ramię i z munduru wzbil się obłoczek kurzu jak przy trzepaniu.

Drugi oberwał w głowę, prosto w skroń. Kiedy poleciał na ziemię, czapka uleciała w powietrze jak ranny gołąb.

- Trzech. - Sean zmienił magazynek zadowolony z rezul

tatu. Zanim puścił serię, był pewien, że trafi jednego i miał

nadzieję na dwóch.

Atak się załamał. Reszta oddziału rzuciła się do ucieczki w stronę lasu. Sean posłał za nimi krótką serię, zanim dopadli linii drzew. Mimo że jeden z biegnących pochylił ramię i poderwał się jak do lotu, biegł jednak dalej i szybko zniknął w lesie.

W tej samej chwili rozległy się strzały w centrum. Sean podniósł się z miejsca i pobiegł co sił w nogach do Alphonsa.

Kiedy biegł mocno schylony, ktoś otworzył do niego ogień zza drzew. Poczuł, jak kule śmigają mu nad głową z charakterystycznym poświstem. Adrenalina napłynęła mu do żył. Schylił jeszcze bardziej głowę, ale nie przerwał biegu. Fala podekscytowania załapała rodzący się w nim strach.

526

W środku pola bitwy toczyła się zacięta strzelanina. Partyzanci Renamo próbowali zdobyć otwarty teren i niemal im się to udało. Sean rzucił się na ziemię obok Alphonsa i wsparł go ogniem z karabinka. Atak osłabł i szybko się załamał zaledwie metry od stert drewnianych, za którymi leżeli. Partyzanci uciekali, kryjąc się za pieńkami, a kule z karabinków Kałasznikowa wyrzucały chmury pyłu między nimi.

- Dwóch! - Alphonso krzyknął do Seana. - Trafiłem

dwóch.

Matatu pociągnął Seana za rękaw i wskazał coś na lewej flance. Sean dostrzegł jedynie zarys drugiej grupy Renamo przebiegającej przez otwarty teren i chowającej się za stertami drewnianych. Ataki na prawej flance i w centrum miały jedynie odwrócić ich uwagę. Ponieważ kilkunastu partyzantów dostało się na ich tyły, zatem w ciągu kilku minut będą otoczeni.

— Alphonso, odcięli tyły! - zawołał Sean.

— I tak nie mogliśmy ich powstrzymać! - odkrzyknął Szan-gane. - Jest ich zbyt wielu, a nas zbyt mało.

— Cofnę się, żeby nas osłaniać. Będę z kobietami.

— Nie zaatakują już - powiedział pewnym tonem Alphonso. - Teraz, kiedy nas otoczyli, zaczekają na henshaw.

Seria z karabinu maszynowego trafiła w stertę gałęzi i obaj mężczyźni instynktownie schylili głowy.

— Strzelają, żeby nas utrzymać na miejscu! - zawołał Alphonso. - Nie muszą już poświęcać więcej ludzi.

— Ile mamy czasu do przylotu śmigłowca? - Sean chciał,

żeby Alphonso potwierdził jego ocenę.

— Nie więcej niż godzinę - odparł nieodwołałnie. - Później szybko będzie po wszystkim.

Miał rację. Nie mogli się bronić, mając przeciwko sobie hinda.

- Zostawiam cię tu - rzekł Sean i poczołgał się do zagłębienia, w którym ukryły się kobiety z dziećmi.

Na kolanach Claudii siedziała Minnie. Claudia spojrzała pytającym wzrokiem na Seana, gdy wśliznął się do kryjówki.

- Przedostali się na nasze tyły - wyjaśnił jej krótko. -

Jesteśmy otoczeni. - Wyrzucił puste magazynki na ziemię przed

Claudią. - W plecaku Alphonsa są pudełka z luźną amunicją.

Wiesz, jak napełnić magazynki.

527

To powinno ją zająć. Następna godzina będzie najtrudniejsza. Sean podkrał się do tylnej krawędzi zagłębienia i ostrożnie wystawił głowę.

Dojrzał jakiś ruch wśród wyschniętych liści pięćdziesiąt kroków dalej i posłał w tamtą stronę serię z karabinka. Natychmiast odpowiedziano ogniem z trzech, czterech pozycji. Kule świsnęły im nisko nad głowami i siedząca za Seanem Minnie zaczęła głośno płakać ze strachu. Minuty wlokły się wolno, przerywane co jakiś czas krótkimi seriami z broni partyzantów Renamo.

Claudia podczołgała się do Seana i położyła napełnione magazynki obok jego łokcia.

— Ile zostało pudełek? - zapytał Sean.

— Dziesięć - odparła, przytulając się mocniej do niego.

W zasadzie nie miało już znaczenia, że w plecaku Alphonsa

zostało tylko dwieście sztuk amunicji. Sean spojrzał na niebo, oczekując, że w każdej chwili usłyszy warkot silników hinda.

Claudia musiała czytać mu w myślach, bo chwyciła jego dłoń. Leżąc w upalnym słońcu, trzymali się za ręce i czekali. Nie było nic do powiedzenia, nic do zrobienia. Żadnej szansy, choćby najmniejszej. Pozostało im jedynie czekać na nieuniknione.

Matatu dotknął nogi Seana. Nie musiał nic mówić. Sean podniósł głowę, natężając słuch, i wychwycił znajomy odgłos. Był wyższy i bardziej równomierny niż południowy wiatr, który szeleścił w wierzchołkach drzew.

Claudia ścisnęła mocniej dłoń Seana, wbijając paznokcie w skórę. Ona także usłyszała ten dźwięk.

- Pocałuj mnie - szepnęła. - Ostatni raz.

Sean odłożył karabinek i przetoczył się na bok, żeby wziąć ją w ramiona. Przytulili się do siebie z całej siły.

- Jeśli muszę umrzeć - szepnęła Claudia - to cieszę się,
że to będzie w ten sposób. - Sean poczuł, jak wciska mu pistolet
do ręki. - Żegnaj, kochanie - powiedziała.

Wiedział, że musi to zrobić, ale nie miał pojęcia, czy starczy mu do tego siły.

Świst silników hinda narastał, przechodząc w przenikliwy jęk.

Odbezpieczył tokariewa i podniósł go do góry. Oczy Claudii były mocno zaciśnięte, lekko odwróciła głowę. Na ucho spadał jej wąski kosmyk włosów i Sean widział wyraźnie tętnicę pul-

528

sującą pod kremową skórą na skroni. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką musiał zrobić, lecz przyłożył lufę pistoletu do głowy Claudii.

W pobliżu ich kryjówki rozerwał się z hukiem pocisk i Sean instynktownie pociągnął Claudię w dół. Przez chwilę myślał, że to hind rozpoczął ogień, ale było to niemożliwe, śmigłowiec był jeszcze zbyt daleko.

Kolejne eksplozje następowały szybko jedna po drugiej. Sean puścił Claudię. Przetoczył się do krawędzi kryjówki i zobaczył zmasowany ogień zaporowy, który rozbijał pozycje Renamo. Ogień moździerzowy. Rozpoznał charakterystyczne wybuchy pocisków moździerzowych kalibru 7,62 mm i dostrzegł przemykające pomiędzy drzewami obłoczki dymu pocisków z granatników. Łoskot wybuchów i strzały z karabinów zagłuszyły warkot śmigieł zbliżającego się hinda. Nagle cała sytuacja uległa zmianie.

Znajdowali się w samym środku bitwy. Sean widział postacie biegnące między stertami drewien i pniakami, i strzelające z karabinków.

- Frelimo! - Matatu szarpał Seana za rękaw, krzycząc z podekscytowania. - Frelimo!

Dopiero teraz Sean zrozumiał, co się stało. Strzelanina z partyzantami Renamo ściągnęła oddział Frelimo, który znajdował się w pobliżu, najpewniej szykując się do większej ofensywy wzdłuż Rio Save.

Teraz pięćdziesięciu partyzantów Renamo zostało zaatakowanych przez przeważające siły Frelimo. Sądząc po prowadzonym ogniu, w lesie mógł walczyć cały batalion, kilkuset wyszkolonych żołnierzy.

Zobaczył, jak mała garstka partyzantów, która odcięła im tyły, porzuca swoje pozycje i ucieka w popłochu ścigana wybuchami pocisków moździerzowych. Sean porwał AKM i posłał za nimi długą serię. Jeden z biegnących runął na ziemię i potoczył się w krzaki.

Z lewej strony Sean zobaczył biegnących żołnierzy piechoty. Byli ubrani we wschodnioniemieckie mundury; brązowo-zielone plamy odróżniały ich od postaci w pasiastych mundurach Renamo.

Renamo czy Frelimo byli dla nich tak samo niebezpieczni. Sean przyciągnął do siebie Claudię.

529

- Nie ruszaj się. Żołnierze najpewniej nie wiedzą, że tu jesteśmy. Może pogonią za partyzantami, a nas nie zauważą.

Mamy szansę.

Minnie płakała głośno wystraszona przeraźliwym hukiem. Sean zawołał do Miriam:

- Uspokój ją! Niech przestanie płakać.

Dziewczyna przytuliła do siebie siostrzyczkę i zakryła jej ręką usta i nos; płacz ustał jak nożem uciął.

Sean ponownie wychylił się ponad krawędź kryjówki i zobaczył, że linia żołnierzy Frelimo wciąż się rozwija w ich stronę. Biegli schyleni i strzelali z biodra. Za kilka sekund wpadną na nich. Podniósł AKM. Ich szansę stawały się bardzo nikłe, bo teraz mogli zginąć z rąk żołnierzy Frelimo.

Kiedy wycelował AKM w brzuch najbliższego żołnierza, jego cel nagle zniknął za wysoką zastoną kurzu - z nieba nad nimi połała się struga pocisków. Szereg atakujących rozpadł się na oczach Seana pod skoncentrowanym ogniem działka pokładowego hinda. Niesiony wiatrem kurz przesłonił dół w ziemi, skrywając ich na kilka sekund przed wiszącym nisko nad nimi śmigłowcem.

Na polu bitwy zapanował kompletny chaos, wojska obu stron przemieszały się w lesie, pociski moździerzowe rozrywały się pośród drzew, a nad karczowiskiem latał hind, wywołując jeszcze większe zamieszanie salwami z działka pokładowego i pociskami raketowymi.

Sean klepnął Matatu w ramię.

- Przeprowadź Alphonsa - poleciał.

Mały Ndorobo natychmiast zniknął w kurzu. Po kilku minutach wynurzył się z tumanów pyłu razem z wielkim Szangane.

- Alphonso, przygotuj się do skoku - rozkazał Sean. -

Obie strony dają sobie nieźle popalić. Spróbujemy się wyśliznąć,

zanim hind nas zauważy. - Przerwał nagle i wciągnął głęboko powietrze, a potem gwałtownie poderwał się na nogi.

Wszystko wokół nich robiło się brudnoszare, a poprzez hałas bitewny i jęk silników Isotowa Sean dosłyszał słabe trzaski palącego się lasu.

- Ogień! - zawołał. - Wiatr niesie go w naszą stronę!

Eksplodujący pocisk raketowy zapalił stertę suchego drewna

530

i wiatr już nawiewał nad ich kryjówkę kłęby gryzącego w oczy dymu. Wszyscy zaczęli kastać i krztusić się.

- Teraz nie mamy wyboru... albo uciekniemy, albo się upieczemy.

Trzask płonących gałęzi i ryk płomieni zagłuszały już odgłosy walki. Słychać było przeraźliwe wrzaski rannych, których dosięgnął ogień.

- Ruszamy! - Sean zarzucił sobie Minnie na plecy. Dziecko

otoczyło go rączkami za szyję i przywarło do niego z całej siły.

Pomógł Claudii podnieść się. Alphonso posadził już sobie na

ramionach Mickeya, którego nogi zwiślały nad pękatym plecakiem

z radiem. Miriam chwyciła potężnego Szangane za rękę, w której

trzymał karabinek.

Gęste jak krem kłęby toczyły się nisko nad ziemią. Biegli z wiatrem blisko siebie, żeby się nie pogubić. Dym wypełniał im płuca i zasłaniał niebo, odcinając ich od walczących z tyłu wojsk i krążącego wyżej śmigłowca. Ogień szybko postępował za uciekającymi, zmuszając ich do przyspieszenia kroku i jednocześnie z każdą sekundą bardziej się do nich zbliżając.

Sean czuł okropny żar na plecach, a w pewnej chwili Minnie pisnęła, gdy iskra z płonącej gałęzi spadła na jej szyję. Dusząca się od dymu Claudia potknęła się i upadła na kolana, ale Sean, poderwawszy ją na nogi, pociągnął za sobą.

Czuł, że się dusi, każdy oddech palił mu płuca. Nie mogli dalej uciekać. Jęzory ognia lizały im plecy, a latające w powietrzu iskry odbijały się od ich skóry. Dziewczynka na plecach Seana jęknęła z bólu i zaczęła trzepać rączkami. Straciła równowagę i spadłaby na ziemię, gdyby Sean nie złapał jej w ostatniej chwili i nie wsadził sobie pod pachę.

Nagle znowu znaleźli się na otwartym terenie. Otaczały ich jedynie martwe pniaki drzew, które wystawały niczym nagrobki z gęstego szarego dymu. Piaszczysty grunt pod ich stopami był zaorany przez załogi drwali.

- Kłaść się! - Sean pchnął Claudię na ziemię i położył Minnie w jej ramionach. Dziecko wyrywało się z całych sił. - Trzymaj ją! - krzyknął i zerwał z siebie koszulę. - Połóż się płasko, twarzą do ziemi - rozkazał i Claudia posłusznie przetoczyła się na brzuch, trzymając Minnie pod sobą. Sean okrył

531

im głowy koszulą, żeby osłonić je przed dymem i iskrami. Odkręcił zakrętkę z manierki i wylał jej zawartość na koszulę, polewając im włosy i ubranie.

Minnie wciąż płakała i wyrywała się, ale Claudia trzymała ją mocno. Sean przyklęknął obok nich i rękami zaczął nagarniać na nie piach, chowając je pod ziemią, jak w czasie zabawy na plaży. Bliżej ziemi dym był rzadszy i łatwiej było oddychać. Alphonso zobaczył, co robi Sean, i poszedł za jego przykładem, kryjąc w piachu Miriam i jej braciszka.

W chmurach dymu szybowały rozżarzone do białości iskry, które osiadały na nagim torsie Seana. Paliły niczym ukąszenia jadowitych mrówek. Sean czuł, jak włosy na brodzie zaczynają mu się kurczyć od żaru, a w oczach wyschła wszelka wilgoć. Wyspał szybko zawartość plecaka, naciągnął go na głowę, wylał zawartość drugiej manierki na tors i rzucił się na ziemię, przykrywając się piaskiem i leżąc nieruchomo.

Powietrze przy samej ziemi nadawało się do oddychania na tyle, żeby nie stracił przytomności, ale w głowie mu wszystko wirowało i miał zamęt w myślach, gdy nadeszła fala ognia. Czuł, jak płócienny materiał na głowie zaczyna się tlić, a cienka warstwa piachu parzyła go niczym garnek wyjęty z piekarnika. Ryk płomieni osiągnął crescendo, a suche gałęzie trzaskały wokół jak wystrzały karabinów. Ogień pochłaniał drewno, gałęzie i pniaki, ale wzbudzany wiatrem żar pędził go dalej na południe.

Pożar przemknął po nich, ryk osłabł i na chwilę chmury dymu otworzyły się i mogli zaczerpnąć kilka łyków świeżego powietrza. Żar wokół był ciągle tak wielki, że Sean nie odważył się zrzucić z siebie ochronnej warstwy piachu.

Gorąco z wolna opadało i chłodniejsze powiewy stawały się coraz częstsze. Sean usiadł i zdjął plecak z głowy. Skóra paliła go wszędzie jak polana kwasem. Na całym ciele miał czerwone oparzenia, które szybko zamieniały się w bąble.

Podpełznął do sterty ziemi, pod którą leżała Claudia i Minnie, i zsunął piasek z ich głów. Koszula osłoniła im usta i nosy. Kiedy usiadły na ziemi i otrząsnęły z siebie piasek, Sean się przekonał, że w porównaniu z nim i Alphonsem wyszły z tego obronną ręką. Ogień gnał już daleko przed nimi, ale powietrze było tak zadymione, że nie widzieli nieba nad sobą.

Sean pomógł Claudii wstać.

- Musimy oddalić się jak najszybciej, zanim dym opadnie -
wystękał ochryplym głosem. Gardło paliło go, jakby połknął
garść tłuczonego szkła. Po poparzonych, pokrytych sadzą policz-
kach ciekły łzy.

Trzymając się blisko siebie, brnęli niczym zjawy w tumanach wirującego dymu przez wypalony teren. Ziemia była rozpalona niczym wulkaniczna lava i paliła ich w stopy przez podeszwy. Musieli nieść dzieci i unikać stert dopalających się popiołów.

Dwukrotnie usłyszeli hinda, ale mimo że spoglądali w górę zaczerwienionymi, łzawiącymi oczyma, nie dostrzegli nawet skrawka maszyny przez gęstą powłokę niebieskawego dymu. Nie słyszeli też za sobą odgłosów pościgu ani oddziałów Renamo, ani Frelimo. Walczące strony zostały rozproszone i przegnane płomieniami.

- Ten mały drań ma stopy z azbestu - mruknął Sean,
przyglądając się, jak Matatu biegnie przed nimi przez wznoszący
się z ziemi rzadki dym. Niesiona przez Seana Minnie pojękiwała
cichutko z bólu, jaki sprawiały jej poparzenia. Na pierwszym
postoju Sean dał jej pół aspiryny i łyk wody z ostatniej pełnej
manierki.

Tego wieczoru zachód słońca pomalował niebo ognistą czerwienią i ponurą purpurą. W ciemności przytulili się do siebie, zbyt zmęczeni, żeby wystawić posterunki, a ich sen był przerywany wybuchami rozrywającego płuca kaszlu.

O świcie wiatr zmienił kierunek na południowy, jednakże dym wciąż wisiał nad ziemią niczym gęsta rzeczna mgła, ograniczając widoczność do zaledwie kilkuset metrów.

Sean i Claudia najpierw zajęli się dziećmi, smarując ich poparzenia żółtą maścią jodową. Mickey znosił szczypanie ze stoicyzmem prawdziwego wojownika plemienia Szangane, ale Minnie zaczęła płakać i Sean musiał wziąć ją na kolana i dmuchać na zaognione miejsca.

Kiedy dzieci były już opatrzone, kobiety zajęły się mężczyznami. Poparzenia na piersiach i plecach Seana były powierzchowne, ale Claudia posmarowała je z czułością wyrażającą wdzięczność i miłość.

Żadne z nich nie wspominało o chwili, w której Sean przyłożył pistolet do jej skroni. Prawdopodobnie nigdy już nie wspomną tego momentu, ale oboje będą go pamiętać do końca życia. Zawsze będzie to między nimi: dla Seana najbardziej przerażająca chwila w życiu, gorsza nawet niż śmierć Joba; dla Claudii dowód jego przywiązania do niej. Wiedziała, że Sean znalazłby odwagę, żeby to zrobić, i wiedziała także, że kosztowałoby go to więcej niż poświęcenie własnego życia. Nie mogła żądać większego dowodu miłości.

Dzieci potrzebowały wody, były poważnie odwodnione przez żar i dym. Sean oddał im połowę z tej, jaka im została, a resztę podzielił między kobiety. Mężczyźni zaledwie umoczyli wargi w ostatnich kroplach.

- Matatu - szepnął Sean szorstkim i bolesnym głosem - jeśli przed nocą nie znajdziesz wody, to jesteśmy tak samo martwi, jakby rozerwały nas pociski z działka henshaw.

Szli ciężko przez spalony las i dopiero późnym popołudniem Matatu znalazł płytką sadzawkę otoczoną dymiącymi pniakami wypalonych drzew. W środku sadzawki, pokrytej grubą warstwą popiołu i zwęglonych ciał małych zwierząt, węży, szczurów, a nawet małej cywety, które schowały się tu przed ogniem, znajdowała się kałuża brudnej wody.

Sean przefiltrował ją przez koszulę. Pili ją, jakby to był słodki nektar, pomrukując z radości, gdy płyn spływał po ich wyschniętych i podrażnionych dymem przełykach. Kiedy napili się tak, że brzuchy zdawały im się pękać, polewali sobie wzajemnie głowy, pozwalając wodzie przesiąkać przez ubranie i śmiejąc się słabo z tej przyjemności.

Dwa kilometry od sadzawki rozciągało się miejsce, w którym wiatr zmienił kierunek, zatrzymał ogień i pchnął płomień w inną stronę. Zostawili za sobą zdewastowaną ziemię pokrytą czarnym popiołem i dymiącymi pniakami i rozbili obóz pośród suchych gałęzi, gdzie załogi drwali dokonały niemal równie wielkiego spustoszenia jak pożar.

Po raz pierwszy od czasu pożaru Alphonso włączył radio i wszyscy zebrali się wokół niego, żeby posłuchać pogrózek Chiny. Przeszedł ich lekki dreszcz, gdy z głośników popłynął znany głos. China mówił w języku szangane, a w tle słychać

534

było warkot silników. Transmisja była krótka i enigmatyczna, odpowiedzi podwładnych zwięzłe i poważne.

- Jak myślisz, co China zamierza? - Sean zwrócił się do

Alphonsa.

Szangane wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że przesuwa wojska na nową pozycję. -

W głosie Alphonsa nie słychać było przekonania.

— Myślisz, że zrezygnował? Może zgubił nasz ślad w pożarze, ale nie sądzę, żeby dał sobie spokój.

— Nie - zgodził się Alphonso. - Znam go dobrze. Nie zrezygnował. Będzie nas ścigał do samego końca. Generał China potrafi nienawidzić. Nie wypuści nas.

— Jesteśmy na terytorium zajęтым przez oddziały Frelimo.

Myślisz, że i tutaj podąży za nami?

Alphonso znowu wzruszył ramionami.

- Ma henshaw, nie musi się martwić o Frelimo. Myślę, że podąży za nami, gdziekolwiek się udamy.

Generał China nawiązał ostatecznie połączenie i z jego słów wynikało, że organizuje uzupełnienie paliwa w śmigłowcu. Mówił teraz po portugalsku i obsługa naziemna odpowiedziała w tym samym języku. Alphonso przetłumaczył rozmowę.

— Przybyli tragarze. Mamy teraz dwa tysiące litrów paliwa.

China:

— A co z zapasową pompą?

— Jest tutaj, generale - odparł technik. - Mogę ją wymienić tej nocy.

— Musimy znaleźć się w powietrzu jutro o świcie.

— Maszyna będzie gotowa do tego czasu. Gwarantuję to panu, generale.

— Dobrze, ląduję za kilka minut. Chcę, żeby się pan natychmiast zabrał do pracy - rzekł China i rozłączył się.

Słuchali jeszcze przez dziesięć minut, aż zrobiło się zupełnie ciemno, ale nie było więcej transmisji i Alphonso sięgnął, żeby wyłączyć radio. Powodowany impulsem Sean powstrzymał jego rękę i zmienił częstotliwość. Niemał natychmiast usłyszeli południowoafrykańską transmisję wojskową. Głos był teraz znacznie silniejszy, byli już blisko Limpopo. Dla Seana dźwięk ojczystego języka był pocieszeniem i jednocześnie obietnicą.

Po kilku minutach westchnął i wyłączył radio. - Alphonso, pierwszy obejmujesz wartę. Ruszaj!

- rozkazał.

Kiedy prawdopodobieństwo lotów patrolowych hinda stawało się coraz mniejsze, Sean postanowił kontynuować marsz za dnia. Z każdym kilometrem na południe znajdowali coraz więcej śladów pracy drwali.

Trzeciego dnia po pożarze Matatu poprowadził ich okrężną drogą. Mijane pniaki były niedawno ścięte i wciąż ściekała z nich żywica. Liście na odciętych gałęziach jeszcze nie wyschły. Były wciąż zielone i świeże. Matatu nakazał im zachować ciszę i kiedy maszerowali pomiędzy stertami gałęzi i zwalami trocin, usłyszeli w oddali przenikliwy jęk pił mechanicznych i ponure pieśni robocze drwali.

Las wokół nich rozbrzmiewał odgłosami ludzkiej pracy, a na miękkiej ziemi widniały ślady tysięcy nagich stóp i koleiny, którymi ciągnięto zwalone pnie. Matatu potrafił jednak tak zręcznie wymijać grupy robotników, że dopiero czwartego dnia natknęli się na ludzi.

Sean i Matatu zostawili resztę grupy ukrytą pod stertą świeżo ściętych gałęzi i sami podkradli się na skraj polanki. Sean przyglądał się przez lornetkę robotnikom. Setki czarnych mężczyzn i kobiet, czasami nawet dzieci, pracowały pod nadzorem żołnierzy Frelimo.

Strażnicy nosili przewieszane przez plecy karabinki AK, ale cały czas posługiwali się długimi batami ze skóry hipopotamów, okrutnymi sjambokami, którymi okładali nagie grzbiety i nogi robotników. Uderzenia batów i krzyki bólu docierały do miejsca, gdzie leżał Sean i Matatu, pięćset metrów dalej.

Brygady układały oczyszczone z gałęzi pnie w stosy o kształcie piramid, połowa ludzi ciągnęła za grube liny, a reszta pchała pień od dołu. Strażnicy popędzali okrzykami robotników, zmuszając ich do większego wysiłku, a ci odpowiadali melancholijnym, chóralnym śpiewem i mocniejszymi pociągnięciami grubych lin.

Kiedy Sean przyglądał się przez lornetkę ich pracy, potężny pień był właśnie wciągany na sam szczyt piramidy. Zanim jednak

536

został na niej ułożony, jedna z lin pękła, pień się zachybotał i zaczął z trzaskiem obsuwać się po stercie, odbijając się od pozostałych kłód. Krzycząc z przerażenia, brygada robotników rzuciła się do ucieczki, ale słabsi nie byli dostatecznie szybcy i pień przetoczył się po nich. Sean słyszał wyraźnie okropne jęki i trzask łamanych kości.

To było za wiele nawet jak na jego wyrobiony żołnierski żołądek. Dotknął ramienia Matatu. Czołgając się ostrożnie, wycofali się do kryjówki, w której pozostawili resztę grupy.

Tego wieczoru prześlizgnęli się w niedalekiej odległości od obozu pracy, olbrzymiego pola pokrytego prymitywnymi chatami, które na odległość śmierdziały dymem z ognisk, otwartymi latrynami i ludzkim nieszczęściem.

— W Afryce najtańszym towarem w obecnych czasach są

Murzyni - oświadczył Sean.

— Gdybym o tym powiedziała ludziom w moim kraju, toby

po prostu nie uwierzyli. To wszystko jest tak sprzeczne z naszymi

doświadczeniami - powiedziała Claudia.

O tej porze dnia obóz zdawał się zupełnie wymarły. Wszyscy zdolni do pracy byli przy ścinie drzew i w otwartych szałasach leżeli jedynie chorzy i umierający. Sean polecił Matatu rozejrzeć się wokół obozu i poszukać czegoś do jedzenia. Tropiciel znalazł kuchnię polową i udało mu się niepostrzeżenie ukraść pół worka kaszy kukurydzianej.

Tej nocy zjedli po kilka garści kaszy i usiedli blisko radia, słuchając głosu Chiny, który porozumiewał się z podwładnymi.

Kiedy generał zakończył transmisję, Sean przełączył odbiornik na południowoafrykańską częstotliwość wojskową i słuchał tej fali przez godzinę, zapoznając się z głosami rozmówców i nazwami różnych jednostek rozlokowanych wzdłuż granicy. W końcu udało mu się zidentyfikować dowództwo, które używało hasła rozpoznawczego "Kudu". Antylopy kudu o długich, kręconych rogach były jednymi z najpiękniejszych zwierząt sawanny.

Czekał cierpliwie na przerwę w rozmowach, wreszcie włączył mikrofon i odezwał się w afrikaans:

- Kudu, tu Mossie. Wiadomość szturmowa. Czy odbierasz

mnie, Kudu? Tu Mossie.

Wiadomość szturmowa oznaczała bezwzględne pierwszeństwo. Była to procedura komunikacyjna jeszcze z czasu wojny rodezyj-

537

skiej. Sean miał nadzieję, że doświadczenie południowoafrykańskiego dowódcy sięgało tamtych czasów. Mossie w języku afri-kaans oznaczało wróbla i było sygnałem wywoławczym Seana z tamtego okresu.

Zapadło długie milczenie wypełnione trzaskami i Sean obawiał się, że jego sygnał zgubił się w eterze. Podniósł mikrofon do ust i w tej samej chwili w radiu rozległ się głos.

— Stacja wzywająca Kudu - powiedział mężczyzna podej

rzliwym tonem. - Podaj jeszcze raz swój sygnał wywoławczy.

— Kudu, tu Mossie. Powtarzam: Mossie. Mikę Oscar Sierra

Sierra India Echo. Proszę o połączenie mnie z generałem De La Reyem, zastępcą ministra prawa i porządku.

Lothar De La Rey był zwierzchnikiem Seana w latach siedemdziesiątych, ale od tego czasu wysoko awansował. Kudu musiał znać to nazwisko i nie odrzuci tak łatwo prośby o kontakt.

Było jasne, że Kudu myślał podobnie, ale potrzebował więcej czasu na podjęcie decyzji. W końcu się odezwał.

- Mossie, nie rozłączaj się. Połączymy się z De La Reyem.

Niemal godzinę później, długo po zapadnięciu zmroku, Kudu odezwał się ponownie.

- Mossie, tu Kudu. De La Rey jest nieosiągalny.

— Kudu, to sprawa życia i śmierci. Będę się z wami łączył na tej częstotliwości co sześć godzin, dopóki nie znajdziecie De La Reya.

— Dood reg, Mossie. Będziemy monitorować tę częstotliwość co sześć godzin. Totsiens.

Zostawili koce, kiedy uciekali przed pożarem, a tej nocy było bardzo zimno. Sean i Claudia leżeli objęci i szeptali.

— Nie rozumiiałam nic z tego, co mówiłeś przez radio. Z kim rozmawiałeś?

— Z południowoafrykańską bazą wojskową, najpewniej na granicy, ku której zmierzamy.

— Czy będą nam mogli pomóc? - spytała z nadzieją.

— Nie wiem. Może, jeśli uda mi się skontaktować z kimś, kogo znam. Nie poprosiłem ich o pomoc, ale spróbują mnie połączyć z tą osobą.

— Kto to taki?

538

— W czasie wojny rodezyjskiej dowodziłem rodezyjskim

oddziałem specjalnym, ale składałem także raporty wywiadowi południowoafrykańskiemu - wyjaśnił.

— Byłeś szpiegiem? - zapytała Claudia.

— Nie - odparł zbyt szybko Sean. - Południowoafrykańscy i Rodezyjczycy byli sojusznikami, walczyli po tej samej stronie. Jestem Południowoafrykańczykiem, więc nie byłem ani szpiegiem, ani zdrajcą.

— Więc podwójnym agentem? - zażartowała.

— Możesz to tak nazwać. De La Rey był moim południowoafrykańskim zwierzchnikiem. Po zakończeniu wojny przysyłałem mu od czasu do czasu raporty; kiedy udało mi się zebrać jakieś informacje o terrorystycznej działalności Afrykańskiego Kongresu Narodowego lub planowanych sankcjach.

— Ma więc wobec ciebie zobowiązania? - spytała.

— I to duże, zresztą jesteśmy spowinowaceni. Jest moim kuzynem ze strony babki. - Sean przerwał, gdy małe ciało wcisnęło się między nich. - Popatrz, jakiego mamy gościa! Czy to nie sama Minnie?

Claudia odsunęła się trochę, żeby zrobić miejsce dziecku, i Minnie wtuliła się w ciepłą kołyskę ich ciał, kładąc głowę na ramieniu Seana, który przytulił ją mocniej do siebie.

- Jest taka sprytna. - Claudia pogłaskała dziewczynkę po głowie. - Uwielbiam ją.

Zapadła długa cisza i Sean pomyślał, że Claudia zasnęła, ale nagle odezwała się cichym, zamysłonym głosem.

- Jeśli uda nam się z tego wydostać, myślisz, że moglibyśmy ją zaadoptować?

Dla Seana w tym prostym pytaniu kryło się wiele pułapek. Zakładało ono wspólną, spokojną egzystencję, z domem, dziećmi, obowiązkami i wszystkimi sprawami, których unikał przez całe życie. Powinno go wystraszyć, ale czuł tylko dziwne ciepło rozchodzące się po całym ciele.

Przenośny zasilacz hinda turkotał głośno, doprowadzając prąd do szeregu zawieszonych na słupach lamp oświetlających stojący pośrodku śmigłowiec.

539

Pokrywy silnika były odsłonięte, a z wlotów powietrza zdjęto osłony. Portugalski inżynier nadzorował każdą czynność wykonywaną przez obsługę radziecką więzioną przez generała. Portugalczyk bardzo szybko poznał się na Chinie i zdawał sobie sprawę, jak niepewna jest jego pozycja. W obozie Renamo już kilka razy miał okazję zobaczyć, w jaki sposób generał rozprawia się z tymi, którzy zawiedli jego oczekiwania lub w czymkolwiek go urazili. Pilotując śmigłowiec, czuł na sobie cały czas jego ciemne, fanatyczne oczy.

Było już po północy, ale China nie udał się jeszcze na spoczynek. Przez cały poprzedni dzień, od świtu do zachodu słońca, latał hindem, wracając do bazy jedynie po uzupełnienie paliwa. Przeciętny człowiek byłby śmiertelnie wyczerpany tak intensywną aktywnością-portugalski pilot poszedł spać do swojego szałasów już kilka godzin wcześniej - ale on zdawał się niestrudzony. Krążył wokół śmigłowca, przyglądając się każdemu ruchowi radzieckich specjalistów, zadając pytania, domagając się pośpiechu, cały czas niespokojny, jakby trawiła go jakaś mroczna pasja.

- Musicie być gotowi do lotu o świcie - powtórzył chyba po raz setny tej nocy i poszedł do namiotu, który przeznaczył na swoją kwaterę główną. Stał przed dużą mapą, studiując rozstawienie swoich wojsk i mrucząc coś pod nosem.

Na mapie zaznaczał wszystkie szczegóły, które zauważył z powietrza: rozlokowanie obozów robotników leśnych i drogi, które wycięli w lesie. Szybko się zorientował, jak olbrzymi teren został ogołcony z drzew i jak wielka liczba ludzi była zatrudniona w brygadach robotniczych. Widział także bezsens tropienia małej grupki pośród tysięcy robotników. Wszystkie ślady zostawione przez białego mężczyznę i towarzyszących mu ludzi musiały zostać zatarte przez drwali. China nie odważył się posłać swoich tropicieli do lasu. I tak już stracił prawie czterdziestu partyzantów w czasie ataku żołnierzy Frelimo i pożaru.

- Nie, muszę być cierpliwy - nakazał sobie.

Przesunął ręką po mapie.

Wycinka lasu nadzorowana przez oddziały rządowe nie dotarła jeszcze do wzgórz strzegących od południa dostępu do Limpopo; pomiędzy tymi wzgórzami a rzeką las przerzedzał się i prze-

540

chodził w sawannę porośniętą rzadkimi kępami drzew. Otwarty pas był szeroki na jakieś pięćdziesiąt kilometrów i świetnie nadawał się do tropienia uciekinierów. Grupa Seana musiała przebyć ten teren, żeby dostać się do Limpopo i granicy.

Generał China postanowił właśnie tu ją zatrzymać. Przez cały poprzedni dzień transportował żołnierzy, których Tippoo Tip dał mu do dyspozycji. W tylnej kabinie hinda mógł zabrać czterestu żołnierzy w pełnym uzbrojeniu i w ciągu dnia wykonał jedenaście lotów. Śmigłowiec przelatywał wysoko nad lasem i lądował wzdłuż linii wzgórz. Dowódcy sekcji mieli za zadanie ustawienie punktów obserwacyjnych na każdym wzgórzu i patrolowanie terenu pomiędzy nimi. Teraz prawie stu pięćdziesięciu żołnierzy odcinało Seanowi Courtneyowi dostęp do Limpopo.

Generał patrzył na mapę, jakby to był portret białego mężczyzny. Po raz kolejny musiał doświadczyć zawodu i upokorzenia. Miał już niemal tego człowieka w swoich rękach, otoczonego przez partyzantów Tippoo Tipa, którzy nie zostawili mu żadnej drogi ucieczki, i wtedy natknęli się na ofensywę Frelimo; las pod lecącym nisko hindem zniknął w kłębach dymu, a China musiał słuchać przez radio jęków swoich ludzi błagających o pomoc, gdy otoczyły ich płomienie.

Tippoo Tip starał się go przekonać, że Sean Courtney musiał zginąć w czasie pożaru lasu, ale generał miał swoje zdanie w tej sprawie. Wysadził tropicieli z hinda na polu czarnych popiołów, jak tylko ostygły dostatecznie, żeby można po nich chodzić. Tropiciele znaleźli miejsce, w którym biały mężczyzna zagrzebał w piachu swoich ludzi, żeby uchronić ich przed ogniem, ślady ich ciał były wyraźnie odcisnięte w miękkiej ziemi. Znaleźli także trop prowadzący na południe w stronę granicy.

Przez resztę dnia po pożarze China patrolował teren z nisko lecącego hinda, ale dym ograniczał widoczność do małego koła bezpośrednio pod kadłubem maszyny.

Porażka wzmocniła determinację generała. Przebiegłość białego mężczyzny i jego niesamowite szczęście, dzięki któremu wymykał się ze wszystkich zastawionych na niego pułapek, zwiększały nienawiść Chiny i rozpałały w nim żądzę zemsty. W czasie drugich godzin, kiedy transportowali żołnierzy, roz-

541

myślał o wzięciu odwetu, wyobrażając sobie najbardziej wyrafinowane tortury, jakie zada Seanowi Courtneyowi i jego kobiecie, jak tylko ich dopadnie.

Nie musiał się z tym spieszyć. Będzie mógł przeciągać przyjemność, rozkoszując się ich cierpieniem jak skąpiec zazdrośnie przeliczający swoje pieniądze. Oczywiście zacznie od kobiety, a biały mężczyzna będzie musiał się temu przyglądać. Kiedy już Tippoo Tip się nią nacieszy, oddadzą ją innym mężczyznom. China osobiście wybierze najbardziej odrażających, z okropnymi rysami twarzy, zdeformowanymi ciałami i chorych na słońcowa-ciznę. Niektórzy mieli naprawdę niesamowite członki. Pozwoli im się bawić kobietą, a kiedy z nią skończą, przyprowadzi mężczyzn z otwartymi wrzodami, złośliwymi chorobami skóry, pokrytych strupami i tropikalnymi owrzodzeniami. Na końcu odda ją chorym na AIDS, tym najbardziej przerażającym. To będzie wspaniała zabawa. Zastanawiał się, jak silna jest ta Amerykanka, ilu zdoła przyjąć. Czy najpierw straci rozum, czy ciało? China czuł

podekscytowanie na samą myśl o tym i wyobrażał sobie, jak biały mężczyzna będzie się temu wszystkiemu przyglądać.

Kiedy skończą z kobietą, przyjdzie pora na pułkownika Seana Courtneya. China nie zdecydował jeszcze, co to będzie, miał tyle możliwości. Mężczyzna był silny i mógł wytrzymać całe dnie, może nawet tygodnie tortur. Na ustach generała pojawił się cienki uśmiech i samo planowanie zemsty na tyle go uspokoiło, że zakrył poły namiotu, okrył się klapami płaszcza i zasnął na krześle.

Obudził się w dziwnym zamieszaniu, nie wiedząc, co się dzieje. Ktoś potrząsał nim gwałtownie. China odrzucił natarczywe ręce i wstał ciężko z krzesła, rozglądając się oszołomionym wzrokiem dookoła. Był już ranek, na tle szarzejącego nieba drzewa rysowały się ciemnymi liniami. Na palach wokół śmigłowca paliły się lampy, a stojące na stole radio wzywało go nagłym głosem.

- Mamy kontakt! Generale China, nawiązaliśmy kontakt! - Był to dowódca oddziału, który rozlokował się na wzgórzach wzdłuż Limpopo. Z podekscytowania oficer zapomniał o hasłach wywoławczych.

Rozespany China podszedł do radia i złapał mikrofon.

542

- Tu Drzewo Bananowe, podaj dokładnie swoją pozycję i kod wywoławczy - warknął. Ton jego głosu spowodował, że oficer oprzytomniał i przeszedł do właściwej procedury komunikacyjnej.

Uciekinierzy wpadli na partyzantów Renamo niemal dokładnie w miejscu, które generał przewidział. Po krótkiej wymianie ognia schronili się na szczycie niewielkiego wzgórza, prawie w zasięgu wzroku od Limpopo.

— Kazałem już sprowadzić moździerz - pochwalił się dowódca sekcji. - Rozwalimy ich na tej górze.

— Nie zezwalam - powiedział stanowczo China. - Po wtarzam, nie zezwalam. Nie otwierać ognia z moździerzy. Nie atakować. Chcę ich dostać żywcem. Otoczcie górę i czekajcie na moje przybycie. - Spojrzał na śmigłowca. Tytanowe osłony były już umieszczone na swoim miejscu, a portugalski technik nadzorował uzupełnianie paliwa. Przed maszyną ustawili się tragarze, każdy z dwudziestopięciolitrową beczką na głowie,

czekając na swoją kolejkę, żeby wlać paliwo do zbiorników.

China krzyknął na Portugalczyka, który szybko podbiegł do niego.

— Musimy natychmiast ruszać - rozkazał China.

— Skończę uzupełnianie paliwa za pół godziny.

— To za długo. Ile mamy w tej chwili paliwa na pokładzie?

— Zapasowe baki są pełne, główne w trzech czwartych.

— To wystarczy, wezwij pilota. Powiedz mu, że natychmiast odlatujemy.

— Muszę jeszcze założyć pokrywę na wloty powietrza do silników - zaprotestował technik.

— Ile to zajmie?

— Nie więcej niż pół godziny.

— Za długo! - krzyknął generał.

Pilot wychodził już z namiotu. Nie obudził się jeszcze w pełni i niezgrabnie wkładał skórzaną kurtkę, a ucha hełmu zwiślały mu na szyję.

— Pospiesz się! - popędził go China. - Włącz silniki!

— A co z pokrywami? - nalegał technik.

— Możemy latać bez nich, to tylko środek ostrożności.

— Tak, ale...!

543

- Nie! - China odepchnął go. - Nie mogę czekać! Zapomnij o pokrywach! Wyruszamy natychmiast. Włącz silniki!

Z połami płaszcza płatającymi się między nogami generał podbiegł do hinda i wskoczył do kabiny.

Sean Courtney leżał płasko na brzuchu wśród skał poniżej grani wzgórza i spoglądał w dół. Dalej na południe w niepewnym świetle poranka widać było ciemnozieloną linię drzew. Porastały brzegi Limpopo.

- Tak blisko - poskarżył się. - Prawie nam się udało.

Zdołali przetrwać do tej pory wbrew wszelkim przeciwno-

ciom, przebyli prawie trzysta kilometrów przez zdewastowany, zniszczony wojną kraj, uszli dwóm zwalczającym się armiom, żeby wpaść w pułapkę tuż przed samym celem. U podnóża góry wystrzelono serię z AK. Pociski odbiły się rykoszetem od kamieni i poszybowały w niebo.

Matatu leżał obok Seana i nie przestawał się obwiniać.

- Jestem starym głupcem, Bwana. Musisz mnie odesłać

i wziąć sobie jakiegoś młodego i sprytnego tropiciela, który nie ośleptł ze starości.

Sean domyślał się, że posterunek obserwacyjny Renamo zauważył ich, kiedy przekraczali jedną z polanek pośród wzgórz. Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnych śladów pościgu, żadnej zasadzki. Zupełnie nieoczekiwanie szereg partyzantów w maskujących mundurach wyskoczył z zagajnika i rzucił się na nich.

Po całonocnym marszu byli zmęczeni, być może mało uważni; może powinni się trzymać lasu i nie przecinać polanek, ale teraz to już sprawa bez znaczenia.

Mieli jedynie dosyć czasu, żeby porwać dzieci i ciągnąc kobiety w pośpiechu, wdrapać się na stok wzgórza, ścigani mało celnym ogniem karabinowym. Możliwe, że partyzanci Renamo specjalnie nie przykładali się do celowania, pomyślał Sean. Nietrudno było się domyślić, jaki rozkaz otrzymali od generała Chiny: Weźcie ich żywcem!

Gdzie China może być teraz? - zastanawiał się Sean. Jedno było pewne, zbliżał się, i to tak szybko, jak tylko pozwalała na

544

to śmigłowiec. Sean spojrział w stronę Limpopo i poczuł w ustach smak klęski i rozczarowania.

- Alphonso! - zawołał. - Podłączyłeś radio? - Chciał

się raczej czymś zająć, niż liczył na szansę nawiązania kontaktu.

Dwukrotnie w ciągu nocy próbował połączyć się z południowoafrykańską bazą wojskową. Raz nawet usłyszał słaby głos Kudu wzywający go, ale baterie były już bardzo słabe. Strzałka wskazująca poziom napięcia opadła do czerwonej strefy.

— Jeśli spróbuję podnieść antenę, to te pawiany odstrzelą mi

jaja - mruknął Alphonso spomiędzy skał.

— Jesteśmy w zasięgu wzroku od rzeki - odparł szorstko

Sean. - Daj mi antenę. - Sean podniósł się na jednym łokciu i cisnął drut anteny najdalej, jak mógł, w dół zbocza. Następnie podczołgał się do radia. Kiedy je włączył, panel kontrolny ledwo się jarzył.

— Kudu, tu Mossie! - zawołał zdesperowanym głosem. -

Kudu, czy słyszysz mnie? Kudu, tu Mossie!

Kula trafiła w skałę nad jego głową, ale Sean ją zignorował.

- Kudu, tu Mossie!

Obie kobiety, biała i czarna, trzymały dzieci i patrzyły na niego w milczeniu.

— Kudu, tu Mossie! - Pokręcił gałką i zupełnie niespodziewanie napłynął głos tak słaby, że ledwo go słyszał.

— Mossie, tu Oubaas. Ledwo cię słyszę.

— Oubaas! O Boże - szepnął. - Oubaas!

Oubaas, dziadek, to hasło wywoławcze generała Lothara De La Reya.

- Oubaas. Siedzimy po uszy w gównie. Potrzebuję wsparcia. - Sean informował, że jest pod ostrzałem i prosił o przyślanie natychmiastowej pomocy. - Jest nas siedmioro: pięć osób dorosłych i dwoje dzieci. Nasza pozycja jest następująca... - Przeczytał współrzędne z mapy. - Trzymamy niewysoki wzgórek jakieś dwadzieścia kilometrów na północ od Limpopo. - Podniósł głowę i szybko się rozejrzał. - Jakież trzy kilometry na wschód od naszej pozycji wznoszą się dwie wysokie góry. Słyszysz mnie, Oubaas?

- Słyszę cię, Mossie. - Głos na chwilę zanikł i zaraz nabrał mocy. - Jak brzmi panieńskie nazwisko twojej babki?

— Niech cię cholera! - warknął wściekle Sean. Lothar sprawdzał go w takim momencie. -Nazwisko panięskie mojej babki brzmi Centaine De Thiry i jest to także twoja babka, Lothar, ty cholerny draniu!

— W porządku, Mossie. Wysyłam pumę. Możesz się tam utrzymać przez godzinę?

— Trzymaj za nas kciuki, Oubaas. Jesteśmy otoczeni przez bandę dzikusów.

— Mossie. - Sean musiał przystawić ucho do głośnika, żeby usłyszeć ostatnie słowa. - Daj im popalić, Sean... - Sygnał zanikł i radio zgasło.

— Już lecą po nas! - Sean odwrócił się od radia i postać uśmiech Claudii. - Wyślą śmigłowiec Puma. - Nagle jego uśmiech zbladł i twarze wszystkich zwróciły się wolno na północ. Świt przyniósł ze sobą nowy odgłos, jeszcze słaby i odległy, ale wszyscy potrafili go już rozpoznać. Był to odgłos śmierci.

—

Patrzyli, jak hind nadlatuje z pomocy, trzymając się nisko nad koronami drzew, wielki, garbaty potwór pokryty kamuflującymi barwami. Pierwsze promienie słońca odbijały się w od szyb kabin, nadając im wygląd żarzących się na czerwono ślepiów.

Z lasu rosnącego w dole wleciała raca sygnalizacyjna i poszybowała w niebo czerwoną parabolą, wzywając hinda. Śmigłowiec zareagował zmianą kierunku lotu i ruszył prosto w stronę wzgórza, na którym się schronili.

Claudia leżała obok Seana, a on otaczał ją ramieniem.

— To takie niesprawiedliwe - szepnęła. - Jakbyśmy umierali po raz drugi. - Wyjęła pistolet zza pasa i spróbowała mu go wcisnąć w rękę.

— Nie! - zaprotestował. - Nie mogę tego zrobić! Drugi

raz nie zdobędę się na to! - Odepchnął broń.

— Więc co? - zapytała. Sean pokazał jej granat, który

trzymał w prawym ręku.

Claudia spojrzała na czarną, głęboko pociętą powierzchnię granatu, zadrżała i odwróciła wzrok.

- To będzie tak samo szybkie i jeszcze pewniejsze - szepnął

uspokajająco. - Odejdziemy razem, w tej samej chwili.

546

Wiedział, co musi zrobić. Będzie trzymał granat między nimi.

Spojrzał do góry na nadlatującego hinda. Był coraz bliżej. Już czas. Nie ostrzeże jej. Pocałuje ją ostatni raz i...

Nagle jego oczy się zwęziły. Coś zmieniło się w wyglądzie śmigłowca. Zbliżał się szybko, rosnąc w oczach, i Sean poczuł dreszcz emocji, gdy uświadomił sobie, co uległo zmianie.

— Mamy jeszcze szansę - szepnął do Claudii. - Niewielką,

ale zaryzykujemy. Chodź tu, Minnie. Chodź szybko! - zawołał

w szangane i czarna dziewczynka podbiegła do niego.

— Potrzyмай ją- szepnął Sean i podniósł skraj postrzępionej

sukienki dziecka do góry. Pod sukienką dziewczynka nosiła

niebieskie majtki.

Odciągnął elastyczną górę majteczek i wsunął do nich coś równie okrągłego i czarnego jak jej małe pośladki.

- Zatrzymaj to dla mnie, kochanie - szepnął do dziecka

w szangane i poprawił jej majtki. - To nasz sekret. Nie wyjmuj

tego. Potrzywasz to dla mnie, kwiatuszku?

Minnie patrzyła na niego ciemnymi oczami, w których malowało się uwielbienie, i poważnie skinęła głową. Sean przytulił ją mocno do siebie.

Odgłos silników hinda wbijał im się w uszy, gdy maszyna zniżyła się ku szczytowi wzgórza. Kiedy śmigłowiec był dwieście metrów od nich, Alphonso wystrzelił serię z AK w kabinę pilota. Lekkie pociski nie zostawiły nawet śladu na szybie pancernej. Śmigłowiec zwolnił lot i zawisł nad wzgórzem.

Generał China siedział wysoko na fotelu w kabinie operatora uzbrojenia i był tak blisko, że mogli dostrzec jego triumfalny uśmiech, gdy podniósł do ust mikrofon.

Potężne głośniki umieszczone pod krótkimi skrzydłami przekazały mocno zniekształcony głos.

— Dzień dobry, pułkowniku Courtney. Dzielnie się pan wy mykał, ale pościg się zakończył. Proszę, niech pan powie swoim ludziom, żeby odłożyli broń.

— Zrób to! - Sean krzyknął do Alphonsa, ale ten zaprotes tował i włożył do karabinka nowy magazynek. - Zrób, jak ci mówię! - Głos Seana stał się ostrzejszy. - Mam plan. Zaufaj mi.

Alphonso wahał się przez chwilę. Nagle zaterkotało działko pokładowe, ogłuszając ich i wyrzucając w powietrze huragan piachu i odprysków skały kilka metrów poniżej ich pozycji.

547

— Niech pan nie wykorzystuje mojej cierpliwości, pułkowniku. Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby wstali z rękami nad głową.

— Zróbcie, jak mówi! - rzekł Sean.

Najpierw Matatu, a potem Alphonso podnieśli się wolno z ziemi z uniesionymi wysoko rękami.

- Proszę im powiedzieć, żeby się odwrócili. Chcę się upewnić, że nie szykują żadnych niespodzianek.

Odwrócili się i nad ich głowami znowu zabrzmiał głos Chiny.

- Zdejmijcie z siebie ubrania, wszystkie.

Powoli mężczyźni rozebrali się i stanęli nago przed śmigłowcem.

- W porządku, zejście niżej ku polance.

Z podniesionymi rękami zeszli na otwarty teren pod skałami.

— Teraz kobiety.

— Bądź dzielna - szepnął Sean do Claudii. - Mamy jeszcze szansę, i to niezłą.

Claudia powoli wstała.

- Miss Monterro - głos Chiny odbijał się echem od okolicznych gór. - Czy będzie pani łaskawa zdjąć z siebie ubranie?

Claudia rozpięła porwaną koszulę i ściągnęła ją przez głowę. W porannym słońcu jej piersi były bardzo białe.

— Teraz spodnie - zachęcił ją China. Opuściła je na ziemię i wyzwoliła nogi kopnięciem.

— Bardzo ładnie, a teraz reszta.

Koronkowe majtki Claudii były tak znoszone, że wisały na niej niczym siatka z pajęczyny, przez którą widać było ciemny trójkąt.

— Nie. - Pokręciła głową. - Nie zrobię tego. - Zasłoniła się z przodu dłońmi. Jej odmowa była zdecydowana.

— W porządku. Pozwolimy pani na razie na tę skromność.

Moi ludzie tym bardziej nacieszą się nią później - zachichotał

China. - Proszę schodzić.

Claudia zeszła w dół zbocza z wysoko podniesioną głową i stanęła między Alphonsem i Matatu.

- Teraz ty - China odezwał się w szangane.

Miriam podniosła się z ziemi. Nie знаła europejskiego wstydu przed nagością. Szybko się rozebrała do naga. Trzymając brata za rękę, zeszła do pozostałych.

548

- Kolej na pułkownika Courtneya. Najlepsze na samym końcu.

Sean wstał i obojętnie zrzucił z siebie porwaną odzież.

- Bardzo to imponujące, pułkowniku - zakpił China. -

Jak na białego człowieka, oczywiście.

Sean patrzył na niego beznamyślnie, ale cały czas starał się oszacować odległość. Pięćdziesiąt pięć metrów, ocenił, za daleko.

- Proszę zejść niżej, żebym mógł mieć pana na oku. Nie

chcemy teraz żadnych nieporozumień, prawda, pułkowniku?

Sean wziął Minnie za rękę i sprowadził ją na dół. Przedmiot schowany w jej majteczkach kołysał się na boki i dziewczynka wolną ręką podciągała majtki do góry, żeby jej nie opadły.

Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia kroków, liczył Sean, zbliżając się do wiszącego nad wzgórzem hindu. Widział wyraźnie oczy Chiny, trzydzieści pięć metrów, wciąż za daleko. Zatrzymał się obok Claudii. Stali nadzy i bezbronni.

China wydał rozkaz w szangane. Z lasu u stóp wzgórza wypadli jego ludzie i zaczęli wspinać się na stok, wyjąc triumfalnie. Portugalski pilot zniżył trochę maszynę, demonstrując, jak świetnie panuje nad sterami.

Dwadzieścia pięć metrów, dwadzieścia. Sean skoncentrował się na wlotach powietrza do silnika. Były rozmiarów pojemników na śmieci i nie miały osłon; głęboko w ich wnętrzu Sean widział mgiełkę turbin obracających się z niesamowitą szybkością.

Hindu zawisł w powietrzu wprost przed rozebranymi do naga ludźmi. Generał China obrócił głowę, żeby spojrzeć na tyralierę wdzierających się na górę partyzantów. Sean wykorzystał ten moment.

Schylił się lekko i podniósł do góry spódniczkę Minnie. Tym samym ruchem odciągnął gumkę majteczek i zacisnął dłoń na granacie. Wyciągając go, wyszarpnął zawleczkę i upuścił ją na ziemię. Usłyszał, jak iglica uderza w zapalnik. Opóźnienie wynosiło pięć sekund. Sean odliczył do trzech i zamachnął się do tyłu jak gracz w baseball. W tej samej chwili China spojrzał na niego.

Sean skoncentrował się na celu i cisnął granat. Czarna kula poszybowała płaskim łukiem. Całą siłą woli próbował ją nakierować na niewielki wlot.

549

Granat trafił w wewnętrzne spojenie, odbił się i zakołysał na krawędzi. Pęd powietrza wytworzony przez turbiny wessał go do środka. Uderzając w wirujące łopatki turbiny, granat rozerwał się i potężna energia silnika została skierowana przeciwko maszynie.

Sean chwycił Claudię i Minnie, i rzucił się z nimi na ziemię. W tej samej chwili silnik śmigłowca rozerwał się na strzępy.

Hind przechylił się ciężko, podbijając działko pokładowe i wystrzelona przez Chinę seria poszła prosto w niebo. Śmigłowiec przewalił się na grzbiet. Z roztrzaskanego silnika buchnął dym i posypały się kawałki metalu.

Maszyna wyrznięta w zbocze wzgórza, odbiła się wysoko, znowu upadła i potoczyła się, koziołkując po ziemi w stronę zbliżających się partyzantów Renamo. Ludzie rozpierzchli się i zaczęli uciekać z krzykiem, ale większość z nich nie zdążyła się usunąć. Zrujnowany kadłub śmigłowca przetoczył się po nich. W końcu ześliznął się ku podnóżu wzgórza niczym olbrzymi tobogan i zatrzymał się na linii lasu. Z podziurawionych zbiorników tryskało fontanną paliwo, oblewając kadłub i migocząc w promieniach słońca.

Claudia i Sean podnieśli się niepewnie na kolana i patrzyli na dzieło zniszczenia.

Po chwili, wręcz niewiarygodnie pomału, pokrywa kabiny uniosła się do góry i generał China wypełznął na ziemię. Paliwo tryskało wysoko w górę, niewinnie niczym natrysk ogrodowy, i spadało na niego rzęsimym deszczem, przesączaając mundur i spływając strumykami po twarzy. China odsunął się od kadłuba i ruszył niepewnie przed siebie.

Nie zrobił dziesięciu chybotliwych kroków, gdy hind wybuchnął ścianą ognia. Płomienie przeskoczyły kilka metrów i ich pastwą stał się przesączony avgasem mundur Chiny. Paliwo zmieniło go w jednej chwili w płonąca ludzką pochodnię, kiedy rzucił się biegiem w dół zbocza, buchając żółtymi płomieniami. Słyszeli wyraźnie jego wrzask, który niósł się niczym ryk ranionego zwierzęcia.

China nie dobiegł do lasu. Upadł na jego skraju i płonące ciało znikło w wysokiej brązowej trawie, która stała się jego stosem pogrzebowym, ale Sean i Claudia słyszeli jeszcze rżący jęk wydobywający się z ognia.

550

- Do tyłu! - krzyknął Sean. Jego głos wyrwał wszystkich z niemego odrętwienia. Sean podniósł Claudię z ziemi i chwycił Minnie w ramiona.

Ścigani świszczącymi w powietrzu pociskami uciekli ku skałom okalającym szczyt. Pochowali się pomiędzy nimi, ale wciąż patrzyli na płonący wrak hinda, niepomni własnej nagości. Płomienie szybko pożerały trawę na krawędzi lasu.

Kiedy ogień przesunął się, na ziemi została czarna, zwęglona sterta popiołu. Wyglądała jak spalone szmaty, lecz kiedy wiatr zaczął wiać w ich stronę, przyniósł ze sobą odór spalonego ciała.

Powiew przyniósł ze sobą także nowy dźwięk i Sean podniósł się ostrożnie i spojrzął w stronę ledwo widocznej na horyzoncie Limpopo.

Śmigłowiec Puma był wciąż jeszcze maleńkim punktem na niebie, ale zbliżał się szybko i dźwięk silników z każdą chwilą narastał.

- Włóż spodnie, kochanie. - Sean przytulił do siebie Clau

dię. - Zdaje się, że będziemy mieli gości!

sierzancie, będziecie słuchać wszystkich rozkazów pułkownika i przeprowadzicie atak dokładnie tak, jak go zaplanował. Jeśli jednak wypad się nie powiedzie, jeśli z bazy uciekną więcej niż dwa henshaw, przejmiecie dowództwo. Waszym pierwszym zadaniem będzie zabicie dwójki białych ludzi i ich czarnego służącego. Macie ich zastrzelić na miejscu.

Alphonso zamrugał sennie oczami. Nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć na Seana. Sean zastanawiał się w tej chwili, czy mimo przyjaźni, która się między nimi zawiązała, mimo faktu, że Alphonso nazwał go Nkosi Kakulu i Baba, i prosił, żeby poprowadził natarcie, wykonałby wyrok egzekucji.

Alphonso był Szangane, wojownikiem z wrodzonym poczuciem lojalności plemiennej i absolutnego posłuszeństwa wobec wodza.

Tak, pomyślał Sean. Pewnie miałby wyrzuty sumienia, ale zrobiłby to bez wahania.

- W porządku, China - powiedział. - Wszyscy wiemy,

na czym stoimy. Niech pan uwolni pannę Monterro.

Strażnik zdjął kajdanki z rąk Claudii i generał pomógł jej wstać.

- Miss Monterro, muszę panią przeprosić za te drobne przy

krości, jestem jednak pewien, że rozumie pani ich konieczność.

Claudia stała niepewnie na nogach. Podeszła chwiejnym krokiem do Seana, żeby się do niego przytulić.

- No cóż, życzę panu dobrego polowania. Możemy się już

pożegnać. - China zasalutował żartobliwie. - Tak czy inaczej

obawiam się, że nie spotkamy się już więcej.

Sean nie zniżył się do odpowiedzi. Z pudełkiem pod pachą, wolną ręką otaczając Claudię, odwrócił się do drzwi i wyszedł.

Wyruszyli dwie godziny przed zmrokiem. Kolumna żołnierzy obciążona wyrzutniami i pociskami poruszała się przez las z trudem: skrzynie były nie tylko ciężkie, ale i długie. Za każdym razem, gdy ścieżka zwężyła się i partyzanci musieli przedzierać się przez gąszcz, skrzynie zaczepiały o gałęzie, wstrzymując pochód i zmniejszając szansę na szybką reakcję żołnierzy w razie nagłego zagrożenia.

się nic powiedzieć na jej temat, obawiając się, że Job mógłby ich usłyszeć. Sean posmarował ciało wokół rany maścią jodową, obłożył czystymi opatrunkami i zabandażował. Krew i brązowa maść przesiąkały obficie przez biały materiał.

Musieli go podnieść, żeby przesunąć bandaż pod plecami. Claudia trzymała na pół urwane ramię, przyciskając je do piersi, a Sean wprawnymi ruchami zakładał opatrunek. Kiedy skończył, cały tors Joba poza lewym ramieniem był ściśle obwiązany bandażem.

- Puls znowu zanika. - Sean opuścił nadgarstek przyja

ciela. - Zaaplikuję mu jeszcze jedno opakowanie osocza.

Z lasu za bazą dobiegły ich nagle wybuchy pocisków moździerzowych i strzały z broni maszynowej. Claudia spojrzała zaskoczona w tamtą stronę.

— Co się dzieje?

— Pewnie oddział Frelimo ruszył do kontrataku. - Sean był

zbyt zajęty kroplówką, żeby spojrzeć w kierunku, z którego

dochodziły odgłosy. - China ma ze sobą trzy kompanie, a Fre

limo nie będą się tak rwali do walki po utracie wsparcia powietrz

nego. Chłopcy Chiny powinni powstrzymać ich bez trudu.

— Sean, skąd China się tu wzięła? Sądziłam...

— Tak - przerwał jej Sean. - Ja też myślałem, że został

w obozie nad rzeką. Sprytny drań deptał nam cały czas po piętach,

żeby jak najszybciej dostać w swoje łapy to, co zdobędziemy. -

Ustawił przepływ osocza z kroplówki i przykucnął obok Claudii,

przyglądając się jej twarzy.

— W porządku - rzekł. - Co się stało?

— Nic. - Spróbowała uśmiechnąć się do niego.

— Nie wciskaj mi kitu, kochanie - powiedział delikatnie

Sean i otoczył ją ramieniem. Claudia nie mogła się powstrzymać

i chlipnęła.

— China - szepnęła. - I to po tym, co się stało z Jobem.

Kazał mi tłumaczyć rozkazy dla radzieckiego pilota. O Boże,

jak ja nienawidzę tego bydlaka. To prawdziwe zwierzę. Musiałam patrzeć... - głos się jej urwał.

— Coś przykrego - dokończył Sean i Claudia skinęła głową.

— Zabił jednego Rosjanina w najokropniejszy sposób.

— Nasz China to dzielny chłopczyk. Postaraj się jednak o tym

436

Maszerowali całą noc. Pośłańcy od Joba i Matatu biegali między strażą przednią a główną grupą, żeby poprowadzić ich nową drogą, gdy trzeba było okrążyć niespodziewaną przeszkodę. Czasami zimne powietrze przynosiło odgłosy walących z całej siły dział, lżejszych moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych. Sean domyślał się, że to wysunięte oddziały Frelimo natykały się na ustępującą linię obrony Renamo. Kilka razy widzieli też race świetlne wzbijające się nad ciemnym lasem, ale nie dobiegły ich ani razu odgłosy silników Isotowa i warkot śmigieł. Hindy najwidoczniej ograniczały naloty do pory dziennej, kiedy mogły odróżnić przeciwnika od sojusznika i efektywniej zapewnić bliskie wsparcie.

Godzinę przed świtem Job wrócił do głównej kolumny i odszukał Seana.

- Dotrzemy do celu dopiero jakąś godzinę po świcie -

oznajmił. - Tempo było wolniejsze, niż oczekiwaliśmy. Co

masz zamiar zrobić? Zaryzykujemy marsz w dzień? Możemy

się natknąć po drodze na hindy - ostrzegł.

Sean rozejrzał się po niebie, zanim odpowiedział. Bladożółty brzask poranny gasił gwiazdy na horyzoncie.

— Korony drzew nie są dostatecznie gęste, żeby ukryć tylu

ludzi i sprzęt przed pilotami hindów - zdecydował. - Musimy

iść dalej i znaleźć lepszą kryjówkę. Powiedz Matatu, żeby nadał

szybsze tempo.

— A co z hindami?

— Główne walki toczą się za nami i śmigłowce będą się

kierowały w tamtą stronę. Możemy zaryzykować, ale musimy

się szybko poruszać.

W miarę jak przybywało światła, twarze partyzantów coraz częściej zwracały się z obawą ku niebu. Szli teraz szybciej, niemal biegnąc. Mimo że kolumna maszerowała przez całą noc, Szangane nieśli swoje ładunki z zaciekłością i hartem ducha typowym dla Afrykanów. Ciężkie skrzynie i szybki marsz złamałyby pewnie niejednego silnego białego mężczyznę.

Było już dostatecznie jasno, żeby rozróżnić korony drzew na tle różowej zasłony świtu, gdy Sean usłyszał znajomy poświst silników turbinowych zbliżający się ze wschodu. Hindy wyruszyły na pierwszy lot bojowy tego dnia. Rozkaz Seana został podany wzdłuż całej kolumny i tragarze natychmiast rzucili się

397

sierzancie, będziecie słuchać wszystkich rozkazów pułkownika i przeprowadzicie atak dokładnie tak, jak go zaplanował. Jeśli jednak wypad się nie powiedzie, jeśli z bazy uciekną więcej niż dwa henshaw, przejmiecie dowództwo. Waszym pierwszym zadaniem będzie zabicie dwójki białych ludzi i ich czarnego służącego. Macie ich zastrzelić na miejscu.

Alphonso zamrugał sennie oczami. Nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć na Seana. Sean zastanawiał się w tej chwili, czy mimo przyjaźni, która się między nimi zawiązała, mimo faktu, że Alphonso nazwał go Nkosi Kakulu i Baba, i prosił, żeby poprowadził natarcie, wykonałby wyrok egzekucji.

Alphonso był Szangane, wojownikiem z wrodzonym poczuciem lojalności plemiennej i absolutnego posłuszeństwa wobec wodza.

Tak, pomyślał Sean. Pewnie miałby wyrzuty sumienia, ale zrobiłby to bez wahania.

- W porządku, China - powiedział. - Wszyscy wiemy, na czym stoimy. Niech pan uwolni pannę Monterro.

Strażnik zdjął kajdanki z rąk Claudii i generał pomógł jej wstać.

- Miss Monterro, muszę panią przeprosić za te drobne przykrości, jestem jednak pewien, że rozumie pani ich konieczność.

Claudia stała niepewnie na nogach. Podeszła chwiejnym krokiem do Seana, żeby się do niego przytulić.

- No cóż, życzę panu dobrego polowania. Możemy się już pożegnać. - China zasalutował żartobliwie. - Tak czy inaczej obawiam się, że nie spotkamy się już więcej.

Sean nie zniżył się do odpowiedzi. Z pudełkiem pod pachą, wolną ręką otaczając Claudię, odwrócił się do drzwi i wyszedł.

Wyruszyli dwie godziny przed zmrokiem. Kolumna żołnierzy obciążona wyrzutniami i pociskami poruszała się przez las z trudem: skrzynie były nie tylko ciężkie, ale i długie. Za każdym razem, gdy ścieżka zwężała się i partyzanci musieli przedzierać się przez gąszcz, skrzynie zaczepiały o gałęzie, wstrzymując pochód i zmniejszając szansę na szybką reakcję żołnierzy w razie nagłego zagrożenia.

395

Riccardo i Claudia nigdy jeszcze nie widzieli techniki maszerowania z jednoczesnym zacieraniem śladów, gdyż w czasie polowania zawsze poruszali się swobodnie. Cała grupa ustawiła się w szereg, na którego czele szedł Job, a pozostali stawiali stopy dokładnie w pozostawione przez niego ślady. Na samym końcu szedł Matatu, zacierając je, układając kamyczki mchem do góry, przywracając źdźbła trawy do normalnej pozycji, omiatając ziemię kępką trawy i usuwając zerwane z niższych gałęzi liście.

Job unikał ścieżek wydeptanych przez zwierzęta i miękkiej gleby, wybierając najtrudniejsze przejścia, a jednocześnie szybko poruszając się do przodu. Po godzinie marszu Claudia poczuła pot na plecach.

Dotarli na wierzchołek niskiego wzgórza. Sean dał im znak, żeby nie wychylali się za krawędź szczytu.

Przyglądając się sprawnej pracy całego zespołu, Riccardo zauważył:

- Pumula i Dedan dobrze wiedzą, co mają robić.

Obaj mężczyźni, nie czekając na rozkazy, rozeszli się na boki, żeby osłaniać flanki.

— Tak. - Sean usiadł obok niego i Claudii, chowając się za

niski krzak. - Byli podoficerami w oddziale Zwiadowców i robili

to wielokrotnie.

— Dlaczego się zatrzymaliśmy? - spytała Claudia.

— Siedzimy na granicy - wyjaśnił Sean. - Spędzimy tu

resztę dnia. Jak tylko wszędzie księżyc, ruszamy dalej. Na razie

możecie odpocząć.

Podniósł lornetkę Zeissa i obserwował teren przed nimi. Kilka kroków dalej leżący na ziemi Job patrzył także przez lornetkę w tym samym kierunku. Od czasu do czasu zniżali przyrządy, żeby zamrużyć powiekami czy zetrzeć ze szkielec jakiś pyłek. Claudia zauważyła, jak bardzo dbali o podstawowe narzędzia, ale poza tym całkowicie skoncentrowali się na badaniu rozciągającego się niżej lasu. Kiedy za wzgórzami schował się ostatni promyk słońca, Sean wstał, schował lornetkę do kieszeni i podszedł do Claudii.

- Pora na makijaż - powiedział.

Przez chwilę nie rozumiała, o czym Sean mówi. Kiedy poczuła tłusty krem maskujący na twarzy, instynktownie odchyliła głowę.

- Nie ruszaj się! - rozkazał Sean. - Biała skóra odbija

129

— Zamknij się! - rozkazał Riccardo. - Dosyć tego. Oboje

się zamknijcie.

— Przepraszam. - Sean uśmiechnął się do niego. - Poniosło

mnie. Chciałem, żebyście wiedzieli, czego oczekiwać po prze

kroczeniu granicy. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie natkniemy

się na chłopaków z Frelimo czy Renamo. Nie ma między nimi

większej różnicy. Jedni i drudzy najpierw strzelają, a później

zadają pytania.

Ta myśl spowodowała, że po karku przebiegły mu dreszcze i wyraźnie poprawił mu się nastrój. Znowu wyruszał na śmiertelnie niebezpieczną akcję, co niezmiernie go ekscytowało. Nawet obecność dziewczyny nie drażniła go już tak bardzo, a raczej zwiększała przyjemność wyprawy. Czuł, że niechęć do niej zaczyna gwałtownie słabnąć i cieszył się, że siedzi obok niego, zamiast lecieć samolotem na Alaskę. Sean prowadził w milczeniu. Jego nastrój udzielił się pozostałym uczestnikom wyprawy. Im bardziej zbliżali się do granicy, tym głębsza stawała się cisza.

W końcu odwrócił się i spojrzał na Joba. Ten skinął głową.

— W porządku, panie i panowie - powiedział cicho Sean. -

Wysiadamy! - Zatrzymał toyotę w miejscu, gdzie droga prze

chodziła w kamienistą ścieżkę.

— Gdzie jesteśmy? - spytał Riccardo.

— Tak blisko granicy, jak tylko możemy bezpiecznie pod

jechać. Jakies pięć kilometrów. Dalej musimy poruszać się o włas

nych siłach.

Riccardo wystawił już nogę z samochodu, gdy Sean go powstrzymał.

- Poczekaj, Szefie. Stań na tej skale. Nie możemy zostawić

śladów.

Po kolei wysiedli z samochodu, stawiając stopę dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej postawiła ją osoba idąca z przodu. Na końcu szedł tyłem Matatu i kępką suchej trawy zacierał tropy.

Sean zabrał ze sobą kucharza, żeby odprowadził toyotę do obozu.

— Idź w pokoju, Mambol - zawołał na pożegnanie.

— Słaba szansa. - Sean się roześmiał i pożegnał go machnięciem ręki. Zwrócił się do Joba. - Zacieramy ślady. Ruszamy!

128